

SUPERWULKAN

The background of the cover features a volcanic eruption. A large plume of dark ash and white smoke billows from the top, partially obscuring the title. In the center, a black helicopter is shown in flight, moving from left to right. The helicopter is silhouetted against a bright, glowing orange and yellow light that emanates from the base of the volcano. The bottom of the cover shows a dark, turbulent sea of blue and black lava flows.

HARRY TURTLEDOVE

„Pełna zwrotów akcja, realistyczni bohaterowie,
humorystyczna i intrygująca fabuła”

Midwest Book Review

BELLONA

Harry Turtledove

Superwulkan

Tłumaczył Cezary Murawski

BELLONA

ROZDZIAŁ I

Colin Ferguson zbudził się z potężnym kacem, sam w nieznanym dwuosobowym łóżku. Nie był to najlepszy sposób na rozpoczęcie poranka.

– Kurwa – wymamrotał i usiadł. Ruchy wzmogły tylko ból głowy. Słowo to, złożone z pięciu liter, nawet wypowiedziane szeptem, wydało mu się o wiele za głośne. Zły omen, jak zawsze. W ustach czuł smak, jakby przed tygodniem coś zdechło w ich wnętrzu.

Grube kotary barwy rdzawoczerwonej zatrzymywały światło dnia niemal w całości. Niemal w całości, lecz nie w dostatecznym stopniu. Poczł się jak sowa spoglądająca spod przymrużonych powiek wprost w słońce. No tak, nieźle się zaprawił, nie ma co. Pełny odlot.

– Kurwa – powtórzył, tym razem nie tak cicho. Wylądował w jakimś wynajętym pokoju... Przez sekundę czy dwie za cholerę nie był w stanie przypomnieć sobie, gdzie, do diabła, go zaniósł. Kac nie odpuszczał. Urwany film spietrał go nie na żarty.

Jeśli nie zdoła sobie przypomnieć, będzie mógł poszukać odpowiedzi w książce telefonicznej. Nocny stolik obok łóżka miał postać regału z dwiema półkami, przymocowanego do ściany.

Brakowało w nim szuflad – skorzystanie z jednej kosztowało dodatkowo siedemdziesiąt jeden centów za pokój czy coś koło tego. Wystarczyło przemnożyć to przez pokaźną liczbę pokoi i od razu człowiek wiedział, że przybytek sieci Motel 6 nigdy nie przynosił strat. Na górnej półce znajdował się telefon i jego zegarek, który lada chwila mógł spaść na gołą posadzkę. Na dolnej półce leżały książka telefoniczna oraz Biblia Stowarzyszenia Gedeonitów w szpetnej niebieskiej oprawie.

Motel 6. Jackson, stan Wyoming. Dzień po Memoriał Day, dniu pamięci poległych na polu chwały. Teraz już sobie przypominał.

– Kurwa – zaklął kolejny raz.

Kiedy planował te wakacje, Jackson w stanie Wyoming jawiło mu się odległe od San Atanasio, miasta w obrębie obszaru metropolitalnego Los Angeles, niczym kraniec świata. Tak bardzo odległe od miejsca, w którym jego własne życie zamieniło się w jedną wielką klapę.

To, co miało zabrzmieć jak śmiech, przypominało raczej chrapliwe krakanie wrony. To jeden z tych dowcipów, który mógłby być śmieszny, gdyby tylko był śmieszny.

Nie jest wcale łatwo wyrwać się z tej matni. Na dobrą sprawę nie można wyrwać się z niej wcale. Jako glina zaliczył już chyba wszystkie lekcje. Ta konkretna otwierała listę.

Spędził samotną noc w niezbyt wygodnym dwuosobowym łóżku, ponieważ Louise, jego ślubna przez blisko trzydzieści lat, żyła obecnie w grzechu, jak się dawno temu mawiało, ze swoim instruktorem od aerobiku, w tymże San Atanasio. Spał sam również dlatego...

– Kurwa – znowu wydusił z siebie, tym razem zdjęty prawdziwą grozą. Oderwane fragmenty minionej nocy przewinęły mu się przed oczyma. Człowiek zawsze zapamiętuje gównem, o jakim najbardziej chciałby zapomnieć. Przespał się w pojedynkę, ponieważ usiłował poderwać kelnerkę młodszą od siebie o połowę i doznał druzgocącej porażki, niczym jakiś biedny, beznadziejny sztubak z ogólniaka, wymachujący kijem baseballowym nieporadnie jak cepem w pojedynku z Randym Johnsonem, leworęcznym miotaczem u szczytu kariery.

Jezu! Nic dziwnego, że się schlałem, pomyślał. Poczucie wstydu – a do tego pęcherz wypełniony do granic wytrzymałości – pognały go do kibla. Swoją drogą funkcjonował z oporami, podobnie jak reszta motelowego segmentu. Ściany także nie zapierały tchu solidnością. Facet w sąsiednim

pokoju oddawał mocz w tym samym czasie co Colin. Gość skończył dużo wcześniej niż Colin i spuścił wodę – wtedy rozległ się kosmiczny plusk.

Colin spuścił wodę po sobie, potem wyłowił z saszetki podróżnej trzy aspiryny. Trzymał je na języku przez chwilę, kiedy napełniał wodą plastikowy kubek. Kiedy je po łknął, wyszorował zęby. Dzięki temu pozbył się z ust woni zwierzęcego truchła.

Ściągnął spodnie od dresów i złachany bawełniany trykot – elegancki komplet bielizny nocnej – i wszedł do narożnej kabiny prysznicowej. Sitko umieszczono na występie sufitu i skierowano na zawór oraz półeczkę z mydłem. Uznał to za dość dziwne, ale działało bez zarzutu.

Odkręcił ukrop na tyle gorący, że niemal gotował się jak homar, lecz stał długo w gorących strugach. Hollywoodzki prysznic, jak nazwałby to w czasach, kiedy służył w marynarce. Zdziwił się, że w sitku prysznic nie zainstalowano automatycznego zamknięcia dopływu wody. Gdyby się nad tym zastanowić, to zapewne jakiś licznik w Motelu 6 naliczał, co trzeba.

Aspiryna zaczęła działać, gdy zakręcił kran. Doszedł do przekonania, że przeżyje. Nie miał całkowitej pewności, czy tego chce, ale pojął, że jego godzina jednak jeszcze nie wybiła.

Do tej pory robił wszystko niemal po omacku. Jeśli zamierzał ogolić się, nie przecinając sobie gardła, musiał włączyć lampkę nad umywalką. Jeśli zapali światło... Kolejne interesujące pytanie, ale, jak zdecydował, nie na tę chwilę. Gliniarz, który zamierzał zakończyć sprawy, zawsze mógł znaleźć szybszy i bardziej przyjemny sposób niż jednorazowe nożyki do golenia Bic.

Szybkim ruchem nacisnął włącznik. Zjadliwe fotony sprawiły, że się wzdrygnął. To samo uczynił podstarzały alkoholik, który spoglądał na niego z lustra. Ziemista cera, obwisła skóra na twarzy. Siwy, kilkudniowy zarost. Nie owijając w bawełnę, prezentował obraz nędzy i rozpacz.

Podrapał się po szczecinie i odczuł ulgę... w niewielkim stopniu. Krople do oczu Visine przyniosły ulgę... ale też niewielką. Wciąż miał dość bujną czuprynę, a loki na głowie, w przeciwieństwie do zarostu, dopiero zaczynały przyprószać się siwizną. Gdy je w końcu uczesał, nie wyglądał na dużo starszego niż w rzeczywistości.

– Kawa – rzekł – pierwsze słowo oprócz kurwy, jakie padło z jego ust tego ranka.

Mógł ją zamówić na dole w recepcji, ale tutaj serwowano kawę równie tandetną, co reszta usług świadczonych w tym przybytku. Ubrał się szybko (jeansy, bluza sportowa, kurtka dżinsowa na wierzch, czapeczka Aniołów – chociaż z kalendarza wynikało, że zaczynał się czerwiec, w Jackson było chłodno, a w Yellowstone, położonym 75 mil dalej na północ i o 300 metrów wyżej, panował już mróz). Potem zszedł na dół do wynajętego przez siebie samochodu i ruszył w kierunku parków narodowych.

Restauracja z szyldem Bubba ulokowała się o wiele bliżej. Parzyli tu dobrą kawę i serwowali ogromniaste, smakowite, nafaszerowane cholesterolem śniadania. Otwierali podwoje o szóstej trzydzieści rano, co dawało sposobność nasycenia ciała i ducha przed wyruszeniem w drogę, obojętnie dokąd prowadziła.

– Co mogę ci dzisiaj podać, kochasiu? – zapytała kelnerka, kiedy Colin usiadł. Młodość miała już za sobą, nie grzeszyła też urodą, ale wyraz kochasiu powiedziała tak, jakby wyrażała własne uczucia. Być może ostatniej noty powinienem wziąć się za podrywanie kogoś takiego jak ona, pomyślał Colin – za późno, jak zwykle.

– Kawę... i wielki puchar lodów waniliowych – powiedział na głos.

Nie znał lepszego remedium na katzenjamer, to pewne. Z drugiej strony w takich chwilach ludzie spoglądali na niego z niejakim rozbawieniem.

Lecz nie ta dziewczyna. W najmniejszym stopniu jej to nie speszyło. Tylko przytaknęła skinieniem głowy.

– Powiadasz, że nieźle się zaprawiłeś zeszłej nocy?

– Och, może odrobinę – odparł oschle Colin.

– Zatem zaraz ci przyniosę. I dopilnuję, żeby dotarła kawa.

Kelnerka oddaliła się.

Colin, nasycony kawą, chociaż w żołądku wciąż odczuwał ukłucia spowodowane zamiarem słodowej whisky, opuszczał Jackson. Minął park ozdobiony lukami z porożami łosi w każdym z czterech narożnych wejść, potem centrum turystyczne i w końcu zmierzając ku północy, wyjechał na otwarty teren. Do parku Yellowstone wciąż pozostawało ponad pięćdziesiąt mil, ale tym się nie przejmował. Nie musiał bowiem jechać zatłoczonym szlakiem, co miałyby miejsce, gdyby wybrał trasę Harbor Freeway lub autostradę międzystanową 405. Przez długi czas jego mały ford był chyba jedynym autem na komunikacyjnym szlaku. Później, w pełni sezonu, sprawy miałyby się zapewne o wiele gorzej, ale jeszcze nie teraz. Nikt nawet nie sprawdził, czy ma bilet, kiedy dotarł do Parku Narodowego Grand Teton – pawilon strażników leśnych przy wjeździe od południa stał pusty i zamknięty na cztery spusty.

Po lewej stronie od niego wznosił się wzmiankowany masyw Grand Teton. W jednym z przewodników wyczytał, że nazwa ta po francusku oznaczała Wielkie Cycki. Ostre, poszarpane, pokryte śniegiem skaliste turnie wcale nie budziły w nim skojarzenia z damskimi zderzakami. Przypominały mu raczej zęby trzonowe kota, stworzone przez naturę do przecinania mięsa na łatwe do połknięcia kawałki. Zęby trzonowe czyjego kota? Być może będącego własnością Boga.

Z lektury przewodnika wynikało, że tylko bardzo wyposzczony francuski traper był w stanie wyobrazić sobie, że ten górski masyw przypomina cycki. Colin wątpił nawet, czy książka gwarantowała w tym punkcie rzetelność. Być może chodziło o francuskiego trapera, którego ślubna dała nogę z instruktorem aerobiku. Taka wersja trafiała mu o wiele bardziej do przekonania.

Na niebie zbierały się chmury. Ich pułap zszedł poniżej wierzchołków masywu Grand Tetons, przesłaniając widok na szczyty. Po krótkiej chwili spadły pierwsze kropelki mżawki. Komuś, kto przyjechał z Los Angeles, deszcz w czerwcu wydawał się czymś na granicy perwersji, ale Colin potrafił jakoś sobie z tym poradzić. Poza tym wkrótce miało przestać siąpić, by potem ponownie pokropić, kiedy matka natura poczuje taką chęć. Doświadczył tego już poprzedniego dnia, kiedy wjeżdżał pod górę – a potem, kiedy zjeżdżał w dół oraz kiedy przebywał na terenie parku Yellowstone. Kapryśna pogoda stanowiła cenę, jaką należało zapłacić za uwolnienie się od tłumu turystów.

Jego starszy syn, Rob, doceniłby z pewnością opustoszałą autostradę. Rob spędzał znacznie więcej czasu w drodze niż ojciec. Studiował pięć lat, opłacanych słonym chesnym, na Uniwersytecie Kalifornijskim w Santa Barbara, zdobywając dyplom inżyniera. Od tamtej pory zarabiał na życie – o ile w ogóle zarabiał – grając na gitarze basowej w zespole o nazwie Tryskająca Żaba i Ewoluuujące Kijanki. „Najlepsza pieprzona muzyczna ekipa, o jakiej nikt nigdy nie słyszał”, tak ich określał, nie bez nuty dumy.

Trudno powiedzieć, by Colin podchodził do ich muzyki z niechęcią. Niektóre z utworów zespołu były zabawne. Z innych emanowała mądrość. Kilka kawałków łączyło nawet w sobie jedno i drugie. Żywił ciągle nadzieję, że podczas każdego występu i każdej próby Rob zakładał słuchawki. W przeciwnym razie jego syn straci całkowicie słuch jeszcze

przed trzydziestymi piątymi urodzinami. Kapela Tryskająca Żaba i Ewoluuujące Kijanki lubiła dawać czadu, podkrecając do jedenastu na skali.

Chłopaki z zespołu równie ochoczo popalali też trawkę. Wcale sobie przy tym nie żalowali, a Rob w żadnej mierze nie ustępował pod tym względem pozostałym. Nie marnował również czasu na stwarzanie pozorów, jakoby wcale nie palił zioła. Nie można mu było zarzucić hipokryzji, ani na jotę więcej niż w przypadku Colina. Jeśli takie cechy są przekazywane za pośrednictwem genów, z pewnością nie odziedziczył tej cechy po swoim starym.

– Mógłbym posadzić cię za to do paki – oznajmił Colin, kiedy po raz pierwszy wyczuł słodkawą woń dymu i wszedłszy do pokoju, natknął się na Roba z jointem w ustach.

– Zatem zrób to – odparł jego syn. Nie wykrzyknął wtedy „Faszystowska Świnia!”, chociaż równie dobrze mógł to zrobić.

I, oczywiście, Colin niczego podobnego nie uczynił. Następnego ranka zbudził się jednak z kacem równie zjadliwym, co dzisiejszy. Rob nie uprzedził go, że palenie zioła powoduje ciężki ból głowy wraz z nastaniem kolejnego dnia. Za tego rodzaju drobne akty miłosierdzia Colin – bywał wdzięczny. Z cyniczną pewnością gliny nie miał żadnych wątpliwości, że mógłby doświadczyć łaski na większą skalę.

Kilka samochodów stało zaparkowanych na poboczu drogi w pobliżu zakola rzeki Snake. Ludzie uzbrojeni w lornetki, lunety obserwacyjne oraz aparaty fotograficzne z teleobiektywami spoglądali gdzieś w poprzek nurtu. Colin jechał dalej. Uważał się za ornitologa amatora, lecz jedynie na pół gwizdka. Dla bielika amerykańskiego zapewne by się zatrzymał, lecz tutaj najprawdopodobniej nie występowały. Kilka gatunków kaczek, których nigdy wcześniej nie obserwował, nie rozbudziło w nim gorętszych emocji.

W chwili obecnej za bardzo borykał się z problemem, by cokolwiek rozbudzało w nim emocje. Po części z tego właśnie powodu przyjechał w te strony: żywił nadzieję, że pobyt w innym miejscu, odejście od codziennej rutyny znowu obudzi w nim żywsze odczucia.

Zobaczył wiele nowych rzeczy, to prawda. Jednak żadna z nich nie przyczyniła się nadmiernie do odciążenia jego myśli od chaosu, w jaki przemieniło się jego życie rodzinne, ani od sprawy Dusiciela z South Bay, sukinsyna, który dobrze się bawił gwałcąc i mordując starsze panie drobnej postury w rejonie od Hawthorne po Rolling Hills Estates. W ciągu minionych pięciu lat zdołał wyprawić na tamten świat co najmniej trzynaście z nich. Zgromadzono dostatek śladów DNA, by posłać go na krzesło elektryczne, jeśli zdołają go kiedykolwiek złapać, lecz przeszukiwanie bazy danych tych, którym zdarzyło się wejść w kolizję z prawem i kodeksem karnym, nie dało jak dotąd pozytywnego rezultatu.

– Przypuszczalnie filar pieprzonego społeczeństwa... oprócz chwil, kiedy wyrusza na łowy – warknął Colin, siedząc w fordzie, gdzie nikt nie mógł go usłyszeć.

Postulował już wcześniej pewną hipotezę, kiedy tylko policja z całego regionu South Bay spotykała się w celu skoordynowania obławy. Nikt jednak nie chciał go wysłuchać. Zachnął się. Jak gdyby było to coś nowego!

Zaczęło padać mocniej. Colin włączył wycieraczki, starając się ustawić prędkość ich przesuwu w tempie wystarczającym na ścieranie kropel deszczu na moment, zanim szyba stanie się całkowicie nieprzejrzysta... i ani na jotę szybciej. Taka nieustępliwa precyzja weszła mu w nawyk. Doprowadzało to Louise do szewskiej pasji. Jak się okazało, na tyle nieokiełznanej, że postanowiła zamieszkać z facetem o dziesięć lat młodszym od niej.

Jak się mówi na kobiety, które w dobie obecnej dopuszczają się takich rzeczy? Istnieje na to określone słowo. Nie lokowało się w pierwszych liniach amerykańskiego slangu, stąd też Colin musiał trochę poszperać w głowie. W końcu zdołał na nie trafić.

– Kuguary! – Fakt, iż sobie przypomniał, poprawił mu nastrój, ale tylko na chwilę, ponieważ uznawał to za coś, co powinien zapamiętać.

W poprzek drogi przebiegła wiewiórka. Mniejsza i bardziej ruda niż wiewiórki w San Atanasio, lecz równie bezmyślna i gotowa skończyć ze sobą. Zwolnił na tyle, żeby nie rozjechać zwierzątka na moką miazgę.

– Kuguary – powtórzył przygnębiony. Nie zdołał rozczytać zamiarów Louise, nie do chwili, kiedy było po fakcie. Ale przecież nie zdawał sobie sprawy, iż jego małżeństwo wisi na włosku do czasu, gdy na jego oczach wszystko się rozleciało. Co stanowiło dowód na... no właśnie, na co właściwie?

Dowód na to, że gównem wiesz o kobietach, na to właśnie, odpowiedział sobie w duchu. Powinieneś być lepiej rozumieć własną żonę niż jakąkolwiek inną kobietę, czyż nie i rzecz jasna, nie rozumiał. I wciąż nie potrafił pojąć, dlaczego jego córka rzuciła chłopaka, z którym prowadziła się od dawna, zaledwie trzy tygodnie po tym, jak do wiatru wystawiła go Louise. Być może Louise i Vanessa ukartowały to do spółki. A być może wisiało to po prostu w powietrzu, jak zarazki świńskiej grypy.

Bryce Miller wciąż wpadał do ich domu raz na tydzień lub dwa. Po części działało się tak dlatego, iż nie bardzo miał się komu zwierzać. Po części natomiast... Colin przystawił język do zębów i mlasnął: niezbyt miły odgłos. Smutna i godna pożałowania prawda sprowadzała się do tego, że Bryce cieszył się większą jego sympatią niż Vanessa. Bryce nosił się z podniesioną głową, nawet jeśli pisał rozprawę doktorską z poezji hellenistycznej. Vanessa...

Vanessa natomiast zrobiła się drażliwa. Odwarkiwała jak rozdrażniony pies, jeśli sprawy nie układały się po jej myśli.

Colin zdjął nogę z pedału gazu. Czy przypadkiem nie nazwałś swojej pierwszej i jedynej córki suką? Przybity skinął głową. Nie mówił tak zbyt wiele razy, ale jednak to zrobił. Tak, to słowo pasowało do Vanessy. Zupełnie inaczej miała się rzecz z określeniem pobudliwa emocjonalnie.

Dotarł do pawilonu strażników leśnych przy wjeździe do Yellowstone od strony południowej. Dziewiąta jeszcze nie wybiła. Nieźle. W tym pawilonie zastał jakiś personel. Colin podjechał do jednej z bram, zatrzymał się i opuścił szybę po swojej stronie.

– Witamy w Yellowstone – odezwała się do Colina uśmiechnięta strażniczka, wystrojona w kapelusz podobny do nakrycia głowy instruktora musztry piechoty morskiej w stopniu sierżanta. Słowa te miały znaczyć Czy już wykupił pan bilet. Colin uniósł mapę z przypiętym zszywką karnetem wejściowym – ważnym cały tydzień – kupionym poprzedniego dnia. – Witamy ponownie w Yellowstone – zmieniła odrobinę treść wypowiedzi strażniczka, skinąwszy głową.

– Dzięki.

Colin wjechał na teren parku.

Droga od południowego wjazdu wiodła niemal prosto jak strzała przez kolejnych dwadzieścia mil. Mimo to Colin utrzymywał stałą prędkość w granicach siedemdziesięciu kilometrów na godzinę. Kilka samochodów oraz monstrualnych rozmiarów SUV-ów przemknęło obok niego. Przewodniki ostrzegają, że strażnicy leśni z fanatyczną wręcz skrupulatnością pilnowali, by nie przekraczano dopuszczalnej szybkości, zwłaszcza na tym odcinku sieci komunikacyjnej parku Yellowstone. Być może to bzdury na zasadzie pobożnego życzenia. Albo też...

Minął zakręt. Samochód straży leśnej z kogutem na dachu – teraz migającym – zmusił SUV-a do zjechania na pobocze i zatrzymania. Facet za kierownicą wyglądał na porządnie wkurwionego. Colin zarechotał.

– Jak pech to pech, palancie – rzucił do siebie.

Szkody, jakie w parku wyrządziły wielkie pożary szalejące w 1988 roku, wciąż jeszcze dało się zauważyć. Niektóre z kikutów spalonych pni ciągle sterczały wysoko ku niebu. Inne leżały porozrzucane bezładnie na łąkach, które objęły sukcesją miejsce po lasach utworzonych przez sosnę wydmową. Natomiast młode drzewka tej sosny, które wyrosły już po pożodze, osiągnęły zaledwie rozmiary od choinek stawianych na stoliku przy okazji Bożego Narodzenia do okazów wysokości sześciu w porywach siedmiu i pół metra – co mniej więcej odpowiadało połowie wielkości dorosłych sosen wydmowych pochłoniętych przez ognisty żywioł.

Droga w końcu się rozwidła, skręt w lewo prowadził do gejzeru o nazwie Old Faithful oraz licznej gromady słynnych tworów geotermalnych położonych w jego pobliżu. Colin zajechał tam już wczoraj, w pierwszym dniu swej bytności w parku. Jak przypuszczał, tak postępowali wszyscy. Gejzery uchodziły za najważniejszą atrakcję i musiał w duchu przyznać, że Old Faithful w zupełności zasługiwał na renome, jaką się cieszył.

Rozwidlenie w prawo prowadziło natomiast do skupiska formacji geotermalnych West Thumb, stanowiącego odnogę jeziora Yellowstone. Tam również znajdowała się kotlina pełna gejzerów, a ponadto pawilon z punktem informacyjnym i księgarnią. Posta wiono tam także toalety. Colin uznał to za istotną okoliczność, uwzględniając spore ilości kawy z restauracji Bubba wciąż chlupoczące w jego trzewiach. Skupisko geotermalne West Thumb nadawało się więc idealnie do zwiedzania.

Na parking zjechał o dziewiątej trzydzieści. Jak dotąd nie pojawiło się tu zbyt wiele aut. Wczoraj także zdołał uniknąć tłoku, wybierając się do

gejzeru Old Faithful, lecz dzisiaj w tym miejscu nie oczekiwał wielkich tłumów. Wyboista nawierzchnia parkingu zdawała się potwierdzać tę tezę. Gdyby przyjeżdżało tu więcej ludzi, z pewnością obiekt byłby lepiej utrzymany.

Niedaleko od wjazdu na parking okrągława gorąca niecka wyrzucała w górę kłęby gorącej pary. Nie dostrzegł nigdzie żadnej tablicy informacyjnej czy czegokolwiek w tym rodzaju – jedynie drewniany pomost z balustradą dokoła geotermalnego tworu, która miała zabezpieczyć bezmyślnych turystów przed ugotowaniem się we wrzącej kipieli. Zdołał wypatrzeć miejsce zaraz na początku podestu z desek, z którego zwiedzający mogli stosunkowo bezpiecznie dotrzeć do obiektów geotermalnych – a parking świecił pustkami. Wyłączył światła, zgasił silnik i wysiadł. Przekręcenie kluczyka w drzwiach w chwili, gdy zamknął drzwi samochodu, stanowiło automatyczny odruch, jak oddychanie.

Tablice w kilku językach zakazywały turystom schodzenia z pomostu. Pokrywa lodowa była cienka. Ryzykowało się wpadnięcie do jeziora. W tej chwili perspektywa gorącej kąpieli niespecjalnie odstręczała. Drżał z zimna, mimo iż miał na sobie sportową bluzę i dżinsową kurtkę; temperatura musiała spaść do blisko czterech stopni Celsjusza. Kiedy wylatywał z lotniska w LAX, termometr wskazywał blisko trzydzieści stopni. Cóż, zostawił Los Angeles gdzieś daleko za sobą.

Źródło o nazwie Blue Funnel [Niebieski Lej] miało niebieskie zabarwienie. Gejzer Thumb wściekle wyrzucał i wypluwał z siebie kłęby pary. Z kolei gejzer Fishing Cone [Górka Wędkarzy] ulokował się o kilka metrów od brzegu i tkwił w wodach jeziora Yellowstone. Nie dało się wskoczyć na niego z podestu. Dawniej, jak wynikało z jego przewodnika, ludzie gotowali tu na parze złowione chwilę wcześniej pstrągi. Niektórzy

doznawali nawet przy tej okazji poważnych poparzeń. Obecnie Fishing Cone był już poza bezpośrednim dostępem z lądu.

Lód wciąż pokrywał większą część jeziora dalej od brzegu. W oczach kogoś, kto niemal całe życie przeżył w południowej Kalifornii, wydawało się to nad wyraz osobliwe. Przywołało to w myślach Colina sceny z powieści Chata wuja Toma. Sporo śniegu wciąż pokrywało ziemię.

Miejsce urzekąco pięknem – bez dwóch zdań. Uroki krajobrazu i do tego śnieg stanowiły najwidoczniej dostateczny bodziec dla tych nielicznych, którzy zamieszkiwali te strony. Colin pokręcił głową z niedowierzaniem. Cztery stopnie Celsjusza w tydzień po Memoriał Day? Zapomnij o tym!

Przemierzał podest zbudowany po okręgu. Kaczka, która pływała w nie zamrożonej wodzie blisko brzegu i spoglądała na niego badawczym wzrokiem, doszła do wniosku, że może być niebezpieczny i zaczęła biec po tafli, uderzając skrzydłami do momentu, gdy nabrała dostatecznej prędkości, by unieść się w powietrze.

Black Pool [Czarny Staw] wcale nie miał barwy czarnej, lecz bladozieloną. Colin nie miał pojęcia, czy Abyss Pool [Staw nad Przepaścią], po drugiej stronie drewnianego pomostu, prowadził do otchłani. Wnioskując po przesyconej siarką parze unoszącej się z niego, wcale by to go nie zaskoczyło.

Jakiś osobnik w kapeluszu z szerokim rondem, błyszczącym płaszczu przeciwdeszczowym i dżinsach siedział w kucki na wąskiej przybrzeżnej plaży, tyłem do Colina, zajęty czymś, czego nie potrafił dostrzec. Nie dalej niż dwa metry od niego stała jedna z tablic z zakazem schodzenia z drewnianego podestu!

– Co, do diabła, tam wyprawiasz, gościu? – warknął. To fraza, której intonację przećwiczył na wszystkie możliwe sposoby w ciągu wielu lat służby w policji.

Podjejrany typ zerwał się na równe nogi i szybkim krokiem wracał w jego kierunku. Z tym, że on..., nie ona, najprawdopodobniej nie robiła nic podejrzanego. Kobieta w wieku około trzydziestu pięciu lat, o krótkich blond włosach z odcieniem miodowym i ogorzałej twarzy o atrakcyjnych rysach, co sugerowało, że spędzała dużo czasu pod gołym niebem. Nosiała plaketkę identyfikacyjną ze zdjęciem zawieszoną na kordonku wokół szyi w taki sposób, jak zwykli to czynić strażnicy leśni.

– Sprawdzam odczyty sejsmografu – odpowiedziała. – O co chodzi? Ma pan tu jakieś sprawy?

Colin poczuł się jak cymbał. Najchętniej zapadłby się pod tę cienką i gorącą skorupę, która jednak bez trudu podtrzymywała ciężar ciała kobiety.

– Przepraszam – powiedział i chociaż raz był szczery. – U siebie w domu jestem gliną. Zobaczyłem panią tam, gdzie, jak mi się wydawało, nie powinno pani być, doszedłem do błędnego wniosku i masz babo placek.

Rozważała jego słowa. Szykowała dla niego ripostę w rodzaju Okej, w porządku. A teraz odpieprz się, dupku. Zasłużył sobie na to, swoją drogą. Ale właśnie nadchodziła grupka kolejnych zwiedzających. Być może nie chciała go zrugać na oczach innych.

– Hm, chyba rzeczywiście na to wygląda – ograniczyła się wyłącznie do tej zdawkowej wypowiedzi.

Potem los – bądź coś innego – wyciągnął pomocną dłoń. Ziemia zadrżała na tyle mocno, iż nie potrzebowali żadnego sejsmografu, by wyczuć drgania. Colin zachwiał się na nogach. Z ulgą złapał za poręcz przy podeście. Przez dziesięć do piętnastu sekund czuł się tak, jakby stał na kawałkach owocowej galaretki. Po chwili wstrząsy ustały.

– Ja cię kręcę! – wykrzyknął jeden z nadchodzących turystów.

– Nikt mnie nie ostrzegł, że coś takiego może się wydarzyć! Wiejmy stąd, Shirley! – ewOn i Shirley dali drapaka, ile sił w nogach.

Fale – niezbyt duże, ale jednak fale – przetaczały się po plaży. Dalej od brzegu lód pękał, czemu towarzyszyły odgłosy, które przywołały w myślach Colina obraz tego, co by się stało, gdyby Jolly Green Giant, maskotka koncernu spożywczego, strąciła z zamrażalnika pojemnik na kostki lodu. Ciemne smugi wody pojawiły się między spękanymi taflami lodu.

– To musiało być 5,3, być może nawet 5,5 stopnia w skali Richtera. Epicentrum gdzieś w tamtą stronę – ocenił Colin, spoglądając na lodowe tafle i zarazem w kierunku, z którego nadeszły fale, wskazując na północny wschód.

Jedna z brwi kobiety uniosła się gwałtownie w górę.

– Miałam zamiar zapytać pana, gdzie jest pański dom, ale teraz już chyba wcale nie muszę. Norcal czy Socali.

– Socal – odparł Colin. – San Atanasio. Miasto w obrębie zespołu miejskiego Los Angeles.

Nie ulegało raczej wątpliwości, iż pochodzi z Kalifornii. Posługiwanie się skalą Richtera stanowiło tam swego rodzaju lokalny sport.

– A pani? – zapytał.

Fakt, iż wiedziała, co jest miejscowym sportem, a ponadto użyła lokalnego slangu w odniesieniu do dwóch rywalizujących ze sobą regionów Kalifornii, przemawiał za tym, że ona również jest Kalifornijką.

– Poniekąd jedno i drugie – odpowiedziała potwierdzając to, co oczywiste. – Dorastałam w Torrance (w mieście położonym niedaleko od San Atanasio), ale kończę przewód doktorski w Berkeley. Zatem jestem teraz Norcalem, mieszkanką północnej Kalifornii.

Colin w myślach poprzedził nazwę Berkeley zwrotem Ludowa Republika, podobnie jak czynił to w przypadku miasta Santa Monica. Uniwersytet w Berkeley miał wysokie notowania; Marshall, jego młodszy

syn, żył tam długie tygodnie na cudzy koszt, po tym jak nie zdołał zdobyć tamtejszego indeksu. Poszedł więc studiować na Uniwersytecie Kalifornijskim w Santa Barbara, śladem Roba. Wzorem starszego brata zaczął też palić trawkę i, jak do tej pory, jeszcze nie obronił dyplomu. A to był jeszcze jeden przyczynek do ojcowskich trosk.

Jednak w tym momencie wcale nie najbardziej palący.

– Nie miałem pojęcia, że trzęsienia o takiej sile występują tutaj – oznajmił Colin.

– A jednak – odparła kobieta. – To druga najbardziej aktywna strefa sejsmiczna na obszarze kontynentalnych Stanów Zjednoczonych, tuż po San Andreas. W 1975 roku w samym parku doszło do wstrząsów o sile 6,1 w skali Richtera, natomiast wcześniej, w 1959 roku, na zachód od Yellowstone zatrzęsło tak mocno, że sejsmografy wskazały 7,5. Doliczono się wtedy dwudziestu ośmiu ofiar śmiertelnych, został też zasypany ośrodek letnich obozów. Obsunięcie zwałów ziemi utworzyło tamę na rzece i doprowadziło do powstania akwenu o nazwie Quake Lake. Wciąż można zobaczyć tam wystające z wody wierzchołki zatopionych drzew.

– Wstrząsy o sile 7,5 w skali Richtera z pewnością mogły dokonać takich zniszczeń – skomentował przytomnie Colin. Ileż ofiar śmiertelnych spowodowałyby trzęsienie ziemi tej wielkości w Los Angeles albo w rejonie Bay Area, aglomeracji San Francisco. Tam, do diabła, bez porównania więcej niż dwadzieścia osiem.

– Bez cienia wątpliwości mogły – przyznała i, podobnie jak Colin chwilę wcześniej, wskazała w kierunku północno-wschodnim. – Moim zdaniem ocenił pan siłę wstrząsów również ze sporą precyzją...

– Praktyka – wszedł jej w słowo.

– Uhu – zgodziła się i podjęła temat. – Miał pan rację, o ile trzęsienie zostało spowodowane przemieszczeniem magmy w obrębie antykliny Sour

Creek. Jeśli jednak doszło do tego w antyklinie Coffee Pot Springs... To o wiele dalej, zatem wstrząsy musiałyby być silniejsze.

– Nie odniosłem wrażenia, że drgania nadchodziły z oddali – stwierdził Colin. – Zatrzęsło gwałtownie, raczej nie były to drgania o małej amplitudzie, jakie docierają po pokonaniu długiej drogi.

– Miejmy nadzieję, że ma pan rację – ani jej głos, ani mina nie zwiastowały nic dobrego. Miała zresztą ku temu powody. – Antyklina Coffee Pot Springs w sensie dosłownym pojawiła się na mapach dopiero całkiem niedawno i wciąż zwiększa swe rozmiary, jak opuchnięty palec u nogi. Wygląda na to, że magma odkryła nową przestrzeń, do jakiej się przemieszcza i z której znajduje drogę w kierunku powierzchni.

Colin wiedział, czym jest magma: gorąca roztopiona skalna masa, wyrzucana w trakcie erupcji wulkanu. Tu w Yellowstone dochodziło jeszcze uwięzione pod ziemią gorąco, za sprawą którego gejzery osiągały temperaturę wrzenia, a woda w gorących źródłach bulgotała. Z trudem jednak przychodziło mu połączenie jednego z drugim.

– Go by się stało, gdyby do tego doszło – zapytał.

– Doszło do czego? Wypływu magmy na powierzchnię?

– Tak. Czy byłoby to coś na podobieństwo... wulkanu?

– Uhm, coś w tym rodzaju – przytaknęła.

Z wyrazu jej twarzy dało się teraz wywnioskować, że nieco ją rozczarował. Wie dział coś na temat trzęsień ziemi, stąd też żywiła nadzieję, że może mieć również choćby zielone pojęcie o wulkanach. To jednak nie powinno go zdołować. Jeśli ktoś dysponował doświadczeniem w sprawianiu kobietom rozczarowania, on był tym gościem. Lecz tym razem, choć nie potrafił tego zrozumieć, zależało mu na tym, by nie rozczarować tej, z którą rozmawiał.

– Coś na podobieństwo wulkanu, lecz w skali, jaką oddałoby porównanie tygrysa syberyjskiego z kociątkiem – podjęła temat.

– Że jak? – odparł błyskotliwie. Usiłując ratować sytuację, dodał. – Wcale nie wlepiam wzroku w pani biust. Usiłuję jedynie odczytać plakietkę z pani nazwiskiem.

Zareagowała grymasem, który miał oznaczać uśmiech.

– No tak. Niezła gadka. Nazywam się Kelly Birnbaum.

Podał jej swoje nazwisko. Podeszła do niego i wymienili uścisk dłoni ponad barierką drewnianego podestu. Znał wielu podoficerów policji, których uścisk dłoni nie emanował taką pewnością siebie. Skierowała wzrok ku zachodowi.

– Idę o zakład, że zanim przyjechał pan tutaj, wybrał się pan obejrzeć gejzer Old Faithful.

– No tak, to prawda.

Colin nie znosił bycia przewidywalnym. Niekiedy taki właśnie bywał – niekiedy każdy przecież bywa..., lecz mimo to nie cierpiał takich sytuacji.

– Niech się pan nie zamartwia. Ludzie tak właśnie postępują. Właśnie po to ten twór geotermalny tam jest, wiedział pan? – dodała Kelly.

Ta uwaga pogorszyła jeszcze jego nastrój, zamiast poprawić humor.

– Co pan zrobił po obejrzeniu wszystkich tych dziwów natury? – zapytała po chwili.

– Zjadłem obiad – zbyt często zeznawał przed sądem, by zdobyć się choćby na odrobinę polotu.

Tym razem to ona pokazała mu język, co nadało jej wygląd dwunastoletniej dziewczynki.

– Brzmi pan jak gliniarz, to prawda. Spróbujmy od nowa. Co pan robił po obie dzie? Czy pojechał pan do skupiska geotermalnego Black Sand Basin?

– Tak, Wysoki Sądzie – odparł Colin ze śmiertelną powagą.

– W porządku – podjęła Kelly tonem wskazującym, iż zamierza przejść do konkretów. – Niech pan popatrzy na ścianę kaldery, skalnego zbocza, jakie powstało w rezultacie zapadnięcia się wulkanicznego stożka w trakcie poprzedniego wybuchu superwulkanu. Widać ją stąd całkiem dobrze. O ile wiem, jest tam nawet tablica informacyjna. Przypomina pan sobie?

– Uhm. W rzeczy samej...

Colin wyjął z kieszeni kurtki cyfrowy aparat fotograficzny, włączył zasilanie z baterii i przewinął wstecz kilka klatek, aż natrafił na zdjęcia, które chciał znaleźć. Na jednym widniała wzmiankowana tablica informacyjna. Inne przedstawiało skalną ścianę kaldery: niemal pionowy klif utworzony przez zastygłą lawę, wysokości blisko stu metrów, porośnięty sporadycznie okazami sosny wydmowej.

Kelly pochyliła się do przodu, chcąc obejrzeć te fotografie w wizjerze.

– To jest to, zgadza się – przytaknęła. – To właśnie pozostało z czasów, kiedy doszło do ostatniego wybuchu, to znaczy, przypuszczalnie, jakieś 640 000 lat temu. Wulkan wyrzucił wtedy z siebie blisko dziewięćset osiemdziesiąt kilometrów sześciennych pyłu, lawy i skał – czyli mniej więcej tysiąc razy więcej niż ostatnio wulkan Mount St. Helens.

– A w porównaniu z erupcją Krakatau? – dopytywał Colin.

– Albo z tym wcześniejszym w XIX wieku, zapomniałem jego nazwy; w każdym razie z tym, który spowodował „Rok bez lata”?

– Wulkan Tambora – odpowiedziała, obdarzając go promiennym uśmiechem. Ludzie zwykle reagują w ten sposób, kiedy ktoś zaskoczy ich większą, niż zakładali, wiedzą na interesujący ich temat. – Szacunkowo było tego jakieś sto czterdzieści pięć kilometrów sześciennych. W porównaniu z tą erupcją wybuch Krakatau to zaledwie petarda: ponad

dwadzieścia cztery lub dwadzieścia osiem z okładem kilometrów sześciennych.

– A niech to! – Colin nie potrzebował kalkulatora, by wykonać obliczenia. – Zatem miejscowa erupcja piekielnie przekraczała mocą każdą z obu wzmiankowanych.

We własnym przekonaniu oraz w opinii swoich kolegów uchodził za równie ordynarnego, co każdy inny gliniarz. Nie lubił jednak przeklinać w obecności kobiet. Swoją drogą to wcale nie jedyny powód, dla którego w ostatnich czasach często czuł się jak dinozaur.

– To prawda – podjęła wątek Kelly. – Lecz do erupcji wulkanu, o którym tu mówimy, doszło również jakieś 1,3 miliona lat temu. Wyrzucił wtedy z siebie tylko dwieście siedemdziesiąt pięć kilometrów sześciennych.

– Tylko – niczym echo powtórzył Colin.

Powstało wrażenie, jakby słowo to zawisło w zimnym, wilgotnym, przesiąkniętym siarką powietrzu.

– Tylko – powtórzyła za nim. – Ponieważ wybuch miał także miejsce przed 2,1 milionami lat i wtedy gruchnęło naprawdę potężnie. Według szacunków wulkan wyrzucił z siebie blisko dwa tysiące czterysta sześćdziesiąt kilometrów sześciennych skalnych rupieci – wystarczająca ilość, by pokryć całą Kalifornię warstwą o miąższości ponad sześciu metrów. W istocie rzeczy powłoka z popiołu sięgała wtedy od Pacyfiku po Iowę oraz od Kanady po Teksas.

Krył się za tym jakiś przekaz, w porównaniu z którym nawet gigantyczny kociokwik w istotnym stopniu tracił na znaczeniu. Colin wykonał w głowie jeszcze kilka arytmetycznych operacji.

– Hm, 2,1 miliona lat temu, 1,3 miliona lat temu, 640 000 lat temu... Można by pomyśleć, że nadchodzi pora kolejnej erupcji. Mam rację?

– Tego nie wie nikt – udzieliła odpowiedzi. – Ale nawet jeśli nadchodzi pora, może to oznaczać wybuch nie za sto tysięcy lat, lecz za dziesięć tysięcy lat. Choć wcale tak nie musi być. Jednak ludziom stąd oraz naukowcom w Berkeley nie podoba się wcale nagłe i zupełnie niespodziewane wypiętrzenie antykliny Coffee Pot Springs.

– Jak wyglądałaby taka erupcja – zapytał bez pośpiechu Colin – gdyby rzeczywiście do niej doszło? To znaczy, gdyby skala okazała się porównywalna z tą podczas największego wybuchu?

Zastanawiał się, czy z jej ust padną słowa, iż nie da się tego opisać. I tu czekało go zaskoczenie.

– Rozważmy dla przykładu stan Rhode Island. Rozsypmy lawę i popiół wokół jego granic. Następnie zrzućmy to wszystko z wysokości połowy mili – być może całej mili – na roztopioną skalną masę.

Przechyliła głowę na bok, oczekując, co on na to odpowie.

– Najlepsza rzecz, jaka mogłaby spotkać to zawszone miejsce – zaskoczył ją.

– Że co? – Spodziewała się każdej innej odpowiedzi, tylko nie takiej.

– Na moje nieszczęście stacjonowałem w Providence, kiedy służyłem w marynarce – wyjaśnił Colin. – Gdyby Ameryka potrzebowała kiedykolwiek lewatywy, należałoby wykonać ją właśnie tam.

– Och. – Kelly roześmiała się nerwowo. – Słyszałam to samo w odniesieniu do Buffalo i Syracuse.

– Tylko od ludzi, których noga nigdy nie stanęła w Providence – oznajmił Colin z niczym niezachwianą pewnością.

– Skoro pan tak twierdzi. – Kelly podjęła temat bez zbędnej zwłoki. – Wtedy całą powierzchnię pokryłby opadający popiół, jak za poprzednim razem. Zbrylone drobiny zostałyby wyniesione do stratosfery na wysokość rzędu od ponad trzydziestu paru do prawie pięćdziesięciu kilometrów i

spowodowałyby znaczące ograniczenie dopływu światła słonecznego. Na podstawie optymalnych szacunków...

– Hipotetycznych, chce pani powiedzieć – wtrącił Colin.

– Hipotetycznych. Ma pan rację. Nie mamy przecież możliwości określić tego eksperymentalnie. A zatem na podstawie optymalnych szacunków temperatura w skali globu obniżyłaby się o jakieś dziewięć w skali Fahrenheita, czyli pięć stopni w skali Celsjusza. Przez całe lata. Dziesięć? Dwadzieścia? Dwieście? Tego nie wie nikt.

Colin zastanowił się nad tym. Los Angeles z temperaturą niższą o pięć stopni upodobniłoby się do Portland lub Seattle – zrobiłoby się inaczej, ale całkiem znośnie. Ale przy spadku temperatury o pięć stopni w Seattle panowałyby warunki zbliżone do Anchorage. Brr! Z kolei Anchorage schłodzone o pięć stopni nie różniłoby się niczym od bieguna północnego. Podobnie zresztą jak Londyn, Sztokholm oraz Moskwa i wiele innych miejscowości. Biegun północny upodobniłby się do południowego. Biegun południowy zaś...

Nie chciał dalej zgłębiać kwestii, jakie warunki zapanowałyby na biegunie południowym.

– Początek nowej epoki lodowcowej? – zapytał.

– Jak można domniemywać, nie istnieje udokumentowany związek przyczynowo-skutkowy pomiędzy superwulkanami a zlodowaceniami – oświadczyła Kelly. – Ale z pewnością skutki byłyby raczej opłakane. Przed siedemdziesięcioma pięcioma tysiącami lat doszło do erupcji wulkanu Mount Toba w Indonezji. Obecnie jest to jezioro Toba – siła wybuchu przekroczyła nawet najsilniejszą erupcję tutaj. Badania genetyczne zaś wykazują, że w tym samym mniej więcej czasie gatunek Homo sapiens uległ niemal całkowitej zagładzie. Nasza populacja została drastycznie zredukowana do zaledwie paru tysięcy osobników. Z jakiego powodu?

Skrajnie trudne warunki atmosferyczne spowodowane wybuchem superwulkanu stanowią chyba najsensowniejszą odpowiedź.

– Cóż za szczęśliwy dzień. Ach, cóż za przeklęty dzień. – Colin o mały włos by się poślizgnął. – Będę w nocy śnił słodkie kolorowe sny.

– O ile wpłynie to na poprawę pańskiego nastroju, to przypominam, iż stoi pan pośrodku ostatniej wielkiej kaldery – podjęła radośnie Kelly. – Istnieje tu jeszcze jedna kaldera – mniejsza i uformowana później – ulokowana pod wodą w skupisku geotermalnym, West Thumb. W rejonie Yellowstone występuje mnogość małych kalder, trzeba tylko wiedzieć, gdzie ich wypatrywać.

– O rety! – wyrwało się Colinowi.

Wstrząs wtórny wprowadził w drgania drewniany pomost. Jakiś turysta, który dopiero co postawił na nim stopę, doszedł do przekonania, że gdzie indziej czekają na niego bez porównania ciekawsze atrakcje. Zawrócił na pięcie i ruszył pospiesznie w stronę parkingu.

– Nic wielkiego. – Z głosu Kelly przebijał teraz cień pogardy.

– To nawet nie cztery stopnie w skali Richtera.

– Nie. Dużo mniej – przyznał Colin.

Uświadomił sobie, że od mniej więcej jakichś piętnastu minut prowadził rozmowę z całkiem atrakcyjną kobietą, nie dał się przy tym zestrzelić i nie runął na ziemię w płomieniach. To także jedna z owych przyjemnych nowości, jakie ostatnio zaczął napotykać.

– Gdzie kwateruje ktoś, kto prowadzi badania na terenie parku Yellowstone? – zapytał.

– Na osiedlu pracowniczym w Lake Village, niedaleko Fishing Bridge, z którego nie można już łowić ryb – odparła Kelly. – Nie jest to wprawdzie standard więziennego lochu jak Black Hole of Calcutta, ale z drugiej strony

5-gwiazdkowy Ritz-Carlton także nie. W porównaniu z tym osiedlem domy akademickie prezentują się całkiem przyzwoicie.

– Ach! Przykro mi z tego powodu. – Colin przywołał w pamięci akademiki, w których mieszkali Rob i Marshall, zanim przeprowadzili się do mieszkań poza obszarem kampusu. (Vanessa dojeżdżała komunikacją miejską na zajęcia na uniwersytecie Long Beach State, zanim w końcu doszła do przekonania, że wie już wszystko i przerwała wyższą edukację w połowie pierwszego roku studiów. Od tamtej pory utrzymywała się samodzielnie – przynajmniej tyle musiał jej oddać.) Przypomniawszy sobie również, czym karmiono jego synów w studenckiej stołówce. – Mam przynajmniej nadzieję, że jedzenie jest bardziej znośne.

– Nie na tyle, żeby dało się to zauważyć. – Kelly wykrzywiła twarz w grymasie. – A jak się ma sprawa z panem? – chciała wiedzieć. – Gdzie pan kwateruje podczas bytności w tych okolicach?

– W Jackson – odpowiedział.

Dostrzegł jej zdziwienie. Jackson oferowało możliwości szybkiego pozbycia się gotówki, jeśli ktoś ma ku temu inklinacje, a wielu ludzie je ma. No co? Czyż nie wyglądam, jakbym właśnie zakończył kadencję jako ambasador przy ONZ? postawił sobie pytanie. Odpowiedzi również udzielił sam sobie. Wałkonisz się, wyglądasz, jakbyś dopiero co rozpoczął kurację w szpitalu dla alkoholików i psychicznie chorych. Nie był w aż tak podłej kondycji, przynajmniej nie po dawce kofeiny i tabletek przeciwbólowych. Sam mógł być dla siebie bardziej surowym sędzią niż ktokolwiek inny.

– Motel 6 – z zażenowanym uśmiechem dorzucił wyjaśnienie tak, by mogła usłyszeć.

– Och. W porządku. – Roześmiała się. – Zatem nie zamierza pan porwać mnie w ramiona, odjechać ze mną w siną dal połączonym mercedesem i sfinansować mi badania do końca moich dni?

– Nie, skoro pani już o tym wspomniała – odparł Colin. Jeśli nie oznaczało to zawołanego zaproszenia do flirtu, to chyba nigdy żadnego nie słyszał. (W przeciwnym razie, zostanie przez nią potraktowany równie niemilo, jak przez kelnerkę poprzedniej nocy.) – Jeśli przypadkiem ma pani jakiś numer telefonu albo adres e-maila... – kontynuował, dokładając przy tym wszelkich starań, by zabrzmiało to uprzejmie.

Odczekał chwilę, chcąc nabrać przekonania, czy nie wyszedł na durnia. Z kieszeni kurtki Kelly wyciągnęła wizytownik z imitacji skóry, wyjęła z niego wizytówkę i już zamierzała mu ją wręczyć.

– Chwileczkę – powiedziała. Czyżby się rozmyśliła? Skreśliła numer telefonu na wizytówce i zapisała inny. – To moja komórka. Numer wydrukowany na wizytówce to mój telefon służbowy do biura w Berkeley. Nie zawitam tam przed nadejściem jesieni, poza tym władze uczelni są odpowiedzialne za blokowanie wszelkich rozmów z telefonów stacjonarnych, by zaoszczędzić na kosztach. Budżet. – Nie wypowiedziała słowa na pięć liter, ale z pewnością w jej ustach zabrzmiało jak przekleństwo.

– Dzięki. – Rzadko kiedy bywał równie szczery, gdy chodziło o wymianę zdawkowych grzeczności. – I mogłaby pani pożyczyć mi na sekundę ten długopis? – Na swojej wizytówce nagryzmolił nie tylko numer telefonu komórkowego, ale także adres poczty elektronicznej. – Proszę. To moja komórka, a skrzynka e-mailowa nie przechodzi przez służbowy system policyjny.

– Dziękuję. – Popatrzyła na wizytówkę, zanim ją schowała. – Stwierdził pan tylko, że jest gliną, a tu proszę, porucznik.

Wzruszył ramionami.

– Wszystko to oznacza jedynie, że częściej paruję w garniturze niż w mundurze. Nie jeżdżę połączanym mercedesem. Ani nawet posrebrzanym.

– Och, oznacza to o wiele więcej. Dla przykładu, że spędza pan bardzo dużo czasu ciężko pracując – dodała Kelly cichym głosem. – Za jakiś czas, jeśli każde z nas dojdzie do wniosku, że to jednak nie najlepszy pomysł... – Nie dokończyła, zresztą nie musiała.

Colin chcąc jej pokazać, że nie musi kończyć, pospiesznie przytaknął.

– Bez żalu i bólu. Oczywiście – dodał od siebie.

Jeżeli on dojdzie do wniosku, że ona nie jest wystarczająco młoda czy dostatecznie szczupła czy diabli wiedzą, co jeszcze, po prostu nie napisze do niej ani nie zadzwoni. Jeśli to ona dojdzie do przekonania, że nie do twarzy jej z typem o ogorzałej twarzy albo, że Colin jest moczymordą, który dopiero wychodzi z nałogu, po prostu nie oddzwoni albo nie odpisze na e-mail od niego. Rozstaną się w białych rękawiczkach, w sposób cywilizowany.

W żadnym wypadku nie zamierzał unikać następnego kontaktu z nią. Przecież człowiek, który tonie, nie odepchnie ostatniej deski ratunku, którą dopiero schwycił. Mało prawdopodobne! Jak ona postąpi w takim przypadku... I znowu mógł jedynie czekać i obserwować. Jeśli ona dojdzie jednak do przekonania, że nie jest nazbyt dziwaczny, by się z nim zadawać, będzie mógł jedynie czekać i obserwować, jak im się układa i czy w ogóle im się układa.

– Powinien pan poznać temat bardziej dogłębnie, ja natomiast po trzęsieniu ziemi naprawdę muszę sprawdzić zapisy sejsmografu. Zyskałam o wiele więcej danych, niż oczekiwałam.

Kolejny niezbyt silny wstrząs wtórny wprowadził w drgania drewniany pomost, z emfazą podkreślając jej słowa.

Colin pragnął jedynie pokręcić się właśnie tutaj i poznać ją – najlepiej i najszybciej, jak tylko zdoła. Zorientował się wszakże, że ona wystawia go na próbę. Komunikat między wierszami był czytelny: Jeśli będziesz zbyt

natarczywy, wszystko schrzaniysz. Jeśli nie potrafi sobie z tym poradzić, nie zaliczy próby. Z pewnością.

– Miło było mi poznać panią – powiedział na koniec i ruszył w drogę.

Najpierw wjechał na przełęcz Dunraven Pass, do której musiał dotrzeć tak czy owak. Spoglądał na południe ku odległym o wiele, wiele mil (ponad trzydzieści, co sprawdził później) górskim masywom formującym przeciwległe zbocza kaldery (średniej wielkości kaldery, przypomniał sobie). Potem opuścił obszar parku, czego nie uczyniłby, gdyby nie rozmowa z Kelly Birnbaum.

Wjechał do miasteczka o nazwie West Yellowstone, potem szlak wiódł drogą krajową US 191 do zejścia z US 287, następnie tą ostatnią w kierunku zachodnim do Hebgen Lake i dalej do Quake Lake. Tamtejsze centrum turystyczne posadowiono wysoko na skalnym gruzowisku, które osunęło się w dół z drugiego brzegu rzeki Madison i stworzyło tamę po trzęsieniu ziemi w 1959 roku. Strażnicy leśni w centrum byli pod sporym wrażeniem, dowiedziawszy się, że ten temat w ogóle obił mu się o uszy. Superwulkan w żadnej mierze nie budził ich troski. Być może skala zagadnienia okazała się zbyt wielka, by się nim zamartwiać. Trwanie przy nadziei, że świat szczęśliwie przetrwa, wydawało się rozwiązaniem lepszym i bardziej pragmatycznym.

ROZDZIAŁ II

W Ellwood, niedaleko od mieszkania Marshalla Fergusona, postawiono pamiątkową tablicę. Można było z niej wyczytać, że w lutym 1942 roku japoński okręt podwodny wystrzelił dwadzieścia pięć pocisków w kierunku miejscowej rafinerii. Dziś nikt nie musiał lękać się okrętów podwodnych. Również rafineria odeszła w przeszłość już dawno.

Na przekór temu Marshall zamierzał pozostać w Ellwood tak długo, jak tylko zdoła. Studia wyższe na Uniwersytecie Kalifornijskim w Santa Barbara rozpoczął na kierunku inżynieryjnym, podobnie jak jego starszy brat. Rob dotrwał jednak do końca. Marshall przeniósł się na historię w połowie drugiego roku studiów. Analiza matematyczna okazała się bowiem zbyt wielkim wyzwaniem dla niego. W rezultacie otrzymał warunkową zgodę na kontynuowanie studiów, ze względu na słabe wyniki, chociaż zdołał uniknąć relegowania z uczelni.

Na kierunku historycznym nie zagrzezał miejsca zbyt długo. Najbardziej zajmowała go starożytna Grecja. Jednak studiowanie na poważnie historii antycznej Hellady wymagało znajomości klasycznej greki. Marshallowi natomiast języki obce wchodziły do głowy z jeszcze większymi oporami niż rachunek różniczkowy. Za wielkie szczęście poczytywał sobie czwórkę z hiszpańskiego na świadectwie końcowym Liceum Ogólnokształcącego w San Atanasio. Zresztą w ogólniaku na każdym kroku podawali człowiekowi pomocną dłoń. Gdy ktoś padł na twarz na uniwersytecie, uznawali, że to nie ich problem, lecz wyłącznie delikwenta.

Skończyło się więc na... sztuce filmowej.

– Nadajesz się tylko do tego rodzaju bredni – wyraziła wtedy opinię Vanessa, z ironiczną słodyczą w głosie.

– To kierunek bardzo, hm, kreatywny. Pozwala człowiekowi nawiązać głębszy kontakt z wewnętrznym ja, z własnymi uczuciami. To domena prawej strony mózgu... a może jednak lewej? – wyraziła opinię matka, kiedy przekazał jej nowinę.

Z pewnością poczułby się dużo różniej, gdyby traktował matkę z większą powagą. W jej przypadku jednakże nawiązanie głębszego kontaktu z wewnętrznym ja okazało się równoznaczne z odejściem od ojca. Marshall pozbierałby się zapewne z większą łatwością, gdyby matka, już po wszystkim, sprawiała wrażenie szczęśliwszej. Lecz ona wyglądała jedynie na zagubioną – nawet jeszcze bardziej niż zazwyczaj.

– Jeśli pomożesz nam nakręcić klipy wideo z utworami zespołu, dostaniesz sprawiedliwą działkę – zadeklarował któregoś razu Rob.

Wtedy jednak kapela Tryskająca Żaba i Ewoluuujące Kijanki przedła bardzo kiepsko, co oznaczało tyle, iż miała to być sprawiedliwa działka od zerowych przychodów. Nie musiał sięgać po analizę matematyczną, żeby zrozumieć, ile wynosi sprawiedliwa część od zera.

Jednak do zgryzot Marshalla w głównej mierze przyczyniał się ojciec. Z jednej strony nie tolerował narkotyków. Z drugiej natomiast, to on wypisywał czek. Spoglądał na młodszego syna wzrokiem, jakim zwykł patrzeć na kogoś, kogo zapuszkował za machlojki z piramidą finansową.

– Obiecałem ci, że będę cię wspierał do czasu, gdy zrobisz licencjat – oświadczył innym razem.

– Aha. – Marshall tylko przytaknął. Czasami im mniej powiedział, tym lepiej na tym wychodził. Gdy miał do czynienia z ojcem, każde wypowiedziane słowo mogło obrócić się przeciwko niemu.

– Nigdy bym nie pomyślał, że zdobycie dyplomu może pochłonąć dwanaście czy nawet piętnaście lat – kontynuował wątek ojciec, a z jego głosu przebijały złowieszcze tony.

– Tak, no cóż... – Marshall rozłożył bezradnie ramiona. To jednak nie wystarczyło.

Ojciec nie przestawał świdrować go wzrokiem, chcąc usłyszeć od niego pełne wyjaśnienie. Zapewne jest nieustępliwy w trakcie przesłuchań.

– Ja również nie zakładałem, że wszystko to potoczy się właśnie tak – usłyszał swój własny głos Marshall; w jego słowach tkwiło, tak czy inaczej... ziarno prawdy.

– Nie zamierzam wracać do raz danej obietnicy – burknął ojciec. – Będę dalej płacił rachunki... przez jakiś czas. Ale nie podoba mi się, że jeździsz po mnie, jak po starej kobyle, poza tym, zaczynam odczuwać zmęczenie ustawiczną zamianą kierunku studiów na nowy. Słyszysz mnie?

– Oczywiście, tato – odparł Marshall.

Wchodzenie w spór z ojcem uchodziło za przedsięwzięcie z góry skazane na niepowodzenie i to wcale nie dlatego, że ojciec wypisywał czeki. Colin Ferguson nigdy nie był nałogowym palaczem, lecz miał niski, chrypliwy głos, jaki sugerował dwie paczki dziennie wypalane od dobrych trzydziestu lat. Marshalla natomiast natura obdarzyła tenorem – gdzież mu tam było choćby do barytonu. Matka miała wysoki i piskliwy głos, on zresztą również. Mało kto traktuje na poważnie argumenty wypowiedziane piskliwym dyszkantem.

Nie chodziło też o to, że Marshall nie pracował czy też nie chciał pracować. Chwytał się dorywczych zajęć w sklepach spożywczych, fast foodach i rozmaitych punktach sprzedaży detalicznej. Takie prace w zupełności wystarczały na kieszonkowe, wydatki na benzynę i temu podobne. W żadnej jednak mierze nie zapewniały mu samodzielnego utrzymania, zwłaszcza w Santa Barbara. Obowiązywały tu jedne z najwyższych w całym kraju ceny nieruchomości, co przekładało się na równie drakońskie opłaty za wynajem mieszkania.

Nie miał bladego pojęcia, jak zwiąże koniec z końcem, kiedy w końcu obroni dyplom. Czy ktokolwiek zatrudniał ludzi po filmoznawstwie? A może, kiedy stuknie mu piąty krzyżyk, wciąż będzie nadszalał z za lady. Czy mam podać zestaw powiększony, proszę pani? Wcale nie tak wyobrażał sobie spełnienie amerykańskiego snu.

Dokładał zatem starań, by obronę dyplomu przesunąć w czasie, o ile tylko zdoła. Uniwersytet Kalifornijski w Santa Barbara okazał się uczelnią, która dobrze się do tego nadawała, a Goleta, gdzie uczelnia miała siedzibę, nawet jeszcze bardziej. Nie znał innego miasta, które sprawdzałoby się lepiej, jako imprezowa stolica USA. W gazecie studenckiej opisywano bankiet tygodnia – wstęp tylko dla osób powyżej dwudziestu jeden lat, zawsze zamieszczano w anonsie ten obłudny dopisek, pozwalający uniknąć wszelkiej odpowiedzialności. Jeden z wiosennych rytuałów polegał na paleniu kanap i wersalek, czyli publicznym pozbyciu się mebli zdezelowanych w stopniu, jakiego nie potrafiły dłużej znieść nawet studenckie tyłki. Straż pożarna w Goleta nie pochwałała tego rodzaju praktyk, ale tym nie zaprzętała sobie głowy nikt, poza miejscowymi strażakami.

Inny obyczaj nakazywał wyjazd do domu na całe lato lub przynajmniej parę letnich tygodni. W przypadku Marshalla wyjazd do domu oznaczał pobyt w murach, w których dorastał, w których wciąż mieszkał ojciec. Spotykał się, rzecz jasna, z matką, lecz nie mógł u niej zamieszkać. W mieszkaniu własnościowym, jakie dzieliła wspólnie z Teo Acostą, brakowało pokoju gościnnego, poza tym oboje dali mu jasno do zrozumienia, że nie życzyli sobie niczyjej gościny.

Marshall nie wiedział, jak ma podchodzić do rozstania rodziców. Czy jakiegokolwiek dziecko to wie? Ojciec poruszał ten temat ze skrajną powściągliwością. Kiedy musiał coś powiedzieć, zaciskał szczęki jeszcze

mocniej niż zwykle. Matka natomiast rozgadywała się z najbliższego powodu lub nawet bez żadnego. Jednak Marshall przekonał się na długo przed tym, zanim porzuciła ojca, że nie wszystkiemu, co padało z jej ust, należało dawać wiarę.

Kiedy tego lata po ostatnich egzaminach przyjechał do domu, zastał ojca pogrążonego w lekturze książki poświęconej geologii Parku Narodowego Yellowstone. Do pewnego stopnia wcale go to nie zaskoczyło. W końcu ojciec pojechał tam na urlop. Poczta, którą mu przysłał, przedstawiała formację geotermalną o nazwie Fishing Cone, a stempel pocztowy przystawiono w Old Faithful Station. Wyglądało to całkiem intrygująco. Lecz mimo to...

– Geologia? – Marshall wskazał na książkę, na okładce której widniało zdjęcie lotnicze jakiegoś stawu buchającego kłębam kolorowej pary.

– To interesujące, bez porównania bardziej interesujące niż sądziłem, zanim tam pojechałem – oświadczył ojciec. – A poza tym, przeczytałem już wszystko, co miałem do przeczytania na temat Dusiciela z South Bay. Żadna z tych publikacji nie posunęła sprawy naprzód, w przeciwnym razie zdołalibyśmy do tej pory schwytać tego sukinsyna. Ponadto... – przerwał na chwilę.

– Ponadto? – ponaglił Marshall.

– Nic.

Sposób, w jaki ojciec powiedział to, sugerował, że zdecydowanie coś ukrywał. Wprawdzie Marshall nie dysponował doświadczeniem w przesłuchiowaniu podejrzanych, lecz wcale tego nie potrzebował, żeby mieć w tym przypadku pewność.

– Przestań. Wyduś to z siebie – naciskał. – Do kogo miałbym pójść z nowiną? Do brukowej gazety? Programu Entertainment Tonight? Do „The Huffmngton Post”?

Ojciec gardził dziennikiem „The Huffmngton Post” i, mówiąc szczerze, również jego konkurentami po prawej stronie politycznej sceny. Marshall odniósł wrażenie, o ile słuch go nie mylił, że słyszy zdławiony, nerwowy chichot ojca.

– Mam nadzieję, że nie – podjął wątek ojciec.

– No więc? Gadaj!

– Poznałem, hm, kogoś.

Tak, ojciec był zdenerwowany, to pewne. Co jego zdaniem Marshall miał niby zrobić? Unurzać go w smołę, potem wytarzać w pierzu i na koniec wywieźć z miasta na taczce? Rzeczywiście powiadomić pismaków z „The Huffmngton Post”? Lub, co jeszcze gorsze, donieść matce? Wprawdzie matka od zawsze deklarowała, że pragnie uczynić ojca szczęśliwym, jednak w gruncie rzeczy tylko sporadycznie dawała wiarygodne świadectwo temu, co deklarowała.

– Odlotowo! Jak ją poznałeś? Co zamierzacie z tym zrobić? Czy ona mieszka w pobliżu?

Gdyby nie owe Odlotowo! umieszczone na przedzie, wszystkie te postawiane naraz pytania skłoniłyby ojca do zamknięcia ust na kłódkę.

– Poznaliśmy się w Yellowstone, gdy akurat doszło tam do trzęsienia ziemi – odpowiedział po chwili, potrzebnej na podjęcie decyzji, czy warto ciągnąć zwierzenia. – Ona bawi na zmianę tam lub w Berkeley. Rozmawialiśmy parę razy telefonicznie i wymieniliśmy kilka e-maili oraz SMS-ów. To wszystko na ten temat.

Wzruszył ramionami, jak gdyby przepraszając, że nie ma więcej do powiedzenia. Okazało się to jednak więcej, niż Marshall oczekiwał, nawet jeśli sprawy tak właśnie się przedstawiały.

– Odlotowo! – powtórzył. – A jak tam z geologią?

– Ona zgłębia tę dziedzinę – odparł ojciec, wprawiając syna w zaskoczenie. – Odczytywała wskazania sejsmografu, kiedy ziemia zaczęła drżeć. – Ponownie zachichotał. – Znalazła dużo więcej, niż szukała.

– Domyślam się – skomentował Marshall. – No więc zgłębiasz tę tematykę, ponieważ ona to robi?

– Być może do pewnego stopnia. – Ojca cechowała niepoprawna szczerłość... nawet w odniesieniu do samego siebie, na tyle, na ile każdego. – Ale wyszło na to, że to bardzo ciekawe rzeczy.

– Wszystkie te gejzery, gorące źródła i co tam jeszcze. Marshall zdawał sobie sprawę, że wstępuje na grząski grunt.

Nigdy nie zwiedzał Yellowstone, a cała jego wiedza na temat tego miejsca bazowała na zapamiętanym połowicznie filmie dokumentalnym stacji National Geographic. A może autorstwo należało przypisać dokumentaliście Kenowi Burnsowi? Jedno albo drugie.

– Tak. Wszystko to – przyznał oschle ojciec.

– Czy wciąż byś się tym zajmował, gdybyś nie zdobył tej wiedzy od...? – Marshall przerwał. – Nie powiedziałaś mi, jak ona ma na imię.

– Kelly – wyjął ojciec. – Wiesz co? Zajmowałbym się. Z całą pewnością. Nie pojmuję, jak można się tym nie interesować, gdy człowiek już wie, co tam się działo kiedyś i dzieje teraz.

Mówił z przekonaniem. Chociaż z faktu, iż brzmiał przekonująco, nie wynikało jeszcze, że był przekonany. A nawet, jeśli był przekonany, nie znaczyło to wcale, że miał rację.

– Kretyn! – wyrzuciła z siebie Vanessa Ferguson, wcale nie półgłosem. Kretynem, o którym mowa, był jej szef. W liście z propozycją oferty cenowej na promocyjne gadżety, produkowane przez jego firmę, Mr. Gorczyński napisał między pan i ja. Vanessa zachodziła w głowę, czy jest ostatnią osobą na Ziemi, która w obecnej dobie rzetelnie stosuje reguły

angielskiej gramatyki. Skorygowała błąd, wpisując między panem i mną, poprawiła jeszcze parę innych niezdarnych sformułowań i wydrukowała dokument gotowy do podpisu.

Pisał wprawdzie jak pawian, ale firma należała do niego. Mieszkał w Palos Verdes w posiadłości zajmującej grubo ponad pół hektara powierzchni. I rokrocznie kupował sobie nowe BMW. Vanessa pracowała na stanowisku technicznej korektorki, co sprowadzało się do tego, iż służyła za wynajętą klawiaturę. Stan jej posiadania z kolei ograniczał się do ciasnego mieszkanca z jedną sypialnią oraz ośmioletniej toyoty corolli z kiepskimi hamulcami. I gdzież tu sprawiedliwość, do diaska?

– Dziękuję, Vanesso. – Nick Gorczany spojrzął znad pisma, zanim jeszcze złożył na nim własny autograf.

Miał włosy koloru jasny blond, liczył około trzydziestu pięciu lat i przybierał na wadze. Wiedział wszystko o gadżetach promocyjnych i na tej podstawie ubrdał sobie, że wie wszystko o wszystkim. Wskazał na zwrot między panem i mną.

– Jesteś pewna, że tak jest dobrze?

– Tak, panie Gorczany – potwierdziła Vanessa.

Gdyby rozwalila mu głowę softballowym trofeum, jakie stało na jego biurku, zapewne trafiłaby na pierwsze strony gazet. Poza tym, kto stwierdził, że w tym pustym łbie tli się jakiś rozum?

– No nie wiem. Wygląda to dziwnie – oznajmił, marszcząc brwi.

– Zaimek, do którego odnosi się przyimek między wymaga użycia narzędnika – lub jeśli pan woli, dopełnienia w narzędniku. – Wystarczyłoby tylko, żeby schwyciła koszarne trofeum i...

– Jeżeli mi pan nie wierzy, proszę sprawdzić, co mówi poradnik gramatyczny w Wordzie.

Nigdy nie uwzględniała automatycznych porad programu Word, ale z pewnością moduł ten w zasadzie nie cechował się tępotą w stopniu, który pozwalał na popełnianie tak kretyńskich błędów, jakie robił Mr. Gorczahy.

– Być może ty to wiesz, ale założę się, że Don Walsh, adresat z firmy Consolidated, nie ma o tym pojęcia – obstawał przy swoim. – Zmień to z powrotem na pan i ja. Nie chcę, żeby pomyślał sobie, że jesteśmy zgrają prostaków.

– Ale taka forma jest błędna – oponowała bezradnie Vanessa.

– Skoro on nie wie, że ta forma jest błędna, to znaczy, że jego zdaniem nie zawiera błędu – przekonywał Nick Gorczany.

– Boże miłosierny, to po co właściwie ja zawracam sobie tym głowę? – Przewróciła oczami.

– Dość już tego, panno Ferguson. – Pan Gorczany mówił teraz ostro. Brzmiało to jak obcesowe warknięcie szefa, który przywoływał do szeregu pracownika na trzeciorzędym stanowisku. Czasami spoglądał na nią wzrokiem, jaki uznawała za lekko irytujący – nie na tyle, żeby zwrócić mu uwagę, nawet jak na nią, ale jednak irytujący. Sposób, w jaki wpatrywał się w nią teraz, wystraszył ją, gdyż przebijała z niego kategoryczna stanowczość.

– Zaczyna mnie zastanawiać, dlaczego w ciągu ostatnich paru lat pracowała pani w tak wielu różnych miejscach. Jeśli nie potrafi pani dogadywać się z ludźmi, może pani oczekiwać kłopotów. A teraz proszę skorygować to pismo.

Mówiąc dogadywać się z ludźmi, miał na myśli wykonywać polecenia. Niemal zachnęła się wobec tej tak rażącej niesprawiedliwości. Z ledwością też powstrzymała się od powiedzenia mu, żeby złożył sobie ten list w papierową figurę o ostrych rogach. A potem wsadził go sobie w odbył.

Górze wzięła jednak ekonomia i nie pozwoliła jej przeciągnąć struny ponad miarę, ujmując najogólniej.

Ile czasu upłynie, zanim trafi się jej następna robota, jeśli teraz zostanie wykopana z tej pracy? Więcej niż okres, na jaki starczy jej oszczędności? Gra nie warta świeczki.

Zadowolona się ostentacyjnym wymaszerowaniem z jego biura, z uniesioną wysoko głową i wyprostowanymi plecami. Wyraz jej twarzy sprawił, że informatyk, który wchodził z zamiarem pokazania mu kilku wydruków, wzdrygnął się. A dwoje pracowników pogrążonych w rozmowie przy ekspresie do kawy spoglądało na nią w osłupieniu. Tym jednak wcale się nie przejęła; tak czy owak, żadne z nich nie miało pojęcia, o co poszło.

Ponowna zamiana między panem i mną na między pan i ja zajęła jej zaledwie parę sekund, wydruk gotowego pisma kilka kolejnych. Poszłoby jej jeszcze szybciej, gdyby nie musiała wykonywać tych czynności zaślepiona oparami białej gorączki. Czyż naprawdę taki jest ten świat? Zdecydowanie jest właśnie taki! Człowiek radził sobie zdecydowanie lepiej, postępując jak uśmiechnięty głupekowo bezmózg, zamiast z uporem sumiennie wywiązywać się z powierzonych obowiązków.

Telefon się rozdzwonił. Gdy Vanessa sięgała po słuchawkę, przez, myśl przemknęło jej, jak bardzo kusząca wydawała się perspektywa, by wykrzyknąć Odpierdol się! i rzucić ją na widełki. Albo, naśladując Marshalla, odpowiedzieć Stadion Jankesów – druga baza i sprawić, by osioł po drugiej stronie rozłączył się, zбитy zupełnie z pantałyku.

Kusząca? Wielki Boże, jak bardzo kusząca! Ale nic z tego. Właśnie przypominała sobie, że potrzebny jej będzie czek z kolejną wypłatą.

– Gorczy Industries, Vanessa Ferguson przy telefonie. – Nawet jeśli mówiła głosem androida cierpiącego na lekkie zatwardzenie, Nick

Gorczy nie mógł wywalić jej za to z pracy.

– Cześć, kochanie. – Natura obdarzyła Hagopa Nersessyana władcym głosem pomrukującego lwa.

To pierwsza rzecz, jaka pociągnęła ją ku niemu. Szybko przekonała się, że jest ich o wiele więcej. W łóżku wyczyniał takie cuda, o jakich żaloszny i nieporadny Bryce nawet nie śnił. Zachodziła w głowę, jak cudem uwikłała się w związek z takim nieudacznikiem jak Bryce. To na początek. Zapewne w taki sam sposób, w jaki skończyła pracując tutaj, sformułowała wniosek. W czasie, kiedy się decydowała na związek z nim, wyglądało to jednak na dobry pomysł.

– Cześć – odpowiedziała, ale nawet głos Hagopa nie poprawił jej nastroju w stopniu, w jakim jej zdaniem, powinien podnieść ją na duchu.

– Spotkam się z tobą dziś wieczorem – oznajmił z przekonaniem. – Zamknę sklep wcześniej i spotkam się dzisiaj z tobą.

Zajmował się skupem i sprzedażą misternych perskich dywanów.

– No nie wiem – odparła Vanessa. – Mam dzisiaj urwanie głowy w pracy (co stanowiło ujęcie w formie oględnej) – i być może nie nadaję się wcale do towarzystwa.

– Spotkam się z tobą dziś wieczorem – powtórzył Hagop raz jeszcze.

Rozumiała ten przekaz: Hagop był napalony. Jego jurność podlegała określonej rytmice. Cóż, miał do tego prawo – liczył sobie o rok więcej niż jej ojciec. Bryce sprawiał wrażenie wiecznie podnieconego i oczekiwał od Vanessy, że będzie odczuwała to samo. Ona jednak nie chciała tylko i wyłącznie się pieprzyć; pragnęła, by ktoś ją pożądał i uwodził. Nic zatem dziwnego, że ich związek nie przetrwał, chociaż przez jakiś czas rozważała nawet wyjście za niego za mąż.

– No cóż... Okej – Nie czuła się komfortowo, ustępując. Nigdy zresztą tak nie było. Kiedyś to sobie wyrówna, tak czy inaczej. Teraz śpieszyła się.

– Posłuchaj, nie mogę dłużej rozmawiać. Muszę zanieść pismo panu Gorczany’emu.

– Zatem do wieczora – zakończył Hagop.

Miał oczywiście na myśli, że spotkają się po kolacji. Nie proponował jej wyjścia do restauracji. Wyglądał wprawdzie na człowieka całkiem majątnego, lecz bardzo niechętnie rozstawał się z gotówką. Zachodziła w głowę, czy miał żonę. To tłumaczyłoby, dlaczego nie chciał, żeby widziano go z nią w miejscach publicznych. Na dobrą sprawę nie miała nic przeciw odgrywaniu roli kochanki, ale pragnęła wiedzieć, czy rzeczywiście nią była. Odrobina surfowania po Internecie dała jej przekonanie, że jednak nie. Hagop po prostu nie lubił szastać forszą.

Czekała na zewnątrz biura pana Gorczany’ego, aż skończy rozmawiać, bez zrozumienia rzecz jasna, z informatykiem. Następnie zaniósła pismo i położyła na jego biurku.

– Proszę, napisane tak, jak pan sobie życzył. – Jej słowa mogłyby być wykute z lodu.

Przejrzał dokument, chcąc wykluczyć poza wszelką wątpliwość, że Vanessa co innego mówiła, a co innego robiła. Miała nawet taki zamiar, ale doszła do wniosku, że nie ujdzie jej to na sucho – i dobrze, że coś ją tknęło. Złożył podpis na dole dokumentu, skinąwszy głową.

– Proszę to zanieść na pocztę. Chcę mieć pewność, że przybiją stempel pocztowy z datą dzisiejszą. Mogliśmy zająć się tym dużo wcześniej, gdyby nie pani niepotrzebne wygłupy.

Miała wyjść o w pół do piątej – Cyfrowy zegar na jego biurku pokazywał dokładnie nie 4:27. Dojście i odstanie swojego w kolejce mogło potrwać od dziesięciu minut do pół godziny, zależnie od stopnia umysłowego otępienia urzędników przebrzydłej poczty. On zaś czekał na nią, żeby znowu zrzędzić z tego powodu – już to widziała.

– W porządku – ograniczyła się tylko do rzucenia przez zaciśnięte zęby i wzięła pismo czubkami palców, jakby cuchnęło gnojem. Gdyby zapytać ją o zdanie, dokument cuchnął o wiele gorzej.

Ogonek na poczcie był długi i przesuwiał się powoli. Gdy tylko Vanessa dojrzała zapasioną blondynkę w jednym z dwóch czynnych okienek, wiedziała, że łatwo nie będzie. Babol nie potrafił zliczyć palców jednej ręki i nawet za drugim razem uzyskiwał ten sam wynik. Personel poczty rozmawiał o przekazywaniu frustracji i żalów swoim przełożonym – a co z klientami, którzy zapuszczali tu korzenie bez końca czekając na swoją kolej?

Wzięła pokwitowanie, oddawszy list do okienka. I wcale nie miała zamiaru uiszczać opłaty pocztowej za Gorczany Industries. Potem z powrotem do samochodu i dalej do jej mieszkania. Wyjęła korespondencję ze skrzynki – jakieś śmieci i rachunek za telewizję kablową. Kot przywitał ją nad wyraz serdecznie i wylewnie, kiedy weszła do środka. Pickles zawsze tak ją witał. Dzień spędzony we wnętrzu, w którym nie miał nic do oglądania poza dwoma akwariami, nie mógł być specjalnie ekscytujący. Vanessa pogłaskała rudego pręgowanego kota po spasionym brzuchu i nastroszyła palcami jego futro. Następnie wyfasowała mu kilka kocich frykasów. Kot, zaspokoiwszy głód, przestał zwracać na nią uwagę. Wykonała swoje obowiązki, w rezultacie czego stała się zbędna do następnego razu, kiedy zwierzak znów odczuje jakąś potrzebę.

Koty cechowała większa szczerłość niż ludzi.

Vanessa odgrzała w kuchence mikrofalowej gotowe mrożone danie marki Jenny Craig. Okazało się... lepsze niż chodzenie na głodniaka, tak czy owak. Na deser poprawiła jogurtem. Hagop wolałby ją nieco pulchniejszą, niż była w realu. Gdyby przyszło jej do głowy, że będzie z nim dłużej...

Zastanowiła się, dlaczego jednak jej nie przyszło. Bez względu na powód postanowiła dochować wierności daniom Jenny Craig.

Wrzuciła do zlewu stołowe srebra. Mieszkania nie wyposażono w zmywarkę do naczyń. Zmywała naczynia, kiedy zaczynały brzydko pachnieć albo gdy kończył się zapas czystych. Nawyk ten bulwersował jej ojca, ale w końcu to nie jego sprawa.

Rozległ się brzęczyk domofonu. To Hagop, który czekał, aż ona przepuści go przez system zapewniający bezpieczeństwo budynku. Tak też zrobiła. Kilka sekund później usłyszała odgłosy jego butów na schodach prowadzących na drugie piętro. Musiała upomnieć samą siebie, że powinna zrobić zadowoloną minę na jego widok.

Spokane nie należało do wielkich miast. Leżało jednak na terenie stanu Washington i roilo się w nim od małych klubów. Ten konkretny istniał już od wielu lat. Nazwa lokalu – Harvey Wallbanger – również przeszła próbę czasu. W miarę jego upływu wiele rzeczy nabierało stylowych walorów, lecz nie drinki z domieszką likieru Galliano. Co się tyczy nazwy Wallbanger [z ang. wall bang – walić w ścianę, przyp. tł.], to w opinii Roba Fergusona czynność ta bardzo szkodziła śrubokrętom w idealnie dobrym stanie.

Kapela Tryskająca Żaba i Ewoluuujące Kijanki koncertowała już w tym miejscu przed rokiem. Rob i koledzy z zespołu z zadowoleniem przyjechali tu ponownie. Goście od oświetlenia i dźwięku – facet od świateł był w rzeczywistości dziewczyną – znali się na rzeczy. Kierownictwo klubu również, z zasady, nie mieszało się do występu na scenie, co czyniło wielu błaznów prowadzących inne kluby. Poza tym publika reagowała żywo i czerpała radość z koncertowego show. Zresztą tak samo, jak przed rokiem.

Co oznaczało... że na widowni zasiedli tacy sami dziwacy, jak ci, którzy występowali na scenie. Jeśli nie przyszli tu dla nich, to dla talerza spaghetti

z klopsikami. Lub czegoś innego.

Rob odwrócił się do Justina Nachmana, który byłby Tryskającą Żabą, gdyby zespół powstał w takim składzie. Justin grał na gitarze prowadzącej, śpiewał większość kawałków i cieszył się taką samą sławą, jaką mogli pochwalić się pozostali członkowie zespołu niemal całkowicie nieznanego.

– Jak nazwałbyś ten rodzaj muzy, którą gramy? – zapytał.

– Nie mam pojęcia – odpowiedział niefrasobliwie Justin. – Nie nadaję jej żadnych etykiet. Po prostu ją gram. O ile nie zabierzesz mnie na późną kolację, możesz nazywać ją, jak tylko zechcesz.

Wyrażał tę opinię na serio lub prawie na poważnie. Nikt z członków zespołu nie przekroczył jeszcze trzydziestki, ale Justin dorobił się już sporego bandziocha.

Rzecz jasna, próbowali podchodzić do tego tematu już wcześniej. Na dobrą sprawę wałkowali go od czasu, kiedy kapela się uformowała – Justin używał słowa okrzepła – w Santa Barbara. Rob i Charlie Storer, perkusista, podchodzili do tematu analitycznie. Justin i Biff Thorvald, który grał na gitarze rytmicznej, nie naciskali na podejmowanie tego zagadnienia. Robili to, co robili, żywiąc przy tym nadzieję, iż robią to na tyle dobrze, żeby nie musieli rozglądać się za jakąś uczciwą pracą.

– Przypuszczalnie mieścimy się gdzieś między Frankiem Zappą a Alem Stewartem – zasugerował Charlie.

Twierdził tak już wcześniej. Argumenty przyływały i odpływały jak fale pływu, z niemal taką regularnością. Rob westchnął.

– Cóż jest błędnego w tej hipotezie? – zapytał, stawiając pytanie retoryczne, o ile takowe w ogóle istniało. Odpowiedział również sam sobie. – Po pierwsze, większość ludzi, którzy słuchają nas, nigdy nie słyszała Franka Zappy bądź Ala Stewarta.

– Uważam, że zdziwilibyście się – obstawał przy swoim Charlie. – Al Stewart wciąż koncertuje w miejscach takich jak to. Zappa też występowałby, idę o zakład, jednak ma z tym pewne problemy, odkąd przeniósł się na łono Abrahama.

– Być może w niewielkim stopniu przyznał Rob tonem, który przejął po swoim ojcu. Pod pewnymi względami byli jak ogień i woda i za każdym razem, kiedy się spotykali, wrzało między nimi. Pod innymi natomiast – o większości z nich Rob nigdy nawet nie pomyślał – byli niemal jak dwie krople wody.

– To właśnie powiedziałem. – Czupryna brązowych kręconych włosów Charliego, zrobionych na trwałą, wyglądała tak, jakby wsadził palec do gniazdko pod napięciem 220 V. Włosy zafalowały, kiedy skinął głową, z czego nie zdawał sobie sprawy.

– Tak, tak. – Rob nie zamierzał odchodzić od tematu, co również stanowiło cechę, jaką przejął po Colinie gliniarzu, nawet tego nie zauważając. – I druga sprawa, o której zamierzałem powiedzieć: moim zdaniem nie istnieje żadne miejsce między Alem Stewartem a Zappą.

– Oczywiście, że istnieje – obstawał przy swoim Charlie. – Obaj napisali interesujące, zwariowane teksty. Z tym, że po jakimś czasie Zappa przestał się troszczyć o to, czy wciąż brzmi jak rockandrollowiec, natomiast Alowi Stewartowi ciągle na tym zależy. Oczywiście o tyle, o ile taki rockandrollowiec jak ty może mieć rockowe brzmienie, grając po prostu na paru gitarach akustycznych.

Rob zastanowił się nad tym. Charlie sięgnął po jeden z nietypowych dla siebie argumentów.

– Przestańcie, chłopaki – odezwał się Biff, wszedłszy mu w paradę, zanim zdążył na to zareagować. – Dajcie sobie z tym spokój, okej? Sprawdźmy, jak działa nagłośnienie, a potem ruszajmy do tej garkuchni

obok. Jeśli będziemy się tu dłużej opieprzać, to moje kiszki zagrają marsza głośniej niż moja gitara.

Tak zwana garkuchnia obok okazała się wyśmienitą wietnamską knajpką. Rob wspominał ją bardzo ciepło po ostatnim ich pobycie w Spokane przed rokiem. Lepszej pho, zupy z makaronem ryżowym, nie podają nawet w restauracji Mały Sajgon w Santa Ana. A jedynym miejscem, gdzie można dostać lepsze wietnamskie dania niż te serwowane w Santa Ana, jest Ho Chi Minh (miasto, które było Sajgonem i przypuszczalnie znowu będzie nosić nazwę Sajgon w najbliższych latach).

W zakamarkach głowy zaświtała mu myśl.

– Być może da się coś zrobić z miejscami, które mają więcej niż jedną nazwę. Carycyn, Stalingrad, Wołgograd, Sankt Petersburg, Piotrogród, Leningrad i ponownie Sankt Petersburg.

– Pisaliśmy już piosenki o Rosji – nadmienił Justin.

– Nie chodzi tylko o Rosję. Sajgon to Ho Chi Minh – myślałem właśnie o tym – a Konstantynopol to dzisiejszy Sztambuł.

I czy należy wymawiać Strasburg czy Strasbourg? – Rob usiłował wymówić to pierwsze z dwóch ostatnich po niemiecku, gardłowo, drugie natomiast nosowo, po francusku.

Marsowa mina Justina ostrzegła go, iż nie jest najzdolniejszym lingwistą amatorem do wynajęcia.

– Dobrze – ustąpił w końcu gitarzysta prowadzący: – Zapisz to i zobaczymy, co się da z tym zrobić.

Większość zespołów zaczynała od melodii, a potem dobierała pasujące do niej słowa. Inaczej rzecz się miała z kapelą Tryskająca Żaba i Ewoluuujące Kijanki. W ich przypadku słowa pojawiały się z reguły pierwsze. To z pewnością jeszcze jeden powód, dla którego długo jeszcze miało im nie być dane zrobienie wielkiej kasy.

– Al Stewart napisał już piosenkę o Konstantynopolu – zauważył Charlie.
– A zespół They Might Be Giants popełnił utwór Sambuł (nie Konstantynopol). Czy świat naprawdę potrzebuje trzech?

– To nie byłaby piosenka w tym samym gatunku, co tamte – oznajmił Rob. – Daj mi odsapnąć, człowieku. Doctor Seuss także posłużył się Konstantynopolem.

– Widzicie? Wszyscy to robią. – Charlie nie zamierzał ustąpić choćby na jotę.

– Dość tego, ludzie. – Tym razem głos Biffa zabrzmiał bardziej stanowczo. Uderzył w struny gitary, by podkreślić ważność tej sugestii.

Przystąpili do strojenia instrumentów. Dwa dni wcześniej występowali w Pasco, a przed czterema dniami dali koncerty w Portland. Byli razem w drodze od zawsze – przynajmniej tak to odbierali, w każdym razie. Nie potrzebowali dużo czasu na przygotowanie się do tego, co ich czeka tego dnia wieczorem. Potem nadeszła pora na przenosiny do knajpki obok.

– Fee, fie, pho, fum – rzekł rozradowany Rob, cytując linijkę z bajki rymowanki Jaś i magiczna Fasola. Nawet Charlie poparł go w tej kwestii.

Pho to zapewne najlepsza tradycyjna i zarazem lekko strawna zupa z makaronem, jaką znał świat, lepsza nawet niż zupa z kurczaka. Można było włożyć do niej niemal wszystko. Rob cenił najwyżej ścięgna wołowe. Zanim zaczął zajadać się pho, nie potrafił wyobrazić sobie, że ścięgna wołowe można gotować tak długo, aż same będą rozpuszczać się w ustach. I nie wyobrażał sobie też, że po takim gotowaniu przeistaczają się w niebo w gębie.

Jeden i ten sam żółtek drobnej postury wcielił się zarazem w kelnera, kucharza i właściciela. Miał szpakowate włosy i nosił rzadkie, rozwichrzone wąsy. Angielskim włą dał całkiem nieźle, ale nikt nigdy nie mógł dojść do błędnego wniosku, że to jego mowa ojczysta. Czy opuścił

Sajgon, zanim miasto przemianowano na Ho Chi Minh? Rob wcale by nie był tym zdziwiony.

– Niewielu Amerykanów gustuje w tej potrawie – oznajmił. – Mam na myśli tych Amerykanów, którzy otwierają szeroko oczy ze zdziwienia. Gdy tylko dostrzegą tę pozycję w menu, od razu grymaszą.

Kiedy zrobił kwaśną minę, na jego obliczu pojawiło się jeszcze więcej zmarszczek niż wtedy, gdy jego twarz emanowała spokojem ducha.

– W takim razie nigdy wcześniej jej nie spróbowali – skomentował Rob. Zostawił wielki napiwek, chociaż knajpka oferowała tak niskie ceny, że siłą rzeczy był to wielki napiwek od małego rachunku.

Wrócili do garderoby i puścili w kółko parę jointów. Rob nie potrafił wprawdzie udowodnić, czy zażywanie zioła sprawiało, że grał lepiej, ale z pewnością tak uważał. Tryby czasu spowalniały bieg, kiedy się naćpał. Odnosił wrażenie, że między nutami jest dużo więcej czasu, zatem miał go aż w nadmiarze, by precyzyjnie grać nutę po nucie. I mógł wtedy dosłyszeć – omalże dostrzec – jak tony o wiele bardziej harmonijnie ze sobą współbrzmiały, niż kiedy grał bez dymka marychy. Wszystko brzmiało lepiej, kiedy człowiek był na haju.

Justin wyszedł na korytarz i sprawdził, co dzieje się na widowni. Kilka okrzyków na sali potwierdziło, że ludzie dostrzegli, jak to robi. Wrócił z promiennym uśmiechem na puciołowatej twarzy.

– Zarobimy dość kasy, żeby dojechać na następny koncert – zrelacjonował.

Taki stan trwał od dobrych kilku lat. W opinii Roba sytuacja ta i tak biła na głowę robotę na dniówki.

Przed ich wyjściem miejscowa kapela zagrała parę kawałków. Chłopaki stąd zebrali oklaski, na jakie może liczyć zespół otwierający występ jako

suport. Rob pamiętał czasy, kiedy to jego tak oklaskiwano i przypominał sobie, jak to łądowało w nim akumulatory. Dzisiaj...

– Oto wreszcie oni... – wykrzyknął facet obdarzony tubalnym barytonem.
– Zespół, na który czekacie. Pokażcie, jakimi gromkimi owacjami Spokane wita zespół... Tryskająca Żaba i Ewoluuujące Kijanki!

I, do diabła, publika przywitała ich, jak należy. Owacje działały także jak narkotyk. Każdy, kto uważa inaczej, nigdy nie poznał smaku tego upojenia. To jeden z powodów, dla którego Rob przyjechał tu i pomachał rękoma w stronę ludzi zgromadzonych po drugiej stronie, światła na widowni. Pozostałe dwa powody były stare jak świat, ale wciąż go jarały: pragnął wkurzyć swego starego (z pewnością osiągał ten cel) oraz rznąć się aż do utraty tchu (choć to wcale nie takie łatwe przy stosunku przerywanym, ale Rob nigdy nie słyszał, by któraś zgłaszała pretensje).

Występ rozpoczęli od utworu Przyjemności [„Pleasures”], również dlatego, że chcieli jakoś zintegrować ludzi, którzy słyszeli ich po raz pierwszy. Na widowni zawsze dało się znaleźć paru nowicjuszy. Warto wzbudzić w nich przekonanie, że słuchają typowego rock and rolla, przynajmniej przez krótką chwilę, czemu nie? Chciałbym kochać się z tobą, Chciałbym wskazać ci drogę, Uczyniłbym wszystko, co w mocy mej By rozkoszy niebiańskiej zaznało ciało twe.

Justin śpiewał. Rob uderzał struny gitary i znajdował akordy bez udziału świadomej myśli. Dobry kawałek, właściwy na ten moment, również. Tak, odnosił wrażenie, iż stał się władcą czasu w skali globu. Wiedział, że tak nie jest, ale taką właśnie miał wizję, więc liczyło się tylko i wyłącznie to.

Gdy piosenka dobiegła końca, rozległy się kolejne owacje. Ktoś w pierwszym rzędzie trysnął w Justina z gadżetu o takiej samej nazwie jak zespół: plastikowej żaby tryskawki wyprodukowanej w Chinach na zlecenie firmy Archie McPhee.

– Nie wierzę w ewolucję! – wykrzyknął ktoś inny.

– No cóż, skoro przyszlście na koncert zespołu Tryskająca Żaba i Stworzone Kijanki, może powinniście ucześcić się go – odpowiedział na luzie Justin. Posługiwał się słowami sprawnie i elokwentnie. Roześmiał się i kontynuował zapowiedź, choć głosy na sali jeszcze nie ucichły. – Jeśli nie spodobał wam się poprzedni kawałek, to z całą pewnością nie będziecie w stanie zdzierżyć następnego.

– Przeszli z werwą do utworu Skokowa równowaga [„Punctuated Equilibrium”]. Nie każdy potrafił stworzyć piosenkę, czerpiąc wenę z napaści Stephena Jaya Goulda na klasyczny darwinizm, ale Justin Nachman to przecież nie każdy. Marnował swoje magisterium z biologii nawet bardziej skrupulatnie i doszczętnie, niż Rob roztrwaniał dyplom inżyniera. No cóż, z grania czerpali prawdziwą frajdę... i to jaką?

Nie inaczej było tego wieczoru. Dwa razy wywoływano ich do bisów. Następnie sprzedawali płyty CD i podpisywali je na prośbę tych, w przekonaniu których autografy potwierdzały rzeczywistość. Wcześniej umieścili na swojej internetowej witrynie nowy singiel. Robili też wszystkie inne niezbędne rzeczy, które oddzielały muzykę jako biznes od muzyki jako rozrywki.

Potem wrócili do motelu, niekoniecznie w pojedynkę. Krótki sen lub drzemka przydałyby im się bardzo. Następnego wieczoru mieli dać koncert w mieście Missoula, w Montanie. Jeszcze jedna daleka trasa, jeszcze jeden uniwersytecki kampus. Przy odrobinie szczęścia, jeszcze jedna pełna widownia. I jeszcze jeden czek z honorarium. Czasami takie koncertowanie do zrzygania przypominało ciężką przyziemną harówkę. Ale tylko czasami.

Colin Ferguson gromadził notatki na temat rzeczy, o których przeczytał. Przekonał się, że pomaga mu to w lepszym ich zapamiętywaniu. Często

gęsto zapiski te przeznaczone były wyłącznie dla jego oczu. Jeśli nie kryły się w nich jakieś bulwersujące informacje, każdy mógł je przeczytać.

Gliniarze są wścibscy w stopniu nie mniejszym niż inni ludzie. Na dobrą sprawę są nawet bardziej wścibscy niż reszta bliźnich: gdyby tacy nie byli, stanowiliby lichego materiału na stróżów prawa. Stąd też Colina nie zaskoczyło szczególnie, kiedy sierżant Gabriel Sanchez, najwyraźniej zaciekawiony, wskazał na kartkę papieru na jego biurku.

– Kim, do diabła, jest Huckleberry Tuff?

– Nie kim, Gabe. Czym? – sprostował Colin.

– Ach, tak? – zdziwił się Sanchez.

Nosił krzaczaste czarne wąsy, które dopiero miejscami zaczynały siwieć i bokobrody dłuższe o półtora centymetra niż zezwalał na to regulamin komendy policji w San Atanasio, w odniesieniu do wyglądu i ubioru, obowiązujący wszystkich funkcjonariuszy poza działającymi pod przykrywką w wydziale ds. narkotyków. Sięgnął do kieszonki na piersiach po paczkę cameli.

– Pięknie, kurwa, pięknie – skomentował Colin.

Komisariat policji w San Atanasio wprowadził rok wcześniej całkowity zakaz palenia. Ojciec Colina zmarł na raka płuc, zżerany przez nowotwór centymetr po centymetrze. On sam miał sporo złych nawyków, a nawet dużo więcej, jednak palenie papierosów nie należało do nich.

– Ach, pierdolić to – odparł Sanchez całkowicie niewzruszony. – Wyjdę na zewnątrz puścić dymka, kiedy wycisnę z ciebie, co trzeba. Okej, czym jest Huckelberry Tuff? Brzmi jak nazwisko członka ulicznego gangu, który czytał Marka Twaina.

Colin nie powstrzymał się od chichotu.

– Rzeczywiście tak to brzmi, co nie? Ale w rzeczywistości chodzi o pokłady tufu, skały wulkanicznej, pozostawione przez superwulkan

usytuowany pod parkiem Yellowstone, kiedy ten eksplodował przed dwoma milionami lat z niewielkim okładem. Tufy te są rozległe, to znaczy bardzo rozległe, rozciągają się na obszarze stanów Wyoming, Montana i Idaho.

– W porządku... – Sierżant Sanchez spodziewał się wszystkiego, ale z pewnością nie tego. – I możesz mi łaskawie wyjaśnić, dlaczego w ogóle zawracasz sobie dupę tym super-jak-go-tam-zwał?

Normalnie byłoby to najzupełniej rozsądne pytanie. Jednak w zaistniałej sytuacji Colin znalazł rozsądną odpowiedź.

– Zająłem się zgłębianiem tematyki związanej z superwulkanem ze względu na tę dziewczynę. O ile pamiętam, nazwałeś ją geolożką.

– No, mam cię. – Na palcu serdecznej dłoni Sancheza o dość śniadej skórze widniał jaśniejszy krąg, który stanowił świadectwo niedawnego rozpadu szczęśliwego małżeńskiego stadła. Ostrzeżenie – praca w policji może stanowić zagrożenie dla małżeńskich par. Nikt nie sporządza takich nalepek ostrzegawczych, a przecież powinni. Sierżant łypnął na niego i roześmiał się lubieżnie.

– Geolożką, hę? Chyba że dobiera się do twoich twardych jak skała męskich formacji...

– Ha, ha, ha, ha. – Colin słyszał już wcześniej ten komentarz, niemal od każdego gliny, który miał choć blade pojęcie, kim jest geolog. Zanim zdołał to powiedzieć, zadzwonił telefon. Podniósł słuchawkę. – Ferguson. – Słuchał przez chwilę, potem jakby zapadł się głębiej w fotel. – Cholera – rzekł ciężkim głosem. – Są co do tego pewni? Gdzie to jest?

Zapisał adres na kartce, na której widniały słowa Huckelberry Tuff, następnie z impetem rzucił słuchawkę na widełki.

Być może Gabe Sanchez nie wymyślał oryginalnych kawałów, ale z pewnością potrafił czytać między wierszami.

– Jeszcze jedna ofiara Dusiciela? – zapytał.

– Na to wygląda. Mildred Szymański, siedemdziesiąt siedem lat, znaleziona martwa w swoim mieszkaniu. Od trzech dni nikt jej nie widział, nie odpowiadała też na pukanie do drzwi, w końcu sąsiedzi zadzwonili do nas. W sypialni panuje bałagan – wygląda na to, że stawiała opór. Jest naga od pasa w dół.

– Jezu Chryste! – Sanchez ponownie sięgnął po papierosy. Colin nie powiedziałby złego słowa, gdyby teraz jednego zapalił. Ale sierżant tylko cofnął rękę gwałtownym ruchem. – Mildred. Nikt już dzisiaj nie nosi imienia Mildred. Kto, do chuja pana, dobrze się bawi gwałcąc filigranowe starsze panie?

– Ten facet właśnie – odparł Colin. – Mieszkanie znajduje się w jednym z apartamentowców u zbiegu San Atanasio Boulevard i Sword Beach Avenue. Chcesz pojechać ze mną?

– Jasne. Możemy, kurwa, pójść tam na piechotę – podsunął Sanchez.

Colin przytaknął. Miejsce zbrodni było oddalone o kilka zaledwie przecznic od komisariatu.

Gdy tylko wyszli na zewnątrz, Sanchez zapalił camela. Zaciągał się szybko i z furią; zgasił papierosa wypalonego zaledwie w połowie, kiedy wsiadali do nieoznakowanego go policyjnego samochodu: wóz marki Plymouth najlepsze lata miał już za sobą. Ciężko sapiąc, auto obudziło się do życia, gdy Colin przekręcił kluczyk w stacyjce.

Apartamenty Słoneczna Bryza najlepsze lata również miały za sobą. Przypuszczalnie mieszkało się tu ekskluzywnie, kiedy wzniesiono je w latach siedemdziesiątych w okresie budowlanego boomu. Teraz wyglądały bardziej jak Apartamenty Wypłowiła Słoneczna Bryza. Liczne solidne wzmocnienia, dodawane w miarę, jak sprawy ulegały pogorszeniu, zabezpieczały wejście i bramę prowadzącą do wielokondygnacyjnego podziemnego parkingu. Dwa czarno-białe radiowozy, z włączonymi

czerwono-niebieskimi kogutami, stały już przed frontem budynku w strefie zakazu parkowania.

Colin zajechał od tyłu jednego z policyjnych radiowozów. Umundurowany funkcjonariusz najpierw zaczął machać rękoma, chcąc odesłać plymoutha z powrotem za ogrodzenie, potem go rozpoznał. Policjant uśmiechnął się zakłopotany.

– Przepraszam za nieporozumienie, panie poruczniku – odezwał się.

– Nie ma sprawy, Malcolm – uspokoił go Colin, gdy z Gabe'em Sanchezem wysiedli.

Kiedy reporterzy mówili obecnie na temat San Atanasio, padało określenie „klasa pracująca” w odniesieniu do mieszkańców.

Oznaczało to, że ludzie kręcący się po sklepach, bez zamiaru kupowania czegokolwiek, porozumiewali się głównie po hiszpańsku. Niektórzy dogadywali się w języku tagalskim, rdzennym na Filipinach, inni z kolei mówili po koreańsku. Z rzadka dało się słyszeć angielski. Ludzie posługujący się angielszczyzną, jako mową ojczystą, osiągnęli w przybliżeniu wiek Mildred Szymański. Mieszkali tu od bardzo długiego czasu i nie pozwolili, by wszelkie zmiany dokonujące się w mieście przegnały ich do takich miejscowości, jak Torrance czy Redondo Beach.

Przyjechała karetka, a zaraz za nią samochód koronera. Z auta wysiedli doktor Ishikawa i fotograf. Faceci w karetce nawet nie ruszyli się z siedzeń. Nie będą mogli zabrać ciała do czasu, kiedy policja i koroner nie zakończą swojej roboty. Ishikawa przywitał go gestem.

– Jeszcze jedna? – wykrzyknął szorstkim, skrzypiącym głosem.

– Nie zaglądałem jeszcze do środka – odpowiedział porucznik. – Ja również przyjechałem dopiero przed chwilą. Ale z telefonicznego powiadomienia wynika, że chyba tak.

Wysoki, wychudzony, łysy mężczyzna z kłaczkami białych włosów wystającymi z uszu, podszedł ciężkim krokiem do Colina.

– Niech pan złapie sukinsyna, który to zrobił, słyszy pan? – wydusił z siebie.

– Uczynię, co w mojej mocy, proszę pana – obiecał Colin. Cóż innego mógł powiedzieć. Wozy transmisyjne stacji telewizyjnych zaczęły rozglądać się w poszukiwaniu miejsca, gdzie mogłyby zaparkować. – Trzymaj tych kłownów z daleka – zawołał jeszcze do Malcolma.

Ruszył pospiesznie w stronę apartamentowca; Gabe Sanchez deptał mu po piętach. Nie cierpiał scen gwałtownej śmierci. Z drugiej strony nie znośił również współpracować z wypacykowanymi sępami, które obżerały się świeżą padliną. Potrafił też mówić prawdę bez owijania w bawełnę, w rezultacie czego nie zaskarbiał sobie sympatii ani reporterów, ani przełożonych.

Rzut oka na skrzynki pocztowe z nazwiskami lokatorów pozwolił mu wywnioskować, że Mildred Szymański mieszkała w apartamencie numer 251. Krótkie spojrzenie na ciało leżące w sypialni na podłodze podpowiedziało mu, że Dusiciel z South Bay przypuszczalnie znowu zaatakował. Wcześniej czy później – prawdopodobnie wcześniej – będzie musiał, tak czy owak, odbyć rozmowę z dziennikarskimi hienami.

ROZDZIAŁ III

– To jesteśmy na miejscu – rzekł Colin, wjeżdżając na podjazd. San Atanasio znajdowało się w odległości zaledwie kilku minut jazdy od Międzynarodowego Portu Lotniczego w Los Angeles, oznaczanego kodem LAX. Colin nie cierpiał tego lotniska. Któż o zdrowych zmysłach nie pogardzał tym molochem? Ale podróż tam i z powrotem przebiegła sprawnie.

Krople deszczu bębniły o dach jego średnio zaawansowanego wiekowo taurusa i rozbijały się o przednią szybę. Na twarzy Kelly Birnbaum, usadowionej na miejscu obok kierowcy, pojawił się skwaszony uśmiech.

– Dlaczego nie spotykamy się nigdy przy słonecznej pogodzie?

– Hej, przecież jest luty. Nawet w Los Angeles w lutym padają deszcze. Przynajmniej czasami – wyłożył krótko Colin.

– Wiem – przyznała. – W północnej Kalifornii padało nawet mocniej, możesz mi wierzyć.

– Idź do przedsiönka. Ja wezmę twój bagaż – powiedział i kciukiem nacisnął przycisk otwierający bagażnik.

– Proszę, jaki dżentelmen. – Jej oczy się zaskrzyły.

Kilka kropli uderzyło w jego dwuogniskowe okulary, zanim zdążył skryć się pod dachem. Nie miał teraz czapki na głowie, jak zwykł to czynić w Yellowstone. Stad prawie całą wodę chusteczką do nosa, potem otworzył rygiel i zamek w drzwiach. Następnie – jak na dżentelmena przystało – przytrzymał otwarte drzwi i puścił ją przodem.

– Wejdz do środka.

– Jest taki gigantyczny – zdumiała się, gdy weszła.

– To zwykły dom.

– Jeśli tak długo jak ja mieszkało się w pokojach wieloosobowych, w mieszkankach dla studentów studiów magisterskich i na koniec w namiotach, to zwykły dom sprawia wrażenie kolosalnego. Wkurzam się, kiedy odwiedzam moich rodziców w tej okolicy, a ich dom jest przecież mniejszy od tego. Poza tym, masz całą chatę do wyłącznej dyspozycji.

– Tak – potwierdził Colin bez mrugnięcia okiem. – Czasami odwiedza mnie Marshall. W swoim pokoju wciąż trzyma stare rupiecie. Reszta... jest moja, zgadza się, tak jak widać.

Kelly wychwyciła zawahanie w jego głosie.

– Przepraszam. Strzelanie gaf to moja przypadłość.

– Tym się nie martw. Gdybym nie miał całego tego domu wyłącznie dla siebie, nie wyłudziłbym od ciebie numeru telefonu, kiedy po raz pierwszy gadaliśmy nad jeziorem. I jestem cholernie zadowolony, że wyłudziłem.

Położył dłoń na jej ramieniu. Przysunęła się bliżej do niego.

– Ja również. – Rozejrzała się uważniej dookoła. – Wszystko jest takie poukładane. Książki, płyty DVD, płyty CD – każda rzecz na swoim miejscu. Ja muszę grzebać w stosach rupieci, żeby znaleźć cokolwiek.

– Pozostałość po służbie w marynarce wojennej – odparł, wzruszając ramionami. – Chcesz coś do picia?

– Chyba piwo. Ale najpierw oprowadź mnie po domu.

– Okej. Musisz wiedzieć, że większość przedmiotów na stołach i półkach i cała reszta to odzwierciedlenie gustu Louise.

Gustowna kolekcja obejmowała ikony świętych o smętnych twarzach, puzderka i szkatułki kryte emalią oraz babuszki, figurki wsuwane jedna w drugą. Colin nie potrafił pojąć, dlaczego jego eks pragnęła, by to miejsce wyglądało jak tania imitacja Ermitażu. Kiedy się nad tym zastanowił, niektóre z tych eksponatów wcale nie okazywały się takie tanie. Odrobineę za późno, by się teraz tym zamartwiać.

– No cóż, rosyjska sztuka, tak czy owak, jest nieco odmienna – orzekła Kelly dyplomatycznie.

Drzwi do jednej z sypialni na górze zaklejono żółtą taśmą biegnącą od lewego górnego do prawego dolnego rogu; widniał na niej napis: POLICE LINE – DO NOT CROSS.

– Sypialnia Marshalla – wyjaśnił rzeczowo Colin.

– Też mi coś! – Kelly puściła do niego oko.

Za kolejnymi drzwiami, w gabinecie Colina, znajdował się komputer i więcej regałów z książkami. Pomieszczenie wychodziło na podwórze. Kilka zmokniętych wróbli i gołębi w żalobnym nastroju wyjadało nasiona z karmnika dla ptaków.

– Tu mi się podoba – wyznała Kelly. – To wnętrze emanuje tobą.

– Na ścianach nie wiszą portrety świętych – odparł Colin, co mogło oznaczać akceptację.

W głównej sypialni, która stanowiła następny przystanek, miał także swój roboczy zakątek. Korzystał z niego częściej od czasu, kiedy nie musiał dłużej martwić się, że zbudzi Louise, zapalając światło o dziwacznych godzinach. Kelly sprawiała wrażenie, jakby nie zawracała sobie tym głowy. Spoglądała na łóżko. Colin nie potrzebował matyry, by zrozumieć, dlaczego.

– Jeśli czujesz się skrepowana, możesz skorzystać z łóżka w dawnym pokoju Vanessy. Cała pościel jest nowa od czasu... zresztą, mniejsza z tym. Chociaż ten sam stary materac.

Przez kilka sekund rozważała rzecz w duchu.

– Nie będzie mi to przeszkadzać – odparła na koniec.

– A teraz może byśmy napili się piwa?

Zeszli po schodach. Kuchnia również okazała się kolosalna, przynajmniej gdyby zapytać o zdanie Kelly.

– Wiem, dlaczego cały czas to powtarzasz – oznajmił Colin, gdy nalewał piwo z dwóch butelek marki Sierra Nevada Pale Ale (on sam pijał Budweisera, lecz wizyta Kelly otworzyła mu oczy na konieczność zakupu piwa dobrego gatunku).

– Co powtarzam przez cały czas?

– Gigantyczny. Tym słowem wy geolodzy określicie szczytową strefę erupcji. To czysto techniczny termin, jak sprawca czy coś w tym rodzaju.

– Znowu wzięłeś się za czytanie książek. – Z głosu Kelly przebijało rozbawienie i zarazem zarzut.

– Winny. Nie wiedziałem, że regulamin tego zakazuje. – Colin uniósł szklankę. Jasne ale było o kilka odcieni ciemniejsze od Budweisera, który miał barwę szczytną, co uświadomił sobie teraz, gdy o tym pomyślał. Ten browar zaiste krył w sobie prawdziwe ingrediencje. – W takim razie za nas.

Stuknęli się uroczyście, potem wypili. Jasne ale posiadało również prawdziwy smak. To cholerna granda, że za Budweisera płaci się tak, jakby miał smak.

– Za nas. – Kelly rozejrzała się po kuchni, czystej i wysprzątanej jak reszta domu. – Ciągłe jestem podenerwowana, kiedy to mówię.

– Jak to możliwe?

W głowie Colina rozdzwoniły się dzwonki alarmowe. Zyskał niemal pewność, że znalazł właściwą osobę, z zasadami. Czy ona miała wątpliwości w odniesieniu do niego? Jeśli je miała... Nie wiedział, co poczynić, jeśli ogarnęły ją wątpliwości.

– Ponieważ ludziom, którzy mają za sobą rozwody zazwyczaj przez kilka lat zupełnie odbiera rozum – odpowiedziała całkiem Przez kilka sekund rozważała rzecz w duchu.

– Nie będzie mi to przeszkadzać – odparła na koniec.

– A teraz może byśmy napili się piwa?

Zeszli po schodach. Kuchnia również okazała się kolosalna, przynajmniej gdyby zapytać o zdanie Kelly.

– Wiem, dlaczego cały czas to powtarzasz – oznajmił Colin, gdy nalewał piwo z dwóch butelek marki Sierra Nevada Pale Ale (on sam pijał Budweisera, lecz wizyta Kelly otworzyła mu oczy na konieczność zakupu piwa dobrego gatunku).

– Co powtarzam przez cały czas?

– Gigantyczny. Tym słowem wy geolodzy określicie szczytową strefę erupcji. To czysto techniczny termin, jak sprawca czy coś w tym rodzaju.

– Znowu wzięłeś się za czytanie książek. – Z głosu Kelly przebijało rozbawienie i zarazem zarzut.

– Winny. Nie wiedziałem, że regulamin tego zakazuje. – Colin uniósł szklanekę. Ja sne ale było o kilka odcieni ciemniejsze od Budweisera, który miał barwę szczyń, co uświadomił sobie teraz, gdy o tym pomyślał. Ten browar zaiste krył w sobie prawdziwe ingrediencje. – W takim razie za nas.

Stuknęli się uroczyście, potem wypili. Jasne ale posiadało również prawdziwy smak. To cholerna granda, że za Budweisera płaci się tak, jakby miał smak.

– Za nas. – Kelly rozejrzała się po kuchni, czystej i wysprzątanej jak reszta domu. – Ciągle jestem podenerwowana, kiedy to mówię.

– Jak to możliwe?

W głowie Colina rozdzwoniły się dzwonki alarmowe. Zyskał niemal pewność, że znalazł właściwą osobę, z zasadami. Czy ona miała wątpliwości w odniesieniu do niego? Jeśli je miała... Nie wiedział, co pocnie, jeśli ogarnęły ją wątpliwości.

– Ponieważ ludziom, którzy mają za sobą rozwody zazwyczaj przez kilka lat zupełnie odbiera rozum – odpowiedziała całkiem poważnie. – Bóg jeden

wie, że widziałam aż nadto małżeństw zawartych przez moich znajomych ze studiów doktoranckich, które rozpadły się z hukiem.

Bóg jeden wie, że Colin również znał aż nadto gliniarskich małżeństw, które rozpadły się z hukiem, wliczając w to stadło Gabe'a Sancheza i jego własne. Czy, jeśli komuś odbiera z kretesem rozum, ten ktoś zdawał sobie sprawę, że mu odbiło? A jeśli sobie z tego zdawał sprawę, czy oznaczało to, że ten ktoś wcale jednak nie postradał rozumu, czy też może znaczyło to tylko tyle, że ten ktoś nie był w stanie w żaden sposób temu zaradzić? Oskarżyciel obstawałby przy jednych argumentach, obrońca wysuwałby przeciwne.

Widział ludzi, którzy wyczyniali zwariowane rzeczy po tym, jak ich małżeńskie stadła rozbijały się i płonęły ze szczeniem – co do tego nie ma dwóch zdań. Widział facetów umawiających się z kobietami oraz kobiety lgnące do gości, na których nawet by nie spojrzeli/nawet by nie spojrzwały, gdyby pozostawali przy zdrowych zmysłach. Większość z nich po krótkim czasie gorzko tego żałowało. W jednym czy dwóch przypadkach jakoś poukładali sobie życie. Spotkał też pewnego gościa, który roztrzaskał się w ciężarówce i skończył na wózku inwalidzkim z bezlikiem rachunków ze szpitali i od prawników, po nieważ siadł za kółkiem w chwili, kiedy żale i smutki topił w gorzałce. A jeden naprawdę dobry gliniarz, który strzelił sobie w usta, został pochowany w zamkniętej trumnie, ponieważ nawet właściciel zakładu pogrzebowego nie był w stanie sprawić, by inni mogli go obejrzeć przed złożeniem w grobie.

Przypadki samobójstwa napędzały gliniarzom cholernego stracha choćby dlatego, że niekiedy wydawały się zaraźliwe. Kiedy jakiś gość skończył ze sobą, mogło się zdarzyć, że za kilka tygodni ktoś inny, ktoś, o kim nikt nie pomyślałby, iż wpadł w poważne tarapaty, również wyruszał w ostatnią drogę. Ciarki przechodzą po plecach.

Colin nie chciał ulec obawom w tej konkretnej chwili, ujmując rzecz bardzo oględnie. Kelly nie przyleciała tu z East Bay, by napędzić mu stracha. Przynajmniej, do diabła, żywił taką nadzieję. Ponownie położył dłoń na jej ramieniu. Uśmiechnęła się i przysunęła do niego, tak jak za pierwszym razem. To pozwoliło mu odzyskać spokój.

– A jak się sprawuje superwulkan? – zapytał zdawkowo. Uśmiech na jej twarzy zgasł jak zdmuchnięty płomień świecy. Być może to on wzbudził w niej trwogę.

– Szefowi mojej katedry nie podoba się wcale to, co on wyprawia – odpowiedziała takim tonem, jakim Colin mógłby oznajmić Komendantowi wcale by się to nie spodobało. – Mnie też, i to na poważnie, nie podoba się wcale to, co on wyprawia – dokończyła.

– Przeglądałem artykuły na ten temat w prasie – powiedział, przytakując. – Kolejne wstrząsy o sile powyżej 5,0 stopni w skali Richtera, rozkład w czasie erupcji gejzerów, który zupełnie zbzikował...

– Tak, turystów spotkało niezmierne rozczarowanie, kiedy Old Faithful nie wystrzelił w górę zgodnie ze stałym rozkładem.

– Kelly'nie usiłowała nawet ukryć szyderstwa. – Ale to tylko fragment tego, co mam na myśli – ten fragment, który trafia na łamy gazet, a niekiedy nawet do telewizyjnych serwisów informacyjnych. Najgorsze rzeczy wcale tam nie trafiają. Można o nich przeczytać jedynie w raportach stacji obserwacyjnych oraz w opisach odczytów satelitarnych radarów.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytał Colin.

– Antykliny, pod którymi zalega magma, wypiętrzają się. Napierają do góry. W szczególności to nowe siodło, położone pod skupiskiem gejzerów i tworów geotermalnych Coffee Pot Springs – wyjaśniła Kelly. – Przemieszczają się o dziesiątki centymetrów tam, gdzie jeszcze przed paroma laty rejestrowano ruchy rzędu paru centymetrów.

Wywód ten prowadził do oczywistego pytania.

– Czy wulkan szykuje się do erupcji? – Colin nie zawahał się wyartykułować go.

– Tego nie wie nikt. Nigdy wcześniej nie obserwowaliśmy erupcji superwulkanu, jakim zatem cudem możemy rozstrzygnąć definitywnie, z czym mamy do czynienia? Desperacja, z jaką Kelly wychyliła spory łyk piwa, świadczyła o tym, że z pewnością nie podobało się jej to, z czym mieli do czynienia. – Tak czy owak, coś na pewno się szykuje. Być może zmiany te wrócą do poprzedniego stanu. To możliwe. A być może dojdzie do zwyczajnej, erupcji wulkanicznej. Nie mieliśmy tu żadnej od siedemdziesięciu tysięcy lat, plus minus, a taki wybuch mógłby uwolnić nadmiar ciśnienia. Albo można by to przyrównać do zrzucenia obiektu wielkości stanu Rhode Island z wysokości niecałego kilometra.

– Szef twojej katedry zna zapewne odpowiednich ludzi – to znaczy ludzi z administracji rządowej – rzekł Colin, cedząc słowa. – Podobnie zresztą jak inni naukowcy, którzy zajmują się tym zagadnieniem. Czy oni nie biegają nerwowo, usiłując zwrócić uwagę władz federalnych, że w Yellowstone szykuje się gigantyczne bum?. Powinny przecież istnieć jakieś... plany ratunkowe na wypadek sytuacji kryzysowej, jak nazywają to goście ze służb.

– Wiem o rozmowach, jakie geolodzy prowadzą z ludźmi z Departamentu Spraw Wewnętrznych – odparła Kelly. – I wiem, że mają problem z przekonaniem kogokolwiek, by ich wysłuchano. To... – przerwała, szukając właściwych słów. – Kwestia skali, powiedziałabyś, jak mi się zdaje.

Ponownie przerwała, najwyraźniej rozważając, czy musi to wyjaśniać. Doszła do wniosku, że nie musi.

– Dusiciel z South Bay ma już na sumieniu piętnaście filigranowych starszych pań. To dopiero jest historia. Ludzie to rozumieją. Temat nie schodzi z czołówek serwi sów informacyjnych CNN Headline News – dodał od siebie Colin głosem przesyconym odrazą. – Ale to, czego dopuścili się, każdy z osobna, Hitler, Stalin i Mao – tego nie da się ująć konkretnymi liczbami, i tak do tego podchodzą. Może to i dobrze. Każdy, kto potrafiłby wczuć się z emfazą w los tych milionów pomordowanych, zapewne dostałby świra, prawda?

– Należy mieć taką nadzieję – postulowała Kelly.

– Uhm. Na pewno – zgodził się Colin. – Zatem goście z Departamentu Spraw Wewnętrznych nie zamierzają zawracać sobie głowy tematem superwulkanu?

– W najmniejszej choćby mierze – potwierdziła Kelly. – Oglądają wyniki badań i formułują wniosek: „Nie może być aż tak źle”. I utrzymują, że to, co dostają od nas badacze, zawsze jest przesadnie ostrożne, przezorne i zachowawcze. Już choćby z tego powodu nie zamierzają w ogóle zająć się tym tematem. Albo twierdzą: „Gdyby superwulkan rzeczywiście zrobił to, o czym mówicie, to jaki sens miałyby sporządzanie planów ratunkowych? Skala katastrofy byłaby zbyt wielka.

– Pochylcie się i pocałujcie w tyłki na pożegnanie. – Colin nie miał na karku tylu lat, żeby pamiętać ze szkoły obowiązkowe ćwiczenia prewencyjne związane z groźbą ataku nuklearnego. Należało paść brzuchem na ziemię i nakryć głowę rękoma. Ale znał wielu ludzi, którzy doświadczyli tego na własnej skórze.

– Tak. Coś w tym rodzaju. Z wyjątkiem tego, że siła eksplozji superwulkanu jest znacznie większa od mocy wybuchu bomby wodorowej, a to wcale nie jest zabawne – odparła Kelly.

– Erupcja nie jest radioaktywna – zauważył Colin. – Nie ma opadu promieniotwórczego.

– Racja, nie ma – przyznała. – Przynajmniej takiego, o jakim myślisz. Ale do atmosfery dostałyby się niebotyczne wręcz ilości popiołu... – Roześmiała się niepewnie. – Z całą pewnością mamy porywające tematy do obgadania, prawda? Dusiecie i superwulkany. Ojej!

– Sprawy mają się tak, a nie inaczej. I lepiej o nich mówić, niż pomijać milczeniem – skomentował Colin.

Od czasu, kiedy dzieci opuściły dom, on i Louise miewali takie okresy, że całymi dniami niemal się do siebie nie odzywali. Policyjna robota nie obchodziła jej wcale. Zajmowało ją wyłącznie fiasko nominacji na szefa policji, ale tylko dlatego, że jego porażka oznaczała uszczerbek w jej prestiżu. On z kolei nie interesował się, jak ona spędza dni. Gdyby miał odrobinę oleju w głowie, powinien dostrzec te niebezpieczne symptomy. Zajęcia z aerobiku? A właściwie dlaczego nie?

– Chyba jeszcze bym się napiła, poproszę o dolewkę. Kelly trzymała w dłoni pustą szklanicę.

W szklance Colina także świeciło dno. Nie potrafił przypomnieć sobie, czy dopił piwo do końca, ale jeśli nie, to pewnikiem w jednej z szafek krył się skrzat piwosz.

– Wniosek zgłoszony i przyjęty przez akłamację – ogłosił i otworzył lodówkę.

– Czasami mówisz zabawnie, wiesz? – stwierdziła, posyłając mu zdziwione spojrzenie.

– Zbyt wiele posiedzeń Rady Miejskiej. Przekonaliby pingwina do uprawiania joggingu na pustyni Mojave. Jak Boga kocham, przekonaliby.

– Naprawdę masz niezłą gadkę – dodała Kelly, parskając śmiechem.

Takie komentarze słyszał już od swoich kumpli po fachu. Otrzymywał też reprimendy od przełożonych za sporządzanie raportów w języku angielskim w miejsce policyjnego żargonu. Jezu! Nie dziwota, że nigdy nie zrobili ze mnie komendanta, pomyślał. Gdyby ktoś kiedykolwiek wyszedł na ulią i ujawnił, co się wyprawia na komisariacie, wywieźliby mnie za miasto na taczce. Z pewnością zrobiliby to.

Gorycz spowodowana pominięciem przy awansie po części nieco osłabła. Administracyjna część roboty to bułka z masłem.

Z drugiej jednak strony, jeśli wiedziało się, komu i kiedy całować tyłek... nawet gdyby podjął taką próbę, na pewno wszystko by sknocił. Komendant musi być również politykiem, a to najzupełniej nie leżało w jego naturze.

Drugie piwa zniknęły jeszcze szybciej niż pierwsze.

– Co chciałabyś teraz zrobić? – zapytał Colin.

– Czy mogłabym wziąć prysznic? – odpowiedziała pytaniem Kelly. – Człowiek przeciska się przez lotnisko, wsiada do samolotu i czuje się ubrudzony od stóp do głów, nawet jeśli lot trwał tylko godzinę. A potem, cóż, któż to wie? – Obdarzyła go promiennym uśmiechem.

– Brzmi lepiej niż cokolwiek, co byłbym w stanie sobie wyobrazić – skomentował Colin.

Zupełnie naga przysła z łazienki obok głównej sypialni. Colin leżał w łóżku w oczekiwaniu na nią.

– Och, jak dobrze – powiedziała. – Podkręciłeś ogrzewanie.

– Nie mamy na sobie ubrań. Żadnej izolacji – rzekł z powagą.

I któż, do cholery, wpadłby na to, że jakakolwiek kobieta, która chodziła po ziemskim padole, trzęsłaby się z zimna w temperaturze, jaką on uznawał za normalną. Nie miał pojęcia, dlaczego sprawy tak się miały, ale nie potrafił nic na to zaradzić.

Położyła się obok niego. Czuła się odrobinę nieswojo i odrobinę skrępowana – on tym bardziej, ponieważ to ich pierwszy wspólny pobyt tutaj, w tej sypialni przepełnionej wspomnieniami. Wcześniej odwiedzał ją parę razy w Berkeley, ale wciąż musieli wspólnie uczyć się siebie nawzajem na niwie ars amandi. Co się tyczy Louise, to po tylu latach wszystko miał w małym palcu.

Albo przynajmniej tak uważał. Jeśli rzeczywiście cechował się taką bystrością, jak sądził, to dlaczego rzuciła go? Jeśli ludzie, ogólnie rzecz biorąc, byli tak bystrzy, jak sądzili, że są, musieliby być o wiele bardziej zmyślni, niż miało to miejsce w rzeczywistości. Gliniarze uczyli się tego szybko. Większość oszustów – nie wszyscy, ale większość – parało się kantami, ponieważ mieli skretyniałe mózgi.

Wszystko to przechodziło mu przez głowę w tych rzadkich chwilach, kiedy nic innego nie zaprzętało jego myśli. Po niedługim czasie takie chwile przestały się zdarzać w ogóle. O wiele za krótko, a przynajmniej tak mu się wydawało, gdy leżał na plecach, trzymając wyimaginowanego papierosa między palcami wskazującym i wielkim i wydmuchując kłęby wyimaginowanego dymu w stronę sufitu o barwie i fakturze wiejskiego twarożku.

Roześmiała się. Krople deszczu stukały łagodnie o dach. Potem z góry dobiegł nagle głośniejszy hałas – coś żywego przebiegło z jednej strony domu na drugą.

– Co to było, do diabła? – zapytała Kelly.

– Wiewiórka – odpowiedział Colin. – Po prostu szczur z paradnym ogonem. Czasami można też dosłyszeć krakające wrony. Przyroda. – Zrobił minę. – Nie tak jak w Yellowstone, nawet jeśli sporadycznie można tu spotkać szopy, kojoty i skunksy. A także oposy.

– Tak, w Berkeley mamy opozy – potwierdziła Kelly. – Facet, z którym parokrotnie umawiałam się na randkę – student studiów magisterskich na wydziale biologii – nazywał je „śmietnikowymi ssakami”.

– Całkiem wdechowa nazwa – ocenił Colin i postanowił na tym poprzestać.

Oczywista rzecz, że przed nim spotykała się z innymi facetami. Nie zamierzał poznawać żadnych drastycznych szczegółów. Zarabiał na życie węszeniem i grzebaniem w cudzych brudach. Nie zamierzał robić tego z własnej woli w tym momencie. Leżała obok niego. Wyczuł, jak napięcie w niej zelżało, choć tylko odrobinę. Oznaczało to, że przeszedł pozytywnie kolejny test.

Czy rzeczywiście będzie mu odbijać przez kolejny rok i może nawet dłużej? Jeśli tak, obecne towarzystwo wydawało się jak najbardziej odpowiednie. Postanowił jej to wyznaczyć. Zanim jednak zdążył coś powiedzieć, zauważył, że jej powieki są zamknięte. Leżała tuż obok cichutko. Po kilku minutach jej równy oddech upewnił go... oddała się już w objęcia Morfeusza. Niekiedy nachodziła go myśl, że spanie – w sensie dosłownym – u boku kogoś jest bardziej intymne, bardziej przesycone zaufaniem niż zwyczajne przespanie się z kimś.

Mógł też odrobinę się z nią podroczyć za to, co jak się uważało, zawsze robili faceci. A w zasadzie mógłby, gdyby sam nie zaczął z cicha pochrapywać, po upływie niespełna półtorej minuty.

Jeśli wyskoczę, Boże, to czy mnie złapiesz? Louise Ferguson pamiętała chwile, kiedy rozważała ten dylemat na kilka dni przed tym, jak zdobyła się na odwagę, by opuścić pustkę, w jaką przemieniło się jej małżeństwo. Dylemat ten okazałby się, swoją drogą, dość zabawny, gdyby rozebrać go na elementy pierwsze, ponieważ w jej przypadku uczestnictwo w życiu religijnym ograniczało się do wielkanocnych pisanek, bożonarodzeniowych

prezentów oraz ślubów i pogrzebów. Pominąwszy dwie ostatnie sposobności, nie potrafiła przypomnieć sobie, kiedy jej noga przekroczyła kościelne progi.

Teraz jednak powinna skierować myśli ku światu zewnętrznemu, pomijając duchowe rozterki – kiedy człowiek wywrócił własne życie do góry nogami i lewą stroną na prawą. Przed laty wywołałaby zapewne skandal. Zona prominentnego oficera policji ucieka z młodszym od siebie kochankiem! Ludzie na ulicy udawaliby, że jej nie widzą – być może z wyjątkiem tych, którzy żalowali, iż im zabrakło odwagi, by również opuścić własne obumarłe małżeńskie stadła.

Chyba nawet trochę żałowała, że nie stała się przedmiotem skandalizujących plotek. Do niezbyt miłych czułych słówek, jakimi wobec niej posługiwał się Colin, należało określenie królowa dramatu. W dzisiejszych czasach jednak każdy, kto nie był w stanie wytrzymać z kimś choćby sekundę dłużej, ruszał przed siebie i opuszczał stadło, a nikt z tego powodu nie obruszał się ani nie robił wielkiej wrzawy.

Być może nawet stała się wzorem do naśladowania w oczach Vanessy, gdy ta zostawiła chłopaka, z którym zamieszkiwała (w dawnych latach już samo posiadanie przyjaciela uznawano za skandal, a co dopiero porzucenie go) w niedługim czasie po rozpadzie związku jej z Colinem. Louise westchnęła. Teraz to ona miała towarzysza życia młodszego o piętnaście lat niż wybranek serca jej własnej córki.

Louise nie miała w sobie skłonności do oceniania innych. Nie jestem osobą wygłaszającą krytyczne sądy, często mówiła do siebie samej. Stanowiło to osobliwy sposób potwierdzania własnej autonomii, ale w jej przypadku działało. Colina natomiast cechował nie tylko skrajny krytycyzm, ale też poczytywał to sobie za powód do dumy. Nigdy nie

spotkała gliniarza, który nie byłby taki jak on, a znała bardzo wielu policjantów.

Vanessa również nie stroniła od krytykowania innych, rozpierała ją ambicja, ponadto odziedziczyła po ojcu jeszcze parę innych cech. Gdy unosiła podbródek i przybierała upartą minę, wyglądała josta w jotę jak Colin. To podobieństwo dało się dostrzec od zawsze, nawet wtedy, kiedy liczyła sobie tylko trzy lata.

Telefon komórkowy Louise zadzwonił. W istocie rzeczy rozległy się pierwsze takty piosenki Addicted to Love [„Uzależniony od miłości”]. Słowa starego przeboju przyłgnęły do niej, chociaż dźwięki wydawane przez telefon nie miały nic wspólnego z nudnym i brzękliwym dzwonkiem aparatów linii stacjonarnej. Wyłowiła komórkę ze swojej torebki, rzuconej na raczej mało nowoczesną kanapę w mieszkaniu własnościowym Teo.

– Halo?

– Cześć, mamó.

– Witaj, Vanesso. Właśnie o tobie myślałam. – Louise nie miała zamiaru wyjawic jedynej córce, co takiego o niej myślała. Kiedy była małą dziewczynką wpojono w nią regułę Bądź uprzejma, o ile potrafisz. Ona sama usiłowała wpoić tę regułę Vanessie, lecz bez spektakularnego sukcesu. – Co się dzieje? – Coś musiało być na rzeczy; Vanessa nie dzwoniła po to, by uciąć sobie z nią pogawędkę.

– Hagop przenosi się do Denver. – Głos jej córki emanował większym tragizmem, niż gdyby teraz na jej oczach płonął przepełniony sierociniec.

– Doprawdy?

Louise dokładała starań, by jej głos brzmiał możliwie beznamiętnie. Nie rozumiała, dlaczego Vanessa zaprzyjaźniła się z mężczyzną starszym od niej o tyle lat, że mógłby być jej ojcem. Cóż, kilka powodów jednak znała: Hagop nie był Bryce’em Millerem i w żadnej mierze nie przypominał

Bryce'a Millera. Nie fatygowała się jednak z powiedzeniem tego Vanessie. Zorientowała się, że to próżny trud, kiedy zobaczyła, co ich łączy.

– Tak – potwierdziła Vanessa. – Tam panuje lepszy klimat dla biznesu. Przynajmniej on tak mówi. Niższe podatki, mniej komplikacji, przez całych dziewięć lat.

Przerwała. Teraz zamierza powiedzieć mi to, z czym naprawdę do mnie zadzwoniła, pomyślała Louise. Vanessa wydłużyła pauzę na tyle, żeby nabrać przekonania, iż pragnie wyrazić się jasno i precyzyjnie.

– Dlatego wyjeżdżam razem z nim – oznajmiła w końcu.

– Do Denver? – wykrzyknęła Louise. – Żeby tam zamieszkać?

Przez całe życie Vanessa mieszkała w San Atanasio albo w jego okolicach. W jej oczach wyprawę na zakupy do South Coast Plaza w sąsiednim Orange County dałoby się porównać z safari w Burkina Faso.

– Zgadza się – odpowiedziała lakonicznie. – Już zaczęłam rozglądać się w Internecie za ofertami pracy. Mam już po dziurki w nosie tyrania dla tego idioty Gorczany'ego, tak czy owak... zresztą od zawsze.

Czy czeków z wypłatą także masz po dziurki w nosie? Louise zaliczyła już kilka nagłych i bolesnych lekcji na temat forsy, odkąd przestała realizować czeki z wypłatą wystawione na Colina dziesiątego i dwudziestego piątego każdego miesiąca. Ale Vanessa znała się dobrze na komputerach. Znajdzie coś dużo bardziej pewnego niż układanie kompozycji z suszonych kwiatów. Cholera, Louise poczuwała się do obowiązku znalezienia czegoś podobnego dla siebie.

– Pomyślałam sobie, że chyba powinnam ci o tym powiedzieć – kontynuowała Vanessa, a ton jej głosu zdradzał, że wciąż miała co do tego pewne wątpliwości.

– Co właściwie, hm, sądzi Hagop (cóż za zabawne imię) o twoim zamiarze spakowania manatków i przenosin, żeby tam z nim zostać?

– Był zaskoczony – wyjawiała Vanessa. – Idę o zakład że był, pomyślała jej matka. – Ale przywykł już do tego pomysłu – dokończyła.

– Rzeczywiście? – Louise rozważała w duchu, czy przypadkiem starszy mężczyzna nie wyjeżdżał z miasta również dlatego, by uciec jak najdalej. Być może nie. Coś innego przyszło jej do głowy. – Powiedziałaś już ojcu?

– Ach, no pewnie – odpowiedziała Vanessa beztrąsko. – Ale on nie chce, żebym wyjeżdżała.

– Z tego, co wiem, to on nie szaleje za Hagopem... – Louise również za nim nie przepadała, nie chciała jednak wyrażać opinii zbieżnej ze zdaniem Colina.

– Nie chodzi o to. – Teraz z głosu jej córki przebijało zniecierpliwienie. Vanessa w tym akurat brylowała. – Z uporem twierdzi, że Denver jest położone zbyt blisko tego, co bulgocze pod parkiem Yellowstone. Czy on czuje się dobrze? Sprawiał wrażenie odrobinę, sama nie wiem, szurniętego na tym punkcie.

– Ach. – Louise pojęła wreszcie, o co chodzi. – Nie musisz zarywać nocy z jego powodu, jak sądzę. No cóż, on przygruchał sobie teraz przyjaciółkę, która bada wulkany, zatem nic dziwnego, że jest nimi podekscytowany.

– Ale przecież w Yellowstone nie ma żadnych wulkanów, prawda?

– Nie wiem. Ale ich badaniem zajmuje się tamta kobieta, dziewczyna, kimkolwiek by nie była. – Szpiedzy Louise – ludzie z dawnego sąsiedztwa – mieli co do tego pewność. O ile ją pamięć nie myliła, Marshall także wspominał coś o tym. Do tej chwili Louise jakoś nie zdołała powiązać jednego z drugim.

Vanessa podążała za własnymi myślami, co zresztą często się jej przydarzało.

– Poza tym Denver jest oddalone o jakieś czterysta mil od Yellowstone. A nawet więcej. Sprawdzałam na mapie. Widocznie ojciec tego nie zrobił.

On z reguły nie dostaje bzika z byle powodu, ale tym razem na pewno sfiksował.

– Chyba tak.

Louise pobiegła myślami ku Denver, ale w innym kontekście. To kolejny kamień milowy, potwierdzający stopniowe rozpadanie się rodziny, której każdy członek wyruszał na własny szlak. Taki już był los współczesnych rodzin. Z takich segmentów składała się egzystencja. Rob ze swoim głupawym zespołem spędzał tyle czasu w trasie, że kiedy czasem przyniosło go z powrotem do miasta, był niemal jak ktoś obcy.

– Słuchaj, mamó, muszę już lecieć. Przerwa na lunch dobiega końca – oznajmiła Vanessa. – Postaram się wpaść do ciebie przed przeprowadzką albo, ewentualnie, umówimy się na obiad lub coś w tym rodzaju. Do usłyszenia.

– Do usłyszenia – zawtórowała Louise, ale gdy to mówiła, po drugiej stronie łącza nikt już nie słuchał.

Raz jeszcze westchnęła i schowała komórkę do torebki. Ostatnich dwadzieścia lat z okładem – najlepsze lata mojego życia, pomyślała szczerze, choć nie oryginalnie – upłynęło jej na wychowywaniu dzieci. I po co? Żeby teraz widzieć je rozrzucone wichrem losu na cztery świata strony, choć taki już los dzieci. Z ich punktu widzenia, cholera, wyglądało to tak, jak gdyby w życiu nigdy nic dla nich nie zrobiła.

Oznaczało to... co? Zmarszczyła brwi. Rozważania nad tym, Co To Oznaczało – z dużymi literami na początku – nie należały do zajęć, jakim oddawała się każdego dnia czy każdego tygodnia. W życiu zawsze starała się z uporem trzymać motta: rób wszystko to, co robisz, a potem patrz, jaki bieg wezmą sprawy.

Poza tym marszczenie brwi nie stanowiło optymalnego wyboru, w szczególności gdy mężczyzna przy jej boku liczył sporo lat mniej od niej. A

zmarszczki pozostawały. Świadomie przywołała na twarz łagodny wyraz. Teo był taki kochany. Zapewniał ją, że docenia wszystko to, co ona wie i wszystko to, co ona robi, bez żadnych zahamowań – co zresztą zdumiało ją samą, kiedy to dostrzegła. Czy Colin kiedykolwiek to dostrzegał? Czy się tym przejmował? Mało prawdopodobne.

No dobrze, skoro nie zamierzała żyć dla własnych dzieci, to dla kogo właściwie miała żyć?

– Dla mnie, oto dla kogo – zaskoczyła siebie samą, udzielając odpowiedzi na głos. – I wiesz, co jeszcze? Już najwyższa pora!

Zaczęła wyjmować z torebki puderniczkę, ale zmieniła zamiar. Musiałaby założyć okulary do czytania, by obejrzeć się z bliska w tym maleńkim lusterku. Nie chciała jednak przypominać sobie, że musi nosić okulary do czytania, szczególnie nie w tym momencie. Poszła więc do łazienki.

Tak, dobrze zrobiła. Mogła tu dokonać inspekcji samej siebie z odległości, przy której jej oczy potrafiły poradzić sobie samodzielnie. Zgoda, w kącikach tych oczu widniały cienkie linie kurzych łapek. Zgoda, niektóre z linii na czole przestały już być cienkie. Czas płynął nieubłaganie, czy to się komuś podoba, czy nie. Kiedy miała dużo mniej lat, spędzała wiele popołudni opalając się. Wyglądała wtedy odłotowo. Jej skóra byłaby jednak teraz gładza i delikatniejsza, gdyby tego kiedyś nie robiła.

Miała idealne włosy. To linijka z jakiejś starej piosenki, ale nie potrafiła przypomnieć sobie reszty tekstu. Na Boga, wciąż wyglądała jak blond kociak. Nawet jeśli w paru miejscach pokazały się już popielate odrosty, pozostawało to sekretem jej oraz farby do włosów Clairol. Poza tym butelkę z farbą trzymała razem z tamponami i wacikami, gdzie Teo nie mógł się na nią natknąć.

Tak naprawdę nie mogła ścierpieć nieznacznej obwisłości pod podbródkiem. Nie wyglądało to źle, jeszcze nie, ale jednak tam się zagnieździło. No i ramiona niekiedy zaczynały obwisać. W szkole średniej miała nauczycielkę angielskiego, której ramiona robi ły się sflaczały za każdym razem, kiedy pisała na tablicy. Małolaty naśmiewały się z niej z młodzieńczą bezwzględnością. Gdy spoglądała na rzecz całą z obecnej perspektywy, przestawało to być zabawne.

– Cycki również mi zwisają – powiedziała na głos Louise.

Nie widać tego, gdy nosi biustonosz.. Ale przecież bywają chwile, istotne chwile, kiedy jest bez stanika. A usta i palce Teo zorientują się, że jej ciało staje się mniej jędrne, niż było kiedyś, przed laty, gdy Colin dopiero zaczynał ją obmacywać. Wystarczy wykarmić piersią troje dzieci i takie właśnie są rezultaty.

Obróciła się i spojrzała za siebie przez ramię. Tyłek także zrobił się cholernie szeroki. To także rezultat wydania na świat trójki dzieci... oraz konsekwencja tego, że przez wszystkie te lata dokładała wszelkich starań, by o tym nie myśleć.

Była taka, jaka była. Większość części zamiennych na razie jakoś działała. Gdy miało się za sobą tak wiele mil, co ona, a na dodatek niektóre z wyboistych dróg jej życia nieźle ją wytrzęsły, jak mogła prosić o więcej? Jak? Po prostu. Pragnęła, żeby wszystko funkcjonowało tak jak wtedy, kiedy miała tyle lat, co Vanessa teraz. To nierealne, ale tak czy inaczej pragnęła tego. Któż nie pragnął?

Kiedy wróciła do pokoju od frontu, włączyła telewizję na kanał Food Network. Nie potrafiła wyśmienicie gotować – któregoś razu Colin zarzucił jej, że umie nawet przypalić wodę – ale lubiła oglądać, jak kulinarni spece przyrządzają potrawy. Potrafiłabym to zrobić, mówiła w myślach, nawet jeśli należała do grona ludzi, dla których Bóg stworzył gotowe dania

Hamburger Helper. Za ich sprawą wszystko wydawało się takie łatwe. Gdyby telewizory wyposażono jeszcze w akcesoria emitujące aromaty... O rety!

Po upływie chwili nacisnęła guzik pilota. Nie przeskakiwała z kanału na kanał, jak mają to w zwyczaju faceci, ale też nie ograniczała się tylko do kilku wybranych. Stacja MSNBC informowała, że Irańczycy robili coś tam albo coś innego, co nie przypadło do gustu prezydentowi. Louise przełączyła z powrotem na kanał Food Network, potem na Oxygen. Irańczycy dopuszczali się rzeczy, które nie wzbudziły zachwyty prezydenta, i tak w kółko, do znudzenia.

Odgłosy kroków na schodach. Louise poweselała. Znała te lekkie, żwawe kroki.

Klucz wsuwany do zamka, potem do rygła z zasuwą. Drzwi otworzyły się. Do środka sprężystym krokiem wszedł Teo, świeży i pachnący tak samo jak tego ranka, gdy wychodził – dosłownie, ponieważ wziął ponownie prysznic przed opuszczeniem klubu fitness. Twarz Louise rozpromienił uśmiech szczęścia.

– Kochanie! – powiedziała i z pełnym oddaniem padła w jego objęcia.

– Co tam słyszać u poetów antycznej Hellady? – Colin zapytał Bryce’a Millera. Siedzieli naprzeciw siebie przy stole w jadalni, oddzieleni szachownicą. Colin miał przed sobą filiżankę kawy; eks chłopak Vanessy raczył się colą.

– Jestem na dobrej drodze... rozprawa doktorska będzie gotowa w przyszłym roku, być może za dwa lata – odpowiedział Bryce.

Był wysoki, chudy i blady do tego stopnia, iż sprawiał wrażenie niemal przezroczystego. Miał rude kręcone włosy oraz rzadką i rozwichrzoną brodę. Po dłuższym zastanowieniu przesunął pioną.

Colin zbił go. Grał w szachy w taki sam sposób, w jaki podchodził do większości problemów, z bezpośrednią agresją. Bezlitośnie upraszczał i dokładał starań, by nie popełnić zbyt wielu głupawych błędów. W starciu z wieloma przeciwnikami taktyka ta okazywała się w dużej mierze wystarczająca. Gdy stawiał czoło Bryce'owi, wygrywał być może jedną na pięć partii: wystarczało to, by podtrzymać w nim zainteresowanie, jednak to za mało, by wyobrażał sobie, że gra w tej samej lidze.

Bryce wykonał ruch skoczkiem. Colin pogroził mu palcem. Ten wredny koń może wziąć w widełki jego królową i wieżę, jeśli jakoś temu nie zaradzi. Przesunął królowkę tak, żeby zagroziła skoczkowi i sąsiednim polom. Bryce wykonał zasłonę gońcem.

Okej, pomyślał Colin. Teraz mogę przejść do własnej ofensywy. Przetawiał swojego laufra na drugą stronę szachownicy.

Natura obdarzyła Bryce'a długimi, smukłymi palcami. Podniósł skoczka w taki sposób, w jaki chirurg zapewne podnosi skalpel. Zbił nim piona.

– Szach – oznajmił z żalem.

Jeden z pionów Colina mógł zmieścić konia z szachownicy. W momencie, gdy tak właśnie zrobił, zauważył, że jego królowa została wystawiona na bicie przez gońca Bryce'a. Przez chwilę wpatrywał się w planszę, rozważając swoje szanse po utracie królowej. Dostrzegł tylko dwie, marną i jeszcze marniejszą. Przewrócił swojego króla.

– Nieźle mnie wyrolowałeś tym razem – rzekł. – Widziałem, że laufer zapewnia obronę, ale nie zauważyłem, że może przejść do ataku z chwilą, kiedy go odsłonisz. A szach oznaczał, że po prostu nie powinienem był ignorować tego wszawego skoczka.

Wszystko było oczywiste – post factum. Zresztą jak zazwyczaj.

– Aha – przytaknął Bryce, niczym pająk podnoszący na duchu muchę. – Jeszcze jedną partyjkę?

Usiłował przybrać wyraz twarzy, który nie emanował nadmiarem nadziei. Colin zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie teraz. Ta ostatnia wciąż mi doskwiera. – Odchylił się na oparcie krzesła z jadalni. Coś chrzęstnęło w jego barku. Bryce mógł siedzieć bez końca w dowolnej pozycji i nigdy nic mu nie strzykało. Colin nigdy tak nie potrafił, nawet kiedy liczył sobie dwadzieścia parę lat. Podjął próbę zmiany tematu. – Jak obchodzi się z tobą świat ostatnimi czasy?

– Och, pogodnie do umiarkowanego zachmurzenia, powiedziała by pan, jak zgaduję – odpowiedział młodszy z mężczyzn.

– Może odrobinę lepiej. Pisanie rozprawy doktorskiej nastawia człowieka wrogo. A rozpad związku uczuciowego, który spada jak grom z jasnego nieba, również raczej nie rozbudza ochoty na wychodzenie z domu i imprezowanie.

– Opowiedz mi o tym! – zachęcił Colin z odrobinę większą empatią, niż zamierzał.

– Tak – odparł Bryce skinąwszy głową. – Pan wie, o czym mówię, w porządku. Czy zatem powinienem dać się zamknąć w kuble na śmieci?

– Nigdy wcześniej nie słyszałem, żeby ktoś ujmował to w taki sposób, ale to chyba całkiem prawdopodobne – odparł Colin. – Ty jednak nie dałeś się zamknąć?

– Nie dałem się – potwierdził Bryce. – Całkiem przyzwoity periodyk przyjął mój kolejny wiersz. Można by rzec, Teokryt uwspółcześniony.

Teokryt to jeden z poetów zmarłych przed ponad dwoma tysiącami lat, których poezję zgłębiał doktorant. Colin orientował się na tyle i ani na jotę więcej. Mimo to złą czył dłonie ze sobą, gotując mu cichą owację.

– Nieźle – pochwalił. – To już drugi w ciągu kilku miesięcy.

Gdy tylko słowa te wyszły z jego ust, przyszło mu na myśl, że powinien jednak wstrzymać się z ich wypowiedzeniem. Pierwszy poemat Bryce'a

został przyjęty tuż przed tym, jak rzuciła go Vanessa. Związek przyczynowo-skutkowy? Zazdrość? Zrobił niezłą awanturę wydawcy. Sama posiada wszystkie niezbędne instrumenty, by zostać pisarką, z wyjątkiem odwagi. Prędzej poddałaby się leczeniu kanałowemu bez nowokainy niż ocenie wydawcy.

– Aha – powiedział ponownie Bryce.

Miał twarz rasowego pokerzysty. Colin nie potrafił rozgryźć, o czym teraz myślał. Równie dobrze mógł myśleć właśnie o tym.

– Czy za ten wiersz zamierzają ci coś zapłacić? – zapytał Colin. W tym momencie Bryce prychnął: drwina z głupiego pytania.

– Darmowe egzemplarze. – Ze sposobu, w jaki to powiedział, Colin wywnioskował, iż niedoszły zięć i tak miał szczęście, że nie musiał wykupywać nakładu. – Moją mamę przepęłni za to szczęście – dostanie coś, co będzie mogła postawić na półce i pokazywać z dumą moim ciotkom i wujkom. Ale z pisania poezji nie można wyżyć. Albo w każdym bądź razie ja nie potrafię, tak czy inaczej, przynajmniej pisząc takie kawałki. Dlatego staram się tworzyć je najlepiej, jak umiem, dla siebie. Jeśli spodoba się komuś jeszcze, to super. Jeśli nikomu nie przypadną do gustu, dam radę jakoś z tym żyć.

Colin zachodził w głowę, czy chłopak naśmiewał się z samego siebie, czy też świadomie wciskał kit. Człowiek po prostu nie chwyta za pióro i nie pisze wierszy, jeśli nie pragnie, by inni ludzie je czytali. Prawdopodobnie każdy marzy, by trafić na listę bestsellerów „New York Timesa”. Bryce nie mylił się jednakowoż co do jednego: jeśli ktoś wzorował własne poematy na utworach poetyckich kilku starożytnych greckich poetów, ten, do jasnej cholery, z pewnością nie marzył o tym.

– Jest jeszcze jedna sprawa... – Bryce zawahał się, być może niemal równie ostrożnie, jak uczyniłby to tworząc i cyzelując jeden ze swych

wierszy. Zazwyczaj nie wstydził się wyjawiać Colinowi, co mu chodzi po głowie. Co mogło znaczyć... Zanim Colin zdążył pojąć, o co chodziło, Bryce potwierdził te domysły.

– Poznałem kogoś, kogo lubię. Mam wrażenie, że ona także mnie lubi. Zobaczymy, jak się to potoczy, to wszystko.

– No to świetnie! – Colin odczuł zadowolenie z tych słów wypowiedzianych tak szybko. Zależało mu na tym, żeby Bryce nie doszedł do przekonania, że cieszy się jego sympatią wyłącznie z powodu bliskiego związku z Vanessą. – To samo odnosi się do mnie... , ale o tym zapewne już słyszałeś.

– Racja. – Bryce uniósł brew. – Wszyscy będziemy uciekać w góry, kiedy ten superhiper wulkan wystrzeli korek z hukiem.

Słowa te, wypowiedziane innym tonem, mogły wzbudzić w Colinie niepokonioną ochotę przywalenia mu w kichawę. W tej sytuacji jednak, uwzględniając dołączony rozbrajający uśmiech, nie zabrzmiało to aż tak źle.

– Coś się tam szykuje. Nie wiem, co. Nie wiem, kiedy. Nikt inny też tego nie wie, wliczając w to Kelly – oznajmił Colin.

– Nikt nie wie również, kiedy dojdzie do mega trzęsienia ziemi. W szopie na narzędzia za domem mam na wszelki wypadek pakiet przetrwania, gdyby doszło do trzęsienia ziemi, a drugi mały w bagażniku. Ty nie masz?

– Mam jeden w samochodzie. Trudniej jednak schować większy do szopy, jeśli się żyje w mieszkaniu – odparł Bryce.

– Faktycznie – przyznał Colin. – Kim zatem jest twoja nowa przyjaciółka? Czym się zajmuje? Jak ją poznałeś?

– Nazywa się Susan Ruppelt. Wprowadzała się do gabinetu asystenta akademickiego, który ja właśnie zwalniałem. Nawiązaliśmy rozmowę,

dostałem od niej adres e-mailowy i, od słowa do słowa, jakoś się potoczyło. Zgłębia sekrety Świętego Cesarstwa Rzymskiego. Tematy z dziesiątego, może jedenastego wieku.

– Masz na myśli po Chrystusie, nie przed naszą erą.

– Racja.

– W takim razie zbyt współczesna epoka jak dla ciebie.

– Cóż znaczy trzysta stuleci między przyjaciółmi?

Bryce ponownie się uśmiechnął. Miał rozanieloną minę jak kot wychłaptujący śmietankę. Nie emanował takim szczęściem nawet wtedy, kiedy chodził z Vanessą, nie po paru pierwszych miesiącach. Może tym razem związek przetrwa dłużej. A może nie. Nawet jeśli przetrwa, wszystko może rozlecieć się po latach. Colin dowiedział się na ten temat dużo więcej, niż kiedykolwiek tego pragnął.

– Życzę szczęścia – powiedział zupełnie na serio.

– Dziękuję. I nawzajem. – Usta Bryce’a wykrzywiły się. – Możemy tylko mieć nadzieję, że dopisze, prawda? To znaczy, szczęście. Ludzie zbliżają się do siebie albo się od siebie oddalają. Moim zdaniem Susan rzuciła kotwicę w bezpiecznej przystani, wie pan? W przeciwnym razie miałyby dostatecznie dużo rozumu, żeby nie zadawać się z facetem po przejściach.

– Dobrze, przyprowadź ją tutaj któregoś dnia – zachęcił Colin. – Jeśli ja nie odstraszę jej od ciebie, to nic nie zdoła.

– Chyba zgodzę się z panem w tej kwestii – odparł Bryce. – Przekazałem panu ostrzeżenie.

ROZDZIAŁ IV

Park Yellowstone odwiedzało rokrocznie od dwóch do trzech milionów ludzi. W lipcu i sierpniu powstawało wrażenie, że wszyscy oni zjeżdżają się naraz. Samochody osobowe, turystyczne auta kempingowe oraz wycieczkowe autokary tworzyły na okolicznych drogach takie korki, w porównaniu z którymi kalifornijskie autostrady w godzinach szczytu wydawały się niemal puste.

Kelly Birnbaum wiedziała, jak unikać tłoku. Wystarczyło zjechać ćwierć mili z asfaltowej szosy i już schodziło się z drogi dziewięciu dziesiątych zwiedzających. Po zejściu z autostrady na kilka mil człowiek stawał się w dużej mierze zdany sam na siebie. Miało to zarówno dobre, jak i złe strony. Zasięg telefonów komórkowych na rozległych obszarach parku w najlepszym razie należało uznać za wyrywkowy. Jeśli człowiek wpadł w tarapaty, mógł nie mieć żadnej możliwości powiadomienia o tym kogokolwiek.

Chodziło zatem o to, żeby nie wpaść w tarapaty. Kelly wychowała się w mieście. Nie wędrowała pieszo na łonie dzikiej przyrody, ponieważ uwielbiała szczególnie piesze wędrówki przez dzicz. Wyruszała tam, ponieważ stanowiło to chleb powszedni geologa pracującego w terenie.

O czym to mówił grabarz w Hamlecie? Coś o tym, że przyzwyczajenie przyczynia się do wyrobienia tego rodzaju swobody [De facto słowa te padają z usta Horacja, przyp. tł.]. Tyle przynajmniej była w stanie sobie przypomnieć. Uwzględnwszy fakt, iż nie musiała zawracać sobie głowy dramatem Szekspira od czasów studiów licencjackich, odczuła całkiem spore zadowolenie, przypomniawszy sobie aż tyle.

Zgodnie z jedną z podstawowych reguł nie należy nigdy wędrować przez dzicz w pojedynkę. W jej przypadku nie wchodziło to w grę, wędrowała

bowiem wraz z ekipą badaczy zmierzających mozolnie w kierunku gorącego źródła Coffee Pot Springs. Ruth Martinez oddelegował Uniwersytet Stanowy Utah. Młodszy od niej Daniel Olson wylądował dopiero co na posadzie naukowej z możliwością zatrudnienia na stałe na Uniwersytecie Stanowym Montany w Missouli. Kelly nie bardzo wiedziała, czy ma mu zazdrościć, czy też nie powinna zapominać, że to jednak zapadła dziura. I na koniec, spokojny i opanowany gość, który miał niejaki kłopoty z wymową, nazywał się Larry Skrtel. Przez ostatnich dwadzieścia lat pracował dla federalnej agencji naukowo-badawczej US Geological Survey i kierował całym zespołem.

Jemu piesze wędrówki sprawiały prawdziwą frajdę.

– Prędzej ukąsi was lub nadeptnie pieprzony turysta niż jakieś dzikie stworzenie – oznajmił.

– Być może z wyjątkiem bizonów – dodał Daniel. – Są równie tępe, co kretyni, którzy kupili sobie hummery w czasach, kiedy wacha kosztowała tyle co nic.

Mierzył co najmniej metr dziewięćdziesiąt, a Kelly widziała jego samochód: Hondę wielkości wrotek, w kolorze czerwonym jak wóz strażacki.

– Trzymajcie dystans, a nie będą się wam narzucać – kontynuował Larry.
– No cóż, zazwyczaj.

– Akurat – powątpiewał Daniel.

Pozostali wędrowcy roześmiali się, jak gdyby nie mówili tego na serio. Bizony zdawały sobie sprawę, że są największymi istotami w całej okolicy i oczekiwały, że wszystko inne będzie im schodziło z drogi. Niektóre z samców ważyły tyle, co małe auto Daniela Olsona. Tępotą nie ustępowały jakom, a testosteron burzył krew w żyłach wielu samców. Nie stanowiło to optymalnej kombinacji.

Geolodzy wyruszyli z okolic stawu Indian Pond [Indiański Staw], Jeden z ich kolegów wynajął samochód, który dowiózł ich aż do Lake Village. Szlak wiódł w kierunku potoku Astringent Creek [Siarkowy Potok], zatem niemal przez całą drogę zmierzali na północ. Staw Indian Pond nadawał się na miejsce rozpoczęcia eskapady. Leżał w pobliżu północno-wschodniego skraju jeziora Yellowstone. Akwen mierzył około czterystu metrów w poprzek, a linia brzegowa okrągłymi konturami przypominała łysą łepetynę Charlie'ego Browna, bohatera komiksu Fistaszki. Eksplozja hydrotermalna wydłubała to jezioro na powierzchni ziemi przed około trzema tysiącami lat – przynajmniej taki wynik dało datowanie metodą izotopu węgla C14.

W rezultacie innej eksplozji hydrotermalnej o większej sile uformowała się zatoka Mary Bay, położona nieopodal część jeziora. Pod dnem Mary Bay temperatura przekraczała 250 stopni. Być może plama gorąca pod Yellowstone ciągle drzemała, ale z całą pewnością jeszcze nie zagaśła. Kelly poczuła, jak przechodzą ją dreszcze, chociaż dzień był pogodny.

Spryskała się sownie preparatem Deet odstrasającym insekty. Komary wciąż jednak latały wokół niej, jakby nic sobie z tego nie robiąc. Z repelentem czy bez, i tak wiedziała, że będzie wydana na ich pastwę. Potrafiły ukąsić nawet przez grube skarpety. Teraz spryskała również kostki. Wystarczyło wszakże przeoczyć gdziekolwiek parę centymetrów kwadratowych, a krwiożercze bestie niechybnie znajdowały takie miejsce.

Larry Skrtel wskazał w kierunku kilku, może pół tuzina, sosen wydmowych powywracanych chaotycznie niczym bierki. Kiedy uniósł dłoń, dzięcioł stukający w jeden z obalonych pni odleciał.

– Dwa lata temu te drzewa jeszcze sobie rosły – oznajmił Larry głosem nietolerującym odmiennego zdania. – Stawiam dwa do jednego, że wywróciły się w następstwie wstrząsów podłoża.

Nikt nie odważył się podjąć z nim dyskusji. Kelly nawet o tym nie śniła. Dyskutowanie z kimś, kto miał oczywistą rację, to działanie z góry skazane na przegraną.

Szli pod górę wschodnim brzegiem potoku Astringent Creek. Dotarli w pobliże wschodniego skraju kaldery. Kelly pokręciła przecząco głową. Najmłodszej kaldery, poprawiła się. Skraj ten przebiegał niemal w całości na obszarze parku. Wschodnie obrzeże innej kaldery, uformowanej po erupcji sprzed ponad dwóch milionów lat, również przebiegało gdzieś w tej okolicy. Zachodni skraj sięgał natomiast gdzieś daleko w głąb stanu Idaho.

Wstrząsy... Czy pod stopami coś na moment zadrzało? Kelly zyskała niemal pewność, że coś sobie wyimaginowała, kiedy Ruth Marquez roześmiała się jakoś bez przekonania.

– Czy wy również odnieśliście wrażenie, że ziemia drży? – zapytała. Wszyscy jęknęli.

– Tak, tak sądzę. – odpowiedział Daniel. – Ale to słabe wstrząsy... być może 3,3 stopnia.

Larry potwierdził skinieniem głowy.

Kelly uśmiechnęła się na wspomnienie, jak przed rokiem Colin zgadywał siłę mocniejszego trzęsienia ziemi. Być może nigdy by się nie zeszli, gdyby nie tamten epizod. Życie płata czasami przedziwne figle.

– Trudniej ocenić precyzyjnie przebywając w terenie otwartym – dodała od siebie Kelly. – Nie za bardzo ma tu co się trząść i dygotać. Kiedy jest się pod dachem, pozostaje mniej miejsca na wątpliwości.

Larry rozmyślał przez chwilę.

– Nie mam pewności, czy kiedykolwiek podczas trzęsienia ziemi przebywałem w czterech ścianach – wyraził wątpliwość.

Daniel i Ruth skinęli głowami, przytakując.

– To świadczy tylko o tym, że żadne z was nie pochodzi z Kalifornii – oznajmiła Kelly.

Pozostali geolodzy uznali to za szczęśliwe zrządzenie losu. Przez moment nawet droczyli się z nią. Ona zaś odpowiedziała im pięknym za nadobne.

Skupisko geotermalne Coffee Spot Springs znajdowało się w odległości jakichś dwunastu do piętnastu mil w linii prostej na północ od jeziora Yellowstone. Obszar parku zamieszkiwało więcej kruków niż wron, a wędrówka lądem trwała dłużej niż ewentualny transport powietrzem. Nie wyruszyli wczesnym rankiem. I również specjalnie się nie spieszyli. Nie brakowało im dostatecznej sprawności fizycznej, ale nikt z nich, z wyjątkiem być może Daniela, nie posiadał prawdziwie żelaznej kondycji. Kelly zgadywała, że nie zdołają dotrzeć tam przed zapadnięciem zmroku i miała rację, jak się potem okazało.

Oprócz woni repelentu marki Deet roztaczała też zapach własnego potu oraz kremu z filtrem przeciwsłonecznym, którego również sobie nie żałowała. Na wysokości blisko dwu i pół tysiąca metrów o oparzenie słoneczne nie było trudno. Towarzyszył jej również chemiczny zapach unoszący się z potoku Astringent Creek. W całym Yellowstone od takich diabelskich smrodliwych miejsc aż się roiło. Ogień piekielny i siarka ukształtowały tę krainę i nawet dziś nie dawały wcale za wygraną.

Liofilizowane jedzenie smakowało wprost obrzydliwie. Takie przynajmniej miała na ten temat zdanie. Ale na nocnym niebie błyszcząły miriady gwiazd, a Droga Mleczna emanowała promienną i nieziemską poświatą. Takiego niebieskiego firmamentu, jak ten nad jej głową, nie można było zobaczyć nigdy – ba, nawet nigdy wyobrazić – ani w Los Angeles, ani w Berkeley. Zbyt gęsta atmosfera (a także zbyt

zanieczyszczona), zbyt wiele świateł. Zbyt wielu ludzi, do tego sprowadzało się wszystko, koniec końców.

Kelly czerpałaby zapewne więcej radości z tego widoku, gdyby zdołała dłużej stawiać opór objęciom Morfeusza. Po niedługim czasie jednak wyciągnęła śpiwór, zresztą nie ona sama. W ostatnim przebłysku świadomości pomyślała jeszcze Mam nadzieję, że niedźwiedzie będą się trzymały z daleka.

Najwidoczniej się trzymały. Nie niepokojona niczym obudziła się przed wschodem słońca. No, prawie niczym: swędzący pryszcz, na wewnętrznej stronie lewego nadgarstka dowodził, że co najmniej jeden komar znalazł obfite żerowisko.

Larry dysponował prawdziwą mieloną kawą, którą gotów był się podzielić. Kelly i Ruth ochoczo uraczyły się jego darem; zabrały ze sobą tylko kawę rozpuszczalną. Daniel odmówił.

– Nie pijam kawy – oznajmił.

– Mój Boże! – wykrzyknęła Kelly. – Jakim cudem zdołałeś przejść przez studia doktoranckie?

– Amfa – odpowiedział ze stoickim spokojem.

Nie znała go na tyle dobrze, by rozstrzygnąć, czy się z nich nie nabijał. Zasypali śmiecie po sobie, zgasili ognisko i ruszyli w drogę.

– Zamierzam ubiegać się o nowy komplet nóg – zadeklarowała Ruth, rozmasowując obolałe mięśnie.

– Och, jak dobrze. Nie jestem zatem jedyna – ucieszyła się Kelly.

Daniel i Larry w ogóle nie narzekali. Być może nie odczuwali zmęczenia w taki sam sposób. Z drugiej strony byli facetami, mogli więc po prostu mieć się za macho. Testosteron burzył krew nie tylko w żyłach samców bizona.

Tu i tam gorące źródła buchały parą, a na bagniskach bulgotało. Wiele z nich nie miało nawet swoich nazw. Na terenie Yellowstone powstało więcej tego rodzaju formacji niż na całym pozostałym obszarze świata. W skali globu pod skorupą ziemską buzowało w sumie kilkadziesiąt plam gorąca. Jedna z nich wyniosła w górę Hawaje, inna archipelag Wysp Galapagos.

Zdecydowana większość zalegała jednak pod oceanami. Lawa z nich wypływająca miała postać łatwo rozlewającego się bazaltu. Plama gorąca w rejonie Yellowstone jako jedyna usadowiła się pod płytą kontynentalną. Ryolit przypomina granit, ale ma większe kryształy. Roztopiony nie rozlewał się tak łatwo jak bazalt. Cechował się zbyt dużą lepkością. Uwięziona magma zalegała pod płytą do czasu, kiedy ciśnienie osiągnęło zbyt wielki pułap. Wtedy... Wtedy doszło do erupcji superwulkanu.

Szli teraz wzdłuż potoku Shallow Creek [Płytki Potok], zmierzając do skupiska gorących źródeł. Ze skraju sosnowego lasu przez chwilę przyglądał im się kojot, potem się wycofał.

– Gdyby to miało miejsce przy szosie, z pół tuzina aut zatrzymałoby się, a te cymbały w środku pstrykałyby sobie fotkę z wilkiem, żeby po powrocie do domu mieć czym zadziwić ciotkę Marthę – wyraził opinię Larry.

Kolejny raz miał rację. Kelly widywała już takie sceny. Wiedziała, na czym polega istota sprawy. W dzisiejszych czasach większość ludzi dorastała – i dożywała ostatnich dni – w takim odizolowaniu od przyrody, że każde napotkane dzikie zwierzę w ich oczach wydawało się egzotyczne.

To jeden z aspektów, który czynił Yellowstone tak cennym. Tu właśnie rozciągały się rozległe, nie zadeptywane nadmiernie przez człowieka obszary Ameryki Północnej, na których przyroda wciąż pozostawała w stanie dziewiczym, jak przed przybyciem Europejczyków. Nigdzie indziej na świecie nie dało się znaleźć czegoś podobnego, nie tylko pod względem bogactwa dzikiej fauny.

Jeżeli jednak plama gorąca ulokowana w tym miejscu wyzwoli niszczycielskie siły, co wtedy? Wtedy tysiące mil kwadratowych niemal nieskażonej dzikiej przyrody zostałyby wyrzucone w powietrze, a potem opadłyby z powrotem, tworząc, w sensie dosłownym, największe barbecue na tym świecie. Nikt nigdy więcej nie oglądałby ani bizonów, ani wilków, ani niedźwiedzi grizzly.

Byłby to jednak najbardziej błahy powód do troski i dopiero tę wiadomość należało uznać za naprawdę złą.

Gdzieś przed nimi unosiły się kłęby pary. Przez krótką chwilę niewielkie wyniesienie terenu nie pozwalało geologom dostrzec bezpośrednio samych źródeł. Kelly pamiętała je z poprzedniej wyprawy do tego miejsca, niedługo przed tym, jak poznała Colina. Były to, cokolwiek by powiedzieć, gorące źródła. Gdyby w pobliżu przebiegały jakiegóż drogi, ludzie zatrzymywaliby się i fotografowaliby je i ustawiali się w kolejkach, by skorzystać z wyperfumowanych wychodków. Nie dorównywałyby wprawdzie atrakcyjnością tym z kompleksów geotermalnych Black Sand Basin czy Biscuit Basin, do których można dotrzeć jadąc autostradą w kierunku na północny zachód od gejzeru Old Faithful, ale nie zasługiwały wcale na miano miernych.

Rozlokowały się w obrębie z grubsza kolistego pokładu gejzerytu: szarawo-białawego nawaru z krzemionki, który wytrącał się z wody o wysokiej zawartości związków mineralnych podczas jej wychładzania. Kojarzyły się one Kelly, uwzględniając wszelkie aspekty, z wagami na obliczu ziemi. Przy odniesieniu do większej skali dało się to przyrównać dokładnie do superwulkanu Yellowstone. Żałowała tylko bardzo, że nie wie, w którym miejscu powinna wycisnąć odrobinę kosmicznego Clearasilu.

– Pamiętajcie o jednym, moi drodzy... patrzcie uważnie, gdzie stawiacie stopy. Nie ma tutaj drewnianych podestów – ostrzegł Larry. Całkiem zresztą słusznie: dysponował przecież większym doświadczeniem w terenie niż cała ich reszta razem wzięta. – Trzymajcie się z dala od skorupy gejzerytu. Może się pod wami załamać. Wcale się to wam nie spodoba, jeśli do tego dojdzie... wierzcie mi. Nie liczcie też na tropy zwierząt. Widziałem już więcej podgotowanych na parze stworzeń, niż miałem na to ochotę. Powiedziałbym, że w większości miejsc w miarę najbezpieczniejsza jest trawa. Nie mam jednak pewności, w jakim stopniu rada ta się sprawdzi, ponieważ tu wszystko ciągle ulega zmianom.

– W zasadzie nie mamy wielkiego wyboru. – Daniel patrzył, jak pozostali wspinali się na niewysoki pagórek. – Być może powinniśmy maszerować jakiś metr ponad podło żem.

– Proszę bardzo, jeśli masz na to ochotę – odparował Larry. Daniel uśmiechnął się z kwaśną miną.

Podejście w górę sprawiło, że Kelly poczuła ból w udach i łydkach. Piesza wędrówka to dobry sposób na wspaniałe nogi. (Lepsze nogi, tak czy inaczej; Kelly obawiała się, iż nigdy nie zostanie właścicielką odlotowych nóg.) Ale niczego nie dostawało się za darmo. Cokolwiek by człowiek robił, miało to swoją cenę. Im więcej przybywało jej lat, tym silniejsze było w niej przekonanie o słuszności tej życiowej prawdy.

Jak gdyby na przekór upływowi czasu (nie, nie jak gdyby – wręcz na przekór!) nadawała tempo przez pozostały odcinek drogi. Inni nie mieli nic przeciwko temu, żeby wysforowała się na czoło. Wszyscy mieli okazję bawić już wcześniej w rejonie Coffee Pot Springs. Zatem nie powinna się wczuwać zbyt w postać niezłomnego Corteza (no dobra, był to de Balboa, jeśli ktoś z uporem chce obstawach przy faktach – poeta John Keats, który pomylił jednego z drugim, miał chyba tróję z minusem z

historii cywilizacji zachodniej), który po wejściu na wysoką górę w rejonie zatoki Darien jako pierwszy biały człowiek spoglądał na dopiero odkryty Ocean Spokojny.

Tyle tylko, że w istocie rzeczy wyprawa okazała się dziewicza. Gorące źródła w skupisku tworów geotermalnych Coffee Pot Springs dostały bzika. Zupełnie nowy gejzer wyrzucał wrzącą wodę na wysokość co najmniej trzydziestu metrów. Niektóre z innych gorących źródeł przestały być bajorami. Zamiast tego wrzały i wściekały się, wypluwając z bulgotem ukrop w górę na dwa i pół do nawet trzech metrów, dążąc również do uformowania swoich własnych, wewnętrznych gejzerów. Kilka z nich, w co Kelly w najmniejszym stopniu nie wątpiła, buchało wrzątkiem w miejscach, w których wcześniej nie stwierdzono istnienia gorących źródeł.

Ruth, Daniel oraz Larry dotarli na szczyt i stanęli obok niej. Podobnie jak ona, zatrzymali się i wpatrywali z rozdziawionymi ustami, jakby nie dowierzając własnym oczom.

– A niech to lichy – ulżyła sobie Ruth.

Larry skinął głową, przytakując. Daniel, który jako pierwszy otrząsnął się z szoku, wyciągnął aparat fotograficzny z kieszeni wiatrówki i zaczął sporządzać dokumentację fotograficzną.

Kelly również sięgnęła po własny kompaktowy aparat marki Canon. Wiedziała dobrze, że trzęsienia ziemi zakłócały „instalację wodno-kanalizacyjną” pod Yellowstone. Po pamiętnym trzęsieniu ziemi w 1959 roku, któremu nadano nazwę trzęsienia Hebgen Lake, oczko wodne Sapphire Pool w obrębie skupiska geotermalnego Biscuit Basin dostało kompletnego obłądu. Erupcja bajorka przebiegła z tak wściekłą gwałtownością, że doprowadziła do zniszczenia sieci podziemnych kanałów, które zaopatrywały je w wodę. Po jakimś czasie Sapphire Pool znów przybrał postać oczka wodnego.

Wiedza o tego rodzaju nagłych zjawiskach to jedno. Ale ujrzenie na własne oczy całkowicie odmienionego skupiska geotermalnego Coffee Spot Springs... to coś całkowicie innego. Kiedy palce Kelly zaciskały się na cyfrowym aparacie, kolejna ostra, ale, dzięki Bogu, krótkotrwała seria drgań zatrzęsała ziemią pod jej stopami.

– Boję się – powiedział ktoś.

Kelly potrzebowała sekundy czy dwóch, żeby rozpoznać własny głos.

Marshall Ferguson trzymał jeden koniec ławy stołowej swojej siostry. Faceta na drugim końcu ławy znał ledwie co – to jakiś niezdarne jełop nazwiskiem Lemuel Jakośćtam. Lemuel! Vanessa umawiała się z nim na randki przez jakiś czas w szkole średniej i nawet w college’u do czasu, kiedy poznała Bryce’a.

Nie wiedział, na co się porywa. Gdyby nie był jej bratem, nie zrobiłby tego za mniej niż obciążenie druta. Ława miała rozmiary pokładu lotniskowca. Wykonana była z litego drewna, z desek grubości co najmniej siedmiu centymetrów. Ważyła nie mniej niż nosorożec. Zresztą wszystkie jej meble tyle ważyły. Dlaczego nie kupiła sobie tanich i lichych gratów, jak robi to większość ludzi?

– Gotów? – zapytał Lemuel. Nie posługiwał się nawet zdrobnieniem Lem. Niechybnie jełop i fajtlapa.

– Nie, ale miejmy to już za sobą – odpowiedział Marshall.

Lemuel potrzebował paru dobrych sekund, by pojąć sens odpowiedzi. Unieśli mebel mniej więcej równocześnie. Marshall zaklął. Ława była jeszcze cięższa, niż się wy dawało. A oni mówili, że tego nie da się zrobić!, pomyślał. Sprawy przybrały jeszcze gorszy obrót, gdyż musieli przechylić mebel, żeby mogli wynieść go przez drzwi.

Dotarł tu również ojciec oraz kilku innych, młodszych facetów, których Vanessa zwabiła takim czy innym pochlebstwem.

Ani śladu Bryce'a, rzecz jasna. Ani śladu również jej obecnego przyjaciela, starego pryka. Zdążył już wyjechać do Denver. No i ani śladu Roba, niech to szlag! Jego zespół koncertował w jakimś uczelnianym miasteczku w... czy to gdzieś w Montanie?

Ponieważ Marshall górował wzrostem nad Lemuelem, stanął na przedzie, kiedy wytaszczali ławę po schodach w dół. W ten sposób mebel pozostawał z grubsza w poziomie. Tym sposobem jednak to on musiał dźwigać większy ciężar. Farciarz ze mnie, pomyślał.

Vanessa przenosiła kartony do zaparkowanej na zewnątrz ciężarówki wynajętej od firmy transportowej U-Haul. Pickles został już ulokowany w plastikowym kocim nosidełku i miauczał wniebogłosy, jakby spodziewał się, że lada chwila zrobią na nim zabieg operacyjny na żywca w celach doświadczalnych. Marshall był gotów to uczynić. On sam raczej nie pałał specjalną ochotą odbycia przejażdżki do Denver z kotem w nosidełku na miejscu obok kierowcy. Vanessy taka perspektywa najwyraźniej nie przerażała. Nie specjalnie też garnęła się do tego, by im dopomóc, kiedy na chodniku pojawili się dwaj tragarze z ławą.

– Ostrożnie – poinstruowała. – Przecież nie macie zamiaru jej porysować.

– I kto to mówi? – zapytał z sarkazmem Marshall.

– Ja mówię – odwarknęła jego siostra. Lubiła pasjami pouczać innych. Nigdy natomiast nie wykazywała skłonności do przyjmowania nauk skierowanych pod jej adresem.

– No dalej – Lemuel ponaglił Marshalla, nie Vanesę. – Umieścimy wreszcie to pieprzone dziadostwo na ciężarówce, zanim odpadną mi ręce.

– Okej.

Marshall ponownie znalazł się na dole, kiedy po rampie wtaszczali mebel na pakę ciężarówki. Na całe szczęście wóz transportowy był na tyle duży,

że wyposażono go w rampę. Dźwignięcie łąwy do góry i umieszczenie jej na naczepie nie byłoby wcale igraszką. Skoro już o tym mowa, nic, co wiązało się z przeprowadzką, nie sprawiało wrażenia specjalnie zabawnego.

Marshall zachodził w głowę, jak Vanessa zamierzała dojechać tym smokiem do Colorado, sama siedząc za kółkiem. Nawet gdyby nie towarzyszył jej Pickles i jego lamentsy, musiała posiadać odpowiednią kategorię prawa jazdy, by sięść za kierownicą każdego większego pojazdu. Boże, a benzyna, którą spali po drodze! I...

– Kogo masz zamiar zaprząć do roboty przy wprowadzaniu się? – zapytał ją. – Czy, hm, Hagop ci pomoże?

Znał kogoś, kto stwierdził, że udzielenie komuś pomocy przy przeprowadzce jest dowodem prawdziwej miłości. Nowego faceta Vanessy spotkał kilka razy, ale nie nabrał przekonania, czy handlarz od dywanów miał w sobie aż tak wiele miłości.

– Narzeka na bóle pleców – odparła.

– Ja również... właśnie teraz – oznajmił Marshall, kiedy opuszczał łąwę na pakę.

Lemuel przykrył ją płachtą malarską, potem przesunął do narożnika naczepy i zaczął ustawiać na niej kartony, jeden na drugim. To nawet miało sens. Marshall nigdy nie posądziłby Lemuela o taką zmyślność.

– To zabawne. Sama śmieję się do rozpuku – wyznała Vanessa. – Nie musisz tutaj być, wiesz przecież. Jeśli chcesz wracać do Santa Barbara i swojej fajeczki z marychą, bardzo proszę.

Niewiele brakowało, żeby pokazał jej środkowy palec, wskoczył do swojego auta i odjechał autostradą Harbor Freeway od drogi stanowej 101. Wkurzanie jej w najmniejszym stopniu mu nie przeszkadzało. Ale ojciec nie byłby uszczęśliwiony, ujmując rzecz najogólniej. Ojciec zaś miał już

zbyt wiele powodów, by czuć się nieszczęśliwym i to najbardziej w świecie, za jego sprawą właśnie.

– Tak czy owak – ciągnęła Vanessa – z tego, co słyszę, w Denver jest nie mniej meksykańskich robotników pracujących nielegalnie niż w Los Angeles. Rozładowanie ciężarówki będzie mnie kosztować parę baksów, a może nawet mniej.

– Skoro tak twierdzisz – skomentował Marshall i odwrócił się ponownie do Lemue la. – Gotów do kolejnego ekscytującego epizodu?

– Skoro tak twierdzisz – powtórzył jak papuga Lemuel.

Nie najgorsza imitacja. Być może wcale nie był taką ofiarą losu, jak zapisał to sobie w pamięci Marshall. Albo od tamtych czasów nieco wydorósł. Któż, do diaska, mógł to wiedzieć?

Gdy tylko wybiła dwunasta w południe, Vanessa pojechała po jedzenie. Wróciła z taką ilością hamburgerów od Burger Kinga i frytek – a także, co należy poczytać jej za zasługę, krążków pokrojonej cebuli – by zatopić okręt liniowy oraz dostateczną ilość coli, by ponownie unieść go na powierzchnię. Załoga zatrudniona przy przeprowadzce brnęła przez torby z żarciem, jak niegdyś generał Sherman brnął przez Georgię, nie zostawiając za sobą prawie nic.

– Tłuszcz, cukier i kofeina – skomentował ojciec Marshalla, pochłaniając w kilku kęsach, z mlaskaniem, podwójnego whoppera z serem. – Długo w ten sposób nie pociągnę.

– Amen, tato – zgodził się Marshall. Jego podwójny whopper przetrwał odrobinę dłużej, ponieważ między kęsami raczył się plasterkami cebuli (rozbieranymi na wstążki). Poklepał się po brzuchu. – Czuję się tak, jakbym połknął kulę od kręgli.

– No – przytaknął jego ojciec i pociągnął łyk coli przez słomkę. – Po tej harówie plecy i barki dadzą mi się nieźle we znaki jutro. Robię się, do

cholery, zbyt stary, żeby bawić się w dokera.

Marshall liczył sobie o połowę lat mniej niż ojciec. Zdawał sobie sprawę, że gdy nadejdzie ranek, on także będzie cały obolały.

Chyba tylko tragarze nie miewają zakwasów? Poczł także rozbawienie, obserwując, jak ojciec rozgląda się dookoła, chcąc upewnić się, czy Vanessa nie usłyszy go, kiedy sobie ulży i zaklnie. Kogo ojciec chce nabrać? Siebie samego, najpewniej. Vanessa rzucała mięsem przy lada okazji i zupełnie się nie przejmowała, kto przebywał w pobliżu, kiedy puszczała soczystą wiąznię.

Ojciec rozejrzał się dookoła ponownie. Potem podwędził kilka plasterków cebuli z przydziału Marshalla.

– Kradzież mienia dużej wartości! – zaprotestował Marshall. – Idziesz do paki, koleś.

– Umorzono z braku dowodów – odpowiedział jego ojciec z pełnymi ustami, usilnie pracując żuchwą, by mieć pewność, że pozbedzie się reszty dowodów rzeczowych. Gdy z heroizmem przełknął całość, zmienił temat. – Za żadne skarby nie chcę, żeby twoja siostra tam jechała. Mówiłem jej o tym, ale ona wcale mnie nie słucha. – Rozległ się jego firmowy chichot. – Być może zauważyłeś.

– Kto, ja? – Wyraz niewinności w wybałuszonych oczach Marshalla sprawił, że ojciec znowu zachichotał, co jednak nie zraziło syna. Teraz to on rozejrzał się ostrożnie dookoła i ściszył głos. Vanessę raczej trudno było uznać za wcielenie dobroci i słodczy, gdy ktoś ośmielał się krytykować jej życie intymne. – Ty naprawdę nie znosisz tego handlarza dywanami, co?

– Prawdę mówiąc, nie cierpię go. Z danych wydziału komunikacji wynika, że jest dwa lata starszy ode mnie. – Ojciec miał w sobie na tyle przyzwoitości, żeby przybrać odrobinę zakłopotaną minę. – Chcę przez to

powiedzieć, że wprawdzie również spotykam się z młodszą kobietą, ale ona przecież nie jest w żadnej mierze aż o tyle młodsza.

Jego wzrok zboczył ponownie w kierunku Marshallowej torby z plasterkami cebuli. Za późno – zdążyły już zniknąć. Westchnął i zadowolił się w zamian porcją frytek. Marshall doszedł do przekonania, że ojciec powiedział już wszystko, co miał zamiar powiedzieć w tej chwili, ale okazało się, iż był w błędzie.

– Ale to nie Hagop jest powodem moich zmartwień – podjął ojciec.

– Co proszę? – zdziwił się Marshall, ale zaraz przypomniał sobie, w jaki sposób nowa przyjaciółka ojca (która, sądząc po jednym krótkim spotkaniu, sprawiała wrażenie całkiem sympatycznej – z pewnością polubił ją bardziej niż Teo) zarabiała na życie albo co chciała robić, żeby zarobić na chleb czy jak tam do diaska z nią było. Pacnął się w czoło wytłuszczoną dłonią.

– Och, na miłość boską! Tylko nie sprzedawaj znowu tej gadki o walącym się niebie! Vanessa z pewnością nie będzie tego słuchać. Opowiedz mi jakąś inną historyjkę!

– No cóż... rzeczywiście nie słuchała – przyznał jego ojciec. – Ale to nie niebo ma się zawalić. To ziemia szykuje się do erupcji. A to gorsze. Nie masz pojęcia, o ile gorsze. Nikt nie ma najmniejszego pojęcia, o ile gorsze.

Marshall przekrzywił głowę na jedną stronę.

– Tylko ty, co? To znaczy, tylko ty i Kelly?

Ku jego zaskoczeniu – nie, ku jego zdumieniu – ojciec prosto z mostu przeszedł do sedna sprawy.

– To prawda.

Ojciec wysunął podbródek, a na jego obliczu rysował się upór. Dziedziczność, pomyślał Marshall. Każdy z miejsca widział, po kim przejęła to Vanessa... i Rob również. On sam nie dostrzegał u siebie tej

cechy w takim samym stopniu. Ale z drugiej strony, kto w ogóle to dostrzega?

Ale nie w tym rzecz. Postanowił utrzyć ojcu nosa, jak karci się szczenię w chwilę po tym, gdy nasikało na dywan.

– Czy zdajesz sobie sprawę, co ty wygadujesz? Gadasz takie brednie, że chyba nadajesz się do zamknięcia w pokoju bez klamek... albo do zagrania w naprawdę szurniętym filmie telewizyjnym. Tylko ty i twoja ukochana znacie PRAWDĘ – z gorzkim sarkazmem podkreślił ostatnie słowo – i, rzecz jasna, nikt nie chce was wysłuchać. Daj mi święty spokój!

Ojciec zrobił kwaśną minę.

– To wcale nie jest tak, jak wynikałoby z twoich słów – wymamrotał.

– Rozumiem, poruczniku Ferguson. W takim razie proszę mi teraz powiedzieć, jak to jest. – Marshall dołożył wszelkich starań, by wcielić się w postać psychiatry.

Najwidoczniej jego starania okazały się dostatecznie skuteczne. Nie został stworzony do tego, żeby robić to, co sugerował jego ojciec. Chociaż ojciec śmiał się, kiedy wysuwał taką sugestię. Było w nim coś dobrego również. Marshall nie chciał z nim zadzierać. To nie sparring, chociaż ojciec pragnął starcia, a Marshall nie. Syn nie zamierzał nikogo skrzywdzić. Bywały takie chwile, kiedy jego ojciec to właśnie robił.

I znów to samo, Vanessa odziedziczyła również i tę przypadłość po ojcu. Być może Marshallowi nie zagrażało przyjęcie w poczet członków bractwa Phi Beta Kappa na Uniwersytecie Kalifornijskim w Santa Barbara – przynajmniej tak długo, jak długo miał zapasy zioła, tak czy owak – wykazał jednak na tyle bystrości, by trzymać wygadana jadaczkę zamkniętą na kłódkę w odniesieniu do tej konkretnej życiowej mądrości.

– No jazda, leniwe wałkonie! Ruszać tyłki i do roboty! – Psia krew, głos Vanessy zabrzmiał jak strzelanie z bicia.

Miała dużo kartonów z ciuchami, które nosiło się bez mozołu oraz z książkami, dźwiganie których wyciskało siódme poty. Wydawało się, że papier przeczył prawom fizyki. Karton o wymiarach 1 x 1 x 2 z całą pewnością ważył więcej niż dwa kartony 1x1x1. Lemuel chciał pozować na macho i przeniósł dwa kartony 1x1x1 naraz, po jednym w każdym ręku – ale tylko jeden raz. Potem nosił już tylko po jednym pudle w obu rękach.

Skończyli załadunek około trzeciej. Vanessa przytuliła ich wszystkich i ofiarowała każdemu buziaka w policzek.

– Dzięki, dzieciaku – zwróciła się do Marshalla. Na drugim planie Pickles wydierał się żałośnie.

– W porządku. W końcu od czego są bracia i zwierzęta juczne.

– Tak, jesteś jak zwierzę, to prawda. – Wcisnęła mu w dłoń papierowy portret z ryciną Bena Franklina. – Będę chciała ruszać w drogę. Chłopaki, możecie sobie postawić za to kolację.

Marshall zaczął już deklarować, że po takiej ilości żarcia z fast foodów, jaką pochłonęli na lunch, nie będą głodni przez następny tydzień. No tak, zaczął, ale z pewnością jednak nie dokończył. Przecież harował tak ciężko, że apetyt ponownie powoli budził się w nim do życia. Gdy nadejdzie pora kolacji, będzie w stanie w pojedynkę poradzić sobie z całym prosiakiem. Za sto dolarów nie zdoła postawić całej ekipie tragarzy pieczeni z antrykotu, ale z pewnością posmakują lepszych rzeczy niż te od Burger Kinga.

– Czy wystarczy ci kasy – zapytał z naciskiem – do czasu, kiedy jakoś się urządzisz w Kolorado.

– Dam sobie radę, tak czy inaczej – odpowiedziała.

Podeszła do ich ojca. Jego również wyściskała i cmoknęła w policzek. Powiedział coś do niej, zbyt cicho, by Marshall mógł dosłyszeć. Wtedy Vanessa odrzuciła głowę do tyłu; w sposób, w jaki tysiące razy robiła to matka, a Marshall to widywał. Wynikało z tego, że ojciec powiedział– coś

głupiego – znowu. Czy to odrzucanie głowy to cecha odziedziczona czy też Vanessa obserwowała matkę i do perfekcji nauczyła się ją naśladować, czyniąc to całkiem bezwiednie?

Postawienie jej pytania na ten temat raczej nie dałoby się uznać za zbyt mądre. I znów Marshall zamknął usta na kłódkę.

Poza tym bez trudu mógł zgadnąć, o czym rozmawiali, na podstawie tego odrzucenia głowy w tył, czemu towarzyszyła kaskada włosów. Stawiał dwa do jednego, że ojciec nawiązywał do bomby zegarowej tykającej pod terenem parku Yellowstone. Już wcześniej Marshall poszperał trochę w Internecie. Nie chodziło zresztą o to, że nie dawał wiary w istnienie tam superwulkanu. Zupełnie inną kwestię stanowił natomiast dylemat, z jakim prawdopodobieństwem dojdzie do jego erupcji pojutrze... albo, dajmy na to, najpóźniej za tydzień od tego wtorku.

Z takiej właśnie perspektywy, tak czy inaczej, Marshall postrzegał sprawę. Zdawał sobie sprawę, jak niewiele wiedział na temat wulkanów w ogóle i superwulkanu Yellowstone w szczególności. Oceniając jednak na podstawie tego, o czym poinformowały go Google i Wiki, nikt nie dysponował rozległą wiedzą o superwulkanach. W ciągu minionych iluś tam tysięcy lat nie doszło do erupcji żadnego z nich.

A jeśli żaden z nich nie eksploduje w przeciągu następnych iluś tam tysięcy lat, to z jego punktu widzenia wszystko jest w jak najlepszym porządku.

Vanessa umieściła Picklesa na przednim siedzeniu ciężarówki firmy U-Haul zajmującej się przeprowadzkami i umocowała pasem bezpieczeństwa jego nosidełko. Następnie wsiadła do kabiny. Uruchomiła silnik ciężarowego wozu. Zagrał tak, jak przystało na takiego rzęcha. Jak daleko jest z Los Angeles do Denver? Tysiąc mil, plus minus. Jeśli na liczniku

gruchot miał już tak wiele tysięcy mil, czy warto zamartwiać się o kolejny tysiąc?

Kolejne zgrzytnięcie oznaczało, że zwolniła hamulec ręczny. Hamulec bezpieczeństwa, jak wciąż mówił na to ojciec. Prawie nikt młodszy od ojca nigdy tak nie mówił.

Jednak sposób, w jaki ciężarówka do przewożenia mebli prychała, gdy wytaczała się na ulicę, wzbudził w Marshallu refleksję, iż ostatecznie wcale nie była to taka niewłaściwa nazwa. Jeśli ktoś użył z konieczności hamulca ręcznego w tym gruchocie, znaczyło to, iż znalazł się w prawdziwym niebezpieczeństwie. Pochwalił się studolarówką.

– Zjemy dobrą kolację czy przepijemy całość?

Następne dziesięć minut upłynęło im na rozważaniu za i przeciw obu opcji, potem doszli do porozumienia żydowskim targiem. Japońskie piwo kirin oraz tanie smażone owoce morza tempura wchodziły im jak z płotka po harówie przy przeprowadzce, poza tym byli tak ubrudzeni, że w każdym bardziej wykwintnym lokalu niż japońska garkuchnia, z góry podziękowano by im za chęć zostawienia paru dolców i nie wpuszczono przez próg.

– Mogło być gorzej. – Marshall nie pamiętał, że powtórzył słowa z książeczki, jaką rodzice czytali mu, kiedy był małym chłopcem. Wydawało się, że to miejsce oraz jedzenie i piwo tchnęły jakąś nostalgiczną i sentymentalną atmosferą.

Ta atmosfera jakimś sposobem udzieliła się również jemu.

– Tego się właśnie obawiam – powiedział jego ojciec.

Kiedy cały zespół oraz wszystkie graty niezbędne do grania koncertów przestawały się mieścić w jednej dużej starej furgonetce, było oczywiste, iż kapela zaczynała sobie nieźle radzić w muzycznym biznesie. Członkowie grupy Tryskająca Żaba I Ewoluuujące Kijanki czuli się nieco zdeprymowani

podróżując dwoma autami, ale tak już się stało. Rob Ferguson zdawał sobie sprawę, że uchodził w zespole za kutwę, ale nawet on nie wyrażał głośno niezadowolenia, gdy kupowali drugiego vana. Kiedy była epoka jazdy koleją, to była epoka jazdy koleją, i to naprawdę wszystko na ten temat.

Nie zmieniali sposobu bycia, żeby prezentować się ekstrawagancko czy nawet krzykliwie; Tryskająca Żaba i Ewoluuujące Kijanki nie tworzyły tego rodzaju kapeli. Byli po prostu czwórką zmęczonych facetów, w wieku dwudziestu kilku lat, kiedy zjeżdżali z autostrady międzystanowej 190 i jechali dalej na południe w kierunku miejsca, gdzie tego wieczoru mieli zanoćcować.

Rob siedział na miejscu obok kierowcy w pierwszej furgonetce, więc to jemu przypadła rola nawigatora i oka na bocianim gnieździe.

– Tam jest! – powiedział, wskazując na tablicę informacyjną po lewej stronie ulicy. – Rubby’s Inn.

– Jak dobrze – ucieszył się Justin Nachman, który prowadził.

Zespół raczej unikał dużych hotelowych sieci o zasięgu krajowym. W takim przypadku wiadomo było, co się dostaje, zgoda. To dobra wiadomość. Co więcej, to zarazem zła wiadomość. Justin zwolnił.

– Gdzie do licha wsadzili ten głupi podjazd? – wymamrotał Justin, dysząc.

Rob miał już zasugerować, gdzie mogli go sobie wsadzić, kiedy Justin wreszcie odnalazł drogę. Okazało się, że zajazd Ruby’s Inn miał wspólny podjazd z motelem położonym dalej na południe. Niewielki konwój zjechał na parking. Jedna z dziewczyn za ladą w recepcji, blondynka, która za kolejnych pięć lub dziesięć lat będzie zapewne spasiona jak prosiak, nie sprawiała wrażenia osoby specjalnie rozgarniętej. Druga natomiast, szczupła brunetka, nie tylko wiedziała o rezerwacji zrobionej przez zespół, ale nawet zagwizdała pierwsze takty utworu Niemożliwe rzeczy przed

śniadaniem [„Impossible Things Before Breakfast”], jednego z kawałków umieszczonych na nowym albumie.

Michael Jackson bądź Mariah Carey popełniliby zapewne seppuku, gdyby ich album sprzedawał się tak, jak płyta Wynurzenie [„Out of the Pond”]. No cóż, Michael Jackson zdążył już opuścić ziemski padół, ale każdy wie, o co się rozchodzi. Gdy mowa o zespole Tryskająca Żaba i Ewoluuujące Kijanki, liczby, które byłyby katastrofalne w odniesieniu do wielkiego koncertu wielkiej gwiazdy, okazywały się wręcz zawrotne. Ponadto więcej kasy zarabiali teraz na sprzedaży w Internecie z serwisu iTunes oraz dzięki dystrybucji płyt CD niż z koncertów na żywo, co nie zdarzyło się nigdy wcześniej. Obecnie mogli sobie pozwolić na to, by poświęcić więcej czasu na odpowiednie dopracowanie ich kolejnego muzycznego wydawnictwa.

Być może zatem nie stanowiło to aż tak ogromnego zaskoczenia, że dziewczyna z recepcji знаła jeden czy drugi kawałek z albumu Wynurzenie. To miłe, tak. I z pewnością przydawało wiary we własne siły. Być może jednak wcale nie tak ogromne zaskoczenie.

Utwór Niemożliwe rzeczy przed śniadaniem nie został przecież wydany na singlu. Nigdy nie został i nigdy nie zostanie. Jeśli ktoś znał ten kawałek, nie tylko posiadał album, ale naprawdę go lubił.

– Wybierasz się na koncert jutro wieczorem? – zapytał ją Rob. Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Nie stać mnie na to – odparła z żalem w głosie.

– Jak się nazywasz?

– Tina Morton. Zanotował.

– Skontaktuj się z kasą przedsprzedaży. Będą mieli miejsce dla ciebie.

– Dzięki.

Obdarzyła go promiennym uśmiechem. Być może później urodzi się z tego coś obiecującego, a być może nie. Nie zawracał sobie tym głowy w tej chwili. Bilety kosztowały tylko dwadzieścia pięć dolców, ale nie upłynęło wiele dni od czasów, kiedy dwadzieścia pięć dolców dla niego samego wcale nie znaczyło tylko. A jeśli kolejny album ugrzęźnie, zamiast odbić na szerokie wody z miejsca, do którego dotarł „Out of the Pond”, wróci dokładnie do tego samego punktu.

Pokoje, położone jeden obok drugiego, były, co tu gadać, jak to pokoje. Rob kwaterował w wielu różnych pokojach w wielu różnych miejscach. Niektóre bywały lepsze od tych, częściej jednak nocował w gorszych. Te znajdowały się na parterze, jak zespół sobie zażyzył. Nie musieli taszczyć sprzętu schodami na górę i na dół.

Kiedy wynieśli już wszystko z samochodów, Justin przeciągnął się i wykrzywił twarz w grymasie, odgrywając pantomimicznie ból pleców.

– Któregoś dnia zrobimy się zbyt starzy na dźwiganie tego wszystkiego. Któregoś dnia, wkrótce – skorygował, zatem być może wcale nie udawał dolegliwości w krzyżu. – Co wtedy zrobimy?

– Nie chodzi o to, co zrobimy wtedy. Chodzi o to, co zrobimy w międzyczasie. Musimy osiągnąć na tyle duży sukces, żebyśmy mogli pozwolić sobie na opłacenie ekipy technicznej, która zamiast nas zajmie się dźwiganie tego ciężkiego, wyciskającego siódme poty gówna – stwierdził Rob. – A teraz chciałbym dowiedzieć się, gdzie można pójść na kolację, kiedy zawitało się w gościnę do Missouli w stanie Montana?

– Idź do recepcji i zapytaj Tinę – odpowiedział Justin. – Albo ja pójdę, jeśli ty nie chcesz. Nie jest wcale taka zła.

– Mój stary zawsze mi mówił Nigdy nie zgłaszaj się na ochotnika, ale jednak to zrobię. Nie jest wcale taka zła to dobrze powiedziane – odparł

Rob. – Poza tym zna niemożliwe rzeczy przed śniadaniem! Do jakiego stopnia jest to niemożliwe?

– To w zasadzie niemożliwe, w większości miejsc, ale raz na jakiś czas wypuszczają świrów z Domu Nieuleczalnie Umysłowo Chorych – wyraził opinię Justin.

Rob pokazał mu środkowy palec uniesiony w górę i ruszył w stronę recepcji, by uciąć sobie pogawędkę z Tiną. Kiedy wrócił, Justin nagrodził go szyderczymi oklaskami.

– Dwadzieścia minut, człowieku. Co wyście tam robili?

– Gwarzyliśmy sobie.

– Już ci wierzę! Nie słyszałem, żeby ktoś kiedykolwiek tak to nazywał. W tym czasie posunąłeś ją chyba ze dwa razy.

– Nie dałbym rady – odparł Rob z godnością. – Niektórzy, gdy ktoś pierwszy raz obciąża im laskę, nie spuszcza ją tak szybko. Tak czy inaczej, w kwestii kolacji...

– Chcesz powiedzieć, że pamiętałeś również o kolacji?

Rob nie reagował na docinki. Nie przyszło mu to łatwo, ale jakoś zdołał nad sobą zapanować.

– O pół przecznicę stąd, z powrotem w stronę autostrady międzystanowej działa przybytek o nazwie Stone of Accord. „Gdzie język garlicki spotyka się czosnkiem” (ang. garlic to czosnek, przyp. tł.), takie motto widnieje na menu... Tina pokazała mi ich kartę dań.

– Peklowana wołowina i makaron linguine.

– Pizza z kapustą! A niech to!

– Menu wygląda całkiem smakowicie. Mają tam również piwo Moose Drool z beczki. Mniej więcej półtorej przecznicę w przeciwną stronę działa Montana Club. Jeśli nie straciliście całej swojej forsy w kasynie, możecie tam zjeść kolację.

Rob znał pokerowe kluby, które funkcjonowały jednocześnie jako restauracje; w San Atanasio działało ich kilka. Kiedy był mały, miasto ściągało z nich sowite podatki. Obecnie, gdy powstały wielkie kasyna na terenach indiańskich rezerwatów, kluby popadły w tarapaty. A bez forsy z podatków także San Atanasio.

– Który jest lepszy?

– Stone of Accord jest o parę baksów tańszy. Tina twierdzi, że jedzenie też jest tam lepsze.

– Okej. Zwalimy winę na nią, jeśli żarcie okaże się gówniane.

– Justin położył dłoń na ramieniu Roba. – Ale nie martw się. Na ciebie również zwalimy. Jeśli natomiast będzie w dechę, całą zasługę przypiszemy jej.

– Rozmawiałeś już z moim ojcem? – zapytał Rob, nie całkiem żartem. Kapela udała się spacerem do przybytku Stone of Accord. Jedzenie smakowało wybornie. Trzej pozostali członkowie zespołu wznosili toasty za zdrowie Tiny. Mocny porter Moose Drool z beczki smakował równie zacnie, co reszta porterów niedorównujących marce Guinness. Jeśli ktoś miał ochotę na Guinnessa, wystarczyło tylko zamówić sobie kufel.

Kelnerka rozpoznała ich.

– Wyglądacie dokładnie tak samo jak w Internecie! – wykrzyknęła, jakby to miało być w jakimkolwiek stopniu zaskakujące.

– Nie ja – zaprotestował Rob z poważną miną. – Nie pozwoliłbym im sfotografować mojego gołego tyłka.

– Wyciągnęliśmy go z butli z formaldehydem – dorzucił Justin. Dziewczyna spojrzała na niego nieco dziwnym wzrokiem, co oznaczało, iż nie ma zielonego pojęcia, czym, do jasnej cholery, jest formaldehyd. Bardziej skomplikowane niż informaldehyd, zasugerował w myślach Rob.

Brak zamiłowania do kalamburów zaliczał się również do cech, jakie odziedziczył po ojcu.

– Gracie chłopaki w hali Civic Stadium, prawda? – zapytała.

– Nie, w klubie Golden Sluice, w pobliżu kampusu uniwersyteckiego – wyjaśnił Rob.

– Znam ten klub. Tam jest za mało miejsca, bez dwóch zdań! – skomentowała. – Ludzie będą się tam cisnąć jak śledzie. Kolejka zawinie się dookoła budynku. Jesteście chłopaki najbardziej czaderską kapelą, jaka przyjechała do miasteczka od długiego czasu.

W takim razie, miej Boże w swej pieczy Missoulę, – pomyślał Rob.

– Podoba mi się jej gadka – powiedział na głos.

– Mnie również – wyraził głośno podobną opinię Biff Thorvald.

Z jego słów wynikało, że podobała mu się nawet bardzo. Wziął od niej nazwisko i obiecał bilet. Jeśli mieli sprzedać całą salę, to dlaczego, do cholery, mieliby tego nie zrobić? Robowi bardziej przypadła do gustu Tina – przynajmniej rozumiała ich dowcipy – ale kelnerka w żadnej mierze nie przypominała raszpli. Wprawdzie nikt nie mógł dać gwarancji, ale życie w trasie dawało niekiedy wiele radości.

ROZDZIAŁ V

– O Chryste! Jeszcze jedna – stęknął żałośnie Colin Ferguson.

Nie wszystkie filigranowe starsze panie, które umierały w San Atanasio, trafiały na strony w teczce sprawy Dusiciela z South Bay. A nawet nie wszystkie filigranowe starsze panie, które zostały zamordowane w mieście. Zaledwie przed tygodniem ćpun na głodzie plądrujący dom w poszukiwaniu byle jakiego łupu, żeby tylko mieć na prochy, władował trzy kulki w siedemdziesięcioczeroletnią Lupe Sandoval, kiedy ta wcześniej, niż się spodziewał, wróciła z marketu sieci Safeway. Jedna z kul rozwalila tył jej głowy. Ćpun siedział teraz w celi, czekając na postawienie w stan oskarżenia. Colin już go przesłuchał; smarkacz wciąż nie zdawał sobie sprawy, że dopuścił się czegoś złego. Coś takiego sprawia, że człowiek zachodzi czasami w głowę, czy warto się tak szarpać. Rodzina wdowy Sandoval usiłowała w tym czasie zdobyć kasę, potrzebną na jej pochówek.

Jednak Maria Peterfalvy... Uciekła z Węgier w 1956 roku, tuż przed wejściem radzieckich czołgów. Czarno-biała fotografia w ramce na komodzie przedstawiała jej podobiznę z czasów niewiele późniejszych. Była zjawiskowo piękna; niech tylko ktoś ośmieliłby się w to powątpiewać.

Teraz już nie zachwycała urodą, gdy leżała na podłodze w sypialni niewielkiego ciasnego domku w zabudowie szeregowej, w którym zamieszkiwała od z górą czterdziestu lat. Początkowo z mężem i dziećmi; potem samotnie, kiedy on opuścił ziemski padół, a one odeszły na swoje.

Teraz ona również pożegnała doczesny świat. Gabe Sanchez wyjrzał przez okno. Przezroczyste firanki nie pozwalały ciekawskim zajrzeć z zewnątrz, ale nie na odwrót.

– Nadjechał już pierwszy wóz stacji telewizyjnej – powiadomił Sanchez.

– Cholernie szczęśliwy dzień – skomentował Colin. Pani Peterfalvy nie miałyby nic przeciwko jego wulgarnemu słownictwu, z pewnością już nie. Przygładził włosy dłonią, chociaż nie zdołał stworzyć imitacji idealnej koafiury reportera stacji informacyjnej.

– Powiedzcie mi, sierżancie, jak to się stało, że wciąż nie zdołaliście schwytać tego skurwysyna Dusiciela, mimo iż posłał na łono Abrahama – ile to już? Dziewiętnaście? – starszych pań drobnej postury.

– Tak, dziewiętnaście, zgadza się – odparł Sanchez, jak gdyby rzeczywiście udzielał wywiadu. – Nie zdołaliśmy go schwytać, ponieważ nigdzie nie zostawił odcisków palców, a jego pieprzonego DNA nie ma w żadnej z naszych baz danych. – Spojrzał na Colina, jakby jego szef naprawdę wcielił się w umysłowo upośledzonego reportera. – Dlaczego zatem się pan nie odpierdoli i nie zdechnie? I dlaczego nie pozwoli mi wziąć się za moją robotę?

– Ale czy nie pojmuję pan, że nie zapewnia pan bezpieczeństwa społeczeństwu w stopniu, na jaki społeczeństwo zasługuje, by je chronić? – Nie dawał za wygraną Colin, spoglądając wzrokiem pełnym niewinnego oburzenia (lub być może zwykłej ignorancji).

Gabe Sanchez zamierzał coś powiedzieć, potem się rozmyślił i pokręcił przecząco głową.

– Człowieku, to przerażające. Mówisz zupełnie tak, jak jeden z tych gnojków. Jak ty to robisz?

– Im częściej powtarzasz swoje własne słowa, tym lepiej potrafisz naśladować – odpowiedział Colin. – To znaczy, jeśli powiesz coś tylko raz, nie może to być ważne, zgoda? I nie może również posiadać rzeczywistego znaczenia.

– To też – zgodził się Sanchez. – Właśnie nadjeżdża drugi wóz transmisyjny.

– Gdzie się podziewa koroner? – zapytał Colin posępnie. – To on jest gościem, który musi udzielić odpowiedzi na pytania. Chciałem powiedzieć on oraz analitycy od DNA.

– Ale to ty jesteś oficerem, który prowadzi dochodzenie. A to oznacza, że jesteś facetem, który zna wszystkie odpowiedzi – wyprowadził go z błędu Gabe. – Zdaje pan sobie z tego sprawę, panie poruczniku. Właśnie przed chwilą mówili o tym w telewizorze. Colin powiedział mu, gdzie może sobie wsadzić ten telewizor i jak powinien go złożyć, zanim go sobie tam wsadzi. Sierżant Sanchez roześmiał się. Mógł sobie na to pozwolić; nie on prowadził to dochodzenie. Colin Ferguson również nie, przynajmniej nie do końca. Nawet uwzględnivszy panią Peterfalvy, w San Atanasio mieszkało tylko siedem ofiar Dusiciela z South Bay. Inni nieszczęśni i udęczeni policjanci również szukali go po ca łym regionie.

Ale to porucznik Ferguson znajdował się tu i teraz. Wszedł na zewnątrz, by stanąć twarzą w twarz z wilkami. Żałował, że nie byli wilkami. Mógłby im wtedy rzucić surowe mięso. Mógłby ich powystrzelać. Gdyby wszystko inne zawiodło, mógłby starać się ich przekonać. Reporterzy wykazywali odporność na rzeczową argumentację, a na zaspokojenie ich głodu nie starczyłoby surowego mięsa, nawet gdyby je zwieźć z całego świata. Gdyby otworzył do nich ogień, znalazłby się w czołówkach serwisów informacyjnych.

Zamaszystym krokiem wszedł na starannie utrzymany trawnik pani Peterfalvy. Bez cienia wątpliwości reporterzy rzucą się na niego niczym ociekające śliną bestie, jakimi w istocie rzeczy byli. Wysłannicy stacji radiowych i telewizyjnych niemal wciskali mu mikrofony w twarz. Odczuwał wobec nich jeszcze większą awersję niż wobec pismaków pracujących dla gazet. Od tych ostatnich wymagano przynajmniej umiejętności posługiwania się piórem. Ludzie z telewizji musieli jedynie

umieć czytać i niekoniecznie nawet wykazując na tym polu szczególną biegłość.

Kamerzyści wycelowali w niego swój sprzęt niczym bazooki. Jednak w odróżnieniu od pancierzownic kamery telewizyjne potrafiły zniszczyć reputację człowieka, o ile ten nie zachował roztropności. Ludzie po drugiej stronie obiektywów spoglądali na to, co filmowali z pewną dozą ironicznego dystansu. W przeciwieństwie do gwiazd i celebrytów, których usiłowali wypuścić na manowce, oni sami w istocie rzeczy musieli znać się na tym, co robili.

Maniery reporterów wywodziły się wprost z przedszkola. Czworo z nich zadawało pytania naraz, przekrzykując się nawzajem. Nie wołali wprawdzie Ja!... Nie, ja!... NIE, JA!, ale równie dobrze mogliby to robić. Colin uniósł dłoń, zupełnie jak opiekun nadzorujący maluchy na placu zabaw.

– Jeżeli wszyscy będzie mówili jednocześnie, nie usłyszę żadnego z was – oznajmił. Poskutkowało to tym, że krzyczeli jeszcze głośniej. Zaczęli też wymachiwać rękoma. Colin wskazał na spasionego gościa o latynoskich rysach ze stacji, jak mu się wydawało, Eyewitness News.

– Słucham, Victorze?

– Czy to znowu Dusiciel z South Bay, tam w środku? – zapytał Victor, poprawiając sobie włosy dłonią, w której nie trzymał mikrofonu.

– Oczywiście, że nie – odpowiedział Colin z kamienną twarzą.

– Ofiarą jest Maria Peterfalvy, wiek siedemdziesiąt dziewięć lat. Przeliterował nazwisko. Niektórzy z reporterów, na co miał niezbite dowody, nie potrafili poprawnie przeliterować własnego nazwiska więcej niż dwa razy na trzy próby.

Victor tupnął nogą o chodnik. Wykrzywił dolną wargę jak trzylatek, który lada chwila dostanie napadu złości.

– Nie! – zdołał jednak wydusić z siebie. – Chodzi mi o to, czy to Dusiciel z South Bay ją udusił?

To dlaczego nie mówisz, o co ci chodzi? Colin wiedział z doświadczenia, że ludzie, którzy nie wysławiali się logicznie, nie potrafili myśleć logicznie. Idąc dalej tym tokiem rozumowania, ktoś, kto zakładał, że telewizyjny reporter myśli logicznie, był zbyt naiwny, by mógł zostać dobrym gliniarzem.

– Nie mamy jeszcze, co oczywiste, żadnych informacji z laboratorium – oświadczył Colin. – Prawdę mówiąc policyjni technicy jeszcze tu nawet nie dotarli. Nie możemy zatem na razie być tego pewni.

– Ale pan tak podejrzewa?

Kobieta o rudych włosach w ciemnozielonej garsonce nie mogła wylądować dalej niż na czwartym miejscu w konkursie na Miss Kalifornii przed sześcioma lub ośmioma laty. Czy zatrudnili ją ze względu na reporterskie talenty, czy może z uwagi na to, jak jej kształty wpasowywały się w ten kostium? Colin nie mógł mieć co do tego absolutnej pewności, ale wiedział, co podpowiadała mu intuicja.

Wiedział również, że, o ile zaprzeczy, większość reporterów rozejdzie się nabzdyczona. Dusiciel z South Bay stanowił rajcowny temat, zwłaszcza w telewizyjnym sezonie ogórkowym. Któż zawracałby sobie głowę jakimś zwyczajnym, otępiałym mordercą? Biedna Lupe Sandoval nie załapała się na serwisy informacyjne, chociaż była martwa w niemniejszym stopniu niż pani Peterfalvy.

– Wszystko, co tu zobaczyliśmy, jest zgodne z tym, jak działa Dusiciel – oznajmił z niechęcią detektyw. – Rzecz jasna, nie możemy wykluczyć, że mamy do czynienia z zabójstwem wzorowanym na innym, ale to chyba mało prawdopodobne.

Pewne szczegóły dotyczące sposobu działania Dusiciela nie dotarły jeszcze do mediów. (Gdyby dotarły, jedna czy druga stacja telewizyjna natychmiast nagłośniłaby temat pod niebiosa, z dopiskiem dużymi literami na pasku „NA WYŁĄCZNOŚĆ!”) – Jak długo jeszcze będziecie pozwalać, żeby Dusiciel zastraszał kobiety na całym rozległym obszarze hrabstwa Los Angeles? – żądał wyjaśnień inny telewizyjny reporter, jak gdyby porucznik Ferguson ponosił winę za wszystko.

Colin nie miał żadnych wątpliwości, że ktoś postawi tego rodzaju pytanie. Przy okazji to jeden z powodów, dla których niecierpliwie czekał na spotkanie z mediami.

– Robimy wszystko, co w naszej mocy, by schwytać tego drania, Dave – zadeklarował. – Jeżeli jesteś w stanie podać jakiś fakt, który przeoczyliśmy, słucham ciebie. Wierzcie mi, że zamieniam się w słuch.

– To nie moja rola! – Z głosu Dave’a przebijało oburzenie.

I miał ku temu powody – następna konstatacja powinna być jego pierwszą. – Wasze działania nie pomogły nazbyt wiele pani, ee, Peterfalk, nieprawdaż?

Colin mógł wiedzieć – tam do licha, wiedział – że reporter dosłyszał nazwisko z błędem, przypuszczalnie takim właśnie, jaki powtórzył.

– Peterfalvy – skorygował z zimną uprzejmością i przeliterował raz jeszcze. Oczywiście, po próżnicy. Jedyna sposobność wykazania reporterom, że są kretykami, nadarzała się wtedy, kiedy zjawiali się nie mając jeszcze żadnych materiałów do przeczytania – dajmy na to w trakcie pościgu samochodowego. W przeciwnym razie materiały pisemne przygotowane przez ludzi bardziej od nich bystrych przysłaniały ich umysłowe otępienie i głupotę.

– Jakież ślady, że Dusiciel zakradł się tutaj? – zapytał Mort Greenbaum, prowadzący rubrykę kryminalną w lokalnym dzienniku „Breeze” niemal

równie długo, jak Colin służył w policji San Atanasio. Ujmując innymi słowy, nie na tyle jednak długo, by zaczynać robotę w kapeluszu fedora, z nachylnym do dołu rondem z przodu, gdy panowała taka moda, ale jednak dostatecznie długo, by sprawiać wrażenie, że tak właśnie sprawy się miały.

– Cóż, jak już wcześniej powiedziałem, ekipa techniczna nie zdążyła jeszcze przewrócić domu do góry nogami i na lewą stronę, zatem nie mogę stwierdzić tego definitywnie – odpowiedział Colin. – Tak od ręki jednak, nie jestem w stanie tego potwierdzić na pewno.

– I tu cię mam. – Mort miał dyktafon, ale sporządzał również notatki, przypuszczalnie po to, by poukładać jakoś własne myśli.

– Prędzej czy później powinien się ujawnić, racja? – kontynuował, podnosząc wzrok znad zapisków.

– Bóg jeden wie, że mam taką nadzieję – odparł Colin.

– Albo ewentualnie wybierze sobie starszą panią drobnej postury, która sypia ze spluwą kaliber 0,45 cala pod poduszką.

– Być może wybierze sobie – zgodził się Colin. – Ciągle żywię nadzieję, że jednak go schwytamy. Nie chcemy pozwolić na to, by cywile dopuścili się samosądu.

– Czy szanse schwytania nie wzrosłyby, gdyby komenda policji w San Atanasio – gdyby wszystkie komisariaty na zagrożonym obszarze – działały w sposób bardziej kompetentny?

Dave pojął w końcu, że Colin sobie z niego drwi za przekręcanie nazwiska pani Peterfalvy. Policjanci często w ten sposób traktowali telewizyjne osobowości, chociaż naturalną koleją rzeczy powinno być akurat na odwrót. Przystojny mężczyzna w garniturze od Hugo Bossa, dotknięty do żywego, usiłował teraz jakoś się odegrać.

Telewizyjne serwisy informacyjne byłyby o niebo lepsze, gdybyście wy, kłowni, nie cierpieli na umysłowe upośledzenie. Colin zdołał się – jednak –

powstrzymać od wypowiedzenia tej opinii na głos. Nie należy dawać im do zrozumienia, co się o nich sądzi. Ponadto komendant sprawiłby mu niezłe manto, gdyby po raz kolejny wdał się w pyskówkę z reporterem. Życie trwało zbyt krótko. Wielka szkoda, cholera, ale to bezsporny fakt.

– Jak już wam mówiłem, robimy wszystko, wedle naszej najlepszej wiedzy i woli, żeby go dopaść. Policja stanowa oraz FBI udzielają nam również wsparcia – oznajmił Colin. – Spodziewamy się końcowego sukcesu.

– Ile jeszcze niewinnych ofiar z konieczności opuści ten świat, zanim dopniecie swego? – zapytał z teatralną emfazą Dave. Nawet nie zdawał sobie sprawy, jak niewiele brakowało, by to on sam stał się kolejną śmiertelną ofiarą.

Wtedy nadjechali koroner i policyjni technicy. Niektórzy reporterzy dopadli doktora Ishikawę, by od niego wydobyć parę konkretów. On i ekipa techniczna niczego jeszcze nie zrobili, ani nawet nie przeprowadzili oględzin miejsca zbrodni, jednak fakt ten w najmniejszym stopniu nie przeszkadzał reprezentantom czwartej władzy. Inne reporterskie hieny ruszyły na poszukiwanie sąsiadów, by móc przytoczyć ich wypowiedzi na temat starszej pani Peterfalvy. Gdyby sąsiedzi nie powiedzieli im, że była to miła pani w podeszłym wieku, która nigdy nie wadziła nikomu, Colin dowiedziałby się czegoś nowego o naturze człowieka.

Sierżant Sanchez wyłonił się zza pleców Colina.

– Chłopie, to był niezły ubaw – rzekł cichym głosem.

– Zawsze jest – przyznał Colin. – Mam ochotę na szluga, chociaż wcale nie palę. Mam też ochotę na lufę.

– Zauważyłem, iż nie nadmieniałeś o tym, że nie pijesz.

– Brawo, Sherlocku! Ale ja nie piję. Nie piję na służbie. Chyba że naprawdę muszę golnąć jednego. Albo więcej niż jednego.

– Nigdy się nie wygadam – zapewnił Sanchez.

– Ale ktoś inny mógłby. Albo wychwyci to jakaś kamera monitoringowa. Albo coś innego pójdzie nie po myśli. Aż tak bardzo nie pragnę tej lufy. Aczkolwiek nie miałbym nic przeciw wypisaniu mandatu temu popierdoleńcowi ze stacji Chanel 2.

– Uważasz, że ich wóz transmisyjny stoi dostatecznie blisko hydrantu, żeby wystawić im mandat?

Colin się przyjrzał.

– Nie – rozstrzygnął z żalem. – Poza tym zdjęłby ich cykor, gdyby zrobił to jeden z nas. Utrzymywaliby, że to odwet z naszej strony za zadawane przez nich głupawe pytania, jakie nam nie przypadły do gustu. I mieliby rację. Ale tego już nie dopowiedział na głos.

– Nie miałem na myśli ciebie ani mnie. Przecież właśnie po to dobry Bóg stworzył gości w granatowych uniformach.

Sanchez sam przestał nosić mundur wcale nie tak dawno temu. Sposób, w jaki to powiedział, sugerował, że nigdy go nie nosił.

Cóż, Colin miał dokładnie takie samo podejście. Podobnie zresztą, jak większość gliniarzy.

– Opuśćmy im – postanowił. – Ten ciul i tak nie zapłaciłby za mandat z własnej kieszeni. Stacje telewizyjne dysponują forszą, z której płacą za swoich dupków.

– Też bym tak chciał – wyznał ponuro Gabe Sanchez. – Wydaję coraz więcej kasy na dzieciaki. Chyba uważają, że mam w kiszkach mennicę i naprawdę sram forszą. – Skierował wzrok na Colina. – Twoje już w zasadzie podorastały. Czy kiedykolwiek przestały wycyganiać od ciebie mamonę?

– W końcu. W dużej mierze. Ale ten, który ciągle studiuje w college'u, wyruszył w żmudną drogę i dokłada starań, by nadrobić z nawiązką za

pozostałych dwoje. Do tego dochodzą jeszcze rachunki od prawników, ale ty przecież poczułeś je na własnej skórze – skomentował Colin.

– Kurwa, a jakżeby inaczej! – Sanchez się wzdrygnął. – A do tego te matki posyłające dzieciaki do Harvardu no i jeszcze te kieszonkowe dla nich. Nic dziwnego, że rządzą krajem.

– Nic dziwnego, w żadnym razie – przytaknął Colin.

Gabe to zrozumiał, zgoda. Jakżeż by inaczej! Colin pocieszał sam siebie, przypominając sobie, że nawet bachory prawników popadały w uzależnienie od alkoholu i narkotyków. Niektóre z nich uświadamiały sobie, że bardziej niż uzyskanie dyplomu interesuje ich odkrywanie własnego ego. Inne dochodziły do przekonania, że wiedzą już wszystko i także rzucały uczelnię bez dyplomu. Jeszcze inne kończyły studia, ale potem usiłowały wiązać koniec z końcem jako rockandrollowcy, zamiast iść z sensem w ślady ojca i matki.

Znał wszystkie te stare śpiewki. Być może, koniec końców, kiedyś wszystko to się wyrówna. Być może. Gdyby jednak miał iść o zakład, nie postawiłby niczego, na utratę czego nie mógłby sobie pozwolić.

Doktor Ishikawa wyszedł ze schludnego, małego domku pani Peterfalvy.

– Nie będziemy mieli pewności, dopóki nie nadejdą wyniki badania DNA, ale faktycznie wygląda to na kolejny przypadek.

– Tak, doszedłem do tego samego wniosku – potwierdził Colin. – Czy ten facet kiedykolwiek spierdoli robotę?

Przywołał na twarz optymistyczny wyraz z myślą o debilach z telewizji. W gronie swoich mógł powiedzieć, co myśli naprawdę. Gliniarze stanowili jedną rodzinę. Nie wykorzystywali prawdy – zazwyczaj – przeciwko tobie.

Nie znaczy to wcale, że przynosiło to wiele dobrego. Ale tak właśnie było, a Colin czerpał z tego drobne korzyści, o ile nadarzyła się ku temu okazja.

Góry Skaliste. Widniały tam, tuż za oknem jej mieszkania. Vanessie to się spodobało. W pogodne dni mogła dojrzeć góry również w Los Angeles, ale tamte siedziały niżej na horyzoncie i z pewnością nie ciągnęły się z północy na południe w jednej wspaniałej prostej linii. A kiedy pojawiał się smog, góry znikaly.

Góry Skaliste, przyznać trzeba gwoli sprawiedliwości, także znikaly, kiedy pojawiał się smog. Aż do przenosin tutaj nie sądziła, że w Denver może formować się smog. A tu niespodzianka! Zbyt wiele samochodów w zbyt małej przestrzeni może powodować smog niemal wszędzie. Po Denver jeździło takie mnóstwo aut, ponadto w minionych dwudziestu latach takie rzesze ludzi przeprowadziły się tutaj, uciekając przed zatłoczeniem i zanieczyszczeniem w pieprzonych miejscach, z których przybyli, że w rezultacie lokalna sieć dróg była beznadziejnie przeciążona. Poranne i popołudniowe korki uliczne sprawiały, że Vanessa zatęskniła za dojazdami do pracy w Los Angeles. Dopóki się nie przeprowadziła, nie potrafiła wyobrazić sobie, że cokolwiek może wywołać taki stan.

Pickles nie okazał się fanatycznym entuzjastą Denver. Kilka pierwszych dni po przyjeździe tutaj upłynęło mu na obszczywaniu i obsrywaniu chodnika. Vanessa zużyła całą buteleczkę tandetnej enzymatycznej mikstury Nature's Miracle, ale w mieszkaniu wciąż jechało kotem. Co oczywiste, to po części rytuał znakowania nowego terytorium. Po części jednak kocur wyrażał w ten sposób swoją opinię na temat kogoś, kto miał czelność uwięzić go w klatce na czas dostatecznie długi, by z Kalifornii dotrzeć do Kolorado. Nie potrafił wprawdzie pisać gniewnych e-maili, ale mimo to zdołał upublicznić własny przekaz.

Vanessa nie zarabiała w nowej pracy tak dobrze, jak w tej, którą rzuciła. Ale za to miała większe, nowsze i tańsze mieszkanie niż lokum, które wynajmowała poprzednio. Ludzie w Denver psioczyli na wysokie ceny

domów i mieszkań. Na Vanessie jednak nie zrobiły specjalnego wrażenia. W Los Angeles wciąż panowała większa drożyzna, nawet po paru krachach na rynku.

Nową pracą nie zachwycała się jakoś szczególnie. Firma Amalgamated Humanoids produkowała wszystko, począwszy od manekinów stosowanych w testach wypadkowych po fantazyjne, wydające różne odgłosy, sterowane elektronicznie roboty. Firma ubiegała się o liczne rządowe granty i dotacje, dlatego też potrzebowano tu kogoś do pisania i przeredagowywania konkursowych ofert. Lektura zapytań ofertowych przesyłanych przez władze federalne stanowiła dowód tego, że Waszyngton wierzył w karę śmierci, przynajmniej przez zanudzenie. Natomiast lektura tego, co rzekomo rozgarnięci inżynierowie z Amalgamated Humanoids w swej naiwności uznawali za język angielski, stanowiła niezbity dowód na to, że niektórzy ludzie osiągnęli wiek dojrzały bez znajomości mowy ojczystej. Tak czy owak, to najbardziej uprzejme wytłumaczenie, jakie Vanessa zdołała znaleźć.

Nie przepadała za pracą, którą rzuciła, żeby móc przenieść się do Denver. Nie pałała również entuzjazmem do zajęcia, którym się parała przed pracą w Gorczany Industries. Na dobrą sprawę nie podobało się jej także studiowanie na Long Beach State, co w rezultacie skłoniło ją do przerwania nauki i poszukania sobie pracy.

Nie potrafiła być szczęśliwa, jeśli czegoś nie darzyła niechęcią. Sama nigdy nie ujęła tego w ten sposób. Zrobił to Bryce, niedługo przed tym, jak powiedziała mu, żeby ruszał w drogę. Związek przyczynowo-skutkowy? Była gotowa przysiąc nawet na stos Biblii, że ta sarkastyczna uwaga nie miała nic wspólnego z ich rozejściem się. Mogłaby powiedzieć dokładnie to samo na temat poematu, który przyjęto mu do druku. Ujmując rzecz bez ogródek, pieprzony poemat zasługiwał na epitet „głupawy”.

Jedną ze spraw, które nie budziły w niej euforii w odniesieniu do Amalgamated Humanoids – przystąpiła już do ich zbierania, co zresztą robiła zawsze – okazały się szalone wahania w odniesieniu do obciążenia pracą. Oferty grantów wymagały dotrzymania żelaznych, nieprzekraczalnych terminów. Jeśli, przykładowo, jakieś pismo ofertowe musiało wyjść we wtorek o godzinie 15.27, to należało stanąć choćby na głowie i wysłać je z dokładnością co do minuty. Jeżeli nawet oznaczało to szesnastogodzinną harówkę w sobotę, niedzielę i poniedziałek, nie było zmiłuj się.

I jeśli potem reszta tygodnia upływała jej na podliczaniu spinaczy do papieru i gumek recepturek oraz na surfowaniu po Internecie dla zabicia czasu, szef zupełnie się tym nie przejmował. Należało gromadzić energię w oczekiwaniu na kolejny szaleńczy nawał pracy.

Nie wszystko zatem w Denver układało się idealnie. Wcale jednak nie było gorzej niż w Los Angeles. Gdy tylko Vanessa zmieniła kalifornijskie tablice rejestracyjne na nowe wytłoczone przez więźniów ze stanu Kolorado, poczuła się mniej więcej jak w domu.

Jedynym dołączającym aspektem – sferą, w której czuła się nieszczęśliwa, nie pragnąc jednocześnie czuć się nieszczęśliwą, żeby tak to ująć – stało się jej życie erotyczne. Kiedy ogarniała ją gorączka redagowania albo przekładania na angielszczyznę czyichś żalosnych prób napisania oferty konkursowej, nie miała czasu dla Hagopa. Jednak po całkiem niedługim czasie sama zaczęła się zastanawiać, czy Hagop ma w ogóle czas dla niej.

„Mam za dużo roboty”, zwykł odpowiadać, gdy dzwoniła do niego. Nie za każdym razem, ale dostatecznie często, by ją to irytowało. A nawet zdecydowanie za często, tym bardziej że Vanessę cechował przecież niski próg negatywnego pobudzenia emocjonalnego.

Hagop nie zawsze miał natłok roboty. Bynajmniej. Kiedy budził się z nabrzmiałą wyniosłością w slipach, stawał się szarmancki, troskliwy i słodki... dopóki nie dała mu dupy. Potem interes z dywanami znów całkowicie go pochłaniał.

Bryce nie przestawał być cholernie napalony przez cały czas. Stroił fochy i zrzędził niemiłosiernie, kiedy mu odmawiała. A gdy mówiła „nie” dwa albo trzy dni z rzędu, on bawił się w złotą rączkę. To z kolei sprawiało, że czuła się tak, jakby traktował ją jak mechaniczną lalkę, być może dającą odrobinę więcej frajdy niż własna dłoń, ale wcale nie niezbędną. Wmówiła sobie, że sprawy ułożyłyby się inaczej w związku z mężczyzną dużo starszym. Taki ktoś nie zawracałby jej nieustannie dupy, jak czynił to Bryce. Poza tym okazywałby jej wdzięczność za każdym razem, kiedy by mu się oddawała.

No cóż, i tak, i nie. Hagop nie był cholernie napalony przez cały czas. Nie pozwalała mu na to biologia. Kiedy jednak się napalał, zawracał jej dupę równie upierdliwie, co ktoś o połowę młodszy od niego. Gdy już dostał to, czego chciał, ignorował ją do następnego razu, kiedy znów budziło się w nim cielesne pożądanie.

Vanessa nigdy nie potrafiła cierpieć w milczeniu. Z chwilą, gdy rozsierdziła się w dostatecznym stopniu – co nigdy nie trwało długo – nie wahała się zakomunikować mu o tym w ostrych słowach.

– Pragniesz mej bliskości wyłącznie po to, żebyś mógł mnie dymać – oświadczyła pewnego wieczoru, kiedy właśnie skończył robić, co swoje.

Jej ojciec obruszyłby się na takie bezceremonialne słowa, żywiła więc nadzieję, że wywołają taką samą reakcję u każdego mężczyzny w jego wieku.

Ale gdzie tam. Hagop oparł się na łokciu i spojrzał na nią. Jego twarz o ciężkich rysach nie wyrażała niczego. Lubił, gdy w sypialni światło było

zapalone; patrzeć na to, co wyprawiali w łóżku, pomagało mu dotrzeć tam, dokąd zmierzał.

– I to stanowi dla ciebie zaskoczenie, ponieważ...? – odezwał się po chwili.

– Skoro jesteśmy kochankami, powinieneś mnie kochać. A nie wyłącznie mnie rzucać. Ograniczać się tylko do uprawiania ze mną fizycznej miłości. Powinieneś mnie kochać – wyłała żale Vanessa.

W przeciwnym razie, do diabła, po co tu przyjechałam i przegoniłam Bryce'a? To ostatnie przemyślenie zatrzymała dla siebie: żywiła bowiem całkiem, słuszne podejrzenie, że Hagop wcale by się nie przejął tym, po co to zrobiła. Z kolei Bryce z pewnością nie zawracał sobie głowy powodami, dla których rzuciła faceta, z którym mieszkała wczoraj, zanim jeszcze go poznała. Jediną rzeczą, która zaprzętała mu głowę, było posuwanie jej.

Z twarzy Hagopa emanowała obojętność, wcale nieudawana.

– Obawiam się, że być może prosisz o więcej, niż jestem w stanie ci dać.

– Ach tak? Żałuję, że prosiłam. – Vanessa spiorunowała go wzrokiem. – Mam dla ciebie nowinę... Nie po to spakowałam manatki i przeprowadziłam się do Kolorado, żeby być tylko zabawką, którą bzykasz.

– Wcale nie oczekiwałem, że się tutaj przeprowadzisz – odparł, wzruszając ramionami. – Skoro jednak podjęłaś taką decyzję, oczekujesz ode mnie, że nie będę czerpał z tego radości?

Ich związek rozpadał się na jej oczach. Vanessa nie musiała być Baltazarem, królem Babilonu, żeby dostrzec proroczy napis na murze.

– Ty obrzydliwy sukinsynu! – warknęła (tych płynących prosto z serca „czułych słówek” nie dobrała chyba najlepiej, uwzględnivszy fakt, iż oboje leżeli nadzy w jej łóżku, a jego sperma ciągle jeszcze sączyła się z niej, zostawiając na pościeli wilgotne plamy – Przyjechałeś tutaj, żeby się mnie pozbyć!

Teraz nie miała już co do tego złudzeń. Dlaczegoż, do jasnej cholery, nie potrafiła tego dostrzec będąc jeszcze w San Atana.

Hagop pokręcił przecząco głową, usiłując zachować godność.

– Przeniosłem się tutaj dokładnie z tego powodu, o którym mówiłem ci w Kalifornii: dostrzegłem sposobność zarobienia większych pieniędzy.

– Dywaniarski straganiarz! – szydziła. – Tylko to się dla ciebie liczy, czyż nie? Wstał z łóżka i zaczął się ubierać.

– Będę udawał, że nie słyszałem tego. I uznaj to za uśmiech fortuny. – Z jego głosu emanowała... całkowita obojętność.

Vanessa wiedziała wszystko na temat szewskiej pasji. Jednak ten lodowaty gniewny chłód sprawił, że zaniemówiła. Mogła walczyć jak dziki kot. Z drugiej jednak strony mogła utknąć na dobre w tym mieszkaniu, w którym jeszcze nie zdążyła zagrzać na dobre miejsca.

– Zatem nie przeprowadziłem się tutaj po to, by się ciebie pozbyć – kontynuował Hagop beznamiętnie, wkładając koszulę do spodni. – Uznałem to, jak mawia się w branży, za dodatkowy bonus.

Dodatkową redukcję. Ale tego również nie powiedziała na głos.

– Co powinnam teraz zrobić? – zapytała bezradnie. Ponownie wzruszył ramionami.

– To już nie jest moje zmartwienie. Masz dostatecznie dużo lat, żeby być dorosłą, choć brzmi to mało prawdopodobnie. Wylądujesz na nogach albo na plecach – jak ci będzie pasowało. A potem, nie upłynie wiele czasu, kiedy znowu dojdiesz do przekonania, że kolejny facet, kimkolwiek by był, nie został stworzony na miarę twoich wyobrażeń.

Hagop wyszedł z sypialni. Pickles zamiauczał na jego widok. Nie zareagował na zaczepkę kota. Drzwi frontowe otworzyły się. Potem zamknęły. Bez trzaśnięcia – Hagop wciąż panował nad emocjami. Jego

kroki cichły stopniowo na schodach. Nie zdołała dosłyszeć ich przez zamknięte drzwi, gdy dotarł na parter.

– Ty kanalio! Ty cuchnąca, obsrana kanalio! – syknęła szeptem.

Potem zerwała się i pobiegła pod natrysk. Brała prysznic całkiem niedawno, przed jego przyjściem, ale co z tego? Pragnęła teraz zetrzeć ze swego ciała każdy ślad jego dotyku. Zwykle nie używała gąbki. Tego wieczoru uczyniła wyjątek. Puściła też najgorętszy ukrop, jaki zdołała wytrzymać.

Kiedy w końcu wyszła, ściągnęła pościel z łóżka. Pragnęła ją wyrzucić. Tak naprawdę pragnęła oblać ją benzyną i rozpaścić ją ognisko. Czy jakiś stary film nie nosił tytułu Płonące łóżko? Gdyby tylko mogła oblać Hagopa benzyną i zrobić z niego żywą pochodnię...

Ale nie mogła. Och, właściwie to mogła, lecz prawie na pewno by ją schwytali i zapuszkowali. Ten dupiek nie był przecież wart pójścia do paki. Jako dziecko gliniarza orientowała się, jak mało kto, jakie okropne warunki panują w stanowym więzieniu.

Nie mogła nawet wyrzucić pościeli. Zakup nowego kompletu sporo by ją kosztował. Skoro już wykonała ten ruch – rozstała się z tym gównem wartym szubrawcem i gnojkiem – nie mogła pozwolić sobie na kosztowne gesty. Musiała po prostu wrzucić parę ćwierćdolarówek do jednej z automatycznych pralek będących na wyposażeniu budynku i sprać ze swojej pościeli wszelkie ślady tego mężczyzny. Pierwszy lepszy produkt firmy Amalgamated Humanoids miał w sobie więcej ciepła, więcej czułości niż ten obmierzły typ.

Dlaczego jednak nie zdołała uświadomić sobie tego, kiedy wpadła w jego ramiona już po tym, jak zerwała z Bryce'em? Wzruszyła ramionami. Rozglądała się za liną ratowniczą i ją znalazła. Teraz jednak odkryła, że na jej drugim końcu znajdował się ciężki głaz, nie pływak z korka.

Wyciągnęła świeżą pościel z komody w przedpokoju. Wszystkie komplety pościeli w środku zostały wyprane od czasu, kiedy poprzedni raz Hagop zabrudził je swoim potem o natarczywej woni. Musiały zostać wyprane. Przygnębiona zaczęła ścielić łóżko. Pickles uznał to za zabawę i usiłował jej pomóc. Nie wymierzyła mu jednak kopniaka, lecz wyłożyła w przedpokoju parę kawałków kocich frykasów, przekupując tym sposobem, żeby sobie poszedł.

Bryce Miller zastanawiał się, czy kiedykolwiek znajdzie zatrudnienie, kiedy wreszcie zakończy pisanie rozprawy doktorskiej. Obecny stan gospodarki wskazywał, że szanse na to są raczej niewielkie. Rozgrywać grę w studia doktoranckie, tak jak on, mógł każdy z równie dobrym skutkiem. Był starszym wykładowcą. Miał też asystenturę badawczą i dydaktyczną. Ponadto uczył dzieciaki w szkole średniej. Wykładał też w paru szkołach pomaturalnych przygotowujących do wyższych studiów. Potwierdzenie odniesionego sukcesu stanowiła wizja ukończenia dysertacji doktorskiej oraz fakt, iż jeszcze nie zbankrutował. Jeszcze.

Być może, gdyby wybrał bardziej rajcowną dziedzinę niż poezja epoki hellenistycznej... Pokręcił przecząco głową. Niewłaściwie dobrany epitet. Poezja epoki hellenistycznej potrafiła być bardzo rajcowna. Tu i ówdzie bywała nawet wręcz nieprzyzwoita. Być może, gdyby wybrał bardziej praktyczną dziedzinę niż poezja epoki hellenistycznej...

– Ale wtedy nie byłbym sobą – wymamrotał.

Siedział z notebookiem na stole we wnęcie jadalnej małego mieszkanka z jedną sypialnią, jakie pospiesznie wynalazł, gdy Vanessa doszła do wniosku, że nadeszła pora na zmiany. Dwie trzecie blatu stołu zakrywały czasopisma i książki. Kiedy potrzebował coś zjeść, musiał tylko przestawić komputer w inne miejsce.

Gdyby nie natknął się na używany egzemplarz powieści historycznej Chłopiec z Persji, kiedy uczęszczał do szkoły średniej, zapewne nigdy nie usłyszałby o epoce hellenistycznej, nie wspominając już zupełnie o zarabianiu na życie zgłębianiem tej dziedziny. Gdzieś w wielkim, szerokim świecie są być może ludzie, niewykluczone nawet, że władający angielszczyzną, którzy potrafili oprzeć się urokowi i nie zostali pochłonięci z kretesem przez prozę Mary Renault, autorki tej powieści. Być może gdzieś są, jednak Bryce nie znalazł się w ich gronie. Zaczął od próby wyjaśnienia, w jakim stopniu powieść bazowała na faktach, a w jakim stanowiła wytwór wyobraźni autorki. Jak wkrótce zdołał odkryć, większość to fakty, a niecała fabuła to wymysły, odpowiednio.

Pisarze to niebezpieczna kategoria ludzi. Potrafili zwichrować życie czytelników, których nigdy nie poznali, czytelników, których nie mogli poznać, gdyż zdążyli opuścić ziemski padół, zanim jakiś stary, doszczętnie wytarty egzemplarz jednej z ich książek trafił we właściwe – niewłaściwe? – ręce.

Bryce rozważał w duchu, czy będzie kiedykolwiek w stanie napisać poemat, który wpłynie na życie choćby jednej osoby w stopniu równie wielkim, co Chłopiec z Persji odmienił jego losy. Roześmiał się z autoironią. Czczą gadanina o stawianiu sobie wielkich celów!

Za oknem na podwórzu jeden ze stałych basenowych gości skoczył do wody z podkulonymi nogami, wyrzucając wysoko i na wszystkie strony obfite bryzgi wody. Trzech czy czterech innych bywalców nagrodziło go gromkimi okrzykami i oklaskami. Tutejszy basen wziął we władanie, w zasadzie niemal na wyłączność, jakiś tuzin osób – z przewagą mężczyzn na niekorzyść kobiet. Nie istniały przepisy, które zakazywałyby Bryce'owi korzystania z pływalni. Nie sądził też, że gdyby skorzystał, schodziliby mu

z drogi, dając tym sposobem do zrozumienia, iż jest niemile widzianym gościem.

I tu właśnie tkwiło sedno sprawy. W przeciwieństwie do niego oni robili tu za bywalców. Bardzo podobna do nich grupka, po proporcje płci i stopień opalenizny zagraża jący nowotworem włącznie, rządziła w budynku, w którym mieszkał z Vanessą.

Spojrzał w dół na swoje dłonie. Był blady niemal do granicy niewidzialności. Nie musiał zatem zamartwiać się czerniakiem. Przypuszczalnie umrze z powodu zainfekowania jakimś grzybem, który przetrwał w egipskim papirusie z drugiego wieku przed naszą erą albo na zapalenie płuc, wywołane zbyt agresywną klimatyzacją w jakiejś bibliotece.

Kolejny skok do wody w pozycji kucznej, tym razem nawet bardziej dynamiczny i z większymi rozbryzgami od poprzedniego. I kolejne owacje bywalców. Bryce spoglądał na fale rozchodzące się po basenie i przelewające przez jego krawędź na przeciwnym końcu. Gdyby ktoś zrzucił asteroidę do Pacyfiku gdzieś w pobliżu Nowej Zelandii, fale zalałyby Los Angeles w taki sam sposób.

– Radosna myśl – powiedział.

Im dłużej mieszkał samotnie, tym więcej mówił do siebie. Martwiłby się tym nieco bardziej, gdyby tata Vanessy (w myślach najczęściej wciąż tak właśnie nazywał Colina Fergusona) nie wyjawiał mu, że z nim dzieje się to samo.

Susan uznawała za coś zabawnego i dziwaczного zarazem fakt, że pozostawał na przyjacielskiej stopie z ojcem swojej eks-dziewczyny. Nie chodziło nawet o to, że obaj wylądowali na tej samej szalupie w tym samym czasie (albo o to, że łajba nosiła nazwę „Titanic”). Do cholery jasnej! Bryce darzył Colina sympatią, a jakimś niezrozumiałym sposobem nić sympatii zawiązała się też w drugą stronę. Gdyby życie starszego z

mężczyzn potoczyło się inaczej, mógłby zostać dobrym naukowcem zamiast dobrym gliną. Tkwiła w nim jakaś, nigdy niezaspokojona chęć, by wiedzieć więcej, by z uporem układać poszczególne elementy układanki, aż powstanie z nich satysfakcjonująca całość.

Przypuszczalnie nie przypadkiem jego nowa przyjaciółka parała się geologią. Bryce zachodził nieraz w głowę, co takiego przed laty Colin dojrzał w Louise. Wydawała się całkiem miła – starała się być miła, choć tak naprawdę dokładała wszelkich starań, by być miła – jednak nie wyróżniała się czymś, co dałoby się określić mianem lotności umysłu.

– I co z tego? – dywagował na głos Bryce.

Istniało prawdopodobieństwo, iż sama możliwość regularnego jej posuwania zapewniała mu tyle szczęścia, że nie martwił się o całą resztę.

– Kai su, teknon? – rozważał Bryce. To cytat z klasycznej greki, a konkretnie słowa wypowiedziane rzeczywiście przez Juliusza Cezara, kiedy dostrzegł Brutusa w gronie tych, którzy zadawali mu śmierć sztyletami w dzień idów marcowych. W tłumaczeniu: I ty także, dzieciaku?

Bryce skierował te słowa do siebie samego. Teraz, kiedy Vanessa odeszła, zastanawiał się, co takiego w niej widział, poza piękną twarzą, niezłymi cyckami oraz długimi nogami, które otwierały się dla niego niczym bramy niebios. Czego więcej było ci potrzeba? Na samym początku, kiedy zaczynaliście wasz związek, sądziliście, że wszystko ułoży się jak w bajce i od tamtej pory, na bank, będziecie żyli długo i szczęśliwie.

Wiedział natomiast, co ona dostrzegła w nim. Toczyła wtedy bój ze swoim ówczesnym chłopakiem i Bryce nadawał się do roli koła ratunkowego. Już sam fakt, że walczyła zaciekle z innym facetem, powinien być dla niego sygnałem ostrzegawczym. Jednak w sytuacji, kiedy człowiekowi nieustannie staje wacek, bez trudu można dojść do

przekonania, że całą winę za te zażarte zmagania należało zwalić na sukinsyna, z którym usiłowała zerwać.

Czy Hagop Jak-go-tam-zwał sądził, że boje toczony przez Vanesę z Bryce'em stanowiły tylko i wyłącznie jego winę? Być może tak, a być może jednak nie. Hagop dźwigał na karku spory bagaż życiowych doświadczeń. Istniało zatem prawdopodobieństwo, iż mógł się orientować, że sprawy rzadko tylko miały jeden aspekt, jak to usiłowała przedstawić osoba, która o nich mówiła.

Ale, rzecz jasna, dlaczego miałby się tym przejmować? Ktoś, kto ląduje w ramionach dziewczyny na tyle młodszej, że mogłaby być jego córką, nie zawraca sobie głowy niczym innym. Zwykle taki związek nie trwa długo, ale dlaczego ten ktoś miałby się nim nie nacieszyć, dopóki trwa.

Czy kiedy stuknie mi piąty krzyżyk, będę uganiał się za dwudziestoparolatkami?

Bryce nie wątpił, że wciąż będzie oglądał się za laskami w wieku dwudziestu paru lat; po to między innymi zostały stworzone. Ale żeby je dotykać, zamiast ograniczyć się tylko do patrzenia? Miał nadzieję, że do tego czasu stworzy z kimś trwałe i szczęśliwe stadło. Wcześniej ubrdał sobie, że takie trwałe i szczęśliwe stadło stworzy z Vanesą.

Teraz jednak, cokolwiek by się miało wydarzyć, to jedno się nie spełni. Zadzwoił telefon. Sięgnął po aparat i uśmiechnął się, kiedy rozpoznał numer.

– Cześć, Susan – powiedział. – Właśnie o tobie myślałem. W pewnym sensie nie mijał się z prawdą.

– To, dobrze. Ja także myślałam o tobie – zapewniła Susan Ruppert.

Nosiła niemieckie albo holenderskie nazwisko, jak domyślał się Bryce. W niedługim czasie zamierzał ją o to zapytać. Jednak to nic pilnego, nie w takim stopniu, w jakim mogło być jeszcze pokolenie wcześniej. W

dzisiejszych czasach w Los Angeles każdego białego, który jako pierwszy język podawał angielski, uznawano za Amerykanina pochodzenia anglosaskiego. Fakt ten dołował nieco Bryce'a i paru jego kolegów o żydowskich korzeniach, co wcale nie oznaczało, iż nie czerpali z tego korzyści.

– Jak bardzo człowiek powinien się denerwować przed egzaminami ustnymi? – podjęła rozmowę Susan.

– To interesujące pytanie. Na pewno dopadną cię nerwy, wiesz, czy tego chcesz czy nie – odpowiedział.

Zgodnie z kalendarium miała przystąpić do egzaminów jesienią. Dla Bryce'a to już tylko odległa przeszłość, Susan natomiast wciąż miała ten epizod przed sobą.

– Opowiedz mi o tym! – zaskowyczała.

– Wiem, wiem. – Starał się brzmieć kojąco. Sam zdołał jakoś przejść egzaminy niemal trzy lata temu, a potem długo fetował.

– Posłuchaj, jeśli twoja promotorka nie jest warta kartki papieru, na której drukują jej referaty...

– Jest warta – przerwała Susan. – Claudia doprowadza mnie czasami do białej gorączki, ale należy do grona najlepszych w całym kraju. Dlatego właśnie przyjechałam tutaj.

– Świetnie. – Bryce usiłował w dalszym ciągu emanować spokojem. Sam wciąż nie zwracał się do profesora Towersa, używając jego imienia i chyba nigdy nie nastanie taki dzień, kiedy zacznie. Swoją drogą profesorowi Towersowi dano na imię Elmer, zatem istniało spore prawdopodobieństwo, że nikt nie zwraca się do niego po imieniu. Ani tutaj, ani gdzie indziej. – Jak już mówiłem, jeśli ona jest cokolwiek warta, to nie pozwoli ci podejść do egzaminu, dopóki nie zyska pewności, że zdasz go bez trudu.

– Powiedziała mi dokładnie to samo. Nie wiem jednak, czy mam jej wierzyć? – wyznała Susan.

– Uwierz jej – stwierdził stanowczo Bryce. – Gdy się spogląda z perspektywy czasu, egzamin doktorski w większym stopniu przypomina rytuał przejścia niż cokolwiek innego.

– Kiedy wciąż masz go przed sobą, wcale to tak nie wygląda.

Z głosu Susan przebijało zaniepokojenie – ale któż mógł ją za to winić? Nieszczęścia się zdarzały. Rok po tym, jak Bryce zdał egzaminy ustne, pewna doktorantka zajmująca się starożytnym Rzymem w makabryczny sposób oblała swoje, i to z kretesem.

O tym, co się wydarzyło, mieli wiedzieć wyłącznie profesorowie, którzy ją egzaminowali i nikt poza tym, ale plotka się jednak rozeszła. Gość, u którego studiowała, przeszedł na emeryturę w kilka miesięcy po tej kompromitacji. Uniwersytet Kalifornijski w Los Angeles szuka od tamtej pory znawcy historii Rzymu na pełny etat. Następny budżet wygląda na w równym stopniu głodowy, zatem uniwersytet może jeszcze długi czas rozglądać się za kimś takim.

Susan jednak w niczym nie przypominała kiepsko przygotowanej Joanny. Bryce nie wiedział zbyt wiele o średniowiecznej historii Zachodu. Jednak potrafił rozpoznać solidnego naukowca, kiedy takiego zobaczył. Sam również zdawał dzieje Rzymu, jako dodatkowy przedmiot, kiedy Susan także się do tego szykowała, bez względu na to, który z wykładowców miał objąć to stanowisko tej jesieni. Dawał jej korepetycje, kiedy zaczęli się umawiać, lecz nie trwało to długo – wyszło bowiem na jaw, że o Rzymianach wiedziała więcej od niego.

– Posłuchaj, przecież znasz swoją dziedzinę – oznajmił. – Jediną rzeczą, której musisz się obawiać, jest strach sam w sobie. Nie zjada cię trema, gdy przychodzi co do czego?

– Zazwyczaj nie. Ale nie przywykłam też do występowania przed tak poważnym gremium.

– Dopilnują, żebyś zyskała trochę pewności. Widzieli już wcześniej wielu panicznie przestraszonych doktorantów. Skoro ja zdałem, ty też zdasz. Jesteś dużo bardziej asertywna, niż ja kiedykolwiek będę.

– Obawiam się, że wszystko wyleci mi z głowy z chwilą, gdy zaczną zadawać mi pytania.

– To się nie wydarzy. Słowo daję, dziecino!, z pewnością nie. Ze mną zaczęli od zagrywania miękkich piłek, żebym mógł się odrobinę odprężyć, zanim przeszli do mocniejszych. Sądząc po wszystkim tym, co słyszałem od innych ludzi, egzaminatorzy z reguły tak właśnie postępują.

– Mimo to dysponują ogromną wiedzą. – Bez względu na wszystko, Susan i tak będzie szukać dziury w całym. – Jeśli zechcą mnie oblać, to mogą.

– Pewnie, że mogą. Mogą oblać każdego, jeśli mają na to ochotę. Bez wątplenia mogli przybić mnie do krzyża. Ale tu właśnie kryje się sedno sprawy. Oni nie chcą oblewać.

– Naprawdę? – szepnęła Susan z niedowierzaniem.

– Naprawdę. Świetnie sobie poradzisz – zapewnił ją Bryce.

Temat ten wałkowali już wcześniej. Jeżeli potrzebowała ramienia, na którym będzie mogła się wypłakać – albo zaznać ukojenia – on chętnie tym ramieniem będzie jej służył. Przeszedł już przez to, do czego ona się szykowała; znał wszystkie wyboje i koleiny. Czasami nachodziła go refleksja, że studenci studiów doktoranckich byli jedynymi ludźmi, którzy nadawali się na partnerów dla innych doktorantów. Nikt inny nie potrafił zrozumieć osobliwej kupy gnoju, którą musieli przetrzucać.

Od czasu do czasu nachodziła go też myśl, że ludzie, którzy mieli za sobą burzliwe zerwanie, byli jedynymi kandydatami na tworzenie związków z

takimi jak oni, z podobnych powodów.

– Dziękuję ci, Bryce – wyszeptała Susan.

Nie miała za sobą burzliwego rozstania, stąd też Bryce żywił nadzieję, że jego przejścia starczą za ich dwoje.

ROZDZIAŁ VI

Sekretarka rzuciła na biurko Colina Fergusona ostatnią stertę z wydrukami.

– Proszę, panie poruczniku – powiedziała.

– Dzięki, Josie.

Colin mówił po hiszpańsku, jak to było w modzie: ubogie słownictwo, kiepska gramatyka, ciężki akcent. Często okazywało się to przydatne na ulicy, wiedział jednak dobrze, że nie powinien popisywać się przy Josefinie Linares. Tylko by ją wkurzył. Dokładała wszelkich starań, by pokazać, jak była zamerykanizowana. Nie mógł wykluczyć, że mówił lepiej español niż ona. Wiedział też, że jej rodzina żyła w Stanach dłużej niż jego antenaci.

Przeglądał wydruki kolejno, jeden po drugim. Były to analizy DNA przestępców skazanych sądownie. Najwyraźniej Dusiciel z South Bay nie został nigdy przyłapany na niczym, co wymagałoby pobrania od niego próbki DNA. Jeżeli jednak ktoś blisko z nim spokrewniony został przyłapany na gorącym uczynku, tego rodzaju zbliżona próbka mogła naprowadzić wymiar sprawiedliwości na trop prawdziwego sprawcy zbrodni.

To mogło zadziałać. To już nie raz działało. Policja z Los Angeles zapuszkowała sukinsyna, którego nazywano Ponurym Śpiochem, zaraz po tym, jak analiza DNA jego syna skierowała ich ku właściwej osobie. Przez ponad dwadzieścia pięć lat drań unikał kary za morderstwo – oraz cały szereg innych przestępstw. Siedział teraz w San Quentin, bez końca składając apelacje, jakie przysługiwały w sprawach o morderstwo z orzeczoną karą śmierci.

Być może już w najbliższych dniach zrobią mu śmiertelny zastrzyk, na który sobie zasłużył. (Colin uważał, że drań sobie zasłużył; spotkał

zaledwie garstkę gliniarzy sprzeciwiających się karze śmierci.) Albo być może zdąży najpierw umrzeć ze starości – miał teraz na karku jakąś sześćdziesiątkę. Uwzględniając tempo działania trybów wymiaru sprawiedliwości w Kalifornii, śmierć ze starości wydawała się bardziej prawdopodobna.

Żaden z tych testów DNA nie dał wyników choćby odrobinę zbliżonych do materiału genetycznego Dusiciela z South Bay. Pominąwszy gwałty i zabójstwa – szczegóły, szczegóły – Dusiciel był przyzwoitym obywatelem. I wywodził się również z rodziny przyzwoitych obywateli. Albo, o ile jakimś przypadkiem się nie wywodził, jego krewni okazywali się także bardzo przezornymi przestępcami.

Colin mamrotał coś ponuro. Nie wolno odpuszczać zbyt wcześnie. Z faktu, że żadna z tych próbek, jak dotąd, doprowadziła donikąd, nie należało wyciągać wniosku, iż jakaś inna w końcu nie przyniesie pozytywnego rezultatu. Być może nadejdzie wraz z kolejną partią. Jak leciały słowa tej piosenki o dniu jutrzejszym? Nigdy nie należy tracić nadziei, że jutro będzie lepiej niż dzisiaj.

Ostatnio nazbyt często musiał podejmować próby przekonania o tym samego siebie. Niekiedy okazywało się to prawdą. W jego życiu wciąż ziała czeluść po odejściu od niego Louise. Kelly zapełniła... ją po części, tak czy inaczej. Czy ją kochał?

Czy ona kochała jego? Słowo to wypowiedziane nawet w myślach budziło w nim większą trwogę niż ćpun ze strzelbą. Jak długo jeszcze będzie musiał zmagać się ze sobą, zanim wykrzesze w sobie odwagę, by wydusić je z siebie?

A Vanessa rzuciła (albo została rzucona przez – za każdym razem opowiadała inną wersję tej historii, w następstwie czego podręczny wykrywacz kłamstw, jakim dysponował jej ojciec, przestał działać) starego

gacha, z którym się spotykała. Colin okazywał jej wyrazy współczucia za każdym razem, kiedy z nią rozmawiał, lecz nigdy nie wpływało to litości czy współczucia. Kilka razy spotkał tamtego gościa, Hagop ujmował nienaganną– niemal do przesady – uprzejmością. Ormianin nie był też notowany; Colin w dyskretny sposób zyskał pewność w tej kwestii. Ale świadomość, że Vanessa sypiała z mężczyzną w jego wieku, wciąż przyprawiała go o dreszcze.

Nie musiał zatem zamartwiać się tym dłużej. Co jego córka zrobi teraz, zostanie w Kolorado czy wróci do Los Angeles... Cokolwiek by miała zrobić, jeszcze tego nie zrobiła. A więc nie musiał się tym martwić już teraz. I nie martwił się.

Chyba że, co oczywiste, jednak się martwił.

Wciąż miał wiele powodów do .zmartwień tu na komendzie. Nie chodziło tylko o Dusiciela z South Bay. Rozważania nawiązujące do ćpuna ze śrutówką nie wynikały ze swobodnego skojarzenia. Ktoś ze strzelbą odstrzelił głowę Koreańczykowi, który prowadził sklep z alkoholem w pobliżu zbiegu San Atanasio Bulevared i New Hampshire. Miejsce to znajdowało się o zaledwie parę mil od komendy, ale z pewnością nie stanowiło reprezentacyjnej części miasta.

W najczęstszych razach ludzie rabowali sklepy monopolowe, żeby zdobyć kasę na prochy. W najczęstszych razach zaczynali strzelać, ponieważ byli już totalnie naćpani. To z kolei preferowało dwie grupy podejrzanych: tych, co zażywali crack oraz miłośników krystalicznej metamfetaminy. Kamera monitoringu zarejestrowała, że sprawcą był Afroamerykanin, zatem bardziej prawdopodobna wydawała się kokaina. Bez żadnych gwarancji, ale bardziej prawdopodobna.

Trzy odrębne programy informacyjne prezentowały taśmę wideo z kamer monitoringu – łącznie z tym, co się stało, kiedy ładunek grubego śrutu trafił

w twarz nieszczęsnego pana takiego-a-takiego, stojącego za sklepową ladą. „Materiał filmowy zawiera drastyczne sceny”, trąbili na wszystkich stacjach albo słowa o podobnej treści. W istocie rzeczy sceny te były nie tyle drastyczne, co wprost makabryczne, lecz gości z telewizji wcale to nie deprymowało. Jeśli leje się krew, oglądalność rośnie.

O ile szczęście dopisze, ktoś z miejscowych rozpozna skurwiela ze śrutówką. Przy odrobinę większym łucie szczęścia ktoś, kto rozpoznał drania, zdobędzie się na odwagę lub znajdzie w sobie dostatek moralnego oburzenia czy czegokolwiek innego, by powiadomić o tym policję. Już tak bywało. Nie zawsze, nawet nie dostatecznie często. Ale jednak.

Bez względu wszakże na to, co podawały telewizyjne serwisy, nie był to powód, dla którego prezentowano „drastyczny materiał filmowy”. Emitowano go na antenie z tego samego powodu, dla którego wyprzedzano fakty, pokazując samochodowe pościgi: tym sposobem skłaniano ludzi do oglądania. Kiedy już zostało to powiedziane, oznaczało to, że zostało powiedziane wszystko, co trzeba, przynajmniej z ich punktu widzenia.

Telefon zadzwonił. Colin podniósł słuchawkę.

– Ferguson, komenda policji w San Atanasio.

– Cześć, Colin. Mówi Nels Jensen. – Jensen był kapitanem policji w Torrance i również ścigał Dusiciela z South Bay. – Jakiś łut szczęścia z profilami DNA?

Nawet gdyby mu się trafił, Nels zapewne znalazłby jakiś sposób, żeby sobie przypisać całą zasługę. Uchodził za całkiem niezłego policjanta, jednak uwielbiał oglądać swoją uśmiechniętą podobiznę na szpaltach gazet i na ekranach telewizorów. Kiedyś zostanie komendantem, przypuszczalnie w komisariacie większym niż Wydział Policji w Torrance. Ponieważ łaknął sławy, Colina zapewne korciłoby, by powiedzieć mu „nie”, gdyby nawet odpowiedź brzmiała „tak”. Jeśli tak bardzo pragnął tego „tak”, mógł wziąć

się za robotę, która dałaby taki rezultat, zamiast usiłować wycyganić to nachalnie od innych.

– Absolutnie nic – odpowiedział Colin z nieskazitelnie czystym sumieniem, skoro sprawy miały się tak, a nie inaczej.

– Ach, jasna cholera! – ulżył sobie Jensen. – Ja również kazałem jednemu z moich sierżantów przeorać się przez nie, ale nie znalazł niczego choć ociupinę zbliżonego do szukanego profilu. Miałem nadzieję, że tobie poszło lepiej.

– Ponieważ jestem porucznikiem, a nie jakimś głównianym sierżantem? – pomyślał Colin. Nels przynajmniej zlecił komuś sprawdzanie próbek w swoim komisariacie. Jeśli jednak zaharowany sierżant znajdzie próbkę DNA zbliżoną do profilu genetycznego Dusiciela, dało się z góry przewidzieć, kto obwieści światu dobrą nowinę. Nie facet, który wykonał czarną robotę. Kapitan, który zlecił mu tę fuchę.

– Nigdy nie tracę nadziei – odparł Colin. – Po prostu nie oczekuję zbyt wiele, to wszystko.

– Tak, znam tę śpiewkę – potwierdził Jensen. Był w końcu gliną. – Okej, skontaktuję się z tobą później... i dam ci znać, jeśli natrafimy na coś interesującego.

Aha. Uwierzę, kiedy zobaczę na własne oczy. Colin powstrzymał się jednak od komentarza na głos. Z reguły to najlepsza rzecz, jaką należało zrobić.

– W porządku – odpowiedział. – Dzięki.

Odłożył słuchawkę. Zza biurka obok Gabe Sanchez spoglądał na niego pytającym wzrokiem spod uniesionych brwi.

– Jensen – wyjaśnił Colin.

– A niech to – Gabe złożył dłonie bez klaśnięcia. – Idę o zakład, że on chciałby mieć wszystko podane elegancko na wystawnej paterze.

– Tak, to prawda – potwierdził Colin. – W Torrance także przeglądają próbki DNA... tyle przynajmniej trzeba im oddać.

– Hip hip, hurra! – Sierżant potrafił wziąć w karby rozpierający go entuzjazm. – Zauważyłem, że Jensen nie napomknął nic o tym, jakoby zajmował się tym osobiście.

– Nie. Zlecił to jakiemuś sierżantowi. Jakby to nie było ważne, czy co tam. Sanchez wykonał obsceniczny gest.

– Co zatem porabia nasz bufon i fanfaron? Wybiela sobie zęby przed kolejnym występem w świetle reflektorów?

– Tego mi nie wyjawiał, ale nie byłbym w najmniejszym stopniu tym zaskoczony.

– Któregoś dnia ten gość spierdoli robotę – powiedział Gabe. Colin nie miał pewności, czy sierżant miał na myśli Dusiciela, czy też Nelsa Jensena, dopóki nie usłyszał dalszego ciągu. – Dupki zawsze tak robią. Nigdy nie przychodzi im to do głowy, ale tak robią. Właśnie dlatego, poniekąd, są dupkami.

– Tak – przyznał Colin, który kwestię tę traktował równie kardynalnie, co dogmaty wiary. – W Bogu pokładam nadzieję, iż dopilnuje, by stało się tak w miarę szybko.

Kiedy tego wieczoru wrócił do domu, przyrządził sobie na grillu kilka kotletów z jagnięciny z papryką i granulowanym czosnkiem, a w kuchence mikrofalowej odgrzał paczkę z mieszanką mrożonych warzyw. Takie gotowanie wcale go nie ekscytowało. Raczej naśladował Louise, ona jednak nigdy nie występowała na kanale kulinarnym Food Network, nawet jeśli go oglądała. Kiedy się rozstali, początkowo każdego wieczoru jadał na mieście. To jednak dość szybko okazało się nazbyt kosztowne. Pichcenie w domu pozwalało mu zaoszczędzić, a dania były nawet lepsze niż to, do czego był przyzwyczajony.

Połowa warzyw trafiła do plastikowego pojemnika na dania mrożone, a potem do lodówki. Połowę jagnięcych kotletów zawinął w aluminiową folię i również włożył do lodówki. Przyda się na obiad, kiedy będzie miał wolny dzień. Gdy skończył jeść, umył naczynia i odstawił je do suszarki, żeby wyschły – nie cierpiał wycierania naczyń. W kuchni była wprawdzie zmywarka, ale używanie jej dla jednej osoby byłoby kolejnym pozbawionym sensu wyrzucaniem pieniędzy w błoto.

Po kolacji sięgnął po jakiś kryminał. Prawie zawsze czytał je po to, żeby się z nich uśmieć. Fakty na temat policyjnych procedur, o których autorzy nie mieli pojęcia, zapełniłyby znacznie pokaźniejsze tomy niż te, które wyszły spod ich pióra. Od czasu do czasu z przyjemnością natrafiał na całkiem dobrą powieść kryminalną.

Ta, – którą czytał, plasowała się gdzieś pomiędzy. Nie na tyle głupawa, żeby się z niej naśmiewać i zarazem nie na tyle sprawnie napisana, by w napięciu przewracał kolejne strony. Odrzucił ją na bok i wziął do ręki pilota. Na kanale sportowym ESPN pokazywano turniej World Series of Poker. Poker to gra finezji – kiedy służył w marynarce, wygrał nawet parę patoli – ale przecież, do cholery, to żaden sport. Colin przeleciał przez kanały.

Gadająca głowa ze stacji Fox News wykrzykiwała światu własne opinie. Przeskoczył przez kanały raz jeszcze, równie szybko. Miał własne zdanie i nie doszedł wcale do przekonania, że potrzebne są mu inne opinie z drugiej ręki.

CNN pokazywała... Co, do diabła, pokazywała stacja CNN? Ujęcie z helikoptera z dużej odległości. Teren pokryty śniegiem, obumarłe kikuty sosen sterczące ze śniegu jak szczecina na policzku umarlaka. Wielki obłok czarnego dymu unosił się wysoko w powietrzu. W oddali górskie masywy.

– Kurwa – zaklął Colin. – To wygląda jak Yellowstone.

Pokręcił z niedowierzaniem głową. Cóż mogło się dziać w Yellowstone w połowie listopada? Wyglądało to na pożar lasu – wielki pożar starego lasu, podobny do tego z końca ubiegłego stulecia. Ale to przecież czyste szaleństwo. Jakim cudem o tej porze roku mogło dojść do wielkiego pożaru starego lasu? Przecież śnieg pokrywający ziemię oraz śnieg zalegający na drzewach nie dopuściłby do rozprzestrzenienia się ognia.

Potem w lewym dolnym roku ekranu pojawił się napis. ERUPCJA W YELLOWSTONE.

– A niech to lichy!

Colin wyszarpnął telefon z kieszeni. Kelly przebywała w Yellowstone, kontynuując badania sejsmologiczne. Kiedy wybrał jej numer, zgłosiła się poczta głosowa. To go wcale nie zaskoczyło; zasięg telefonów komórkowych na terenie parku w najlepszym razie uznać należało za fragmentaryczny i wrywkowy.

– Cześć, skarbie, to ja. Właśnie obejrzałem wiadomości. Zadzwoń przy pierwszej sposobności. Mam nadzieję, że nic ci się nie stało. Pa.

Prowadzący program zaczął paplać, przekazując wiadomość.

– ... erupcja na obszarze kontynentalnych Stanów Zjednoczonych od czasu wybuchu wulkanu Mount St. Helens w 1980 roku – kontynuował spiker. – Wszystko zaczęło się tego popołudnia na terenie Parku Narodowego Yellowstone, w pobliżu jeziora Ranger Lake.

– Gdzie, do diabła, leży Ranger Lake? – zapytał Colin. – Nie przypominał sobie, żeby o takim słyszał.

Jakby na zawołanie zdjęcia erupcji ustąpiły miejsca mapie Yellowstone. Jezioro Ranger Lake leżało na terenie wysuniętej najdalej na południowy zachód części parku, oddalonej od drogi utwardzonej mniej więcej o tyle, co bite drogi są odległe od Kanady po tej stronie granicy. Duży czerwony

znak X w pobliżu jeziora wskazywał przypuszczalnie miejsce, w którym doszło do erupcji wulkanu.

– Geolodzy informują nas, że obszar Parku Narodowego Yellowstone został uformowany dawno dawno temu w następstwie aktywności wulkanicznej – ciągnął dalej prezydent. – Jednak do ostatniej znanej erupcji doszło przed około siedemdziesięcioma pięcioma tysiącami lat. – Sądząc po sposobie, w jaki to powiedział, musiał to być dostatecznie długi okres, by gorące palenisko pod ziemią całkowicie wygasło. Przedstawiona relacja robiła wrażenie mało wiarygodnej. Spiker podjął temat. – Nieco wcześniej rozmawiała z nami dziś Kelly Birnbaum, ekspert w dziedzinie geologicznych anomalii obszaru Yellowstone.

I oto pojawiła się na ekranie odbiornika telewizyjnego Colina, w grubej kurtce i czapce z wełnianej dzianiny, spod której wystawały niesforne loki włosów.

– Nie, erupcja nie stanowi wielkiej niespodzianki – oświadczyła. – Bardziej zaskakujący wydaje się fakt upływu tak długiego czasu od poprzedniej erupcji.

– Jaki to może mieć wpływ na odwiedziny turystów w naszym najpopularniejszym i najbardziej obleganym parku narodowym, kiedy znów powróci lato? – dopytywał reporter, niemal wciskając jej w twarz mikrofon.

– Nie da się nic powiedzieć na ten temat – odpowiedziała. – Nie można też w żaden sposób rozstrzygnąć, czy erupcja ta stanowi odosobniony epizod, żeby tak rzec, czy też zapowiedź czegoś większego.

Na ekranie z serwisem informacyjnym CNN znów pojawił się prezydent i ujęcia przedstawiające erupcję, nie dając tym samym reporterowi szansy wyjaśnienia, o czym właściwie mówiła Kelly. Prowadzący nawiązał do tematu popiołu i pyłu wyrzucanego przez wulkan do atmosfery oraz do

kwestii, jaki wpływ może to wywrzeć – tego wieczoru zwrot ten wydawał się być ulubiony przez CNN – na podróże lotnicze w Ameryce.

Nastąpiła przerwa na reklamy. Colin przełączył z powrotem na Fox News w nadziei, że zobaczy coś innego. Gadająca głowa z tej stacji usiłowała obwiniać rządową administrację za erupcję. Przeklinając, przeskoczył do stacji MSNBC. Ich gadająca głowa winę za wybuch wulkanu zwała na Kongres.

Nikt na żadnym innym kanale informacyjnym nie zająknął się nawet na temat superwulkanu pod Yellowstone. Wszyscy nie mogli być przecież do tego stopnia ignorantami... chyba że? Po krótkim namyśle doszedł do wniosku, że jednak nie mogli. Dlaczego zatem omijali skrupulatnie ten temat? Ponieważ żywili nadzieję, że nie jest to faza wstępna gigantycznej eksplozji? Ponieważ, jeżeli będą o tym mówić, a potem okaże się, że nie dojdzie do wielkiej erupcji, wyjdą na jeszcze większych głupków niż zazwyczaj? Ponieważ, o ile jest to początek erupcji superwulkanu, nikt nie będzie w stanie, w najmniejszej choćby mierze, temu zaradzić?

Po kolejnej dłuższej chwili zastanowienia Colin doszedł do wniosku, że każdy powód z osobna i wszystkie naraz wydawały się dostatecznie uzasadnione. Aż go skręcało, żeby tylko Kelly oddzwoniła.

Kelly nigdy wcześniej nie siedziała na skuterze śnieżnym. Jeżeli Bóg okaże wielkie miłosierdzie, wmawiała sobie, ona nigdy więcej nie dosiądzie innego skutera. Ten hałas i podrzucanie... Gdyby połączyć najgorsze cechy motocykla bez amortyzatorów na wyboistej gównianej drodze oraz silnika piły łańcuchowej, rezultat znalazłby się w zasięgu donośnego krzyku. A teraz właśnie pragnęła głośno krzyknąć.

Ponadto pozostawał jej wyłącznie krzyk, gdyby nasza ją ochota na rozmowę z Larrym Skrtelem. Geolog z federalnej agencji badawczej USGS siedział za kierownicą szkaradnego ustrojstwa, na którym ona znalazła się

jako przymusowa pasażerka. Daniel Olson prowadził drugi skuter, Ruth obejmowała go ze wszystkich sił, także z duszą na ramieniu. Jedynym sposobem, w jaki mogli się porozumieć, było wystrzelenie flary.

Widok urzezał pięknem. Mało kto miał sposobność podziwiania parku Yellowstone w tak urokliwej scenerii. Z drugiej strony także tylko nielicznym przypadła w udziale troska o to, czy grunt pod ich stopami zapadnie się, gdy dojdzie do największej, psiakrew, wulkanicznej erupcji od czasów paleolitycznych. Nadmiar wiedzy bywa niekiedy gorszy od jej niedostatku.

Dostała też niezły wycisk od swoich kolegów, zanim ekipa wsiadła na śnieżne skutery. Profesorska pupilka, ochrzcili ją takim mianem i ruszyli na nią huzia na jednego.

– Powinni przeprowadzić wywiad z Larrym... on naprawdę wie, o czym mówi – Ruth uśmiechnęła się z przekąsem, kiedy to powiedziała. Kelly poczuła ukłucie zawoalowanego przytyku.

– Hej, dajcie spokój, to przecież ludzie z CNN. Nie można od nich oczekiwać, że wiedzą, kogo łapać – wtrącił Daniel.

– Prawdopodobnie wszyscy mamy szczęście, że nie rozmawiali z facetem, który analizuje pozostałości składników pokarmowych w kale bizonów.

– Nie, potrafią rozpoznać gówna, kiedy je widzą – odparła Kelly. Wszyscy jęknęli. – Oni promują wyłącznie siebie – dodała.

Teraz mijała pędem stado złożone z około pół tuzina bizonów. Wielkie, kudłate zwierzęta rozgrzebywały przednimi nogami pokrytą śniegiem ziemię, usiłując z mozołem dotrzeć do wprawdzie obumarłej, lecz wciąż smakowitej trawy, zalegającej pod białym kobiercem. Ryczące wniebogłosy skutery śnieżne niezbyt przypadły im do gustu. Kilka z nich zaczęło oddalać się truchtem od mechanicznych ustrojstw. Na całe szczęście.

Gdyby w zamian ruszyły do szarży, mogły pognać szybciej niż przemieszczały się śnieżne wehikuły.

Z drugiej jednak strony być może dudniący ryk śnieżnych skuterów nie stanowił jedynej przyczyny, która spłoszyła bizona. Upłynęła dłuższa chwila, zanim Kelly uświadomiła sobie, że spaliny z pojazdu, którym mknęli Daniel i Ruth, nie były wszystkim, co zanieczyszczało rześkie, chłodne, kryształowo czyste, późnojesienne powietrze.

Niemal na całym obszarze parku dało się wyczuć woń siarki, o ile wiatr wiał we właściwym – albo niewłaściwym, zależnie od przyjętego punktu widzenia – kierunku. Niektórzy starożytni Grecy twierdzili, że trzęsienia ziemi wywoływało coś, co można by uznać za pierdnięcia ziemi. Gdyby postawić tu w Yellowstone jednego z tych odzianych w tunikę, brodatych filozofów, wyszłoby na to, że miał całkowitą rację.

Ale Kelly wyczuwała teraz woń, która wydawała się bardziej gryząca – ostrzejsza? – niż typowe wyziewy siarki rodzimej z gorących źródeł bądź fumaroli. Wiatr wiał ku południowemu zachodowi, prostopadle do kierunku, z którego nadjeżdżali, zmierzając do miejsca erupcji, ale nowy wulkan postanowił sam zademonstrować swoją obecność.

Im dalej jechali, tym mniej nieskazitelnie i biało wyglądał śnieżny kobierzec. Wulkaniczny popiół zaczął powoli opadać z chrobotem z gigantycznego słupa dymu i pyłu, jaki unosił się przed nimi na tle nieba. Wiatry wymiotą zapewne większość pyłu w dominującym kierunku, do Wyoming i dalej na południe do Kolorado – a któż mógł zgadnąć, o ile dalej jeszcze? Nikt, przynajmniej nie teraz.

Popiół wciąż zawieszony w powietrzu mógł spowodować dużo większe niedogodności i utrudnienia. Erupcja wulkanu na Islandii na całe tygodnie wstrzymała komunikację lotniczą między Stanami i Europą oraz przeloty z jednej części Europy do drugiej i z powrotem. Jeśli małe drobiny pyłu

groziły zatarciem turbin silników odrzutowych na trasach między jednym wybrzeżem Ameryki a drugim, sytuacja nie wyglądała dobrze – ujmując najogólniej.

W takich sytuacjach komunikacja lotnicza z reguły ulegała paraliżowi. Zablokowanie połączeń lotniczych udupiłoby w znacznie poważniejszym stopniu tak rozległy kraj, jak Stany Zjednoczone.

Ale nie tylko to budziło niepokój Kelly. Jak dotąd, wyglądało to na normalną erupcję wulkaniczną, do jakich dochodziło często na obszarze Yellowstone – nawet jeśli często nie oznaczało wcale ostatnio. Nikt przecież nie miał pojęcia, jaki jest mechanizm erupcji superwulkanu. Wszelkie dowody wskazywały na to, że wszystko działo się jednocześnie. Gdyby lawa rozlała się na wszystkie strony, a większość obszaru, jaki obecnie formował park, zapadłaby się w kierunku środka ziemi...

Tak czy inaczej, w mgnieniu oka byłoby po wszystkim.

Larry zboczył nieco w stronę rzeki Bechler River, której nurt zmierzał w kierunku jeziora Ranger Lake (choć do niego nie wpadał). Rzeka nie zdążyła jeszcze zamarznąć. Z wody zerwały się kaczki, uderzając skrzydłami w zawrotnym tempie, kiedy wznosiły się w powietrze. Kaczki, podobnie jak bizony, nie przepadały za skuterami śnieżnymi.

Gdzieś przed nimi coś padło pastwą ognia. Larry machnął ręką do Daniela. Zatrzymali się jeden obok drugiego. W pierwszej chwili Kelly odniosła wrażenie, że widzi lawę wypływającą z jakiejś nowej szczeliny w skorupie ziemskiej, sięgającej w głąb aż do komory magmowej ulokowanej pod Yellowstone. Ale nie. To ogień trawił sosny wydmowe, co samo w sobie stanowiło cholernie piękny widok, budzący zarazem strach i podziw. Śnieg dusił i dławił pożar lasu. To reguła tak stara, jak ta ziemia.

Cóż, istniały też starsze reguły. Do jakiego stopnia lawa rozgrzeje drzewa? W stopniu dostatecznym, żeby śnieg wyparował z nich oraz z

powierzchni gruntu między nimi? Na tyle mocno, żeby wysuszyć je na wiór i zrobić z nich podpałkę? Część zanieczyszczeń wznoszących się w powietrze tworzył prawdziwy, autentyczny dym ze spalanego drewna.

Gdy silniki zgasły, zaległa grobowa cisza. Wrażenie ciszy stało się tym bardziej nieodparte, że Kelly jeszcze przez chwilę była jak ogłuszona.

– Wiecie co, moim zdaniem nie powinniśmy podjeżdżać dużo bliżej – usłyszała głos Larry’ego jakby z oddali.

Daniel rozłożył ręce w rękawiczkach.

– Ty jesteś szefem. Jeżeli uważasz, że nie jest to dobry pomysł, to nie powinniśmy. Ale trochę szkoda, że dotarliśmy tak daleko i nie będziemy mogli pokonać reszty drogi.

– Byłoby szkoda, gdybyśmy wpadli w tarapaty, z jakich nie dałoby się wykaraskać – rozstrzygnął Larry, a Kelly zrozumiała, że nie ruszą się nawet o krok dalej.

– Jestem ciekawa, jak to wygląda z kosmosu – zmieniła temat.

– Co wychwytyją satelity?

– Pył. Popiół. Dym – wyliczyła Ruth.

– Och, więcej niż tylko to – dodała Kelly. – Są wyposażone w czujniki podczerwieni, dzięki którym potrafią patrzeć przez całe to gówno i zobaczyć dokładnie, w którym miejscu wydostaje się gorąca roztopiona skalna masa.

– Co do tego nie ma wątpliwości – przyznał Larry.

Kelly nieco urosła we własnych oczach, tak jak wtedy, kiedy jeden z jej profesorów w trakcie doktoranckich egzaminów ustnych z uznaniem kiwnął potakująco głową. W pewnej kwestii nie miała nawet cienia wątpliwości. Niewiele rzeczy poza sypialnią potrafiło sprawiać większą frajdę.

Gdy mowa o sypialni... Czy Colin wiedział, co się dzieje? Skoro CNN wysłał kogoś do Yellowstone, musiała to być najważniejsza informacja

dnia, tylko czy on oglądał telewizję albo słuchał radia? Miała nadzieję, że tak. Chciała, żeby ją zobaczył w wiadomościach. Byłby z niej dumny, gdyby ją widział, a dostarczenie mu powodów do odczuwania dumy z niej uznawała za rzecz dla siebie ważną.

Tak naprawdę za rzecz bardzo dla siebie ważną. Czy to już miłość? Jeżeli nie, to z pewnością przystanek na drodze ku miłości. Znali się już od półtora roku; od ponad roku dzielili alkowę. Colin nie wypowiedział tego słowa, choćby jeden raz. Kelly zresztą również. Trwała w przekonaniu, że nie przystało jej rozpoczynanie rozmowy o miłości. To on był facetem po przejściach. Potrzebował czasu, by się z tego ostatecznie otrząsnąć.

Ile czasu potrzebował? Kelly, opatulona anorakiem, wzruszyła ramionami. To nie czas ani miejsce, by się tym zamartwiać.

W niedużej odległości przed nimi coś wydało odgłos Buuum! – dźwięk o bardzo niskiej częstotliwości, hałas bardziej wyczuwany niż słyszany. Kelly poczuła coś jeszcze: ziemia pod jej stopami zadrzała. Ruth wskazała na niebo.

– O rany! – wydusiła z siebie.

O rany! pasowało jak ułamek. Skalna bryła wielkości szkolnego autobusu mknęła w powietrzu z ogromną lekkością. Przez ułamek sekundy Kelly pomyślała, że odłam zakreśla parabolę lotu, która zakończy się wprost na jej głowie. Potem zdała sobie sprawę, że wulkaniczna bomba spadnie wcześniej.

I rzeczywiście spadła, kilkaset jardów przed nimi. Ziemia ponownie zadrzała od impetu uderzenia. Ile mógł ważyć skalny odłam tych rozmiarów? Dużo. Jak silnie został rozgrzany? W dostatecznym stopniu, by śnieg topił się z głośnym sykiem, kiedy skała dotknęła podłoża. Kłęby pary buchnęły w powietrze.

– Nigdy wcześniej nie widziałem czegoś podobnego. – Z głosu Daniela przebijały silne emocje.

– Ja widziałem, na Hawajach. Nie było tam śniegu, rzecz jasna – oznajmił Larry. – Ale to spadło zbyt blisko, byśmy czuli się komfortowo. Uważam, że o mało co nie wdepnęliśmy w gówno, jak w Kansas City – z całą pewnością dotarliśmy tak daleko, jak się dało, być może nawet ciut za daleko. Zarządzam odwrót.

I przypuszczalnie nie powinniśmy z tym zwlekać zbyt długo.

Na twarzy Daniela wciąż malowało się rozczarowanie. Tym razem jednak nie oponował. Gigantyczna bryła wciąż otoczona kłębamii pary sama w sobie stanowiła przekonujący argument. Rozpoczęli odwrót.

Marshall Ferguson szykował się do rozmowy z doradcą akademickim na Uniwersytecie Kalifornijskim w Santa Barbara z równym entuzjazmem, jak do resekcji zęba mądrości. Jednak stomatolog przed rwaniem zaaplikował mu znieczulenie. Przez kilka dni po zabiegu musiał objadać się lodami i pić koktajle mleczne, a przeciwbólowy specyfik Lorcets, jaki przepisał mu konował, nie należał do najbardziej obrzydliwych, jakie w życiu łykał.

Tutaj nikt nie poda mu znieczulenia. Jeśli nie zachowa teraz ostrożności, nie tylko nie otrzyma zgody na zmianę przedmiotu kierunkowego, jak sobie tego życzył, lecz być może wyląduje nawet z dyplomem licencjata pod koniec przyszłego roku. Jak mówili ludzie, w dawnych dobrych czasach można było sobie przelatywać z jednego fakultetu na drugi, niczym motyl w ogrodzie botanicznym.

Czasy się zmieniły. Teraz wypychali człowieka za drzwi, z dyplomem w spoconej, zaciśniętej w pięść dłoni, przygotowanego do przeistoczenia się w mięso armatnie, na które czekał już wielki, szeroki świat. Marshallowi natomiast odpowiadał bardzo żywot, jaki prowadził w Santa Barbara. Lubił trawkę, gorzałę i laski. Podobała mu się też sama idea miasta, w którym

obchodzono Dzień Fajczenia Kanapy. Na niektóre zajęcia chadzał nawet z ochotą.

Cokolwiek wielki, szeroki świat trzymałby w zanadrzu, z pewnością nie będzie to równie rajcowne jak to, co los zgotował mu teraz. Był tego bardziej niż pewien. Nie żywił również choćby cienia wątpliwości w kwestii, że jego stary wstrzymałby dalsze subsydiowanie z chwilą, kiedy on pożegnałby się ostatecznie z uniwersytetem. Nie miał uczulenia na pracę, ale zdecydowanie bardziej preferował imprezowanie. Prędzej czy później leserowanie i tak będzie musiało dobiec kresu. Nieunikniona tego pewność wzbudzała w nim głębokie przygnębienie. Trzymał się jednak formuły, im później, tym lepiej.

Rob imprezował po dziś dzień, farciarz jeden. Dyplom inżyniera w najmniejszej mierze mu w tym nie zawadzał. Ale w oczach Marshalla granie w zespole, jeśli naprawdę chciało się coś osiągnąć, to również cholernie ciężka harówka. Poza tym, w odróżnieniu od Roba, młodszy brat był kompletnym muzycznym beztalenciem.

Rozmyślał niekiedy, bez specjalnych złudzeń zresztą, o tym, że po studiach wyląduje z hollywoodzkim fachim w rękę i licencjatem z filmoznawstwa. Ale podobnie jak w przypadku historii odnosił wrażenie, że skończy raczej pracując przez resztę życia w punkcie sprzedaży detalicznej. W jego oczach jawiło się to istnym piekłem na ziemi.

Z drugiej jednak strony nikt nie dawał gwarancji, że kiedykolwiek dostanie jakąkolwiek pracę, mając w rękę dyplom z filmoznawstwa. Gospodarka pogrążyła się w globalnym kryzysie, w rezultacie obecnie nikt nie zatrudniał nikogo. To jeszcze jeden powód zniechęcający do zgromadzenia dostatecznie dużej liczby punktów, by byli w stanie się go wreszcie pozbyć. Jeśli człowiek prawdopodobnie nie zdobędzie żadnej

pracy żadnym sposobem, pozostawanie na uczelni wydawało się w porównaniu perspektywą wręcz świetlaną.

Z całą pewnością w oczach Marshalla przynajmniej. Przekonanie ojca nie będzie zapewne niewinną igraszką, ale wcześniej już się mu udawało. Zdoła zatem przejść przez to jeszcze jeden raz.

Z biura uczelnianego doradcy wyszła dziewczyna. Prezentowała się całkiem słodko: brunetka z uroczym noskiem i zuchwale sterczącymi cyckami pod opiętą bluzką. Marshall posłał jej uśmiech. Nigdy nie wiadomo. Jednak nie odwzajemniła uśmiechu. Cokolwiek powiedział jej doradca, nie były to słowa, jakie pragnęła usłyszeć.

– Pani Rosenblatt przyjmie pana za chwilę – oznajmiła mu sekretarka. Na plakietce z nazwiskiem widniały personalia SANDE ANKENBRANDT. Jej włosy, zupełnym przypadkiem także miały piaskowy kolor jak jej imię.
– Proszę wejść.

– Ee, dziękuję – odparł Marshall i wszedł.

Selma Rosenblatt – jej imię widniało na tabliczce na drzwiach – wyglądała na nieco starszą od jego matki. W jej fryzurze dominowały odcienie szarości, co sprawiało, że wyglądała na jeszcze starszą. Sposób, w jaki zmierzyła go wzrokiem, stanowił ostrzeżenie, że był tu dzisiaj sto jedenastym studentem, którego przyjmowała i że jego widok nie wzbudzał w niej entuzjazmu.

– Proszę usiąść – powiedziała. – Proszę podać mi pańskie nazwisko oraz pański NIS.

Sądząc po jej nazwisku zgadywał, że będzie do niego mówiła z akcentem nowojorskim. Ale nie. Po sposobie wymowy uznał, że to dziewczyna z kalifornijskiej Doliny San Fernando. Aczkolwiek dziewczęce lata miała już za sobą i to od całkiem dawna.

Usiadł więc na kiepsko wyściełanym, obitym winylem, krześle ustawionym na wprost jej biurka. Za biurkiem zasiadała ona, wtulona w skórzany fotel. Dają człowiekowi do zrozumienia, kto jest kim, niech im będzie, pomyślał.

– Nazywam się Marshall Ferguson... przez dwa „1” – przedstawił się.

I wyklepał z pamięci swój dziewięciocyfrowy Numer Identyfikacyjny Studenta. Niejeden biurokrata, z dupą rozpartą w ekskluzywnym fotelu, jak ta doradczyni, używał wyłącznie akronimu, nawet tego nie zauważając. W chwili obecnej nawyk ten zakorzenił się w życiu kadry Uniwersytetu Kalifornijskiego w Santa Barbara zbyt mocno, by go wypłenić.

Pani Rosenblatt zapisywała ręcznie kolejne cyfry w miarę, jak je podawał, następnie korzystając z klawiszy numerycznych na klawiaturze wbiła je do komputera. Zdawał sobie sprawę, co ona zobaczy na ekranie monitora: przebieg jego akademickiej kariery, ze wszystkimi jej blaskami i cieniami.

Jedna z jej ostro wyregulowanych pincetą brwi podskoczyła w górę o dobre pół centymetra.

– No, no – wymamrotała. Podziw, co prawda, nie wynikał z entuzjazmu, ale za to tchnął autentycznością. – Nie każdego dnia widzimy taki wyciąg z indeksu, jak pański.

– Moje zainteresowania nieustannie się zmieniają – odparł Marshall.

Była to prawda i zarazem nie była. Jego zainteresowanie pozostaniem w miejscu, w którym się znalazł, niezmiennie nie gasło, począwszy od drugiego roku studiów. Dowód tej stałości stanowiła choćby liczba lat, jakie upłynęły od czasu, kiedy był na drugim roku, do dziś. Ale teraz trafił tutaj, ciągle jeszcze jako student studiów licencjackich.

Selma Rosenblatt przyjrzała się bliżej jego akademickim osiągnięciom. Cmokała przy tym językiem wsuniętym między zęby.

– Wie pan – zauważyła tonem krytyka literackiego recenzującego intrygującą powieść – skoro przed dwoma laty wybrał pan „Wprowadzenie do geologii”, to powinni już byli wypuścić pana za mury uczelni.

– Chyba mnie przejrzała! – pomyślał Marshall. Ilu przegranych gości, siedzących na wprost jego ojca w sali przesłuchań, doświadczało takiego samego ukłucia paniki? Setki, być może tysiące. Marshall uczynił wszystko, co w jego mocy, żeby tego po sobie nie pokazać.

– Zamierzałem tak zrobić – skłamał. – Ale nie mogłem – dodał, co akurat zgadzało się z prawdą. – Był to rok, kiedy stanowe zgromadzenie ustawodawcze i gubernator nie uzgodnili budżetu aż do listopada i wszystko poszło,yy, psu na budę.

Sarkazm z ust ojca – i sporadycznie klaps w cztery litery – nauczyły go nie przeklinać w obecności przedstawicielek płci nadobnej.

– Ach, tak, pamiętam – zapewniła go pani Rosenblatt – Nie stwierdziłam, że mógł pan wybrać te zajęcia wtedy. Powiedziałam tylko, gdyby pan wybrał. Potem zmienił pan przedmioty kierunkowe, rzecz jasna, a rozległy zakres pańskich zainteresowań uległ modyfikacji. W dobrze dobranym czasie zresztą.

– Słucham? – Marshall zamierzał odgrywać niewiniątko tak długo, jak się tylko da.

– W dobrze dobranym czasie zresztą – powtórzyła, bez przytyku, który byłby w stanie wychwycić. – A co chodzi panu po głowie dzisiaj?

– No cóż – odpowiedział, zachęcony. – Rozważam kolejną zmianę przedmiotu kierunkowego.

– Na jaki? – I znów wyłącznie zaciekawienie w głosie doradczyni, łudził się Marshall.

– Nauka kreatywnego pisania – odpowiedział pogodnie.

– Dobrze, zobaczymy, co z tego wyjdzie. Zestawimy wymogi z pańskimi dotychczasowymi osiągnięciami... – Pani Rosenblatt uderzyła w kilka klawiszy. Marshall nie posiadał jej oprogramowania, ale już wcześniej wykonał kilka tych samych tajemnych przeliczeń. Teraz pozostawało mu tylko żywić nadzieję, iż słupki wykonał poprawnie. Jego rozmówczyni spoglądała badawczo na monitor. Na jej twarzy niespiesznie zarysował się uśmiech. Nie wyglądało na to, że zagrzeje tam miejsce na dłużej, ale jednak się pojawił. – Tak, tym sposobem pozostanie pan wpisany na listę studentów o parę semestrów dłużej, niż gdyby trzymał się pan kurczowo filmu. Jak rozumiem, nie pan płaci za swój pobyt tutaj?

– Yy, nie – przyznał Marshall. Nie mógł pozbierać się ze szczęścia – jego wyliczenie dało dokładnie taki sam rezultat, jak jej komputerowy program.

– Staramy się motywować ludzi, by podążali wybraną drogą. Niektórzy studenci jednakże wykazują większą wytrwałość w tym dążeniu od innych – kontynuowała pani Rosenblatt.

– I być może dla biednego, wymęczonego budżetu stanowego lepiej jest, żeby pan płacił tutaj chesne, niż tam pobierał zasiłek dla bezrobotnych bądź pomoc socjalną. – Spojrzała na Marshalla przenikliwym wzrokiem. – Kto wie? Być może wyrośnie z pana pisarz... i być może koń nauczy się śpiewać.

– Herodot! – wykrzyknął Marshall.

Pamiętał tę historyjkę, czytaną w przekładzie. Gdyby tylko nie okazał się takim beznadziejnym bęcwałem z języków.

– Bardzo dobrze. Dawno temu na przedmiot kierunkowy również wybrałam historię – i proszę zobaczyć, gdzie wylądowałam. – Pani Rosenblatt stuknęła jeszcze w kilka klawiszy.

– Zmiana została zarejestrowana. Teraz niech się pan stąd zabiera, żebym mogła przyjąć kogoś, kto rzeczywiście potrzebuje porady.

– Co zatem będę potrzebował? – zapytał Marshall.

– Potrzebuje pan przebadać się na głowę. Aczkolwiek to jeden z powodów, dla których przyszedł pan na uniwersytet. Albo, o ile tak nie jest, coś pana ominęło – Selma Rosenblatt wskazała na drzwi. – Naciągacz. Prawdopodobnie robiąc to, wkurza pan swoich starych, ale to znaczyłoby, że robi pan to po to, żeby się odchrzanili.

Marshall wyszedł. Inna, więcej niż ładna, dziewczyna siedziała tam, czekając na wizytę u doradcy. Życie na uniwerku rozpieszczało w ten sposób człowieka. Ale ta dziewczyna również zignorowała jego rozpoznawczy uśmiech, kiedy wchodziła, by zrobić to, co zamierzała zrobić, cokolwiek by to było.

Raz na jakiś czas dorośli sprawiali, że Marshall zachodził w głowę, czy tak naprawdę wiedzieli, do czego chcieli dojść w życiu. Ojciec Marshalla niekiedy dowodził, że wie, czego chce. A pani Rosenblatt miała ten sam magiczny dar. Potrafiła przejrzeć go na wskroś. Ileż to dzieciaków z uczelni trafiało do jej biura, by zapewnić jej coraz większą wprawę w odczytywaniu na pierwszy rzut oka, co ich do niej sprowadza i czym się powodują?

Osiągnęła w tym cholerną biegłość. Cholerną biegłość, ale jednak nie pełną perfekcję. Matka wcale by się nie przejęła dopiero co dokonaną zamianą przedmiotu kierunkowego na nowy. Matka dbała o siebie i o Teo oraz, od czasu do czasu, o Vanessę. Matka i Vanessa przeszły przez podobne życiowe perypetie w tym samym czasie, co wytworzyło między nimi więź, jaka wcześniej nie istniała. A synowie? Matka pamiętała, że ma synów i całą resztę, ale oni przypominali jej wyłącznie o ojcu. Sprawy miały się tak, a nie inaczej i trudno chyba o gorszą nowinę.

Nawet ojca nie da się za bardzo naginać. Po tylu uprzednich zmianach toku studiów, jakie dokonał Marshall, ojciec zapewne przewróci oczami i

rozważy na głos, czy jego dzieciak jest zdania, że jego rodzicowi dano na drugie imię Bankomat. (Marshall w istocie rzeczy tak sądził, lecz na długi czas, zanim dostał się na Uniwersytet Kalifornijski w Santa Barbara, pojął, że wyartykułowanie tego w pełnym brzmieniu należało do najgorszych pomysłów). Ojciec będzie również zachodził w głowę – w sposób ostentacyjny – czy Marshall jest zdania, że dostanie pracę po wyborze nowego przedmiotu kierunkowego i ukończeniu licencjatu, choć jawiło się to zdarzeniem mało prawdopodobnym. Marshall widział już całą scenę oczyma wyobraźni. Nie musiał nawet jechać specjalnie w tym celu do domu.

Zbiegł pospiesznie po schodach, umykając przez klimatyzacją i lampami fluorescencyjnymi. Słońce uśmiechało się do wszystkiego w Santa Barbara niemal przez cały czas. Nadszedł maj. Los Angeles zalewało się potem, przytłamszone falą upałów. Nawet w San Atanasio, które owiewała szczydrze bryza od morza, temperatura przekraczała dwadzieścia siedem stopni Celsjusza. Valley, Riverside, miejsca takie jak to... Marshall nie chciał o nich myśleć.

Tutaj wcale nie musiał. Temperatura wynosiła dwadzieścia dwa i pół, może dwadzieścia trzy stopnie. W najgorętsze dni lata mogła dojść do dwudziestu siedmiu °C. W najchłodniejsze dni zimy mogła spaść do piętnastu °C. Kampus posiadał własną lagunę, porośniętą trzcinami, z obfitością kaczek i nadbrzeżnego ptactwa. Czyż to nie fantastyczne?

Faceci i dziewczyny przechadzali się. Niektóre nosiły szorty i T-shirty, inne jeansy i T-shirty. Mniej więcej jedna osoba na trzy rozmawiała przez telefon komórkowy lub pisała SMS-a, dokładając starań, by na nikogo nie wpaść. Rowery rozgrywały slalom specjalny między ludźmi idącymi piechotą. Niektórzy z cyklistów rozmawiali także przez komórki. O dziwo, byli wśród nich też tacy, którzy pisali krótkie wiadomości tekstowe. Nawet

Marshall nie uważał tego za przejaw bystrości umysłu. Nie chodziło nawet o to, że sam nigdy tego nie robił, ale przynajmniej nigdy z tym nie przesadzał.

Jakaś dziewczyna posłała mu uśmiech. Pozdrowił ją gestem ręki. Chodzili na wspólne zajęcia... w zeszłym roku? Jeszcze rok wcześniej? Nie potrafił przypomnieć sobie niczego więcej oprócz jej imienia. Nie była nikim specjalnym, po prostu kimś odrobinę sympatycznym. Przypuszczał, że w jej świadomości on również uchodził za kogoś odrobinę sympatycznego.

Nauka kreatywnego pisania będzie od teraz jego przedmiotem kierunkowym. Jaki rodzaj literackiej opowieści można napisać o dwojgu ludziach, którzy myślą o sobie nawzajem, że są odrobinę sympatyczni? Od czego można by rozpocząć? Chyba, że błędnie sformułował to pytanie. Jak zakończyłaby się ta opowieść? Co autor próbowałby wyrazić? Musiałby powiedzieć coś o życiu, o świecie i o wszystkim, nieprawdaż? W przeciwnym razie, po co w ogóle chwytać za pióro?

Wszystkie te pytania uznał za całkiem rzeczowe. Nie potrafił udzielić odpowiedzi na żadne z nich. Jakim cudem można znaleźć odpowiedzi na pytania takie jak te? Parając się pisarstwem? Czy on sam – albo ktoś – dostrzegłby przyczyny popełnionych błędów i miałby receptę, jak je naprawić? Czy autor nie odczuwałby skrajnego zmęczenia pisaniem o tego rodzaju bzdetach? Wcześniej czy później autor powinien przestać pisać o pierdołach, prawda? Ale jak?

Te pytania również uznał za całkiem do rzeczy. Osobą znaną mu, która otarła się najbliżej o pisarstwo, była Vanessa. Produkowanie raportów sprzedaży i ofert handlowych oraz językowa korekta wycięt innych ludzi wcale nie jawiło mu się zajęciem cholernie porywającym i kreatywnym.

Być może nauczę się tego, pomyślał. Albo kolejny raz zmienię przedmiot kierunkowy, nawet jeśli pani Rosenblatt uśmieje się ze mnie do rozpuku.

ROZDZIAŁ VII

Berkeley. Colin Ferguson zawsze odnosił wrażenie, że potrzebny jest mu paszport, kiedy się tu zjawiał. Ludowa Republika Berkeley, takim mianem ochrzcili to miasto gliniarze. W oczach stróżów prawa również Santa Monica, położona przy plaży dzielnica podmiejska Los Angeles, zasługiwała na miano Ludowej Republiki. Cholernie nieliczni policjanci wykształcili w sobie idealistyczne poglądy na temat kondycji ludzkiej natury.

Dranie i łachudry – w istocie rzeczy kreatury tej proveniencji zamieszkiwały ich świat.

– A niech to! – rzekł radośnie.

Dostrzegł wolne miejsce na parkingu, tuż za rogiem obok budynku, w którym mieszkała Kelly. O miejsca do parkowania w Berkeley było nawet trudniej niż o republikanów. Musiał zaparkować równolegle do krawężnika, żeby jakoś się wpasować i tak właśnie zrobił. Nie obowiązywało tu nawet ograniczenie do dwóch godzin, mógł tu stać tak długo, jak chciał. Założył blokadę na kierownicę i wysiadł.

W jej budynku nie zainstalowano domofonu. Ludzie po prostu wchodzili i wychodzili. Większość z nich wyglądała jak studenci uniwersytetu. Co wcale nie czyniło ich automatycznie elitą rodzaju ludzkiego, o czym Colin skądinąd dobrze wiedział. Kelly jednak stwierdziła, iż do jej mieszkania nigdy nikt się nie włamał, a do samochodu tylko jeden raz. Wiele osób zamieszkałych w miejscach lepiej strzeżonych miało większego pecha.

Dziewczyna – cóż, liczyła sobie mniej więcej tyle lat, co Vanessa, zatem w oczach Colina to dziewczyna – schodząc po schodach, rzuciła mu zdziwione spojrzenie, kiedy on piął się pod górę. Nie powiedziała wprawdzie Co porabia tu taki stary pierdoła jak ty? – ale zrobiły to jej oczy.

Dopóki jednak Kelly obstawała przy zdaniu, że jest tu dla niego miejsce, dopóty będzie znosił z pokorą drwiny i przytyki ekstrawaganckich małolatów.

Zapukał do jej drzwi. Miała zainstalowany wizjer, zatem mogła widzieć, kto stał pod drzwiami. Miała też zamek na zasuwę. Usłyszał, jak ją odsuwa. Potem otworzyła sze roko drzwi. Bajeczny uśmiech rozpromienił jej twarz.

– Cześć! – powiedziała na powitanie i rozłożyła szeroko ramiona również. Obejmowali się czule, wciąż stojąc w otwartych na oścież drzwiach. Potem weszli do środka i zamknęli za sobą drzwi. Informowali się na bieżąco, co każde z nich robi, dzwoniąc do siebie, pisząc e-maile i wymieniając krótkie wiadomości tekstowe. Ponieważ jednak nie mogli być razem przez cały czas, chwile, które mogli spędzić wspólnie, były tym bardziej słodkie.

Przez chwilę, w przerwach między pocałunkami, wymieniali różne wersje zdawkowych kwestii Jak się masz? Co słychać? Colin chwalił się pieprzonym fartem, jaki mu dopisał z parkowaniem. Kelly wyglądała tak, jakby zrobiło to na niej należyte wrażenie. Wiedziała doskonale, ile trzeba mieć szczęścia, żeby wyzebrać choćby piędź wolnego miejsca na całym obszarze Bay Area.

Mieszkanie Kelly do pewnego stopnia wyglądało jak lokum Bryce'a – do pewnego stopnia jak mieszkania większości studentów studiów doktoranckich, podejrzewał Colin. Książki, czasopisma i wydruki walały się porozrzucane wszędzie. Nie miała w sobie wrodzonego drygu do utrzymywania porządku, w odróżnieniu od niego. Nie znaczyło to jednak wcale, że nie potrafiła znaleźć tego, czego akurat potrzebowała. Na własne oczy widział, jak spod bezładnej sterty papierzysk wyciągnęła naukowy biuletyn, by sprawdzić coś w jakimś artykule. Nie miał zielonego pojęcia, skąd wiedziała, że biuletyn tam właśnie zalegał, ale wiedziała.

Wyjęła z lodówki dwa piwa marki Anchor Porter. Stuknęli się butelkami.

– Jakież najnowsze nowiny na temat parku? – zapytał.

W chwili obecnej wulkan stał się już wyeksploatowanym newsem, no chyba, że ktoś musiał lecieć z jednego wybrzeża Ameryki na drugie. W serwisach CNN temat ten zszedł definitywnie na dalszy plan. Nawet gospodarze programów talk-show emitowanych późną porą wyrzucili ten punkt ze swych monologów.

– Wciąż jest porządnie wkurwiony – odpowiedziała Kelly; rzucanie mięsem w jego obecności przychodziło jej dużo łatwiej niż jemu przy niej.
– To znaczy naprawdę porządnie.

– Czy droga do Jackson ciągle jest zamknięta?

– Ach, idę o zakład. Cały płaskowyż Pitchstone Plateau stopniowo zamienia się z powrotem w pokład lawy – ciągnęła. Colin musiał zrobić skonfundowaną minę, gdyż postanowiła wyłożyć rzecz jaśniej. – Kiedy jedziesz na dół – jechałeś na dół – znad jeziora Yellowstone w kierunku południowego wjazdu, przejeżdżałeś przez Płaskowyż Pitchstone. Tak właśnie wygląda pole lawy w rezultacie procesu wietrzenia trwającego jakieś sto tysięcy lat.

– Sosny – dodał, sięgając do pamięci. – Mnóstwo, mnóstwo sosen wydumowych.

– Aha. – Kelly przytaknęła. – Potrafią rosnąć, obywając się niemal całkowicie bez składników pokarmowych, zatem puszczają pędy pierwsze jako rośliny pionierskie. Pożoga w 1988 roku, rzecz jasna, pochłonęła niezliczone hektary lasu, a teraz drzewa znowu płoną.

– Idę o zakład, że płoną – przychylił się do jej opinii Colin. Nawet po upływie tylu lat zwęglone kikuty drzew, niektóre wciąż utrzymujące pion, inne poprzewracane i więcej niż w połowie przesłonięte odrastającymi drzewkami następnego pokolenia, jeszcze inne powywalane gdzieś

pośrodku obszaru, który teraz zamienił się w prerię – wciąż stanowiły dużą część tego, co się widzi – widziało – na terenie Yellowstone. – Co służby parku zamierzają uczynić, kiedy nowy sezon turystyczny ruszy na dobre?

– Płakać – odpowiedziała Kelly, odwodząc go tym samym od parsknięcia śmiechem. – W zasadzie powinni zamknąć park całkowicie – kontynuowała – ale Bóg jedyny wie, ile setek milionów dolarów by ich to kosztowało.

– Ile zatem wyniosłyby ich straty spowodowane absencją turystów, gdyby doszło do wielkiej erupcji? – zapytał Colin, nie do końca ironicznie. Struktury administracji rządowej i korporacje przeprowadzały nieustannie symulacyjne analizy ryzyka w stosunku do ewentualnych korzyści, rozważając, czy powództwa sądowe z tytułu konkretnych wpadek nie będą kosztowały więcej niż naprawianie tego, co było złe. Oczywiście w tym konkretnym przypadku administracja nie była w stanie niczego naprawić, ale mogła żywić nadzieję, że sytuacja nie ulegnie pogorszeniu.

– Zgoda, służby nad tym właśnie się zastanawiają – dywagowała na głos Kelly, do spółki z nim. – Z tego, co słyszę, obecnie plan jest taki, żeby skierować ludzi w rejon gorących źródeł Mammoth Hot Springs oraz do innych obiektów geotermalnych położonych bardziej ku północnemu skrajowi parku, natomiast pozostałe tereny parku chcą zamknąć dla zwiedzających.

– Być może dystans jest dostatecznie duży – wyraził nadzieję Colin. Człowiek nie wyobraża sobie bezkresu parku Yellowstone, dopóki tam fizycznie nie dotrze. Jest to obszar większy od niektórych małych stanów na Wschodnim Wybrzeżu.

– Być może. – Kelly nie robiła jednak wrażenia przekonanej.

– Zamartwiasz się superwulkanem.

– No pewnie, że się zamartwiam. Jeśli dojdzie do wybuchu, skupisko geotermalne Mammoth Hot Springs wcale nie będzie dostatecznie

oddalone. Jackson też nie znajdzie się dostatecznie daleko.

– Pociągnęła długi łyk piwa. Wprawdzie mocnego portera raczej nie pija się w taki sposób, ale jej zupełnie to nie przeszkadzało.

– Do diabła, Denver też wcale nie będzie dostatecznie oddalone. Colin stęknął.

Kelly spojrzała na niego zaskoczona. Potem skinęła głową.

– Och. Twoja córka jest w Denver. Zapomniałam.

– Tak. Jest tam.

– Czy możesz powiedzieć jej, żeby wracała do południowej Kalifornii?

– Mogę powiedzieć jej o wszystkim. Jednak czy ona zechce posłuchać – to zupełnie inna sprawa. Zawsze mówiłem o Vanessie, że mnie nie słucha. Zawsze chodzi własnymi drogami, cokolwiek by się działo.

W najczęstszych razach Colin uznawał tę jej cechę za pozytywną. Rob postępował zresztą podobnie, a Colin podziwiał go za to – niechętnie, ale mimo to. Tym razem jednak...

– Jakie jest prawdopodobieństwo, że dojdzie do jego wybuchu?

– Prawdopodobieństwo? Nikt nie ma najmniejszego pojęcia. Wielu geologów żywi nadzieję, że erupcja w rejonie Ranger Lake zmniejszyła nieco ciśnienie głębiej pod ziemią.

– Ale ty nie dajesz temu wiary. – Colin wysłuchał już zbyt wielu ludzi, którzy opowiadali zbyt wiele historii, żeby mieć w tej kwestii choćby cień wątpliwości.

Kelly pokręciła przecząco głową.

– Nie, nie daję. Bardzo bym chciała w to uwierzyć, ale nie potrafię. Pamiętasz, jak skupisko geotermalne Coffe Pot. Springs zaczęło dostawać bzikę? Anomalia są tam większe niż kiedykolwiek wcześniej. Wystrzeliwuje tam więcej gejzerów niż w skupisku geotermalnym Upper Geyser Basin łącznie z Old Faithful i całą resztą. Rzesze ludzi

przyjeżdżałyby tam, żeby je zobaczyć, gdyby nie były oddalone o wiele mil od najbliższej drogi.

– To całkiem spory kawałek od jeziora Ranger Lake – zauważył Colin, przywołując w głowie mapę parku.

– Z pewnością spory – zgodziła się Kelly i zakończyła temat w tym punkcie.

Być może Colin powinien zrobić to samo, ale cóż byłby z niego za gliniarz, gdyby wierzył w pozostawienie biegu spraw samemu sobie?

– Jeżeli istnieje poważne zagrożenie, że dojdzie do wybuchu, czy służby nie powinny opracować jakiegoś planu?

Już wcześniej walczyli ten sam temat. Kelly, z czego zdał sobie sprawę zbyt późno, spędzała dużo więcej czasu na rozmyślaniach i rozmowach poświęconych tej sprawie. Temat ten... Temat ten był dla niej Dusiciem z South Bay, bez dwóch zdań.

– Kiedyś tak właśnie myślałam. Naprawdę. Przez długi czas – odpowiedziała niespiesznie i rozłożyła bezradnie ręce. – A teraz? Po prostu sama już nie wiem. Superwulkan jest, do cholery, za wielki. Jak można sporządzić plan ratunkowy, w którym pada stwierdzenie: Musimy ewakuować cały Środkowy Zachód – i to tylko na początek? Nie można. Nie da rady. Jedyna rzecz, jaka pozostaje, to nie tracić nadziei, że do katastrofy nie dojdzie. Modlić się, jeśli ktoś uważa, że modlitwa pomoże. Z pewnością nie zaszkodzi.

– Jak modły o to, żeby człowiek nie znalazł się tam, gdzie dojdzie do wybuchu bomby wodorowej – dodał od siebie Colin.

– No cóż, tak. – Z oporami zaoferowała mu ugodę z domniemaniem niewinności. – Z tym, że to tutaj jest o tylekroć potężniejsze od bomby wodorowej, że przestaje nawet być śmieszne.

Mówiła całkiem serio. On dorastał w ostatnich latach zimnej wojny. Wyobrażenie sobie czegoś, w porównaniu z czym najbardziej zaawansowana technologicznie wojenna niedorzeczność stworzona przez rodzaj ludzki wydawała się maciupeńka jak liliput, zmusiło go do intelektualnego wysiłku, od jakiego jego szare komórki dawno odwykły.

– Największy kataklizm w ogóle, hę?

– Nie w ogóle – Kelly odpowiedziała z powagą. Powinien ugryźć się w język, zamiast mówić coś takiego do geologa. – Naprawdę wielki superwulkan może wyrzucić do atmosfery nawet dwa tysiące czterysta sześćdziesiąt kilometrów sześciennych materiału skalnego.

– Tak, wspominałaś już o tym wcześniej. – Skinął głową. – To dużo skał.

– Z pewnością. Ale 250 000 000 lat temu doszło do powstania trapów syberyjskich w rezultacie wylewu nawet tysiąckrotnie większych ilości lawy – wystarczyłoby to w zasadzie do pogrzebania pod zastygającą magmą blisko dziewięćdziesięciu procent obszaru kontynentalnych Stanów Zjednoczonych. Natomiast sześćdziesiąt parę milionów lat temu, gdy powstały trapy Dekanu, wylało się tyle lawy, że starczyłoby tego na pogrzebanie Alaski, z grubsza rzecz biorąc. Nasz superwulkan zatem w zestawieniu z tamtymi to naprawdę małe piwo, nawet jeśli jest dostatecznie wielki, by postawić nas pod ścianą.

– Sześćdziesiąt parę milionów lat temu – powtórzył Colin. – Czy to przypadkiem nie wtedy wyginęły dinozaury? Wydawało mi się, że pierwszą na liście podejrzanych o ich sprzątnięcie jest asteroida.

– Asteroida z całą pewnością uderzyła właśnie wtedy Ale czy jest to przyczyna wyginięcia czy też więcej wspólnego mają z tym trapy Dekanu... Uczeni wciąż piszą referaty. A do wzmożenia aktywności wulkanicznej, w rezultacie czego powstały trapy syberyjskie, doszło mniej więcej w tym

samym czasie, kiedy miało miejsce jeszcze większe wymieranie organizmów żywych na przełomie permu i triasu.

– Coś podobnego? – odrzekł bezgłośnie Colin. Uwzględniając skalę rzeczy, do których ona się odnosiła, Dusiciel z South Bay nie był chyba wart najdrobniejszej choćby wzmianki. Nie potrafił myśleć w takiej skali, chociaż bardzo by chciał. Nawet – nawet! – superwulkan przekraczał granice jego zdolności pojmowania. – Masz jeszcze w zanadrzu jakieś inne dobre wieści?

– No cóż, Słońce mogłoby przeistoczyć się w gwiazdę nową i usmażyć całą planetę jak kotlety schabowe. – Z jej głosu emanowała radość, ku jego zaskoczeniu. Nie zwlekała z wyjaśnieniem.

– Ale Słońce nie przemieni się w supernową. Biedaczysko ma zbyt małą masę.

– Ojej – jęknął, co sprowokowało ją do śmiechu. – Zaczynasz zawracać sobie głowę tego rodzaju sprawami, ale w jaki sposób można temu zaradzić?

– Nie jestem w stanie, do cholery, niczego zrobić. Dlaczego zatem nie mamy nabzdryngolić się i nie podymać sobie? – zadeklarowała Kelly.

Zastanawiał się, czy wiedziała, że takie są słowa piosenki country z czasów, zanim przyszła na świat. Tak czy owak wątpił w to. Jeśli chodzi o jej muzyczny gust, to preferowała inne klimaty. Mimo to rzucony przez nią pomysł uznał za absolutnie fantastyczny.

Justin Nachman wpadł do garderoby w klubie Neptune's Resort, wymachując egzemplarzem „New Yorkera”, jakby zamierzał pacnąć nim muchę. Garderoba była maleńka, ciasna i duszna, a nad głowami latało kilka much. Na ile Rob Ferguson zdołał się zorientować, wszystko w Nowym Jorku było maleńkie i ciasne – oprócz hery, która wydawała się wręcz monumentalna i rewelacyjnie odlotowa. Każda jej odrobina, zarówno

ta podejrzanego pochodzenia, jak i ta pierwszego sortu, osiągała tu zawrotne ceny na granicy absurdu.

Na okładce „New Yorkera”, co Robowi udało się w końcu dostrzec, kiedy Justin przestał wymachiwać tygodnikiem, widniał wykonany z fotograficzną wiernością malunek przedstawiający bramę wjazdową do parku Yellowstone oraz, na drugim planie, dopiero co powstały wulkan z idealnym stożkiem w stylu Fudżijamy. Przed bramą stała tablica z napisem ZAMKNIĘTE NA NASTĘPNYCH 1000 LAT. Niekończący się sznur aut osobowych i samochodów z częścią mieszkalną odjeżdżał, odprawiony z kwitkiem.

Oglądając okładkę, Rob przypomniał sobie o przyjaciółce ojca. Usiłował od tego uciec. Pragnął, by sprawy w domu ułożyły się po staremu, czyli, w jego rozumieniu, z matką i ojcem pod jednym dachem. Miał świadomość tego, że pragnienie to raczej się już nie spełni. Uświadomił to sobie być może nawet wcześniej, niż uczynił to ojciec. Jednakże uświadomienie sobie czegoś i odczuwanie sympatii wobec tego – czegoś dzielił bardzo odległy dystans.

– Co robisz z tym czymś? – zapytał Justina.

– Tak czy inaczej, to numer zeszytygodniowy – wtrącił Charlie Storer, zanim frontman zespołu zdążył odpowiedzieć.

Perkusista, jak się okazało, czytywał „New Yorkera” od czasu do czasu. Justin w tych czasach sporadycznie tylko czytał coś z wyjątkiem e-maili i krótkich wiadomości tekstowych. Doszedł już do siebie po kolosalnym pisarskim zrywie, jaki stanowiła jego praca magisterska z biologii.

Mimo to teraz właśnie otworzył tygodnik na stronie frontowego dodatku z drobniejszą czcionką.

– Jesteśmy w rubryce „Nocne życie – Rock i pop” – wymamrotał.

To przyciągnęło uwagę kolegów z zespołu, w co zresztą nie wątpił, że tak się stanie.

– No więc, co tam mówią? – zapytali zgodnym chórem albo każdy swoimi słowami, ale w tym znaczeniu. Biff Thorvald mógł wydzierać się najgłośniej. Z drugiej jednak strony mogli to również być Rob lub Charlie.

– Zespół Tryskająca Żaba i Ewoluuujące Kijanki wnosi muzyczną wrażliwość, która łączy w sobie stylistykę eklektycznej oprawy muzycznej, czerpiącej z muzyki, pop, folk i country and western, animowanego japońskiego serialu Cowboy Bebop z progresywnym rockiem brytyjskiego zespołu Bebop Deluxe. I nie ma przy tym znaczenia, czy grają dla publiczności w Oxnard w Kalifornii czy w klubie na Manhattanie – czytał Justin.

– Oxnard! – wykrzyknął z odrazą Biff.

Oxnard to brudne, zabite dechami, robociarskie miasteczko, skąd bliżej do Los Angeles niż do Santa Barbara. Miało mniej więcej tyle wspólnego z Manhattanem, co przemysłowa miejscina Passaic w stanie New Jersey z Hamptons na wyspie Long Island, gdzie mieściły się rezydencje najbogatszych nowojorczyków. Charlie również wydawał z siebie odgłosy, jakby zbierało mu się na mdłości.

– Tak, wiem. Z tej strony kraju wszystko wygląda tak samo – wyraził opinię Justin. Rob przywołał w myślach surrealistyczną mapę, jaką kiedyś widział: Stany Zjednoczone widziane z perspektywy Nowego Jorku. Niemal połowa mapy rozciągała się po wschodniej stronie rzeki Hudson. Resztę zajmowały północna część stanu Nowy Jork, Pensylwania, Texas i Kalifornia oraz palma wystająca z Pacyfiku, symbolizująca Hawaje. Najwidoczniej takie postrzeganie rzeczywistości przetrwało do dziś.

– Jeszcze nie skończyłem – oznajmił Justin. Wziął głęboki oddech i przeczytał dalszy fragment. – Justin Nachman, prowadzący wokalista, z

szokującym fryzem na głowie w stylu kuchennego druciaka, całkiem sugestywnie prezentuje ekscentryczne teksty piosenek dobrze zapowiadającego się zespołu. – Pogłaskał się czule po czuprynie afro w wersji jidysz . – Ja i Dylan, racja?

– Tylko w twoich snach – dodał słodko Charlie.

– Twoich mokrych snach – poprawił go Biff.

Co oczywiste, również Rob naśmiewał się z Justina. Żaden odpowiedzialny członek zespołu nie mógł postąpić inaczej. Ale jednocześnie starał się przetrwać ocenę przedstawioną na łamach „New Yorkera”. Czy można łączyć ze sobą anime, styl rysunkowej filmowej animacji, zaczerpnięty z komiksów manga, z muzycznym stylem jednego z bardziej osobliwych brytyjskich zespołów rocka progresywnego, występującym na scenie w latach siedemdziesiątych ubiegłego stulecia? Jeśli można, to czy kapela Tryskająca Żaba i Ewoluuujące Kijanki to właśnie czyniła? Jak domniemywał, tak do końca nie było to chyba możliwe. Ale za bardziej prawdopodobne uznał, że twórca muzyczny stawał się po prostu bardziej cwany i kuty na cztery nogi.

Justin podążył myślami w innym kierunku. Działo się tak zresztą całkiem często. Znów zaczął wymachiwać tygodnikiem na wszystkie strony.

– Nie jest to wprawdzie okładka „Rolling Stones”, ale z całą pewnością poczyniliśmy krok w kierunku, w którym zmierzamy – skomentował.

Pozostali muzycy przytaknęli. Rob z niezmierną ochotą zagościłby na okładce magazynu „Rolling Stone”. To zaś wiązało się z znaczącym sukcesem; znaczącą sprzedażą; a przy odrobinie szczęścia, nawet z dużymi pieniędzmi. Zdawał sobie sprawę, jak to mało prawdopodobne. Krytyk muzyczny nie krył również powodu, dlaczego sprawy miały się tak, a nie inaczej. Ekscentryczność mogła zaprowadzić ich wyłącznie do etapu, na

którym grupa dobrze się zapowiadała. Czy mogła również zapewnić znaczący sukces? Raczej nie.

– Czy w notatce jest również mowa o kapeli Węże i Drabiny? [Snakes and Ladders] – zapytał Charlie.

To ważne pytanie, zgoda. Jeśli publicysta „New Yorkera” nie wspomniał o zespole występującym jako suport, to chłopaki wkurzą się z tego powodu i nikt nie będzie mógł ich za to obwiniać.

– Tak sądzę. Pozwól, że sprawdzę.

Justin otworzył tygodnik kolejny raz. Czyżby nie przejrzał wcześniej recenzji? Jeśli któryś z nich miał zostać wielką gwiazdą rocka, było to pisane jemu. W końcu to jego imię i nazwisko wymieniono na szpaltach tygodnika „The New Yorker”. Na razie jednak ego żadnego z muzyków nie rozpychało się łokciami i nie wysforowało się do przodu przed resztę zespołu. Było im z tym dobrze, radzili sobie wspólnie lepiej niż wiele kapel, które rozpadły się z powodu kogoś, kto z reguły odchodził po to, by rozpocząć solową karierę.

– Razem z nimi – czytał znowu Justin – występuje inna kalifornijska grupa Węże i Drabiny, o charakterystycznym brzmieniu.

Można to uznać za wzmiankę, zgoda, ale nie taką, która mogłaby przyprawić ten drugi zespół o dreszczyk emocji. Ich gitarzysta prowadzący miał aspiracje, by zostać Robinem Trowerem, a być może nawet Hendrixem (człowiek powinien prześcignąć swój zamiar – po to jest niebo [cytat z wiersza Andrea del Sarto Roberta Browninga, przekład Juliusz Żuławski, przyp. tł.]). Nie, sformułowanie charakterystyczne brzmienie nie pobudzi Lenny’ego do wzniesienia się na wyżyny sztuki.

– Wsadź gdzieś tę gazetę – doradził Rob. – Jeśli tego nie widzieli, to im nie pokazuj. No i nie rozmawiaj o tym.

Sądząc po wszelkich znakach na niebie i ziemi Justin pragnął jednak rozdmuchać drobną notatkę do rozmiarów zbliżonych do tablic z dziesięciorgiem przykazań, jakie Bóg przekazał Mojżeszowi na górze Synaj. Zamierzał nieść ją ze sobą, tak jak Mojżesz zniósł tablice ze szczytu góry. Nie, z jego ego wszystko było w porządku, w jak najlepszym. Nie dotarł jeszcze do miejsca, w którym potrzebne by mu było drugie krzesło, żeby jego ego mogło się wygodnie rozsiąść. Skinął głową bez entuzjazmu, ale jednak się zgodził. Otworzył futerał od gitary, na której nie zamierzał zagrać tego wieczoru i schował w nim egzemplarz „New Yorkera” Sposób, w jaki kapela Węże i Drabiny zagrała suport, stanowił potwierdzenie, że widzieli, a przynajmniej Lenny widział, notatkę. Usiłował zagrać na swojej gitarze takie solówki, jakie powinny być zakazane albo, co bardziej prawdopodobne, były wręcz niemożliwe do zagrania. Czasami mu to nawet wychodziło, kiedy indziej brzmiał jak człowiek usiłujący obedrzeć ze skóry kota, któremu taka perspektywa wcale, a wcale nie przypadła do gustu.

Zagranie takich numerów musiało być wyczerpujące. A z całą pewnością wysłuchanie tego okazało się drogą przez mękę, zarówno dla zespołu będącego gwiazdą wieczoru, jak i dla publiki przybyłej tłumnie do klubu Neptune’s Resort. Oklaski, jakie rozległy się później, wydawały się bardziej wyrazem ulgi niż czymkolwiek innym.

– A teraz witamy zespół Tryskająca Żaba i Ewoluuujące Kijanki! – przemówił głos jakby wprost z nieba. Jeśli Bóg był didżejem klasycznego rocka ze stacji nadającej na zakresie fal ultrakrótkich, jego głos brzmiałby zapewne bardzo podobnie.

Kolejne oklaski ulgi zerwały się, kiedy grupa wyszła na scenę. Po części ulga wynikała z faktu, że jednak nie byli zespołem Snakes and Ladders. Człowiek nigdy nie wiedział, co mu się może trafić w genre science-fiction

oraz extra-terrestrial, ale nasilanie trwogi i niepokoju nie stanowiło najlepszej cechy takiej mieszanki.

Rob machnął ręką na przywitanie, kiedy zajął swoje miejsce z tyłu za Justinem. Spojrzał w kierunku tłumu, zanim światła zgasły, wyszukując co bystrzejsze twarze. Któż tego nie robił? Po pierwsze, ci bystrzejsi dawali sygnał, by dołączyć do zespołu. A Nowy Jork oferował różnorodność, jakiej nie widział od czasu, kiedy ostatni raz grał w południowej Kalifornii.

Justin również machnął ręką na powitanie.

– Dobrze być tu z wami – powiedział spokojnym i opanowanym głosem – do wszystkich, którzy go znali... iluzja, ale w tym momencie kojąca. – Zawsze pragnąłem zagrać w Carnegie Hall.

Sala zareagowała śmiechem. Klub wypełniali ludzie w jeansach i T-shirtach, nie elegancko wystrojona towarzyska śmietanka, jaką Rob oczyma wyobraźni widział w Carnegie Hall. Publiczność siedziała na składanych, metalowych krzesłach. W Carnegie Hall zapewne mieli lepsze, szersze i bardziej komfortowe siedzenia. Zapach unoszący się w powietrzu świadczył, że spora część tego tłumu nie brała prysznic od dość dawna. Kiedyś dym z papierosów – między innymi – także współformował ten zaduch. Obecnie w Nowym Jorku obowiązywały przepisy zakazujące palenia w miejscach publicznych, równie rygorystyczne, jak gdzie indziej. Co, rzecz jasna, wcale nie powstrzymało członków zespołu od zaliczenia paru sztachnięć przed wyjściem na scenę.

Jako dyplomowany inżynier Rob zaprojektował ostatnio eksperyment, który pozwoliłby mu przekonać się, czy gra lepiej urzęnięty. Wysłuchiwał swoich nagrań zrobionych, kiedy nawalił się oraz gdy grał na trzeźwo. Tak czy owak różnica wydawała się niewielka. Wciąż jednak lubił sobie popić, co zresztą czynił.

Inni faceci, którzy mieli okazję zagrać w Nowym Jorku, ostrzegali, że tamtejsi fani są inni od tych z Indiany czy Idaho. „Jeśli lubią ciebie, gościu, to naprawdę lubią ciebie”, powiedział ktoś kiedyś zdumiony. „Lepiej niż ty wiedzą też, że jesteś gównem wart”.

Po dwóch utworach trzech ludzi w różnych miejscach sali zaczęło równocześnie krzyżeć, by zagrali Niedowład pamięci [„Brainfreeze”]. Muzycy zespołu Tryskająca Żaba i Ewoluuujące Kijanki nie wykonywali tego utworu od co najmniej dwóch lat. Piosenkę napisał Rob, ale nawet on przestał ją lubić. Nie pojawiła się na żadnym albumie. O ile potrafił przypomnieć sobie, nigdy nie została nagrana. Jakim cudem ci goście – nie, jeden z nich był dziewczyną – wiedzieli o istnieniu tego kawałka.

Justin pokręcił przecząco głową. Jego ondulowana szopa zafalowała.

– Nie przyjmujemy jeszcze zamówień – zakomunikował stanowczo.

Inni muzycy, którzy koncertowali w Nowym Jorku, mówili również, że fani tutaj nie lubią wysłuchiwać podobnych bzdetów. Szybko okazało się, że mieli rację. Z tłumu dobiegały prośby między utworami, a nawet w ich trakcie, gdyż te szybko się nudziły. Zespół dysponował jednak kolumnami nagłośniającymi Marshalla, a publika nie. Faceci na scenie bez trudu zagłuszyli widownię. Odwrotna sytuacja graniczyła wręcz z absurdem. Mruknięcie w stronę dźwiękowca pozwoliło im po prostu to zrobić.

Publiczność najwyraźniej nie miała nic przeciwko temu. Kapele z Nowego Jorku żyły na luzie. Być może spodziewały się, że ich fani również mają luz. Publika o mało co nie zwała niskiego sufitu, wrzeszcząc, wydzierając się i szalejąc na koniec występu, a potem po bisach.

Potem rockowi muzycy przeistoczyli się w ulicznych handlarzy. Płyty CD i plakaty schodziły jak ciepłe bułeczki.

– Ściągnęłam już pliki z muzyką – powiedziała Robowi jakaś dziewczyna, gdy kupowała kompaktowy dysk – ale nie mogę ściągnąć z

sieci waszych autografów.

– Cholerna racja – zgodził się, składając autograf na wkładce do płyty CD flamastrem marki Sharpie.

Ona również zapłaciła gotówką. Przyjął kasę ochoczo. Podobnie zresztą jak wszyscy koledzy z zespołu. Po każdym koncercie dzielili zielone na cztery równe kupki. To, o czym fiskus się nie dowie, wcale go nie zaboli.

Po drugiej stronie hallu członkowie grupy Węże i Drabiny również urządzili obwoźny kram. A przynajmniej usiłowali. Ale na ich stronę nie przechodził niemal nikt. Przyznać trzeba, że Lenny wzbudzał w ludziach bojaźń bożą. Coś takiego jednak przystało bardziej straszącemu ogniem piekielnym kaznodziei, dużo gorzej miały się sprawy w przypadku rockandrollowca.

Pozostali goście z jego grupy próbowali przemówić mu do rozumu. Odrzucił głowę do tyłu. Bujna plereza pofrunęła w górę. Nie miał zamiaru ich słuchać. Im dłużej go przekonywali, tym bardziej się wściekał. W końcu stracił całkowicie panowanie nad sobą.

– Możecie się do cholery zamknąć, dupki! – wrzasnął na tyle głośno, że wszyscy zaczęli gapić się na niego.

Jak nożem uciął, zapadła okropnie krępująca cisza.

– No dobrze – powiedział po chwili Justin – czy show-biznes to nie zabawa?

Dostatecznie dużo ludzi zareagowało stłumionym śmiechem – niektórzy nerwowym – by zespół Tryskająca Żaba i Ewoluuujące Kijanki, chociaż nie kapela Węże i Drabiny, mógł ponownie zająć się poważnym biznesem, który polegał na oddzielaniu klientów od ich kasy.

– Mamy jechać razem z nimi do Connecticut i do Massachusetts, a potem do Maine – szepnął Rob do Charlie’ego Storera.

– Co zrobimy, jeśli oni odejdą?

Takie rzeczy działy się nieustannie, co nie znaczy wcale, że nie psuło to innym szyków, gdy rzecz miała miejsce. Rozejścia bywały z reguły kosztowne i przysparzały kłopotów. Rob ponownie przywołał w myślach swoich starych.

– Co wtedy zrobimy? – Perkusista pogrążył się w myślach przez chwilę, ale niezbyt długo. – Poradzimy sobie, do cholery, całkiem dobrze bez nich, oto, co zrobimy.

Rob stęknął. Charlie miał najprawdopodobniej rację. Być może powinni zaangażować jakiś miejscowy zespół, który zechciałby ruszyć w trasę po Nowej Anglii. To mogło się udać... jeżeli zdołają znaleźć kapelę, która lubi podróżować... jeżeli obie ekipy nie będą gryźć się ze sobą jak szkocka krata z orientalnym wzorem... jeżeli..., jeżeli..., jeżeli...

Potem Rob przestał zawracać sobie tym głowę. Młoda kobieta, która podsunęła mu wkładkę z płyty CD do złożenia autografu, była tak śliczna, że na dobrą sprawę prawo powinno tego zabraniać. Z tyłu za nią nie sterczał żaden niezdarny chłoptaş, co niestety zdarzało się nader często. Gdy Rob dowiedział się, że ma na imię Jane, natychmiast zapragnął zostać Tarzanem.

Nie okazał się jednak na tyle tępy, by jej o tym powiedzieć.

– Jeśli później nie masz nic konkretnego do roboty, to może spędzisz tu z nami trochę czasu? – zapytał w zamian, dokładając starań, by wydobyć z siebie cały kalifornijski luz.

Dość często nagabywana dziewczyna odpowiadała tekstem w rodzaju, że chyba nie może zostać, gdyż jej chomik dostał zawału serca z powodu gnębiącej go łuszczycy. Jednak w pozostałych razach... Jane obdarowała go promiennym wiele obiecującym uśmiechem.

– Mówisz na serio? – wyszeptała. – Bez kitu?

– Bez kitu – potwierdził Rob solennie. – Z ręką na sercu i z nadzieją, że.... – Jednak w tej chwili nie myślał o odlocie. Zwykły orgazm, być może – nie, z całą pewnością – ale nie wielkie lizanie z czekoladowym lodem. – Przejdź na tę stronę stołu. Znajdzie się dla ciebie jakieś krzesło albo coś. Albo, tam do diabła. Możesz usiąść mi na kolanach.

Nie brzmiało to do końca jak Możesz usiąść mi na twarzy. Ale też nie był to tekst, z pomocą którego większość facetów próbuje poderwać dziewczynę, której nazwiska jeszcze nie znają. Cholera, byłoby jednak szkoda, gdyby Jane nie usiadła. Potem przejechała palcami po jego czuprynie, co strasznie go zdekoncentrowało, kiedy usiłował złożyć kolejny autograf.

Tak, pomyślał, kładąc rękę na jej nodze, udając, że chce ją przytrzymać. Och, kurwa, tak. Właśnie dlatego robię to, co robię. Czyż może być lepszy powód?

Louise Ferguson wniosła swe marne biurowe kwalifikacje do jeszcze marniejszej pracy w jednym z najbardziej marnych biur, jakie w życiu widziała. Była to amerykańska centrala firmy zajmującej się importem do Stanów rosołków ramen, japońskich zupek z makaronem i różnymi dodatkami. Przed laty, kiedy wychodziła za mąż za Colina, ulica Braxton Bragg Boulevard należała do głównych traktów San Atanasio. Dzisiaj parking firmy importującej ramen otaczało ogrodzenie ze stalowych prętów, zwieńczone zwojami drutu kolczastego. Zapora taka jak ta mogła skutecznie nakłonić talibów, by trzymali się z dala. Importer zatrudniał również z konieczności całodobową ochronę, patrolującą ogrodzenie dookoła. Mimo to z chwilą, gdy Louise weszła do budynku, jakaś kobieta syknęła do niej z szorstkim, farmerskim akcentem.

– Nie zostawiła pani na zewnątrz niczego wartościowego, prawda? Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Nie.

Lata spędzone u boku męża gliniarza z reguły uważała za całkowicie zmarnowane. Jednak odcisnęły na niej swoje piętno, często w sposób, jakiego nawet nie zauważała.

Nie poczuła zbytniego zaskoczenia, kiedy wewnątrz biura okazało się równie wielkim show rodem z Dzikiego Zachodu, co firmowy parking. Jej szef nosił nazwisko Nobashi. Robił wrażenie mniej więcej równie nieodgadnionego, co pokaz fajerwerków. Większość czasu upływała mu na rozmowach z macierzystym biurem w Hiroszynie, prowadzonych płomienną japońszczyzną, przeplatanych wtrętami w rodzaju „Och, Jeza Chrysta!” czy „pieprzona sukinsyna!”.

Kiedy nie sobaczył, mówił znośną, chociaż elementarną angielszczyzną. Zaprezentował Louise arkusze kalkulacyjne, nad którymi miała odtąd sprawować pieczę. Na ich widok serce w niej zamarło. Porażały kolosalnymi rozmiarami i stopniem skomplikowania, zaś Excel zawsze przekraczał daną jej przez naturę zdolność pojmowania. Odniosła wrażenie, że arkuszy kalkulacyjnych jest tu bezlik.

– No cóż, spróbuję – stwierdziła nieśmiało. Pocieszała się, że jeśli zdoła nie rozbudzić nadmiernych oczekiwań pana Nobashi, to później również przesadnie go nie rozczaruje.

– Ty nie próbować! Ty zrobić! – oświadczył.

Skinęła głową, przytakując. Cóż innego mogła począć? Ty zrobić, właśnie po to tutaj trafiła. Jeśli nie da sobie rady, jaka może być najgorsza rzecz, która ją spotka. Po prostu on ją wyleje, ona zaś będzie musiała podjąć próbę wylądowania w innej robocie gdzieś indziej. Gdzieś w lepszym miejscu niż to? Możliwe, ale raczej niezbyt prawdopodobne. To miejsce wyglądało na takie, w którym w dzisiejszych czasach istniała szansa dostania jakiejś pracy.

Gdy usiadła za biurkiem, zaczęła w pierwszej kolejności od skopiowania arkuszy kalkulacyjnych. Jeśli schrzani kopie, zawsze będzie mogła wrócić do niespapranych oryginałów. Ile dobrego mogłaby na tym zyskać... wołała jednak nie dywagować nad tym, przynajmniej nie w tej chwili, nie chciała kusić licha.

– Proszę. – Kobieta, która wcześniej zapytała ją, czy nie zostawiła czegoś w samochodzie, z plaśnięciem położyła przed nią stertę wydruków. – Pani zadaniem będzie wpisywanie tych faktur wysyłkowych do programu kontrolującego stan zapasów.

– Och – wydusiła z siebie Louise: słowo przesycone przygnębieniem, o ile kiedykolwiek takie słowo istniało.

– Życzy sobie pani, żebym pierwszy raz przeprowadziła panią przez ten bajzel? – zapytała kobieta. Louise przytaknęła. – Jestem Patty. Jeśli nie nauczysz się tego ode mnie, Nobashi na bank nie będzie w stanie wyjaśnić ci tego.

– Dzięki! Czy naprawdę zechcesz? – Louise wiedziała, że z jej głosu przebijała upokarzająca nadzieja, ale miała to gdzieś. Być może jednak uda się jej znaleźć koło ratunkowe na tym oceanie zmartwień.

– Posłuchaj. Twoja robota polega na... – Patty wykonała to szybko i z wprawą. Kiedy zorientowała się, że pracuje na skopiowanych plikach – Louise nie zdążyła nawet zmienić ich nazwy – pozwoliła sobie na kpiący chichot. – Chyba nie jesteś taka tępa, skarbie?

– Skoro nie jestem, to co robię tutaj? – odpowiedziała Louise pytaniem na pytanie. Tym razem Patty parsknęła głośnym śmiechem.

– Widzisz, jak dokonuję zmiany w stanie zapasów? – zapytała. Kiedy Louise zaprzeczyła ruchem głowy, Patty wykonała to ponownie, tym razem wolniej. – Okej – oznajmiła, wstając z krzesła.

– Teraz ty spróbuj.

Nie żywiąc większych nadziei Louise wykonała polecenie. Do jasnej cholery, przecież udało się! Klasnęła w dłonie zachwycona i zarazem zadziwiona. Niewiele zabrakło, by wzniosła głośne wiwaty.

– Widzisz? To nie takie trudne – powiedziała Patty. – Teraz prześlij pocztą elektroniczną ten arkusz kalkulacyjny szefowi i przejdź do następnego.

Zanim Louise wzięła się za to, zadzwonił telefon. Odbieranie telefonów miało należeć do jej obowiązków. Kiedy odebrała, ktoś zaczął gadać do niej z ekscytacją po japońsku. – Proszę poczekać chwilkę – odpowiedziała po angielsku i nacisnęła przycisk HOLD. Potem podjęła mozolną próbę przełączenia rozmowy na aparat pana Nobashi. I tym razem Patty wyciągnęła ją z opresji.

– Jesteś prawdziwym wybawieniem – zawołała Louise, przypominając sobie własne myśli sprzed kilku minut. – Czemu sama nie objęłaś tego stanowiska?

– Ponieważ nie chciałam – odpowiedziała spokojnym głosem Patty. – Wcześniej przez niemal cały czas zajmowałam się mieleniem liczb. Nobashi zostawia mi dużo swobody, gdyż wie, do jasnej cholery, że jestem dobra w tym, co robię. Ale ty... ty będziesz miała, z konieczności, do czynienia z nim, bidulko.

– Czy on próbuje zaciągnąć do łóżka dziewczyny, które u niego pracują? Czy jest jednym z tych? – zapytała Louise. – Rozwałę mu łeb, jeśli tylko spróbuje.

– Nie. – Patty pokręciła przecząco głową. – On doskonale wie, czym to grozi. Facet, po którym przejął ten interes jakieś dwa, trzy lata temu, sądził, że wywinie się od kary za takie numery, co uszłoby mu na sucho w Japonii. Dziewczyna, do której się dowalał, nie wzięła go jednak na celownik. W

zamian pozwała firmę – wygrała również w sądzie kupę szmalu tytułem odszkodowania. Stąd też Nobashi trzyma łapy przy sobie.

– W takim razie, co jest w nim takiego złego?

Mr. Nobashi wybrał sobie akurat ten moment, by zakrzyknąć ze swego azylu.

– Kawa! Kawa i słodkie bułeczki!

Louise całkiem szybko przekonała się, że Japończyk funkcjonuje dzięki kawie i słodkim bułeczkom. Herbata? Ryż? Sashimi? Ramen? Kiedy cukier i kofeina przestawały wystarczać, by wprawiać w ruch jego świat, wysyłał ją do położonego na dole ulicy fast foodu Popeyes Chicken Biscuits, żeby przyniosła mu duże kartony pałek i udek. Tłuszcze zatem stanowiły także jeden z jego podstawowych składników pokarmowych.

Żłopał też całymi skrzynkami butelkowaną wodę. Nie chodził do lodówki, żeby wziąć sobie butelkę. Boże uchojaj! Uwłaczałoby to przecież godności szefa. Wyręczał się Louise, wołał ją, żeby poszła do lodówki i mu przyniosła. Obojętne, czymkolwiek byłaby zajęta, donoszenie mu niezbędnych wiktuałów stanowiło najwyższy priorytet.

Zanim nadeszła druga po południu, Louise zrozumiała w pełni, dlaczego Patty nie chciała mieć nic wspólnego ze stanowiskiem pracy, które dopiero co ona sama objęła. Pan Nobashi nie był być może zbereźnikiem, przynajmniej w godzinach pracy. Ale okazał się upierdliwy co najmniej jak wrzód na dupie.

Firma sprowadzająca japońskie zupki płaciła jednak całkiem dobrze. Tamta kobieta, którą molestował poprzedni szef z Japonii, nie ogołociła przedsiębiorstwa z majątku do ostatniego centa. Poza tym tak długo, jak nie brakowało studenckiej braci, żadnemu dystrybutorowi japońskich rosółków nie groziła plajta. Odnosiła czasami wrażenie, że Marshall żył tylko na tych zupkach. Podobnie zresztą jak Rob, kiedy studiował na uniwersytecie.

Vanessa... Z tego, co Louise sobie przypominała, rosołki ramen uwłaczały jej godności.

– Zmywam się stąd – oznajmiła Patty, gdy tylko wybiła piąta trzydzieści.
– Jeśli masz odrobinę oleju w głowie, także się zrywaj. W przeciwnym razie pomyślą sobie, że chcesz tyrać jak wyrobnik i będą cię tu trzymać 24 godziny na dobę, 7 dni w tygodniu. Czasami myślę sobie, że pan Nobashi mieszka w tym swoim małym głównianym biurze.

Louise rzeczywiście się zerwała. Parkingu pilnował inny już ochroniarz. Krępy facet o latynoskich rysach, który mógł służyć kiedyś w piechocie morskiej. W geście pozdrowienia uchylił rondo kapelusza Smokey Bear w jej kierunku, kiedy wsiadała do auta.

Teo wrócił do domu przed nią. Co więcej, przyniósł ze sobą tajskie jedzenie na wynos, zatem nie musiała paprać sobie rąk mieloną wołowiną bądź kurczakiem.

– Jesteś taki słodki! – rozczuliła się.

Colin nie zdobyłby się nigdy na podobny gest. Zawsze oczekiwał, że zostanie nakarmiony. Dokładnie tak, jak pan Nobashi, pomyślała Louise, sama odrobinę tym zaskoczona.

– Cześć, to twój pierwszy dzień – oświadczył jej dużo młodszy kochanek, otwierając pudełka. Zapach przypraw i mleczka kokosowego wypełnił mieszkanie. – Jak poszło?

– To nic ekscytującego, ale jakoś sobie poradziłam. Jedna z tamtejszych dziewczyn pokazuje mi, co i jak, a to pomaga. Ten Japończyk, który tam dowodzi, to prawdziwe utrapienie. – Louise sprawdzała zawartość plastikowych i styropianowych pojemników. – Och, wzięłeś tę sałatkę z kalmarów, którą lubię!

– Pomyślałem sobie, że to właśnie ta.

Teo dokładał starań, żeby zapamiętać, co ona lubiła i za czym nie przepadała. Chociaż dzielili wspólny los już niemal przez trzy lata, Louise wciąż nie przyzwyczaiła się do szarmanckich gestów. Czym była zawsze dla Colina, jeśli nie udogodnieniem.

Wciąż się prowadził z tą geografką czy geolożką, czy kim tam ona była. Irytowało to nieco Louise, która nie oczekiwała po nim stworzenia czegokolwiek trwałego. W końcu, skoro to ona nie potrafiła wytrzymać z nim dłużej, do czego mogła być zdolna kobieta nie do końca przy zdrowych zmysłach. No cóż, z tego co słyszała, przydupaska jego eks miała sporo mniej lat. Istniała więc szansa, iż nie miała punktu odniesienia.

W przeciwieństwie do Louise. Zdawała sobie sprawę, jakie szczęście jej dopisało. Wystarczyło, żeby Teo kiwnął palcem i z miejsca zawrócił jej w głowie.

– Jak minął twój dzień? – zapytała go, nakładając łyżką jedzenie na papierowy talerz. Jeśli nie musiała się martwić gotowaniem na dzisiejszy wieczór, to nie miała również zamiaru zawracać sobie głowy zmywaniem naczyń.

– Ani kropli potu – odpowiedział.

Zareagowała śmiechem, zresztą jak zawsze. Dla Teo pocenie się – i wyciskanie siódmych potów z innych – stanowiło sposób zarabiania na życie. Dzięki temu również prezentował się tak rewelacyjnie. Colin przy nim to ciamajda ze sflaczałymi mięśniami. Zapomniała całkiem, jak powinien wyglądać prawdziwy mężczyzna do momentu, gdy zapisała się na lekcje aerobiku. Wiedziała teraz, na Boga, i nie zamierzała nigdy więcej zapomnieć.

– Ile dziewczyn chce uczestniczyć w twoim programie specjalnym? – droczyła się z nim.

Zdawała sobie w pełni sprawę z tego, że nie była pierwszą, którą on pociągał. Żywiła tylko nadzieję – i w tej nadziei trwała – że pozostanie dla niego dostatecznie atrakcyjna, by wyprzedzać rywalki.

Uśmiechnął się do niej szeroko. Wiedział, dokąd biegną jej myśli. Czasami nawet się z nią przekomarzał na ten temat. Zawsze jednak delikatnie – młodszy mężczyzna nie chce wzbudzać niepokoju u starszej od siebie kobiety. Młodszy mężczyzna z sercem nigdy tego nie robił.

– Nikt, o kogo musiałabyś się martwić. Uwierz mi.

No i Louise wierzyła mu. Przeniosła papierowy talerz na drugą stronę stołu i usiadła obok niego.

Żaden policyjny skaner nie rejestrował telefonów. Nie grał też telewizor nastawiony na kanał informacyjny. Tylko ich dwoje i kolacja, nic poza tym. Czy ktoś potrzebował więcej?

Siedząc przy boku Teo, bez trudu zapomniała również o panu Nobashim oraz o swoich niepokojach związanych z Excelem. Jeśli to nie magia, cóż nią było?

ROZDZIAŁ VIII

Colin Ferguson dokładał starań, by mieć zawsze w głowie mapę wszystkich czynności, jakimi w danej chwili zajęci byli funkcjonariusze Wydziału Policji w San Atanasio. Miejska sieć komunikacyjna nie wyróżniała się przy tym nadmierną złożonością. Znał trasy, którymi przemieszczały się wozy patrolowe, wiedział również, w którym miejscu powinien się znajdować każdy radiowóz.

Orientował się także, gdzie pracują detektywi, był ponadto wprowadzony w szczegóły operacji zakupu metamfetaminy, której zaaranżowaniem zajmowała się sekcja do spraw narkotyków. Jednak prędeż czy później ten perfekcyjny obraz zawsze ulegał zaburzeniu z jakiegoś powodu. Przyczyną zakłóceń mógł być poważny wypadek samochodowy, pchnięcie nożem na zewnątrz lokalu ze striptizem w dzielnicy Hesperus albo strzelanina w jednym z kubańskich barów na północnym krańcu San Atanasio Boulevard. Reperkusje zdarzeń tego rodzaju, niczym rozbryzgi wody na spokojnej tafli basenu, zakłócały, na jakiś czas przynajmniej, ten uporządkowany obraz.

Nie musiał wcale tego robić. Pominęto go przy nominacji na komendanta, czyli na jedyne stanowisko, po objęciu którego takie encyklopedyczne ujęcie tego, co się działo, naprawdę miało znaczenie. Nie miał nawet stuprocentowej pewności, czy zdoła awansować na kapitana. Działał na nerwy dostatecznie wielu ludziom, żeby zdanie prostego egzaminu nie załatwiało sprawy do końca. Mimo to zawsze nosił ze sobą tę narysowaną w głowie mapę. Zaczął ją sporządzać dawno temu jeszcze w czasach, kiedy sam jeździł wozem patrolowym. Teraz nie potrafił już przestać tego robić, jak nie można przestać oddychać.

Zadzwoił telefon.

– Ferguson – powiedział do słuchawki.

– Stu Ayers, z Palos Verdes na południu – odezwał się głos po drugiej stronie łącza. Ayers także był porucznikiem i całkiem w porządku gościem. Podobnie jak Colin, uganiał się za Dusicielem z South Bay.

– Co mogę dla ciebie zrobić, Stu? – zapytał Colin.

– Dla mnie, że jak? – Ayers starał się nie przepuszczać zbyt wielu okazji, z czym się zresztą nie krył. – Czy mógłbyś – kontynuował usiłując zdławić śmiech – przesłać mi emailem raporty z laboratorium dotyczące waszej ostatniej sprawy, w której maczał palce Dusiciel?

– Da się zrobić. Podaj mi swój adres poczty elektronicznej?

Ayers, zamiast podać konto ulokowane na domenie urzędu miasta Palos Verdes, przekazał Colinowi adres na domenie gmail. com udostępnionej przez serwis Google.

– Mój kapitan jest zdania, że poświęcam zbyt dużo czasu tej sprawie – wyjaśnił na poły przeproszającym tonem. – Zachowajmy to wyłącznie dla siebie, zgoda?

– Jasne – odparł Colin.

Kiedy jednak odłożył słuchawkę, przez chwilę w zamyśleniu pocierał brodę. Przywołał w komputerze opasły folder z dokumentami, ale nie przesłał od razu korespondencji pocztą elektroniczną. Wyszukał numer telefonu Wydziału Policji w Palos Verdes, wybrał na swoim aparacie i poprosił o połączenie z porucznikiem Ayersem.

– Z kim rozmawiam? – Kimkolwiek była dziewczyna obsługująca centralkę telefoniczną na komendzie policji w Palos Verdes, natura obdarzyła ją nieziemsko seksownym głosem.

– Mówi porucznik Ferguson z San Atanasio.

– Proszę poczekać chwilkę, poruczniku. Przełączam pana rozmowę. Muzyczka, jaka rozlegała się w telefonach tych, co dzwonili do Palos Verdes i czekali na końcowe połączenie, różniła się od tej, którą oferował

ratusz w San Atanasio, lecz w żadnej mierze nie stwarzała wrażenia bardziej interesującej. Na całe szczęście nie musiał czekać zbyt długo.

– Mówi Stu Ayers. Co się dzieje, Colin?

– Czy dzwoniłeś do mnie przed minutą z prośbą o przesłanie drogą elektroniczną plików na temat ostatniego zabójstwa popełnionego przez Dusiciela z South Bay?

– Niewinny, Wysoki Sądzie – odpowiedział bez namysłu Ayers. Głos nie różnił się zbyt wiele, ale zdecydowanie nie należał do jednej i tej samej osoby.

– Ktoś przed chwilą to zrobił, co?

– Tak. Nie wiem tylko, czy jest to zwykły cywil, który chciał sobie powęszyć, czy też jakiś reporter czy ki diabeł, ale zależało mu na tym pliku.

– Ale ty mu go nie dałeś?

– Nie. Nie zawsze jestem taki tępy, na jakiego wyglądam... tylko od czasu do czasu – odparł Colin. Ayers roześmiał się. – Idę o zakład, że to reporter – kontynuował Ferguson. – Wiedział, że musi podszyć się pod ciebie, zresztą nie tylko. Zapewne posiada tylko jakieś z dupy wzięte poszlaki, które chce sprzedać takim piśmidłom jak „Times” czy „Breeze” czy kto mu tam płaci.

– Jakby ci popierdoleńcy jeszcze nie dość nam namieszali – skomentował z sarkazmem Ayers.

– I komu to mówisz? No dobrze, dzięki. Cieszę się, że coś mnie tknęło i sprawdziłem to. – Colin wymienił zdawkowe uprzejmości na pożegnanie ze swoim odpowiednikiem z Palos Verdes, potem odłożył telefon.

Spoglądał na monitor, na zakładkę i zawartość folderu, który o mały włos przesiałby e-mailem. Perfidny uśmiezek pojawił się na jego twarzy. Utworzył inny folder o niemal identycznej nazwie. Potem pozakładał w nim podkatalogi i podpodkatalogi i tak dalej, kilka poziomów w głąb. Każdy z nich opatrzył nazwą nawiązującą do sprawy. A każdy z nich prowadził

donikąd – a jeżeli już dokądś, to tylko do innych, ulokowanych na niższych poziomach, katalogów o intrygujących nazwach.

No cóż, każdy z wyjątkiem jednego. Jeśli Mr. Ciekawski gdzieś tam wykaże się dostateczną determinacją, koniec końców odnajdzie zagrzebany głęboko folder o nazwie „Ocena sprawy”. Tylko ten jeden zawierał dokument, w którym Colin, w trzech słowach, sformułował ocenę sytuacji. Niezła sztuczka, dupku, wpisał z klawiatury. Potem wysłał lipny folder pod niewątpliwie równie lipny adres e-mailowy założony na serwisie ogólnodostępnej poczty gmail.com.

Gdy skończył, wykasował folder z twardego dysku swojego komputera i odchylił się w tył na oparcie krzesła, aż zatrzeszczało w kościach. Miał wrażenie, że zrobił więcej, niż w niektóre dni, kiedy łamał sobie głowę nad sprawą Dusiciela. Sukinsyn po drugiej stronie, kimkolwiek był, będzie musiał pootwierać wszystkie te foldery, kolejno jeden po drugim. W natłoku bzdur i bredni wokół całej sprawy cwaniak mógł liczyć, że uda mu się znaleźć ziarno wśród plew... czyżby?

Skoro już o tym mowa, to jednak nie.

Przez resztę popołudnia Colin z zaintrygowaniem odbierał każdą rozmowę telefoniczną. Czy palant, którego wystrychnął na dudka, zadzwoni do niego ponownie, żeby mu powiedzieć, gdzie może się wybrać? Albo czy ten taki i owaki sięgnie po inny fortel, by wycygnąć od niego informacje? Odpowiedź na oba pytania była negatywna, jednak oczekiwanie na ruch przeciwnika sprawiło, że Colin nie stracił zainteresowania rozgrywką.

Skończył robotę punktualnie o piątej. Nie zdarzało się to codziennie – czy nawet każdego tygodnia. Założył kurtkę i pojechał do domu. Niecka wokół Los Angeles cała zlała się potem w następstwie późnoletniej fali upałów. Prezenterzy pogody labiedzili, że maksymalna temperatura w

Dolinie może dojść nawet do 43 stopni Celsjusza. Z kolei reporterzy donosili o ekstremalnym zagrożeniu pożarami buszu.

Wszystko to znaczyło tyle, co nic dla mieszkańców rejonu South Bay, gdyż tutaj wiatr od morza nigdy nie zawodził. W pobliżu ratusza w San Atanasio, po drugiej stronie ulicy naprzeciwko komendy policji, temperatura podskoczyła maksymalnie do blisko trzydziestu stopni. Teraz, późnym popołudniem, zrobiło się o co najmniej pięć stopni chłodniej. Bez względu na kierunek wiatru ochrzczonego mianem Santa Ana, pożary zatrzymają się w odległości wielu mil.

Colin wyjął korespondencję ze skrzynki na listy, co było jego pierwszą, rutynową czynnością po powrocie do domu. Sterta katalogów – sprzedawcy detaliczni wyczuwali bożonarodzeniowe konfitury z kilkumiesięcznym wyprzedzeniem – rachunek za kablówkę, rachunek od faceta, który czyścił basen, oświadczenie od jego prawnika... i kartka pocztowa od Roba. Widniało na niej wielkie jabłko oraz sporych rozmiarów robak, barwy opalizująco zielonej, wystawiający głowę i szyję. Robal szczyrzył zęby w uśmiechu, paradując w czapce drużyny baseballowej New York Yankees.

Colin parsknął śmiechem. To rzecz w stylu jego starszego syna, rzecz jasna. Na odwrocie pocztówki nadawca przykleił krótką notatkę z „New Yorkera” na temat występu tam zespołu Tryskająca Żaba i Ewoluujące Kijanki. Poniżej dostrzegł komentarz zapisany nerwowym charakterem Roba: Wciąż dalecy od sławy, ale być może dojdziemy na szczyty wbrew nam samym. Pozdrowienia od twojego dzieciaka.

Colin ciągle zachodził w głowę, jak komuś może zależeć na sławie. Słowo to kojarzyło mu się, w oparciu o wiedzę wyniesioną z telewizji, z rozwodami, rozprawami sądowymi, resocjalizacją i pobytem w więzieniu. Wiedział więcej, niż sam by chciał, o wszystkich wyżej wymienionych

sprawach, z wyjątkiem resocjalizacji. Z tego, co się orientował, ten ostatni aspekt sławni ludzie z reguły sobie po prostu odpuszczali.

Wszedł do środka. W lodówce czekał na niego niewielki stek. Podpiekł go, jednocześnie odgrzewając w kuchence mikrofalowej mieszankę mrożonych warzyw. Dzień jak co dzień, kuchnia niezbyt ekscytująca, ale pragmatyczna. O niebo zdrowsza dla niego niż bomby nafaszerowane tłuszczem i sodem, oferowane pod przykrywką gotowych mrożonych dań obiadowych. Resztę warzyw zje jutro z kawałkiem mięsa, które sobie akurat wtedy rozmrozi.

Przez chwilę rozważał kwestię piwa. Pokręcił przecząco głową, nie bez żalu. Rzecz zresztą nie sprowadzała się do tego, iż nigdy nie pił w pojedynkę. Choć z pewnością nie zdarzało się to bardzo często. Pierwszy drink otwierał drogę do kilku następnych sznapsów. A kilka sznapsów to już równia pochyła, która kończyła się urznięciem. Zbyt często uchlewał się przez dość długi czas, zaraz po odejściu Louise. Wciąż miał w pamięci przebudzenie na wielkim kacu w Motelu 6 w Jackson, w pieprzonym stanie Wyoming.

Tamtego dnia poznał Kelly. Gdyby udało mu się poprzedzającego wieczoru zaliczyć miejscową kelnerkę... Nie sądził, że byłby równie szczęśliwy, jak dzisiaj. Sprawy tak się jakoś ułożyły, że mógł teraz uważać się za wybrańca losu. Gdyby Kelly była tu i teraz, wypiliby po butelce piwa. Ale ona przebywała daleko w Yellowstone, obserwując zachowanie dopiero co powstałego wulkanu.

Colin posypał stek mielonym pieprzem i granulowanym czosnkiem, potem włożył go do grilla. Z mikrofalówki dobiegał bzyzący odgłos, gdy warzywa w środku kręciły piruety bez końca. Zamiast piwa nalał sobie wody z lodówki z dzbanka z filtrem Brita.

Włączył telewizję na kanale CNN, chcąc mieć towarzystwo w trakcie pichcenia. Indonezyjscy piraci grozili zabiciem załogi rosyjskiego frachtowca, o ile nie otrzymają okupu w wystarczająco dużej kwocie, jaka ich zadowoli. Colinowi zrobiło się żal najwidoczniej przerażonych marynarzy, których twarze przewinęły się przez ekran, jedna po drugiej. Francja albo Niemcy być może wyłożyłyby forszę, Rosjanie najczęściej nie uiszczali tego rodzaju wymuszonej zapłaty.

Pewną deputowaną do Kongresu przyłapano z ręką w słoiku z federalnymi konfiturami. Broniła się głośno, że nie zrobiła niczego złego i zarzekała się, że to seksistowski spisek, ponieważ w skład komisji dochodzeniowej wchodził, zupełnie przypadkiem, wyłącznie mężczyźni.

– Tak, racja – mruknął Colin.

W pewnym stopniu poczuł się pokrzepiony, że korupcja przekraczała również granice między płciami.

Pewien komentator radiowy znalazł się w kłopotliwej sytuacji za obrzucenie oszczerstwami ludzi ze środowiska określanego skrótem LGBT – lesbijek, gejów, osób biseksualnych oraz transgenderycznych, czyli ujmując ogólnie osób o odmiennej orientacji seksualnej. Colin służył w policji i z tego też powodu nigdy nie słuchał – ani nie opowiadał – kawałów o pedziach, jak długo żyje. Rzecz jasna.

W następnej kolejności nadawali reklamy. Nacisnął przycisk MUTE. Brunetka o ciastowatej twarzy, promująca na antenie jakieś towarzystwo ubezpieczeniowe, drażniła nawet wtedy, kiedy nie mógł jej słyszeć. Dlaczego jednak spece od reklamy doszli do przekonania, że zbiorczy iloraz inteligencji amerykańskiego społeczeństwa wynosi 9 – w porywach być może do 11? Colin jęknął z chwilą, gdy pytanie zostało sformułowane. Jak każdy inny gliniarz, miał okazję widzieć tak wiele przypadków

agresywnej głupoty, że z miejsca pojął, skąd wziął się sposób myślenia ludzi z branży reklamowej.

Na antenę powrócił w końcu serwis informacyjny. Młoda kobieta czytająca wiadomości musiała chyba być laureatką drugiego miejsca w jakimś konkursie piękności lub być może nawet zdobywczynią tytułu miss. No i oczywiście jej bajeczna uroda nie przekładała się w żaden sposób na zdobycie tej posady. Szkoda słów, rzecz jasna.

– Matka Natura kolejny raz zaprezentowała swoją potęgę – zakomunikowała. – Obejrzyjcie państwo zdjęcia filmowe z Parku Narodowego Yellowstone, już wcześniej nękanego przez żywioły.

– Musiała chyba jednak ukończyć jakieś uniwersytety, gdyż nie zgubiła wątku, kiedy doszła do zwrotu nękanego przez żywioły na teleprompterze.

Czekał, aż przejdzie do wyjaśnienia, w jaki sposób tym razem erupcja w rejonie Ranger Lake zakłóci komunikację lotniczą w strefie nad Górami Skalistymi. Co więcej, spodziewał się, że wytłumaczy, jakim cudem erupcja wpływała lub nawet jak mogła tak silnie wpływać na transport powietrzny. Zgodnie z jego tokiem myślenia jedyny sposób, w jaki erupcja mogła wpływać na komunikację lotniczą, sprowadzał się do stłuczenia szyb w Airbusie odłamkami skał miotanymi przez wulkan. Reporterzy uwielbiali ten bezsensowny żargon jeszcze bardziej nawet, niż czynili to gliniarze, co już samo wiele mówiło.

A jednak zrobiła go w balona, zresztą nie z własnej woli.

– Kolejny nowy wulkan w Yellowstone zaczął dmuchać w komin – kontynuowała, kiedy wyciągał stek z piekarnika. – Jest oddalony o wiele mil od miejsca erupcji w pobliżu jeziora Ranger Lake. Znajduje się w niedużej odległości od skupiska gejzerów o nazwie Coffee Pot Springs w kierunku północno-wschodnim.

– O kurde! – powiedział Colin zduszonym głosem.

Zdjęcia nakręcono z helikoptera. Pokazywały pewne rzeczy, jakie widział już wcześniej: czarny dym, popiół i pył unoszący się wysoko ku niebu oraz rozpaloną lawę, która na ziemi podkładała ogień pod sosny wydmowe. Po piętnastu lub dwudziestu sekundach obraz nowej erupcji zastąpiła mapa.

Zdecydowana większość ludzi, nawet tych, którzy bywali w Yellowstone regularnie, nie miała nawet najlepszego pojęcia, gdzie, do diabła, leży Coffee Pot Springs, zatem mapa okazała się przydatna. W przewodnikach nie poświęcano temu miejscu żadnej wzmianki, ponieważ skupisko geotermalne uformowało się w głębi parku bardzo daleko od bitych dróg. Ponadto, żeby móc się tam dostać, należało pokonać piechotą krainę pozostającą we władaniu niedźwiedzi. Colin, który z pewnością nie należał do stałych bywalców Yellowstone, nigdy zapewne nie usłyszałby o tych gejzerach, gdyby nie Kelly. Ale jednak usłyszał. Ojej! – ile by dał, żeby tak nie było. Śliczna prezenterka znów pojawiła się na ekranie.

– W rejonie skupiska geotermalnego Coffee Pot Springs zanotowano ostatnio gwałtowny wzrost aktywności geotermalnej. Gorące źródła przemieniły się we wzburzone gejzery i wyrzucają teraz w powietrze strugi wrzącej wody na wysokość ponad trzydziestu metrów. Geolog, z którym reporterzy CNN rozmawiali dzisiaj po południu, stwierdził, że zjawisko to jest prawdopodobnie związane z kolejną wulkaniczną erupcją.

Colin polewał gotowy stek sosem do mięs marki Al. Z przejęcia polał nim również niemal całą podkładkę pod talerze, ponieważ na ekranie telewizora znów zobaczył Kelly, z mikrofonem niemal wciśniętym w twarz. Wyglądała jak po ciężkiej przeprawie, a na jej twarzy rysował się zmartwiony wyraz.

– Tak, magma – roztopiona skała – w antyklinie pod Coffee Pot Springs przemieszcza się w górę ku powierzchni – wyjaśniła kompetentnie, jakby piastowała stanowisko adiunkta na uczelni i prowadziła zajęcia z podstaw

geologii. – Magma spowodowała podgrzanie wody podskórnej w rejonie gorących źródeł, a teraz zaczyna tworzyć pęknięcia i przedostawać się na powierzchnię, jak miało to miejsce wcześniej, w pobliżu Ranger La ke.

Czy reporter zapyta ją o superwulkan? Jak wielką panikę rozsiałaaby Kelly, gdyby ją zapytał? Nie zrobił tego jednak; na ekranie znów pojawiła się prezenterka wiadomości.

– Gwiazda porno utrzymuje, że urodziła dziecko miliardera – zakomunikowała pogodnie pani z telewizji. – Wrócimy do szczegółów po tym serwisie informacyjnym.

Colin raz jeszcze wcisnął przycisk MUTE na pilocie. Jeśli nie był to jeden z najwspanialszych wynalazków z końca poprzedniego stulecia, to nie miał pojęcia, co innego mogłoby zasługiwać na to miano. Papierowym ręcznikiem wytarł rozlany sos. Po kilku gryzach steku i paru kęsach mieszanych warzyw spostrzegł, że chyba stracił apetyt.

Wyjął telefon komórkowy. Nie dodzwonił się do Kelly. Zgłosiła się jej poczta głosowa.

– Cholera – powiedział, ale nie zaskoczyło go to. Miała naprawdę bardzo wiele na głowie. Poza tym chyba nigdzie indziej nie było tak gównianego zasięgu sieci komórkowych, jak na terenie Yellowstone. – To chyba jest to, czego się obawiałś – zaczął mówić po sygnale bip. – Najwidoczniej nadeszła pora, żeby stamtąd spadać, póki się jeszcze da. Uważaj na siebie. Bądź ostrożna, na ile zdołasz, tak czy inaczej. Kocham cię. Na razie.

Na wszelki wypadek wysłał jeszcze SMS-a. Spadaj stamtąd. Natychmiast. Uściski. Colin. Wiadomości tekstowej brakowało emocjonalnego posmaku poczty głosowej, ale informacja niezawodnie docierała do adresata. Kelly przed wysłuchaniem poczty głosowej sprawdzi najpierw przychodzące SMS-y, ponieważ będzie mogła zrobić to szybciej.

Co wcale jeszcze nie rozstrzygało kwestii, czy ona poświęci uwagę wieściom od niego. Jeśli zechce, to tak zrobi. W przeciwnym razie po prostu je zignoruje. Nie musiał być wcale Sherlockiem Holmesem, by sobie to uświadomić. Żałował bardzo, że jest od niej oddalony o z górą osiemset mil. Zapewne potraktowałyby go bardziej na serio, gdyby byli obok siebie, twarzą w twarz. Albo, z drugiej strony, nie musiała wcale potraktować go poważnie. Przecież nie mógłby zachować się wobec niej jak troglodyta – walnąć ją w głowę maczugą, chwycić za włosy i odciągnąć od niebezpieczeństwa.

I kolejny raz aż go skręcało z żalu, że nie może tego zrobić.

Kiedy znowu włączył głos w telewizorze, emisja reklam dobiegła końca. Opowiadano właśnie historyjkę o dzidzi i miliarderze. Nawet w dobie zawrotnej ery informatyzacji Colin wcale nie czuł przygnębienia z powodu własnej ignorancji. Rynki finansowe padały na łeb na szyję. Mężczyzna, który tłumaczył, dlaczego tak się stało, musiał dobiegać sześćdziesiątki albo nawet stuknął mu już siódmy krzyżyk. Twarz miał zrytą zmarszczkami. Czupryna na głowie zdążyła się przerzedzić, a smętne resztki zrobiły się siwiuteńkie. Nikt nigdy nie wziął go mylnie za gwiazdę filmową. Ale teraz, tak czy owak, pokazywali go w telewizji. Na tej podstawie Colin doszedł do wniosku, że chyba wiedziałby, co ma mówić, nawet bez telepromptera ustawionego z tyłu za kamerami.

Wciąż nie tracił nadziei, że Kelly oddzwoni. Nie oddzwoniła.

Kolejne trzęsienie ziemi wstrząsnęło obszarem Yellowstone. Kelly straciła już rachubę, ile razy odczuwała wstrząsy w ciągu kilku minionych dni. Niektóre z nich dały się ledwie zauważyć – zdążyły tylko człowieka zaskoczyć i ustawały. Inne przypominały roz sierdzone matki, dochodząc do sześciu stopni w skali Richtera. Wstrząsy o takiej sile mogły w znaczącym stopniu zniszczyć obszary zabudowane, nawet te, na których

obowiązywały restrykcyjne przepisy budowlane nakazujące wznoszenie mocnych konstrukcji, jak aglomeracje San Francisco czy Los Angeles. A tutaj co mogło się wydarzyć? Drzewa? I co z tego?

Ach, zajazd Yellowstone Inn oraz inne fantastyczne miejsca na terenie parku i wokół niego nigdy nie będą już takie same. W tej chwili jednak to najmniej poważna ze zgrzytów, jakie trapiły Kelly. Gdyby właśnie teraz doszło do erupcji superwulkanu, to, na litość boską, Stany Zjednoczone nigdy już nie byłyby takie same.

Gdyby właśnie teraz doszło do erupcji superwulkanu, ona sama zamieniłaby się w małą kropkę tej eksplozji, ponieważ znalazła się w miejscu o nazwie West Thumb obok jeziora Yellowstone Lake w samym środku obszaru, z którego powstałaby nowa kaldera: rozgrzany do czerwoności pryszcz na powierzchni Ziemi, dostatecznie duży, by dało się go dostrzec, spoglądając z Księżyca.

– Ten miał siłę około 5,0 stopni. – Larry Skrtel, jak zwykle, sprawiał wrażenie niechętnie opanowanego.

– Wydaje się, że właśnie tyle – przyznała Kelly. – Im częściej dochodzi do wstrząsów, tym bardziej nerwy dają o sobie znać.

Nie widziała żadnego sposobu, jak tego uniknąć. Osobniki gatunku Homo sapiens nie rozwinęły w trakcie ewolucji umiejętności zachowania zimnej krwi w trakcie trzęsień ziemi. Zachowanie spokoju i opanowania nie ułatwi przeżycia, kiedy wszystko wkoło wali się na głowę. Panika stwarza przynajmniej szansę.

W tej chwili z całą pewnością dała się ponieść panice. Zbyt wiele wstrząsów tektonicznych jest w stanie wzbudzić paniczną trwogę w każdym, podobnie jak zbyt wiele ciosów na korpus zmusza każdego boksera do opuszczenia gardy. Być może Larry to nie każdy. Być może nie miał w sobie genu trzęsienia ziemi = panika. Wyciągnął swoją komórkę i

sprawdził na wyświetlaczu z ikoną zasięgu, czy widać jakieś kreski – lepiej tutaj niż na większości pozostałego obszaru Yellowstone, chociaż nie było żadnej pewności – i najwidoczniej musiał je dostrzec, gdyż zaczął wybierać numer.

– Mam nadzieję, że to ktoś, kto będzie w stanie wyciągnąć nas stąd – powiedziała Kelly.

Odebrała wiadomości od Colina, razem z masą innych, które wyrażały to samo przy użyciu innych słów. Wiadomości te rozsierdziły ją bardziej niż cokolwiek innego. Czy ludzie naprawdę uważali, iż ona sama nie dostrzega nadchodzącej pory pożegnania?

Być może uważali. Być może dała im powody, żeby doszli do takiego przekonania. Nie widziała jednak potrzeby, by zamartwiać się tym, stąd też nie przejmowała się tym wcale.

– Również mam taką nadzieję – rzekł geolog z USGS. – Mam... – przerwał i następne słowa skierował do telefonu. – Heinrich? Larry. Posłuchaj, mein Freund, sprawy tutaj układają się mniej interesująco, niż życzylibym sobie tego teraz z całego serca. Jestem w rejonie skupiska geotermalnego West Thumb Geyser Basin, wszystkie tutejsze stawy i oczka wodne dostały totalnego amoku, sam byś nie uwierzył... Amok... To termin techniczny... Fliedermausscheisse, okej?

Fliedermausscheisse? Kelly wymówiła to słowo bezgłośnie i równie bezgłośnie złożyła razem dłonie. Potrafiła czytać niemieckie teksty naukowe, uzbrojona w cierpliwość i ze słownikiem w ręku. Dzięki strzępom języka jidysz, przejętym po rodzicach, potrafiła radzić sobie lepiej – nie dobrze, ale lepiej – niż reszta jej anglojęzycznych rówieśników. Lecz wiedziała doskonale, że nigdy, ale to przenigdy w życiu nie posłużyłaby się tym konkretnym terminus technicus, który oznaczał odchody nietoperza.

Nie chodziło nawet o to, że został niewłaściwie dobrany. Był jak mocno dopasowane rękawiczki. Okoliczne stawy i oczka wodne z unoszącymi się nad nimi leniwie obłoczkami pary istniały tutaj odkąd sięgano pamięcią. Teraz jednak wszystko się zmieniło. W tej chwili cztery z nich miotały wściekle ukrop w powietrze niczym zdobywcy pucharu Super Bowl, zwycięzcy finału mistrzostw w futbolu amerykańskim, oblewający się nawzajem strugami spienionego szampana. Jeden z nich to gorące źródło Fishing Cone oddalone o kilka metrów od brzegu jeziora Yellowstone. W powietrzu, jakby tego nie dość, nie rozchodziła się woń uwalniana przez bulgoczące źródła, lecz zapach siarkowodoru i metanu.

Daniel Olson również telefonował i rozmawiał z kimś z władz stanu Montana. Nie miał zbyt szczęśliwej miny. Nie, wróc – minę miał taką, jakby spotkało go siedem nieszczęść. Bez względu na to, czego oczekiwał, osoba na drugim końcu telefonicznego łącza nie mogła albo nie miała żadnej możliwości tego spełnić. I w tym właśnie kryła się zła wiadomość.

Z miejsca, do którego dotarła Kelly, nie dało się dostrzec żadnych zwiastunów dobrych wieści. Daleko na południowym zachodzie wulkan Ranger Lake wciąż uprawiał swój niecny proceder. Dominujące wiatry przemieszczały większość popiołów nad obszar Wyoming i dalej na południe do Kolorado i nawet do Kansas. Może nie w sensie dosłownym, ale słowo większość zostało dobrze dobrane. Ona i jej koledzy geolodzy nosili maski chirurgiczne. Drobinę szarego pyłu pokrywały sosny. Gdy szli przez miejscowy parking, pod stopami chrzęściło.

W kierunku północno-wschodnim z kolei nowa erupcja w rejonie skupiska geotermalnego Coffee Pot Springs demonstrowała potęgę natury, formując sięgający niemal do samego nieba pióropusz wulkanicznego popiołu. Przeważające masy tego popiołu wiatry zwiewały w stronę od jeziora Yellowstone Lake, ale gigantyczna chmura przesłaniała kolejny

wielki fragment powoli ciemniejącego niebieskiego firmamentu. Każdy odgadłby chyba, że obie te erupcje wyznaczają przeciwległe granice obszaru, który prawdopodobnie w każdej chwili może przemienić się w kalderę. I każdy dostrzegłby, że grupka geologów utknęła pośrodku wielgachnej patelni, która lada chwila zostanie postawiona na rozgrzanych do czerwoności fajerkach.

Przez głowę Kelly przemykały urywki piosenek i wierszy. Wedle wszelkich znaków na niebie i ziemi szykował się koniec świata, jaki znała – kiedy liczyła sobie sporo mniej lat, przebój zespołu R.E.M. nie schodził z radiowej anteny – wcale jednak nie żywiła przekonania, że jest jej z tym dobrze. A jeśli tak się właśnie kończy świat, nie będzie to ze skomleniem. Będzie to z hukiem większym od wszystkich dotychczasowych. Thomas Stearns Elliot. Przeoczyłaś to.

Ziemią targnęły wstrząsy po raz kolejny. Kelly nie stała już pośrodku wyboistego, zasypanego popiołem parkingu – taki następny fakt dotarł do jej świadomości. Siedziała na tyłku. Bezwiedny okrzyk dobiegł zza jej maski, kiedy wylądowała twardo na ziemi. Ruth Marquez także zapiszczała, kiedy upadała. Kelly zastanawiała się, ile czasu upłynie, zanim z lewego policzka zejda fiolet i błękit. Rozdzierające trzaski, jakie dobiegły spomiędzy drzew, stanowiły potwierdzenie, że nie wszystkie z nich wciąż utrzymywały pozycję pionową.

Daniel zdołał jakimś cudem utrzymać się na nogach.

– Halo? – wykrzyknął do telefonu. – Halo? – Schował aparat.

– Cholera. Niektóre z masztów przekaźnikowych musiały ulec awarii.

– Jeśli to nie było 7 stopni... – Kelly pozostawiła kwestię nierozstrzygniętą.

Siódemka to bardzo zła nowina. Przez kilka przerażających sekund zdjęła ją trwoga, że potężne trzęsienie ziemi sprzed chwili stanowiło

najbardziej błahą z gnębiących ją trosk.

Czy skala Richtera mogła, choćby inicjalnie zarejestrować moc wstrząsów, gdyby zawaliła się wierzchnia warstwa ziemskiej skorupy rozmiarów niewielkiego stanu? Skala dochodzi do jedenastu, gościu. Kelly zachichotała, na przekór samej sobie, gdy podnosiła się z ziemi. Skoro potrafiła przywołać w myślach cytat z głośnego filmu *This Is Spinal Tap*, najwidoczniej musiała być obłąkana do imentu.

No więc, oczywiście jesteś szurnięta, ty idiotko, pomyślała, strzepując z siebie jak najstaranniej pył i przypadkowe zabrudzenia. Jeśli nie jesteś, to w takim razie co tutaj robisz?

Wstrząsy wtórne usiłowały z uporem i mozołem zwalić ją z nóg. Miała cholerną nadzieję, że to jednak wstrząsy wtórne. Gdyby ten potężny wstrząs okazał się wstrząsem wstępnym, to wstrząs zasadniczy, którego ten jawił się jedynie zwiastunem, wciągnąłby ją w dół, w czeluść głęboką na blisko kilometr.

Komórka Larry'ego wciąż utrzymywała zasięg. Mógłby zrobić świetną reklamę dla sieci telefonii bezprzewodowej, jaka go obsługiwała, obojętne na którą by padło.

– Posłuchaj, Heinrich, ten ostatni wstrząs sprawił, że wszystkie inne wydają się czułym dotykiem kochanków. Nie mamy dużo czasu do stracenia... Tak, wiem, że zapada zmrok. Mamy latarki. Zapalimy ogień w koszach na śmieci, żeby oznakować parking...

Tak, wiem, że to wbrew przepisom. Mimo wszystko zrobimy to.

– Przewrócił oczami i obniżył aparat, chcąc wyrazić komentarz złożony z jednego słowa. – Niemcy! – potem znów mówił do telefonu. – Dalej! Rusz tyłek. W moim testamencie zawarłem klauzulę, że nie będziesz mógł przejąć posady po mnie, jeśli pozwolisz mi się tu ugotować, zamiast mnie

stąd wyciągnąć... Tak, Heinrich, oczywiście, że robię sobie jaja. Przynajmniej rób sobie złudzenia.

Ponownie opuścił aparat.

– Udało się? – zapytał Daniel.

– Częściowo – odparł geolog z USGS. – Dzisiaj wieczorem, jak się uda albo jutro rano przylecą dwa helikoptery i zabiorą nas stąd. O ile będą mogły wylądować. Jeżeli Heinrich pociągnie za właściwe sznurki. Jeżeli, jeżeli, jeżeli...

– Jeżeli ten teren wciąż jeszcze będzie w jednym kawałku do czasu, kiedy tu doleczą – wtrąciła Kelly.

– Tak, to również. – Larry zagwizdał coś przez zęby, fałszując.

– Wszystko, co się może przydarzyć, może przydarzyć się wam. Tak właśnie powiedzieli. Dałbym się porąbać, żeby nie wiedzieli, o czym mówili.

– Ogniska w koszach na śmieci, tak powiedziałaś? – Kelly rozejrzała się dookoła. Rozstawiono ich tu całkiem sporo. Ludzie, którzy zarządzali parkiem Yellowstone, nie lubili śmieci. Inaczej niż w przypadku wulkanicznych erupcji, mogli temu jakoś zaradzić.

– Zaczniemy wypełniać je suchymi gałęziami i śmieciami.

– Strefa zrzutu – skomentowała Ruth. – To coś podobnego jak w filmie o II wojnie światowej.

– Podczas II wojny światowej nie mieli jeszcze helikopterów – zauważył Larry. Ruth skrzywiła się.

– Okej, zgoda. Filmie o wojnie w Wietnamie.

– Czas Apokalipsy – wydekłamowali jednocześnie Kelly i Daniel. Kelly przechyliła głowę, jakby nasłuchując dźwięków Cwału Walkirii. Poczła pewne rozczarowanie, kiedy jednak nie usłyszała płomiennej, buchającej namiętnościami muzyki Wagnera.

– Uwielbiam zapach siarkowodoru nad ranem – zaintonował Daniel. –
Pachnie jak...

praca na etacie.

– Siarkowodór czasami rzeczywiście pachnie jak praca na etacie –
podjęła zaśpiew Kelly.

Inni roześmieli się, zatem musiała przyjąć właściwą tonację. To również
dobra rzecz. Czy odczuwała zazdrość o Daniela? Och, chyba ociupinkę.

– Zachodzę w głowę, co się stało z ekipą CNN, która rozmawiała z tobą
dzisiaj wczesnym popołudniem – zmienił temat Larry.

– Po nich przyślą helikoptery – podkreśliła Kelly.

Podobnie jak większość pracowników naukowych żywiła przekonanie,
że korporacje posiadały tyle szmalu i wszystkiego, co można kupić za
szmal, że po prostu nie miały pojęcia, co z tą forszą robić. Taki sąd stanowił
wyłącznie dowód na to, że nigdy nie pracowała dla żadnej korporacji.

– Pewnie, że przyślą – zgodziła się Ruth; ona również była naukowcem.

– Ale czy będą wiedzieli, jak się nimi sensownie posłużyć?

Podobnie jak większość akademickich uczonych żywiła przekonanie, że
ludzie zatrudnieni w korporacjach nie grzeszyli nadmiarem intelektu, na
przekór tej górze forsy. I tak jak Kelly, nigdy nie przeprowadziła krytycznej
analizy tego paradoksu. W jakim zatem świetle, wobec powyższego faktu,
stawiało to lotność umysłu ludzi na uczelnianych etatach?

Sosnowe gałęzie i stare odpadki nadawały się doskonale na ogniska.
Jeżeli kolejne wstrząsy wywrócą metalowe kosze na śmieci... No cóż,
przebywali na terenie pokrytym asfaltem. Kelly powiedziała sobie, że nie
ma wcale zamiaru przejmować się, gdyby trawa zajęła się jednak ogniem.
Pożar traw stanowił bowiem najmniejsze z zagrożeń, w obliczu jakich
stał park Yellowstone.

Mieszanka różnego rodzaju orzechów i rodzynek oraz suszona wołowina złożyły się na niezbyt inspirującą kolację. Mimo to zdołali jakoś oszukać głód. Kelly nie przestawała nadstawiać uszu, wyczekując monotonnego, wibrującego odgłosu śmigieł. Nasłuchiwała, lecz bez skutku. A jeśli Heinrich nie pociągnął za właściwe sznurki, co wtedy?

Wtedy będziemy udupieni i tyle. Przez moment rozważała, jak długi może być teraz korek w kierunku północnym ku Montanie, który ma początek przy skupisku geotermalnym Mammoth Hot Springs. Administracja parku nie wykazała nadmiaru przezorności, nie zamykając turystycznych atrakcji w północnej części parku. Górę wzięła chciwość, bez dwóch zdań. Już wcześniej doszła do tego wniosku. Ale czy ktoś jej wysłuchał, kiedy o tym mówiła? Gdzieżby tam! Nikt jej nie słuchał, do jasnej cholery, nikt.

Zatrzymała się w myślach w tym miejscu. Colin jednak jej słuchał. Czasami słuchał z takim przejęciem, że aż ciarki przechodziły. Zupełnie jakby prowadził przesłuchanie. Nikt nigdy wcześniej nie słuchał jej w ten sposób. Gdyby była o dziesięć lat młodsza i zarazem mniej znużona i zblazowana, miałaby pewność, że słuchał jej jak kochanek. A gdyby zyskała taką pewność, wzrosłoby ryzyko, że on się ponownie sparzy. Ponieważ sprawy miały się tak, a nie inaczej, wiedziała, że słuchał jej jak gliniarz. I co z tego. Ważne, że słuchał.

Wstrząsy wtórne nadchodziły raz po raz. Niektóre z nich mogły mieć siłę prawie siedmiu stopni, czy sam diabeł wie, ilu. Kelly, geolog i Kalifornijka z urodzenia zarazem, wiedziała z doświadczenia, że tak się z reguły dzieje. Jednak świadomość ta w najmniejszym stopniu nie osłabiała ataków panicznej trwogi, jakie wzbudzał w niej każdy nowy wstrząs. Trzaski i głuchoe odgłosy, jakie towarzyszyły kolejnym przewracającym się drzewom, również nie działały na nią kojąco.

Coś bardzo dużego i ledwie widocznego przebiegło nieopodal nich. To coś zignorowało ich – zmierzało w stronę drzew na drugim końcu parkingu, najwidoczniej w nadziei, że tam nie będą wywracały się jak zapałki w miejscu, z którego uciekało.

– Czy to grizzly? – zapytała Ruth bardzo cichym głosem.

– To grizzly. – Nawet Larry nie emanował teraz takim spokojem i opanowaniem, jak zazwyczaj.

Gdyby to był wkurzony grizzly, a nie przerażony... Bizony na terenie Yellowstone mogły zabić więcej ludzi niż niedźwiedzie, ale z tego głównie powodu, iż ludzie, na swoje nieszczęście, traktowali je jak krowy – zamiast obchodzić się z nimi jak z naprawdę niebezpiecznymi stworzeniami. Tysiące lat doboru naturalnego nauczyły człowieka, że niedźwiedzie pożerają ludzi, jeśli tylko nadarzy im się taka okazja.

Telefon komórkowy Larry'ego zadzwonił. Dzwonek w jego aparacie także czerpał z klasyki, jednak nie z Wagnera, lecz z Beethovena: pierwsze takty V symfonii. Jeśli coś mogło przyciągać uwagę, to z pewnością właśnie to.

– Cześć, Heinrich. Co się dzieje? – rozpoczął rozmowę. Słuchał przez chwilę, westchnął, potem sobie ulżył. – Kurwa. Jesteś pewien? – Znowu słuchał, tym razem krócej. Najwidoczniej Heinrich był pewien, ponieważ Larry raz jeszcze westchnął. – Dobrze, jeśli to wszystko, co jesteś w stanie zrobić, to znaczy, że to wszystko, co jesteś w stanie zrobić. O ile wciąż tu jeszcze będziemy rano, z pewnością podziękujemy ci za to. Auf Wiedersehen... mam nadzieję.

Wyłączył telefon, pragnąc choćby przez chwilę chłonąć energię, jaka płynęła z ostatniego wypowiedzianego słowa.

– No i co? – Kelly, Ruth i Daniel zapytali jednym głosem, niczym grecki chór... albo, jeśli uwzględni się reputację, jaką dzisiaj cieszą się naukowcy,

chór maniaków.

– Żaden helikopter nie przyleci przed nadejściem rana – oznajmił ponuro Larry. – Przykro mi, ale sprawy mają się właśnie tak, a nie inaczej. Heinrich jest w porządku, ale nie zdołał wymusić na władzach, żeby wysłali kogoś do akcji wcześniej. Wypada zacząć od tego, że piloci helikopterów nie przepadają za nocnymi lotami. A jeśli uwzględni się ponadto dwa wulkany w trakcie erupcji... Trudno obwiniać kogokolwiek, zgodzicie się?

Wobec tak przedstawionych argumentów trudno było się z nim nie zgodzić. Strefa umysłu Kelly odpowiedzialna za logiczne, racjonalne myślenie w pełni to sobie uświadamiała. Mocny wstrząs wtórny, który właśnie w tym momencie zakołysał terenem parkingu, sprawił, iż skupienie się na sferze logiki i racji rozumu stało się odrobinę trudniejsze, niż gdyby rzecz cała miała miejsce w sali seminaryjnej Wydziału Geologii Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley.

– Co zrobimy, jeżeli... grunt pod nogami zawali nam się, zanim wstanie słońce? – zapytała Ruth. U niej również sfera logiki i racjonalnego myślenia przeżywała trudne chwile.

U Larry'ego natomiast wciąż funkcjonowała. Kelly uznała, że winna mu jest za to podziw. Z drugiej wszakże strony, jak leciała ta parodia wiersza Jeżeli... Kiplinga? Jeżeli potrafisz zachować spokój, gdy wszyscy wokół głowy potracili, istnieje prawdopodobieństwo, że nie rozumiesz, co się, do kumy nędzy, dzieje. W każdym bądź razie coś w tym stylu. Larry potwierdził, że jednak rozumie, co wynikało niezbitie z udzielonej przez niego odpowiedzi.

– Pamiętacie wszystkie te formularze z deklaracją o odstąpieniu od wszelkich roszczeń, które musieliśmy podpisać, zanim pozwolili nam wrócić do parku z misją zbadania erupcji w rejonie jeziora Ranger Lake?

No cóż, każdy z tych pisanych drobnym druczkiem perfidnych paragrafów wciąż pozostaje w mocy.

Kelly przypominała sobie aż za dobrze stertę tych papierzysk. Rzecz sprowadzała się do tego, iż przyznała się amerykańskiemu rządowi oraz Wydziałowi Parków i Ochrony Przyrody, że całkowicie postradała, tak miły jej sercu, rozum, deklarując wolę powrotu do Yellowstone. Ponadto przyjęła do wiadomości, że cokolwiek się jej przydarzy, stanie się tak tylko i wyłącznie z jej winy, a federalni umywają ręce. W tamtym momencie sądziła, że jest to tylko jeszcze jeden formularz do wypełnienia. Tamto było wtedy. To jest teraz. Teraz wydawało się bez porównania bardziej przesycone grozą.

– Skoro odwaliliśmy całą tę papierkową robotę, to ogarnia mnie zdumienie, że rząd w ogóle zawraca sobie głowę, by nas stąd wyciągnąć – skomentowała ponuro.

– W istocie rzeczy mnie to również zdumiewa – przyznał Larry, co w żaden sposób nie przełożyło się na zmniejszenie jej mentalnego stresu. – Bóg jeden tylko wie – kontynuował – jak wielu wpływowych gości musiał obdzwonić Heinrich, żeby dał radę załatwić tyle, ile doprawdy zdołał. Mam u niego ogromny dług wdzięczności. Teraz mogę jedynie wyrazić nadzieję, że zdołam jeszcze pochodzić po ziemskim padole na tyle długo, by przynajmniej po części mu się zrewanżować.

Gdzieś z ciemności dobiegł nowy odgłos, jakby huk wymieszany z pluskiem. Hałas był donośny, ale dość odległy. Grunt ponownie się zatrząsł.

– Jeśli to nie eksplozja hydrotermalna, to chyba nigdy żadnej nie słyszałem – skomentował Daniel.

– Czy słyszałeś kiedykolwiek odgłos eksplozji hydro termalnej? – zapytała Kelly.

– Po prawdzie, to nie – przyznał.

– W porządku – podjęła temat. – Ja też nie... to znaczy do tej chwili. – Gdzieś w oddali sprężona para przebijając się na powierzchnię, formowała nowy zbiornik wodny w pobliżu jeziora Yellowstone albo nawet wygryzła kawałek linii brzegowej samego jeziora. – Mamy świeżusieńką atrakcję turystyczną – dodała z niepewnym śmiechem – o ile w końcu okaże się, że to jednak nie superwulkan.

– Zawsze chcieliśmy zgłębić jego tajniki – dodała Ruth.

– No pewnie, ale z bezpiecznej odległości. – Kelly wskazała na księżyc, nieco przyćmiony przez pióropusz wulkanu z okolic Ranger Lake, lecz nie przesłonięty. – To chyba jest całkiem bezpieczny dystans. Nikt nie romansował tam z geologią przez ostatnich kilka miliardów lat.

– Uważasz, że szykuje się do wybuchu? – zapytał Daniel.

Wzruszyła ramionami. Blisko jej lewego ucha zabzyczał komar. Przestały już być takim utrapieniem, jak wcześniej w okresie lata, ale jeszcze całkiem nie zniknęły. Superwulkan nic dla nich nie znaczył. Przypuszczalnie nawet trzęsienia ziemi nie wzbudzały w nich trwogi. Jaka krzywdę mogły wyrządzić komarom drgania powierzchni ziemi, poza przygnieceniem jakiegoś osobnika przez powalaną sosnę?

– Wciąż powątpiewam, czy ktokolwiek ma w tej kwestii pewność – powiedziała powoli. – Jesteśmy jak kaznodzieje zgłębiający Apokalipsę św. Jana i usiłujący dociec, czy w końcu nadeszły Dni Ostatnie.

– Jeśli dojdzie teraz do erupcji, to właśnie są Dni Ostatnie... przynajmniej dla nas – wieszczył Larry.

Kelly hołdowała w dostatecznej mierze staroświeckiej modzie, by nosić zegarek i nie zastępować go telefonem komórkowym. Uniosła nadgarstek w pobliże twarzy, by odczytać godzinę z fosforyzujących wskazówek. Nie minęła nawet dziesiąta wieczór.

– Co będziemy robić przez resztę nocy? – zapytała.

– Zakładając, że czeka nas jeszcze reszta nocy, w czasie której będzie można coś robić – wtrąciła z sarkazmem Ruth.

– Jeśli nas nie czeka, to i tak nie ma powodu do zmartwienia, zatem możemy udawać, że nas czeka. – Larry jak zwykle zachowywał zdrowy rozsądek. – Możemy spróbo wać zasnąć...

– Powodzenia! – przerwał mu Daniel.

– Możemy spróbować – kontynuował starszy mężczyzna. – Albo możemy się nie kłaść i rozmawiać. Poza tym raczej nie za wiele się tu dzieje. – Kolejny wstrząs wtórny zaprzeczył jego słowom. – Poza tym – nie skonsternowany tym poprawił się – raczej nie za wiele się tu dzieje, na co możemy mieć jakikolwiek wpływ.

W Kalifornii Kelly potrafiła czasami przespać do rana nocę ze słabymi wstrząsami wtórnymi. Kiedy zmogło ją zmęczenie, 3,2 stopnia w skali Richtera nie zrywały jej z łóżka, nawet jeśli epicentrum było gdzieś blisko. Ale błogi sen w trakcie trzęsienia, które zaczęło się od 5,0 stopni i potem przybierało na sile? Błogi sen przy wstrząsach, które odczuwało się tak, jakby w pierwszym momencie ziemia pod stopami zapadła się o piętnaście centymetrów? Cytując nieśmiertelne słowa nowojorskich taksiarzy powtarzane od minionych stu lat „zapomnij o tym, gościu”.

Tego wieczoru dowiedziała się więcej o swoich towarzyszach – a oni o niej – niż przez cały ten czas, odkąd ich poznała. Ile z tego zapamięta, kiedy wszędzie słońce, o ile ona jeszcze tam będzie, to już zupełnie odrębna kwestia.

Precyzyjne stwierdzenie, kiedy wzeszło słońce, stanowiło jeszcze inny dylemat. Popiół wulkaniczny z erupcji na północ od skupiska geotermalnego Coffee Pot Springs zasnuł ciemną smugą horyzont po wschodniej stronie. Stopniowo i powoli, niebo ponad masami maciupęńkich drobin skalnych rozjaśniało się. Gdzieś za smugą popiołu

wciąż świeciło słońce. Kelly przypomniała sobie fragment Władcy pierścieni, w którym Tolkien opisuje dymy i opary unoszące się nad krainą Saurona. W odróżnieniu od zasłony dymnej Saurona, w tej nie czaiło się zło. Ta po prostu... była.

Przeżuwała kolejną porcję suszonego mięsa wołowego, kiedy, w miejsce tolkienowskich orłów, z nieba opuściły się dwa helikoptery i wylądowały na nieco zdezelowanym parkingu. Maszyny wytwarzały więcej decybeli niż Metallica podczas koncertu. Gwałtowne powiewy generowane przez śmigła o mały włos nie pourywałyby im głów. Obaj piloci nosili pomarańczowe skafandry, co sprawiło, że wyglądali jak marchewki z animowanego filmu. Obaj gestykulowali szalenie nerwowo.

Kelly wsiadła wraz z Larrym do jednego ze stalowych ptaków. Ruth i Daniel wskoczyli do drugiej maszyny. Wewnątrz kabiny hałas nie zmniejszył się choćby o jotę. Kelly wciąż szarpała się z niewygodnym pasem bezpieczeństwa przy jej siedzeniu, kiedy oba śmigłowce poderwały się w powietrze. Polecieli ku północy, co uznała za całkiem rozsądny pomysł. Gdyby doszło do erupcji superwulkanu, wiatry poniosą chmurę dymu i popiołu w kierunku południowym i wschodnim. I...

– Staraj się lecieć tak, żeby jakieś górskie masywy odgradzały nas od miejsca erupcji – wydzierał się raz za razem Larry do chwili, kiedy pilot w końcu zdołał zrozumieć, o co mu chodzi.

– Mogą stanowić tarczę, która zasłoni nas przed pierwszym impetem fali uderzeniowej.

Pilot zaklął, ale to właśnie zrobił.

ROZDZIAŁ IX

Helikoptery leciały niczym dryblujący pomocnik, wykorzystując szczyty masywu Gór Skalistych jako zasłony. Oni jednak wycofywali się, nie przechodzili do ofensywy. To, przed czym się wycofywali, starłoby ich na miazgę w sposób bez porównania bardziej bezlitosny niż jakikolwiek środkowy zaliniowy kiedykolwiek to sobie wykombinował. Kelly odkryła zupełnie nowy powód do zadowolenia z faktu, że lubiła futbol amerykański; w przeciwnym razie to wyrafinowane porównanie nigdy nie przyszłoby jej do głowy.

Kiedy dolecieli od zachodu do kanionu między masywami Prospect Peak i nieco niższym Folsom Peak, oboje, ona i Larry, mieli już na głowach hełmy jak piloci. Wyciszyło to odrobinę ogłuszający hałas panujący w kabinie i pozwoliło geologom porozumiewać się krzykiem, nie wrzaskiem, ile tchu w piersiach. Większość z tego, co Kelly i Larry mieli do powiedzenia, sprowadzało się do wariacji na temat: Gaz do dechy!

– Nie denerwujcie się tak – krzyknął pilot, kiedy o jeden raz za dużo powtórzyli tę samą frazę. – Lecę teraz nisko przy ziemi, a nie ma gwarancji, że ten sukinsyn nie wybuchnie, jeśli polecimy na wyższym pułapie. Nikt nie daje gwarancji, że ten sukinsyn nie wybuchnie w ogóle, racja?

Każde wypowiedziane przez niego słowo było prawdą objawioną. Lecz to nie on spędził noc na ziemi, na wyboistym parkingu. To nie on odczuwał, jak drży pod nim ziemia, Bóg jeden wie, jak często. Również to nie on przez całą zawodową karierę badał sekrety plamy gorąca ulokowanej pod obszarem parku Yellowstone.

Być może do erupcji superwulkanu nie dojdzie teraz. Być może wcale nie dojdzie do jego erupcji. Być może dwie wcześniejsze erupcje zrobiły już, co trzeba, a teraz wulkany przygasną, pozostawiając Yellowstone w

dużym stopniu zmienione i zniszczone – ale wciąż będzie to miejsce, jakie zechce zwiedzić ktoś, kto pozostaje przy zdrowych zmysłach – innymi słowy ktoś, kto niekoniecznie jest geologiem. Być może do gigantycznej eksplozji nie dojdzie w ciągu następnych kilku tysięcy lub nawet kilkudziesięciu tysięcy lat.

Być może. Kelly jednak sama nie potrafiła w to uwierzyć.

W czasie, gdy to rozważała, pilot rozmawiał z ludźmi, których nie było w helikopterze.

– Okej. Słuchajcie, co dla was wykombinowałem – powiedział, gdy skończył rozmowę przez radio. – Na lotnisku w Butte będzie czekać na was auto. To mniej więcej taki dystans, jaki zdołam pokonać przy tej ilości paliwa, którą mam w baku. Któreś z was ma mieszkanie w Missouli, prawda?

Daniel leciał drugą maszyną. Ktoś gdzieś tam na ziemi miał przecucie, co się szykuje. Missoula leżała w odległości jakichś 120 mil, jadąc z Butte autostradą międzystanową 190 na północny zachód. Gdyby doszło do erupcji superwulkanu, większość pyłu i dymu wyrzuconego do atmosfery zostałaby przemieszczona w przeciwnym kierunku. Na Missoulę mogłoby trochę tego osiąść, ale prawdopodobnie nie za wiele.

Jeżeli jednak nie dojdzie do erupcji, Kelly będzie mogła wrócić do Kalifornii. Ruth mogłaby pojechać do Utah... zakładając, że ktokolwiek chciałby wybrać się do Utah wobec realnej groźby wielkiego wybuchu. Larry najczęściej przebywał na terenie parku Yellowstone lub w jego okolicach. Kto go znał, ten wiedział, że palma może mu odbić w takim stopniu, iż wystarczy byle jaki, najbliższy nawet pretekst, żeby tam wrócił.

Na razie jednak...

– Dzięki – powiedziała, wyprzedzając o włos Larry'ego.

Nie miała pojęcia, jak wygląda mieszkanie Daniela. Jeśli nie będą mogli zwalić mu się na głowę... No dobrze, w Missouli z pewnością nie brakowało moteli. A nawet hoteli. Dla takich chwil, jak ta właśnie, Bóg stworzył karty kredytowe. Być może nawet Wydział Geologii Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley zwróci jej poniesione wydatki. Z drugiej jednak strony, jeśli uwzględnić nigdy nie dopięty do końca stanowy budżet Kalifornii, równie dobrze mogła o tym zapomnieć.

To jeszcze jedna sprawa, którą mogła zamartwiać się później, o ile wciąż jeszcze będzie pośród żywych, by się nią kłopotać.

Kiedy pokonali pasmo Gallatin Range, mieli za sobą górskie łańcuchy oraz lasy, a teraz z ogłuszającym rykiem silników przelatywali nad terenami rolniczymi. Maszyna leciała na dużo niższym pułapie niż samoloty pasażerskie, które w przypadku Kelly stanowiły jedyną sposobność oglądania ziemi z lotu ptaka. Mogła teraz dostrzec pasące się w stadach poszczególne krowy, a nawet owce oraz pojedyncze samochody z rzadka porzucane na bladym asfalcie dróg lokalnych, których nawierzchni nie odnawiano od bardzo długiego czasu, które ponadto, ze względu na niewielkie jej zużycie, będą czekały na nowy asfalt jeszcze długie lata.

Przed nimi przebiegała trasa międzystanowa 1 – 90. Kelly usiłowała zgadnąć, czy będzie zapchana po brzegi samochodami osobowymi i kamperami pełnymi ludzi czmychających czym prędzej z Yellowstone, lecz tu czekało ją zaskoczenie. Przypuszczalnie niewielu zostało tych, którzy nie zdążyli jeszcze uciec.

Autostrada międzystanowa miała po dwa pasy ruchu w każdą stronę. Gdyby nie brak świateł regulujących ruch, mogłaby funkcjonować jako bulwar w Los Angeles albo na obszarze Bay Area i aglomeracji San Francisco. Jeśli cała Montana niemal dorównuje wielkością Kalifornii, a liczba jej mieszkańców nie przekracza nawet miliona, główny szlak

komunikacji mógł posiadać jedynie cztery pasy, by móc nim mknąć, wciskając gaz do dechy, zamiast godzinami tkwić w korkach na dwunastopasmowej autostradzie.

– Zbliżamy się do Portu Lotniczego im. Berta Mooney’a – poinformował w odpowiednim momencie pilot.

Kelly dla zabicia czasu rozważała w myślach, kim był albo mógł być Bert Mooney. Pilot manipulował drążkiem sterowniczym – nazywał go po swojemu „kolektywem”, jak gdyby dostrzegał w nim jakieś powiązanie ze spółdzielczym kolektywnym gospodarstwem rolnym w nieistniejącym już od dawna Związku Radzieckim. Helikopter obniżył lot. W niedużej odległości od nich druga maszyna z Ruth i Danielem na pokładzie wykonała ten sam manewr.

Kimkolwiek Bert Mooney był, dwa helikoptery okazały się jedynymi maszynami, jakie w tej chwili obsługiwały lotnisko. Kelly przywykła do wielkich portów lotniczych, jak LAX, San Francisco czy Oakland. Zielony ford zaparkowany w pobliżu terminala to chyba nie auto, którym mieli stąd odjechać... chyba nie?

– Tam stoi wasza bryka, jak mniemam – oświadczył pilot, wskazując na ten właśnie samochód.

Niekiedy prostota jest najlepszym rozwiązaniem.

Zetknięcie ze smołobetonową płytą lotniska chwilę później było zaskakująco łagodne. Drugi helikopter wylądował jakieś trzy – cztery sekundy po maszynie Kelly i Larry’ego. Cysterna z paliwem już podjechała i czekała, aż wirniki nośne przestaną się obracać.

Kelly zdjęła hełm. Teraz, kiedy silnik został wyłączony, w kabinie nie panował ogłuszający ryk.

– Dzięki z całego serca, a nawet jeszcze większe – powiedziała do pilota.

– Amen – spuwentował Larry.

– Nic wielkiego. W zasadzie to drobnostka – odpowiedział pilot. – Niekiedy lepiej po prostu dmuchać na zimne, to wszystko. Powodzenia, dla wszystkich was.

– Tobie również – odwzajemniła życzenia Kelly, kiedy pilot uniósł czaszę kabiny, umożliwiając jej wygramolenie się na zewnątrz.

Larry poszedł w jej ślady. Ruth i Daniel wysiedli z drugiej maszyny. Cała czwórka ruszyła niezbyt forsownym biegiem w poprzek płyty lotniska w kierunku samochodu. Kelly wychodziła z założenia, że auto wynajęto z wypożyczalni. Nie miała pewności, ale to jeszcze jedna sprawa, którą mogła się trafić w późniejszym czasie. Całkiem odpowiednia wydawała się przykładowo pora, kiedy dotrą do Missouli.

W połowie drogi do zielonego forda Larry zatrzymał się nagle. Kelly rzuciła mu gniewne spojrzenie, zamierzając czym prędzej wsiąść do auta i dotrzeć do międzystanówki 190.

– Co się z tobą dzieje? – warknęła.

Larry nie odpowiedział słowami, lecz wskazał gestem w kierunku południowo-wschodnim, ponad płaskim dachem budynku terminala. Wzrok Kelly podążył bezwiednie za jego palcem wskazującym. Wielkiej, czarnej, pęczniejącej, mknącej wartko chmury nie było wcale na niebie, kiedy lądowali zaledwie przed chwilą. Chmura rosła w oczach. Nawet z odległości kilkuset mil Kelly dostrzegła pioruny bijące na jej obrzeżach. Jak potężne zatem musiały być te wyładowania? I jak oślepiająco jaskrawe?

Odpowiedź na niektóre pytania nasuwała się sama, inne tak naprawdę nie wymagały odpowiedzi.

– O, mój Boże – wyszeptała Kelly.

Ruth przeżegnała się. Kelly nie miała pojęcia, że jej koleżanka po fachu jest katoliczką. Chociaż, jeśli ktoś nosi nazwisko Martinez, to można postawić w ciemno. W ostatnim czasie Ruth być może nie myślała o tym,

że jest katoliczką. Zobaczywszy... coś takiego przed sobą, każdy by się przeżegnał.

– Dlaczego nie słysząc żadnego odgłosu? – zapytał Daniel.

– I dlaczego ziemia nie drży?

– O to się nie martw. Poczujemy to. I usłyszymy to również – odpowiedział Larry. – Fale sejsmiczne i fale akustyczne jeszcze tu nie dotarły. Ale niechybnie dotrą. – Na jego twarzy rysowało się pełne rezygnacji przygnębienie, jak na opanowanego człowieka przystało. – A niech to, na pewno tu dotrą. Ludzie słyszeli eksplozję Krakatau z odległości ponad dwóch tysięcy mil, a przecież Krakatau w porównaniu z tym tutaj to jak puszczenie bąka w wannie.

– Co stałoby się z nami, gdybyśmy byli w powietrzu, kiedy fala akustyczna lub fala uderzeniowa, czy co tam jeszcze chcecie, walnęłaby w nas? – zapytała Ruth.

Kelly spojrzała za siebie w stronę pilota helikoptera. On również wpatrywał się w niebo w kierunku Yellowstone. Przez pleksiglasową osłonę kabiny maszyny zdołała dostrzec jego szeroko rozdziawione usta.

– A co dzieje się z muchą, gdy uderza w nią packa? – odpowiedziała pytaniem. Jeśli ktoś walnie muchę packą wielkości budynku, takie porównanie przypuszczalnie trafniej oddałoby proporcje masy i sił.

Żadne z nich nie podbiegło bliżej do samochodu. Tu na otwartej przestrzeni byli zdecydowanie najmniej narażeni na niebezpieczeństwo. Nawet gdyby budynek terminalu lotniczego legł w gruzach, nie zawaliłby się na nich.

– Sądzę, że powinniśmy położyć się na ziemi – doradził Larry. – Wszyscy troje jesteście za młodzi, żeby pamiętać ćwiczenia, które polegały na leżeniu twarzą do ziemi i nakrywaniu głowy rękoma, ale z pewnością coś o nich wiecie, racja?

Dawno temu nadgorliwy nauczyciel w piątej klasie nakrzyczał na Kelly za niewłaściwą pozycję, ale teraz wcale się tym nie przejęła. Przyjęła klasyczną pozycję w leżeniu przodem, na nawierzchni o wiele równiejszej niż wyboisty parking, na którym spędziła poprzednią noc – parking ten stanowił teraz maciupenką drobinę tej kolosalnej masy popiołu i pyłu. Ćwiczenia, które polegały na przyjęciu pozycji leżącej twarzą do ziemi i nakryciu głowy rękoma, miały chronić przed radzieckimi bombami wodorowymi. Ale co można zrobić, kiedy coś nieporównanie potężniejszego od bomby wodorowej przechodzi w zbyt małym oddaleniu?

– Niech mnie dunder świśnie – zakrzyknął Larry, kiedy ziemia zaczęła drżeć.

Pad na ziemię okazał się dobrym pomysłem, ponieważ Kelly zdawała sobie sprawę, że i tak nie utrzyma się na nogach. W głowie rozważała dylemat, dokąd doszła strzałka na skali Richtera, gdy eksplodował superwulkan. Musiało to być kolosalne lub nawet o jeden stopień większe od kolosalnego. Uwzględniła przy tym odległość między nimi a epicentrum, a mimo to rzucało nią w tę i we w tę jak szmacianą pacynką.

Wstrząsy wcale nie zamierzały zelżeć. Podobnie jak różowy królik w reklamie baterii Energizer, który bez końca walił w bęben i walił... Jak wielkie ilości energii zostały uwolnione naraz? Kalkulator wewnątrz jej głowy podał odpowiedź: BEZMIAR Szyby w oknach budynku terminala wypadły z głośnym brzękiem. Jeden z helikopterów, którymi przylecieli geolodzy, przewrócił się na bok. Na szczęście pilot wciąż nie odpiął pasa bezpieczeństwa, zatem nie powinna stać mu się krzywda. Jeszcze większy łut szczęścia sprawił, że żadna z maszyn nie zdążyła rozpocząć tankowania. Wszyscy zainteresowani jak zauroczeni spoglądali ku niebu w stronę Yellowstone, skąd nadchodził kataklizm.

Ziemia ciągle drżała, kiedy nadeszły pierwsze powiewy wiatru. Fala uderzeniowa po wybuchu bomby jądrowej potrafi zburzyć wszystko na swej drodze w dużej odległości od miejsca nuklearnej eksplozji. Ogłuszający huk nadszedł z prędkością dźwięku. Fale akustyczne po przebyciu tak wielkiego dystansu, mając do pokonania lub do ominięcia kilka górskich pasm i łańcuchów, musiały przecież ulec osłabieniu. A to znaczyło, iż huk ten był czymś daleko, daleko głośniejszym od tego, co Kelly miała sposobność usłyszeć w całym swoim życiu.

Swego czasu przeczytała gdzieś, że artylerzyści wrzeszczą na całe gardło, żeby wyrównać ciśnienie w uszach. Postanowiła wypróbować to na sobie. Nie powinno przecież zaszkodzić. Tak czy inaczej, zaczęła drzeć się wniebogłosy. Porywy wichru przeturlały ją jakieś sześć do dziesięciu metrów wzdłuż pasa startowego, uzupełniając przy okazji już zgromadzoną kolekcję guzów, sińców i zadrapań. Gdyby nie zasłoniła twarzy dłońmi, obrażenia mogły być poważniejsze.

W tym mniej więcej momencie część lotniskowego terminala zapadła się w sobie. Obrócona w gruzy przez wiatr pędzący jak oszalały wokół i na wskroś budowli? Zrównana z ziemią w rezultacie niekończących się wstrząsów? Zburzona tylko w następstwie drgań wywołanych wielkim hukiem? W teście wielokrotnego wyboru Kelly zaznaczyłaby odpowiedź wszystkie wyżej wymienione.

Zielony ford nie przewrócił się. To już coś. Jak duże coś, co do tego nie miała pewności. Czy dadzą radę dokaraskać się nim do Missouli? Wcześniej zdarzało się jej jechać autostradą międzystanową 1 – 90; zwróciła wtedy uwagę na cienkie jak zapalki filary wspierające wielopoziomowe rozjazdy i estakady. Tutejsze przepisy budowlane nie nakazywały wznoszenia konstrukcji odpornych na trzęsienia ziemi, jak miało to miejsce w Kalifornii. Co zatem się stanie, jeśli uderzy w nie coś

potężniejszego niż mega trzęsienie ziemi, nawet jeśli epicentrum będzie bardzo odległe. Niebawem się tego dowiedzą.

Gigantyczny obłok na niebie ciągle wzbierał w sobie i nabrzmiwał. Nie przesłonił jeszcze słońca – nie teraz i nie tutaj. Na jak ogromnych obszarach stanów Wyoming, Montana i Idaho w środku dnia nagle zapadła jednak noc? Z każdą minutą coraz większych, w miarę jak długi, długi cień coraz bardziej się wydłużał. Kelly przywołała w pamięci scenę wybuchu Góry Przeznaczenia, kiedy Pierścień został wrzucony do ognia w Powrocie Króla.

Ale na koniec Sauron stracił całą siłę i moc. Plama gorąca zalegająca pod Yellowstone wręcz przeciwnie. Ile milionów – a może miliardów – ton rozartych na pył skał niesie ta chmura? Na jaką odległość ta największa od 75 000 lat wulkaniczna eksplozja wy rzuci bryły dostatecznie duże, by zmiążyć domy i samochody. Jak daleko erupcja wyrzuci odłamki dostatecznie duże, by rozwalić czaszki? Na ogromnych połaciach zachodnich rejonów Gór Skalistych ludzie przekonują się o tym w tej właśnie chwili, niekiedy w bardzo bezwzględny sposób.

Natomiast dla tych, którzy znaleźli się zbyt blisko superwulkanu, przecinające powietrze skalne odłamy oraz chmura popiołu na niebie stanowiły najblihszą z trosk. Dobrotliwa, staroświecka lawa przelewała się przez brzegi kaldery ze wszystkim, co zabrała po drodze i rozprzestrzeniała się na wszystkie strony. Nie inaczej czyniły potoki piroklastyczne – błoto zmieszane z wrzącą wodą w mai z piekła rodem. Pompeje zostały zagrzebane pod zwałami lawiny piroklastycznej, kiedy w 70 roku naszej ery eksplodował Wezuwiusz. Ale podobnie jak Krakatau, jak Mount St. Helen, jak, zgoda, wszystko inne, Wezuwiusz był jedynie czknięciem w porównaniu z tym tutaj.

West Yellowstone w stanie Montana, prowincjonalne miasteczko turystyczne, zapewne zniknie z mapy. Podobnie zresztą jak Gardiner, stan Montana, przy północnym wjeździe oraz Cook City i Silver Gate, obydwie stan Montana, na północny wschód od parku – eksparku, a także Cody, w stanie Wyoming, położone nieco dalej na wschód. Pasma górskie Grand Tetons, usytuowane na południe od Yellowstone, miało wziąć na swe barki kolejne pokłady wulkanicznego tufu. Tuf opadnie też – grubą warstwą – na Jackson w stanie Wyoming.

A wszystko to, rzecz jasna, stanowiło zaledwie początek. Zaledwie maciupieńki fragment początku.

Larry zdołał podnieść się na nogi. Na łokciu kurtki z teksasu miał dziurę. Dżinsowe spodnie rozdarły się na obydwu kolanach. Na jednym z nich granatowy materiał przesiąknął krwią. Nawet tego nie zauważył. No tak, Kelly również odniosła drobne obrażenia, do oględzin których jeszcze nie przystąpiła. Wszystko w swoim czasie.

Ziemia pod nimi ciągle jeszcze się kołysała. Zazwyczaj wstrząsy wtórne są niewyczuwalne w takiej odległości od miejsca, gdzie się zatrzęsło, ale to przecież potężne trzęsienie i równie potężne wstrząsy wtórne. Wstrząsy te nie wywoływały jednak drgań, co miałyby miejsce bliżej epicentrum, lecz jedynie kołysanie. Na rozkołysanym gruncie można było – przynajmniej Larry zdołał utrzymać się na nogach. Porywy wichury ciągnącej od strony erupcji wciąż nacierały gwałtownie, jednak nie na tyle gwałtownie, by zwalić go z nóg.

Zdołał nawet przekrzyczeć szalejące żywioły, a jego słowa dało się usłyszeć.

– Spierdzielajmy stąd, dopóki możemy. Im dalej dotrzemy, zanim zaczną opadać na nas popiół, tym lepiej. Nie wiem, czy filtrowi powietrza

spodobać się takie masy drobin pyłu i nie mam pojęcia, czy silnik polubi to paskudztwo, jakie przepuści filtr.

Kelly знаła go już od pewnego czasu. Cechował się powściągliwością i opanowaniem. Jego słowa odniosła do tego, co w tej sytuacji powiedziałaaby przygniatająca większość bliźnich. Larry pojął w lot, że filtr powietrza nie toleruje w żadnej mierze wulkanicznego popiołu, a silnik się zatrze i w końcu zgaśnie, kiedy nałyka się za dużo pyłu.

Ile samochodów osobowych – oraz ciężarówek, a także wozów strażackich i karetok pogotowia – na obszarze jak wielu stanów zatrze się i zgaśnie, kiedy ich silniki odmówią posłuszeństwa z powodu nadmiaru popiołu? To jeszcze jedno intrygujące pytanie, w chińskim rozumieniu znaczenia tego słowa.

Oglądała kiedyś mapę obrazującą zasięg, na jaki superwulkan wyrzucił popiół po poprzednich erupcjach. Niemal cały Środkowy Zachód oraz wielkie połacie Zachodu wdepnęły teraz, by tak rzec, w bardzo głębokie gówno. Ale wszystko to stanowiło także zaledwie początek.

– Czy ja również mogę wstać? – zadała sobie pytanie w myślach. Jest tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać. Ruth zdołała pozbierać się na równe nogi do momentu, kiedy uczyniła do Kelly. Daniel również, chociaż utykał, kiedy ruszyli w kierunku forda. Kolano? Kostka? Obojętne, co go bolało, jakoś zdołał dokuśtykać. Na chwilę obecną w zupełności to wystarczyło.

Larry sprawdził drzwi od strony kierowcy. Otworzyły się. Zajrzał do środka.

– Kluczyki są w stacyjce – relacjonował. – Pilot nie oszwabił nas.

Wsiedli do środka. Faceci zajęli miejsca z przodu; panie usiadły z tyłu. Tak było w porządku – Larry i Daniel przewyższali wzrostem obie z nich. Gdy Kelly zapinała pas bezpieczeństwa, spostrzegła otarcie na prawej

dłoni. Ruth zaliczyła paskudne zadrapanie na czole, a z jej ucha sączyła się krew. Wszystko to były drobiazgi, o które mogli zatroszczyć się później.

Dopiero kiedy klamra pasa dopięła się ze szczęknięciem, Kelly zaczęła chichotać. Ruth, która również zapinała pas, spojrzała na nią ze zdziwieniem.

– Nadchodzi koniec świata, a ja zapinam jakiś debilny pas bezpieczeństwa – wytłumaczyła się. – Ty zresztą również.

– Och. – Ruth przytaknęła z zażenowaniem. – Siła przyzwyczajenia. Larry uruchomił silnik. On również zapiął pas. Podobnie jak Daniel.

– Mogą być nam potrzebne – powiedział ten ostatni. – Jeśli rzeczywiście nadchodzi koniec świata, ludzie będą jeździć całkiem jak opętani, na złamanie karku.

Jeśli to nie pomieszana metafora – no dobrze, porównanie – to Kelly nigdy chyba takiego nie słyszała. Chociaż pomieszanie wątków wcale nie oznaczało błędnej treści.

Larry objechał dookoła zburzony budynek terminala. Przez rozbite okna i drzwi wychodzili ludzie, niektórzy broczący krwią.

– Nie podoba mi się to, że ich omijam, ale... – skomentował. Nikt nie próbował zmienić jego decyzji.

Jak na standardy Montany Butte uchodziło za spore miasto: liczyło około 35 000 mieszkańców. Nie brakowało tu banków, biur, bloków mieszkalnych oraz małych lokali z fast foodami, zupełnie jak w wielkim mieście. Niektóre z nich przetrwały kataklizm, inne zostały zrównane z ziemią. Okruchy szkła z niezliczonych powybijanych okien skrzyły się w słońcu niczym śnieg. Część szklanych odłamków pokrywała Harrison Avenue, ulicę, która miała ich wyprowadzić na trasę międzystanową. Ich wiatr nie zdołał sprzątnąć z jezdni.

– Tego by tylko brakowało, żebyśmy teraz złapali kapturę – wieszczyła Ruth.

– Ugryź się w język – odparła słodkim głosem Kelly. – I to mocno.

Niektórzy z mieszkańców udzielali pomocy innym, którzy odnieśli obrażenia. Ale tłumy mężczyzn i kobiet stały na chodnikach – czy niekiedy nawet na środku ulic – wpatrując się w niebo i wskazując na obłok, nieustannie narastający i nadchodzący od strony superwulkanu. Kelly jednak nie mogła im brać tego za złe. Sama bez przerwy obracała się i spoglądała do tyłu na obłok.

Jakiego pułapu sięgał? Ile miał szerokości? Jak blisko nich dotarł? – Z każdą sekundą coraz wyżej, coraz szerzej i coraz bliżej – to jedyne fakty, co do których miała niezbitą pewność.

Larry włączył radio. Z głośników dobiegły bardzo głośne tony muzyki hip-hopowej; nie ulegało wątpliwości, że stację nastawił facet, który jako ostatni zrobił przegląd wynajętego forda. Nacisnął przycisk strojenia. Po krótkiej chwili natrafił na kogoś, kto wygłaszał poważnym tonem komunikat.

– Prezydent ogłosił stan wyjątkowy na obszarach Wyoming, Montany i Idaho. Gubernatorzy tych stanów również ogłosili stan klęski żywiołowej i powołali pod broń Gwardię Narodową.

– Świetnie, co za ulga – drwił sobie Daniel. – Teraz wszyscy jesteśmy bezpieczni.

– Możesz go walnąć, proszę? – Kelly zwróciła się do Larry’ego.

– Nie dam rady go dosięgnąć.

– Czuj się walnięty – powiedział Larry do Daniela, kiedy szerokim łukiem wjeżdżał na zachodni pas międzystanówki 190. Wskazał gestem przed siebie. – Ta estakada jest w porządku, w każdym razie.

– No to mamy jedną – podliczyła Kelly.

Ruth wykonała ruch, jakby teraz to ona chciała jej przywalić. Kelly potulnie opuściła głowę w geście przeprosin.

– Liczba ofiar śmiertelnych na terenie parku Yellowstone i w jego okolicach jest, jak się szacuje, bardzo duża, podobnie poważne są straty materialne – informował monotonna prezenter wiadomości.

Nie ulegało wątpliwości, że przebywał gdzieś w Waszyngtonie lub Nowym Jorku albo w jakimś innym miejscu, podobnym do wymienionych. W jakimś miejscu, gdzie wszystko to, co się tu działo, wydawało się tylko jeszcze jedną katastrofą naturalną, jaka nie miała nic wspólnego z nim czy z jego stylem życia opartym na koneksjach. Tak już jest na tym świecie.

Przynajmniej na razie.

– Jak do tej pory nie dysponujemy bezpośrednimi relacjami z obszaru dotkniętego kataklizmem – kontynuował.

Cała czwórka geologów jadących fordem zaczęła wydzierać się i szyderczo gwizdać.

– Nie pierdziel, gościu! – – wykrzyknęła Ruth, a był to jeden z najbardziej oględnych komentarzy.

– Zadzwoń na BEZPŁATNĄ INFOLINIĘ 1-800... – dorzuciła Kelly.

Obydwie, ona i Ruth, nieustannie odwracały głowy, by spoglądać przez tylną szybę. Za każdym razem chmura powstała po erupcji superwulkanu robiła wrażenie coraz większej, coraz czarniejszej i coraz bliższej. Jechali z maksymalną prędkością dozwoloną na autostradzie międzystanowej. Z jaką szybkością przemieszczał się obłok? Jak daleko dotrze? Mniej więcej do Missouli, o ile poprzednie erupcje mogą posłużyć za odniesienie – a stanowiły jedyne źródło porównawcze, jakim w ogóle ktokolwiek dysponował. Dylemat, jak daleko dominujące wiatry mogły zanieść popiół w kierunku przeciwnym, stanowił całkowicie odrębną, bez porównania ważniejszą kwestię.

Od czasu do czasu samochód przysiadł przez chwilę, jakby z którejś z opon uszło powietrze. Potem odbijał się i podskakiwał w górę.

– Czy oni nie wsadzili żadnych amortyzatorów do tej kupy żelastwa? – zapytał Daniel.

– To nie amortyzatory – odpowiedziała Kelly. Jako Kalifornijka z urodzenia dysponowała znacznie bogatszym od pozostałych doświadczeniem w dziedzinie trzęsień ziemi i to z autopsji. – To wstrząsy wtórne. Tak właśnie odczuwa się trzęsienie ziemi, jadąc samochodem.

– Och – wydusił z siebie Daniel z zażenowaną miną.

Larry wcisnął pedał hamulca. Tym razem Kelly musiała popatrzeć przed siebie, nie do tyłu. Dwa radiowozy drogówki ze stanu Montana stały na drodze z migającymi czerwono-niebieskimi światłami kogutów. Funkcjonariusz z jednego z wozów patrolowych kierował jadące auta na zjazd z autostrady. Nie ulegało wątpliwości, że przęsło estakady zawaliło się. Spod zwałów betonu wystawała połówka samochodu. Kiedy Kelly pomyślała, że mogłaby znaleźć się w tej drugiej połowie, poczuła, jak żołądek podchodzi jej do gardła, tak samo jak w chwilach, gdy ford podskakiwał przy wstrząsach wtórnych. Nieszczęśnicy, w każdym razie, długo się nie męczyli. Te tony spadającego betonu...

Policjant z drogówki – nie, policjantka: miała cycki pod bluzą koloru khaki oraz koński ogon – kierująca samochody na zjazd, nosiła maskę taką jak te, które geolodzy stosowali w Yellowstone. Wydawało się to całkiem niegłupie. Czy jednak miało wystarczyć, by stawić czoło wyzwaniu, jakie stanęło przed nimi... Czy cały kraj będzie w stanie stawić czoło temu wyzwaniu, nie wspominając już wcale o jednej gównianej masce...

Larry postanowił w końcu zapytać Daniela, czy w jego mieszkaniu zmieści się cała ich czwórka.

– Przez jakiś czas, w każdym razie, o ile nie masz nic przeciw temu, żeby sypiać na kanapie – odpowiedział Daniel. – Kelly i Ruth dostaną do dyspozycji łóżko, ja zaś mam w szafie rezerwowy śpiwór. I z niego skorzystam.

– Powinno się udać – przyznał Larry. – Ciekawe, czy Missoula wciąż otrzymuje zaopatrzenie w gaz i żywność, przesyłane ze wschodu ewentualnie z zachodu – kontynuował zadumany głosem.

Kolejne frapujące pytanie. Kelly nie zdążyła jeszcze przestawić się na ten tok myślenia, ale uświadomiła sobie, iż właśnie nadeszła najwyższa na to pora. Zaopatrzenie może docierać do Missouli z Idaho. Niewiele da się przewieźć przez Montanę i Bóg tylko jeden wie, przez jak długi czas. Popioły – i przypuszczalnie skalne odłamy również – już teraz opadają na miasteczka Livingston i Bozeman. Droga międzystanowa 1 – 90 będzie nieprzejezdna. Niektóre jej odcinki mogą zostać pogrzebane po warstwą wulkanicznego gruzu i popiołu miąższości do nawet kilkudziesięciu metrów. Być może niektóre drugorzędne szlaki komunikacyjne dalej na północ pozostaną otwarte. Być może – ale Kelly jakoś nie bardzo mogła w to uwierzyć.

Co się stanie z Missoulą i wieloma innymi położonymi w tym regionie miastami, kiedy przestaną – nie będą dłużej w stanie – docierać do nich dostawy wszystkiego, co jest na co dzień potrzebne do życia? Ich mieszkańcy poradzą sobie, do cholery, bez nich, koniec, kropka. A co stanie się potem?

Kelly zdawała sobie sprawę, że pytanie to naprawdę miało charakter kardynalny. Wiedziała też, że powinna zacząć się tym martwić. Ale nie mogła, nie teraz przynajmniej. Nie ugrzęzła w matni w środku strefy zero, kiedy kaldera Yellowstone zapadła się w sobie, a zawdzięczała to pilotowi helikoptera. Wciąż jeszcze pozostawała wśród żywych. Wciąż jeszcze

oddychała. Wciąż miała szansę poddychać jeszcze chwilę. Ciągle też mogła liczyć na znalezienie odpowiedzi na ważne pytania, jakie postawiła, a być może także na parę innych dylematów.

W tej dokładnie chwili uświadomiła sobie, że dzięki temu właśnie stała się jednym z najszcześniejszych i, w pewien sposób, jednym z najbogatszych ludzi na całym ziemskim globie. I wcale nie miała zamiaru nadmiernie przejmować się pierwszym lepszym gównem.

Ludzie sprawujący władzę w firmie Amalgamated Humandoids nie mieli nic przeciwko osobom, które słuchały radia w trakcie pracy. Co jakiś czas dochodziło też do drobnych spięć, kiedy ktoś słuchał stacji, której nie znosił ktoś inny przy sąsiednim biurku, zwłaszcza gdy ten ktoś zamiast ściszyć, podkręcał potencjometr, ponieważ strona rzekomo poszkodowana żaliła się kierownictwu. Nie zdarzało się to jednak aż tak często, jak mogłaby domniemywać Vanessa Ferguson. Nikt inny nie był równie drażliwy, co ona, aczkolwiek sama zainteresowana postrzegała sprawę w zupełnie innym świetle.

Przeskoczyła z rozgłośni NPR na kanał z muzyką klasyczną, potem na jakąś rozmowę polityczną. Z chęcią przyniosłaby ze sobą iPod'a, jednak grupa trzymająca władzę patrzyła krzywo na słuchawki na uszach, a nawet na mikrosluchawki wkładane do uszu. Twierdzili, że używanie przenośnych odtwarzaczy multimedialnych nadmiernie rozprasza zatrudniony personel. Z perspektywy Vanessy były to ewidentne brednie, ale pracowała tu zbyt krótko, żeby ostentacyjnie paradować ze słuchawkami w uszach.

Za wszelką cenę potrzebowała czegoś, co odciągnie uwagę części jej umysłu od oferty handlowej, którą właśnie redagowała. Gdyby całą uwagę poświęciła cholernemu dokumentowi, chwyciłaby przycisk do papieru lub inny artefakt i cisnęła nim w monitor. Bezsensownie długie słowa, ujęte w

bezsensownie długie zdania, który wiły się i skręcały jak dżdżownice na chodniku po rześistym deszczu...

Czy inżynierowie pisaliby lepiej, gdyby uczyli się angielskiego tak jak języka programowania, chociaż się go uczyli? Z pewnością nie mogliby pisać gorzej. Spikerka w radio przerwała koncert Bacha na klawesyn. Jeśli kodeks nie przewidywał za takie przestępstwo kary śmierci przez powieszenie, to do jasnej cholery ktoś powinien to zmienić.

– Przepraszamy najmocniej za przerwanie programu – rozpoczęła kobieta – ale właśnie dotarł do nas ważny komunikat. Na obszarze Parku Narodowego Yellowstone doszło do gigantycznej – powtarzam, gigantycznej – erupcji wulkanicznej. Skala eksplozji jest większa niż wszelkie wcześniej znane erupcje. Istnieją poważne obawy, że Denver może zostać poważnie dotknięte skutkami katastrofy naturalnej. Prosimy o pozostanie na tej częstotliwości i oczekiwanie na kolejne komunikaty. Dziękuję bardzo za uwagę.

Na antenę powrócił Bach, w czystej i nieskazitelnej formie.

Vanessa, na tyle, na ile się orientowała, była tu jedyną osobą, która słuchała muzyki poważnej. Ale podekscytowane okrzyki dobiegły z kilku sąsiednich boksów, zatem komunikat musiał zostać odczytany na antenach kilku stacji radiowych. Vanessa przywołała w pamięci napady białej gorączki, jakich dostawał jej ojciec w związku z jej przyjazdem tutaj.

Ale przecież jego fantasmagorie to czysta niedorzeczność. Popiół wulkaniczny z pewnością mógł sparaliżować komunikację lotniczą – to oczywiste – politykierzy z Denver już od paru miesięcy wściekali się i labiedzili, jakie to powoduje spadki w przychodach i straty. Ale nawet mimo to Yellowstone leży... no dobrze, w jakiej odległości od Denver, tak naprawdę, leży Yellowstone? Vanessa kiedyś to sprawdzała, zanim przeniosła się tutaj, ale zdążyła już zapomnieć.

Uruchomiła witrynę Bing.com, żeby to sprawdzić. Większość śmiertelników skorzystałaby z wyszukiwarki Google, lecz ona zaliczała się do zatwardziałyich fanów Microsoftu. Odległość od południowych rubieży parku Yellowstone do Denver wynosiła jakieś 430 mil. Roześmiała się. To absurdalne, żeby jakiś incydent tam mógł poczynić poważne szkody tutaj. Reporterzy stawali na głowie, żeby podtrzymać słuchalność, puszczając na antenie przesadnie egzaltowane komunikaty, a ta biedna kobieta ze stacji nadającej muzykę klasyczną musiała przeczytać to, co podsunęli jej pod nos. Skąd niby miała wie dzieć, co za bzdury jej wcisnęli.

Skinąwszy głową pod własnym adresem, Vanessa zamknęła okno przeglądarki Bing.com i z grobową miną powróciła do redagowania handlowej oferty. Usiłowała wmówić sobie, że nie powinno być tak źle, skoro z radia dobiegają melodyjne nuty Bacha. Podejmowała takie próby, ale bez dobrego skutku.

W pierwszej chwili prawie nie wyczuła kołyszącego ruchu pod stopami. Ruch ten przybierał na sile i przybierał i wcale nie słabł. Było to bardziej kołysanie niż ostre szarpnięcia, co oznaczało, że epicentrum znajdowało się gdzieś bardzo, bardzo daleko – wiedzę o tym dały jej doświadczenia wyniesione z Kalifornii. Ale trzęsienie o takiej mocy, którego epicentrum znajdowało się w odległości setek mil, to przecież niedorzeczność.

Gdzieś całkiem blisko niej z hukiem przewrócił się regał z dokumentami. Nie wiedząc sama jak, Vanessa znalazła się pod biurkiem, usiłując podkulić nogi pod siebie, żeby również je chronić. Kołysanie nie ustawało ani na jotę. W biurze rozlegały się chóralne krzyki – soprany i barytony.

– Niech ktoś to zatrzyma! – zawołał czyjś głos, ale nic to nie pomogło.

Stopniowo – kiedy przewróciło się kilka kolejnych regałów z dokumentami – rozkołysanie podłoga zaczęło słabnąć. Ostatni impet z łoskotem strącił na podłogę klawiaturę Vanessy. I tak uważała się za

farciarę, ponieważ to nie monitor zsunął się z biurka. Z sufitu odpadały okruchy dźwiękochłonnej pianki o wzorze wiejskiego twarożku, co wyglądało, jakby w pomieszczeniu padał śnieg.

Wygramoliła się spod biurka. Dokonała tego jako jedna z pierwszych, być może dlatego, że pochodziła z Kalifornii i bardziej przywykła do trzęsień ziemi. Kilka ścianek działowych oddzielających boksy poleciało na ziemię razem z regałami na dokumenty.

Widziała teraz całe biuro niemal na przestrzał, co wcześniej nie było możliwe. Całe szczęście, że nie wysiadł prąd, pomyślała.

I chyba skusiła tym lichem czy co tam, ponieważ potężny wstrząs wtórny niemal zwałił ją z nóg. Wrzasnęła i chwyciła za krawędź biurka, żeby pozbierać się na nogi – i gdy tylko dotknęła blatu, światła zgasły. Przez kilka sekund zapanował ponury mrok jak w sercu bankiera udzielającego pożyczek hipotecznych. Ludzie zaczęli wrzeszczeć, prze straszeni teraz nie na żarty. Vanessa nie dołączyła do nich, ale naprawdę niewiele zabrakło, by tak właśnie uczyniła.

Zapaliło się blade oświetlenie awaryjne. Z głośników zamontowanych na suficie, o których istnieniu nie miała nawet pojęcia, dobiegł czyjś stanowczy głos.

– Przystąpić do ewakuacji budynku! Natychmiast przystąpić do ewakuacji budynku!

Chyba w życiu nie usłyszała bardziej sensownych słów. Zatrzymując się na chwilę jedynie po to, by sięgnąć po torebkę, ruszyła pospieszenie w kierunku rozjarzonego na czerwono znaku WYJŚCIE nad drzwiami. Ich biuro było ulokowane na drugim piętrze. Razem ze wszystkimi przeszła pogrążonym w półmroku korytarzem do schodów. Kilka osób utykało. Niewysoki mężczyzna obejmował ramionami dwóch bardziej rosnących facetów.

– Cholerny regał na dokumenty rozwalił mi łokieć. Boli jak skurwysyn, proszę mi wybaczyć uliczną łacinę – powiedział konus, gdy Vanessa przeciskała się obok nich.

– To dla mnie nie pierwszozna – odpowiedziała. Facet zachichotał, potem ulżył sobie, puszczając wiązki soczystych bluzgów.

Na klatce schodowej także panowały ciemności, z wyjątkiem dołu, gdzie przebijało przyćmione światło dnia. Zejście po schodach z pewnością nie należało do jej ulubionych zajęć, mimo to starała się uczynić wszystko, byle tylko nie potknąć się i nie skręcić karku czy choćby nie skręcić kostki. Gdyby ktoś z tych, co zbiegali wyżej za nią, przewrócił się, wszyscy na schodach poleciliby na łeb na szyję.

Zdołała jakoś zbiec na dół. Potem pobiegła do frontowego wejścia. W wejściu zainstalowano przeszkłone drzwi, które automatycznie rozsuwały się na boki, gdy ktoś się zbliżał. Na szybie widniał nadrukowany napis: W RAZIE POTRZEBY WYPCHNAĆ NA ZEWNĄTRZ. Vanessa widziała ten napis z milion razy wcześniej, nigdy jednak nie zwracając nań baczniejszej uwagi. Ktoś popchnął i drzwi rzeczywiście otworzyły się na zewnątrz.

Kolejny wstrząs wtórny zmotywował ją do szybszego biegu w stronę parkingu. Ile drgań jest w stanie wytrzymać ten budynek? Jakie wymogi budowlane w odniesieniu do trzęsień ziemi obowiązują w Denver? Na otwartej przestrzeni nie musiała się tym specjalnie przejmować. Wcześniej naprawdę obawiała się, że sufit spadnie jej na głowę.

Ludzie zebrani na parkingu ustawili się wzdłuż regularnych linii, jak opiłki żelaza wysypane na kartkę papieru położoną na magnesie. Wszyscy stanęli twarzą ku północy z lekkim odchyleniem ku zachodowi. Vanessa obróciła się w tym kierunku również, zanim w pełni uświadomiła sobie, co robi.

Lubiła podziwiać horyzont na zachód od Denver, gdzie masywy Gór Skalistych z dumą wznosiły się ku niebu daleko, daleko, jak tylko wzrokiem mogła sięgnąć – o ile nadmierne zanieczyszczenie powietrza nie odbierało jej oczom tego widoku. Ten dzień był przejrzysty i pogodny; rankiem zrobiło się nawet całkiem rześko. Mogła podziwiać górzystą panoramę bez najmniejszych przeszkód.

Wysoko, wysoko nad górskimi pasmami dostrzegła to, co wszyscy inni już widzieli: gigantyczny słup dymu z każdą chwilą rosnący, wzbierający w sobie.

– To nie może być Yellowstone. To niemożliwe – powiedział płaczącym głosem jakiś mężczyzna łudząc się, że ktoś zaprzeczy jego słowom. – To przecież o wiele za daleko... prawda? Chciałem powiedzieć, że odrobina popiołu nad lotniskiem to jedna rzecz. Ale to... – Głos ponownie mu się załamał.

Vanessa pragnęła uwierzyć, że Yellowstone leżało o wiele za daleko. Lecz nie potrafiła. Przy dobrej pogodzie Góry Skaliste można podziwiać hen aż po stan Kansas. Ta chmura, co oczywiste, przewyższała nieporównanie górskie masywy. Z tego, co wiedziała, jej ojciec zdołał „dostrzec” ten obłok nawet z odległego San Atanasio.

– Robi się coraz większa – powiedziała jakaś kobieta. – Zmierz w naszym kierunku.

Mnóstwo gówna z dwóch wcześniejszych i niewielkich erupcji – chociaż do tej chwili wcale nie uchodziły za małe – także przemieszczało się w ich kierunku. Z tej właśnie przyczyny odloty i przyloty na miejscowym lotnisku już od długiego czasu podlegały zasadzie „albo się uda albo nie”. Rzecz jasna, ta gigantyczna chmura nie zmierzała w całości w kierunku Denver. Co to, to nie. Pyłu jest tyle, że starczy go dla wszystkich i jeszcze

zostanie. Ale co się stanie, kiedy na Denver opadnie to, co się miastu należy? Nic dobrego. Vanessa pojęła to w lot.

– Idźcie do domu, ludzie. – Był to Malcolm Talbott, który kierował firmą Amalgamated Humanoids. – Dzisiaj nie ma tu już nic więcej do roboty. Idźcie do domu – powtórzył, tym razem głośniej. – Jutro zobaczymy, jak się sprawy mają. Jeśli nie będzie dramatycznie źle, podejmiemy pracę. Jeżeli natomiast... – Wzruszył ramionami. – Nie my jedni wpadniemy w tarapaty. Nie traćmy wiary, że zdołamy jakoś się z tego wykaraskać.

Kolejne wstrząsy podkreśliły jego słowa wężykiem.

Vanessie nie trzeba było powtarzać tego dwa razy. Ruszyła jak strzała wprost do swego auta, grzebiąc jednocześnie w torebce w poszukiwaniu kluczyków. Zdążyła otworzyć drzwi, kiedy fala uderzeniowa z ogłuszającym impetem dotarła do Denver i wpadła między ulice miasta. Odległość do Yellowstone wynosiła ponad 400 mil – co wcześniej sprawdzili. Musiało zatem upłynąć niecałe czterdzieści minut, mniej więcej, żeby dźwięk stamtąd dotarł tutaj. Zastanowiło ją, jak głośny byłby to huk, gdyby znalazła się w odległości zaledwie, dajmy na to, pięćdziesięciu mil. Nie rozważała tej kwestii zbyt długo. Urwałoby jej głowę, po prostu.

Wskoczyła do samochodu i zatrzęsnęła drzwi. Pomogło to odrobinę; mniej niżby sobie tego życzyła. Podwozie auta zakołysało się. Bez względu na wszystko uruchomiła silnik, potem wciskała klawisze strojenia w radioodbiorniku, aż natrafiła na wiadomości. Chociaż raz nie trwało to długo.

– ...gigantyczna katastrofa – mówił ktoś wysokim, podenerwowanym głosem. – Kilka stanów z pewnością zostanie poważnie dotkniętych skutkami kataklizmu.

W spontanicznym odruchu Vanessa zaczęła śmiać się szyderczo, potem nagle przestała. To, co wyrzucił wulkan, miało osiąść na obszarze kilku

stanów, to pewne jak diabli. To, co wyrzucił wulkan, już opadało na obszarze kilku stanów. Jeśli ktoś używa czasownika dotyczyć w formie imiesłowu biernego, to wie, co słowo to znaczy. Być może ów z radia miał na myśli czasownik wpływać, ale przynajmniej raz miał rację w dosłownym znaczeniu.

– Wrócimy na antenę tuż po tym ważnym komunikacie – zapowiedział spiker. Informacja okazała się ważna wyłącznie dla produkującej środki na poprawienie męskości, sponsorującej tę audycję oraz dla rocznego bilansu stacji radiowej. Vanessa nacisnęła kolejny klawisz.

– ... z całą pewnością pokryje Denver zwartą powłoką – powiedziała kobieta, robiąca wrażenie wyedukowanej. – Jaką miąższość będzie miała warstwa popiołu wulkanicznego i jak poważne będą skutki jego oddziaływania, tego nie jest jeszcze w stanie przewidzieć nikt. Już teraz jest oczywiste, że będzie to trudniejsze wyzwanie niż usuwanie śniegu po intensywnych zamieciach i zadymkach. Do jakich miejsc, które jeszcze nie są pokryte popiołem, będziemy mogli to wywieźć?

Czy ten sam dylemat nie odnosił się do zwałów śniegu? Ale śnieg prędzej czy później topniał, poza tym wystarczyło usunąć go z ulic. Śnieżny kobierzec na trawnikach i w parkach wyglądał uroczo. Wulkaniczny popiół wręcz przeciwnie.

– Jak popiół wulkaniczny będzie oddziaływał na osoby ze schorzeniami dróg oddechowych? – zapytał męski głos.

– Z pewnością niekorzystnie, to jedyna rzecz, jaką możemy stwierdzić w tej chwili – odpowiedziała interlokutorka. – Będzie oddziaływał niekorzystnie na wszystkich. I będzie wywierał niekorzystny wpływ na inwentarz żywy, a przecież chów zwierząt gospodarskich odgrywa szczególnie ważną rolę w zachodniej połowie stanu.

Głównymi działami gospodarki Kolorado były zawsze rolnictwo i górnictwo, choć w zmiennej proporcji. Do tego dochodziła turystyka jako trzeci segment, ale teraz wszystko zostało postawione na głowie. Któż z wyjątkiem geologów zechciałby przyjechać na zwiedzanie miasta spowitego warstwą – na jaką głębokość? – wulkanicznego popiołu? Chyba tylko pensjonariusze wariatkowa, którym udało się zbiec.

– Część tego pyłu – być może całkiem spora – dostanie się do górnych części atmosfery i zostanie rozniesiona przez wiatry po całym świecie – dodała kobieta. – Zmiany klimatu w skali globalnej mogą mieć poważny charakter.

Nie wróżyło to nic dobrego. Gigantyczna, sięgająca nieboskłonu, czarna chmura na kierunku północnym z lekkim odchyleniem ku zachodowi nie zwiastowała niczego dobrego. Trzęsienie ziemi, które przetoczyło się przez Denver, trudno było też uznać za dobry omen. Na dobrą sprawę Vanessa nie potrafiła dostrzec żadnych pozytywów – po minąwszy fakt, iż na dzisiaj miała już fajrant.

ROZDZIAŁ X

Colin natknął się na Gabe'a Sancheza tam, gdzie zazwyczaj: przy dzbanku z kawą.

– No dobra, wentyl w końcu puścił i wystrzeliło – powiedział Gabe, kiedy Colin sypał kolejną porcję kawy instant, regenerującej jego szare komórki.

– Gdzie puścił wentyl i co wystrzeliło? – zapytał Colin, chrzcząc kawę dodatkiem śmietanki i cukru.

Stanął obok, żeby Gabe również mógł sięgnąć po dzbanek.

– Ten super-jak-go-tam-zwał w Yellowstone wystrzelił z całą mocą – odpowiedział Sanchez. – Przed sekundą widziałem to w serwisie informacyjnym w Sieci... Hej, dokąd idziesz, gościu?

– Sprawdzić osobiście, co się dzieje – odparł ponuro. – Kelly wciąż tam jest albo przebywała tam jeszcze wczoraj wieczorem.

– Ech, do diabła. To niedobrze – skomentował Gabe.

– Mnie to mówisz?!

– Mam nadzieję, że wszystko skończy się dobrze. – Sanchez się przeżegnał. Colin, wychowywany na zatwardziałego baptystę, już dawno utracił gdzieś wiarę.

W najczęstszych razach wcale mu jej nie brakowało. W najczęstszych razach, tak naprawdę, po prostu zapominał, iż kiedyś wierzył. Trudno mu jednak przychodziło ponownie uwierzyć w Boga, w szczególności w Boga miłosiernego, skoro został gliniarzem. Colin zastanawiał się często, jak faceci pokroju Gabe'a potrafili wytrwać w wierze. Raz na jakiś czas zazdrościł im duchowej pociechy, jaką mogła dawać im ich wiara. Właśnie teraz nadszedł taki czas.

Zaczął od sprawdzenia telefonu komórkowego. Odetchnął z ulgą, kiedy przeczytał wiadomość tekstową od Kelly: Jestem w helikopterze. Odlatujemy stąd.

– Dzięki ci, Jezu – wymamrotał.

Słowa te ocierały się niemal o modlitwę, jak gdyby praktykował modły Bóg jeden wie od jak dawna.

Jedną z rzeczy, którą komenda policji mogła poszczycić się, był szybki Internet.

Kiedy Colin wszedł na witrynę CNN.com, miał na ekranie zdjęcia filmowe przekazywane na żywo przez satelitę meteorologicznego. Wszystko zasnuwały kłęby dymu, spod których przebijały języki ognia. Na pasku u dołu widniał napis: KATASTROFA W YELLOWSTONE! Kiedy zauważył granice sąsiadujących ze sobą stanów, naniesione komputerowo na zdjęcia filmowe, pojął, że wyraz ten w żadnej mierze nie oddawał skali zdarzenia, ale język angielski nie został wyposażony w słowa przeznaczone do opisu czegoś tak kolosalnego. Zresztą żaden język nie został. Od czasów, gdy ludzie pierwotni użyli onomatopei Ook!, żaden język nie znalazł się w potrzebie poradzenia sobie z czymś w takiej skali.

Zdjęciom filmowym towarzyszył komentarz. Do wielkiej erupcji doszło zaledwie przed czterdziestoma minutami. Pokręcił głową w podziw. Dzisiejszy świat stał się integralnie połączony jak nigdy wcześniej, bez dwóch zdań.

Wtedy uprzytomnił sobie, że trzymał w ręku kubek z kawą, kiedy podbiegał do swego biurka. Sięgnął po filiżankę... i odkrył, że świat jest integralnie połączony nie tylko za pośrednictwem superszybkich magistrali informatycznych. Łagodne kołysanie pod jego obrotowym fotelem mogło oznaczać tylko i wyłącznie trzęsienie ziemi. Ponieważ kołysało i kołysało przez dłuższy czas, wniosek wydawał się oczywisty: musiało to być

trzęsienie ziemi o gigantycznej sile. Gliniarze i policyjne asystentki zaczęły krzyczeć w popłochu – nie on jeden wyczuwał kołysanie pod nogami. Jednak ruchy podłoża pozostawały łagodne, zatem epicentrum musiało być bardzo odległe.

– A niech to lichy! – ulżył sobie. – To musi być superwulkan.

Z górą sto lat temu ówcześni mieszkańcy Los Angeles też odczuli trzęsienie ziemi, które dotknęło San Francisco. Ale Yellowstone leżało wielokrotnie dalej niż San Francisco. Czy argument ten nie przemawiał za tym, że siła wstrząsów wywołanych erupcją superwulkanu znacznie przekraczała moc sejsmicznych drgań, – które zrównały z ziemią miasto nad zatoką? Ile zniszczeń przyniesie ten kataklizm?

Zachodził w głowę, jakie skutki kataklizm spowodował w Denver. Środkowe obszary stanu Kolorado wydały mu się nagle usytuowane o wiele za blisko północno zachodniej części stanu Wyoming. Wybrał numer do Vanessy. Zgłosiła się jej poczta głosowa, co równie dobrze mogło znaczyć wszystko albo nic.

– Nic ci się na stało? Oddzwoń do mnie i daj mi znać. Na razie – powiedział do aparatu po usłyszeniu sygnału akustycznego. Zrobił wszystko, co w jego mocy, by nawiązać z nią kontakt.

Po krótkiej chwili szperania w komputerze wiedział już, jak daleko jest z San Atanasio do Yellowstone. Dowiedział się też, z jaką prędkością rozprzestrzeniają się fale sejsmiczne wzbudzone w trakcie trzęsienia ziemi, chociaż w Wikipedii użyto słowa „propagacja” w odniesieniu do rozchodzenia się fal (usiłował wyobrazić sobie proces rozrodu fal sejsmicznych, ale tu jego umysł stanął okoniem). Pierwsze wstrząsy powinny być wyczuwalne w San Atanasio po około czterdziestu minutach od eksplozji i trzęsienia ziemi w Yellowstone, wychodząc z założenia, że

drgania te będą w ogóle wyczuwalne. Tak, wychodząc z założenia, pomyślał.

Zadzwoił jego telefon komórkowy. Rozmowy przychodzące na numer stacjonarny z aparatem na biurku odbierał zawsze, przedstawiając się przy użyciu jakiegoś wariantu z nazwiskiem Ferguson.

– Halo? – powiedział tym razem.

– Cześć, tato. – Dzwoniła Vanessa. – Właśnie dojechałam do domu. Czy wy tam odczuwacie wstrząsy?

– Pewnie, że tak. Jak tam jest u ciebie? Powiedziałaś, że dopiero przed chwilą dojechałaś do domu?

– Tak. Budynek, w którym pracuję, wytrzymał, ale prąd wysiadł. Tu, w mieszkaniu, też nie ma światła. Nie wiem, kiedy wznowią dostawę prądu. – Zawahała się, ale tylko przez chwilę.

– Nie wiem, czy kiedykolwiek wznowią. A niebo... O mój Boże, niebo! Sunie na nas wielka chmura. Możesz sobie wyobrazić. Pickles siedzi pod łóżkiem i nie zamierza stamtąd wyjść. Jest spietryny do zesrania... właśnie sprzątnęłam kocią kupę z chodnika.

– Wyobrażam sobie. Czy nie powinnaś dać stamtąd drapaką, dopóki w ogóle jeszcze można się wydostać? – zapytał Colin.

– Nie wiem. Rozważam taki wariant. Przekażesz mamie i braciom, że jestem cała i zdrowa? Nie chcę wyczerpywać baterii bardziej niż to konieczne – nie wiem, kiedy będę mogła ponownie naładować komórkę.

– Dobrze – zgodził się Colin, chociaż perspektywę rozmowy telefonicznej z Louise uznał za równie kuszącą, co resekcję zęba.

– Uważaj na siebie.

– Ty też. Na razie.

Zamierzał jeszcze dodać Powodzenia, ale córka się rozłączyła. Westchnąwszy ciężko, wybrał numer komórki Louise. Może dopisze mu

szczęście. Może zgłosi się jej poczta głosowa i nie będzie musiał rozmawiać z nią osobiście. Jednak nie.

– Halo? – Do jego ucha dotarł ten dobrze znany głos, niegdyś ukochany, a teraz...

nie.

– Cześć, to ja. – Jego własny głos pozostał oschły i beznamiętny. – Właśnie rozmawiałem z Vanessą. Jest cała i zdrowa, ale odniosłem wrażenie, że trzęsienie ziemi uderzyło w Denver dużo mocniej, niż uczyniło to tutaj.

– To samo trzęsienie ziemi? – zapytała Louise z niedowierzaniem, nie mając najwyraźniej zielonego pojęcia, co się święci.

Colin zdał jej relację nad wyraz prostymi słowami.

– W Denver wysiadła energia, a ku miastu nadciąga chmura popiołu – dokończył. Wiedział ponadto od Kelly, że popiół może osiadać również na Los Angeles. Jednak Louise nie musiała się tym martwić akurat teraz.

– Dobry Boże! – uderzyła w lament. – Najlepiej będzie, jak sama zadzwonię do biednej dziecinki.

– Nie dzwoń – zaproponował ostro Colin. – Ona stara się nie zużywać baterii w komórce, dopóki nie wznowią dostaw energii elektrycznej, o ile wznowią. Poprosiła mnie, żebym do ciebie zadzwonił. Jest rozsądna.

Przynajmniej raz w swoim życiu. Ale tego już nie dopowiedział. Co dobrego by to dało. Co dobrego dałoby cokolwiek innego?

– Rozmawiała z tobą, zamiast ze mną, Panie Zadufany w Sobie? Jak to się stało? zażądała wyjaśnień Louise.

– Ponieważ pojąłem w lot, co się święci i zadzwoniłem do niej – odpowiedział Colin. – To więcej niż... Znów mówił jeszcze, chociaż po drugiej stronie łącza nikt go już nie słuchał.

Wyłączył komórkę. Istniało prawdopodobieństwo, że Louise zadzwoni jednak do Vanessy, choćby po to, żeby postawić na swoim. Istniało również prawdopodobieństwo, że będzie miała jęzorem bez końca do ucha dziecinki. Cóż, Vanessa może jej kazać zamknąć jadaczkę. A przynajmniej mogłaby spróbować.

Przewinął na ekranie treść zapisaną pod hasłem „rana w skorupie ziemskiej” w odniesieniu do Yellowstone. Dowiedział się, że słup popiołów może osiągnąć pułap ponad 30 000 metrów. Dwadzieścia mil, pomyślał. Żaden z masywów Gór Skalistych nie mierzył więcej niż trzy mile wysokości.

Z Los Angeles nie dało się podziwiać panoramy Gór Skalistych. Dopuszczenie takiej możliwości choćby tylko w wyobraźni wydawało się w absurdałne. Ale dostrzeżenie czegoś siedmiokrotnie wyższego? Tego nie wiedział. Wątpił też, czy resztki matmy, jakie pozostały mu w głowie, okażą się wystarczające, by rozstrzygnąć tę kwestię. Nauczyciele matematyki z dawno minionych lat szkoły średniej mogliby się wkurzyć, że nie potrafi tego wyliczyć, ale w życiu po prostu tak bywa, czyli innymi słowy c'est la vie. Poza tym nauczyciele arytmetyki i geometrii z ogólniaka to zgraja nudziarzy.

Rob bawił gdzieś na drugim krańcu kraju, robiąc wraz z zespołem trasę koncertową. Jeśli komuś nie miała stać się żadna krzywda, to z pewnością jemu. Marshall siedział w Santa Barbara, szykując się do nowego semestru i zgłębiania kolejnego nowego przedmiotu kierunkowego. Erupcja z pewnością nie zdemoluje Santa Barbary. Zdaniem Colina coś takiego graniczyło raczej z niemożliwością. Jedyną rzeczą, jaka utrzymywała go w przekonaniu, że Santa Barbara nie przeistoczyła się w niebo na ziemi, pozostawały tamtejsze ceny nieruchomości. W niebie nie mogła przecież szaleć taka drożyzna.

Jak donoszono w serwisie informacyjnym CNN, prezydent nawoływał wszystkich do zachowania spokoju w obecnej kryzysowej sytuacji. Jakim cudem można zachować spokój, skoro trzęsienie ziemi zniszczyło cały dorobek życia albo gdy ludziom spadają na głowy z nieba skalne odłamy bądź sypie się popiół? Colin z przyzwyczajenia pogardzał demokratami w Białym Domu, a republikanie, jak zwykle zresztą, rozczarowali go. Ale czy przypadkiem to nie doradcy tego kłowna informowali go, co może oznaczać erupcja superwulkanu?

Chyba jednak oni. Jak mówiła Kelly, skala niektórych katastrof jest zbyt gigantyczna, by istniała realna możliwość sporządzenia planów kryzysowych. Pozostawała zatem wyłącznie nadzieja, że do nich nie dojdzie. Jeśli jednak do nich dochodziło, cóż można było zrobić, jak tylko dać nura na ziemię, nakryć głowę rękoma i przeturlać się, zbierając po drodze razy i uczynić wszystko, co możliwe, żeby wyjść cało z opresji, o ile okazałoby się, że wyjście cało z opresji jest w ogóle możliwe.

Połowa kraju z okładem musiała odczuwać te razy, być może nawet więcej. Sama erupcja stanowiła zaledwie początek tego, co superwulkan szykował dla cywilizacji. W tej sytuacji nawoływanie ludzi do zachowania spokoju nie musiało wcale być takie złe. Na pewno nie zaszkodzi, a być może przyczyni się do odrobiny dobrego.

Na zewnątrz coś dudniło i dudniło bez końca. Podczas II wojny światowej Niemcy na froncie wschodnim zapewne wsłuchiwali się w odgłosy podobne do tych, kiedy Rosjanie prowadzili zmasowany artyleryjski ostrzał przed wysłaniem czołgów do pancernej szarży. Colin znał z doświadczenia artylerię marynarki wojennej, ale salwy nigdy nie trwały tak długo. Organizując ogień artyleryjski, ustawiało się w jednej linii działa wszystkich kalibrów, następnie oddawało się równocześnie salwę ze

wszystkich armat. Zapasy amunicji wystarczały na prowadzenie ostrzału bez końca.

Ale tu i teraz rozlegały się odgłosy superwulkanu, który eksplodował w odległości jakichś ośmiuset mil stąd. Dźwięk ten dochodził już od ponad godziny i wciąż pozostawał dostatecznie głośny, by niemal zatrząść budynkiem, jak z reguły miewa to miejsce w przypadku trzęsienia ziemi. Za jakąś godzinę albo półtorej prezydent usłyszy ten sam odgłos w Gabinetcie Ovalnym.

A jakieś trzy do czterech godzin później być może usłyszą to nawet w Europie. Eksplozję Krakatau słyszano z odległości kilku tysięcy mil, a to monstrum tutaj sprawiło, że Krakatau wygląda jak Piekło, kot Vanessy, postawiony obok tygrysa szablatozęb nego.

– Gabe! – zawołał Colin, przekrzykując niekończący się hałas.

– Czego chcesz? – odpowiedział pytaniem sierżant Sanchez.

– Choć no tu na chwilę – odparł Colin. Gabe wstał od swojego biurka i niespiesznym krokiem przeszedł na drugą stronę. – Będzie lepiej – kontynuował Colin – jeśli zabezpieczymy dostawy paliwa dla komendy policji, to znaczy, bez zbędnej zwłoki. To coś zakłóci transport w takim stopniu, że nawet nie uwierzyłbyś.

– Ale dlaczego mnie mówisz o tym? Czemu nie powiesz tego komendantowi albo samemu burmistrzowi? Czy posiadasz w budżecie pieniądze na zrobienie tego rodzaju zakupu? Czy Ratusz może zdobyć paliwo dla nas, jeśli my tego nie zrobimy? – Gabe sporządził litanie rozsądnych pytań.

Albo raczej sformułował litanie pytań, które stały się nieco bardziej rozsądne niż godzinę wcześniej. Komendant i burmistrz zapewne także sporządzili podobną litanie. Co do tego Colin nie miał nawet cienia wątpliwości. Różnica polegała na tym, że on mógł – żywił nadzieję, że

może – sprawić, by Gabe dostrzegł w tym sens. Jego przełożeni natomiast nawet nie zechcą go wysłuchać... jak zwykle, zresztą.

– To koniecznie trzeba zrobić nieoficjalnie – orzekł Colin. – W San Atanasio nie ma rafinerii, ale kilka znajduje się po drugiej stronie, w El Segundo i dalej na południe w Lomita. Porozmawiaj z ich szefami. Powiedz im, że szykują się nam kłopoty. I dodaj, że dochodził już od ponad godziny i wciąż pozostawał dostatecznie głośny, by niemal zatrząść budynkiem, jak z reguły miewa to miejsce w przypadku trzęsienia ziemi. Za jakąś godzinę albo półtorej prezydent usłyszy ten sam odgłos w Gabinetcie Owalnym.

A jakieś trzy do czterech godzin później być może usłyszą to nawet w Europie. Eksplozję Krakatau słyszano z odległości kilku tysięcy mil, a to monstrum tutaj sprawiło, że Krakatau wygląda jak Pickles, kot Vanessy, postawiony obok tygrysa szablatozębnego.

– Gabe! – zawołał Colin, przekrzykując niekończący się hałas.

– Czego chcesz? – odpowiedział pytaniem sierżant Sanchez.

– Choć no tu na chwilę – odparł Colin. Gabe wstał od swojego biurka i niespiesz nym krokiem przeszedł na drugą stronę. – Będzie lepiej – kontynuował Colin – jeśli zabezpieczymy dostawy paliwa dla komendy policji, to znaczy, bez zbędnej zwłoki. To coś zakłóci transport w takim stopniu, że nawet nie uwierzyłbyś.

– Ale dlaczego mnie mówisz o tym? Czemu nie powiesz tego komendantowi albo samemu burmistrzowi? Czy posiadasz w budżecie pieniądze na zrobienie tego rodzaju zakupu? Czy Ratusz może zdobyć paliwo dla nas, jeśli my tego nie zrobimy? – Gabe sporządził litanie rozsądnych pytań.

Albo raczej sformułował litanie pytań, które stały się nieco bardziej rozsądne niż godzinę wcześniej. Komendant i burmistrz zapewne także sporządzili podobną litanie. Co do tego Colin nie miał nawet cienia

wątpliwości. Różnica polegała na tym, że on mógł – żywił nadzieję, że może – sprawić, by Gabe dostrzegł w tym sens. Jego przełożeni natomiast nawet nie zechcą go wysłuchać... jak zwykle, zresztą.

– To koniecznie trzeba zrobić nieoficjalnie – orzekł Colin. – W San Atanasio nie ma rafinerii, ale kilka znajduje się po drugiej stronie, w El Segundo i dalej na południe w Lomita. Porozmawiaj z ich szefami. Powiedz im, że szykują się nam kłopoty. I dodaj, że w całym stanie będą kłopoty. Zrób to teraz. Pojedź tam, zanim zjawią się u nich miejscowe gliny. Pokaż im, że mamy łeb na karku. Sprawdź, co możesz zrobić, żeby podali nam pomocną dłoń.

– Kapuję – odparł Gabe. – Chcesz tak zrobić, żeby pomyśleli, iż wiemy więcej o tym, co się szykuje, niż miejscowe gliny od nich.

– Aha – skinął głową Colin.

Dzięki Kelly wiedział więcej od miejscowej konkurencji o tym, co prawie na pewno się wydarzy. Problem polegał na tym, że im więcej się wiedziało, tym sprawy wyglądały gorzej. Dyrektorowi rafinerii można powiedzieć, że Kalifornia wpadnie przejściowo w tarapaty. Gościowi takiemu, jak ten można powiedzieć, że świat przed sekundą dostał cios poniżej pasa. Jeśli on sam jeszcze o tym nie wie – a istnieje prawdopodobieństwo, że nie wie – to zapewne nie uwierzy ci.

– Okej. Zrobię to – zadeklarował Sanchez. – Lepiej wziąć się za załatwianie spraw, kiedy wszyscy ci goście nie zdołali jeszcze dojść do siebie po szoku wywołanym trzęsieniem ziemi, głośnym jebudu i całym tym gównem.

– Dobry plan – pochwalił Colin.

Dyrektorzy rafinerii będą wstrząśnięci – w sensie dosłownym i przenośnym. Będą też bardziej skłonni posłuchać rad zwalistego, imponującego posturą sierżanta Sancheza. Colin gotów był iść o zakład i

postawić ostatnią kwartalną premię na to, że sprawy pójdą jednak ku gorszemu, zamiast ku lepszemu. Ale nikt przecież nie każe odkrywać przed cywilami zbyt dużo i zbyt wcześnie. Nie zawsze potrafią sobie radzić ze złymi wiadomościami.

Zdawał sobie sprawę, rzecz jasna, że jest cynicznym gliniarzem, gotowym do penetrowania mrocznych stron ludzkiej natury, dzięki wyszkoleniu oraz temperamentowi. Także i to powinien uwzględnić w rachubie. Kelly wcale nie musiała znać sekretów superwulkanu tak dobrze, jak się jej wydawało. W końcu żaden geolog nie miał okazji przebadać go „na żywym ciele”.

Być może okaże się, że jednak nie będzie to kataklizm, mimo katastroficznych komentarzy na witrynie CNN.com. Może będzie to jedynie klęska żywiołowa. Colin uśmiechnął się do samego siebie. Tylko cyniczny gliniarz mógł wdawać się w tego rodzaju rozmyślania i odnajdować w nich rzeczywistą pociechę.

Bryce Miller dostał miejsce przy oknie na lot rejsowy z lotniska O’Hare w Chicago z powrotem do portu lotniczego LAX, Los Angeles. Nie cierpiał lotniska LAX. Nie znał nikogo, kto żywiłby odmienne uczucia. Port lotniczy O’Hare obsługiwał nawet więcej pasażerów. Mimo to dało się jednak odnieść wrażenie, że działał sprawniej.

Albo być może zadziałała tu po prostu jego imaginacja. Konferencja zorganizowana przez Uniwersytet Chicagowski na temat świata hellenistycznego udała się nawet lepiej, niż odważył się mieć nadzieję. Nie wygłosił tam odczytu, ale poddał krytycznej analizie jeden z referatów. Uważał, że jego uwagi trafiały w meritum. Profesorowie, którzy go wysłuchali, również wydawali się być tego samego zdania.

Niewykluczone, że coś z tego wyjdzie. Nie ma wprawdzie żadnych gwarancji – nikt nigdy nie dawał żadnych gwarancji – ale coś mogło z tego

się urodzić. Gdyby w końcu obronił doktorat... Ale dlaczego właściwie miał myśleć minimalistycznie? Przecież uczelnie zatrudniały ludzi, którzy zrobili wszystko oprócz obrony dysertacji. Istniała nawet specjalna nazwa dla tej kategorii ludzi: WOD (wszystko oprócz dysertacji). Opłacano ich gorzej, jednak po jałmużnie na etacie asystenta dydaktyczno-naukowego każda prawdziwa pensja wydawała się wręcz bajecznie wysoka.

Facet na środkowym fotelu wiercił się. Nie usiłował wcale celowo drażnić innych, ale był tutaj, tuż obok niego. A kobieta na miejscu przed Bryce'em opuściła oparcie do maksimum, na ile się dało. Nie zamierzała wprawdzie zmiążyć mu kolan, lecz nie znaczyło to wcale, iż tego nie czyniła.

Rozpakował kanapkę z plastrami wołowiny na kromkach żytniego chleba oraz ciastka z wielkimi kawałkami czekolady, które kupił na lotnisku. Te dranie wcale nie zamierzały nakarmić pasażerów. Ale i tak uważał się za wybrańca losu, gdyż stewardesa rozdzielała puszki z colą. Tego rodzaju ekstrawagancka rozrzutność z pewnością wpłynie negatywnie na końcowy wynik bilansu rocznego przewoźnika.

Ktoś gdzieś w samolocie zajadał się czymś o wiele bardziej cuchnącym niż lotniskowe pastrami. Chcąc nie chcąc Bryce przywołał w myślach współczesną bajkę o Cuchnącym Serowym Ludziku. Można by pomyśleć, że ktokolwiek pałaszował te frykasy, ten powinien jednak okazać więcej szacunku dla wszystkich pozostałych nieszczęśników uwięzionych w latającym cygarze. Ale nie.

Należało porzucić wszelką nadzieję, gdyż nawet ta odrobina względu i uwagi okazała się nazbyt wielką. Związek uczuciowy z córką gliniarza i zażyła z nim znajomość sprawiły, że Bryce spoglądał na bliźnich wzrokiem przepelnionym żółcią. Kosz, jaki dała mu Vanessa, również w najmniejszej choćby mierze nie wpłynął na poprawę tego nastawienia.

Ugryzł kęs własnej kanapki w odruchu samoobrony. Kiedy przeżuwał, spojrzął przez okno w dół, z wysokości ponad jedenastu kilometrów od ziemi. W krajobrazie dominowały równiny, o barwach zielonej i złotej, udekorowane geometrycznymi wzorami. Środkowy Zachód widziany z lotu ptaka.

Pastrami nie zasługiwało na miano wybornego. Nie sposób jednak kupić pysznego pastrami w lotniskowej budce z kanapkami. Ale z drugiej strony nie było to również dziadowskie Pastrami – sam tylko tłuszcz i ziarenka pieprzu. A ciastkom, z ręką na sercu, należały się słowa pochwały. Wyszedł z tego lunch lepszy niż ten, jaki swego razu zaserwowały mu linie American Airlines – ale zarazem droższy.

Bryce z impetem zatrzasnął składany stolik z powrotem na miejsce. Niech ta suka, która opuściła oparcie fotela na maksa, odpokutuje za swoje. Raz jeszcze spojrzął na pola daleko w dole, potem oparł się o wręgę kadłuba i spróbował zasnąć.

Ledwie co przysnął, kiedy...

– Tu mówi kapitan.

Bryce otworzył oczy szeroko ze zdziwienia. Zdziwił się nawet, że nie pociekły mu łzy. Program ochrony klienta realizowany przez linię lotniczą nabierał pełnego rozmachu. Takie i inne myśli chodziły mu po głowie do momentu, kiedy zobaczył jedną ze stewardes. Błądą i zszokowaną, jak ta znajoma dziewczyna, która oblała egzaminy ustne przed obroną doktoratu.

– Tu kapitan – powtórzył głos z lekko południowym akcentem. – Przed chwilą dostaliśmy informację o... sytuacji kryzysowej przed nami. Jesteśmy zmuszeni zawrócić i polecieć z powrotem w kierunku lotniska O'Hare. Bardzo mi przykro z powodu związanych z tym niedogodności, ale jest to nieuniknione. Nie wiem jeszcze, czy wylądujemy w Chicago, czy gdzieś po

drodze stąd tam. Kiedy tylko się tego dowiem, możecie być państwo pewni, że bezzwłocznie was o tym poinformuję.

Głośniki zatrzeszczały i ucichły dokładnie w tym samym momencie, w którym w kabinie podniósł się rejwach i harmider. Sytuacja kryzysowa przed nami? Cóż do jasnej cholery mogło to oznaczać? Jakie przyczyny kazały im zawrócić i skierować się z powrotem do Chicago? Powtórka z 11 września? To pierwsza myśl, jaka przemknęła Bryce'owi przez głowę.

Kiedy samolot rozpoczął manewr nawrotu, facet na siedzeniu obok odpalił swojego iPhone'a. Przepisy zabraniały korzystania z telefonów komórkowych podczas lotu, ale Bryce mógł iść o zakład i postawić wszystkie pieniądze, że jego sąsiad nie jest jedynym osobnikiem, który w tej chwili łamał ten zakaz. Ludzie chcieli wiedzieć, co się, do kurwy nędzy, dzieło. Skoro pilot im tego nie powiedział, postanowili sprawdzić to na własną rękę.

Nie mając jeszcze wyrobionej opinii na ten temat, Bryce raz jeszcze wyjrzał przez okno. Jego wzrok zaczął przemierzać bezkresną dal, potem zatrzymał się nagle, jakby przy użyciu fizycznej siły. O mały włos oczy nie wyskoczyły mu z orbit.

Zdarzało mu się już latać pomiędzy bijącymi obok piorunami, w burzowych chmurach, których pułap sięgał wyżej niż wysokość rejsowa samolotu. Niezbyt często – najczęściej maszyna przelatywała dużo wyżej niż powąła chmur – ale jednak. Przy okazji lotom tym towarzyszyły cholerne turbulencje.

Ale tamte chmury sięgały niewiele wyżej niż pułap samolotu, którym leciał. Natomiast czarny słup dymu tam w oddali przed nimi... Gdyby nie widział tego na własne oczy, uznałby za pewnik, że to niemożliwe. A nawet mając ten obraz na żywo przed oczyma, sądził, że chyba ulega fatamorganie. Nie wiedząc, jak daleko znajdował się czarny słup, nie mógł

stwierdzić, jak wysoko sięga. Mógł natomiast orzec, że słup sięgał kurewsko wyżej niż to, co kiedykolwiek sobie wyobrażał, nie wspomniawszy nawet o tym, co widział.

Facet obok niego gapił się na swój iPhone z równą zaciętością, co Bryce wybałuszał gały przez okno.

– Superwulkan – gość mruknął do siebie. – Czym, do kurwy, jest superwulkan?

Nie istniała najmniejsza choćby możliwość, żeby ktoś spuścił kostki lodu po plecach Bryce'a. Ale takie właśnie miał w tej chwili odczucie. Wiedział, czym jest superwulkan. Nie wiedziałby zresztą, gdyby nie nowa przyjaciółka Colina, ale dzięki niej wiedział. Colin podchodził do słów Kelly poważnie, jeszcze zanim w Yellowstone zaczęło się gotować. Bryce nie był pewien, na ile serio powinien ją traktować; nie wtedy, kiedy usłyszał od Colina rzeczy, jakie opowiadała. Teraz już wiedział, na Boga!

Inni pasażerowie w rzędzie przy oknie po jego stronie również widzieli kolosalną – i chyba również rosnącą – chmurę. W całej kabinie zaczęto powtarzać słowo superwulkan. Nie wszyscy zdawali się mieć pojęcie, – co to wszystko znaczy, ale oczywiście nikt nie żywił wątpliwości, że to niedobra wiadomość.

– Czy to oznacza, że nie dolecimy na miejsce i nie zjemy dzisiaj wieczorem kolacji z wujem Louie? – odezwała się jakaś kobieta.

Niektórych ludzi natura nie obdarzyła nadmiarem szarych komórek.

– Tu mówi ponownie kapitan. Jeśli mógłbym prosić państwa o uwagę... – Człowiek w kokpicie musiał wiedzieć, że wśród pasażerów zawrzało. – Jeśli mógłbym prosić państwa o uwagę... – Odczekał chwilę, aż w kabinie pasażerskiej zapanuje spokój, zanim znów zabrał głos. – Niektórzy z państwa po prawej stronie dostrzegają zapewne wielką chmurę popiołu i pyłu, która sięga do wyższych warstw atmosfery.

Co oczywiste, wszyscy ci, którzy jeszcze nie widzieli, obrócili głowy we wskazanym kierunku, usiłując dojrzeć cokolwiek. Bryce podziwiał stoicką powściągliwość pilota. Zwykły śmiertelnik nie byłby w stanie zapanować nad sobą z takim mistrzostwem.

– Dlatego właśnie zawracamy – kontynuował pilot. – Nie jesteśmy w stanie polecieć ponad chmurą, nie odważymy się przelecieć przez nią – pył obchodzi się brutalnie z łopatkami turbin – i nie wygląda na to, żebyśmy zdołali oblecieć ją dookoła. Poza tym erupcja wywołała pewne turbulencje. Zamierzam też poprosić wszystkich tych z państwa, którzy włączyli swoje smartfony, żebyście je, na miłość boską, wyłączyli. Awaria pokładowej elektroniki byłaby ostatnią rzeczą, jakiej potrzebujemy w tej chwili. Dziękuję wam bardzo.

Bryce nie wahałby się nacisnąć guzik przywołujący stewardesę, gdyby gość na środkowym fotelu nie wyłączył swojego iPhone'a. Być może za bardzo przejął się zagrożeniem. Ale skoro sam kapitan burzył się przeciwko temu, doszedł do przekonania, że on również miał do tego prawo.

Kilka rzędów przed nim ktoś nie chciał wyłączyć aparatu marki BlackBerry. Na dobrą sprawę sprzeciwiał się temu głośno i mało parlamentarnie. Stewardesa z pomocą dwóch pasażerów odebrała mu telefon. Co poskutkowało kolejną wiązką bluzgów.

– Dostanie pan swój telefon z powrotem, kiedy wylądujemy, sir – oznajmiła słodkim głosem stewardesa. – A potem – dodała nie mniej słodko – jak mam nadzieję, wsadzi go sobie pan w tę durnowatą dupę.

Ordynarny pasażer wręcz zaniemówił ze zdumienia. Nikt przecież nie spodziewa się, że ktoś z branży usługowej wrzaśnie na klienta, sięgając po ten sam oręż. Bryce rów nież się tego nie spodziewał. Gdy to usłyszał, zaczął zachodzić w głowę, w jak bardzo poważnych tarapatkach znalazł się samolot, którym lecieli.

Do tej chwili martwił się raczej tym, co, do diaska, ze sobą pocznie, kiedy dotrą z powrotem do Chicago. Nie miał gdzie się zatrzymać, zabrał ze sobą tylko parę rzeczy na zmianę w bagażu podręcznym i nie dysponował większą kasą niż każdy inny student studiów doktoranckich. Teraz jednak zachodził w głowę, czy zdołają bezpiecznie tam dolecieć. Jeżeli stewardesa doszła do przekonania, że może przywołać pasażera do porządku nie przebierając w słowach, to musiała zastanawiać się nad tym samym co on.

Erupcja wywołała pewne turbulencje. Chłodne sformułowanie kapitana powróciło do głowy Bryce'a. Załóżmy, że zrzuciłoby się stan Rhode Island do patelni dostatecznie wielkiej, by się w niej zmieścił – użył zwrotu, którym lubił posługiwać się Colin, ponieważ, o czym Bryce wiedział od dawna, nie cierpiał stanu Rhode Island. Jak kolosalna fala uderzeniowa rozprzestrzeniałaby się przez atmosferę, gdyby coś takiego zrobić? I jak szybko by się rozchodziła? Oraz jak potraktowałaby każdy stary samolot napotkany na swej drodze?

Fascynujące pytania, czyż nie? Z pewnością, zwłaszcza to ostatnie. Ponieważ Bryce w chwili obecnej siedział w jednym z takich starych samolotów, pytanie to nabrało dodatkowej pikanterii.

Nie mógł zrobić absolutnie nic, żeby temu zapobiec. Nigdy wcześniej nie czuł się tak bezsilny w ten szczególny sposób.

– Wyjeżdżałem dwa razy na misje do Afganistanu – odezwał się, ni z tego, ni z owego, gość siedzący obok, który musiał najwidoczniej przeprowadzić ten sam rodzaj analitycznych przemyśleń. – Kiedy zaczynał się ostrzał z moździerzy, człowiek miał nadzieję, że dopisze mu szczęście. Po odejściu z wojska nie przypuszczałem, że jeszcze kiedyś przyjdzie mi zamartwiać się tego rodzaju gównem, wiesz?

– Aha – Bryce zdołał jedynie przytaknąć.

Miał ochotę dać upust własnym emocjom, ale nie chciał tego robić w obecności całej zgrai obcych. Jak wiele aktów rzekomego bohaterstwa sprowadzało się w rzeczywistości wyłącznie do strachu przed kompromitacją i wstydem?

Nie był już w stanie dostrzec chmury; manewr nawrotu sprawił, że teraz znalazła się z tyłu za nimi. Ale potrafił sobie wyobrazić falę uderzeniową przedzierającą się przez powietrze, która dogoni ich lada chwila. W kabinie pasażerów rozległ się gong. Zapalił się napis nakazujący zapięcie pasów bezpieczeństwa.

– Kapitan wydał polecenie, żeby wszyscy wrócili na swoje miejsca i tam pozostali – szefowa personelu pokładowego zakomunikowała przez głośniki. – Chodzi o względy bezpieczeństwa wszystkich państwa na pokładzie i w razie potrzeby zostanie zastosowany przymus fizyczny.

Słowa te zabrzmiały bardziej stanowczo niż komunikaty zazwyczaj przekazywane przez personel pokładowy. Bryce pomyślał o coli, którą wypił razem z kanapką. Prędzej czy później napój znowu o sobie przypomni. Co wtedy zrobi, jeśli nie będzie wolno wstać z miejsca? Nasika do torebki na wymiociny? Być może. Poza tym faceci i tak mieli łatwiej niż baby.

Odgłos silników kolejny raz się zmienił. Pracowały teraz z większym wysiłkiem. Jeśli oznaczało to, że samolot leciał szybciej, Bryce całym sercem optował za. Intercom ponownie obudził się do życia.

– Tu mówi kapitan, drodzy państwo. Otrzymaliśmy pozwolenie na lądowanie w Lincoln, w stanie Nebraska. Będziemy podchodzić do lądowania od północnego zachodu i postaram się posadzić państwa na ziemi tak szybko, jak tylko zdołam. Proszę o pozostanie na swoich miejscach i zapięcie pasów bezpieczeństwa. Być może nie wszystkim przypadnie to do gustu, ale dopilnuję, żeby tak się stało.

Kolejna informacja, która nie brzmiała zbyt optymistycznie. Bryce wyjrzał ponownie przez okno. Schodzili w dół na łeb na szyję. Dzisiaj nie będzie leniwego i łagodnego podejścia do lądowania. Kiedy pilot mówił, że pragnie jak najszybciej znaleźć się na ziemi, z pewnością nie żartował. Bryce patrzył, jak farmy, stawy i drogi stawały się coraz to większe. Oczyma duszy widział czerwoną strzałkę na wysokościomierzu, jak przesuwa się od prawej do lewej. W dzisiejszych czasach wysokościomierze zapewne tak nie wyglądają – teraz wszystko musiało być cyfrowe. Zatem spojrzenie oczyma duszy brakowało dostatecznej precyzji. I co z tego?

Lincoln. Mieścił się tutaj Uniwersytet Stanowy Nebraski. Co wiedział o tej uczelni? Mieli dobrą drużynę futbolu amerykańskiego oraz niezłe wydawnictwo uczelniane. Kto u nich zajmował się historią starożytną? Jak oceniano ich wydział filologii klasycznej? W Chicago rozmawiał z paroma ludźmi od nich. Teraz mógłby zwalić im się na chwilę na głowę – po tej stronie licząc od Youngstwon, w stanie Ohio, byli mu bliscy jak rodzina.

Na dobrą sprawę nie zamierzał myśleć o spadaniu teraz ani o spadaniu na coś lub o spadaniu na cokolwiek. Jeżeli przeprowadza się krytyczną analizę, zawsze trzeba pamiętać o rozróżnieniu między językiem dosłownym a językiem metafory. Bryce zdawał sobie z tego w pełni sprawę. Wciąż nie chciał myśleć o tym, że może spaść właśnie teraz.

Zeszli już na całkiem niedużą wysokość. Gdyby coś poszło nie tak, to czy mogli podjąć próbę wylądowania na jednej z tych lokalnych dróg? Ciągnęły się długimi i prostymi odcinkami, a zdecydowana większość z nich wyglądała tak, jakby przejeżdżało nimi jedno auto na tydzień. Trudno uznać je za – idealne pasy startowe, ale zawsze lepsze to niż nic.

– Prosimy o podniesienie rozkładanych stolików i ustawienie oparcí foteli w pozycji pionowej – zakomunikowała szefowa personelu pokładowego. –

Być może jest odrobinę za wcześnie na ten komunikat albo... – przerwała o jedno słowo za późno.

Ile osób to zauważyło? Weteran z Afganistanu siedzący obok Bryce'a mruknął do siebie pod nosem obsceniczne słowo, zatem i on sobie pofolgował. Niektórzy pasażerowie sprawiali wrażenie, jakby wciąż nie mieli najblidszego choćby pojęcia o tym, jak źle sprawy się miały. Jakaś kobieta w średnim wieku – zdaniem Bryce'a był to ten babsztyl, który nie mógł odżałować kolacji z wujem Louie – protestowała oburzona, odmawiając stewardesie prawa do zabronienia jej wstania z miejsca i udania się do toalety.

– Nie mam czasu użerać się z panią – warknęła stewardesa bliska granic wytrzymałości. – Jeśli jednak ośmieli się pani choćby tknąć kłamrę od pasa bezpieczeństwa, zdieję panią w łeb tym stalowym dzbankiem od kawy. Słyszysz mnie pani? Lepiej, żeby tak było, gdyż mówię to poważnie.

– Dopilnuję, żeby wywalili panią z roboty za to! – pasażerka odgrażała się ostrym i nieprzyjemnym głosem.

– Mogę pani powiedzieć, gdzie to mam – odparła stewardesa i pospieszyła w stronę własnego fotela.

– Tu kapitan po raz kolejny. – Z głośników dobiegł głos z teksańskim akcentem. – Sugerowałbym, żebyście objęli rękoma oparcia waszych foteli. Od tyłu idą ku nam turbulencje, a wstrząsy mogą okazać się całkiem silne. Kiedy uderzenie wiatru minie nas, rozejrzemy się i zobaczymy, gdzie się wtedy będziemy znajdować. Trzymajcie się, ludzie.

Zobaczymy, gdzie się wtedy będziemy znajdować, mogło oznaczać tylko, zobaczymy, czy wciąż jeszcze lecimy. Weteran kolejny raz rzucił kurwą pod nosem, tym razem z większą szczerością. Kobieta o latynoskich rysach odmawiała różaniec. Bryce Miller, świecki, zażerający się bekonem Żyd, zachodził w głowę, czy ona odnajduje w tym jakąś pociechę, na którą

on nie może liczyć. W jego przypadku za późno na rozpoczęcie modlitwy teraz. Wiedział więcej o zapomnianych religiach starożytnej Grecji niż o tej, z którą przyszedł na świat.

Wtedy coś wymierzyło latającej maszynie solidnego kopniaka od tyłu.

– Kurwa! – tym razem ulżył sobie Bryce, bardzo głośno.

Nie dosłyszał nawet własnego przekleństwa w chóralnym harmiderze i zgiełku krzyków, przekleństw i modlitw pozostałych pasażerów. Spodziewał się, że lada moment skrzydła odpadną albo że poszycie zostanie zdarte z kadłuba. Maski tlenowe wyskoczyły z paneli, których nigdy wcześniej nie widział otwartych. Otworzyła się również blisko połowa schowków na bagaż podręczny, umieszczonych nad głowami. Zostały jednak tak ciasno upakowane, że zdumiewająco mało bagaży wyleciało i pospadało ludziom na głowy. Po raz pierwszy zauważył pożytek, jaki płynął z pobierania opłat za bagaż zasadniczy.

Ktoś w kabinie pasażerskiej zwymiotował, ale nie trafił do torby na wymiociny. Ktoś inny – być może więcej niż jeden – zesrał się w gacie. Bryce nie narobił w portki, chociaż sam nie miał pojęcia, dlaczego tak się stało. W sytuacji skrajnego zagrożenia istoty ludzkie przemieniały się w zwierzęta usytuowane dużo poniżej progu cywilizacji i inteligencji.

Po pierwszym solidnym kopniaku nie było już tak źle. Samolotem zatrzęsło, ale z mniejszą siłą. Uważaj na ten pierwszy krok, pomyślał oszołomiony Bryce. Jest naprawdę wielki. W rzeczywistości, kiedy krzyki ustały, zrobiło się cicho; nigdy nie sądził, że na pokładzie lecącego samolotu może być tak cicho.

I wtedy pojął, skąd ta cisza. Wszystkie silniki przestały pracować.

Oznaczało to, ni mniej, ni więcej, iż przestał to już być samolot pasażerski. Teraz był to najdroższy na świecie szybowiec. Najdroższy, choć wcale nie najlepszy. Miał zbyt dużą masę, by mógł być najlepszy. Ktoś

kiedyś powiedział, że prom kosmiczny potrafi szybować jak aerodynamiczny klocek. Samolot pasażerski powinien radzić sobie z tym nawet lepiej. O ile lepiej? Tego Bryce nie wiedział, ale niebawem miał się o tym przekonać na własnej skórze. W sposób bezwzględny.

– Tu mówi kapitan. – Ten człowiek wciąż emanował spokojem, niemal na granicy absurdu. Być może to rezultat podejścia, a być może wyszkolenia. – Niektórzy z państwa zapewne zauważyli, że schodzimy w dół bez pracujących silników. Strumień powietrza wywołany turbulencją zdławił nasze silniki. Nie udało nam się ponownie ich uruchomić. Z przykrością muszę państwa powiadomić, że nie zdołamy dolecieć do Lincoln.

Przerwał. Być może mimo wszystko był człowiekiem.

– Oznacza to, że będę musiał znaleźć jakieś miejsce, gdzie da się posadzić ten samolot. Najlepszym miejscem, jakie mamy, jest położony na wprost przed nami zbiornik wodny o nazwie jezioro Gałąź Dębu [Branch Oak Lake]. Zamierzam powtórzyć wyczyn kapitana „Sully” – który lądował awaryjnie na rzece Hudson. Podobnie jak on, ćwicyłem to po wielokroć na symulatorze. Teraz szykuję się do wykonania tego manewru w rzeczywistości, podobnie jak on to uczynił.

Kolejna pauza.

– Wszystko, co mogę zrobić, to wykonać najlepsze podejście do lądowania, na jakie mnie stać. Jeśli wszyscy zachowacie spokój, na co was stać, z pewnością będzie to pomocne. Połączyłem się przez radio z Lincoln. Przyślą nam pomoc tak szybko, jak tylko zdołają, podobnie jak ludzie zamieszkali wokół jeziora. Będziemy wodować za około półtorej minuty. Pasażerowie w rzędach przy wyjściach będą mieli robotę do wykonania.

Proszę stosować się do poleceń personelu pokładowego. Powodzenia dla wszystkich i niech was Bóg błogosławi.

Poduszki z siedzeń mogą być wykorzystane do pływania na wodzie, taki napis widniał z tyłu oparcia fotela usytuowanego przed Bryce'em. Przynajmniej nie napisali spływania, jak czyniły to niektóre linie lotnicze. Z jakiegoś idiotycznego powodu pomyśl, by wpaść do wody z jakimś błędnie opisanym sprzętem ratunkowym, wydał się Bryce'owi cokolwiek cudaczny.

Siedział w czwartym rzędzie za drzwiami wyjściowymi. Mam szansę, pomyślał – jeśli samolot nie rozbije się w drobny mak uderzając o taflę wody, jeśli nie utonie jak bryła betonu, jeśli, jeśli, jeśli...

– Jeszcze jedna sprawa – powiedział kapitan przez pokładowe głośniki. – Jeżeli ktokolwiek zechce wyciągnąć cokolwiek ze schowków na bagaż nad głowami, walnijcie cymbała w łeb i zadepczcie go. To nie jest właściwa pora, żeby troszczyć się o rzeczy osobiste. Macie na głowie dostatecznie dużo innych zmartwień, rozumiano?

Obaj, Bryce i weteran obok niego, skinęli głowami. Raz jeszcze wyjrzał przez okno. Zobaczył przed sobą jezioro czy sztuczny zbiornik, czy cokolwiek, do diabła, to było. W kabinie panowała teraz niemal zupełna cisza. Ludzie mieli już za sobą atak paniki, a przy odrobinie szczęścia może jakoś uda im się wyjść cało z opresji. Samolot przemknął obok jakiegoś ptaka prawie tak samo, jak mógł to zrobić samochód na trasie 405. Jeszcze jedno spojrzenie... Lecieli już nad taflą wody, z każdą sekundą coraz bliżej.

– No to zaczynamy – powiedział kapitan. – Chwyćcie ponownie za oparcia.

Brzuch samolotu uderzył o gładką powierzchnię wód jeziora Branch Oak. Maszyna odbiła się niczym kamień i niemal natychmiast uderzyła ponownie o taflę. Rozbryzgi sprawiły, że okno obok Bryce'a stało się bezużyteczne. To jednak wcale go nie obeszło. Przynajmniej nie został natychmiast przerobiony na miazgę i truskawkowy dżem.

– Otworzyć drzwi wyjściowe! – wydała głośną komendę szefowa personelu pokładowego. – Pasażerowie pamiętajcie, żeby zabrać ze sobą pływaki ratunkowe! Udzielajcie pomocy każdemu, kto jest ranny! – Chwila zastanowienia, przywołująca na myśl przerwę w zajęciach w szkole podstawowej. – Wychodźcie na przemian!

I wszyscy słuchali się jej jak trusie. Beład i chaos doprowadziłyby do kompletnego zatarasowania wyjść ewakuacyjnych. Pasażerowie jednak przesuwali się w ich kierunku w pośpiechu, ale z zachowaniem porządku. Bryce zatrzymał się przy przejściu, żeby puścić przed sobą starszą kobietę.

– Dziękuję – powiedziała.

– Proszę bardzo – odpowiedział Bryce.

Przypuszczał, że podobne gesty uprzejmości miały miejsce również na pokładzie „Titanica”. Lodowata woda wlewająca się przez drzwi wyjściowe czyniła to porównanie nad wyraz trafnym. Ale na razie woda nie sięgała mu nawet do kostek. Brnął przez nią bez najmniejszego oporu.

Kiedy dotarł do otwartych drzwi, stewardesa i jeden z roślących mężczyzn, siedzących w rzędzie przy wyjściu, stali na skrzydle i pomagali innym wychodzić na zewnątrz.

– Nic się panu nie stało? – zapytała stewardesa.

– Kurde, żyję – wyrwało się Bryce’owi. Uśmiechnęła się.

– Proszę bardzo. Teraz niech pan zejdzie ze skrzydła i zsunie się do wody. Niech pan odpłynie od samolotu najdalej, jak pan zdoła.

Przełożył ręce przez troki poduszki z fotela, która teraz służyła za kapok i zanurzył się w jeziorze. Po chwili, kiedy się przyzwyczał, nie odczuwał zbyt zimna. Czasami kąpał się w basenach, gdzie bywało gorzej. Ciekawe, co by odczuwał, gdyby był teraz luty? Ale to już inna kwestia, a luty, Bogu dzięki, dawno minął.

Wymachiwanie pod wodą nogami w adidasach okazało dość osobliwe. Ściągnął je. Samolot zostawał coraz bardziej z tyłu, w miarę jak oddalał się od niego. Miał nadzieję, że kapitan też wyjdzie cało z opresji. Przecież, do jasnej cholery, ten facet powtórzył manewr kapitana „Sully” z rzeki Hudson. Gdyby pasażerowie mieli coś do powiedzenia na ten temat, to gość powinien kąpać się w szampanie lub robić cokolwiek innego, co mu się tylko zamarzy, do końca swoich dni.

– Niezły ubaw, co? – Weteran z Afganistanu wynurzył się z wody o jakiś metr od niego.

– Bywałem na imprezach, które bardziej mnie rajcowały – odparł Bryce, a facet obok roześmiał się.

Tu na dole niebo wydawało się odległe o miliony mil, chociaż Bryce jeszcze przed paroma minutami leciał na jego skraju.

Potworna czarna chmura unosząca się nad horyzontem od zachodu była z pewnością tym samym słupem pyłu i popiołu, który widział wcześniej.

W ciągu paru chwil buczące odgłosy, początkowo słyszane z oddali jak bzyczenie komara, przemieniły się w bliski warkot łodzi motorowych z silnikami Harleya. Każdy, kto miał łajbę na brzegu jeziora Branch Oak, chyba musiał zepchnąć ją na wodę. Karmieni kukurydzą mieszkańcy Nebraski przystąpili gremialnie do wyciąganie rozbitków z wody. Bryce pomachał ręką, żeby mieć pewność, iż zostanie przez nich dostrzeżony. Kiedy w jednej z łodzi facet w bejsbolówce na głowie odmachnął i pokazał kciuk uniesiony do góry, doktorant filologii hellenistycznej wiedział już, że ratunek jest tylko kwestią czasu.

Mieszkańcy Nebraski wyłowili najpierw afgańskiego weterana, potem pyrkając, podpłynęli powoli do Bryce’a. Silne, opalone ramiona pomogły mu wydobyć się z wody i dostać się na dno łodzi, na którym leżał jak

świeżo złowiony bass pręgowany, z tą różnicą, że brakowało mu energii, by przeskakiwać z miejsca na miejsce.

– Nic ci się nie stało, człowieku? – zapytał ten, który go wyratował. – Wszystko w jednym kawałku?

– Tak mi się... wydaje – odparł Bryce po przeprowadzeniu wstępnych oględzin. – Dziękuję bardzo.

– No właśnie! – dodał weteran z Afganistanu. – Dzięki bardzo! Amen!

Sprawiał wrażenie, jakby Bryce przypomniał mu o czymś ważnym, o czym powinien sam pamiętać, ale zbyt pobudził się emocjonalnie. I chyba tak było w rzeczywistości.

– Zamierzam sprawdzić, ilu jeszcze ludzi możemy zabrać na pokład – powiedział miejscowy i znów popłynął łodzią motorową.

Bryce miał to dokładnie gdzieś. Na razie zdołał przeżyć.

ROZDZIAŁ XI

Członkowie grupy Tryskająca Żaba i Ewoluuujące Kijanki jechali autostradą międzystanową 195, zmierzając na północ w kierunku Portland w stanie Maine, kiedy pogłos eksplozji superwulkanu przetoczył się z rykiem nad ich furgonetkami. Wcale to ich nie zaskoczyło; stacja NPR już od jakiegoś czasu monitorowała rozprzestrzenianie się kolosalnej fali dźwiękowej.

– To najgłośniejszy hałas, jaki ta biedna stara planeta słyszała od dziesiątków tysięcy lat – skomentował któryś z jej terenowych korespondentów.

– Tak, z wyjątkiem Kongresu – zadrwił Rob Ferguson. Justin Nachman prychnął z pełną wyrzutu miną.

– Zrzedzisz i smędzisz, zrzedzisz i smędzisz. Przed pięcioma minutami psioczyłeś na konieczność uiszczenia opłaty drogowej, zanim wpuścili nas na ten odcinek międzystanówki.

– No tak, to przecież jest do dupy – obstawał przy swoim Rob.

– Ale z tych opłat zbierają na utrzymanie i remonty dróg – tłumaczył Justin, jakby rozmawiał z potencjalnie niebezpiecznym świrem.

W tym właśnie momencie ich van podskoczył na wyboju.

– No i wykonują świetną robotę również – kpił sobie Rob, który siedział za kierownicą. – U siebie w domu jakoś sobie radzimy bez tych gównianych opłat drogowych.

Gitarzysta prowadzący przewrócił oczami.

– Daj mi święty spokój, gościu. Od ilu lat z rządu budżet Kalifornii jest rozpiędzony?

Rob nie wiedział, ile to następujących kolejno po sobie lat. Wiedział jednak, iż nie potrafi przypomnieć sobie takiego roku, kiedy budżet

stanowy nie byłby obszarem klęski. Ale mógł sięgnąć pamięcią do czasów, kiedy już trochę podrosł: chyba jakieś dwadzieścia pięć lat licząc od teraz, choć przecież nie zwracał sobie głowy budżetem, gdy był małym chłopcem. Z jego punktu widzenia dwadzieścia pięć lat to naprawdę szmat czasu. Chociaż nigdy nie zdobył się na odwagę, by powiedzieć coś w tym stylu ojcu. Żywił bowiem graniczące z pewnością i przy tym trafne podejrzenie, że stary roześmiałyby mu się po prostu w twarz.

Ponieważ zabrakło mu dobrej riposty na argument Justina, skupił uwagę na pokonywaniu kolejnych mil. Charlie i Biff jechali drugim vanem, tuż za pierwszym wozem. W trasie zostali tylko oni. Kapela Węże i Drabiny rozwiązała się w Nowym Jorku, oni zaś nie wynajęli żadnej grupy, która występowałyby jako suport.

Rob rozważał w myślach, co koledzy z zespołu sądzą o superwulkanie. Wiedzieli już o nim: wszyscy o tym rozmawiali, kiedy zatrzymali się na obiad w przydrożnej restauracji sieci fast foodów Hardee's. Za każdym razem, kiedy przyjeżdżał na wschód, Rob nie mógł wyjść z podziwu, widząc gwiazdkę na przybytku o nazwie Hardee's. W zachodniej części kraju sieć, która serwowała takie same hamburgery, działa pod szyldem Carl's Jr. Well, Best Foods. Tutaj również podawano je z majonezem Heilman's. Osobliwe, przyznać trzeba. Zadumał się przez chwilę, czy nie krył się w tym temat na piosenkę.

– Do zniszczeń dochodzi na coraz większych obszarach stanów Wyoming, Idaho i Montana – kontynuował ponurym głosem reporter stacji NPR. – Jak dotąd wciąż nie dysponujemy choćby najostrożniejszymi szacunkami, co do liczby ofiar śmiertelnych oraz wielkości strat materialnych. Nie ma też żadnego sposobu na zatrzymanie rozprzestrzeniającej się nieustannie chmury wulkanicznych popiołów.

Pewien astronom wyliczył, że erupcję superwulkanu dałoby się dostrzec z powierzchni Marsa.

– A niech to! – odezwał się Justin. – Już możesz sobie wyobrazić inwazję Marsjan. Koszmarna sprawa, gościu! Ziemia skończy marnie, ale z wielką pompą.

Rob potrafił sobie to wyobrazić.

– Zapisz to – powiedział. – Powinniśmy dać radę coś z tego zrobić.

Bez dwóch zdań to lepszy pomysł na piosenkę, niż ociekające cholesterolem hamburgery o pomieszanych nazwach, prowadzące do arteriosklerozy.

Muzycy zespołu zawsze z powagą podchodzili do postulatu Trzeba to zapisać. Tematy, jakie miały ponoć pozostawać w głowie, zbyt często z niej ulatywały. Justin wyciągnął notes i zapisał. Szanse, że coś się z tych zapisków urodzi, nie wynosiły nawet je den do jednego, ale przynajmniej pomysł nie odejdzie w niepamięć.

Noclegi zarezerwowali w motelu położonym niedaleko lotniska. Rob spędził w trasie dostatecznie dużo czasu, żeby nabrać wprawy i rutyny w tułaczkiej egzystencji, co jednak wcale nie znaczyło, że jakoś szczególnie go to rajcowało. Bywały takie dni, kiedy budził się nieprzyzwoicie wręcz trzeźwy, nie sponiewierany żadną gorzałą ani prochami, a mimo to nie miał najbledszego choćby pojęcia, gdzie, do diabła, go zaniósł. Niekiedy uczucie to nie znikało tak od ręki. Pokoje z rzadka tylko podsuwały jakąś wskazówkę. W sieciach telewizji kablowej niemal wszędzie nadawały te same stacje. Jeśli ktoś wsunął pod drzwi lub zostawił na zewnątrz za progiem jakąś gazetę, z dużym prawdopodobieństwem padało na „USA Today”. Typy z kierownictwa hoteli wychodziły z założenia, że dziennik o zasięgu ogólnokrajowym jest lepszy niż miejscowy brukowiec. W najczęstszych przypadkach mieli rację i to właśnie budziło smutek. Z reguły

do chwili, kiedy schodził na śniadanie, problem z lokalizacją znajdował już rozwiązanie – z reguły, chociaż nie zawsze.

Rob lubił grać na gitarze. Lubiał występować na scenie. Cieszył się również statusem celebryty na niedużą skalę, jaki zapewniało granie w zespole, który osiągnął połowę drogi do sukcesu. Życie w trasie... Nie miał pewności, – czy ciągle podróżowanie też sprawia mu frajdę.

Znał facetów starszych od jego ojca, którzy jednego dnia grali koncert, potem wskakiwali do auta, a następnego wieczoru dawali występ w innym klubie oddalonym o dobrych pięćset mil. Niektórzy z nich cieszyli się sławą dawno temu, ale wciąż pozostawali w branży. Innym z kolei udało się porobić kariery, choć zaczynali od ławki rezerwowych. Mieli wiernych fanów – nie aż tylu, żeby dzięki nim opływać w bogactwo i dostatek, ale dostatecznie wielu, by starczyło na opłacenie rachunków. Większości z nich. Najczęściej.

W tym mniej więcej kierunku, przynajmniej takie powstawało wrażenie, zamierzała podążać grupa Tryskająca Żaba i Ewoluuujące Kijanki. Czy, kiedy stuknie mi pięćdziesiątka, też będę chciał budzić się, zachodząc w głowę, gdzie jestem? Rob stawiał sobie to pytanie i jeszcze jedno za każdym razem, kiedy gdzieś się meldował. Drugie pytanie brzmiało następująco: Czy, kiedy stuknie mi siedemdziesiątka, też będę chciał budzić się, zachodząc w głowę, gdzie jestem ?

Jak dotąd nie natrafił na nic innego, robienie czego dawałoby mu więcej speedu. Nie natknął się również na żadne miejsce, w którym zapragnąłby zapuścić korzenie. Tego wieczoru wylądował zatem w Portland, stan Maine. W tym drugim Portland także kiedyś już występował.

Justin miewał czasami po dziurki w nosie życia w drodze, podobnie zresztą jak on sam. Na ile Rob mógł stwierdzić, Riffowi i Charliemu w zasadzie zwiślało totalnie, gdzie akurat przebywali. Jak na gości grających

w rockowym zespole, który z konieczności ruszał w trasy koncertowe – w erze plików MP3 oraz witryny iTunes, ileż kapeli tego nie robiło? – takie podejście wydawało się jak najbardziej odpowiednie.

– Gdzie tutaj w okolicy możemy zjeść kolację? – zapytał Justin recepcjonistki, kiedy skończyli formalności z zameldowaniem. – Nie musi być nic wymyślnego. Po prostu, wiesz, żarełko.

Podawała im nazwę.

– Mają tam najlepsze grillowane bułki z homarem w całym Portland, jak sądzę – dodała.

– Jak możemy tam dotrzeć? – zapytał z przejęciem Rob.

Uwielbiał homary, krewetki i kraby. Skoro reszta chłopaków za nimi nie przepadała, to trudno, w menu znajdą z pewnością dania, które będą w stanie strawić.

Wskazówki nie wydawały się nadmiernie skomplikowane. Członkowie zespołu od jakiegoś czasu rozważali zakupienie GPS-a. Dobry Bóg wiedział, że obecnie systemy te zdążyły już potanieć. Ale Rob i Justin lubili nawigować. Odnalezienie jakiegoś miejsca na własną rękę sprawiało, że dotarcie do celu podróży znaczyło duże więcej niż jazda jak po nitce na bazie podpowiedzi komputera. Nawet zagubienie drogi mogło okazać się intrygujące. W każdym razie przy takiej opinii obstawał Rob. Charlie i Biff trwali w przekonaniu, że kumple z zespołu opowiadali niestworzone banialuki. Grupa muzyczna nigdy jednak nie odwołała koncertu z powodu pomylenia drogi, zatem gitarzysta rytmiczny i perkusista nie zrzędzili. A przynajmniej nie do przesady...

Bułka, rozcięta wzdłuż na pół. Odrobina majonezu, cóż z tego, że wiadomej marki. Homar – dużo homara. Grillowana bułka z homarem. Specjał nad specjały stanu Maine. Najbardziej finezyjny wynalazek od czasu, gdy człowiek wymyślił koło, przynajmniej zdaniem Roba. A Maine

to jedno z niewielu miejsc, gdzie homar nie kosztował krocie. Rob poczuł się szczęśliwy, płacąc całkiem znośną cenę za tak skomasowaną porcję nieba w gębie.

Justin zamówił dużą kokilkę zupy z owoców morza – na śmietanie, rzecz jasna, omijając szerokim łukiem wersję z pomidorami. Zupa z owoców morza z pomidorami stanowiła domenę Nowego Jorku, w żadnym zaś razie Nowej Anglii. Podział ten był równie żarliwy i emocjonalny, jak kibicowanie drużynom futbolu amerykańskiego Yankees z Nowego Jorku i Red Sox z Bostonu. Rob na dobrą sprawę gustował w obu daniach, co, zależnie od okoliczności, czyniło go osobą neutralną albo wręcz heretykiem.

Charlie wybrał mięso z kurczaka z jarzynami zapiekane w cieście. Takie danie można było zamówić wszędzie. Biff zaordynował burrito. Rob raczej powątpiewał, czy zdecydowałby się na grillowaną bułkę z homarem w Phoenix, stan Arizona. Buritto w Portland, stan Maine, wydawało mu się równie chybionym pomysłem. Ale w końcu nie chodziło tu o jego żołądek. Niekiedy bywało tak, że im mniej powiedział prosto z mostu kumplom, z którymi grał razem na scenie, tym lepiej na tym wychodził.

Kiedy wyszli z restauracji, słońce zeszło już nisko. Wyglądało to jak... zachód słońca. Jedynym odbiegającym od normy aspektem tego widoku, przynajmniej w opinii Roba, był fakt, że Atlantyk ulokował się za jego plecami, a słońce schodziło ku horyzontowi po stronie lądu. On natomiast rutynowo przywykł do scenerii, w której słońce za dnia wędrowało nad lądem i zachodziło, zanurzając się w Pacyfiku. Coś mu w tym nie pasowało – nie pasowało na tyle, że skomentował to na głos.

Pozostali trzej faceci także byli Kalifornijczykami. Przytaknęli zatem zgodnie.

– Nie pomyślałem o tym, ale masz rację – przyznał Biff.

– Czytałem gdzieś, że przez kilka lat po wybuchu Krakatau zachody ujmowały szczególną widowiskowością, ze względu na cały ten pył i popiół w atmosferze – włączył się do rozmowy Justin. – Miałem nadzieję na coś bardziej fantastycznego niż... to.

Machnął ręką w poprzek parkingu w stronę zwyczajnej czerwonej tarczy schodzącej w dół po niebie czerwieniejącym najzupełniej zwyczajnie.

– Odpuść sobie, człowieku! – zaperzył się Rob. – Przecież gruchnęło zaledwie parę godzin temu, jak dobrze wiesz.

– Tak, tak. – Justin z wdziękiem udawał zażenowanie. – Ale to coś jest również o wiele większe niż Krakatau. To coś jest o wiele większe niż, cóż, cokolwiek. Mam na myśli, że huknęło w pieprzonym Wyoming, a usłyszeliśmy to tutaj.

– Jak zwykle wszystkim, czego pragniesz, jest natychmiastowe zaspokojenie, gościu.

Rob pożałował, że nie ugryzł się w język. Cholera, prawilł morały, zupełnie jak jego ojciec. Jeśli grasz razem z zespołem, a twój stary jest gliną, to co fakty te mówią o tobie? Nic dobrego, z pewnością.

– Hej, a któż nie pragnie zaspokojenia? – zapytał Charlie. – Po zakończonym koncercie wyrwiemy jakieś panienki.

– Proszę bardzo! – Justin i Biff powiedzieli dokładnie to samo, w tym samym momencie, tym samym entuzjastycznym tonem. Rob wprawdzie tego nie zrobił, ale pomysł ten wcale nie wydał mu się odrażający. I nikt też nie powiedział, że sam nie wyrwie jakiejś laski dla siebie. Status sławy, choćby nawet nie pierwszej wielkości, musiał przecież nieść ze sobą jakieś profity, dlaczegóż więc miał z nich nie korzystać?

Nie, tu jest piekło! Jam nie poza piekłem, [cytat z dramatu Tragiczne dzieje doktora Fausta, Christopher Marlowe, przekład Jan Kasproicz, przyp. tł.]. Vanessa pamiętała ten wers z jakiejś sztuki scenicznej, ale

ucieкло jej z głowy, z której dokładnie i spod czyjego wyszła pióra. Zapisywała w pamięci rzeczy, które ją interesowały – biła również na głowę innych, gdy chodziło o szczegóły. Nie zaśmiecała sobie natomiast głowy tym, co na równi z Niniwą było i Tyrem... [cytat z wiersza *Recessional* (Pieśń na wyjście) Rudyarda Kiplinga, przekład C. Murawski, przyp. tł.]. To również linijka z tego czy innego wiersza. Z którego? Kto by się tym przejmował? Jeżeli z jakiegoś powodu musiała niekiedy coś sprawdzić, zawsze mogła wejść na wyszukiwarke Bing.com.

Gdyby tylko miała szansę, wydostałaby się z tego piekła. Denver również miało podzielić jeden i ten sam los, co antyczne Niniwa i Tyr. Jednak w najśmielszych wyobrażeniach nie przyjmowała opcji, że może się to stać tak szybko. Popiół zaczął osiadać na miasto – Jezu Chryste, popiół zaczął osiadać na cały pieprzony stan – już następnego dnia po wybuchu superwulkanu.

Tego ranka Vanessa wstała z zamiarem pójścia do pracy w Amalgamated Humanoids. W nocy nie zatrzęsło ziemią na tyle mocno, żeby wyrwało ją to ze snu. Wznowiono dostawy energii; buczenie cyfrowego budzika zbudziło ją kwadrans po szóstej, ponieważ tak go nastawiła, gdy w gniazdkach znów popłynął prąd. A zatem, wulkan czy nie wulkan, wszystko w miarę szybko powinno wrócić do normalności.

No cóż, prawie wszystko. Pickles nie mógł otrząsnąć się do końca z szoku, ale któż mógł za to obwiniać kociaka? Koty i kataklizmy zazwyczaj nie stanowią dobranej pary.

Dość szybko odkryła, że również ona i kataklizm nie tworzą idealnego mariażu. Kiedy ubrawszy się, rozsunęła najpierw rolety, wszystko było szarawobrazowe; chodnik na zewnątrz mieszkania, schody, trawa na podwórzu, powietrze, wszystko. Z ledwością zdołała dojrzeć mieszkania po

drugiej stronie podwórza – tyle tego gówna zawisło w powietrzu. Porywy wiatru unosiły i wzbijały w górę tumany pyłu, raz słabiej, raz mocniej.

– Kurwa! – skomentowała Vanessa, podsumowując zarazem precyzyjnie własne odczucia. Przed laty w Los Angeles, kiedy była dzieckiem, marzyła o tym, żeby zobaczyć śnieg padający w Denver, to prawda. Jednak to, co znajdowało się teraz za oknem, wyglądało raczej jak tandetna podróba oryginalnego produktu.

Ktoś po drugiej stronie podwórka otworzył drzwi od mieszkania i ruszył w stronę samochodu. Zdążył zrobić zaledwie jakieś trzy kroki i zaczął kaszleć, równocześnie jak oszalały trąć oczy. Wzbijał przy tym butami koszarne kłęby pyłu i popiołu. Na koniec zawrócił na jednej nodze i ruszył czym prędzej z powrotem do mieszkania.

Ile wulkanicznego popiołu wniósł ze sobą do środka? Dostatecznie dużo, by kaszleć i trzeć oczy przez następny tydzień? Vanessa nie byłaby tym zaskoczona. Uznała za fart, że udało się jej to zobaczyć. W przeciwnym razie sama ochoczo wybiegłaby na zewnątrz. Jak się nagłe okazało, nie był to wcale taki znakomity pomysł.

Po filiżance kawy i porcji płatków owsianych wróciła, chcąc nie chcąc, do sypialni, żeby obejrzeć telewizyjne wiadomości. Wcześniej wyłożyła kotu jego zwykłą poranną porcję karmy. Teraz Pickles wskoczył na łóżko obok niej i miauczając, domagał się dokładki. Świat wypadł z normalnego rytmu, ona wypadła z normalnego rytmu – dlaczegoż kot miałby stanowić w tym względzie wyjątek? Nakarmiła rudego przegowanego pupila. Jeśli jedzenie czyniło go szczęśliwym lub przynajmniej szczęśliwszym, no to wszystko gra.

Potem rozsunęła rolety w sypialni. Czarno-Biała Wróżka, a tak naprawdę Wróżka w Odcieniach Szarawo-Brązowych dotknęła również i tę stronę budynku. Pył pokrywał niezabudowaną działkę położoną obok. Dom

postawiony przy dalszym końcu jej budynku pomalowano na bardziej zjadliwy odcień różu, niż Vanessa odważyłaby się użyć w innym celu niż wyłącznie jako szminkę do ust. Teraz w żaden sposób nie dało się dostrzec różu.

Kilka samochodów perkotało na ulicy. Ich światła usiłowały przebić się przez pył, zupełnie jakby była to mgła. Przemierzając się, pozostawiały w ślad za sobą kolosalne tumany popiołu. Jedno z aut stanęło, zanim zdołało dotrzeć do skrzyżowania. Kobieta za kierownicą naciągnęła kaptur i wysiadła. Po chwili, podobnie jak facet z mieszkania naprzeciwko Vanessy, dziewczyna wsiadła z powrotem i zatrzasnęła drzwi. W jej samochodzie włączyły się światła awaryjne, ledwie tylko widoczne.

– Niezła jazda. Pełny odlot – skomentowała Vanessa.

Pickles znowu zamiauczał. Jeśli nie wyrażał tym sposobem identycznej opinii, to ona chyba w życiu nie słyszała kociego miauczenia.

Włączyła telewizor. Gadająca głowa na kanale CNN omawiała potencjalne klimatyczne następstwa erupcji. Nie takich informacji oczekiwała Vanessa. Jeżeli ktoś przebywał zupełnie gdzie indziej, gdzieś daleko stąd, mógł sobie pozwolić na głędzenie o tego rodzaju sprawach. Pragnęła wiedzieć, jak ma poradzić sobie z całym tym chaosem, pośrodku którego się znalazła.

Chwyciła pilota i skierowała wiązkę promieni podczerwonych na odbiornik TV. Serwis CNN ustąpił miejsca lokalnym wiadomościom. Były to jednak wiadomości dla kretynów, lecz inne lokalne poranne serwisy informacyjne zaadresowano już do osobników o średnim tylko stopniu upośledzenia umysłowego. Z dwojga złego wybrała to mniejsze.

Na ekranie nie pojawiła się ta sama co zawsze ekipa poranna, ale zespół, który prowadził wiadomości o godzinie dwudziestej trzeciej poprzedniego

wieczoru. Wciąż mieli na sobie te same ubrania. Wyglądali na zmęczonych. Jedna z nich pociągnęła łyk ze styropianowego kubka.

– Jeśli zachodziecie w głowę, gdzie podzieli się Jud, Mariska i meteorolog Mark, to wydano im polecenie, żeby się tu dzisiaj nie pojawiali – powiedziała prezenterka, odstawiając kubek.

– Wszyscy mieszkańcy Denver i okolic powinni zrezygnować z wyruszania w drogę dzisiaj – lub w dającej się przewidzieć przyszłości – chyba że jest to absolutnie konieczne. Stoimy w obliczu sytuacji kryzysowej w skali, z jaką nie mieliśmy do czynienia nigdy wcześniej.

Prezenterzy wiadomości z reguły popadali w przesadę, a nawet w grubą przesadę. Vanessa dochodziła stopniowo do przekonania, że tym razem jednak nie przesadzali. Wyglądając przez okno w sypialni, po raz kolejny rozważała, czy ktokolwiek mógł wpaść w przesadne tony w odniesieniu do tego, co działo się na zewnątrz.

Rada, jakiej udzieliła prezenterka wieczornych wiadomości, ujmowała prostotą. Nie wychodźcie na zewnątrz. Jeśli wyjdziecie na zewnątrz, to na miłość boską, nie oddychajcie.

Na razie to wystarczyło. Ale co będzie, kiedy skończą się zapasy żywności? Gdyby stanąć przed alternatywą: zapchać płuca paskudztwem czy przymierać głodem, co należałoby wybrać. Jeśli odrzuci się odpowiedź Nie wiem, czy srać, czy oślepnąć, jaki pozostanie wybór?

– Popiół ciągle opada – informowała blondwłosa prezenterka o znużonym wyglądzie, odsuwając do tyłu kosmyk włosów, który zrobił się niesforny mimo lakieru. Wiadomości dla kretynów, bez dwóch zdań. – Zdaniem niektórych geologów warstwa popiołu może osiągnąć miąższość blisko jednego metra na całym obszarze metropolitalnym Denver, zanim osiadanie zacznie słabnąć. Możliwe są zawalenia dachów, zwłaszcza po opadach deszczu.

– Ukh! – wydusiła z siebie Vanessa, odgłos ten, wyrażający zaniepokojenie, przejęła w schedzie po ojcu.

Nie pomyślała o tym. Ile może ważyć zalegająca na dachu warstwa popiołu wulkanicznego miąższości blisko metra? A o ile wzrośnie jej ciężar po wchłonięciu wody deszczowej do maksymalnego poziomu? Na jakie obciążenie zaprojektowano wytrzymałość dachu? Na pewno na spore, ponieważ dachy musiały utrzymać śnieg zalegający zimą. Ale czy aż na tak wielkie?

Za każdym razem, kiedy usłyszała skrzypnięcie nad głową, nieodmiennie ogarniała ją złość. Już sobie wyobrażała, że popiół zejdzie jak lawina. Odradzano stanowczo wychodzenia na dwór, gdzie zalegał popiół. Dano to do zrozumienia aż nadto. Ale co robić, kiedy popiół sam zdecyduje, że to on przyjdzie do ciebie? Wbrew pozorom to wcale niegłupie pytanie. Vanessa bardzo pragnęła, żeby ona sama albo ktoś inny sformułował niegłupią odpowiedź.

Po reklamach – najwidoczniej sytuacja kryzysowa nie stała się na tyle dramatyczna, żeby zawiesić komercyjną sprzedaż produktów – zabrał głos prezenter wiadomości, którego chłopięcy urok gdzieś bezpowrotnie uleciał.

– Nikt jak na razie nie ma pewności, czy konieczna będzie przymusowa ewakuacja Denver i okolicznych obszarów. Gubernator, który w chwili erupcji przebywał w Lamar, powołał pod broń Gwardię Narodową, by pomagała chronić życie i dobytek ludzi na obszarze stanu Kolorado.

Vanessa nie miała bladego pojęcia, jako osoba nowo przybyła do tego stanu, gdzie było położone Lamar. Z atlasu drogowego dowiedziała się, że miejscina ta leży na południowym wschodzie stanu, w krainie krów nieopodal granicy z Kansas. Gubernator mógł uważać się za farciarza. Tym sposobem znalazł się o prawie dwieście mil dalej od miejsca erupcji. Być może sprawy nie wyglądały tam tak źle, jak tutaj.

Ponieważ prezenter wiadomości sportowych z audycji wieczornej wciąż jeszcze pozostawał w studio, wpuszczono go na antenę. Zakończenie sezonu drużyny baseballowej Colorado Rockies oraz rozgrywki początkowej fazy sezonu miejscowej drużyny futbolu amerykańskiego, Denver Broncos, zawieszono do odwołania. Vanessa pogardzała w równym stopniu baseballlem i futbolem amerykańskim. Zastanawiał ją jedynie dylemat, która z dyscyplin przyczyniała się do większego marnotrawienia czasu.

– Pługi śnieżne robią, co w ich mocy – poinformował spiker o zmęczonym wyglądzie, który znowu pokazał się na ekranie – żeby utrzymać przejezdność autostrad międzystanowych prowadzących na południe i na wschód od miasta, w celu umożliwienia ewakuacji na wypadek, gdyby władze zdecydowały się ją zarządzić. Nikt nie wie, jak długo filtry powietrza w wielkich maszynach będą w stanie chronić silniki przed drobinami pyłu zawieszonego w powietrzu. Na tej samej zasadzie nikt nie wie, jak długo wulkaniczny popiół będzie opadał z nieba. – Potem dodał komentarz, którego przypuszczalnie nie przeczytał na teleprompterze. – W chwili obecnej można odnieść wrażenie, drodzy widzowie, że nikt nie ma zielonego pojęcia o niczym.

Vanessa nie cierpiała czasowników umożliwić i zarządzić niemal równie serdecznie, co wzmiankowanego wcześniej czasownika dotknąć. Emanowały głupotą i pretensjonalnością. Ludzie posługiwali się nimi, chcąc uchodzić za ważnych i znających się na rzeczy, ale z reguły wychodzili, koniec końców, na pompatycznych dupków.

Jeśli jednak 1-25 oraz 1-70 wciąż pozostawały przejezdne, przynajmniej częściowo... Czy nie powinna, do diabła, wynieść się stąd, dopóki jeszcze można było dać nogę, chociaż niekoniecznie posłużyłoby to zdrowiu. Skoro już teraz rozważano ewakuację, Denver rzeczywiście miało przechlapane.

Idąc w ślady biurokratów władze, usiłowały dodać sobie odwagi, zanim wzięły się za robienie tego, co było ich psim obowiązkiem.

Wyrzała przez okno po raz kolejny. Samochód wciąż tam tkwił, inne omijały go powoli, zostawiając za sobą kolejne tumany popiołu i pyłu. Jak długo wytrzyma jej leciwa już corolla? Czy nie wdepnęłaby w jeszcze gorsze gówna, gdyby utknęła gdzieś pośrodku niczego – co w jej rozumieniu oznaczało cały stan Kolorado, począwszy od rogatek Denver – niż pozostając uwięziona tutaj?

Niekoniecznie. Jeżeli pługi śnieżne nie będą w stanie utrzymać przejezdności autostrad, na ile dni wystarczą zapasy żywności zgromadzone w mieście? Jakim sposobem ktokolwiek zdoła dotrzeć tutaj z dostawami? Co się stanie, jeśli – nie, kiedy sieć wodociągowa przestanie działać? Albo kiedy dachy zaczną się wypaczać, a ludzie stwierdzą, że nie są dłużej w stanie oddychać również w zamkniętych pomieszczeniach?

Była córką gliniarza. Wymyślanie katastroficznych scenariuszy przychodziło jej zatem z łatwością. Bez trudu doszła również do przekonania, że prawie wszyscy ludzie będą siedzieć kurczowo w miejscu do czasu, aż będzie za późno, a potem zaczną miotać się chaotycznie jak kurczęta, które właśnie ujrzały topór. Tak właśnie działa psychologia tłumu. Widywała to już nieraz na własne oczy; nie musiała przywoływać w pamięci rozdrażnienia ojca wobec impulsywnych i bezmyślnych zachowań cywilów.

A ponieważ byłoby to impulsywne i bezmyślne zachowanie cywilów, doszła do przekonania, że w jej własnym interesie leżało uczynienie czegoś przeciwnego niż stadny odruch. Jej szare komórki wzięły się za robotę; do niedużej torby podróźnej wrzuciła trochę ciuchów, tabletki i tampony oraz kilka książek. Dołożyła butelki z wodą, batony z ziarnami zbóż i bakaliami oraz wszystko inne, co wpadło jej pod rękę – co nadawało się do zjedzenia i

nie psuło natychmiast. Wrzuciła też suchą karmę oraz puszki z kawałkami mięsa dla kotów. Jeśli zarzuci sobie torbę na ramię i weźmie kocie nosidełko w jedną rękę, drugą będzie miała swobodną, a tego właśnie potrzebowała.

Pickles od zawsze nienawidził wchodzenia do nosidełka. Czuł instynktownie, że wyjście na zewnątrz oznaczało kłopoty – wizytę u weterynarza lub inne rutynowe kocie tortury. A już w szczególności nie cierpiał tego typu sytuacji, kiedy górę brały w nim nerwy. Dotkliwie ją podrapał, zanim w końcu udało się jej wpełznąć go do środka.

– Lepiej, żebyś był tego wart, ty tępy futrzany łbie – warknęła, zanim spryskała zadrapania preparatem Bactine w sprayu. Niewielki pojemnik również trafił do torby podróżnej.

Potem zmoczyła ręcznik w kuchennym zlewie i rozłożyła go na kocim nosidełku. Namoczyła też drugi ręcznik, tym razem dla siebie.

– Jesteś pewna, że chcesz to zrobić – powiedziała na głos tonem, którego spokój ją zaskoczył.

Na dobrą sprawę wcale nie była tego taka pewna. Między młotem i kowadłem, stare jak świat porzekadło pasowało jak ulał do sytuacji. Jeżeli wyruszy stąd, może trafić z deszczu pod rynnę, ale z drugiej strony zrobi się bryndza, – jeśli tu zostanie. Skłębione tumany szarobrazowego pyłu na dworze stanowiły ostrzeżenie, że może się znaleźć w sytuacji, której nie będzie w stanie zaradzić, obojętnie co by zrobiła.

Może czeka tam na ciebie śmierć. Albo może właśnie tutaj. I w tym tkwił szkopuł. Vanessa należała do tych, którzy zawsze podejmowali działania, jeśli istniał wybór między czynem a bezczynnością. Gdyby nie leżało to w jej naturze, zapewne nie dałaby Bryce'owi kosza. I nie pojechałaby również za Hagopem do Denver.

Tak, i zobacz, jak świetnie na tym wyszłaś, szydziła w duchu z samej siebie. W Los Angeles zapewne nie zebrałyby takich cięgów od losu.

Ale Los Angeles to już przeszłość. Teraz musiała uczynić to, co jej zdaniem optymalne, tutaj, gdzie się znalazła.

– Kurwa! – raz jeszcze sobie pofolgowała i zataszczyła swój ruchomy majątek pod drzwi wyjściowe mieszkania. Pickles miauczał żałośnie. – Zamknij się – doradziła mu.

Mimo to jeszcze przez chwilę lamentował po kociemu. Ignorując go, przerzuciła torbę podróżną przez ramię, potem owinęła oczy i nos wilgotnym ręcznikiem. Nie chciał się utrzymać, więc docisnęła go gumką recepturką.

Następnie przez chwilę musiała radzić sobie po omacku. Otworzyła drzwi, chwyciła nosidełko z kotem i zamknęła je za sobą. Szła po omacku korytarzem, aż złapała żelazną poręcz, która po kilku dalszych krokach w ciemności zaprowadziła ją do schodów. Skręt w lewo, upomniała siebie. I szesnaście stopni w dół do wyjścia na podwórze. Schodź powoli, stopień za stopniem. Nie wolno ci patrzeć, co robisz.

Gdy dotarła do miejsca, gdzie, jak sądziła, był parter, obmacała podłogę stopą dookoła siebie. Beton, z całą pewnością – beton świeżo przysypany cienką warstwą pyłu. Pokryta tynkiem ściana, która poprowadzi ją do podziemnego parkingu, powinna być gdzieś po prawej stronie. Ku swej wielkiej uldze przejechała prawą dłonią po szorstkim tynku. Znowu wiedziała, gdzie jest.

Każdy, kto zobaczyłby ją teraz, prawdopodobnie uśmiełby się do rozpuku. Do diabła z tym. Każdy, kto mógłby ją teraz zobaczyć, siedział teraz w mieszkaniu, a zatem godny pożałowania sukinsyn miał na głowie własne problemy. Obmacywała ścianę po każdym kroku lub dwóch, nie chcąc zgubić drogi. Nie pragnęła też, żeby szorstki tynk stał jej skórę z

palców, zwłaszcza po kocich ekscesach, bolesny ślad, który pozostał na grzbiecie jej dłoni.

Pomacała kolejny raz – i nie wyczuła nic.

– Ha! Znalazłam! – wykrzyknęła triumfalnie.

W tym miejscu znajdowało się wejście na schody prowadzące w dół do jej samochodu. Kilka kolejnych kroków po omacku doprowadziło ją do poręczy zamocowanej na ścianie wzdłuż schodów.

Zacząła schodzić w dół. Ile stopni musi pokonać, żeby dotrzeć do podziemnej kondygnacji? Szesnaście stopni od kondygnacji z jej mieszkaniem, lecz ile stopni prowadzi stąd na dół? Nie była w stanie przypomnieć sobie. Przyjęła, że powinno ich być także szesnaście. Po chwili walnęła mocno stopą o płaską betonową posadzkę, kiedy okazało się, że stopni jest jednak mniej. Zejście po omacku o jeden stopień za dużo bywa niemal równie przykrym przeżyciem, co ominięcie tego, który jest. Na szczęście jednak nie upadła.

Gdy odeszła na parę kroków od schodów, przesunęła w dół gumową opaskę i opuściła ręcznik, odsłaniając oczy, wciąż jednak chroniąc nim nos i usta. Musiała posłużyć się wzrokiem, jeśli chciała odnaleźć swój samochód i musiała widzieć, żeby móc stąd odjechać. Tu na dole sprawy nie miały się tak źle, jak tam na górze. W powietrzu także unosił się pył, a grubsze drobiny osiadły na posadzce na tyle cienką warstwą, że odciski stóp przebijały się na wskroś, docierając do gładkiej powierzchni betonu. Powłoka tu nie osiągnęła jeszcze tak koszmarnej grubości, jak ta na podwórzu.

Wrzuciła torbę do środka auta, potem posadziła Picklesa na siedzeniu obok kierowcy. Okryła starannie ręcznikiem torbę tak, żeby nikt, kto zajrzy do środka, jej tam nie dostrzegł. Przy innej okazji schowałaby ją do

bagażnika. Ale nie dzisiaj. Im rzadziej będzie wsiadać i wysiadać, tym lepiej. I tak dziękowała opatrności, że zbiornik paliwa był prawie pełny.

Gdy tylko uruchomiła silnik, włączyła światła. Normalnie do jazdy w dzień po Denver nie potrzebowała świateł, ale co teraz znaczyło normalnie? Nada, czyli zero, nic. Wyjechała tyłem ze swojego miejsca parkingowego.

– Zegnaj Boże, wyjeżdżam do... dokądkolwiek – zadeklarowała.

Do Kansas? Do Nowego Meksyku? Do jakiegoś miejsca, gdzie nie zdarzają się rzeczy takie, jak to albo jak epizod z żabami opisany w Ulicy Nadbrzeżnej Johna Steinbecka.

Nie musiała opuszczać szyby, żeby użyć karty do otwarcia bramy. Wiązka promieni podczerwonych wykryła nadjeżdżające auto. Brama rozsunęła się automatycznie. Czy górę wzięła jej imaginacja, czy też urządzenie skrzypiało i zgrzytało głośniejsz niż zazwyczaj? Jaki wpływ wywierał ten pieprzony wulkaniczny pył na jego mechanizm? Jak długo będzie jeszcze działać? Tym ostatnim nie musiała się więcej martwić. Skoro brama otworzyła się tym razem...

Vanessa jechała powoli i ostrożnie. Przeworności nigdy za wiele. Ktoś wpakował się już w tył innego auta, jakie wcześniej rozkraczyło się na ulicy niedaleko budynku, w którym mieszkała. Ominęła stłuczkę i pojechała dalej. Kiedy włączyła radio, usłyszała jedynie zakłócenia. Wyjęła telefon komórkowy. Żadnej kreski. Zaklęła. Co jest grane, do jasnej cholery? Telewizja w jej mieszkaniu przecież działała.

Pewnie, że działała. To w końcu kablówka. Ileż jednak kwadrylionów ton gówna zanieczyszczało w tej chwili atmosferę? Jaką frakcję tego gówna stanowiły maciupieńkie okruchy żelaza? Niewątpliwie bardzo niewielką. Ale te kwadryliony wciąż przekładały się na tryliony – wystarczająco dużo, żeby zablokować sygnały stacji radiowych i sygnały telefonii komórkowej. Vanessa raz jeszcze soczyście zaklęła. Tego nie przewidziała.

Na dobrą sprawę nie przewidziała niczego. Ale ktoś przewidział? Któż mógł przewidzieć, poza garstką stukniętych geologów? Tylko że teraz wyszło na jaw, iż wcale nie są szurnięci.

Światła uliczne wciąż działały, ale nie było ich widać do chwili, kiedy się podjeżdżało w bezpośrednie ich pobliże – o ile w ogóle. Ominęła kolejne rozkraczone samochody i przejechała parę innych wypadków. Jeden wyglądał całkiem poważnie: na skrzyżowaniu ulic portowy SUV staranował bok zwykłego osobowego auta. Być może kierowca nie widział świateł do chwili, kiedy było już za późno.

Dotarła już do Mississippi Avenue. Skręciła w lewo, cały czas jadąc bardzo ostrożnie. Buckingham Square Shopping Center było oddalone zaledwie o kilka przecznic w kierunku wschodnim. Kawalek dalej mogła wjechać na drogę stanową 225, która zaprowadzi ją odnogą na południe do międzystanówki 1-25, natomiast w kierunku północnym do 1-75: cokolwiek jej skołatane serce zapragnie.

Jej skołatane serce pragnęło powrotu do Los Angeles. Trasa stanowa 225 nie poprowadzi jej tam jednak, nie bezpośrednio. Ale przynajmniej wyruszy w drogę.

Kelly Birnbaum przebywała w odległości jakichś czterystu mil z okładem od miejsca swego szczytowego osiągnięcia w dotychczasowej karierze akademickiej. Egzamin ustny w ramach przewodu doktorskiego zdała w dużej mierze dzięki opisaniu, z drobnymi detalami, co się może wydarzyć, jeśli kiedykolwiek dojdzie do erupcji superwulkanu Yellowstone. Sięgając pamięcią wstecz do tego niesamowitego poranka w sali seminaryjnej wydziału geologii, doszła do wniosku, że spisała się naprawdę wyśmienicie.

Pozostał jej tylko jeden problem do rozwiązania: nie mogła dotrzeć tam, żeby na własne oczy przekonać się, jak błyskotliwe okazały się jej tezy.

Popiół opadał na Missoulę, ale na tym koniec. Powłoka miała większą miąższość niż popiół po pożarach buszu w Kalifornii, ale w sumie była niewiele grubsza. Missoula ulokowała się w położeniu niemal idealnie pod wiatr, jeśli odnieść to do miejsca erupcji. Wiatry przyziemne oraz prądy strumieniowe znosiły wulkaniczne wyziewy w kierunku przeciwnym. Mimo to popiół osiadał także na Missoulę.

Jeżeli ktoś miał w samochodzie super hiper filtr powietrza, ten był może w stanie dotrzeć z pięćdziesiąt mil na południe. Jeżeli ten ktoś oprócz odjazdowego filtra dysponował jeszcze gąsienicami zamiast kół, mógł pokonać jakieś sto mil. Gdyby dopisało mu szczęście, zdołałby nawet dojechać do Butte.

Czy dało się dojechać dalej? Absolutnie nie. Żadnym sposobem. Warstwa popiołu stawała się zbyt gruba. Wiatr już zaczął hulać i nawiewać zasy o jeszcze większej miąższości. Międzystanówka 190 została pogrzebana głębiej nawet niż nieszczęsny błazen Yorrick z szekspirowskiego Hamleta, zanim jego czaszka posłużyła do zabawy jako piłka.

O samolotach i helikopterach należało zapomnieć na dobre, nawet bardziej niż o samochodach. Jeśli filtr powietrza w aucie zapchał się do imentu poza granice technicznej żywotności, utknąłeś człowieku na dobre, ale przynajmniej miałeś grunt pod nogami. Jeśli zamierał filtr powietrza w samolocie, umierali wszyscy na pokładzie. Droga w dół ciągnęła się długo.

Wciąż kwaterowała w mieszkaniu Daniela, do spółki z Ruth i Larrym. Daniel kupił łóżko polowe, zatem nie musiał dłużej spędzać nocy w śpiworze na podłodze. Zaoferował połówkę Larry'emu, lecz starszy mężczyzna preferował jednak kanapę. Kelly i Ruth spały razem w jednym łóżku. W mieszkanku z jedną sypialnią zrobiło się ciasno. Geolodzy działali

sobie nawzajem na nerwy. Nikt jednak nie przesadzał z narzekaniem. Wszyscy bowiem wiedzieli, że sprawy mogły przybrać gorszy obrót.

Missoula pęczniała od uciekinierów. Można było odnieść wrażenie, iż każdy, kto zdołał się ewakuować z terenów położonych dalej na wschód, zatrzymywał się właśnie tutaj. Za żadne pieniądze nie można było wynająć mieszkania czy pokoju w hotelu. Ludzie, którzy nie znali się wcale do czasu, gdy dotarli tu, mieszkali razem pod jednym dachem w takiej komitywie i zażyłości, jak ekipa geologów. Wiele osób spało w samochodach albo w namiotach – a biwakowanie w Missouli w porze, kiedy jesień przejmowała schedę po lecie i ostrzegała przed nieodległą zimą, z pewnością nie stanowiło domeny ludzi małego ducha.

Kelly dałaby wiele, żeby się stąd wyrwać. Małe własne mieszkanie w Berkeley w jej pamięci nabrało nagle aury rajy na ziemi. Niestety port lotniczy Missoula International nie obsługiwał w praktyce żadnych przylotów ani odlotów. Formalnie ogłoszono stan bliski zakazania lotów – ale de facto zakaz taki obowiązywał ze względu na zbyt duże zapylenie atmosfery. Nie mogła również pozwolić sobie na wynajem samochodu choćby tylko na przejazd w jedną stronę jakimś zdezelowanym gratem. Ceny sięgnęły niebotycznego pułapu, ponieważ tak wielu ludzi naraz chciało się stąd wydostać. Nawet pociągi przestały docierać do miasta. Ugrzęzła tu na dobre.

Wykorzystywała do maksimum własną komórkę i komputer Daniela. Sobie, Ruth i Larry'emu pozakładała nowe konta użytkownika. Na zmiany zasiadali przy pececie, starając się nie okupować Skype'a bez końca. Jednak najwięcej radości w tych trudnych dniach sprawiały jej chwile, kiedy mogła wyjść z mieszkania i porozmawiać przez telefon w miejscu, gdzie nikt jej nie słyszał.

Gdyby mogła wybierać, z pewnością wisiłaby na telefonie, bez końca rozmawiając z Colinem. On jednak wciąż pracował, ponadto miał własne zmartwienia i troski. Jeśli ktoś z konieczności przebywał całkiem niedaleko miejsca, gdzie doszło do erupcji superwulkanu, Los Angeles wcale nie uchodziło za kawałek ziemi najgorszy z najgorszych. Wciąż toczyło się tam życie nie za wiele odbiegające od normalności... chociaż tak zwane normalne życie gliniarza niekoniecznie musiało służyć za kanwę listów pisanych do domu.

Mimo to i tak biło na głowę jej smętną egzystencję w prowincjonalnym mieście w stanie Montana.

– W sklepach nie ma nic świeżego – narzekała Kelly. – Żadnych owoców, żadnych gotowych surówek, żadnych warzyw... no może parę ziemniaków.

Colin, oddalony o setki mil, zachichotał na drugim końcu bezprzewodowego łącza.

– Pamiętaj, że jesteś tuż pod granicą z Idaho. To przecież ziemniaczany raj.

– Tak myślę – odparła Kelly. – Ale tam też nie mają świeżego mięsa ani ryb, w ogóle. Prawie wszystko, co dostajemy, to produkty w puszkach, artykuły, które można dłużej przechowywać.

– I to ma sens, przecież wiesz – argumentował Colin.

– Ale to wcale nie znaczy, że muszę się tym zachwycać – odpowiedziała.

– Nie. Tutaj ceny idą w górę. Chodzą słuchy, że chcą zrobić porządek ze spekulantami – zmienił temat Colin. – A jak te sprawy mają się u was?

– Mniej więcej tak samo – ceny poszły gwałtownie w górę – potwierdziła Kelly. Ludzie psioczą tak, że nie dałbyś wiary.

– Kto twierdzi, że nie dałbym?

– Okej, być może dałbyś. Nie zrzedziliby tak bardzo, gdyby dostawali to, czego chcą. Nawet świeżego chleba nie starcza dla wszystkich. Makaron, ryż i mąka zajmują mniej miejsca i nie psują się szybko, dlatego nam je przysyłają.

– Co robisz z mąki, skoro nie bardzo macie z czym ją piec? – zapytał Colin. Ludzie w Missouli zaczęli już stawiać to samo pytanie, tyle że głośniej. Kelly miała gotową odpowiedź, chociaż taką, której nie zamierzała prezentować miejscowym.

– Macę, a cóż by innego?

– Słucham? – Mieszkając w wielokulturowym Los Angeles, Colin wiedział, czym jest maca. I dał to jej jednoznacznie do zrozumienia. – Zyskujesz tym sposobem sympatię przechrztów czy też niechęć zgrai fanatycznych antysemitów?

Zdołał ją zaskoczyć – na tyle, że roześmiała się głośno. Roześmiała się tak głośno, w rzeczy samej, że jakiś nieogolony facet w sportowej bluzie i znoszonych dżinsach spojrział na nią ze zdziwioną miną. Mimo łachmaniarskiego wyglądu, równie dobrze mógł być drobnym pijaczkiem, co prezesem banku. W tych dniach Missoula stała się osobliwym, chociaż stylowym miejscem.

– Kocham cię, Colin! – wyznała.

– Ja ciebie też, dziecinko – odwzajemnił wyznanie.

Nie rzucali tym słowem między sobą, jak rzuca się frisbee. Colin generalnie posługiwał się nim z umiarem. Mając na uwadze to, jak się sparzył, Kelly nigdy nie brała mu tego za złe. Mimo to chciałyby takie wyznanie słyszeć częściej; za każdym razem grzało się przy nim jej serce. Uziemiona jesienią na dobre w Missouli, stan Montana, potrzebowała tyle ciepła, ile tylko zdołała przyciągnąć.

A przecież to dopiero początek. W istocie rzeczy początek początku.

– Oczywiście, chciałbym, żebyś była tu, nie tam – dodał jeszcze Colin.

– Chryste, ja też! – odparła Kelly. – Ale nie ma na to rady, niestety. Nie wznowili nawet jeszcze połączeń liniami autobusowymi Greyhounds. Jednak prędzej czy później wyrwę się stąd.

– Mam nadzieję, że prędzej. Pozwól mi sprawdzić, co mogę zrobić z tego miejsca – powiedział Colin. – Pracuję nad kilkoma tematami, ale na razie nic jeszcze nie wypaliło. Wciąż jednak czynię starania. Nie chciałem niczego mówić na ten temat, ponieważ nie jestem w stanie czegokolwiek obiecać. Mogę jedynie usiłować coś zrobić, podobnie zresztą jak ty.

– Okej – zgodziła się Kelly.

Za ile sznurków w Montanie albo w Idaho mógł pociągnąć porucznik policji z południowej Kalifornii? Jakim rodzajem koneksji dysponował Colin, żeby pozwoliło mu to dojść do przekonania, iż będzie w stanie za jakiegokolwiek pociągnąć. Czy, dajmy na to, przez dziesięć lat pracował razem z kimś, kto robił teraz za szeryfa w jakimś nieodległym od niej hrabstwie lub był szefem policji w jakimś małym miasteczku położonym niedaleko granicy stanu Montana?

Kelly uświadomiła sobie, że nie ma o tym bladego pojęcia. Wydawało się to jej raczej niemożliwe lub mało prawdopodobne, ale tak czy inaczej nie mogła tego zweryfikować. O mężczyźnie, za bliskością którego tak bardzo tęskniła, nie wiedziała bardzo wielu rzeczy.

Mogła wprawdzie spytać go o to, ale cóż by to dało? Zdoła coś załatwić albo nie. Albo, być może, znowu ruszy komunikacja kolejowa lub autobusowa bądź też ona sama zdoła znaleźć jakąś podwodę zmierzającą na zachód lub... cokolwiek.

Pożegnała się z nim przez telefon i wróciła do mieszkania Daniela. Miała tam telewizor oraz książki, których lektura jej nie pociągała. W porównaniu

z resztą Missouli mieli tu jak u pana Boga za piecem, nawet jeśli w tym szczególnym zapiecku zapanował spory tłok.

Daniel gdzieś wyszedł, kiedy weszła do środka: przypuszczalnie wybrał się na uniwersytet. Dokładali tam starań, żeby jakoś wystartować z jesiennym semestrem, mimo że szanse na to wyglądały na raczej nikłe. Zazdrościła Danielowi miejsca tutaj. Zdołał się w nie wpasować. A to już robiło różnicę.

Larry i Ruth byli jednak w środku, lecz przywitani ją z grobowymi minami.

– Co tym razem? – zadała pytanie Kelly, zachodząc w głowę, czy tak naprawdę pragnie wiedzieć.

– Nie ma gazu – odpowiedziała Ruth. – Chciałam podgrzać trochę posiekanej peklowanej wołowiny – znowu żarcie z puszki – ale kuchenka przestała działać. Przez palniki w ogóle nie płynie gaz – wyczułabyś jego zapach, gdyby płynął.

– Czy dzwoniliście już do gazowni? – Kelly sformułowała kolejne rozsądne pytanie.

– Nie, gazu naprawdę nie ma. Nie ma gazu w całej Missouli – oznajmił Larry. – Magistrala gazowa, która doprowadza gaz do miasta, biegnie od wschodu, przez obszar Montany. Nie wiem, jakimi masami popiołu i skalnych odłamów superwulkan obsypał rurociąg, ale najwidoczniej dostatecznie dużymi, by dostawy gazu zostały ostatecznie przerwane. Przynajmniej na to wygląda.

– To chyba... nie za dobrze – zawahała się Kelly.

Pozostałych dwoje geologów zgodnie przytaknęło. Nie ma gazu w kuchenkach, nie ma gazu do zagotowania wody, nie ma gazu do ogrzewania mieszkań. Mniej więcej do tego sprowadzało się znaczenie słów nie za dobrze. Missoula należała do miejsc, gdzie bez ogrzewania domów nie dało

się obejść. Niechby ktoś tylko się odważył! Poza tym pogoda wcale nie miała się polepszyć w następstwie erupcji w Yellowstone. Co to, to nie.

– Zastanawiam się, co będzie, jeśli w następnej kolejności odetną dostawy energii? – powiedziała Ruth.

Zapanował wesoły nastrój.

– Witajcie ponownie w dziewiętnastym stuleciu, oto, co będzie – odrzekła Kelly. Tyle że świat dwudziestego pierwszego stulecia nie był w żadnej mierze gotów cofnąć się w czasie o sto lat z okładem. Ani nawet o sporo mniej. Niestety superwulkan miał zupełnie gdzieś to, czy dwudziesty pierwszy wiek się na to przygotował. Gotów czy nie, następstwa erupcji właśnie nadchodziły.

ROZDZIAŁ XII

Było spokojne sobotnie popołudnie w Ellwood. Marshall Ferguson miewał takie chwile, kiedy nie cenił zbytnio swego ojca za to, że załatwił mu mieszkanie tutaj, a nie w dzielnicy Isla Vista, usytuowanej tuż obok terenów kampusu Uniwersytetu Kalifornijskiego w Santa Barbara. Ale jego stary i gliniarz w jednym wiedział dobrze o licznych barach w Isla Vista, o paleniu kanap oraz innych osobliwych miejscowych rytuałach, zatem Marshall zamiast tam, wylądował tu na zadupiu.

W Ellwood nie wydarzyło się nic ekscytującego od czasu ostrzelania tego miejsca przez japoński okręt podwodny. Ale życie tutaj wcale nie zasługiwało na miano totalnej bryndzy. Marshall nie miał nic przeciw dojeżdżaniu na zajęcia rowerem albo wskakiwaniu do autobusu w te sporadyczne dni, kiedy pogoda się kiepściła. Posiadał samochód – rzecz jasna! – ale parking na terenie kampusu kosztował koszarne pieniądze. Kiedy tylko miał ochotę, mógł wybrać się na zakupy do dużego centrum handlowego w Hollister, zaledwie o kilka przecznic dalej. Przesądne byłoby też stwierdzenie, że w Ellwood nie uświadczyło się choćby jednego baru; po prostu się od nich nie roiło. Wciąż było to studenckie miasteczko, ale bardziej ustatkowane studenckie miasteczko dla bardziej ustatkowanych studentów.

Nie, sprawy nie ułożyły się aż tak źle. Rzecz nie sprowadzała się również do tego, że Marshall nigdy nie pił. Co to, to nie – z pewnością nie wylewał za kołnierz. Ten rodzaj „abstynencji” odziedziczył po ojcu. Grzał równo! Na analogicznej zasadzie, zupełnie jak matka, nigdy nie zwlekał się z łóżka w niedzielne ranki, by bezzwłocznie sięgnąć po Excedrin, pastylki na ból głowy. Co to, to nie!

Jednak tego sobotniego popołudnia w Ellwood nie był nawalony. W zasadzie to mógł być. Semestr dopiero się rozpoczynał. Nie musiał oddawać w poniedziałek rano żadnej pracy zadanej do domu. Tak, mógł więc być nawalony, ale nie był. Był za to naćpany.

Mieszkanie wychodziło na zachodnią stronę, zatem mógł rozłożyć się wygodnie na wytartej do cna, ale wciąż nie pochłoniętej przez ogień kanapie i oglądać zachodzące słońce przez rozchylone do połowy listewki żaluzji. Obok niego w równie zrelaksowanej pozycji leżała drobna czarnowłosa dziewczyna imieniem Jenny. W tej chwili jeszcze się nie dotykali. Wcześniej czy później, jak się spodziewał, będą. Nic ich przecież na nagliło. Na wszystko przyjdzie czas.

– Nie śpiesząc się wcale, podał jej fajeczkę z ziołem.

– Dzięki – powiedziała.

Podobał mu się sposób, w jaki domykała usta na cybuchu, kiedy się zaciągała. W mieszkaniu już roztaczała się woń dymu. Powoli przybierająca na intensywności.

Podowała mu fajeczkę z powrotem. Wziął następnego macha. Wszystko wydawało się dobre: zioło, towarzystwo, pokój pogrążony w półmroku, słońce powoli osuwające się w dół między listewkami żaluzji. Dzięki trawce można było odnieść wrażenie, że słońce opuszcza się wolniej niż zazwyczaj.

– A niech to! – Marshall dał wyraz swemu zauroczeniu.

Jenny zachichotała – jeśli nie uznać tego za truizm w ustach ćpuna, to za cóż innego? Chociaż zaczynał już odlatywać, Marshall wciąż jeszcze czuł się lekko speszony. Mimo to wskazał na żaluzje.

– A niech to! – raz jeszcze zadeklarował prowokująco. – To naprawdę uroczy zachód słońca. – Tym razem doprecyzował to odczucie.

Zachody słońca w Santa Barbara, podobnie jak wiele innych aspektów życia w tym mieście, często człowieka rozpuszczały i sprawiały, iż każde inne miejsce na świecie uchodziło za tandetne i niegodne, by tam żyć. Obłoki oraz łagodne wilgotne powietrze Pacyfiku malowały na nieboskłonie odcienie czerwieni, pomarańczy i złota. Czy schyłek dnia, dajmy na to, w Omaha, mógł się z tym równać? Ależ skąd.

Ten dzisiejszy przechodził sam siebie, nawet jak na standardy Santa Barbara. Marshall przypisywał to dobrej jakości zioła, które nabył od doktoranta uczestniczącego w zajęciach z nauki kreatywnego pisania. Sam czuł się teraz nad wyraz kreatywny, chociaż ogarnęło go zbyt rozleniwienie, by przelać na papier tę wenę, nawet gdyby w zasięgu jego ramion nie znajdowała się filigranowa, czarnowłosa dziewczyna.

Ale mówiąc na poważnie, czy byłby w stanie dostrzec tę przebogatą paletę szalonych barw, gdyby nie był na haju po wypaleniu skręta marychy? Tony czerwone, rdzawoczerwone, pomarańczowe, karminowe, cytrynowe, lawendowe, karmazynowe i kwiatów fuksji oraz wiele, wiele innych, o których ludziom z koncernu Crayola, potentata w produkcji kredek świecowych, nigdy się nie śniło. Raczej w to powątpiewał.

– To dobre zioło – oznajmił z pełną powagą.

– Tak – potwierdziła Jenny.

Wyciągnęła do niego dłoń. Palce Marshalla i Jenny musnęły się, kiedy podawał jej fajeczkę. Oboje się uśmiechnęli. Mieli czas. Kiedy jest się młodym i naćpanym, czas rozciąga się zupełnie jak krówka ciągutka. Wciągnęła do płuc kolejną dawkę dymu. Za jakiś czas wydmuchała go. Przez kolejną chwilę podziwiała zachód słońca.

– To nie tylko zioło – stwierdziła na koniec.

– Że co? – zapytał zdziwiony Marshall – To nie tylko zioło – powtórzyła Jenny. – To również ten wulkan w Yellowstone. Chodzi o to, że do

powietrza dostało się dużo świństwa. Przez jakiś czas zachody słońca wszędzie będą wyjątkowe – Ach – Marshall przytaknął. – Odjazdowo.

Miał wrażenie, o ile pamiętał, że wielkie wulkany się do tego przyczyniają. Dawno temu o jednym z nich nakręcili nawet jakiś film... Usiłował przypomnieć sobie jego nazwę. Miał ją już na końcu języka, ale uganianie się za nią wydało się nagle bardziej kłopotliwe, niż to warte zachodu. Wiele rozmaitych rzeczy wydało mu się bardziej kłopotliwe, niż to warte zachodu.

Wiele rzeczy, ale nie wszystkie. Spodem dłoni przesunął po ciepłej, gładkiej skórze wewnętrznej strony przedramienia Jenny. Dotyk był miękki jak aksamit i zarazem elektryzujący. Po części było to naturalne, a po części wynikało z napalenia. Po części również przyczyniło się do tego działanie zioła. Dziewczyny są cudowne, bez względu na porę i okoliczności. Po kilku sztachnięciach stają się jeszcze bardziej cudowne. Chwila, czy istniało w ogóle coś, co nie przechodziło takiej przemiany? Doszedł też do niezbitego przekonania, że wulkan nie miał jednak nic z tym do czynienia.

Jenny wydobyła z siebie dźwięk gdzieś nisko w głębi gardła, który zabrzmiał bardziej jak mruczenie kota niż odgłos wydawany przez człowieka. Jej oczy rozbliły się namiętnie. Zioło z pewnością wywierało bardziej pożądany wpływ na osoby płci żeńskiej.

Przysunęła się do niego.

Przez chwilę całowali się na kanapie. Potem przeszli do sypialni. Łóżko Marshalla okazało się nieco za wąskie jak dla dwojga osób, ale oznaczało to po prostu, że muszą się mocniej do siebie przytulać. Zdumiewający zachód słońca, całkiem już zapomniany, odgrywał barwny spektakl na ścianie pokoju od frontu.

Koncert w Bar Harbor był niewypałem. Tłumek zebrany w klubie nie pojął przekazu zespołu Tryskająca Żaba i Ewoluuujące Kijanki, poza tym nie

zaiskrzyło ani w jednym, ani w drugim kierunku. Nadmorskie letniskowe miasteczka Nowej Anglii wydawały się inne od swych odpowiedników z wybrzeża Pacyfiku. Rob Ferguson usiłował nawet dociec, co tymi ludźmi powoduje. Ale okazało się to niełatwe.

Część widowni rekrutowała się z resztek wakacyjnych gości. Nie wszyscy z nich wrócili do Bostonu czy Nowego Jorku po Labor Day, wrześniowym święcie pracy. Niektórzy utkwili tu na dłużej i imprezowali do czasu, gdy... co? Gdy skończy im się szmal? Mało prawdopodobne – nie wyglądali na takich, którym forsa miałyby się kiedykolwiek skończyć. Z punktu widzenia Roba najwidoczniej imprezowali tu bez końca.

Resztę publiki tworzyły małomiasteczkowe mieszcuchy ze stanu Maine. Przywiodło mu to na myśl Ełojów i Morloków, dwie rasy ludzi z Wehikułu czasu. A dlaczegoż by nie? Wells opisywał metaforycznie społeczeństwo klasowe wiktoriańskiej Anglii. System klasowy przetrwał i miał się dobrze na Wschodnim Wybrzeżu współczesnych Stanów Zjednoczonych.

Dla wczasowiczów występ zespołu był tylko pozbawionym znaczenia szumem tła. Mieszcuchy zobaczyły instrumenty ze wzmacniaczami i spodziewały się – do diabła tam, żądały – siermiężnego, hałaśliwego rocka. Grupa Tryskająca Żaba i Ewoluuujące Kijanki nie oferowała ani jednego, ani drugiego. Publika musiała się wsłuchać w muzykę i słowa; nie grali przecież po to, by słuchacze bezmyślnie potrząsali głowami w rytm heavymetalowych riffów, nie chodziło im też wcale o to, żeby po trzech dniach od koncertu fanom wciąż dzwoniło w uszach.

Zaledwie garstka bawiła się dobrze.

Po występie Justin robił wszystko, żeby trzymać fason.

– Być może Bangor okaże się lepsze?

– Albo Orono – podsunął Rob. – W Orono mają kampus Uniwersytetu Stanowego Maine. Będą nas słuchać ludzie naszego pokroju.

– Masz na myśli naćpanych freaków i fanów? – dodał Biff Thorwald.

Rob wykonał ruch, jakby chciał dygnąć przed gitarzystą rytmicznie, ale w przyciasnym pomieszczeniu garderoby nie starczyło na to miejsca.

– Dokładnie – potwierdził.

– Tak naprawdę szkopuł kryje się w tym – podjął Justin, który często sam odpowiadał na postawione przez siebie pytania – że tych naćpanych freaków i fanów, którzy kręcą się dookoła, by wesprzeć nas w tworzeniu stylu, jaki chcielibyśmy utrzymać dłużej, jest po prostu zbyt mało.

– Jeśli chcesz przez to powiedzieć, że nie będziemy tak bogaci jak Miley Cyrus czy Justin Bieber, dlaczego nie powiesz tego wprost? – naciskał Charlie Storer.

– Nie będziemy tak bogaci jak Miley Cyrus czy Justin Bieber – powtórzył za nim usłużnie Justin.

– Nie zatrudniamy również żadnego korporacyjnego ciula, który mówiłby nam, co należy zrobić w następnej kolejności – stwierdził Rob.

– Oczywiście, że nie zatrudniamy. Wiemy przecież, co należy zrobić w następnej kolejności: trzeba wyruszyć do kolejnego miasta – oznajmił Charlie. – Zagrać tam i po skończonym koncercie wyruszyć do następnego.

Rob miał w pamięci własne niejednoznaczne przemyślenia z nie tak odległej przeszłości. Czy lubił swoje zajęcie do tego stopnia, żeby kontynuować tułaczkę do końca swoich dni? Czy będzie w stanie związać koniec z końcem, jeżeli nie zamierza zejść ze sceny. A jeżeli zejdzie, to co miałby w zamian ze sobą począć?

Musieli pomieszkać jeszcze w Bar Harbor; kiedy większość urlopowiczów wyjechała, ceny poleciały w dół na łeb na szyję.

– W jednym z naszych pokoi nocował sekretarz do spraw pracy – pochwaliła się recepcjonistka w ich motelu.

– Ale chyba nie po Święcie Pracy, z pewnością nie – skomentował Rob. Spojrzała na niego z ukosa bez cienia sympatii, ale nie zamierzała wyprowadzić go z błędu. Już po fakcie zaczął żałować, że ją wkurzył; widział w życiu wiele gorszych miejsc. Jak zwykle, po fakcie było już za późno.

Letnia aura odjechała chyba do domu wraz z letnikami. Słońce wschodzące nad Atlantykiem przybrało wspaniałą postać krwistoczerwonej tarczy, malując ułożone warstwami chmury wszystkimi wyobraźnymi odcieniami czerwieni, purpury, różu i pomarańczy. Od czasu wybuchu superwulkanu zachody słońca stały się niezwykle widowiskowe. Kiedy spece z telewizji nie labiedzili nad wszelkimi innymi aspektami katastrofy – liczba ofiar śmiertelnych przekroczyła już próg stu tysięcy, a szacowane straty materialne dochodziły do granicy bilionów – to rozmawiali uczenie o cząstkach stałych zawieszonych w atmosferze.

Spoglądając na wschód słońca, Justin ujął to nieco inaczej.

– Mój dziadek, kiedy był mniej więcej w naszym wieku, przez kilka lat wypływał w morze frachtowcami. Zwykł wtedy mawiać „Zorza z wieczora, żeglarzowi w morze pora. Zorza o poranku? Żeglarzu z wyjściem w morze się miarkuj”.

– Zatem dzisiaj na otwartym morzu szykuje się dużo nerwowości – przewidywał Rob.

– I wcale bym się nie zdziwił. – Justin stał na parkingu i drżał z zimna. – Brr! To ten paskudny wiatr.

– Tak. No cóż, witamy w Maine – odparł przytomnie Rob.

Ale zdjęci niepokojem żeglarze również i w jego oczach nie stanowiliby zaskoczenia. Żałował, że nie założył na siebie czegoś cieplejszego niż stara sportowa bluza z logiem Uniwersytetu Kalifornijskiego w Santa Barbara.

Najwidoczniej wiatr zerwał się do ostrego startu z Ziemi Baffma, położonej hen za kołem polarnym.

– Jak szybko zacznie tutaj padać śnieg? – chciał wiedzieć Justin.

Kolejne warstwowe chmury, bez dwóch zdań te o bardziej złowieszczym odcieniu szarości i mniej filuternie zaróżowione, gromadziły się od północy i od zachodu.

– Powiedziałbym, że jutro albo być może dzisiaj po południu – udzielił odpowiedzi Rob. – Mamy ze sobą łańcuchy na koła vanów, co?

– Uhm – potwierdził bez entuzjazmu Justin.

Nie mieli wprawy w ich zakładaniu. Brakowało im też rutyny w jeździe po śniegu i lodzie. Byli przecież dziećmi Kalifornii. Do czegoż miała im się przydać wiedza na ten temat?

– Bangor bądź Orono są położone na północ stąd – lub coś w tym rodzaju – racja? – odezwał się Rob, usiłując poprawić nastrój gitarzysty prowadzącego.

– Pierdol się – nie patyczkował się Justin.

Wskazał na tanią restaurację po drugiej stronie ulicy. Poprzedniego wieczoru zjedli tam kolację. Nawet im smakowało.

– No jazda. Chodźmy coś wszamać.

– Nie chcesz zaczekać na Charlie’ego i Biffa?

– Nie. Niech sobie pośpią, skoro chcą. Prędzej czy później i tak coś wtranzolą. A Bangor wcale nie leży tak daleko stąd na północ. – Justin użył słowa „północ” z jeszcze większą ironią, niż wcześniej uczynił to Rob. – Nawet jeśli wyjedziemy w trasę później niż zwykle i tak zdążymy na następną randkę.

Śniadanie smakowało całkiem nieźle. Trudno było dojść do ładu z miejscowymi przybytkami gastronomicznymi. Wywoływały skojarzenie z małą dziewczynką z niesfornym lokiem na czole. W lokalach sieci Denny’s

człowiek zawsze wiedział, co dostanie – co stanowiło zarazem dobrą i złą nowinę. Ten bar okazał się lepszy o niebo, a nawet o półtora nieba od wspomnianej sieci. Smażoną cebulę z tartymi ziemniakami przyrządzono ze świeżego kartoflanego surowca, nie z mrożonki, ponadto danie nie ociekało tłuszczem. Słowa pochwały odnosiły się również do kielbasy, która miała w sobie nutę czegoś – kopru włoskiego? – czego nie dało się posmakować na co dzień. A jaja sadzone ścięte mocniej niż średnio dotarły na stół gorące i ścięte mocniej niż średnio.

Biff i Charlie weszli do środka niespiesznym krokiem, kiedy Rob i Justin w zasadzie dojadali okruszki. Biff zamówił kawę.

– Nigdy tego nie robisz, gościu – zauważył Rob.

– Chyba że masz działkę metamfy, muszę przecież jakoś rozruszać pikawę – odparł gitarzysta rytmiczny.

Rob zaprzeczył ruchem głowy. Nie zaliczał się do zagorzałych miłośników metamfetaminy. Ani Charlie, ani Justin także nie zaoferowali działki cranku. Biff rozłożył ręce.

– Widzicie? – powiedział zrezygnowany.

Kiedy przyniesiono kawę, nasypał dużo śmietanki w proszku i cukru, żeby kawa przestała smakować jak kawa. Potem wypił ją duszkiem. Nagły dopływ cukru powinien dopomóc mu również w zebraniu sił, by jakoś przetrwać ten poranek.

Kelnerka doniosła Robowi i Justinowi dodatkową porcję grzanek, żeby mieli co przegryzać, kiedy ich kumple będą wtrząchać żarło. Rob posmarował swoje dżemem truskawkowym. Dżem zapakowano w takie same małe plastikowe pojemniczki z folią z wierzchu, jakie widywało się wszędzie. Och, cóż z tego. Kiedy jadł, spoglądał przez przyciemnione okno i dalej przez ulicę, w kierunku hotelu dla zmotoryzowanych, z którego tu przyszli.

– Czy to te szyby, czy też światło jest jakieś osobliwe? – zapytał po chwili.

– Raczej światło – orzekł Charlie. – Zauważyłem to, kiedy szliśmy tutaj. Ty też, Biff?

– Co? – odpowiedział pytaniem Biff.

Rob nie musiał wykazać się talentami Hercule’a Poirot, by zorientować się, iż Biff nie zauważył prawie nic do chwili, kiedy uraczył się kawą.

Zapłacili za śniadanie i wyszli. Jakiś facet na rowerze, mniej więcej w ich wieku, przejeżdżający obok nich ulicą, zatrzymał się.

– Cześć, byłem na waszym koncercie wczoraj wieczorem. Nie wiem ja”k inni, ale mnie się podobało.

– Dzięki... chyba – odparł Rob.

Zbyt niewiele było takich, którym się podobało. Facet machnął im niemrawo i odjechał.

– Światło jest jakieś dziwne – Justin spoglądał na słońce.

Ani w pobliżu słonecznej tarczy, ani tym bardziej przed nią nie sunęły żadne chmury, a mimo to mógł spoglądać wprost w nią. Podobnie zresztą jak Rob. Słońce wydawało się niezwykle słabe, niezwykle białe, jak gdyby widziane przez mgłę. Ale przecież w powietrzu nie unosiła się żadna mgła. Wzrokiem można było sięgnąć na wiele mil bez konieczności skorzystania z usług jasnowidzącego medium. Rob obrócił się i popatrzył na swój cień. Jego sylwetka rzucała wprawdzie cień, lecz nie tak ostry i wyraźny, jak powinna w słoneczny dzień.

Wszyscy ruszyli na drugą stronę ulicy. Po Bar Harbor jeździło niewiele samochodów, zwłaszcza po zakończeniu urlopowego sezonu.

– Czy to pogoda typowa dla Maine czy raczej pogoda wulkaniczna? – dywagował Charlie.

– Pogoda wulkaniczna. – Rob dosłyszał w swoim głosie coś osobliwego, coś, o czym był przekonany, że nigdy wcześniej w nim nie odkrył: ponurą pewność. Taki ton można usłyszeć w głosie lekarza, kiedy ten dostrzeże złowieszcze ciemne plamy na zdjęciu rentgenowskim płuc.

Zupełnie nagle i nieoczekiwanie sformułowanie cząstki stałe zawieszona w atmosferze przestało być w oczach Roba pompatycznym zwrotem. Tu na dole w powietrzu nie unosiła się wcale mgła, w żadnym razie. Ale tam gdzieś w górze, cholernie wysoko? A to już przypuszczalnie – nie, z pewnością – całkiem inna kwestia. Ile paskudztwa wyrzucanego przez superwulkan zostało wyniesione do stratosfery? Jaką część światła słonecznego pochłaniały drobiny pyłu? Do jakiego stopnia wpłynie to negatywnie na warunki pogodowe? I na jak długo?

Wstrząsnęły nim dreszcze. Bluza sportowa w stylu kowbojów z pampasów wydawała się jeszcze cieńsza i bardziej znoszona niż wtedy, kiedy ją zakładał. Bardzo chciał założyć coś cieplejszego: długi do kostek kozuch ze skóry niedźwiedzia polarnego, dajmy na to, albo śpiwór z gęsiego pierza, z rękawami.

Charlie wskoczył na krawężnik.

– Chłopcze, mówisz zupełnie tak, jak sędzia, który ogłasza wyrok – stwierdził.

– Absolutnie tak, człowieku – zgodził się Justin.

Nawet Biff przytaknął. Rob nie do końca podzielał to zdanie, ale też nie odbiegał zbyt daleko od ich opinii.

Nagle, ni stąd, ni zowąd – zupełnie niespodziewanie, jak grom z jasnego nieba – Justin zmienił temat.

– Czy miałeś jakieś wieści od swojej siostry, tej, która przeniosła się do Denver?

– Nie – odparł Rob przez zaciśnięte gardło. – Telefony komórkowe przestały działać na tak rozległych obszarach, że trudno to ogarnąć. Miałem nadzieję, że uda się jej dotrzeć do linii stacjonarnej albo że prześle mi e-maila, albo... cokolwiek. Ale nie.

– To przykre, stary – Justin oparł na chwilę dłoń na jego ramieniu.

– Nic nie mogę na to poradzić. Wciąż sobie powtarzam, że Vanessę stać na więcej, niż można by sobie pomyśleć. Ona z pewnością zdoła wydostać się stamtąd, jeśli ktokolwiek zdoła.

Z miejsca pożałował trzech ostatnich słów. Dzięki nim uzmysłowił sobie bowiem kolosalną skalę kataklizmu. Denver było oddalone o setki mil od Yellowstone. Ale zarazem Denver znalazło się zbyt blisko centrum obszaru, któremu erupcja dopieprzyła, któremu dokopała i który bez pardonu sponiewierała. W telewizji mówili, że popiół osiadał w kanadyjskiej Albercie, w Teksasie, Iowa i nawet w Kalifornii.

Nie chciał o tym myśleć, zatem obrócił się do Biffa i Charliego.

– Jesteśmy gotowi zatańczyć rock and rolla? – zapytał.

Wiedział, że on i Justin byli gotowi; wysprzątałi swój pokój do ostatniej pary brudnych skarpetek.

Charlie skinął głową.

– Tylko nie zapomnijcie zabrać ze sobą perkusji.

Biff zachnął się na to. Prędzej zapomnieliby słonia niż zestaw perkusyjny Charliego, chociaż słonia trudniej rozmontować.

– Zatem ruszajmy – zdecydował Justin.

Wgramolili się do furgonetek. W świetle bladego, nienaturalnego słońca wyruszyli w drogę Bangor. Po niedługim czasie wszystkie promienie słońca zniknęły. Rob włączył przednie światła. Zaczęło padać. Nim zdążyli dojechać do celu podróży, deszcz zamienił się w śnieg. Czy była to pogoda

typowa dla Maine, czy też aura zmieniona na skutek erupcji wulkanu? Właściwie co za różnica? To działo się tutaj, a oni tkwili w tym po uszy.

Usiadłszy na łóżku, Colin zaczął dzień od sprawdzenia, czy w telefonie komórkom nie ma poczty głosowej bądź SMS-ów od Kelly lub od Vanessy. Tego ranka nie przyszło nic ani od jednej, ani od drugiej – swoją drogą od Vanessy nie miał żadnej wiadomości od dnia wybuchu superwulkanu. Gdyby coś złego wydarzyło się na jego własnym terytorium, ludzie z komisariatu zadzwoniliby do niego na numer stacjonarny i zbudziliby go.

Kiedy się odlał, zszedł na dół, żeby zaparzyć kawę. Nie musiał iść dzisiaj do pracy, o ile nie dojdzie do jakiejś rozróby. Gdyby tylko Kelly nie przebywała tak daleko w Missouli... Jednak ugrzęzła tam na dobre, niech to cholera. Zamiast zatem cieszyć się miłym sercu towarzystwem, usiłował nadrobić trochę zaległości w domowych porządkach i pozbierać trochę rzeczy porzucanych po całym domu. Jego wyszkolona przez marynarkę w zamięłowaniu do porządku dusza cierpiała katusze, gdy z odrazą przekonywał się, ile nabałagań!

Nie chodzi o to, że nic nie robię, myślał, szukając argumentów we własnej obronie, lecz starszy bosman sztabowy, który wciąż gdzieś w nim tkwił, wiedział za każdym razem, że to gówno prawda.

Kiedy czekał, aż woda się zagotuje, zawsze wyglądał przez okno. Tego ranka wyjrzał, a po chwili wyjrzał: z tego rodzaju opóźnionej reakcji dumny byłby nawet sam Harpo Marx. Nawet mimo okresowych przerw w dostawie wody, zdołał utrzymać dorodny, zielony trawnik. Rozpierała go z tego powodu duma równie wielka, co z opracowanego przez niego systemu przechowywania dokumentów.

Tyle że teraz i trawnik, i kwiaty przestały być zielone. Przybrały kolor cementowego pyłu. Podobnie zresztą jak liście na drzewku pomarańczowym, drzewku cytrynowym i magnolii. Ten sam los podzielił

również mur z pustaków, jeszcze do niedawna różowy. Dotyczyło to w zasadzie wszystkiego, co znajdowało się w ogródku za domem. Macki superwulkanu dosięgnęły Los Angeles.

Rozległ się dzwonek mikrofalówki. Zupełnie jakby nieobecny sięgnął po dzbanek z wodą i nalał ją do brązowego plastikowego stożka, w którym był już bibułkowy filtr Melitta – kawiany nos, jak mawiały dzieciaki, kiedy były małe. Kot (również bardziej szary niż normalnie powinien być; rozpoznał zwierzaka, który mieszkał parę domów dalej) pozostawiał na trawie niemal zielone ślady. Stworzeniu wcale nie podobało się to, co działo się wokół. Robił kilka kroków, potem zatrzymywał się i mył łapkę. I znów parę kroków i mycie. Ile pyłu zdążył już się nałykać? Jakie szkody mógł poczynić pył w jego wnętrznościach? Zapewne niebagatelne, w to Colin nie wątpił.

Przepisy regulujące racjonowanie wody zakazywały podlewania trawników w soboty. Niemal całe życie upłynęło mu na egzekwowaniu przestrzegania przepisów. Teraz sam łamał jeden z nich. Dał nura pod zlew i odkręcił kurek od zraszaczy. Dysze odchyliły się i zaczęły tryskać wodą. Kot na moment zawisł w powietrzu, potem się teleportował. Trawnik zrobił się na powrót zielony – poza paroma smugami wciąż przebarwionymi obrzydliwym brązowym szlamem.

Przed wyjściem na zewnątrz po „Timesa” i „Breeze” Colin założył z rozmysłem klapki. Nie zamierzał chodzić na bosaka po tym paskudztwie, nie chciał nawet dotykać tego stopami. Pył skrzypiał pod gumowymi podeszwami i wzbijał się niewielkimi kłębami Trawnik od frontu zrobił się szary; niemal tego samego koloru, co chodnik. Ulica, która powinna być barwy asfaltowej, również wyglądała jak chodnik, z kilkoma rozmazanymi śladami opon.

Jego auto miało barwę szarą. Wszystkie samochody w zasięgu wzroku miały szarą barwę – także okna, szyby, lusterka i pozostałe akcesoria zszarzały. Wszystkie auta z wyjątkiem jednego: naprzeciwko po drugiej stronie ulicy Wes Jones łamał jeszcze jeden przepis, splukując wodą z węża swego nissana, tym samym przywracając mu oryginalny niebieski kolor. Wes był emerytowanym inżynierem lotnictwa i aeronautyki, który prawie cały czas spędzał, pielęgnując ogródek. Podobnie jak wszyscy inni, obecnie nadrabiał zaległości.

Colin machnął mu na powitanie.

– Trochę zabawy, prawda? – zawołał i sięgnął po gazety.

Oba tytuły zawinięto w polietylenowe woreczki, jakby miały chronić je przed deszczem. Popiół wulkaniczny ześlizgiwał się z plastiku.

– Zabawy? Ach, no pewnie. – Wes wskazał w kierunku wschodnim. – Nawet słońce zbzikowało.

Wyglądało na to, że wszystko, do czego odnosił się z dezaprobatą, zbzikowało. Ale w sumie spraw, do których Wes odnosił się z dezaprobatą, nie było aż tak wiele. Generalnie uchodził za wyrozumiałego gościa.

– Słucham?

Colin nie zwrócił wcześniej uwagi na słońce, chociaż zauważył, że światło słoneczne zrobiło się jakieś blade i wyblakłe. Teraz popatrzył na słońce. Stało jeszcze nisko na niebie, wciąż czerwone, jakby dopiero co wzeszło ponad horyzont, choć upłynęło już sporo czasu od wschodu. Słoneczną tarczę otaczała monstrualnych rozmiarów aura z dwoma par helionami, czyli słońcami pobocznymi – pozornymi obrazami słońc – ustawionymi na obwodzie pierścienia halo. Widział takie poboczne słońce tylko raz, gdy służył na niszczycielu stacjonującym u wybrzeży Grenlandii, kiedy niebo wypełniło się kryształkami lodu. Niebo nad San Atanasio zapełniło się innym paskudztwem.

– Cholera jasna! – sformułował własną ocenę sytuacji.

– Tak, dokładnie to samo sobie pomyślałem – odparł Wes. – Jakieś wieści od Vanessy?

Rosła na jego oczach od maleńkości; w końcu był jej przybranym wujkiem.

– Nie – odparł Colin, powstrzymując się od dalszego komentarza. Wes westchnął.

– No cóż, powiem Idzie, że musi modlić się jeszcze gorliwiej.

Zaliczał się do równie zatwardziałych niedowiarków, co Colin, ale jego żona Ida w każdą niedzielę chodziła do kościoła metodystów, w ciągu tygodnia natomiast robiła moc dobrych uczynków. Nie usiłowała też narzucać innym swoich religijnych przekonań, nawet własnemu mężowi; po prostu robiła swoje. Colin nie pamiętał, by pokłócili się ze sobą więcej niż parę razy.

– To nie może zaszkodzić – odrzekł po chwili.

– Jak mniemam, masz rację. I jak mniemam, niebawem wrócę do domu.

– Wes zgarniał pył na swoim podjeździe. Część pylistych drobin zrobiła się mokra, ale część wzbijała się niewielkimi tumanami, tak jak pod klapkami Colina. – Wdychanie tego gówna musi być szkodliwe dla twojego zdrowia – dla mojego też, w równym stopniu.

– Nie byłbym tym zaskoczony – odparł Colin, tym sposobem doszedł mu jeszcze jeden powód zamartwiania się o obdarzoną narowistym charakterem córkę.

Podobnie jak rzecz miała się w Missouli, na Los Angeles osiadło niewiele popiołu wulkanicznego. Ale to cholerstwo w praktyce zasypało takie miejsca jak Salt Lake City... i Denver. Wdychając drzewny pył w fabryce mebli, człowiek mógł stracić płuca. To, co wyrzucał z siebie superwulkan, było pieruńsko bardziej zjadliwe niż trociny.

Gdyby Vanessa go posłuchała... wtedy nie byłaby sobą. Kiedy on liczył sobie tyle lat, co ona teraz, też nie chciał słuchać nikogo. Gdy sobie to uświadomił, stwierdził, że nawet dzisiaj nie zyskałby dobrych not za okazywanie posłuchu wobec innych ludzi.

Lecz to, co powiedział Wes, miało naprawdę sens. To, co mówił Wes, z reguły miało sens. W kuchni na blacie wciąż czekała na Colina kawa. Chyba nawet nie zdążyła za bardzo wystygnąć. Wes dotarł już z robotą do drzwi wejściowych. Colin poszedł w jego ślady. Przed wejściem zatrzymał się i zdjął klapki. Im mniej popiołu wniesie do środka, tym lepiej.

Bosymi stopami zostawiał szare ślady na ciemnobrązowych płytkach terakoty w przedsionku. Strząsnął pył ze stóp na klapki. Cóż, będzie to robota dla uniwersalnego środka do mycia „409” oraz kilku papierowych ręczników. Najpierw jednak kawa, kawa i przegląd prasy.

Notatka na pierwszej stronie dziennika „Breeze” głosiła, co następuje: „Będziemy wydawać gazetę tak długo, jak tylko zdołamy. Nasz dostawca papieru działa w Minnesocie. Erupcja superwulkanu przerwała połączenia komunikacyjne z obszarami położonymi na wschód. Obawiamy się, że nawet wtedy, kiedy sytuacja powróci w miarę do normy, papier uzyska niższy priorytet niż żywność i paliwo. Na razie jednak, przynajmniej na jakiś czas, będziemy musieli przestawić się na publikowanie wyłącznie wersji internetowej.” Trudniej będzie raczyć się filiżanką kawy i surfować po Internecie na ekranie komputera albo smartfonu. Nie będzie to niemożliwe, ale trudniejsze. Ale co się stanie, jeśli w Los Angeles wyłączą prąd? Wtedy będzie można zapomnieć o jedynej dostępnej elektronicznej wersji dziennika.

W „Timesie” nie poruszano kwestii niedoborów papieru. Być może otrzymywali papier gazetowy z Północnego Zachodu, a tam wciąż dało się dojechać. Albo być może wydawca po prostu nie chciał zapeszyć i wolał

nie kusić licha. Duży nagłówek na tytułowej stronie obwieszczał: SENATORZY ZE STANÓW DOTKNIĘTYCH KLĘSKĄ APELUJĄ O POMOC FEDERALNĄ.

Dotkniętych klęską. Colin skinął powoli głową, kiedy rozważał te słowa. Poza Biblią rzadko dziś można spotkać ten zwrot, ale z pewnością pasował do kontekstu. Jeśli Synowie Izraela kiedykolwiek spotkali coś równie przytłaczającego, jak erupcja superwulkanu, to w Starym Testamencie najwidoczniej przeoczono ten fakt.

Zachodził w głowę, cóż takiego administracja w Waszyngtonie miałaby zrobić dla Wyoming i Montany, których geografia uległa radykalnej korekcie. Warstwa popiołu jakiej grubości zasypała stany Idaho, Utah, Kolorado, Nebraska i Kansas? Co gorsza, nie dotyczyło to wyłącznie wybranych rejonów w tych stanach, ale całego ich obszaru bez wyjątku lub niemal całego, co w praktyce nie stanowiło już żadnej różnicy. Ilu buldożerów, ciężarówek oraz ilu lat będzie trzeba, by oczyścić z popiołu setki tysięcy mil kwadratowych powierzchni? Więcej niż USA mają schowane na czarną godzinę – w tej kwestii nie miał choćby cienia wątpliwości.

Colin dostrzegł też ironię w nagłówku „Timesa”. Czołowy dziennik Los Angeles skłaniał się ku lewej stronie sceny politycznej dłużej, niż on sam stąpał po ziemskim padole. Wcześniej gazeta wykazywała jeszcze bardziej długotrwałe odchylenie ku poglądom zatwardziałej prawicy. Czy autor wybrał tytuł z pełną premedytacją? Colin nie byłby tym zdziwiony. Senatorowie z tych stanów apelowali o pomoc federalną? Zanim superwulkan gruchnął z pełną siłą, mogli przecież ubiegać się o wsparcie federalne w innych tematach, jak choćby w sprawie AIDS. Wszystko, jak zawsze, sprowadzało się do prostej reguły – punkt widzenia zależy od punktu siedzenia. Koniec, kropka.

Niemal wszyscy senatorowie – oraz deputowani do Izby Reprezentantów – ze stanów dotkniętych klęską byli republikanami. Nie przeszkadzało im to wcale wyciągać teraz ręk po pomoc. Jeżeli administracja w Waszyngtonie nie będzie w stanie im pomóc, to nikt już im nie pomoże. W przekonaniu Colina coraz więcej wskazywało na to, że nikt nie może pomóc.

Konstatacja ta nasuwała kolejne interesujące pytania. Czy ktokolwiek w stanie Wyoming zdołał ujść z życiem? Zachodnia Montana jakoś się trzymała, ale z ledwością. Idaho i Utah również zostały solidnie poturbowane. Podobnie zresztą jak Kolorado, chociaż być może nie do końca w takim samym stopniu. Stany rolnicze położone dalej na wschód również otrzymały ciężki cios. Niemal wszystkie te stany „świeciły na czerwono” jak nos renifera Rudolfa. Jeśli ulegną wyludnieniu, w jaki sposób przełoży się to na amerykańską politykę? Nic dobrego z tego nie wyjdzie; nic, przynajmniej gdyby ktoś zapytał o zdanie Colina.

Sięgnął ponownie po „Daily Breeze”. Tak, o tym właśnie czytał przed chwilą. „Papier uzyska niższy priorytet niż żywność i paliwo”. – Jaka żywność – dywagował na głos.

Spichlerz Ameryki otrzymywał właśnie potężny prawy prosty w bebechy. Jakim cudem można było wwieźć albo wywieźć zebrane plony, skoro wulkaniczny popiół pokrył zwartym całunem pola, zasypał drogi i zamienił w gruźlicze suchoty żywot traktorów, kombajnów oraz ciężarówek (nie wspominając już nawet o samych farmerach)? To kolejna sprawa, która zahaczała o sferę niemożności.

Od dziewiętnastego stulecia Stany Zjednoczone odgrywały rolę spiżarni świata. Obecnie to melodia przeszłości. Jakim sposobem Ameryka zdoła wyżywić swoich własnych obywateli, a cóż dopiero niezliczone rzesze głodujących poza jej granicami? Kto zechce teraz – kto będzie w stanie – wziąć sprawy w swoje ręce? Jakiś chętny? Jeżeli nikt temu nie podoła, co

wtedy? Colin nie potrafił sprecyzować detali, ale ogólny zarys wydawał się dostatecznie jasny i oczywisty. Nic dobrego z tego nie wyjdzie – co to, to nie.

Jak duża część krajowych zapasów zboża została zmagazynowana na obszarach, które nagle stały się całkowicie niedostępne w następstwie erupcji? Ile tysięcy krów, owiec i świń zdychało w tej właśnie chwili. Niedawno przeczytał krótki satyryczny felieton poświęcony farmie jaków na obszarze Gór Skalistych w stanie Kolorado. Czy ktoś próbował ocalić nieszczęsne, pieprzone jaki?

Tak, kraj znalazł się w opałach. Część świata pozostająca na łasce USA znalazła się w opałach również. I wszyscy pozostali także. Wciąż jeszcze dopijał pierwszą filiżankę kawy. A przecież nawet nie zaczął pochyłać się z troską nad kwestią zmian klimatycznych. Wstał i nalał więcej wody do dzbanka w mikrofali. Jeśli zamierzał pochylić się z głęboką troską, z pewnością potrzebował więcej kawy.

Stukanie do drzwi było głośne i zabrzmiało poniekąd jakoś urzędowo, jak gdyby facet, który stukał, miał w tym nie lada wprawę. Daniel wybrał się na uniwersytet, a Kelly, Ruth i Larry snuli się po jego mieszkaniu, czekając aż coś się wydarzy. Cóż, wreszcie coś się wydarzyło.

Larry poszedł do drzwi. Był mężczyzną. Postawa ta nie bardzo wprawdzie przystawała do dwudziestego pierwszego wieku, ale Kelly ani Ruth nawet nie drgnęły, żeby dotrzeć tam przed nim. Kelly na dobrą sprawę uświadomiła to sobie dopiero po fakcie.

Kiedy Larry otworzył drzwi, przed progiem stał gliniarz o najbardziej gliniarskim wyglądzie, jakiego w życiu widziała Kelly. Tak, bez dwóch zdań, on z pewnością wiedział, jak należy pukać do drzwi. Barki. Żuchwa. Bluza koloru khaki z policyjną odznaką. Pistolet przy biodrze. Uprasowane w ostre kanty spodnie, również w kolorze szarooliwkowym. Czarne buty z

cholewkami wyglancowane na wysoki połysk. Kapelusz sierżanta artylerii. Nawet odblaskowe okulary słoneczne.

– Tak? – powiedział Larry tonem, którego przekaz wydawał się absolutnie jednoznaczny. Musiał pan trafić pod niewłaściwy adres.

– Czy zastałem tu Miss Birnbaum? – zapytał gliniarz tubalnym głosem.

– To ja – pisnęła Kelly zupełnie zaskoczona.

Chyba najbardziej nagannym czynem, jakiego się dopuściła, było popalanie trawki od czasu do czasu. Wypada jednak dodać, że nie zaciągnęła się ziołem ani razu, odkąd zaczęła umawiać się z Colinem. Porucznik Ferguson nie krył wcale, że tego nie toleruje, trawka wciąż pozostawała na bakier z prawem, ponadto palenie zioła nie rajcowało jej aż tak bardzo. Zerwanie z trawką wcale nie było trudne.

– Panno Birnbaum, nazywam się Roy Schurz – przedstawił się policjant.

– Jestem komendantem policji w miasteczku Orofino, stan Idaho.

– Tak? – powiedziała Kelly beznamiętnie. – No i?

– Kiedyś służyłem w policji w San Atanasio, w Kalifornii – wyjaśniał Schurz. – Colin Ferguson to mój kumpel. Poprosił mnie o sprawdzenie, co mógłbym zrobić, żeby panią stąd zabrać. Jest pani gotowa do podróży?

Colin mówił wcześniej, że być może uda mu się pociągnąć za jakieś sznurki. Widocznie to właśnie miał na myśli. Porucznik Ferguson, o czym Kelly zdążyła się już przekonać, zazwyczaj dotrzymywał słowa. Sytuacja ta tak bardzo odbiegała od szarej codzienności, że musiała się z nią oswoić?

– Czy jestem gotowa? – powtórzyła bezwiednie.

– Tak, proszę pani – kontynuował komendant Schurz. – Przed domem stoi zaparkowany humvee z filtrem powietrza przystosowanym do warunków pustynnych. Tym autem tutaj dotarłem.

Na wypadek, gdybyś pomyślała, że przyskakałem tu na kiju ze sprężyną. Odblaskowe szkła nie pozwoliły dostrzec wyrazu jego twarzy, z której

emanował podziw dla osiągnięć terenowego auta.

– Wezmę tylko torebkę – zmitygowała się.

Wszystko tak nagle, pomyślała. Nie miała tu ze sobą wielu rzeczy. Wyściskała się z Ruth i Larrym.

– Podziękujcie ode mnie Danielowi po tysiackroć.

– Nie omieszkamy – z głosu Ruth Martinez przebijała nuta smutku, a bardziej nawet zazdrości.

Kelly podążyła za Royem Schurzem w kierunku samochodu. Był to humvee, nie hummer: pojazd wojskowy, wymalowany w wyblakłe pustynne barwy maskujące. Na wozie zamontowano największy karabin maszynowy, jaki Kelly potrafiła sobie wyobrazić. Za karabinem siedział żołnierz.

– Gwardia Narodowa – wyjaśnił Schurz. – Wypożyczyłem wóz właśnie od nich, wraz z Edwardsem tam na górze. Colin uważa, że jest pani wyjątkowa.

Nie dopowiedział wprawdzie I ki diabeł wie, dlaczego, jak na moje oko, ale przebijało to z jego głosu.

– Moim zdaniem on również jest wyjątkowy – zdołała odpowiedzieć Kelly.

– Dobrze. Kiedy on i Louise rozstali się, był tym do głębi zdruzgotany. Teraz znowu bardziej przypomina siebie z dawnych lat. – Schurz wykonał zapraszający gest. – Niech pani wskakuje do środka.

Musiła wykonać wysoki skok; humvee wyposażono w wielgachne opony. Kelly wgramoliła się na górę. Siedzenie okazało się niezbyt funkcjonalne. Komendant Schurz usiadł po stronie kierowcy. Silnik być może mógł się chlubić pustynnym filtrem powietrza, ale i tak zgrzytał niemiłosiernie. Rzecz jasna, prawdopodobnie zainstalowano w nim taki filtr, gdyż ten bojowy wóz zaliczył niejedną akcję w Iraku albo

Afganistanie. Nie wyglądał na nowy ani nawet na prawie nowy. Pojazd przejęto z demobilu, wcześniej na wyposażeniu armii zawodowej, w stanie wciąż na tyle dobrym, że nadawał się do służby w jednostkach Gwardii Narodowej stanu Idaho. Istniały szanse, że silnik zgrzytał tak niemiłosiernie już od dobrych paru lat.

Roy Schurz wrzucił bieg. Wojskowy pojazd jechał tak, jakby pogubił amortyzatory gdzieś w okolicach Kandaharu, co do tego nikt nie miał choćby cienia wątpliwości.

– Czy naprawdę potrzebny jest nam strzelec pokładowy? – Kelly musiała się wydzierać wniebogłosy, żeby mógł ją usłyszeć.

– No cóż, nigdy nie wiadomo – odkrzyknął Schurz.

Za jadącym humvee unosiły się gęste tumany i kłęby wulkanicznego pyłu. Komendant z Orofino wyciągnął z kieszeni bluzy chirurgiczną maskę i założył ją jedną ręką. Kapelusz typu Smokey Bear osunął się na jego kolana zaledwie na sekundę czy dwie, nie więcej. Wyciągnął drugą maskę i podał ją Kelly.

– Pani osobisty filtr powietrza.

– Dziękuję.

Założyła maskę. Kiedy obróciła się, żeby spojrzeć na Strzelca pokładowego – Edwardsa – stwierdziła, że on również przywdział maskę. Im mniej wulkanicznego pa skudztwa dostanie się do płuc, tym lepiej. Duże ilości pyłu mogły doprowadzić do śmiertelnego zejścia w niedługim czasie. Nawet nieduże ilości musiały być szkodliwe. Dwadzieścia, trzydzieści czy pięćdziesiąt lat temu należałoby oczekiwać lawinowo rosnącej liczby przypadków międzybłoniaka, nowotworu błon surowiczych. Udział włókien azbestu w tym, co superwulkan wyrzucał do atmosfery, nie mógł być wprawdzie znaczący, ale jeśli uwzględnić ogólną ilość uwolnionej

materii wulkanicznej, szacowaną na ponad tysiąc i więcej kilometrów sześciennych, to nagle okazało się, że było go sporo dookoła.

Uzbrojony w strzelbę policjant z komendy w Missouli pełnił wartę na rogatkach miasta. On także miał na twarzy maskę przeciwpyłową. Pomachał w stronę wojskowego humvee, kiedy wóz zjeżdżał na drogę krajową US-12 zmierzającą na południe.

– Orofino najwidoczniej nie leżało przy szlaku autostrady międzystanowej. Komendant Schurz odwzajemnił pozdrowienie z poważną miną.

– Czego on strzeże? – chciała wiedzieć Kelly. – Czy jego zdaniem, ktoś zamierza ukraść autostradę?

– No cóż, nigdy nie wiadomo – powtórzył Schurz. Wyrazu jego twarzy, w masce i w okularach, nie dało się niemal wcale odczytać. Sposób, w jaki wiercił się na twardym, niewygodnym siedzeniu kubełkowym, podpowiedział Kelly, iż policjant zrozumiał, że musi odpowiadać mniej lakonicznie. – Ludziom zaczyna powoli brakować wszystkiego. Organizują zbrojne konwoje towarzyszące dostawom żywności i paliwa. Jak dotąd nie mieliśmy wielu kłopotów i nikt nie chce być tym pierwszym, wie pani?

– Tak myślę – odparła.

Jakie rzesze ludzi w tych dniach z trudem tylko mogły dostać się do supermarketu sieci Safeway albo stacji benzynowej koncernu Mobil? Jak wielu z nich nie mogło sięgnąć po mielone mięso czy benzynę z braku forsy, choć pozornie towary te mieli w zasięgu ręki? Ilu z nich posiadało broń palną? W tej części kraju zapewne całkiem niewielu. Cóż uczyniliby, gdyby zmorzył ich głód lub gdyby wpadli w desperację z innego powodu? Jeśli człowiek staje przed wyborem: sięgnąć po coś, czym napełni brzuch czy głodować, któż zawaha się przed kradzieżą i rozbojem?

– Mamy tu w wozie kilka kanistrów z paliwem – ciągnął temat komendant Schurz, jakby ona w ogóle się nie odezwała. – To jeden z powodów, dla których zabrałem ze sobą Edwardsa. Nic tak nie pobudza w ludziach uczciwości, jak żołnierz z naładowanym karabinem maszynowym kalibru 12,7 milimetra.

– Boże, mówi pan zupełnie jak Colin! – wyrwało się Kelly i z miejsca targnęła nią mocniejsza tęsknota niż ta, jaką odczuwała zazwyczaj, mimo iż wreszcie wydostała się z matni w Missouli i w istocie rzeczy zmierzała ku niemu.

Szef policji z Orofino (czy nazwa ta znaczy po hiszpańsku czyste złoto!) zachichotał.

– Wcale mnie to nie dziwi, bo przecież kto z kim przestaje, takim się staje. To się zdarza, jeśli przez kilka lat jeździ się na wspólne patrole. To prawie jak w małżeństwie, z tym że bez dobrodziejstw ołtarza.

Nie bardzo wiedząc, co powiedzieć, Kelly zamilkła. Powoli zaczęli wspinać się w kierunku gór, pokrytych cienkim kilimem popiołu, odrobinę zbyt ciemnym i ociupinę zbyt brązowym, by mylnie uznać go za brudny śnieg. Większość pokrywy chmur na niebie formowały zwykłe obłoki. Dzień był posępny, chłodny i ponury. A mimo to w sercu czuła się radosna jak skowronek na wiosnę. Wreszcie, wreszcie, wreszcie wyrwała się z Missouli!

Z drogi, którą jechali, oprócz ich wozu bojowego niekorzystało niemal żadne auto. Nie miała pojęcia, ilu ludzi w normalny dzień jeździło trasą US12, ale z pewnością większy ruch musiał mieć miejsce dalej na południe. Tuż po przekroczeniu granicy z Idaho Schurz zjechał na pobocze. W niektórych miejscach trawa wyłaniała się spod powłoki popiołu. Tu właśnie przebiegała zachodnia rubież strefy sedymentacji wulkanicznego pyłu.

– Czy, hm, z naszym humvee wszystko jest w porządku? – zaniepokoiła się Kelly.

– Równie w porządku, co zawsze – odparł. – Muszę dolać trochę paliwa. Ten wóz potrafi więcej niż jeep, ale, Jezu Chryste, żre paliwo jak smok.

Przy pomocy ciągle milczącego Edwardsa opróżnili dwa kanistry pomalowane barwami maskującymi i napełnili bak. Potem Schurz usiadł ponownie za kółkiem, odpalił maszynę i ruszył w kierunku Orofmo.

ROZDZIAŁ XIII

Sprawy w Kansas układały się zapewne lepiej niż w Kolorado. Vanessa żywiła takie przekonanie, mimo że oddychała przez trzy maski, nałożone jedna na drugą i nosiła na okrągło pływackie okulary, nie zdejmując ich nawet podczas snu. Oczy swędziały ją jednak przez cały czas; zbyt późno zdołała zdobyć gogle. „Nie mogła ich zdjąć, żeby przetrzeć gałki oczu, zaaplikować krople Visine czy w innym celu. W powietrzu wciąż unosiło się zbyt dużo drobnych frakcji pyłu.

Picklesowi wiodło się nawet jeszcze gorzej niż jej. Nie mógł nosić maski ani okularów, biedaczysko. Nie miała pojęcia, co z nim począć. Nie mogła trzymać go cały czas w nosidełku, ale też nie mogła puścić go wolno. Wciąż miała paskudne zadrapania po tym, jak usiłowała wyciągnąć go spod przedniego siedzenia toyoty. Musiała dotrzeć do jakiegoś miejsca, gdzie w końcu będzie mógł zażyć trochę ruchu – ona zresztą też.

W torebce trzymała rewolwer kalibru 9 milimetrów. Kiedy miała dwanaście lat, ojciec nauczył ją, jak posługiwać się bronią palną. Nigdy jednak nie skorzystała w praktyce z tych lekcji. Zawsze bardziej obawiała się napadu szaleńcy, chwili głupoty czy totalnej desperacji niż sytuacji, gdy w obronie własnej z konieczności wywalił magazynek w bandziora. Ale czasy, czasy się zmieniały, jak śpiewał Bob Dylan.

Pistolet kupiła w Pueblo. Miejsce położone o kolejnych sto mil z niewielkim okładem dalej od superwulkanu nie zostało tak mocno pokiereszowane jak Denver. Zatrzymała się, żeby zatankować i zamontować nowy filtr paliwa. Przeplaciła słono po dziesięć dolców za galon benzyny oraz dodatkowe pięć dych za filtr, ale nawet nie pisnęła. Koszty będzie mogła podliczyć później. Teraz nadszedł czas, by uczynić to, co musiała uczynić.

Facet, który wziął od niej pieniądze, miał już założone gogle.

– Gdzie pan to dostał? – zapytała prostu z mostu, nie kryjąc zazdrości.

– Walgreens wciąż jest otwarty. – Wskazał na drugą stronę ulicy.

Z ledwością dostrzegła szyld przez tumany pyłu, ale stanęła tam, gdy tylko gość skończył majstrować przy jej samochodzie. Facet nosił również maskę przeciwpylową i przypuszczalnie brał także dolę od obrotów w sklepie drogerijnym.

Popiół wulkaniczny dostawał się do środka za każdym razem, kiedy otwierały się automatyczne drzwi. Mimo to, podobnie jak w jej aucie, także powietrze wewnątrz drogerii Walgreens wpływało na poprawę ogólnego stanu rzeczy. Dostrzegła wyłożone na półkę gogle z paskami z plastiku w jaskrawych kolorach.

Jeżeli chodzi o maski, to zostały tylko trzy pudełka.

– Jedno pudełko na klienta, proszę pani – oznajmił sprzedawca, gdy próbowała wykupić je hurtem. – Zależy nam na rozprawieniu ich wśród możliwie największej liczby osób.

Dostrzegła w tym jakąś logikę, nawet jeśli niespecjalnie przypadło to jej do gustu. W przeciwieństwie do faceta ze stacji benzynowej ekspedient z drogerii Walgreens nie zdarł z niej skóry za zrobione u niego zakupy.

– Jak długo zamierza pan tu zostać? – zapytała, kiedy zakładała gogle.

– Nie wiem. Jeszcze jakąś chwilę. Zobaczą, czy sprawy pójdą ku gorszemu, czy ku lepszemu – odpowiedział.

– Lepiej raczej nie będzie – orzekła Vanessa z głębokim przekonaniem.

– Cóż, być może ma pani rację – odparł, a jego słowa musiały znaczyć Nie zamierzam w ogóle słuchać ciebie, paniusiu.

Założyła również jedną z zakupionych masek, zanim wyszła na zewnątrz. Różnica być może była rzeczywista albo jej wyobraźnia za długo pracowała na zbyt wysokich obrotach. Wtedy właśnie zauważyła sklep z bronią,

między drogerią a sklepikiem z tropikalnymi rybkami. W salonie z rybkami panowała ciemność, ale światło wciąż było zapalone w sklepie z bronią. Posiadanie prawdziwej broni, gdzieś pośrodku – tego – uznała za znakomity pomysł. Weszła do środka.

Mężczyzna za ladą wyglądał jak sklepowy konsultant. Akurat przekartkował – o dziwo! – magazyn dla myśliwych, ale odłożył pismo.

– W czym mogę pani pomóc? – zapytał.

– Zdołałam dotrzeć aż tutaj z Denver – odpowiedziała Vanessa. – I zamierzam jechać dalej. Być może przyda mi się coś, co wyrówna moje szanse, na wypadek gdyby moje auto nie podzielało tego zamiaru. Pistolet mógłby okazać się całkiem przydatny. Skinął głową, potakując.

– O ile wie pani, jak go obsługiwać.

– Mój ojciec jest gliniarzem w Kalifornii.

– W takim razie prawdopodobnie wie pani – przyznał. – Musi pani tylko wypełnić kilogamy formularzy.

– O ile nie obowiązuje jakiś okres oczekiwania – odparła Vanessa. – Nie mam zamiaru czekać.

– Nie w tym stanie – zapewnił ją. – Mimo to muszę przeprowadzić wstępną weryfikację, czy spełnia pani kryteria. W tej chwili telefony nie działają, podobnie zresztą jak Internet. – Potarł dłonią brodę. – Proszę się odwrócić.

– Ze co? – Vanessa, nieco zbita z pantałyku, odwróciła się.

– Spodobała mi się pani prezencja z przodu – wyjaśnił mężczyzna. – Tył również spełnia kryteria, bez dwóch zdań. Sprzedam więc pani broń, a wszystkie formalności załatwimy potem... o ile będzie jakies potem.

– Dziękuję – powiedziała Vanessa, z większą szczerością, niż zwykła to czynić rutynowo. Podała mu swoją kartę Visa.

– Proszę bardzo.

Wziął plastikowy kartonik, ale przez kilka sekund nic z nim nie robił. Czyżby zamierzał zaproponować jej również obciążenie laski czy coś w tym stylu? Jeśli to zrobi... Nie do końca wiedziała, jak się wtedy zachowa. W normalnych czasach powiedziałałaby mu, żeby sam sobie zwałił konia. W normalnych czasach jednak nie wylądowałaby w sklepie z bronią w Pueblo, w stanie Kolorado. Konieczne potrzebowała spluwy. Gdyby facet doszedł do przekonania, że jemu też jest potrzebna...

Na szczęście jednak nie doszło do tego.

– Powinna pani – powiedział tylko – zachować ostrożność na drodze, pani, hm... – spojrzał na mały plastikowy prostokąt, jaki trzymał w dłoni – Ferguson. Pistolet z pewnością niejedną raz wybawi panią z poważnych opresji. Ale, przede wszystkim, być może nie powinna pani pchać się tam, gdzie czekają poważne kłopoty.

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Gdybym nie wyrwała się w Denver, co przecież uczyniłam, ugrzęzłabym tam jak w matni. Jeśli pan nie ruszy stąd tyłka, i to całkiem szybko, również utknie tu pan i to na dobre.

– Ciągłe to rozważam – przyznał. Vanessa powstrzymała się od dalszego komentarza; w końcu była uciekinierką, nie misjonarką. – Zamierza pani kupić także kilka pudełek z nabojami, mam rację? – zapytał jeszcze.

– Właśnie dlatego Bóg stworzył karty kredytowe – potwierdziła Vanessa.

Gdy tylko znalazła się z powrotem w samochodzie, załadowała rewolwer kalibru 9 milimetrów. Był to model z automatycznym odwodzeniem kurka przy pociągnięciu za spust; pozwalało to załadować naboje po kolei do każdej komory bębena. Tak też uczyniła. Poczuli się pewniej, gdy to zrobiła. W sklepie z bronią o mały włos nie stanęła przed koniecznością dokonania bardzo paskudnego wyboru. Gdy wyruszy w drogę, nie

zabraknie tam sukinsynów, którzy z pewnością bez skrupułów nie pozostawiają jej żadnego wyboru.

Jeśli przedostanie się z powrotem na autostradę międzystanową, dojedzie do stanu Nowy Meksyk. Gdy wybierze w zamian drogę krajową US 50, to przejedzie preriami Kolorado aż do prerii w Kansas. Stan Kansas jednak niespecjalnie wodził ją na pokuszenie. Czasami przecież nie dostawało się tego, czego się pragnęło. Od momentu, gdy zjechała z międzystanówki 1 – 25, nie upłynęło wiele czasu, lecz kiedy na nią wróciła, samochody opuszczały wjazd na autostradę. Z pewnością nie mogło to wróżyć nic dobrego.

I nie wróżyło. Policjant w masce przeciwwgazowej z częścią twarzową o kształcie świńskiego ryja – która z pewnością działała skuteczniej niż gogle i maseczki chirurgiczne – wymachiwał czymś, co wyglądem przypominało miecz świetlny o pomarańczowej głowni. Wykrzyknął coś w kierunku Vanessy. Nie zdołała zrozumieć, o co mu chodzi. Opuściła szybę, robiąc tylko wąską szczelinę, chociaż bez entuzjazmu. Pył dostawał się do środka.

– Autostrada międzystanowa jest zamknięta – oznajmił gliniarz, mówiąc przez maskę przytłumionym głosem, dochodzącym jakby spod wody. – Na południe od miasta do szło do wielkiego karambolu. Takiego chaosu i zamętu nie widziała pani w życiu, przysięgam na Boga.

Vanessa raczej w to powątpiewała. W końcu niejedną raz widziała karambole w Los Angeles. W tym momencie ogarnęły ją wątpliwości, co powinna uczynić dalej. Cały nawiewany przez wiatr pył mógł zrobić z autostradą 1-25 to samo, co tak zwana mgła oczeretów wyczynia w Dolinie Kalifornijskiej – potrafi przemienić autostradę międzystanową 1-5 w Rzeźnię numer pięć, co na dobrą sprawę zdarzało się każdej zimy. Dwadzieścia, pięćdziesiąt lub nawet osiemdziesiąt samochodów osobowych, furgonetek i ciężarówek zamieniało się w sterty pogiętej blachy

karoseryjnej; niektóre wraki płonęły, a oszołomieni i zakrwawieni ludzie kręcili się w bezładzie, kaszląc od dymu. Co jakiś czas dochodziło do nowej kraksy, której towarzyszył zgrzyt metalu i brzęk szkła, kiedy kolejny głupol nie zdołał na czas wypatrzeć karambolu przed nim...

– Może zamiast tego pojedę na wschód – powiedziała, dodając w duchu niech piekło pochłonie Horace’a Greeley a.

– Rozsądny plan – pochwalił policjant głosem jak nie z tego świata. – Jeśli na pięćdziesiątce są jakieś rozbite auta, z pewnością nie utknęły blisko Pueblo.

Innymi słowy, że nie musiał już sobie zawracać tym głowy. Ale przy okazji dystans między nią a superwulkanem wzrośnie o ileś tam dodatkowych mil. Uwzględniając standardy dużo nowszych autostrad międzystanowych, droga krajowa US 50 była stara i mocno zużyta. Przede wszystkim jednak wciąż pozostawała otwarta dla ruchu, zatem Vanessa zagryzła zęby; jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma. Być może nie pojedzie tak szybko, jakby sobie tego życzyła, ale mimo wszystko będzie przemieszczać się dalej. Usiłowała zignorować miaukliwe lamenty Picklesa, z równym jednak skutkiem, jak ignorowanie bólu zęba.

Pobocza drogi krajowej zapełniały się autami, które definitywnie odmówiły posłuszeństwa. Dziękowała Bogu za nowy filtr powietrza, który zainstalowała w Pueblo. Od czasu do czasu natrafiała na samochód, jaki rozkraczył się na dobre na środku jezdni. Kilka razy omal nie wjechała w kufer takiego nieszczęśnika. Czy od tego właśnie wziął początek gigantyczny karambol na międzystanówce 1-25? Wcale by jej to nie zdziwiło, by najmniej.

Znajdowała się mniej więcej o godzinę drogi – powiedzmy, jakieś trzydzieści pięć mil – od Pueblo, kiedy zaczęło padać. Gdy pierwsze duże krople zaczęły bębnić w przednią szybę, wydała z siebie radosny

wojowniczy okrzyk. Deszcz powinien wyplukiwać popiół z powietrza. Jeżeli będzie w stanie lepiej widzieć drogę przed sobą, pozwoli to jej pojechać szybciej.

Ale deszcz nie wypłukał z powietrza wszystkich drobin pyłu – unosiło się ich po prostu o wiele za dużo, by mogło tak się stać. Kiedy włączyła wycieraczki, uczyniły tyle samo pożytku, co szkody. Pióra przemieszczały po szybie drobne ziarenka, tam i z powrotem; słyszała to, niemal czuła fizycznie, drapanie najpierw w jedną stronę, potem w drugą. Drobiny skał, niektóre z nich co najmniej dorównujące twardością szklanej tafli, przesuwały się po niej ze zgrzytem. Na szerokiej szybie pojawiły się rysy w kształcie regularnych łuków. Nie było to łatwo rozmazujące się błoto, jak się przez chwilę łudziła; przednia szyba została porysowana na dobre.

Vanessa zaklęła równie głośno, co przed chwilą wojowniczo zakrzyknęła, zmuszając przestraszonego tym kota do natychmiastowego przerwania lamentów. Na autostradzie nagromadziło się tyle popiołu i pyłu, iż jechało się jej jak przez błoto, przynajmniej takie odnosiła wrażenie. I rzeczywiście tak właśnie było. W rezultacie musiała zwolnić jeszcze bardziej, zamiast docisnąć gaz, jak tego pragnęła.

Wypasiony cadillac escalade przemknął obok niej. Jego ogromne opony obryzgały błotnistą breją bok jej auta – i przy okazji boczne szyby. Potem ogromny SUV skręcił nagle na prawy pas, nieomal zajeżdżając jej drogę. Musiała depnąć ostro pedał hamulca, żeby nie uderzyć w jego tył czy, co bardziej prawdopodobne, nie wjechać pod niego. Kolejne packi błota rozbryznęły się na jej przedniej szybie. Wycieraczki czyniły, co w ich mocy, usuwając maź. Jednocześnie czyniły, co w ich mocy, by jeszcze bardziej porysować szklaną tafelę.

– Ty tępy, pierdolony palancie! – zawyła Vanessa i pokazała środkowy palec w kierunku escalade. Imbecyl za kierownicą krążownika szos

prawdopodobnie nie mógł dostrzec jej gestu, zwłaszcza przez zabrudzoną i porysowaną przednią szybę, lecz ten jej odruch emanował skrajną szczerością.

Potem przypomniała sobie o nowiusieńkim rewolwerze kaliber 9 mm trzymanym w torebce. Nigdy wcześniej nie potrafiła pojąć, co tak naprawdę doprowadza do strzelaniny na drogach z udziałem kierowców, którym puszczają nerwy. Zawsze uważała, że stanowiło to domenę oprychów z ogolonymi na łyso łbami i łzawymi tatuażami. Teraz wreszcie pojęła. Ktoś wyrządza ci krzywdę, ty zaś sięgasz po gnata i odpłacasz frajerowi pięknym za nadobne.

Wyobraziła sobie, że cadillac wpada nagle w poślizg i wylatuje z drogi, dachując – czyż wszystkie te parszywe sportowe ekskluzywne kolosy nie ważyły piekielnie dużo? – i staje w płomieniach. Wyobraziła sobie, że Palant, który nim kieruje, smaży się długo w ogniu, aż się przypala na węgiel, razem z panią Palantową i małymi Palanciątkami, przypiętymi do foteli pasami.

Odetchnęła głęboko, wzdrygając się przy tym i uczyniła wszystko, co tylko w jej mocy, by jednak nie sięgnąć do torebki. Wystarczyłby chwilowy atak szału i stałoby się najgorsze. Nie powinna – no cóż, nie wolno jej – ulec tego rodzaju pokusie. Ale ludzie ulegali, nieustannie. Nie, jej stary jeszcze nie tak prędko straci robotę w policji.

Gdy przywołała w myślach ojca, tak czy inaczej wsunęła jedną dłoń do torebki. Jednak zamiast spluwy, wyciągnęła telefon komórkowy. Być może teraz, gdy deszcz wypłukał z powietrza trochę pylistej zawiesiny, na wyświetlaczu pojawią się w końcu jakieś kreski.

Nic z tego. Mimo wszystko wybrała jego numer. I znów, bez powodzenia. Nic nie przychodziło. I nic nie wychodziło. Wyłączyła telefon i schowała do torebki.

Jechała zatem dalej, powoli. Uwzględniwszy fatalne warunki na drodze oraz opłakany stan nieszczęsnej, porysowanej przedniej szyby, powolna jazda była jedynym sposobem przemieszczania się do przodu. Większość ludzi zmierzających w kierunku Kansas wykazywała dość rozsądku, by oceniać sytuację w analogiczny sposób. Palant w escalade bez cienia wątpliwości ciągle pędził, co najmniej sto czterdzieści kilometrów na godzinę. Dawno już zniknął jej z oczu, jeżeli nawet w końcu go nie zastrzeliła.

Co jakiś czas ktoś stawał się adresatem podobnych życzeń. Nie upłynęło nawet piętnaście minut, kiedy przejechała obok cadillaca. Stał rozkraczony na poboczu z podniesioną maską. Pan Palant – który udowodnił, że nim jest, nie zakładając żadnej ochrony na usta i nos – gapił się z rozpaczliwą bezradnością na silnik. Jeżeli czekał na pomoc drogową oferowaną przez ludzi AAA, American Automobile Association, automobilklubu USA, to poczeka sobie długo, oj długo.

Schadenfreude, Vanessa nie tylko znała smak tego uczucia, znała również to słowo. Znajomość tego słowa dodatkowo wyostrzała emocjonalne doznania. Gdyby tylko seks działał w taki sam sposób! Ogromny SUV stopniowo malał w jej wstecznym lusterku, aż w końcu zniknął w deszczu i pyle.

Potem musiała nacisnąć gwałtownie pedał hamulca, aż ją zarzuciło. Ktoś przed nią nie zwolnił w dostatecznym stopniu, wpadł w poślizg na łasze świeżego błota na asfalcie i wypadł z drogi. Wypadek nie zablokował jednak drogi krajowej US 50 – przynajmniej jak do tej pory – ale z pewnością spowodował korki. Gdyby stary silnik jej toyoty doszedł do wniosku, że nadeszła właśnie odpowiednia pora na przegrzanie...

Dlaczego ciągle prowokujesz nieszczęścia? Vanessa zadała sobie pytanie w duchu. Czy nie masz jeszcze dość? W pewnym sensie pytania te

pozostawały bez odpowiedzi. W innym natomiast, odpowiedź na te pytania wydawała się niemal oczywista. Ściągała na siebie kłopoty, ponieważ taki typ jak ona z natury prowokował nieszczęścia. Jeśli sobie tego zażyczyła, mogła zwałać winę na ojca skąpiradło albo na fakt, iż przyszła na świat jako drugie dziecko. Mogła winić za to panią McKenzie, nauczycielkę z pierwszej klasy z jej neurotycznym – zróbcie coś z tym. Tak sobie myślała, przywołując w pamięci Wesa Jonesa, przyszywanego wujka, który mieszkał po drugiej stronie ulicy naprzeciw domu jej rodziców. Ale żadna z tych wymówek nie zmieniała istoty sprawy choćby na jotę. Vanessa kusiała złe licho i ściągała kłopoty.

Tym razem jednak, i to całkiem szybko, musiała podziękować losowi za przychyłość. Z chłodnicy starego gruchota nie unosiła się ku niebu smuga pary. Zdążyła zatrzymać się zaledwie o centymetry razem z kilkoma innymi kierowcami, ale wciąż były to centymetry. W wypadku uczestniczyły cztery samochody. Wyglądało na to, że nikt nie odniósł poważnych obrażeń. Mężczyźni mieli na sobie przemoczone ubrania i z ponurymi minami chodzili dookoła, diagnozując stopień uszkodzeń.

Kolejne bryzgi mazi poleciały na jej szybę, kiedy samochód jadący z przodu wyrwał z kopyta, jakby kierowca zobaczył przed sobą kawałek wolnej drogi. Zrezygnowana czekała cierpliwie, aż pióra wycieraczek uporają się z mazią, jednocześnie zostawiając na szkle kilka nowych zarysowań. Jedynym sposobem uniknięcia tego, czego doświadczała teraz, byłoby pozostanie w Denver. To, z czym zmagala się tu, okazało się być może kiepskim wyborem, ale ugrzęźnięcie w matni byłoby bez porównania gorszą opcją – chociaż nieszczęsny Pickles wyraziłby zapewne całkiem odmienną opinię.

Na dobrą sprawę miała na głowie więcej zmartwień. Ile pozostało jej gotówki po zapłaceniu drakońskich cen za paliwo i filtr powietrza? Czy

wystarczy jej na wypadek, gdyby znowu musiała zatankować? Jeśli zabraknie, to czy facet na stacji przyjmie kartę kredytową? Albo czy znajdzie działający bankomat? Szanse na to były całkiem spore, jak przypuszczała: skoro działały dystrybutory paliwa, to powinny również i bankomaty. Na razie jednak, dopóki wskazówka poziomu paliwa ciągle pozostawała wysoko nad kreską oznaczającą połowę baku, mogła śmiało pokonywać kolejne mile.

Pokonywanie dalekich tras wiązało się w tych dniach z ogromnymi wyrzeczeniami, przynajmniej w dużej części kraju, obejmującej w znacznej mierze te obszary, po których przemieszczała się ona: Do czasu, gdy przekroczyła granicę stanu i wjechała do Kansas, jej samochód zaczął wydawać z siebie jakieś piekielne odgłosy, nawet mimo nowego filtra powietrza. Ile wulkanicznego paskudztwa dostało się do silnika mimo filtra? Jezu, ile pyłu dostało się do baku, kiedy w Pueblo odkręciła nakrętkę i wlewała paliwo do zbiornika? Jakie szkody poczyniło to głównie w silniku? Ile spustoszenia czyniły drobiny pyłu zebranego na drodze wśród pozostałych ruchomych części auta. Jak długo zdołają jeszcze pracować? Dostatecznie długo? Pozostawała jej tylko nadzieja.

Mimo odgłosów, jakie wydobywały się z samochodu, przez moment zdobyła się na uśmiech. Musiała mieć chyba jakieś dziesięć lat, kiedy Rob, starszy o parę lat, otworzył jakiś atlas czy inną książkę na stronie z mapą USA.

– Zamierzają zbudować college w tym konkretnie miejscu – ogłosił, wskazując palcem na granicę między stanem, który dopiero co opuściła a tym, do którego właśnie wje chała.

– Tak? No i? – pamiętała swoje zaintrygowanie.

Starsi bracia bywali dostatecznie złośliwi, nawet jeśli nie pozwalało im się skakać sobie po głowie. Jeżeli natomiast pozwalało im się na to, wtedy

potrafili być wręcz nie do wytrzymania. Być może mając dziesięć lat nie znała jeszcze znaczenia tego słowa, ale rozumiała, o co w tym chodzi.

Miała też w pamięci jego filuterne spojrzenie. Uczył się dopiero wtedy, „jak to się robi”, co oczywiście oznaczało, że wszystko kojarzyło mu się z dupą.

– No i zamierzają zbudować tu First United Colorado-Kansas University (Pierwszy Zespólny Uniwersytet Kolorado-Kansas, przyp. tł.) – odpowiedział. – A skrót od tego będzie....

Vanessa rozumiała również, czym są akronimy, nawet jeśli w tamtym momencie mogła jeszcze nie znać tego słowa.

– FUCK U – zapiszczała przeraźliwie i roześmiała się tak głośno, z taką promienną zgrozą, że ich matka wbiegła do jej pokoju, pragnąc zobaczyć, co się tam, do diabła, wyprawiało. Oboje oczywiście zaprzeczyli, by robili cokolwiek naganego. Matka, dysponując wyłącznie otwartym atlasem, jako corpus delicti, nie była rzecz jasna w stanie udowodnić im popełnienia jakiegokolwiek występku.

Już wtedy można było przewidzieć, że Rob skończy, rżepoląc w zespole o nazwie Tryskająca Żaba i Ewoluuujące Kijanki. Vanessa nie zawracała sobie głowy muzyką, chociaż musiała przyznać, że z niektórych ich tekstów przebijała mądrość. Nie miała pojęcia, gdzie dokładnie przebywała teraz kapela – gdzieś daleko na wschodzie, o ile sobie przypominała. Jeśli pamięć jej nie zawodziła, szanse, że u Roba wszystko jest w porządku, wyglądały na całkiem spore.

Natomiast w odniesieniu do jej osoby czy Picklesa, czy też toyoty szanse te... Na desce rozdzielczej wyświetliło się na czerwono ostrzeżenie SILNIK WYMAGA PILNEGO PRZEGLĄDU.

Auto rozgrzewało się do czerwoności, chociaż biegnąca na wschód nitka drogi krajowej US 50, oddalając się od Gór Skalistych, wiodła w

przeważającej mierze z górki.

Jeśli samochód rozkraczy się teraz, jak daleko zdoła dojechać z góry na luzie? Do następnego wzniesienia, w każdym razie, a w okolicy tej wcale się od nich nie roilo. Ponadto dzieliły je od siebie spore odległości.

Przejechała przez Coolidge, tuż za granicą stanu, nieomal nie zauważając, że mija teren zabudowany. Zdziwiłaby się bardzo, gdyby ta pipidówka kiedykolwiek liczyła więcej niż stu mieszkańców. Ilu pozostało tu do tej chwili, a ilu dało drapaką, kiedy doszło do erupcji superwulkanu? Tego nie dowie się nigdy.

Droga krajowa US 50 biegła równolegle do rzeki Arkansas. Deszcz zmył część popiołu z drzew rosnących wzdłuż jej brzegu, zatem wyglądem nieco bardziej przypominały same siebie z dawniejszych czasów. Rzeka natomiast niosła mętne wody, mocno wezbrała i wydawała się groźna, mimo iż opady deszczu wcale nie były intensywne.

Przez chwilę Vanessa zastanawiała się nad ewentualnymi przyczynami. Potem stara, sprawdzona, metaforyczna żarówka zaświeciła nad jej głową. Deszcze spłukiwały wulkaniczny popiół z drzew, to pewne, i z traw i ogólnie z podłoża. I spłukiwały ten popiół... wprost do rzeki. Gdzież indziej mogło się podziać to dziadostwo?

Ile upłynie czasu, zanim rzeka Arkansas wystąpi z brzegów? Missouri prowadziła nurt znacznie bliżej miejsca erupcji, co mogło oznaczać jedynie, że zgromadziły się w niej znacznie większe masy popiołu. Zatem jej wody powinny wcześniej przekroczyć stany alarmowe, o ile jeszcze nie wylały. To samo zresztą odnosi się do innych rzek rozpoczynających bieg na obszarze Gór Skalistych i wpadających do Missisipi.

Rzeki te poniosą popiół wulkaniczny i w końcu zrzucą ten ładunek do Missisipi, nazywanej zwyczajowo Ojcem Wód. Co się stanie, kiedy Wielki Błotnisty nurt zamieni się w Wielki Bardziej Błotnisty nurt, a potem w

Wielki Najbardziej Błotnisty nurt. Vanessa nie potrafiła wyobrazić sobie szczegółów, ale detale te dotyczyły jednej z tych sytuacji, kiedy ogólny zarys najzupełniej wystarczał. Ogólny zarys sprowadzał się do niezmiernych mas błotnistej wody, występującej z brzegów i zatapiającej olbrzymie obszary.

Silnik leciwej toyoty zakrzuszył się. Ogólny zarys natychmiast uleciał jej z głowy. Poczła się tak, jakby ktoś wsunął jej kostki lodu pod bluzkę na plecach. Istota ludzka wydająca z siebie podobne odgłosy byłaby zapewne w stanie agonalnym, spowodowanym rozedmą płuc. Silnik również dogorywał. Z tą różnicą, że mechanik samochodowy nie zdiagnozowałby rozedmy płuc, ale summa summarum sprowadzało się to do jednego i tego samego.

Dotarła do Syracuse. Tablica informacyjna przy drodze z dumą proklamowała, że można tutaj dostać paliwo. Informowała też, że można tu dostać żywność. Istniała też szansa, że żywność dało się przerobić na paliwo, chociaż akurat na ten temat szyld się nie zająknął.

Jechać dalej? Zatrzymać się? Czy chciała utknąć na dobre pośrodku niczego, jeśli auto wysiadzie na amen gdzieś pomiędzy miastami? Ale tak naprawdę, czy już nie dotarła do środka niczego? Czy bardziej się jej opłaca pozostać wśród ludzi, czy jednak powinna trzymać jak największy dystans od bliźnich?

Postanowiła jechać dalej. Dylemat, czy decyzja ta czyniła z niej optymistkę czy jednak pesymistkę, rozważy później, kiedy będzie miała czas. O ile będzie jeszcze miała. To zaś wydawało się coraz mniej i mniej prawdopodobne.

Gdy minęła Syracuse tablice obwieszczały, że kolejnym miastem przed nią jest Garden City. Sposób, w jaki szyldy to obwieszczały, sugerował, że Garden City powinno być naprawdę czymś więcej niż pipidówką. Były tam

hotele i motele, lokale sieci fast foodów oraz rzeźnie, w których prowadzono rozbiór i paczkowanie mięsa. Niektóre z tablic miały napisy zarówno po angielsku, jak i hiszpańsku: Widywała, rzecz jasna, takie szyldy w Los Angeles i w Denver. Hiszpański to przecież język, z pomocą którego odwalano w USA sporą część ciężkiej roboty.

Ale w miejscu takim, jak Garden City w stanie Kansas? Najwidoczniej tak. Temat ten już po chwili przestał znaczyć dla Vanessy cokolwiek. Silnik ponownie się zakrztusił. Tym razem jednak zabrzmiało to bardziej jak objaw jednostki chorobowej o nazwie oddech Cheyne'a-Stokesa niż jak rozedma płuc. I podobnie jak w przypadku delikwenta z oddechem Cheyne'a-Stokesa, jej auto wydało ostatnie tchnienie. Zapaliły się wszystkie czerwone i żółte lampki kontrolne. Gdy zorientowała się, że zdoła jeszcze ujechać trochę na luzie, dotoczyła się najdalej, jak to tylko możliwe. Potem zjechała na pobocze i stanęła.

Z chwilą, kiedy ruch ustał, Pickles przestał biadolić jak syrena ogłaszająca alarm przeciwlotniczy.

– No dobrze, co powinnam teraz począć? – zapytała na głos, rozkoszując się nagłą ciszą.

W zasadzie miała dwie opcje do wyboru; będzie siedzieć plackiem, nie ruszając się z miejsca albo pójdzie piechotą w kierunku Garden City. Jeśli nie ruszy stąd tyłka, będzie musiała liczyć na kogoś w miarę poczciwego, kto ją ocali, zanim z konieczności uda się pieszo do Garden City. Jeżeli wyjdzie na zewnątrz, będzie się czuła jak ślimak bez muszli. Ona i Pickles – zwłaszcza Pickles – będą oddychać na otwartej przestrzeni powietrzem, które przed chwilą doprowadziło do agonalnych konwulsji jej auto.

W telewizyjnym quizie robili przynajmniej przerwy na reklamy. Kiedy kamera powracała do studia, ona znała już prawidłową odpowiedź, którą znajdowała z największą łatwością. Albo kamera przechodziła na kogoś

innego, ona zaś wyjaśniała pełnej podziwu przyjaciółce, jak wpadła na właściwą odpowiedź.

Niestety, życie to nie montażownia i na dało się wycinać z niego ujęć. Nie miała pojęcia, jak brzmi prawidłowa odpowiedź, nie wiedziała nawet, czy taka odpowiedź w ogóle istnieje. Jednakowoż nie dotarłaby aż tak daleko, gdyby nie ruszyła tyłka z miejsca. Wzięła ze sobą Picklesa i okrojona wersję ruchomego majątku zabranego z Denver – żelazne racje żywnościowe, tampony, kilka par skarpetek i majtek oraz parasolkę – i zaczęła iść.

Z miejsca ucieszyła się z parasolki. Deszcz wymieszał się z popiołem do tego stopnia, że wszystko, czego tknęły krople, robiło się bardziej zabłocone. Dotyczyło to również jej džinsów od kolan w dół, ale temu w zasadzie nie mogła zaradzić. Na dobrą sprawę nie mogła w żadnej mierze zaradzić niczemu. Mogła jedynie żywić nadzieję, że jej stopy nie zamienią się w pęcherze, zanim zdoła dojść do Garden City.

Raz o mało co nie poślizgnęła się w błocie. Potem jakieś auto obryzgało ją jeszcze jedną porcją mazi. Jeśli tak miała iść dalej, będzie upačkana po uszy w błocku, nim dojdzie do rogatek miasta. Minął ją kolejny samochód, nie szczczędząc jej kolejnych bryzgów.

Nie przestawała iść.

Colin pożałował czasu zmarnowanego na płasy autostradą międzystanową 1-5 z Los Angeles do aglomeracji San Francisco, nazywanej inaczej Bay Area. Samolotem dotarłby na miejsce szybciej, uwzględnivszy nawet cały ten cyrk związany z bezpieczeństwem – kontrolą security. Pył w powietrzu uziemił jednak samoloty na dobre. Jeśli człowiek chciał gdzieś się dostać, musiał wyruszyć w drogę autem.

Żywił nadzieję, że jego taurus temu podoła. W tych dniach daleka jazda samochodem także równała się igraniu z losem. Superwulkan nie przysypał

Kalifornii popiołem z taką szczodrością, jak uczynił to w stanach na obszarze Gór Skalistych oraz na ogromnych połaciach prerii. Mimo to całun z popiołu pokrywał ziemię, a pylista zawiesina w powietrzu wykańczała nie tylko turbiny samolotów. Nie wywierała dobroczynnego wpływu także na silniki samochodowe.

Wybrał trasę przez Grapevine, tak czy inaczej. Ten długi i stromy podjazd przy wyjeździe z Los Angeles niepokoił go wprawdzie, ale udało mu się pokonać wzniesienie i właśnie zjeżdżał w dół po drugiej jego stronie. Wcześniej rozważał, czy nie pojechać autostradą nr 1 aż do samego Berkeley; wzdłuż wybrzeża z pewnością mniej popiołu unosiło się w powietrzu. Ale chociaż widoki roztaczające się z trasy Pacific Coast Highway potrafiły zapierać dech w piersiach, jazda tą autostradą była powolna i męcząca. Nie dało się po prostu zapierdzielać, trasą PCH; trzeba było jechać. Zaryzykował więc i postawił na szybkość, a teraz właśnie odbierał nagrodę.

Międzystanówka 1 – 5 jak po sznurku biegła prosto przez Dolinę Kalifornijską. Droga ta prowadziła na skróty na północ, ponadto droga ta prowadziła prosto na północ. O ile człowiek nie zasnął za kierownicą, należało ruszyć na wprost przed siebie i tak jechać. Górskie pasma po obu stronach na horyzoncie, pola w szachownicę wzdłuż pozbawionej zakrętów drogi, co jakiś czas miasteczko. Krajobraz nie zmieniał się, w przeciwieństwie do licznika pokonywanych mil.

W pewnym momencie powietrze zmieniło się i to wcale nie na lepsze. W pobliżu Kettleman City (które de facto nie jest wcale dużym miastem) działa punkt spędu i załadunku bydła rozwożonego potem na targowiska. Przez kilka minut wdycha się tu skoncentrowaną esencję bydlęcego gówna, dopóki nie opuści się strefy skażenia. Potem powietrze znowu staje się kryształowo czyste, a człowiek stwierdza z ulgą, że uwolnił się od smrodu

tego, co wcześniej krowy uwolniły ze swoich przepastnych i złożonych żołądków.

Powietrze stawało się kryształowo czyste, z małym jednak ale. Odór, rzecz jasna, znikał. Ale pylista zawiesina pozostała. Najbardziej zagęszczona w pobliżu międzystanówki, gdzie opony oraz podmuchy wiatru powodowane przez pędzące samochody nieustannie wzburzały i mieszały to, co tak wiele mil stąd wypluł z siebie superwulkan.

Światło słoneczne wydawało się blade. Nie chodziło tylko o popiół zawieszony w niskich partiach atmosfery; w grę wchodziło także gównem sformowane przez drobinki o mniejszej średnicy – zawiesina pylista – którą erupcja wyrzuciła aż do stratosfery. Zachody słońca wciąż prezentowały się nieprawdopodobnie widowiskowo, demonstrując wszystkie kolory tęczy. Niekiedy barwne tony wyglądały jak rozrzucone po niebie na chybił trafił, zupełnie jak na płótnach Jacksona Pollocka, kiedy indziej zaś układały się równo i regularnie, jak warstwy w koktajlu ponssecafe. Każdego dnia pojawiała się inna feeria barw i wzorów. Tam do diaska, obrazy na niebie zmieniały się z minuty na minutę. Pewien starożytny Grek, zdaniem którego nigdy nie dało się wejść dwa razy do tej samej rzeki, wiedział z pewnością, o czym mówił. Człowiek z trudem wchodzi do tej samej rzeki nawet jeden raz.

Było chłodno. Colin wmawiał sobie, że nie musiało to wcale znaczyć czegokolwiek. Do Kalifornii jesień nie przychodziła w taki sposób, jak do zdecydowanej większości innych miejsc. Mogło być gorąco albo chłodno lub gorąco, a potem chłodno. Jedynymi drzewami, które zmieniały kolor liści, były nieliczne platanowce, ale nie zmieniały one szaty aż do nadejścia Święta Dziękczynienia w październiku. Zatem chłodna aura teraz nie musiała oznaczać, że superwulkan spowodował zmiany, przed których pojawieniem Kelly przestrzegała.

Nie, wcale nie musiała oznaczać. Ale z pewnością istniało takie prawdopodobieństwo.

Colin zdołał dojechać do Berkeley przed zapadnięciem zmroku. Odczuwał zado wolenie z tego powodu. Znał obszar aglomeracji Bay Area na tyle dobrze, by się w nim jak tako orientować, ale tylko jako tako. Jazda po zmroku wymagałaby po prostu więcej wysiłku.

Zdołał jakoś dojechać do ulicy, przy której mieszkała Kelly i, tam do licha, jeśli nie udało mu się znaleźć miejsca do parkowania może ze dwie długości auta dalej od miejsca, gdzie zaparkował podczas poprzedniej wizyty w Berkeley. Wolne miejsce nieznacznie tylko przekraczało długością jego forda taurusa, ale w zupełności wystarczyło. Wiele rzeczy nie potrafił wprowadzić zrobić, ale na Boga, zdołał zaparkować równolegle do krawężnika.

Od czasu jego ostatniej tu bytności w jej budynku zainstalowano zamek z domofonem w trosce o bezpieczeństwo. Skinąwszy głową z aprobatą wybrał na bloku klawiszy cyfry 274 – numer jej mieszkania i nacisnął przycisk dzwonka.

– To ty, Colin? – głos Kelly dobiegł z taniego głośnika, zupełnie jak gdyby był to telefon zrobiony z blaszanych puszek połączonych zbyt słabo naprężonym sznurkiem.

– Kogo innego się spodziewałaś? – Musiał zapytać dwa razy; za pierwszym razem zapomniał nacisnąć klawisz z napisem ANSWER.

– Mógłbyś być tajskim jedzeniem na wynos – odpowiedziała, kiedy wykonał wszystko jak należy. Zamek w drzwiach szczęknął. Otworzył je, odczekał, aż zamknęły się za nim i pomknął pędem schodami na górę, jak ktoś o połowę od niego młodszy. Jeśli to nie miłość, to bez dwóch zdań musiała to być jej bardzo przyzwoicie wykonana reprodukcja.

Kelly otworzyła drzwi, kiedy wciąż jeszcze szedł w ich kierunku. Żałował, że nie kupił kwiatów. Żałował, że nie jest facetem, który pomyśli o kupieniu kwiatów, zanim, do cholery, nie zrobiło się za późno. Rzecz jasna, gdyby był facetem tego pokroju, zapewne wciąż pozostawałby mężem Louise.

Był jaki był. Znalazł się również w miejscu, w którym się znalazł i odczuwał z tego powodu cholerną frajdę. Objął Kelly i przytulił się do niej ze wszystkich sił, podobnie jak ona przylgnęła do niego. Nie cechował się szczególną wylewnością w wyrażaniu uczuć – wprost przeciwnie w istocie rzeczy – ale gdy trzymał ją w ramionach, poczuł się tak, jakby znalazł koło ratunkowe gdzieś na północnym Atlantyku tuż po tym, gdy torpeda trafiła frachtowiec, którym płynął.

– Jezu, jak dobrze cię widzieć! – rzekł chrypliwym głosem.

Poniekąd w odpowiedzi przechyliła głowę, chcąc nadstawić usta do pocałunku. Zanim zdążył ją pocałować, domofon w jej mieszkaniu znów zadzwonił. Zrobiła kwaśną minę.

– Przykro mi, zaczekaj chwilkę – powiedziała i wbiegła z powrotem do mieszkania. Tym razem dowieźli tajskie jedzenie na wynos. Niski, chudy mężczyzna, który niósł dwie duże białe papierowe torby, miał brązową skórę i płaską twarz, co prawdopodobnie czyniło z niego Taja. Po jego angielszczyźnie sądząc, żył tu od niedawna. Colin zapłacił mu. Kelly głośno zaprotestowała. Zignorował ją. Nie przestawała protestować, kiedy weszli do mieszkania. Stół przeznaczony do jadań posiłków krył się pod stertą bezładnie porzrzucanych książek, czasopism i naukowych publikacji, ale Kelly przesunęła to wszystko do tyłu na tyle, żeby zrobiło się dość miejsca na kolację dla dwojga. Colin postawił torby na stoliku z plastikowego laminatu z blatem we wzory w słoje drewna. Potem ponownie rozłożył ramiona.

– Do którego miejsca dotarliśmy? – zapytał.

– Masz na myśli moment, kiedy nam tak bezceremonialnie przerwano? – Kelly podeszła i znalazła się w jego mocnych objęciach. – Mniej więcej w tym miejscu.

Kilka minut później łyżką na papierowe talerzyki nakładali sałatkę z kalmarów i larb, pikantną sałatkę z mięsa i warzyw oraz inne smakołyki. W jednej z toreb w styropianowych kubkach mieli też tajską mrożoną herbatę, słodzoną mleczkiem kokosowym. Colin, nie żałując sobie wcale, polał wszystko jaskrawoczerwonym sosem chili, z wyjątkiem mrożonej herbaty.

– Musiałabym zjeść tonę materiału gaśniczego, gdybym zrobiła to, co ty – oznajmiła Kelly, która w kwestii przypraw ograniczyła się wyłącznie do sosu sojowego.

– Lubię to – wyjaśnił Colin i w błyskawicznym tempie wpałaszował swoją porcję, nie zamierzając rzucać słów na wiatr.

– O Boże, nie masz nawet pojęcia, jak się cieszę na twój widok – dodał, kiedy brał dokładkę. – Chyba przed chwilą już ci to mówiłem, prawda?

– Uhm. Ale nic nie szkodzi. Te słowa są jak balsam dla mej duszy. Ja również cieszę się bardzo, że cię widzę. – Twarz Kelly spochmurniała. – Tak po prawdzie ogarnia mnie radość na widok każdej osoby. Byłam w odległości jakichś trzystu mil od superwulkanu, kiedy doszło do wybuchu. Chyba wszyscy, którzy znajdowali się – och, mój Boże, nie wiem – powiedzmy pięćdziesiąt mil bliżej, prawdopodobnie nie żyją.

Koło o średnicy pięciuset mil... Colin umieścił jego środek w Yellowstone i zakreślił okrąg na mapie Stanów Zjednoczonych, jaką utworzył w wyobraźni. Całkiem niedaleko od tej granicy znalazło się Salt Lake City. Denver leżało poza nią na zewnątrz, ale niezbyt daleko.

– Wciąż żadnych wieści od Vanessy – powiedział szorstkim głosem.

– Przykro mi – odparła Kelly. – Wciąż jest jeszcze zbyt wcześnie, żeby wyciągać z tego jakieś konkretne wnioski. Cała środkowa część kraju jest ZWSNDP.

Wycelował w nią palcem wskazującym, nie owijając w bawełnę i z oskarżycielską nutą w głosie.

– I to jest twoja nagroda za zadawanie się z weteranem z marynarki wojennej.

– Dlaczegoż to? Cóż szanowny pan ma na myśli? – zatrzepotała rzęsami, imitując sprawdzony gag Scarlett O’Hary. – Ten skrót oznacza zniszczona w stopniu nie do poznania, racja? Albo coś w tym rodzaju.

– Tak. Albo coś w tym rodzaju. – Colin wycelował w nią ponownie palcem wskazującym. – Ale nikt w twoim wieku nie używa skrótu ZWSNDP. Takie są właśnie skutki zadawania się z weteranem z marynarki wojennej, jak już wspomniałem. Kto z kim przestaje, takim się staje.

– Może jednak łaskawie pozwolisz, żebym to ja się tym martwiła – odparowała Kelly, a starszy bosman sztabowy nie zdołał wbić jej kolejnej szpili. Zamknęła wieka pudełek z jedzeniem, których nie opróżnili do końca i włożyła je do lodówki. Sztućce brzęknęły w zlewozmywaku. Skinęła głową zadowolona z siebie.

– Reszta może poczekać.

– Śmieci? – Colin zdawał sobie sprawę, że w jego głosie pobrzmiewa przygana.

Jako weteran marynarki wojennej zdecydowanie bardziej preferował ład i porządek, nie tolerując bałaganiarstwa i odkładania sprzątanania na później. Kelly jednak ponownie skinęła głową.

– Tak, śmieci. – Jeśli chodzi o nią, bezczelnie poszła w zaparte.

– Wciąż mi powtarzasz, jak bardzo się cieszysz na mój widok. Jak zamierzasz mi to okazać?

Mimo długiej jazdy samochodem i bebeczków opchanych tajskimi frykasami Colin żywił niezachwianą nadzieję, że będzie w stanie jej to okazać. Wiedział, że te sporadyczne przypadki łózkowej niesprawności w większym stopniu przytrafiały się mężczyznom w średnim wieku niż ich partnerkom, a on przecież należał do tej grupy wiekowej, ale, do jasnej cholery, nie zamierzał teraz zawieść.

I nie zawiódł. Mężczyzna zawsze wznosi się na szczyty fizycznej rozkoszy. Kelly również w żadnej mierze nie sprawiała wrażenia rozczarowanej. Przewróciła się na drugi bok, jakby miała zamiar oddać się w objęcia Morfeusza.

– Hej, to raczej ja powinienem obrócić się tyłkiem i chrapać – zaprotestował Colin. Po wielogodzinnej jeździe, obfitej kolacji oraz wyczynach sprzed chwili oczy niemal mu się zamykały.

Kelly usiadła. Objął ją ramieniem. Przytuliła się do niego.

– Tutaj wszystko działa – powiedziała zachwyconym głosem.

– W Missouli mieliśmy prąd, ale zabrakło gazu. Telefony stacjonarne działały w kratkę. Podobnie zresztą jak Internet. Moja komórka okazała się jeszcze bardziej zawodna.

– Wiem. Żałuję, że nie mogłem rozmawiać z tobą częściej – wyznał Colin. Kelly przytaknęła, ale wciąż podążała za własnymi myślami.

– Wszystko działa. Zadzwoiłam po tajskie jedzenie na wynos, a po półgodzinie dowieźli już na miejsce. Tu nie ma żadnych problemów z żywnością, jeszcze nie. Ponadto jesteśmy na wybrzeżu, w razie czego zatem mamy zapewnione dostawy drogą morską. Warunki atmosferyczne tutaj nie pogorszą się drastycznie, to pewnik Kalifornia wygrała los na loterii. Nie wiem, co wydarzy się w Missouli, kiedy nadejdzie zima. – Zagryzła wargi. – Naprawdę. Nie wiem. Nawet nie chcę o tym myśleć. Różnica jest zasadnicza.

– Może sprawy nie potoczą się tak źle – odrzekł Colin. – Rozmyślałem o tym, jadąc tutaj... choć w istocie rzeczy dopiero po tym, jak minąłem Kettleman City.

– Niezłe wyczucie czasu! – Kelly zadarła nos. Colin roześmiał się. Ona również, ale wyraz powagi szybko powrócił na jej twarz.

– Chyba jednak będzie źle. A być może nawet gorzej. Mieliśmy do czynienia z gigantyczną erupcją, nawet jak na skalę superwulkanu. Mniej więcej – może nie do końca, ale mniej więcej – tej samej wielkości, co ponad dwa miliony lat temu albo porównywalną z eksplozją wulkanu, który zamienił Mount Toba w jezioro Toba.

– Zatem naprawdę tkwimy w tym po uszy?

– Tak, naprawdę tkwimy w tym po uszy – zgodziła się Kelly. – Skala kataklizmu jest gigantyczna. Popiół zniszczył już większość tegorocznych plonów na Środkowym Zachodzie, a być może także przyszłorocznych. Potem... Potem robi się zimno. Już robi się chłodniej – mniej ciepła emitowanego przez słońce przenika przez atmosferę. Tutaj sprawy, jak się zdaje, na razie nie przybrały złego obrotu, ale cały świat toczy się jeszcze siłą rozpędu. Kiedy jednak zwolni...

– Jesteśmy w stanie zrobić tylko tyle, ile jesteśmy w stanie – stwierdził Colin. – Staramy się pozbierać tyle elementów, ile zdołamy i próbujemy nie dopuścić, żeby ich stan pogorszył się w porównaniu ze stanem, w jakim są teraz.

– Jak to się dzieje, że politycy nie potrafią tego zrozumieć? – zapytała Kelly.

– Jestem gliniarzem. Zbieranie elementów to właściwie moja robota – odpowiedział. – Mielą jęzorem po próżnicy. Ja też daję się w to wciągnąć. Nikt nie pyta gliniarzy, co powinniśmy zrobić z tą, tamtą czy jeszcze inną

sprawą. A jeśli już ktoś zapyta, najczęściej nawet nie zwraca uwagi na to, co słyszy w odpowiedzi.

– Nikt nie zwraca uwagi również na geologów – dodała od siebie Kelly.
– Potrafię zrozumieć to, że jestem tylko studentką studiów doktoranckich. Ale są przecież w mojej dziedzinie ludzie, którzy coś znaczą. Mimo to nikt w Waszyngtonie nie chce ich wysłuchać.

– Widocznie zbyt mało znaczą – orzekł Colin.

– Nie sądzę. – Kelly uśmiechnęła się, tylko przez moment z goryczą. – Chcesz wiedzieć, co jeszcze? Moje badania prawie w całości przydadzą się teraz psu na budę.

– Jak na to wpadłaś? Jesteś przecież ekspertem od superwulkanu Yellowstone. Czy jest teraz coś ważniejszego?

– Jestem ekspertem od tego, co się działo po trzech poprzednich erupcjach, zanim doszło do obecnej. Jestem ekspertem od interpretacji następstw tamtych erupcji. Jestem ekspertem od skomplikowanych formacji geologicznych, jakie występowały pod parkiem Yellowstone oraz od gejzerów, gorących źródeł i tym podobnych. No cóż, gejzerów już nie ma. A także wielu formacji geologicznych, które warunkowały ich istnienie. A teraz superwulkan eksplodował i każdy może na własne oczy przekonać się, co to znaczy. Poza tym przez następnych pół miliona lat nie musimy martwić się kolejną erupcją. Jeśli wszystko to nie znaczy, że badania zdadzą się psu na budę, to co innego?

– Jesteś tutaj – stwierdził Colin. – Zbyt wielu ludzi zostało tam (koło o średnicy pięciuset mil...). Jak powiedziałem ci przed minutą, jesteś w stanie zrobić tylko tyle, ile jesteś w stanie.

– Nikt nie jest w stanie zrobić niczego. Skala jest zbyt wielka – powątpiewała Kelly.

– Trzeba próbować, tak czy inaczej.

Colin pragnął kochać się z nią jeszcze raz. Dawniej, gdy osiągnął szczytową formę, drugi raz podołałby bez trudu. Ale tamto było wtedy. To jest teraz. Musiał pocieszyć ją słowami, a słowa nie jawiły mu się najcudowniejszym instrumentem, jaki prowadził do osiągnięcia tego celu.

ROZDZIAŁ XIV

Kolejny pokój motelowy w Maine. Jednak do chwili, kiedy nie rozsunęło się zasłon – a czasami nawet po – równie dobrze mogło to być gdzieś w Montanie lub Oregonie albo Arkansas. Trasa pozostawała tylko trasą, jeśli robiło się ją od jakiegoś czasu. W chwili obecnej muzycy grupy Tryskająca Żaba i Ewoluuujące Kijanki byli już weteranami egzystencji na koncertowym szlaku.

Justin siedział przy biurku i pisał e-maile na swoim MacBooku. Rob rozłożył się na łóżku i surfował po kanałach z pomocą pilota. HBO prezentowało jakąś walkę bokserów zawodowych. Film na Showtime okazał się do dupy. Komik występujący solo na stojaka na Comedy Central dałby się w zasadzie strawić, gdyby nie drobny niuans: wcale nie śmieszył.

Na zajęciach z kultury masowej na Uniwersytecie Kalifornijskim w Santa Barbara Rob usłyszał swego razu, że w czasach pokolenia, zanim się urodził, ludzie określali telewizję mianem rozległej ziemi leżącej odłogiem. Od tamtej pory sytuacja wcale nie uległa poprawie, zaś areał ugorów nawet się powiększył. Sprawdził laminowaną kartę informacyjną z nocnego stolika. W tym systemie kablowym stacja MSNBC nadawała na kanale 23.

Prezydent Iranu oraz najwyższy ajatollah stali obok siebie w meczecie w Kom, świętym mieście szytów. Prezydent był chudym i niskim gościem, o śniadej cerze, czarnych włosach, i krótko przystrzyżonej, siwiejącej brodzie. Miał na sobie ciemną kurtkę według zachodniej modły i ciemną koszulę bez krawatu. I właśnie brak krawatu stanowił jedyny punkt, w którym Rob – on sam zakładał je tylko na śluby, pogrzeby albo gdy ktoś przyłożył mu spluwę do skroni – sympatyzował z nim.

Najwyższy ajatollah, w turbanie, zwiewnej szacie i z jeszcze bardziej zwiewną brodą, wyglądał jak człowiek rodem z innego stulecia. Kiedy

jednak kamera najechała i zrobiła zbliżenie ich obu, pod ciężkimi powiekami dało się dostrzec mądre oczy.

Mowę wygłaszał prezydent. W istocie rzeczy prezydent walił pięścią w drugą dłoń, kładąc w odpowiednich miejscach emfazę. Ajatollah nie obejmował mówcy ramieniem, powstrzymał się też od innych gestów. Ale każdy mógł bez trudu odgadnąć, który z nich jest brzuchomówcą, a który marionetką.

Szkopuł nie tkwił w tym, że tłum w meczecie zachowywał obojętność. Zebrani reagowali spontanicznie i z entuzjazmem na żarliwą przemowę prezydenta wygłaszaną w języku perskim. Jednak dla Roba i 99,9 procent pozostałych Amerykanów nie irańskiego pochodzenia język perski stanowił wyłącznie gardłowy bełkot.

Tłumacz, który mówił amerykańskim angielskim niemal pozbawionym akcentu, ogłaszał szerokiemu światu nowinę.

– Przez wiele lat powtarzaliśmy, że Stany Zjednoczone są wielkim szatanem. Teraz Bóg zesłał karę na USA za ich perfidną wojnę z islamem oraz za szkodliwe wspieranie przez nie sprawy syjonistycznej. To wielka kara, ale i kara wielce zasłużona.

Tłum znów wiwatował. Najwyższy ajatollah przytakiwał z aprobatą. Robowi przyszło wtedy na myśl, że duchowny zapewne uśmiechnąłby się, gdyby wcześniej nie kazał usunąć sobie chirurgicznie mięśni odpowiedzialnych za uśmiech, chcąc mieć pewność, że nie będzie mógł się uśmiechać.

– Gdyby tylko Amerykanie, pogrążeni w ignorancji i niewierze, posiadli na tyle mądrości, żeby przyjąć nauki pełnego chwały proroka Mahometa, niech pokój będzie z nim... – kontynuował prezydent.

– Hej, Justin, słuchasz tych bredni? – zapytał Rob.

– Skoro już o to pytasz – odpowiedział frontman zespołu – to nie.

– Facet usiłuje wcielić się w naszego Pata Robertsona, eks pastora i telewizyjnego ewangelistę – skomentował Rob i podsumował pokrótce tezy prezydenckiej przemowy.

– Jak to miło przekonać się, że podaż na rynku pomyleńców wciąż jeszcze nie przekroczyła poziomu popytu – zauważył Justin.

– Lepiej bym tego nie ujął – przyznał Rob. – Wiesz co, tkwimy po uszy w gównie, skoro Irańczycy mogą się z nas naśmiewać. A kiedy zaczyna to robić Korea Północna, to Ty, który wchodzisz, żegnaj się z nadzieją [cytat z Boskiej Komedii, księga I Piekło, Dante Alighieri, przekład Edward Porębowicz], – Tak, to naprawdę byłoby coś, zgodzisz się? – Justin miał zamiar pociągnąć temat dalej, ale zadzwoniła jego komórka. – Halo?... Przy telefonie... Tak, szukamy możliwości dania koncertów właśnie teraz. Wulkan przewrócił do góry nogami wszelkie terminy... W Greenwood, mówi pan?... Greenville. Przepraszam. Proszę nie zapominać, że jesteśmy z drugiego końca kraju. Gdzie dokładnie leży Greenville?... Po południowej stronie jeziora Głowa Łosia [Moosehead Lake]. Okej... Kiedy mielibyśmy tam zagrać i co pan może zaoferować?

Byli teraz w Orono. Dali kilka występów na terenie miejscowego kampusu Uniwersytetu Stanowego Maine oraz w jego okolicach. Rob sięgnął po atlas drogowy wydawnictwa Rand McNally. Trudno o nazwę bardziej brzmiącą lokalnie niż jezioro Głowa Łosia [Moosehead Lake]. Ale Greenville zaznaczono na mapie małym punkcikiem. Sprawdził liczbę mieszkańców – nieco powyżej 1300. Greenville Junction, miejscowość położona opodal, dałaby kolejnych 850 czy coś około. Uwzględnivszy fakt, że zespół był i pretendował do tego, by być niczym perły rzucane przed wieprze, gdzie znajdą odpowiednią publiczność?

Rob zakreślił na mapie kółkiem Greenville i Greenville Junction, potem dopisał obok 2100 ludzi, razem. Pokazał Justinowi atlas drogowy.

Justin skinął głową. Wolną ręką sięgnął po długopis Roba. Kiedy już go miał, zanotował liczbę poprzedzoną symbolem dolara. Kwota nie powalała z nóg, ale mogło być przecież gorzej. Zrobili, co mogli w rejonie Orono i Bangor. Napływ szmalu, zamiast jego odpływu, byłby mile widziany.

– Oczekujemy zapłaty gotówką z góry, kiedy tam dojedziemy... zakładając, że tam dojedziemy – oznajmił Justin. – Jak już wspomniałem, jesteście z Kalifornii. Nigdy w całym swoim życiu nie widziałem tyle śniegu.

Rob skinął głową. Śnieg po prostu padał, padał i nie przestawał padać. Opady pojawiły się na tyle wcześnie i sypało tak często, że deprimowało to nawet miejscowych. A jeśli ktoś nie nawykł do śniegu w Maine, to musiał to być któryś z urlopowiczów, darzonych miłością i nienawiścią, zarazem. Słyszał, jak ludzie spierają się, czy kiedykolwiek widzieli tyle śniegu o tak wczesnej porze roku. Niektórzy utrzymywali, że widzieli, a po nadto ich zdaniem takie rzeczy się zdarzają. Z kolei oponenci wykazywali skłonność do zwalania na superwulkan winy za cały ten cyrk.

Bez względu na przyczyny, śnieg był prawdziwy. Nawet ludzie, którzy jeździli w kopnym śniegu od momentu, gdy pierwszy raz usiedli za kółkiem, musieli się sporo namęczyć. Pługi śnieżne wyruszyły do walki z żywiołem. Sypano również sól kamienną oraz piasek, żeby jakoś utrzymać przejezdność dróg. Z każdej instytucji wysyłającej do akcji pługi śnieżne, solarki i piaskarki dobiegały udręczone jęki. Taki huk roboty o tak wczesnej porze roku oznaczał, że ich pieczołowicie dopracowane budżety nadadzą się li tylko na papier toaletowy.

Justin dopisał datę obok proponowanego wynagrodzenia: od tej soboty za tydzień, czyli za dziesięć dni. Postawił znak zapytania obok. Rob przytaknął bez wielkiego entuzjazmu. Okres realizacji zamówienia – mógł pozwolić ludziom z Greenville odpowiednio wypromować koncert –

zakładając, że podejmą taki wysiłek, przyjąwszy, że ktokolwiek zwróci na to uwagę.

– Dobrze, panie Walters, wszyscy dołożymy wszelkich starań i zobaczymy, co z tego wyjdzie – Justin zmierzał do końca ustaleń. – Dzięki za rozmowę. Do zobaczenia.

Przybił piątkę z Robem.

– Koncert!

– Aha. – Rob wciąż nie pałał nadmiarem entuzjazmu. – Biff wcale nie marzy o wyjeździe z Orono. Ta Nicole, którą poznał...

– Ile dziewczyn każdy z nas gdzieś zostawił? – zaproponował Justin. – To jest wpisane w nasze rzemiosło.

– Wiem – przytaknął Rob. – Ale prędzej czy później spotkasz dziewczynę, która zacznie znaczyć więcej niż zespół. Nawet Lennon spotkał Yoko.

– To również jest wpisane w nasz los – potwierdził Justin.

– Nie sądzę też, żeby Nicole była kimś takim dla Biffa. Jeżeli jednak jest, cóż, przecież tu po tej stronie kraju znajdziemy kogoś, kto choć raz zagrał na gitarze rytmicznej.

– Phh – Rob zdołał wydać z siebie jedynie nieartykułowane prychnięcie.

Grupa Tryskająca Żaba i Ewoluuujące Kijanki stała się tym, czym jest, ponieważ stworzyła ją czwórka ludzi, która ją tworzyła. Zespół nie byłby już taki sam bez Biffa... czy może byłby?

Gdyby mogli poradzić sobie bez niego, czy daliby sobie jakoś radę także bez gitarzysty basowego, który napisał kilka spośród ich bardziej ekscentrycznych piosenek? Rob naprawdę nie miał ochoty wdawać się w tego rodzaju dywagacje. Za bardzo przypominałoby to dywagowanie nad własną śmiercią po tym, jak najlepszy przyjaciel zginął w wypadku samochodowym.

– Zatem, jak powiedziałaś, mamy półtora tygodnia, licząc od dzisiaj? – Spojrzał na sprawę z pragmatycznej strony, porzucając ten rodzaj przemyśleń. – Jakim sposobem możemy zarobić trochę kasy w międzyczasie, zamiast tylko ją wydawać?

– Dobre pytanie – odparł Justin. – Gdyby to były lata dziewięćdziesiąte, moglibyśmy zorganizować darmowy koncert na parkingu sklepu z płytami. Oni sprzedawaliby swoje albumy, a my nasze – za gotówkę, rzecz jasna – i wszyscy byliby szczęśliwi. Ale – rozłożył smętnie ramiona – gdzie w dzisiejszych czasach chcesz znaleźć sklep z płytami?

– To również dobre pytanie. Żałuję, że nie potrafię udzielić na nie dobrej odpowiedzi – przyznał Rob. – Który z gatunków jest bardziej zagrożony, sklepy z płytami czy antykwariaty?

– Obydwa wymienione? – zasugerował Justin. – Ludzie dzisiaj ściągają większość muzyki z Internetu.

– W szczególności ci ludzie, którzy słuchają nas – powiedział Rob. – Nasz roczny bilans miałby się dużo lepiej, gdyby tego nie robili.

– Nie pierdziel mi takich głupot – zirytował się lekko Justin. – Kiedy zamierzają sięgnąć po książkę, logują się po prostu na witrynach Alibris, AbeBooks lub nawet na starym, dobrym Amazonie.

– Zatem nie zagramy na parkingu sklepu muzycznego ani na parkingu księgarni – stwierdził ponuro Rob. – Mimo to powinniśmy gdzieś zagrać. Ciągłe możemy sprzedać trochę płyt CD, jeśli ludzie będą je kupowali razem z autografami.

– Nie w Orono. I w Bangor także nie. Tu w okolicy zrobiliśmy już wszystko, co się dało. – Justin posiadał wyostrzony zmysł, jaki pozwalał mu ocenić, ile dane miejsce może przynieść pożytku grupie Tryskająca Żaba i Ewoluuujące Kijanki – albo na ile jest w stanie ich znieść, jeśli spojrzeć na sprawę od tej strony.

Być może Rob wierzył, że gitarzysta prowadzący posiadał ten wyostrzony zmysł, ponieważ on sam doszedł w tej kwestii do takich samych przemyśleń.

– Graliśmy już w Bar Harbor – rozważał na głos. – Nie chcemy tam wracać. Nie znajdziemy też zbyt wielu miejsc, jeśli wyruszymy na północ.

– Nie znajdziemy niczego, jeśli wyruszymy na północ – oznajmił Justin z nieustępliwą precyzją. – Wylądujemy w Kanadzie, na dodatek nie w tej jej części, którą zamieszkuje sporo ludzi – lecz na obszarze Kanady, gdzie roi się od łosi.

– Skąd możesz o tym wiedzieć, tkwiąc tu w Maine? – zapytał Rob.

Zamierzali zagrać w pobliżu jeziora Głowa Łosia (którego kontury na mapie rzeczywiście przypominały głowę łosia) i już oczyma wyobraźni widzieli jedno z dużych zwierząt przechodzące ociężale na drugą stronę drogi, całkowicie opustoszałej poza ich brykami i tym właśnie łosiem.

Justin wiedział jednak, jak się sprawy mają.

– Jeśli wyruszymy stąd na północ, wylądujemy w prowincji Quebec – wyjaśnił. W Quebecu łosie – łoszaki? łosze? – mówią po francusku.

– No i proszę. – Rob klasnął w rękę. – Sam nie wpadłbym na to nigdy.

– Wiedziałem, że przydam się na coś – skonstatował Justin, nie bez dumy.

– W przeciwieństwie do mnie – odpowiedział Rob, także nie bez dumy. – Nie nadaję się do niczego. Jeśli mi nie wierzysz, zapytaj mojego ojca.

– Hej, twój stary wie przynajmniej, czym jest rock i przypuszczalnie lubi nawet niektóre kawałki – zaprotestował Justin. – Mój dziadek ma chyba dziewięćdziesiąt cztery lata. Wciąż ma jeszcze wszystkie klepki, ale jest tak stary, że ledwie zipie. Dorastał, kiedy rock and roli dopiero się rodził; dla niego to hałasy z młodości.

– To tak jak z moim ojcem i hip hopem – zauważył Rob.

– Tak. Dokładnie tak – zgodził się Justin. – Jeśli stwierdzisz, że czegoś nie słyszysz po raz pierwszy czy drugi, nigdy tego nie złapiesz.

– Gdzie zatem możemy zagrać w czasie od teraz do Greenville? – zapytał Rob, sięgając po raz kolejny po atlas drogowy. – Jakieś miejsce, w którym jeszcze nie byliśmy i gdzie znajdzie się dość ludzi, którzy nas jeszcze nie słyszeli, a być może chcieliby.

– Czy zostało chociaż jedno takie miejsce w Maine? – chciał wiedzieć Justin. – A jeśli zostało, czy zdołamy tam dotrzeć i wrócić w tym śniegu.

– Chłopie, zadajesz dużo pytań – stwierdził Rob. – Podejź tu i zobacz... przekonamy się, co o tym myślisz.

Obaj pochylili się i studiowali nazwy miejscowości nadrukowane drobną czcionką. Bryce'a Millera ciągnęło do uniwersyteckiego kampusu, jak pszczoły ciągnie do kwiatów. W Lincoln, stan Nebraska, uniwersytet dominował w życiu miasta w stopniu, o jakim Uniwersytet Kalifornijski w Los Angeles mógł tylko pomarzyć. W Los Angeles działo się po prostu zbyt wiele. Gdyby jednak nie Uniwersytet Stanowy Nebraski, miasto Lincoln z trudem znalazłoby uzasadnienie dla swego istnienia.

Nie chodziło wyłącznie o to, że Bryce poznał na seminariach kilku filologów klasycznych z Nebraski oraz ich doktorantów. Na dobrą sprawę byli oni jedynymi osobami w całym stanie, jakie znał choćby pobieżnie. W życiu nie spodziewał się, że wyląduje tutaj wyłącznie z ciuchami, które miał na sobie. Z cudem natomiast graniczył fakt, że w ogóle wylądował żywy i w jednym kawałku – co zawdzięczał niezliczonym godzinom treningu na symulatorach, w czasie których piloci ćwiczyli lądowanie w sytuacjach awaryjnych, jakie nie przytrafiały im się nigdy w całej zawodowej karierze.

Czerwony Krzyż ulokował go oraz pozostałych pasażerów samolotu (oprócz tych, którzy skończyli w szpitalu – ale wszyscy uszli z życiem) w

obiekcie taniej sieci Motel 6, zarekwirowanym specjalnie w tym celu. Colin Ferguson nie miał do powiedzenia zbyt wielu miłych rzeczy o pobycie w jednym z tych przybytków parę lat wcześniej. Teraz Bryce wiedział już dlaczego. Miejsce to dołowało do takiego stopnia, że człowiek pragnął uciec z niego w trymiga.

Ucieczka stąd jednak wcale nie okazała się taka łatwa.– Popiół wulkaniczny zaczął opadać na Lincoln trzeciego dnia po erupcji superwulkanu. Niebo zaciągnęło się na szaro i było zamglone. Słońce zniknęło na dobre. Mogła to być mgła. Równie dobrze mogła to być burza piaskowa. Można było odnieść wrażenie, że doszło do połączenia najgorszych aspektów jednego i drugiego.

Pracownicy Czerwonego Krzyża rozdawali maseczki chirurgiczne. Wcześniej założyli je sami. Niektórzy nosili też pływackie gogle. Okularów wszakże nie rozdawali. Bryce domyślał się, że mieli ich zbyt mało, by mogło starczyć dla wszystkich.

Do kampusu pojechał autobusem.

– Chcesz zobaczyć coś interesującego? – zadał mu pytanie student studiów doktoranckich o pięknym, klasycznym imieniu Marcus (nazwisko miał już całkiem pospolite – Wilson).

– Na przykład co? – odparł Bryce.

– Pojedźmy do muzeum – powiedział Marcus.

– Okej.

Bryce nie wahał się nawet chwilę. Zapewne mają tam klimatyzację. A klimatyzacja zatrzymuje większość szkodliwego pyłu. Zachodził w głowę, co Marcus uznawał za tak interesujące. Być może muzeum posiadało bogatą kolekcję klasycznych monet albo greckiej ceramiki lub czegoś w tym rodzaju.

Jeżeli nawet posiadało, to kolekcji tej nie eksponowano. W gablotach wystawiano natomiast kości kilku wymarłych zwierząt z rodziny słońcowatych. Muzeum Historii Naturalnej w Los Angeles również posiadało takie kości, ale znacznie mniej. Tabliczka informacyjna obwieszczała, że prezentowano tu najbogatszą w całym świecie kolekcję skamieniałych szczątków zwierząt z rzędu trąbowców.

Ale to nie te szczątki Marcus zamierzał pokazać Bryce'owi. Zaprowadził go do znacznie mniejszej ekspozycji z kopalnymi szczątkami nosorożców odkrytych w miejscu o nazwie Stanowy Park Historyczny Popielisko [Ashfall].

– Gdzie to jest? – zaciekał się Bryce.

– Na północny zachód stąd. – Marcus wskazał na mapę zawieszoną na ścianie nad gablotą ze skamieniałymi kośćmi.

– W pobliżu niewielkiego miasteczka o nazwie Orchard. Z informacji pisemnej dowiesz się więcej na ten temat.

Z lektury notatki Bryce dowiedział się, że szczątki nosorożców liczyły sobie niemal 12 000 000 lat. Zwierzęta zostały zasypane przez popiół wulkaniczny w miejscu, w którym kiedyś był staw. Znacznie więcej skamielin pozostało in situ, w parku stanowym, obok szczątków innych zwierząt pogrzebanych pod zwałami popiołu w tym samym czasie.

Masy popiołu zostały wyrzucone w rezultacie erupcji superwulkanu w stanie Idaho, chociaż fakt ten został potwierdzony dopiero przez następne pokolenie po odkryciu skamieniałych szczątków. Ta sama formacja geologiczna, plama gorąca, informowała dalej notatka, jest dzisiaj odpowiedzialna za niezwykle twory geologiczne na obszarze Parku Narodowego Yellowstone.

Być może plama gorąca była odpowiedzialna za Yellowstone wczoraj. Dzisiaj należało ją obarczyć winą za rozwalenie połowy kraju – albo całej

planety, zależnie od przyjętego punktu widzenia. Bryce pogrążył się ponownie w lekturze. Liczne kości prezentowane w tej ekspozycji, informował tekst, wykazują przerosty typowe dla choroby Bambergera-Mańe, inaczej przerostowej osteoartropatii płucnej.

Jako student filologii klasycznej bez trudu przetłumaczył sobie grecki i łaciński żargon medyczny na potoczną angielszczyznę: chorobowe przerosty kości, które mają coś wspólnego z płucami. Bez dwóch zdań, obwieszczał dalej tekst na plakietce, choroba Bambergera-Marie jest powodowana powolnym uduszeniem. W tym przypadku wywołało ją wdychanie wulkanicznego popiołu i pyłu. Nosorożce i inne zwierzęta przybyły przypuszczalnie do tego stawu czy wodopoju, szukając ukojenia w chłodnym błocie, trawione wysoką gorączką, stanowiącą jeden z symptomów tej choroby. Opadający popiół, który doprowadził do ich śmierci, pogrzebał je również i umożliwił przetrwanie szczątków w bardzo dobrym stanie.

– Hej, Marcus. – Bryce wskazał kciukiem na plakietkę. – Przeczytaj to. Drugi z doktorantów też oddał się lekturze. Potem zrobił kwaśną minę.

– To ekscytujące – oznajmił.

– Czy ależ nie? – Bryce z rozmysłem przestawił szyk wyrazów.

– Dopilnuj, żebym nie wciągał powietrza tak długo, jak tu jestem.

– Brzmi niegłupio, zrobmy tak. – Marcus ponownie zagłębił się w treść.

– Ile krów i owiec zdycha z tego powodu w tej właśnie chwili? Ile skamieniałych szczątków wykopią po dwunastu milionach lat od dzisiaj?

– Nie znam odpowiedzi na drugą część – oparł Bryce. – Odpowiedź na pierwszą brzmi następująco: wszystkie krowy i owce... i świnie; nie zapominaj o świniach – gdy na dworze minus trzy stopnie. Och, i kurczaki również.

– Nie zamierzamy pominąć kurczaków – przyznał ponuro Marcus. – Ale co będziemy jeść, kiedy już wszystkie powyzydychają?

– No cóż, pył nie pokryje całego kraju. Część żywego inwentarza przeżyje – pocieszał się Bryce.

– Uhm. Tylko czym będzie się żywił? Co prawda kukurydza, pszenica i ryż nie zapadają na chorobę Bambergera-Marie, ale przecież nie urosną przysypane warstwą popiołu grubości kilkudziesięciu centymetrów. To jest Nebraska, nie zapominaj. Telewizyjne programy rolnicze cieszą się tutaj dużą oglądalnością. W reklamach oferowane są traktory i maszyny rolnicze. To samo można powiedzieć o większości wiejskich obszarów między Górami Skalistymi a Missisipi. Jeśli zetrzesz je z mapy, to co zostanie w menu?

– Flaki – odpowiedział Bryce, a Marcus spojrzał na niego ze zdumioną miną, ale po chwili przytaknął. Bryce sformułował też własne pytanie. – Ilu ludzi zejdzie z tego świata w następstwie przerostowej osteoartropatii płucnej? – Wyrazy wielosylabowe wymawiał z ponurą lubością.

– Nie wiem, a jeśli inni wiedzą, nie chcą o tym mówić – odpowiedział Marcus. – Jest na nią narażony każdy, od tego miejsca aż po Vegas, kto nie dostał maski przeciwpyłowej.

Ile milionów ludzi by się nazbierało? Jeżeli los ich wszystkich został już przesądzony, nic dziwnego, że nikt o tym nie rozmawiał. Nawet serwis CNN Headline News nie zamierzał wyrywać się przed szereg z opowieścią, która zakończy się morałem: Okej, Ameryko ze Środkowego Zachodu, pochyl się teraz i pocałuj w dupę na pożegnanie. W każdym razie Bryce odważył się mieć nadzieję, iż do tego nie dojdzie, co być może stanowiło tryumf optymizmu nad doświadczeniem.

Wtedy przypomniał sobie, że Vanessa mieszkała w Denver. Tak naprawdę nie myślał o niej od czasu, kiedy jego samolot wodował

awaryjnie w jeziorze Dębowa Gałąź [Branch Oak Lake]. Ilu ludzi w Denver umierało w tej właśnie chwili na chorobę Bambergera-Marie? Czy nie byłoby łatwiej zliczyć tych, którzy uszli kostusze spod zeleźca?

– Co powiedziałeś – zapytał Marcus, gdyż Bryce najwyraźniej musiał wydać z siebie jakiś odgłos, gdy rozwijał w głowie ten czarny scenariusz – Nic – odparł Bryce. Widocznie jednak nie było to nic, inaczej nie zwróciłoby to uwagi Marcusa. – Właśnie pomyślałem o mojej eks – wyjaśnił z zakłopotaniem. – Całkiem niedawno przeprowadziła się do Denver.

– Och. – Drugi z doktorantów przetrawiał to, co właśnie usłyszał. Potem ogłosił werdykt. – Koszmarna sprawa, stary. Chodzi mi o wyczucie czasu.

– Tak, ale bez żartów – odparł Bryce.

– Eks? – dopytywał Marcus. – Eksmałżonka?

– Nie braliśmy ślubu. Mieszkaliśmy razem... a potem przestaliśmy być razem. – Bryce rozłożył ramiona. – Wiesz, jak to bywa? Cóż, rozpadło się.

– Uhm – Marcus przytaknął. Bryce pomyślał, że mógł być gejem, ale Marcus nie afiszował się z tym, nawet jeśli tak było. – Wciąż coś do niej czujesz? – zapytał po paru sekundach przerwy.

– Chodzę teraz z kimś innym, z kim o wiele łatwiej jest pozostawać w dobrych stosunkach. – Przez moment Bryce miał wrażenie, że odpowiedź została sprowokowana pytaniem. Kiedy uświadomił sobie, że jednak tak było, westchnął i dodał. – Tak, wciąż coś czuję. I jasne, jak cholera, że nie życzę jej, by zapadła na chorobę Bambergera-Marie. – Westchnął raz jeszcze. – Ale mimo to wcale nie mam pewności, czy ona również nie życzy mi źle.

– A zatem to ona kazała ci pakować manatki, nie na odwrót.

– Tym razem Marcus nie sformułował pytania. – No cóż, niech jej się wiedzie i co tam jeszcze, ale teraz nic nie możesz na to poradzić.

– Wiem. – W tym momencie jednak Bryce zdał sobie również sprawę, że musiał sobie o tym przypomnieć. Wszystko, co się wydarzyło od momentu, kiedy fala uderze niowa doścignęła samolot, wypchnęło Vanessę z jego myśli. Teraz znowu wróciła, niech to szlag. Jak kawałek chrząstki zaklinowany między dwoma zębami trzonowymi, pozbycie się jej przychodziło mu z trudem.

Po obejrzeniu ekspozycji z Popieliska reszta muzeum wydała się Bryce'owi prozaiczna i nieciekawa. Odczuł ulgę, kiedy Marcus zadeklarował gotowość opuszczenia przybytku. Starannie założył maskę przeciwpyłową, zanim ponownie wyszli pod gołe niebo. Wcześniej wykazywał pod tym względem zbytnią niefrasobliwość. Ale nie. teraz. Nigdy więcej. Nazwa przerostowa osteoartropatia płucna brzmiała doprawdy przerażająco. Zauważył również, jak Marcus z bólem dociąga za uszami paski od swojej maseczki.

Na zewnątrz wszystko tonęło w szarości. Pył unosił się w powietrzu, miejscami gęściej, miejscami rzadziej, ale był wszędzie. Gromadził się zwalami z przodu płotów ustawionych w poprzek do wiatru. Warstwa pyłu mierzyła wszędzie kilka centymetrów grubości. Buty Bryce'a chrzęściły i zapadały się, zupełnie jakby szedł po piaszczystej plaży. Zostawiał po sobie nieforemne, niewyraźne ślady.

– Chciałbym, żeby popadało – rzekł Marcus. – To oczyściłoby powietrze... przez chwilę, w każdym razie.

– Oczyściłoby, racja. – Bryce pochodził z południowej Kalifornii i przywykł do pobożnych, lecz z reguły daremnych, życzeń w kwestii opadu atmosferycznego. Musiał upomnieć sam siebie, że na Środkowym Zachodzie sprawy miały się inaczej. Skierował wzrok ku niebu. Z ledwością mógł dostrzec słońce przez masy pyłu wciąż niesione przez wiatr ku wschodowi. – Nadejść, o Jupiterze Pluviusie. Czyń swoją powinność.

Marcus roześmiał się.

– Jowisz Pluuius, rzymski bóg deszczu, znany wyłącznie studentom kultury antycznej oraz dawnym autorom pisującym o baseballu.

Bryce nadstawił uszu. Nawijka o baseballu była niczym balsam dla jego duszy.

– Jeśli wiesz, kim jest Jupiter Pluuius i znasz sportowych publicystów... – zaczął. Na krótki moment zapomniał zupełnie o superwulkanie. Spotkał tu kogoś, kto mówił jego językiem, a zarazem nie okazał się Grekiem z epoki antycznej.

Garden City w stanie Kansas nie przypominało ogrodu, nie w tych dniach. W opii Vanessy, Kansas w żadnym miejscu nie przypominało ogrodu w tych dniach. Jedyna dobra rzecz, jaką dało się powiedzieć o Kansas, wynikała z faktu, że stan ten był położony w większej odległości od krateru superwulkanu niż Kolorado. Mimo to tkwił głęboko w gównie. Tylko nie tkwił w gównie po same uszy.

Nikt na autostradzie międzystanowej nie zatrzymał się i nie próbował jej molestować. Nikt też nie przystanął i nie zaproponował jej podwiezienia okazją. Szła więc piechotą i szła, i szła bez końca, aż niemal odpadły jej ręce, a z pęcherzy sączyła się krew.

Kiedy wreszcie dotarła do miasta, nikt w najmniejszym stopniu nie wykazał zainteresowania wyruszeniem w kierunku zachodnim i naprawą jej auta.

– Przykro mi – powiedział mechanik w bejsbolówce z napisaną dużymi literami z przodu reklamą FILTRY PUROLATOR.

Jego głos nie świadczył o tym, że jest mu jakoby przykro – w najmniejszej choćby mierze. – Tu w mieście mam więcej roboty, niż podołam. Pojadę moim holownikiem daleko za miasto w to wiejące gówno,

pani wybaczy wulgarne słowo, i nie będę miał szansy większej niż fifty-flfty, że dowlokę się z powrotem z pani gablotką.

Położył mocny nacisk na sylaby blotką w ostatnim wyrazie, co zresztą Vanessa uznała za jak najbardziej trafne.

Zmierzyła go najbardziej lodowatym – tam do diabła, najbardziej zjadliwie złośliwym – i najbardziej obolałym, z uwagi na spękane stopy, spojrzeniem.

– Cóż więc, pańskim zdaniem, mam teraz ze sobą począć?

– Żałosne jęki Picklesa, dobiegające z nosidełka, podkreśliły jedynie dramatyzm pytania.

Nie zważając na to, mechanik pozostawał niewzruszony, co przyprawiało ją niemal o czarną rozpacz.

– Powinna pani dziękować Bogu, że zdołała dotrzeć tak daleko. Wielu ludziom się to nie udało – odpowiedział. Co nie mijало się – z prawdą, ale też doprowadzało ją do szału. – Czerwony Krzyż zorganizował schronisko w siedzibie szkoły średniej. To jakieś trzy przecznice stąd w tamtą stronę, a potem jeszcze dwie pod górę. – Wskazał kierunek. – Raczej nie może pani pomylić drogi, nawet z całym tym gównem w powietrzu.

Nie nosił maski. Palił camela. Paczka wystawała z kieszonki na piersi jego roboczej koszuli z batystu. Powyżej widniało jego imię, wypisane maszynowym haftem i czerwonymi literami, Virgil. Kmiot pasuje do niego, pomyślała z pogardą Vanessa. A cokolwiek stanie się z jego płucami, skurwiel zasłużył sobie na to.

Taszcząc Picklesa, kuśtykała ociężale w stronę budynku liceum. W najczęstszych razach komentarz Nie może pani pomylić drogi, ostrzegał, że jednak można pobłądzić, ale nie dzisiaj. Nie była jedyną osobą o znużonym wyglądzie, która dźwigała tę, tamtą czy inną rzecz, a szlak ich wędrówki zbiegał się w szkole średniej. Kobieta z włosami, że pożał się Boże,

upiętymi wysoko na głowie, o równie zmęczonym wyglądzie co ona, załatwiała z Vanessą formalności w sekretariacie.

– Denver? – zdziwiła się, kiedy Vanessa poinformowała ją, skąd przybywa. Starannie wyregulowane brwi uniosły się. – Mamy tutaj tylko jeszcze jedną osobę z Denver, o której wiem. Niewielu stamtąd zdołało dotrzeć tak daleko.

– Wyjechałam rano następnego dnia po wybuchu wulkanu – zrelacjonowała Vanessa, a z jej głosu przebijała teraz duma i zarazem zmęczenie. – Ale idę o zakład, że potem było już tam tylko gorzej.

– Nie zdziwiłabym się – odparła kobieta. – Zanim jednak panią przyjmimy pod nasz dach, przejmę pieczę nad pani kotem albo puści go pani wolno, o ile sobie pani tego życzy. Nie wpuszczamy tutaj zwierząt domowych. Żadnych. Taki jest regulamin.

Sposób, w jaki to powiedziała, dawał niezbitcie do zrozumienia, że wszelkie próby odwołania się od regulaminu były wręcz nie do pomyślenia. Mimo to Vanessa podjęła próbę.

– Nie może pani tego zrobić! Wiozłam Picklesa przez całą tę drogę! Nie puszczę go teraz wolno!

– W takim razie może pani poszukać pomocy gdzie indziej – stwierdziła beznamiętnie kobieta z wysoko upiętymi włosami. – Tylko że w Garden City nie ma drugiego gdzie indziej.

Vanessa uznała to za dostatecznie prawdopodobne, by mogło okazać się prawdziwe.

– Co się stanie, jeśli pani przejmie nad nim pieczę?

– Trafi do schroniska dla zwierząt.

– Chce panie powiedzieć, że go zabije.

– Trafi do schroniska dla zwierząt – powtórzyła kobieta, jak gdyby nie chciała o tym nawet myśleć.

Z oczu Vanessy pod goglami pociekły kłujące łzy.

– Pani jest podła. Pani jest okrutna. Pani jest pełna nienawiści. Podzielę się z nim jedzeniem, którym będziecie mnie karmić.

– Gdzie on ma sikać? Gdzie ma robić kupę? Jeśli ugryzie jakieś dziecko lub kogoś podrapie, co wtedy? A jeśli będzie walczył z innymi kotami i psami, to co? No więc, nie robi tego, ponieważ nie wpuszczamy tu żadnych zwierząt domowych. Żadnych. Jak już powiedziałam, taki jest regulamin.

Bez względu jak podłe, okrutne i pełne nienawiści to się wydawało, w aspekcie administracyjnym miało to sens. Ale nawet mimo, iż w aspekcie administracyjnym miało to sens, było to podłe, okrutne i pełne nienawiści. Usiłując powstrzymać szloch, Vanessa wyniosła Picklesa na zewnątrz. Nie wychował się jako podwórzowy kot. Nie będzie wiedział, co robić wypuszczony na wolność pod gołym niebem. Ale to chyba lepsze wyjście – miała nadzieję, że chyba lepsze – niż po prostu skazanie na śmierć.

Nawet po tak długim zamknięciu w nosidełku nie bardzo miał ochotę na wyjście z klatki. Kiedy w końcu wyszedł, rozejrzał się dookoła wielkimi okrągłymi oczami. Popiół i pył na trawie sprawiły, że kichnął. Potem popędził przed siebie, słysząc jakiś hałas czy rumor. Chyłkiem skręcił za narożnik budynku dyrekcji szkoły i zniknął.

Kiedy Vanessa wróciła do środka, jej miejsce w kolejce już przeszło. Musiała ponownie odstać swoje w ogonku, zanim znów nadeszła jej kolej. Zastanawiała się również, czy musi dwa razy przechodzić przez papierkowe formalności, ale obeszło się bez tego.

– Zobaczmy... gdzie możemy panią ulokować? – Powiedziała kobieta z wysoko upiętym włosami. – Aula jest już pełna, tak samo jak sala gimnastyczna. Będzie to z konieczności jakaś sala lekcyjna... Susie, czy zapełniliśmy już klasę J-7?

Susie okazała się drugą osobą, która stała po tamtej stronie kontuaru.

– Oczywiście, zapełniłiśmy, Lucille. Ludzie są tam ściśnięci jak śledzie w beczce. W tej chwili obsadzamy sale w budynku K.

– Niech będzie sala K-1 – rozstrzygnęła Lucille i poinformowała Vanesę, jak ma tam trafić. – Oto pani karta autoryzacyjna – dodała. – Uprawnia panią do otrzymywania racji żywnościowych i wody oraz do łóżka polowego lub kawałka podłogi albo co tam jeszcze mają do spania.

– Cudownie – wymamrotała Vanessa, wciąż roniąc łzy. Nie miała styczności ze szkołą średnią od czasów, gdy wyrwała się z wcale nie tak dobrej i nie tak szacownej Szkoły Ogólnokształcącej w San Atanasio. No cóż, prawie nie miała: wybrała się z Bryce'em na zjazd absolwentów w piątą rocznicę ukończenia szkoły i niemal cały czas upłynął jej na obrzucaniu błotem miejscowego faceta, z którym prowadziła się wcześniej, obrabiając mu tyłek do spółki z inną dziewczyną, która przypadkiem również znała nieszczęśnika. Gość bezpośrednio tym zainteresowany nie pojawił się, co tylko przydało pikanterii opowieściom o nim.

W sali K-1 uczono angielskiego. Na ścianach wisiały portrety Szekspira, Walta Whitmana oraz Toni Morrison. Plan zajęć poświęconych Juliuszowi Cezarowi przesłaniał jedną z białych tablic. W regale na książki ustawionym w rogu pomieszczenia znalazła więcej egzemplarzy powieści Młyn nad Flossą niż ktokolwiek przy zdrowych zmysłach mógł kiedykolwiek potrzebować.

Wszystkie ławki wyniesiono, wliczając w to biurko nauczyciela. Nie wstawiono żadnych łóżek polowych – kwaterowano tylko ludzi. Powietrze wewnątrz było ciepłe i duszne, aczkolwiek mniej zapyłone niż na zewnątrz budynku. Vanessa ściągnęła maseczki i pływackie okulary. W sali unosił się zapach ludzkich ciał, ale jeszcze nie odór ludzkich odchodów. Co prawdopodobnie oznaczało...

– Czy wolno nam korzystać z łazienki na końcu korytarza? – zapytała. Kilka osób przytaknęło.

– Pewnie, że wolno – odezwał się przysadzisty typ. – Ale, tak czy owak, nie potrzebuje pani przepustki, żeby wyjść na korytarz; ponadto nie wsadzą pani do kozy, jeśli puści sobie tam pani dymka.

Odgrywał scenkę przed wszystkimi umieszczonymi wraz z nim w klasie K-1. Wzbudził śmiechy, przyznać trzeba, ale nie u Vanessy. Wciąż oplakiwała biednego Picklesa. Być może natychmiastowy kres jego doczesnej gehenny byłby lepszym rozwiązaniem. Ale być może ktoś przygarnie go, zanim zdechnie z głodu lub zostanie zjedzony albo udusi się od nadmiaru pyłu. Pozostawała jej tylko nadzieja. Nie mogła jej porzucić.

– Czym nas tutaj karmią? – zmusiła się do zadania drugiego pytania.

– Ostatnim razem podali Del Taco. Prawdziwe meksykańskie psie mięso – brylował przysadzisty typ. Zaszczekał, ponownie wzbudzając śmiech na sali. Vanessa nie byłaby zdziwiona, gdyby gość okazał się klasowym dowcipnisiem, kiedy jeszcze jako wychudzony nastolatek zmagił się trądzikiem.

Dupek, pomyślała, kiedy pan Klasowy Dowcipniś pęczniał z dumy. O mały włos nie wypowiedziała tego na głos. Dowcipasy Starego Spaślaka szybko powszedniały. Ale kilku innych palantów, którzy trafili tutaj przed nią, najwyraźniej go polubiło. Trzymała zatem buzię na kłódkę i wzięła się za wyznaczenie własnej małej spłachci wytartego do cna i brudnego linoleum. Jej torebka miała posłużyć za gruzłową poduszkę, ale lepsze to niż nic... chyba.

Dochodzili kolejni ludzie. W pomieszczeniu zrobiło się tłoczno i jeszcze duszniej. Nie mieli też prądu, zatem klimatyzacja nie mogła działać. Uwzględnivszy masy niesionego przez wiatr, zbierającego się w zwały paskudztwa na zewnątrz, otwarcie okna uznano za pomysł poroniony w

dwójnasób. Długa wędrówka do miasta skrajnie ją wyczerpała, a zatęchłe powietrze z pewnością by nie dopomogło.

Drzwi otworzyły się ponownie. Tym razem zjawilo się dwóch pracowników Czerwonego Krzyża. Jeden pchał przed sobą wózek na kółkach wypełniony zgrzewkami butelkowanej wody. Drugi wózek załadowano kopiastrą stertą brązowych pudełek z tektury.

– Racje żywnościowe MRE – oznajmił jeden z mężczyzn, informując i przepraszając zarazem. – Dostaliśmy je z kwatermistrzostwa Gwardii Narodowej. Nie są to żadne frykasy, ale z pewnością można tym jakoś oszukać głód i zapchać kiszki.

Posiłki gotowe do konsumpcji. Trzy kłamstwa w czterech słowach, spostrzegła Vanessa. Być może nie jest to rekord świata, ale z pewnością drugi stopień podium. Kiedy jakoś wmusiła w siebie swój przydział, doszła do wniosku, że w porównaniu z tym obrzydlistwem Del Taco musiał być niczym specjał nad specjały kuchmistrza Wolfganga Pucka. Spoglądając na karton, zauważyła, że data przydatności do spożycia upłynie dopiero za osiem lat. Z jednej strony, zatem, jak na wojskowe racje żywnościowe MRE ta okazała się nadzwyczaj świeża. Z drugiej natomiast, potwierdzało to fakt, że nawet drobnoustroje nie chciały mieć absolutnie nic wspólnego z tym pieprzonym paskudztwem.

Mimo wszystko facet z Czerwonego Krzyża miał rację. Pełne trzewia górowały zdecydowanie nad pustymi kiszkami.

Vanessa rzuciła swoje odpadki do worków na śmieci zostawionych w tym celu przez ludzi z Czerwonego Krzyża. Potem wyszła na zewnątrz i dalej wzdłuż korytarza do kibelka – co, rzecz jasna oznaczało, iż oddała bez walki swój kawałek podłogi, do którego zgłaszała roszczenia. Za papier toaletowy służył papier woskowany matową stroną: wydawało się to nawet gorsze od taniego szorstkiego papieru używanego przez personel biurowy.

Ponadto rolka była już prawie zużyta. Co zrobią, kiedy się skończy? Nie wiedziała, ale miała złe przeczucia, gdyby jednak musiała przekonać się o tym na własnej skórze.

Pan Klasowy Dowcipniś wyszedł z kibla dla chłopców w tym samym momencie, w którym ona opuściła klopek dla dziewcząt.

– Kurde, niezły odlot – błaznował i zatkał sobie nos.

– Tak. – Vanessa przytaknęła. W toalecie żeńskiej, w której zainstalowano tylko jeden sedes, również porządnie cuchnęło.

– Chcę dać stąd nogę – powiedział bez ogródek. Miał na imię Luke. Dowiedziała się tego.

– A kto nie chce? – stwierdziła. – Ale jak zamierzasz to zrobić?

– Potrafię uruchamiać samochód, zwierając kable na krótko – odpowiedział. – Jeśli dzięki temu zdołam dojechać do strefy wolnej od tego pieprzonego pyłu, zanim auto się rozkraczy, będę wygrany.

Vanessa rozważała teraz tę opcję z mniejszą odrazą, a większym zainteresowaniem, niż – jak sobie wyobrażała – miałoby to miejsce przed wybuchem superwulkanu.

Nie miało przy tym znaczenia, czy była dzieckiem gliniarza czy nie. Ile kradzieży i napadów da się zwalić na erupcję? Setki? Tysiące? Setki tysięcy? Skłaniała się ku tej ostatniej opcji.

– Wszystkim się wydaje, że zamierzam tu siedzieć, pałaszując posiłki które budziły torsje Erytrejczyków, ale lepiej, do cholery, żeby zmienili zdanie.

Vanessa słyszała wersję „posiłki odrzucone przez Etiopczyków”, jego wersja była dla niej nowinką. Być może właśnie dlatego podjęła temat.

– Potrzebujesz pasażera? Mam trochę gotówki. Mogę zapłacić za benzynę i żarcie. Zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów. Kiedy to robił,

zrozumiała, że popełniła błąd. Jego sprośne spojrzenie sprawiło, iż poczuła się, jakby pełzały po niej obślizgłe nagie ślimaki.

– Bywają inne formy zapłaty – rzekł, przejeżdżając językiem po wargach, jakby penetrował nim jej małżowinę uszną. – Taniej niż gotówka i więcej frajdy, również.

– Nie, dzięki. Zapomnij, że pytałam – odparła i ruszyła pospiesznie z powrotem do sali K-1. Dziad nie będzie niczego próbował, gdy wokół będzie pełno ludzi.

– Hej! – pobiegł za nią.

Odwróciła się. W dłoni trzymała rewolwer kalibru 9 milimetrów, wymierzony o paręnaście centymetrów powyżej jego pępka.

– Powiedziałam nie. I mówiłam to na serio. Której części tej wypowiedzi nie zrozumiałeś?

– Okej. Okej! – Zrobił kilka kroków do tyłu. Był na tyle bystry, iż zdołał pojąć, że pociągnęłaby za spust, gdyby poszedł do przodu, zamiast się cofnąć. Skończyło się dobrze... dla niego. – Nie musisz przecież od razu dostawać białej gorączki. Wcale nie jesteś taką ekstradupą, wierz mi.

Wyszło na to, że wcale nie okazał się zbyt bystry. Usiłował ją obrazić, doszedłszy do wniosku, że ona ma głęboko gdzieś to, co padnie z jego ust.

– Jakbyś ty akurat był wart grzechu. Jeszcze czego! – odparowała. – Po prostu trzymaj się ode mnie z daleka, a oboje będziemy udawali, że nic się nie stało. W przeciwnym razie odstrzelę ci ten pierdolony łeb.

– Już mnie do tego w pełni przekonałaś.

Lukę ominął ją szerokim łukiem i uniósł dłonie tak, żeby je widziała, unikając przy tym wykonywania nagłych ruchów. Vanessie przebiegła przez głowę myśl, że być może powinna wcześniej wymierzyć w niego z pistoletu.

Do sali lekcyjnej wszedł pierwszy. Włożyła pistolet z powrotem do torebki, zanim otworzyła drzwi. Kiedy weszła, wziął się za opowiadanie kolejnego głupawego kawału, co akurat jej przypasowało. Nie w rozumieniu rozkoszy intelektualnych, ale, przynajmniej po części, w sferze przetrwania w sytuacji zagrożenia.

W trakcie nocy pozbawionej elektryczności panowała ciemność absolutna, ciemność klaustrofobiczna i przerażająca. Vanessa nie miała absolutnie nic przeciwko temu, żeby ktoś zapalił świeczkę, ale pozostało jej, podobnie jak wszystkim w pomieszczeniu K-1, jedynie przeklinać tę ciemność. Nie miała okazji spróbować zasnąć w takim ścisku od czasu letnich obozów, kiedy była dzieckiem. Dookoła niej ludzie mamrotali, ludzie obracali się z boku na bok i szurali, szukając choćby odrobinę wygodnej pozycji na twardej podłodze, ludzie chrapali, ludzi puszczali gazy... Ludzie.

Na przekór wszystkiemu zdołała zasnąć. Niewiele później ktoś trącił ją w kostkę ręką lub nogą. Obudziła się z sercem walącym jak szalone. Przez kilka złowieszczych sekund tam w egipskich ciemnościach nie miała pojęcia, gdzie się znajduje ani co tam robi. Pamięć wracała wyrywkowo. Garden City... Noclegownia Czerwonego Krzyża... Nieszczęsny Pickles!... Ta głupia, pieprzona sala lekcyjna... Och.

I znów usiłowała zasnąć. Tym razem trwało to dłużej. Tyle dobrego, że nikt nie dostał ataku – hysterii i nie krzyczał. To już coś. W przeciwnym razie nikt w tym pomieszczeniu pełnym znękanych ludzi nie mógłby nawet marzyć o zmrużeniu oka.

Sen. Jawa. Sen. Jawa. Sen .Jawa. Wciąż jeszcze panowały ciemności jak w tyłku Murzyna, lecz ona wiedziała, że już więcej nie zaśnie. Przeklinając na czym świat stoi, czekała, aż szare światło zacznie przesączać się przez

okna. Potem odkryła, iż wcale nie była jedyną osobą, która poddała się i przyjęła pozycję siedzącą zamiast leżącej.

Ludzie z Czerwonego Krzyża donieśli wojskowe racje żywieniowe i butelki z wodą. Grzyby i wołowina smakowały jak błoto z grudkami, po części gąbczastymi, a po części ciągliwymi i trudnymi do pogryzienia. Nie istniała żadna możliwość zagotowania wody, by zaparzyć kawę instant z torebki. Rozdarła ją i wysypała zawartość na język, potem spłukała do gardła wodą z butelki. Smakowało tak obrzydliwie, jak się tego spodziewała. Jednakże kofeina, nawet w takiej postaci, była lepsza niż żadna.

Kiedy wróciła z kibla, wzięła z półki egzemplarz Młyna nad Flossą i przystąpiła do lektury. Okazało się to jedyną dostępną rozrywką. W odróżnieniu od ohydnej kawy instant, powieść wcale nie zasłużyła na tak marną ocenę, jak sądziła.

Lukę zniknął dwa dni później. Być może wiedział, jak rąbnąć cudze auto. Uziemiona na dobre w pomieszczeniu pełnym coraz bardziej cuchnących i obcych ludzi, zastanawiała się, czy nie powinna zabrać się z nim. Czy ucieczka od tego, mniej dla niej znaczyła niż niezobowiązujące ostre rżnięcie i zrobienie komuś laski. Wcześniej tak o tym nie myślała. Gdy w zatłoczonej klatce czas włókł się ślamazarnie w nieskończoność, ogarniały ją coraz większe wątpliwości, czy postąpiła słusznie.

ROZDZIAŁ XV

Za każdym razem, kiedy Colin podnosił z podjazdu egzemplarz „Timesa”, ten stawał się coraz cieńszy i lżejszy. Mogło to nawet budzić skojarzenie z ofiarą głodu w Afryce, powoli niknącą w oczach. Rzecz jasna ograniczanie objętości rozpoczęło się na długo przed hecą z superwulkanem Yellowstone. Już od wielu lat Internet wysysał życie z gazet codziennych. W tych dniach jednak do drukarni trafiało coraz mniej papieru. „Times” publikował cierpkie opowieści na temat własnej walki o przetrwanie. Z kolei „Breeze”, który wciąż ukazywał się wyłącznie w wersji elektronicznej w sieci, niewątpliwie spoglądał na większego rywala z nieskrywaną zawiścią.

Nie była to wszakże jedyna walka, jaką toczono. Kiedy rankiem jechał na komendę, stacje benzynowe przypominały klientom o LICZBACH PARZYSTYCH I NIEPARZYSTYCH: gubernator wprowadził ponowny nakaz tankowania co drugi dzień, po raz pierwszy od czasów embarga na ropę naftową narzuconego przez kraje arabskie kilka dekad temu. Matka Natura mogła również nałożyć embargo na Los Angeles. Coraz większa liczba stacji benzynowych wywieszała czerwone flagi, powiadamiając o całkowitym braku paliwa w zbiornikach. Dzięki błyskotliwej akcji Gabe’a zaraz po erupcji, wydział policji w San Atanasio wciąż dysponował w miarę bezpiecznym zapasem. Na jak długo im to wystarczy i co policja zrobi, kiedy zapas się wyczerpie... Colin wolał nie zgłębiać tego tematu teraz.

Burgher King wystawił dużą tablicę w oknie – PRZEPRASZAMY, FRYTEK BRAK SKOSZTUJCIE NASZE KRAŻKI Z CEBULI! Gdy dostawy ziemniaków do miasta z przeznaczeniem dla sieci fast foodów przestały pokrywać zapotrzebowanie, Los Angeles znalazło się w naprawdę

poważnych tarapatach. Colin nie słyszał jednak, żeby brakowało też kimchi, a w San Atanasio aż roiło się od koreańskich barów i restauracji. Być może sprowadzali swoją kapustę pekińską, zwaną kimchi, z pobliskiej Doliny Kalifornijskiej.

Było chłodno – nawet wyże atmosferyczne nie windowały temperatury powyżej piętnastu stopni Celsjusza. Znad Zatoki Alaski nadeszła gwałtowna ulewa, potem druga, a później jeszcze jedna. Jesienią mogło wydarzyć się wszystko; każdy, kto mieszkał tu odrobinę dłużej, zdawał sobie z tego sprawę. Ludzie wciąż jednak mieli nadzieję, że wróci ocieplenie. Od wielu dni Colin spoglądał na blade słońce, wyblakłe niebo i niewiarygodne zachody tegoż słońca. On też nie tracił nadziei, że znów zrobi się cieplej, ale raczej się tego nie spodziewał. To akurat zawdzięczał płomiennej miłości do geologa w spódnicy.

Policyjną robotę wykonywał z zacięciem i wytrwałością. Nie był w stanie cokolwiek zaradzić temu, że śnieg spadł na tereny poniżej 750 metrów i nie topniał natychmiast, że góry otaczające kotlinę Los Angeles stroiły się w coraz bielsze szaty. Jego własny mały kawałek świata? Tu przynajmniej miał jakieś szanse.

Gabe Sanchez żywił podobne odczucia, chociaż wkurzał się i marudził z dużo większą ostentacją niż Colin.

– O rany, wyobrażasz sobie, że Wydział Policji w Honolulu zamierza zatrudnić gliniarza z doświadczeniem? – zapytał, kiedy jechali w chłodnym deszczu do sklepu z alkoholem, który dopiero co został obrabowany przez bandziora uzbrojonego w śrutówkę.

– Zawsze możesz zalogować się na witrynie Craigslist z ofertami pracy – odpowiedział Colin. – Ale przecież chcesz dać drapaka z miasta, idę zatem o zakład, że w Fairbanks konkurencja nie jest tak ostra.

– Fairbanks? – Gabe zakreślił znak krzyża placami wskazującym i wielkim, jak gdyby chciał odpędzić widmo wampira. – Ale śmieszne, gościu... śmieszne jak worek kolostomijny [albo jak robienie lewatywy]. To pierdzielone miasto znajdowało się w pierdzielonej zamrażarce na długo, zanim ten głupawy super-jak-go-tam-zwał opróżnił swoje bebechy. Co tu się będzie działo za pierdzielony rok albo dwa? Zapotrzebowanie na kostki lodu w lipcu osiągnie wręcz niewiarygodny pułap, ot, co się będzie działo.

Być może wcale nie musiał obdarzyć miłością pani geolog, żeby wiedzieć, jak kiepsko mają się sprawy i jak bardzo jeszcze, bez dwóch zdań, się pogorszą. Być może wystarczyłby mu standardowy zestaw sprawnych szarych komórek. Colin włączył kierunkowskaz i zjechał na ciasny parking pod sklepem monopolowym. Stał już tam czarno biały radiowóz z czerwonymi, niebieskimi i żółtymi światłami migającymi na belce z kogutem.

Chwycił parasolkę i wysiadł z auta.

– Jedna rzecz – powiedział, gdy wraz z Gabe’em brnęli z chłupotem w kierunku wejścia. – Deszcz wypłukał z powietrza niemal cały popiół.

– Co ty powiesz! – zadrwił Gabe. – A oprócz tego, pani Lincoln, jak podobało się pani przedstawienie?

Colin zamknął jadaczkę.

Ekspedientka w sklepie z alkoholem była niską, pulchną Filipinką. Wyglądała na wkurzoną, kiedy Colin poprosił ją, żeby podała swoją wersję zdarzeń.

– Ja już to mówić – zapewniła, wskazując na dwóch umundurowanych policjantów, którzy byli w środku razem z nią.

– No cóż, proszę opowiedzieć to jeszcze raz – upierał się Colin. – Być może przypomni sobie pani coś nowego.

– Ja nie sądzić – odparła kobieta. Colin zmierzył ją wzrokiem. Spojrzenie to należało do tych, które niosą oczywisty przekaz. Filipinka zmieniła zdanie. – Okej, ja opowiedzieć. Ten skurwysyn wejść do sklep. Celować we mnie wielka stara giwera. „Oddawać forsa albo odstrzelić ci dupa!”, skurwysyn powiedziec. Otworzyć kasa. Położyć forsa na lada. Skurwysyn zabrać forsa i uciekać. Ja zadzwonić policja.

Po angielsku mówi się, tak jak ona, pomyślał Colin. Filipinka posługiwała się dziewięcioliterowym czułym słówkiem, jakby znaczyło facet. Z tego, co się orientował, ona tkwiła w takim przekonaniu. Być może za parę lat rzeczywiście tak będzie. Słyszał wielu ludzi, którzy używali tego wyrazu w taki sam sposób.

– Macie tutaj wideo z monitoringiem? – zapytał ją.

– Co pan mówi? – odpowiedziała pytaniem; tym razem dała próbkę angielskiego, jakim się nie mówi.

Colin spróbował ponownie.

– Kamera – powiedział, nie tracąc cierpliwości. – Kamera TV.

– Czy istniał ktoś na tym świecie, kto nie kapował znaczenia skrótu TV? Być może paru pechowych tubylców, którzy ugrzęźli na dobre w miejscu kiepskiego odbioru sygnału gdzieś w górach Papui Nowej Gwinei. Wszyscy pozostali bili pokłony przed wszechwładnym bogiem i jego świętym imieniem.

– Ach, TV! – Tak, Filipinka zdołała to pojąć. Wskazała za siebie i do góry na skrzynkę z matowego aluminium z obiektywem umieszczonym po stronie roboczej. – O tam.

– Przejrzymy nagranie, proszę pani – oświadczył Colin. – Czy rabuś nosił maskę? Musiał, jak na prezentacji z komentarzem, zademonstrować, czym jest maska.

Kiedy ekspedientka zrozumiała, pokręciła przecząco głową.

– To już coś, tak czy inaczej – zauważył Colin. – Musimy sprawdzić, co zawiera materiał nagrany przez kamerę. Jeżeli pojawi się w nim twarz sprawcy i jeżeli zobaczymy groźbę użycia broni, być może uda nam się przekonać którąś ze stacji telewizyjnych do puszczenia tego na antenie. Pomogłoby nam bardzo, gdyby ktoś go rozpoznał.

Być może – a w zasadzie na pewno – pogardzał telewizyjnymi wiadomościami, ale duma nie rozpierała go na tyle, żeby nie miał skorzystać z ich usług.

– No właśnie – rzekł z aprobatą Gabe. – Być może jest to ten sam świr, który rozwalił innego sprzedawcę jakiś czas temu.

– Być może jest – zgodził się Colin. – Byłoby dobrze. Cóż, przekonamy się.

– Ten skurwysyn zastrzelić kogoś? – Z głosu ekspedientki przebijała najzupełniej zrozumiała groza.

– Nie jesteśmy jeszcze pewni, czy to ten sam facet – uspokoił ją Colin.

– Wy złapać go! Wy wsadzić go do paka! Wy trzymać go w paka! – jazgotała coraz bardziej, unosząc się. – To nie być pierwszy raz, kiedy nas obrabować. Nigdy nikogo nie złapać. Co za głupie skurwysyny pracować w policja, hę?

Colin mógłby się wkurzyć, gdyby nie zorientował się wcześniej, że kobieta mówiła te słowa, nie traktując ich na serio.

– Proszę pani – odpowiedział, uprzednio westchnąwszy. – Są mądry gliniarze i są tępi gliniarze, podobnie jak w każdym innym zawodzie.

Spojrzała na niego taksującym wzrokiem.

– Pan mądry gliniarz czy tępy gliniarz?

– Jedno albo drugie – odparł. Niech sobie sama wybierze, co jej bardziej pasuje. Postanowił jednak wrócić do sprawy. – Zobaczymy, co wychwyciła kamera.

Po chwili manipulowania przyciskami, przewinęli taśmę do tyłu i oglądali ją na monitorze ustawionym obok teraz wypatroszonej sklepowej kasy. Kamera zarejestrowała obraz w kolorze i do tego wysokiej rozdzielczości. Colin miał w pamięci czarno-białe niewyraźne plamy, z jakich składały się obrazy otrzymywane z pierwszych modeli kamer monitorujących. Nic poza tym. Te kadry natomiast posiadały dostatecznie dobrą jakość, żeby zidentyfikować sprawcę – jego śrutówkę – na rozprawie sądowej.

Delikwent miał jakieś osiemnaście lat, był Afroamerykaninem, w taniej dzierganej na drutach marynarskiej czapce, bluzie z kapturem i w dżinsach. Miał również kolczyki oraz tatuaż po lewej stronie szyi, tuż pod uchem.

– Niech mnie szlag trafi, jeśli to nie jest ten sam facet – orzekł Gabe.

– Upłynęło już trochę czasu – odparł Colin, ale podejrzewał, że sierżant ma rację.

Kimkolwiek jednak był, słowa, jakie wykrzykiwał bandzior oraz to, jak wymachiwał strzelbą, zapewniało obfitość materiału, na widok którego prezenter telewizyjnych wiadomości powinien zareagować świętym oburzeniem. Colin znał numery telefonów, pod które powinien zadzwonić.

Stacja Channel 7 przysłała dziewczynę, żeby obejrzała taśmę wideo.

– O, tak. Możemy ją wykorzystać – oznajmiła, obdarzając Colina promiennym uśmiechem i ukazując garnitur zębów bez wątpienia nałożonych na koronę. – Ma pan numer gorącej linii, na jaki mogliby zadzwonić ludzie, którzy coś wiedzą o sprawie.

– Pewnie, że mam. – Zapisał numer na odwrocie jednej ze swoich wizytówek. Poniżej drukowanymi literami dopisał: KOMENDA POLICJI SAN ATANASIO – GORĄCA LINIA. Może jej nie przyjdzie do głowy, żeby odwrócić wizytówkę na drugą stronę albo nie zdoła sobie przypomnieć,

gdzie ją posiała. Co prawda nie robiła specjalnie wrażenia bezmyślnej lalki, ale nigdy nie wiadomo.

– Dziękuję. – Wsunęła ją do torebki. – A teraz, jak się nazywa sklep monopolowy? Jaki jest jego dokładny adres? Kiedy doszło do napadu z bronią? Czy sprzedawca jest kobietą?

Mogła to stwierdzić na podstawie nagrania wideo, ale na wszelki wypadek chciała się upewnić. Do chwili, kiedy wyszła, oboje byli z siebie bardzo ukontentowani.

Jak się okazało potem, jedyny szkopuł tkwił w tym, że materiał filmowy nie trafił na antenę. Główną wiadomością wieczornego serwisu informacyjnego było rozporządzenie gubernatora, który wprowadził okresowe przerwy w dostawach energii elektrycznej na obszarze całego stanu.

– Musimy oszczędzać energię, ponieważ jej dostawy są mniejsze w następstwie negatywnych skutków erupcji superwulkanu – oświadczył z powagą gubernator.

Samo nakazanie przerw w dostawach energii i wyłączenia prądu nie oznaczało wcale, że dojdzie do nich lada chwila. Dobre pół tuzina ugrupowań rozmaitej proweniencji – prawica, lewica i centrum – zebrało się pod jego siedzibą, wymachując transparentami i żądając zmiany podjętej decyzji – natychmiast lub nawet jeszcze wcześniej. Pewien sędzia w położonym daleko na północy hrabstwie Siskiyou County wydał już sądowy zakaz, zabraniający wprowadzenia przerw w dostawach energii. Siskiyou County leżało na górzystym i chłodnym obszarze. Bez prądu po kilka godzin dziennie robi się tam jeszcze zimniej.

Do tego doszedł jeszcze pościg samochodowy na autostradzie Long Beach. Stacja musiała, rzecz jasna, przedstawić relację na żywo – albo przynajmniej tak im się wydawało w każdym razie. Tym sposobem ludzie

zamieszkujący krainę TV nie mieli nawet okazji rzucić okiem na bandziora ze śrutówką.

Na koniec jednak wyszło na to, że nie miało to żadnego znaczenia. Jeden z gliniarzy z San Atanasio obejrzał wideo.

– Niech mnie ktoś zerznie, jeśli nie znam tego dupka. To Jer William Ellis. Przed dwoma laty wsadziłem do pierdła jego wredny tyłek za napad z bronią. Nie wiedziałem, że już wyszedł z więzienia dla młodocianych.

– Jer William? – zapytał Colin.

– Tak się nazywa. Jeden wyraz, duże, duże W – wyjaśniał policjant. – Nie pytaj mnie dlaczego. Ja tu tylko pracuję. Zapytaj jego mamę.

– Okej. – Colin wzruszył ramionami. To w końcu nie jego sprawa. Widział już wiele bardziej dziwacznym imion od tego. – Wiesz, gdzie mieszka?

– Kiedy słyszałem o nim ostatni raz, na jednym z osiedli projektu Imperial.

To na północ i na wschód od San Atanasio. Wielki projekt osiedli mieszkaniowych, który ruszył po zamieszkach w dzielnicy Watts w sierpniu 1965 roku. Pomnik planu Wielkiego Społeczeństwa, opracowanego przez Lyndona Baines Johnsona. Od tamtej pory jest to wylęgarnia ulicznych gangsterów. W miarę realizacji projektu do jeszcze bardziej zaciętych zamieszek dochodziło na wschodzie. Reasumując, projekt Imperial Garden nie kojarzy się wcale z założeniem ogrodowym.

– Będę musiał porozmawiać z Wydziałem Policji w Los Angeles – skwitował Colin niezbyt entuzjastycznie. Osiedla znajdowały się na terenie objętym jurysdykcją Wielkiego Miasta. Niekiedy ludzie z LAPD współpracowali sprawnie. Czasami gliniarze z Wielkiego Miasta traktowali swoich kolegów po fachu z mniejszych miast jak zgraję chodzących na zębry kmiotów. Nigdy nie było wiadomo, dopóki nie podjęto się próby.

– Lepiej zadzwoń szybko – doradził gliniarz. – Jeśli tak dalej pójdzie, niedługo zaczną nam również wyłączać telefony.

– He, he, he – udał śmiech Colin w imieniu całego świata, jakby miał to być dowcip.

Louise Ferguson chwyciła sklepowy wózek i weszła do Vons. Supermarket przy Reynoso Drive stał tam, odkąd sięgała pamięcią, a nawet jeszcze dłużej. Niektórzy ze stałych klientów, którzy już tu bywali od lat, gdy ona stawiała pierwsze kroki, do dziś pozostawali stałymi klientami. Stałymi klientami o włosach białych jak śnieg lub lekko podbiegniętych niebiesko albo różowo; stałymi klientami o twarzach zrytych zmarszczkami i plecach wygiętych w kabłąk, w żakietach z poliestru. Mikrowłókna, głównie prawda, pomyślała Louise. A ja mówię, że to poliestry i że do diabła z tym.

Czy tak właśnie się kończy? Czy ona będzie tak wyglądała za dwadzieścia pięć lat od dziś? Czy ta radosna, świeżo upieczona panna młoda, która idzie teraz galerią z produktami rolnymi, też postrzeże ją w dalszej perspektywie czasowej i wzdryga się, jakby przeszły przez nią dreszcze? Przypuszczalnie. Tego nie da się wygrać. Jedynym sposobem wyjścia z tej gry byłby skok pod rozpędzoną ciężarówkę lub coś w tym rodzaju. Louise nie zamierzała tego uczynić.

Nie zamierzała również szybko się zestarzeć. Zwłaszcza ona nie zamierzała się zestarzeć, mając przy boku o tyle lat młodszego kochanka. Mężczyźni osiągając nobliwe lata, nabierali wytworności. Kobiety stawały się niewidzialne albo robiły się szkaradne. Jakiego mężczyznę mogło pociągać czy kusić doświadczenie, nawet bogate, leciwej damulki?

Przyszłaś do sklepu, żeby się wkurzać i jęczeć, czy może zamierzasz kupić parę rzeczy? Louise zapytała samą siebie. Uśmiechnęła się cierpko. Miała ze sobą sklepowy wózek. Miała kartkę z listą sprawunków – należała

do dobrze zorganizowanych klientek. Ponadto mogła sobie pozwolić na zostawienie tu paru groszy.

Jak zwykle, rozpoczęła od warzyw i owoców. Młódka świeżo po ślubie nie miała teraz szczęśliwej miny i nie tryskała radością, miała zresztą ku temu powody. Pojemniki na plony ziemi w większości świeciły pustkami. A większość z tego, co oferowano, nie wyglądała zachęcająco. Ceny skoczyły w górę jak szalone. Napis nad pustą skrzynią, w której powinny znajdować się ziemniaki, informował: PRZEPRASZAMY! ROBIMY, CO W NASZEJ MOCY!

Najbardziej przerażał fakt, iż ona im wierzyła. Nikt, kto zdołałby dotrzeć do warzyw lepszej jakości, nie wystawiłby na regały produktów w tak żalnym stanie.

– Do dupy z tym, prawda – powiedziała świeżo upieczona panna młoda.

– Nie potrafiłabym ująć tego lepiej – odparła Louise.

Uśmiechnęły się obie i obie przewróciły oczyma. Nieszczęścia chodzą parami, przynajmniej chwilami.

Sprawy wcale nie miały się lepiej w innych sektorach supermarketu. Półki wręcz ziały osobliwymi, rozrzuconymi losowo pustymi miejscami. Przed tygodniem Louise zauważyła tylko kilka takich luk. Teraz bez ogródek wychodziły przed szereg i wręcz kłuły ją w oczy. Nie musiała łamać sobie długo głowy, by zrozumieć, co się za tym kryło. Wciąż można było nabyć bez większego trudu produkty lokalne. Brakowało natomiast wszystkiego, co dostarczano ze wschodniego wybrzeża.

Kupiła, co się dało. Kilka rzeczy, których nie dostała, mogła zastąpić innymi. Nie widziała nigdzie chusteczek higienicznych, ale za to półki ugięły się pod rolkami papieru toaletowego.

Jeśli człowiek nie miał wyjścia, mógł nim równie dobrze wycierać nos, jak i podcierać tyłek. Ryż mógł zastępować ziemniaki: och, może nie do

końca, ale zawsze. Dla chcącego nic trudnego, w asyście prawnika pomyślała. Potem zacisnęła mocno wargi tak, że jej usta zamieniły się w cienką, pozbawioną koloru linię. Było to – bez wątpienia ciągle jest – jedno z ulubionych powiedzeń Colina.

No cóż, jak jej na imię – Kelly – wysłuchuje teraz jego porzekadeł. Z pewnością nie miała jeszcze okazji usłyszeć ich z milion razy. Powiedzmy kilkaset, co najwyżej. Jeśli ona ugrzęźnie w związku z nim na tak długo, jak zrobiła to Louise... Wtedy on osiągnie naprawdę leciwy wiek, a Kelly też już będzie miała swoje lata.

Ludzie mówili, że człowiek dostaje świra przez dwa lata po rozpadzie małżeństwa. Większość z tego, co mówią ludzie, to zwykle brednie, nic tylko bzdury. Ale tezę tę uznawała za w dużej mierze prawdziwą. Louise czuła się teraz znacznie pewniej, wyczuwała też solidniejszy grunt pod nogami niż wtedy, kiedy po raz ostatni wyszła przez frontowe drzwi dawnego domu.

Pewny grunt pod nogami czy nie, nie potrafiła uwolnić się od tego, co było jej bliskie przez tak długi czas. Czy Colin i rzeczy, których się dopuścił i które powiedział, będą gotować się w niej do końca życia? Wszystko na to wskazywało. Spoglądając z zewnątrz, ich rozstanie wydawało się bezbolesne. Ale od środka... Wciąż miała w uszach jego głos, niech to cholera.

Skierowała wózek w stronę stanowisk z kasami.

– Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko plastikowym torbom – powiedział latynoski dzieciak pakujący do toreb artykuły spożywcze, kiedy pokazała kartę rabatową Vons Club. – Tylko takie udało nam się zdobyć.

– Nic nie szkodzi – odparła Louise.

Torby z plastiku miały być stopniowo wycofywane z użytku. Nie, na dobrą sprawę, już miały definitywnie zostać wycofane z użytku. Być może

zyskały jednak jakiś rodzaj dyspensy z uwagi na erupcję superwulkanu.

Dyspensy udziela papież Tobie chodzi o prolongatę. Wciąż słyszała w głowie Colina, jakby, psiakrew, mówił do niej właśnie teraz. Och, Vanessa powiedziała by dokładnie to samo, chociaż nie takim samym tonem. Cholera, nie miała żadnej wiadomości od Vanessy od czasu, kiedy Yellowstone zapadło się samo w sobie.

Kiedy przypominała sobie to wszystko, uszły jej uwagi następne słowa małego pakowacza.

– Słucham? – Usiłowała sprawiać wrażenie zainteresowanej i uważnej.

– Mówiłem, że jeśli ma pani jakieś torby płócienne z uchami, być może dobrym pomysłem byłoby zabranie ich ze sobą, kiedy przyjdzie tu pani następny raz. Kto wie, jak długo jeszcze będziemy w stanie w ogóle dostawać jakieś torby?

– Dobrze, tak zrobię.

Louise trzymała kilka w komodzie. Któż ich nie trzymał. Paru osobom chyba jednak ich zabrakło. I to one właśnie będą wszczynać awantury, kiedy sklep nie pomoże – nie będzie w stanie pomóc – im z zabraniami się do domu ze spożywczymi zakupami.

Schowała kartę rabatową i wyciągnęła kartę Visa, którą darzyła zaufaniem.

– Być może to szczęśliwy traf, że dzisiaj dostała pani plastikowe torby – zauważyła dziewczyna siedząca przy kasie, kiedy Louise składała podpis na kopii paragonu kasowego przeznaczonej dla sklepu. – Na dworze leje jak z cebra.

– Rzeczywiście, leje? – Do tej chwili Louise nie zwracała uwagi na to, co się działo z pogodą. Teraz wyjrzała przez okna z wielkimi taflami szkła. – Rzeczywiście, leje! – przyznała z pewną konsternacją. Kiedy tu dotarła, jeszcze nie padało. – Czy mogę pobiec z powrotem i kupić parasolkę?

Gdyby to zrobiła, dwie kobiety stojące za nią w kolejce przeistoczyłyby się w jej dozgonnych wrogów.

– Orlando, pobiegnij i przynieś parasolkę dla pani Ferguson. Na jednej nodze! – ponagliła kasjerka chłopca pakującego zakupy.

– Si, Virginia – odparł Orlando i wyrwał z miejsca piorunem. Wrócił z parasolką – parasolką w tandetne kwieciste wzory, ale cóż na to poradzić – dużo prędzej niż zdołałaby uczynić to Louise, gdyby sama się po nią pofatygowała. Zapłaciła gotówką; o wiele szybciej, niż płacąc kartą kredytową. Poza tym przywiązywała wagę do tego, co mówią inni ludzie, nawet jeżeli byli to ludzie, których nie znała.

Określenie „łało jak z cebra” zupełnie nie oddawało intensywności nawałnicy. W Los Angeles z reguły nie zdarzały się tego rodzaju oberwania chmury. Dzięki parasolce od pasa w górę była w połowie sucha. Natomiast od talii w dół, tak czy owak, przemokła do suchej nitki. Wiejący od północnego zachodu porywisty wiatr siekł strugami deszczu niemal w poziomie. Plastikowe torby na spożywcze zakupy okazały się błogosławieństwem. W takiej ulewie torby z szarego papieru rozmokłyby migiem i podarły na strzępy. Louise rzuciła pakunki do bagażnika i brodząc w wodzie, obesła auto ku drzwiom od strony kierowcy.

W ciągu zaledwie paru sekund zdołała wsiąść, po krótkich zmaganiach zamknąć parasolkę, rzucić ją na dół obok przedniego siedzenia i zatrzasnąć za sobą drzwi. Przez cały ten czas Louise napuściła do auta tyle wody, że starczyłoby jej na zapewnienie ziemnego dołu na polu golfowym położonym dalej przy tej ulicy. Przy okazji kilka strug wody spłynęło także po niej.

– Tfu! – ulżyła sobie. Ale okazało się to zdecydowanie za mało. Spróbowała raz jeszcze. – Kurde!

Lepiej. Zdecydowanie lepiej. Przestała już doszukiwać się sensu w tym, dlaczego ludzie uważają przeklinanie za coś nagannego. Wprawdzie nie

wspomagało to człowieczej kondycji równie skutecznie jak zalanie robaka czy porządne dymanko, ale z pewnością działało jak przyklepiec z opatrunkiem na skaleczenie.

– Kurde! – ulżyła sobie raz jeszcze.

Wpuszczając, a właściwie pozwalając, by cała ta woda dostała się do środka oraz dając upust złości, co przełożyło się na wzburzone oddychanie, doprowadziła do zaparowania szyb wewnątrz auta. Na dobrą sprawę nie była w stanie dostrzec więcej, niż mogłaby widzieć, gdyby wjechała w środek własnej, prywatnej smugi gęstej mgły.

Uruchomiła silnik i włączyła ogrzewanie jednocześnie szyb bocznych i tylnej. Skierowanie strumienia gorącego powietrza na wewnętrzną stronę szyb przez chwilę po gorszyło stan rzeczy, zanim w końcu sytuacja uległa poprawie. Wiedziała, że tak właśnie się stanie, zatem darowała sobie tym razem rzucanie mięsem. Czy przypadkiem pod przednim siedzeniem nie schowała kiedyś starą rolkę z resztką papierowych ręczników?

Wciąż tam były i nawet nie zdążyły przemoknąć. Wytarła nimi boczne szyby, a przynajmniej tę ich część, do której miała dostęp. Kiedy skończyła, zaczęła zwijać je w rulon, żeby móc je wyrzucić, kiedy już dojedzie do domu. Przemyślawszy jednak sprawę dogłębnie, zmieniła zdanie. Chusteczki higieniczne marki Kleenex już dawno zniknęły z półek. Na jak długo wystarczy papierowych ręczników? Przecież można je wysuszyć i użyć po raz drugi. Wsunęła je z powrotem pod siedzenie, uprzednio je rozprostowując.

Włączyć przednie wycieraczki. Ustawić je na dużą szybkość przesuwu. Nie potrafiła przypomnieć sobie, kiedy robiła to ostatni raz, ale z całą pewnością nie potrzebowała tego wiedzieć. Włączyć przednie światła. Gdy wycieraczki pracują, światła są obowiązkowe. Tak stanowią przepisy. Jako małżonka gliniarza – no dobra, do cholery, eksmałżonka gliniarza – nie

tylko znała tego typu rzeczy, ale też traktowała je na serio. A w trakcie ulewy takiej jak ta, należało koniecznie dać innym cymbałom na drodze szansę zobaczenia jej z jak największej odległości.

Wielgachny SUV usiłował wcisnąć się w wolne miejsce po jej lewej stronie. Gość parkował tyłem, co jak zawsze sprawiło mu wielką frajdę. Louise przez chwilę rozważała w myślach, skąd wzięła się i wciąż nie miała popularność tych cholernych bryk. Wzruszyła ramionami. Nie mogła nic na to teraz poradzić oprócz salwowania się ucieczką, inaczej facet stuknąłby ją od tyłu.

Zdołała wywinąć się z opresji. Wyjechała ze sklepowego parkingu na ulicę. Ruszyła z powrotem w kierunku własnościowego mieszkania, starając się rozglądać na wszystkie strony jednocześnie. Jeździła samochodem od trzydziestu lat. Z doświadczenia wiedziała, że mieszkańcy Los Angeles nie potrafili radzić sobie w deszczu. Z reguły jeździli za szybko i siedzieli na zderzaku poprzedzających aut. Gdyby nie widziała tego na własne oczy, mimo opowieści, jakie Colin przynosił z komisariatu do domu, nie zdołałaby sobie tego uświadomić.

Nie była zdziwiona, kiedy na dobre utknęła w korku w połowie drogi do domu.

Zniesmaczona? Tak. Wkurzona? Na mur. Zdziwiona? W żadnym razie. Zbliżała się pora, kiedy stacje radiowe nadawały serwis informacyjny o sytuacji na drogach. Na wszelki wypadek wcisnęła trzeci klawisz na radioodbiorniku.

– ...gach na piątce – dobiegło z głośników. Informacje o wypadkach na autostradzie – a wydarzyła się ich masa – podano w pierwszej kolejności. Potem nastąpił komentarz spikera. – Doszło też do poważnego wypadku w San Atanasio, w pobliżu skrzyżowania ulic Sword Beach Avenue i 169th Street. W kraksie uczestniczyły co najmniej cztery auta, ponadto w poprzek

jezdni leży przewrócona latarnia. Będziecie zatem mieli poważne trudności z dojechaniem do celu podróży.

Z jego głosu przebijała nedorzeczna radość. Rzecz jasna, to nie on tkwił w korku. Wcisnęła się na prawy pas, ignorując klakson jakiegoś dupka, który miał to gdzieś. Potem zjechała ze Sword Beach z niemal tak ogromną ulgą, jaką musieli odczuwać żołnierze w 1944 roku, którzy zdołali ujść rzezi.

Wzdłuż reprezentacyjnej alei ulokowały się sklepy, restauracje, stacje benzynowe, banki oraz inne uciążliwe atrybuty zachodniej cywilizacji. Gdy tylko z niej zjechała, wygląd okolicy uległ natychmiastowej zmianie. Białe domy z deski szalunkowej jeszcze sprzed wojny stały ociężale obok siebie, pokryte wyblakłym tynkiem położonym niewiele później. Dom, w którym pospołu z Colinem wychowała dzieci, znajdował się zaledwie o parę mil dalej, jednak w bez porównania lepszej dzielnicy.

W o wiele bielszej dzielnicy, również. Louise mieszkała teraz wprawdzie z Latynosem, ale kiedy nie oglądała siebie samej, to wciąż patrzyła z podejrzliwością na każde oblicze bardziej śniade niż jej własne. To jeszcze jeden aspekt dziedzictwa po małżeńskim pożyciu z gliniarzem, nawet jeżeli zaliczał się do tych, od których chciała uciec.

Nie widywało się tu zbyt wielu białych twarzy. Meksykanie, Salwadorczycy, Czarni, Koreańczycy, Flipińczycy... W San Atanasio można było znaleźć każdą rasę i każdy rodzaj kuchni w małych lokalikach i dziuplach. Wielu trawników nie koszone od dawna. Niektórzy z tutejszych mężczyzn kosili trawniki u innych ludzi dla chleba i nie mieli czasu albo dość sił, żeby zadbać o własną murawę. Zanim nadeszły deszcze, trawa pożółkła lub nawet zbrązowiała. Mimo to potem szybko znów się zazieleniła. Na kilku trawnikach stały samochody.

Jakaś Azjatka z parasolką pchała wózek spacerowy po rozwalającym się chodniku. Czarnoskóry gość, który wszedł na dach po aluminiowej drabinie, usiłował docisnąć niebieską, plastikową plandekę kawałkami cegły, łatając przeciek do czasu, kiedy pojawią się dekarze. Z całą pewnością nie pojawią się przed ustaniem ulewy, o ile w ogóle się pojawią.

Nikt nie zwracał na nią uwagi, gdy tędy przejeżdżała. Nie była to dzielnica pokroju South Central, gdzie ludzie przyglądali się każdej białej twarzy. Pojęcie wszyscy w San Atanasio obejmowało również białych. A gdy ktoś siedział w samochodzie, zwłaszcza w samochodzie zamkniętym szczelnie z uwagi na deszcz, osiągał połowę drogi do niewidzialności, tak czy inaczej.

Nacisnęła gwałtownie na hamulce, kiedy zupełnie jakby znikąd przemknął przed nią jakiś chłopak na rowerze. Tu i tam biegało mnóstwo dzieciaków, obojętne, padało czy nie. No cóż, okej. Była sobota. Bez dwóch zdań ich starsi bracia bazgrali teraz graffiti, które ozdabiały płoty i bramy garaży, tak jak kocie szczyiny wyznaczały terytoria kocurów. W San Atanasio prowadzono program ucywilizowania graffiti. Każdy mógł zadzwonić i zamówić sobie usługę grafficiarzy, za darmo. Ale jakoś nikt nie kwapił się z ofertami robót malarskich.

Poza tym jak długo mógł przetrwać ten program, kiedy czasy stały się ciężkie i robiły coraz cięższe? Przypuszczalnie niezbyt długo. Ale z drugiej strony, kto mógł stwierdzić, skąd sprowadzano farbę w sprayu? Jeśli nie produkowano jej tutaj, to także uliczni chuligani mogli mieć kłopoty z jej zdobyciem.

Czy sięgną na powrót po wiaderka i pędzle? Czy może... Przestań, powiedziała do siebie stanowczo. To przecież nie jej zmartwienie. A jeżeli nawet, obecnie i tak nie mogła nic na to zaradzić. Dawniej, kiedy pozostawała w małżeńskim stadle z Colinem, podsuwała mu różne rady, a

on z niektórych nawet korzystał. Niech ją szlag trafi, jeśli teraz zadzwoni do niego albo prześle e-maila. Nie chciała mieć z nim nic do czynienia, o ile sprawa nie dotyczyła ich dzieci. Nie chciała nawet i wtedy, ale wiedziała, że w takim przypadku ugrzęzła na dobre.

Jeśli skręci teraz w lewo, to powinno dać radę powrócić na aleję Sword Beach już za miejscem wypadku. Skręciła – ostrożnie. Na zewnątrz rzeczywiście lało jak z cebra. Takiej ulewy jak ta nie widywało się jesienią. Rzadko kiedy zdarzało się spotkać taki deszcz w styczniu czy w lutym, kiedy do Los Angeles przychodziła pora deszczowa.

Przy Sword Beach stał znak stopu. Louise nie zignorowała go, co z reguły czyniła przy dobrej pogodzie. Nie chodziło wyłącznie o to, że straciła mandatowy immunitet, jakim cieszyli się gliniarze oraz ich małżonki w rodzinnym mieście. Jakiś palant pędzący ulicą po tak długim staniu w korku mógł z prawdopodobieństwem graniczącym z pewnością rozjechać ją na miazgę.

Zrobiła dobry czas, kiedy skręciła na trasę szybkiego ruchu. W lusterku wstecznym widziała malejącą scenę z wypadku. Dostrzegła kupę zgniecionej blachy karoseryjnej, dwa czarno-białe radiowozy, karetkę pogotowia, wóz strażacki oraz żółtą ciężarówkę z żurawiem wysięgnikowym przyslaną przez Wydział Robót Publicznych. Niezły bałagan, to prawda. Jak przypuszczała, goście z robót publicznych mieli zająć się przewróconą latarnią.

Zajechała z powrotem do podziemnego parkingu, który stał się tak znajomy, jak kiedyś dawny podjazd pod dom. Otworzyła bagażnik i chwyciła tyle toreb ze spożywczymi zakupami, ile zdołała unieść. Z błotników skapywała woda. Spływała w dół do środka betonowej nawierzchni ze spadkiem i znikła w otworze ściekowym wielkości piłki do softballu, przykrytym metalową kratką.

Taszcząc zakupy z parkingu do bloku z mieszkaniami własnościowymi, znowu przemokła do suchej nitki.

– Ach, moje ty biedactwo! – zakrzyknął Teo, kiedy weszła do mieszkania. – Zostały jeszcze jakieś torby? Pozwól, że przytargam resztę.

– Nie kłopotz się. Po co i ty również masz przemoknąć? – oponowała Louise.

Ale on jej nie słuchał. Wyciągnął kluczyki z torebki i zniknął, zbiegając po schodach. Wrócił po paru minutach z resztą toreb ze sprawunkami. Bez dwóch zdań przemókł tak, jakby właśnie wyszedł spod prysznica. Klucze brzęknęły, kiedy wkładał je z powrotem do jej torebki.

– Czterdzieści dni i czterdzieści nocy, jak biblijny potop – powiedział, tryskając większą radością, niż mogłoby to wynikać z wypowiedzianych słów.

Louise wkładała już kupione artykuły do szafek oraz do lodówki. Odczuwała brak swojej dawnej kuchni; w tej panowała taka ciasnota, że nie dało się nawet szpilki wcisnąć.

– Wcale bym się nie zdziwiła – przyznała. – Poza tym na alei Sword Beach doszło do naprawdę porządnej kraksy. Musiałam nadrobić sporo drogi, żeby móc dojechać do domu.

Opowiedziała mu o wszystkim.

– Tak było? – zapytał na koniec Teo. Louise przytaknęła. On również skinął głową, jak gdyby miało to stanowić wyjaśnienie czegoś, nad czym wcześniej się zastanawiał. I stanowiło. – Akurat pomyślałem sobie, że powrót do domu zajmie ci trochę czasu.

– Cóż, w rzeczy samej. Ale nie mogłam na to nic poradzić – odparła Louise. – Możesz mi podać to opakowanie z udźcem wołowym. – Wsadziła je do zamrażarki. – Ciągle jeszcze można dostać wołowinę – dodała. – Wiem, że jest tłusta i poprzerastana (Teo przejmował się bardziej sprawami

odżywiania niż ktokolwiek inny, kogo znała przedtem), ale wciąż jeszcze można ją dostać.

– Ziemia rozgniewała się na nas – skomentował. – Któż mógłby wyobrazić sobie, że z powodu jakiegoś wulkanu wszystkie terminarze wezmą w łeb?

Teo pasjonował się zagorzale futbolem. Louise... tolerowała to. A propos kwestii, któż mógłby sobie wyobrazić – cóż, Colin zrzędził nieznośnie na ten temat, jeszcze zanim doszło do erupcji superwulkanu. Oczywiście wiedział coś o tym, ponieważ jego nowa kochanica zajmuje się takimi sprawami. I znów sprawdziło się stare porzekadło, kto z kim przestaje, takim się staje. Nie ma na to rady.

Uśmiechnęła się. Teo odwzajemnił uśmiech i przejechał dłonią po jej mokrych włosach. Gdyby zapytać o zdanie Louise, otrzymała od życia co najlepsze.

Istniał jakiś praktyczny termin na określenie jazdy rowerem w ulewnym deszczu. Taka jazda to coś okropnie, ale to okropnie upierdliwego. Marshall Ferguson miał na sobie przeciwdeszczową pelerynę, dzięki której przynajmniej po części nie przemókł do suchej nitki. Tak czy inaczej jazda rowerem w deszczu to skrajna przykrość.

Ale to samo dało się powiedzieć o polityce parkingowej władz Uniwersytetu Kalifornijskiego w Santa Barbara. Na terenie kampusu zapewniono zdecydowanie za mało miejsc parkingowych. Natomiast cena tych, z których mógł korzystać, wołała o pomstę do nieba. Rower zatem okazał się dużo bardziej pragmatyczny.

W najczęstszych przypadkach. W minionym tygodniu dojazdy rowerem na uczelnię sprawiły, iż Marshall poczuł pokusę, by przesiąść się do autobusu. Jednak w takim przypadku skazywał się na przemoknięcie do suchej nitki w oczekiwaniu na podwodę, ponadto autobus miał przystanek o

trzy przecznice od miejsca, gdzie miał zajęcia, więc ponownie mókł jak kura po dwakroć, idąc na uczelnię i wracając z niej po zajęciach. W żaden sposób nie mógł temu zaradzić.

Jakieś auto przemknęło obok. Utrzymało nawet przepisowy odstęp; większość kierowców w Santa Barbara, w odróżnieniu od swych odpowiedników na większości obszaru południowej Kalifornii, miała przynajmniej jakieś baczenie na fakt, że użytkowali drogi pospołu z ludźmi na jednośladach. Co nie oznaczało wcale, że bieżniki opon nie chwyciły wody i nie ochlapały go najpierw z boku, a potem nie bryznęły mu w twarz, kiedy toyota znalazła się przed nim.

Do takich incydentów doszło co najmniej kilka razy, zanim w końcu zdołał dotrzeć na kampus. Rozważał w myślach, jak zresztą zwykł robić to codziennie, kiedy dojechał do celu, czy autobus, summa summarum, nie okazałby się lepszym pomysłem. Próbował rozgryźć ten dylemat za każdym razem, gdy w rześmistym deszczu pedałowal do domu. Być może powinien dostrzec w tym jakąś prawidłowość, przyszło mu do głowy. Mimo to każdego ranka jakimś sposobem wsiadał na rower, zamiast ruszyć piechotą w stronę przystanku autobusowego. Zawsze też przyjmował założenie, że następnym razem sprawy ułożą się lepiej. Być może jego zachowanie dałoby się nawet powiązać z tekstem irytującej piosenki o tym, że jutro będzie lepiej. Albo też spełniał już kryteria pewnej zwięzłej definicji umysłowego obłądu: wykonywanie tej samej czynności raz za razem, bez końca, oczekując przy tym odmiennych rezultatów.

– Hej, przynajmniej miałem trochę frajdy – mruknął pod nosem, kiedy w końcu uciekł od przykrych konsekwencji ruchu ulicznego. Kwestię, czy obryzgiwanie fizjonomii zimną brudną wodą wyrzucaną spod kół rozpędzonych aut wyposażonych w opony Michelin można, zaklinając się

na Boga, uznać za frajdę, postanowił rozważyć w jakimś późniejszym terminie.

Stojaki na rowery na terenie kampusu zajmowały mniej miejsca niż parkingi samochodowe, ale zapełniały się równie szybko. Znalazł wolne miejsce i przypiął jednośląd do stojaka. Stosował kłódkę i łańcuch potwierdzone atestem ojca. Początkowo kupił sobie tanią wersję el chipos – i pewnego pechowego dnia w trakcie drugiego roku wracał z konieczności autobusem do swego mieszkanka, chociaż rano wyjechał z niego rowerem. Stary kazał mu wtedy zapłacić z własnej kieszeni za nowy rower, kłódkę i łańcuch. Miał trochę do niego o to żal. Ale też od tamtej pory nikt mu nie podwędził rowerem.

Wszyscy pozostali w kampusie wyglądali na równie zmokniętych i równie nieszczęśliwych, co on. Choć po prawdzie to niemal wszyscy. Uniwersytecki profesor przechadzał się pod parasolem tak gigantycznym, że na krater superwulkanu nie spadłaby nawet kropelka. Gość niemal całkowicie wyłysiał na czubku głowy, a mimo to siwe włosy po bokach spływały mu aż do ramion. Przypuszczalnie hodował je od czasów, gdy był jeszcze małym chłopcem około 1973 roku, kiedy to doszedł do wniosku, że fryzura wygląda odłotowo i nigdy potem nie kłopotał się zmianą zdania, chociaż zmieniały się mody, a czupryna mu rzedła. Stały etat na uniwersytecie pozwalał na tego rodzaju ekstrawagancję. Znikała potrzeba dostosowywania się do zachodzących zmian, więc po co się zmieniać. A jeśli nawet ludzie podśmiewywali się za plecami, to co z tego? Etat pozostawał niezagrożony.

Marshall żałował, że studenci nie dostawali stałych etatów. Do tego właśnie zmierzał przez wszystkie te lata. Lubił wyobrażać sobie siebie samego w wieku pięćdziesięciu pięciu lat, z wydatnym brzuszkiem, być może również łysiejącego, wciąż zamieszkałego w klitce ze sfatygowanymi

meblami gdzieś w Ellwood albo w Goleta, wciąż gromadzącego punkty potrzebne do zdobycia dyplomu, wciąż popalającego maryškę i wciąż posuwającego koleżanki ze studiów, kiedy tylko nadarzy się okazja. Czegóż więcej można chcieć od życia?

Zdawał sobie wszakże sprawę, choć z obolałym sercem, że tak się jednak nie stanie. Po pierwsze, jego stary nie zamierzał wiecznie wykładać na niego gotówki, on sam zaś, mając się dorywczych prac, nie będzie w stanie zarobić dostatecznie dużo szmalu, by opłacić mieszkanie, wyżywienie, samochód i całą resztę niezbędnego gówna, nie wspominając wcale o czesnym na uniwersytecie. To jeszcze jedna rzecz, która bardzo mu doskwierała. W istocie rzeczy, najbardziej ze wszystkiego. Po drugie, nawet gdyby ojczulek był skłonny nie zakręcać kurka z kasą przez następnych trzydzieści lat, to władze Uniwersytetu Kalifornijskiego w Santa Barbara i tak by się go pozbyły. Właściwie to powinien skończyć studia dawno temu. Przekroczył – i to bardzo znacząco – normalny limit czasu uczęszczania na zajęcia oraz ogólny limit punktów niezbędnych do absolutorium. Zręczne zamiany przedmiotu kierunkowego oraz kilka podań beztróska zaaprobowanych przez administrację uczelni umożliwiły mu nieustanne podwijanie rękawów w zamiarze obrony dyplomu.

Będzie więc musiał ukończyć studia całkiem już niedługo, bez względu na to, ile by kombinował, ile by lawirował czy, ile by wierzgał i jęczał. Nie żywił specjalnych złudzeń, co do przyszłości, jeszcze zanim superwulkan powalił gospodarkę na deski i zdeptał ją na amen. Teraz egzystencja z tytułem licencjata rysowała się przygnębiająco, w perspektywie powrotu do San Atanasio, do własnego pokoju w rodzinnym domu. Pozostanie mu wycyganianie forsy od starego przy jednoczesnym dokładaniu próżnych starań, by znaleźć pracę, której nie ma.

Deszcz czy nie, wolontariusze chodzili po terenie kampusu i zbierali datki oraz dary rzeczowe dla milionów wszystkich tych, których erupcja zmusiła do ewakuacji. Przyjmowali wszystko – gotówkę, żywność w puszkach i używaną odzież. Marshall przekazał im pieniądze. Nie potrafił pojąć, jakim cudem konserwy spożywcze i znoszone dżinsy mogły dotrzeć z Santa Barbara na Środkowy Zachód. Zapytał nawet o to.

– Nie docierają – odparł poważny gość ze znaczkiem Czerwonego Krzyża przypiętym do kieszeni bluzy. – Ale bardzo wielu uciekinierów przebywa w rejonie zachodniej granicy strefy opadu pyłu.

– Ach.

Marshall nie pomyślał o tym. Następnego dnia przekazał puszkę wołowiny zapiekanej z ziemniakami oraz drugą z mandarynkami. Jedno zatem nie bardzo pasowało do drugiego. Wielka mi, kurwa, rzecz.

Dzisiaj przeszedł obok przemokniętych wolontariuszy. Z gotówką było u niego krucho, a w plecaku nie miał żadnej puszeki. Deszcz dołował nastrój wszystkim. Wolontariusze nie wykazywali zbyt gorliwości w nagabywaniu przechodniów. Stali lub siedzieli pod plandekami z polietylenu, które nie chroniły ich dostatecznie przed strugami deszczu i wyglądali tak, jakby byli gotowi oddać dusze, żeby tylko dostać się w jakieś ciepłe i suche miejsce.

Marshall na dobrą sprawę mógł to zrobić. W budynkach uniwersyteckiego miasteczka nie panowały jednak upalne tropiki, ponieważ po erupcji termostaty przestawiono na dużo niższą temperaturę. Ale pod dachem przynajmniej nie padało. Mógł zrzucić przeciwdeszczową pelerynę. Mógł nawet pójść do męskiej toalety i nieco się osuszyć papierowymi ręcznikami. Świeże nalepki apelowały NIE MARNUJ ARTYKUŁÓW Z PAPIERU! Jakich artykułów nie brakowało w tych dniach?

Potem ruszył do sali, w której odbywały się zajęcia z nauki kreatywnego pisania. Profesor Bolger nie poprowadził zajęć tak, jak oczekiwał tego Marshall. Najpierw zadał studentom pracę pisemną. No cóż, niespodzianka! Ale potem polecił im przesłanie tego, co napisali, do oceny na rynku wydawniczym, na którym musieli zmierzyć się z ludźmi, którzy w branży dziennikarskiej pracowali, jako wolni strzelcy dłużej, niż studencka brać chodziła po tym świecie.

– Przecież odrzucają nasze prace! – któraś z dziewczyn zaczęła biadolić, kiedy Bolger obwieścił im ten wymóg.

Marshall zdążyłby ją ubiec, gdyby tylko w tym momencie znajdował się w fazie wydechu, a nie wdechu.

– Założmy nawet, że odrzucają. Dlaczego mielibyście być w gorszej sytuacji? – Profesor odpowiedział pytaniem na głośne okrzyki protestu.

– Dlatego! – wyjaśniła lakonicznie dziewczyna.

Marshall skinął głową, przytakując. Z jego punktu widzenia miało to sens.

– Posłuchajcie mnie – podjął z determinacją Bolger. – Jesteście tu po to, żeby nauczyć się czegoś o pisaniu. I jesteście tu po to, żeby – przy odrobinie szczęścia – przekonać się, że potraficie zarabiać pieniądze pisaniem. Żeby nawet móc z tego godziwie żyć, jeśli wzniesiecie się na dostatecznie wysoki poziom, wykażecie dostateczny upór i w dostatecznym stopniu wam się poszczęści. Nigdy nie zdołacie sprzedać żadnej swojej pracy, jeśli nigdy nikomu jej nie przedłożycie. A zatem... to właśnie zrobicie teraz.

– Ile razy odrzucano pańskie teksty – zapytał Marshall.

Zakładał, że Bolgerowi odrzucano; jeśli padnie odpowiedź nigdy, to co, u licha, ten gość robi, ucząc tutaj? Dlaczego nie okupował nieustannie list bestsellerów?

– Zalega u mnie sterta makulatury takiej grubości. – Profesor rozstawił dłonie na odległość jakichś piętnastu centymetrów. – Nie liczę w tym w ogóle e-maili. Nikomu wasze prace nie będą się podobać raz na zawsze. Musicie się na to uodpornić. Nie oznacza to wcale, że macie kiepskie pióra. Znaczący to wyłącznie tyle, że konkretnego dnia redaktorowi naczelnemu nie spodobał się konkretny tekst.

W jego ustach brzmiało to prosto i logicznie. Marshall wciąż truchlał na myśl o jakimś wyimaginowanym cynicznym, być może żującym cygaro redaktorze naczelnym, zrywającym boki ze śmiechu nad tekstem, jaki w pocie czoła i mozole wyszedł spod jego pióra. Tylko taki rezultat podpowiadała mu logika.

ROZDZIAŁ XVI

Kiedy Vanessa usłyszała głośny warkot silników wysokoprężnych dobiegający z zewnątrz schroniska dla ewakuowanych w Garden City, w pierwszej chwili pomyślała, czy przypadkiem nie utraciła zdolności racjonalnego rozumowania. W ostatnich dniach rzadko dał się słyszeć odgłos silników. Samochody, które mogły wydostać się z miasta, już dawno stąd odjechały. Z zachodu na dobrą sprawę nie przyjeżdżały żadne auta.

Cóż się zatem, do diabła, działo? Ciekawość odbiegała od codziennej rutyny. O ludziach trzymanyh razem z nią w zamknięciu z sali lekcyjnej K-1 wiedziała więcej, niż kiedykolwiek chciała wiedzieć. Wiedziała, jaki wydzielają zapach: każdego dnia coraz bardziej smrodliwy. Ona zresztą również. Znała zakończenie powieści Młyn nad Fłossą. Jednak wiedza ta nie przeszkodziła jej zachodzić w głowę, dlaczego władze oświatowe okręgu Garden City wmuszały to czytadło jako lekturę obowiązkową Bogu ducha winnym licealistom.

Część z uciekinierów spędzała czas, grając w karty. Doszło nawet do dwóch bijatyk. Pieniądze wydawały się igraszką, skoro nic nie można było za nie kupić – do chwili, kiedy zaczynało się je tracić. Wtedy, przynajmniej w przypadku co poniektórych, żarty się kończyły.

A jeśli Vanessa nie zobaczy już więcej kolejnej wojskowej racji żywieniowej MRE... będzie to równoznaczne ze śmiercią głodową. Kwestia, która z opcji jest gorsza, wydawała się wraz z upływem czasu coraz mniej oczywista.

Racje żywieniowe MRE dostarczały jej oraz jej współlokatorom w ośrodku dla uciekinierów sił do utyskiwania. Biadolili zatem zgodnie, narzekając na jedzenie, chociaż nikt nie odważył się na numery ze starych żydowskich skeczy i nie dodawał komentarzy w rodzaju i takie małe

porcje! Żaden z najbardziej zagorzałych krytyków – Vanessa znalazła się w pierwszym ich szeregu – nigdy nie zażądał dokładki racji żywieniowych. Gdyby zapytać ją o zdanie, to MRE stanowiły wyłącznie potwierdzenie bohaterstwa amerykańskich żołnierzy.

Narzekali również na warunki zakwaterowania. Biadolili z powodu cuchnących latryn. Utyskiwali na to, że musieli wychodzić na zewnątrz i wdychać pył, zanim doszli do śmierdzących wychodków. (Labiedzili jeszcze bardziej, kiedy ktoś wpadł na pomysł, żeby potrzeby fizjologiczne załatwiać w sali lekcyjnej przy użyciu wiadra wstawionego za kotarę, choć przecież nie znalazłoby się choćby piędzi wolnej podłogi, żeby takie „ustronne miejsce” urządzić.) No i wszyscy gremialnie zrzędzili, jak to bardzo cała reszta cuchnęła.

Lamentowali też za każdym razem, kiedyś ktoś pierdnął. A ponieważ przez cały czas karmiono ich wojskowymi racjami żywnościowymi, ludzie puszczali bąki bez opamiętania. Niektóre pierdnięcia były głośne i wściekle, co jednak nie miało żadnego znaczenia. Inne zdołałyby opróżnić z publiczności nawet salę widowiskową Madison Square Garden. Opróżnienie z lokatorów pomieszczenia klasowego K-1 sprawiało raczej spore trudności.

Droga ucieczki z konieczności wiodła tam, gdzie unosił się pył. Bąki wzbudzały jedynie obrzydzenie. Pył na zewnątrz mieścił się o poziom wyżej na skali negatywnych zjawisk, wywierał szkodliwy wpływ na zdrowie.

Pickles przebywał gdzieś na zewnątrz w tym pyle. Nie ona jedyna zresztą użalała się z powodu przymusowego rozstania z domowym pupilem. Być może jakaś dobra dusza gdzieś tam zabrała pod dach biednego, głupiego kociaka. Mogła jedynie żywić taką nadzieję, jednak nie potrafiła wykrzesać w sobie wiary, że tak się stało. Dręczyło ją poczucie winy.

Okolo dziesiątej rano do sali weszła jedna z pracownic Czerwonego Krzyża. Wzbudziło to niepokój Vanessy w stopniu, w jakim zmiana codziennej rutyny budzi niepokój u faceta, który odsiedział już połowę z dwudziestoletniego wyroku. Coś się zmieniło! Coś zatem musiało być nie tak!

– Zabierajcie swoje rzeczy, załóżcie maski, o ile je macie i ustawcie się w równym szeregu przed klasą – zakomunikowała kobieta, w sposób do złudzenia przypominający komenderującą opiekunkę z przedszkola. Ale dodała jeszcze słowa, których nie wypowiedziałyby przedszkolna wychowawczynie. – Będziemy ewakuować osoby z tego ośrodka do miejsca położonego dalej na wschód.

– Bóg jednak istnieje! – wykrzyknęła Vanessa pośród ogólnego zgiełku i harmideru wywołanego komunikatem.

Kobieta w średnim wieku, o ziemistej cerze skierowała na nią pełen dezaprobaty wzrok.

– Ależ pewnie, że istnieje – odezwała się ostrym chrypliwym głosem z kansaskim akcentem, jakby żywcem przeniesiona z farmy z lat Wielkiego Kryzysu. – Czy uznaje pani Naszego Pana Jezusa Chrystusa za swego osobistego Zbawiciela?

– Nie sądzę, żeby Jezus miał, kurwa, coś wspólnego z superwulkanem, ponadto wychodzę z założenia, że wybawiłam sama siebie, kiedy wydostałam się z piekła, jakie zapanowało w Denver – odparła Vanessa, nie patyczkując się wcale. – Może pani robić, co chce ze swoją głupawą religią, dopóki nie przypieprza się pani z nią do mnie. – Uzupełniła wypowiedź, chcąc absolutnie czytelnie przedstawić swoje nastawienie.

Kiedy jej ojciec mówił o religii, określał siebie jako nawróconego ateistę. Jego ojciec był z kolei baptystą o surowych zasadach moralnych, ale porucznik Ferguson jakoś sobie z tym poradził. Matka Vanessy chwyciła się

chaotycznie różnych prądów New Age, ale przy żadnym nie wytrwała długo. Jej bracia wykazywali równie głęboką pobożność co ona. Rob z nieskrywaną frajdą prowadził dysputy z mormońskimi misjonarzami, jacy kręcili się po okolicy. Pewnego pamiętnego popołudnia Marshall postanowił wypróbować bardziej bezpośrednie podejście: obrócił się tyłem i opuścił spodnie. Po tym incydencie mormoni – a nawet świadkowie Jehowy – nie zastukali do ich drzwi przez długi czas.

Pani Ziemista Cera zmierzyła ją wzrokiem tak, jakby Vanessie w oka mgnieniu wyrosły czerwone rogi oraz długi ogon z zadziorami.

– Będzie się pani smażyć w piekle na wiekuistym ogniu! – wyrzuciła z siebie.

– Tak, no cóż. Pozwoli jednak pani, że również i tym sama będę się martwić? – odszczeknęła Vanessa.

Przecisnęła się obok kobiety. Nie zawahałaby się wziąć zamach i przywalić jej porządnie w razie jeszcze jednej zaczepki. Żadna z bójek w klasie K-1 nie zakończyła się poważniejszymi obrażeniami, ale nerwy puszczały wszystkim.

Vanessa nie stała blisko czoła szeregu. Nie znalazła się również w pobliżu kobiety o ziemistej cerze, która wylądowała niemal na szarym końcu. Ma za swoje, pomyślała Vanessa.

Kolumny ustawiały się również przed innymi przepełnionymi salami lekcyjnymi. Męski głos popłynął przez powietrze (podobnie zresztą jak wulkaniczny popiół, którego tumany unosiły się wzniecane krokami ludzi, ale Vanessa usiłowała to zignorować).

– Bez względu na to, dokąd pojedziemy, na pewno będzie tam lepiej!

Wypadało tylko dodać sakramentalne Amen! Jedna za drugą, kolejne grupy uchodźców, podzielone na klasy, ruszyły w kierunku drzwi wejściowych szkoły średniej. W końcu jakiś mężczyzna z Czerwonego

Krzyża poprowadził kolumnę z klasy K-1. Vanessa z całego serca zapragnęła i żywiła taką nadzieję, że już nigdy więcej nie zobaczy – i nie poczuje w nozdrzach – tego nieszczęsnego miejsca.

Część autobusów czekających pod szkołą z włączonymi silnikami została zarekwirowana szkołom: były jaskrawożółte, z nazwami wiejskich okręgów namalowanymi pod oknami na czarno za pomocą szablonu. Większość zapewniło wojsko, podobnie jak racje żywnościowe MRE; te pomalowano w kolorach szarym i oliwkowym. Wszystkie, co do jednego, wyposażono w wielkie, pękate super hiper filtry powietrza wystające na zewnątrz obok korpusu silnika. Jeżeli ktoś miał zamiar dojechać dokądkolwiek, gdy w powietrzu wciąż unosiło się to gówno – a unosiło się w rzeczy samej – to do podróży należało przygotować się w taki właśnie sposób.

Autobus, do którego wsiadła Vanessa, podstawiała armia. Nie miał i przypuszczalnie nie mógł mieć bardziej spartańskiego wyposażenia niż autobusy szkolne. Kierowcę także odkomenderowało wojsko. Miał na sobie połowy mundur w pustynnych barwach maskujących, a na głowie maskę przeciwigazową.

Gdy autobus zapełnił się, nacisnął przycisk zamykający pneumatyczne drzwi. Zamknęły się z głośnym zgrzytem. Vanessa, która zajęła miejsce bliżej przodu, skojarzyła, iż powinna usłyszeć syk zamiast zgrzytu. Ale przecież super wydajnych filtrów nie da się założyć na wszystko. Nawet jeśli drobiny piasku nie zarzną silnika, ten pojazd i tak ma ściśle określoną przewidywaną żywotność.

Nie zamierzała jednak zupełnie zawracać sobie tym głowy, tak długo jak autobus będzie jechał z Garden City w stanie Kansas aż do chwili, kiedy rozkraczy się na amen.

– Dokąd jedziemy? – zapytał ktoś, kiedy autobus ruszył spod szkoły.

– Do miejsca o nazwie Obóz Konstytucji, proszę pana – odpowiedział kierowca. Vanessa ledwie go słyszała w akompaniamencie głośnego warkotu jadącego autobusu. W założeniach technicznych pojazdów wojskowych nikt nie uwzględnił poziomu hałasu wewnątrz kabiny. – Jeśli chodzi o lokalizację, to obóz umieszczono między Muskogee a Fayetteville.

Oklahoma? Arkansas? Jeden z tych stanów. Tak czy inaczej totalny wygwizdów, gdzie psy dupami szczekają. Dlaczego, u licha, chcą właśnie tam pozbyć się ewakuowanych? – i jak wielu?

Pytanie to zaświtało w głowie Vanessy dopiero wtedy, gdy kobieta siedząca za nią po prawej stronie zadała je na głos.

– Według informacji przekazanych nam w tej sprawie, proszę pani, jest to miejsce, w którym wulkaniczny pył już nie osiada – odpowiedział kierowca, a jego słowa zabrzmiały całkiem sensownie. – W rezultacie Federalna Agencja Zarządzania Kryzysowego, FEMA [Federal Emergency Management Agency] otrzymała zadanie zorganizowania tam ośrodka dla ewakuowanych, któremu nadano nazwę Obóz Konstytucji – dokończył.

Przy okazji powtórzył nazwę, która najwidoczniej przypadła mu do gustu. Wprost przeciwnie niż Vanessie. Dla niej brzmiało to tak, jak wycpiny jakiegoś urzędasza, który ludzkim cierpieniom i niedoli chciał nadać patriotyczny wydźwięk. Wieść, że obóz dla uchodźców powierzono pieczy FEMY również nie dodała jej otuchy. Czy agencja prowadziła kiedykolwiek jakąś akcję, której by nie spierdoliła? Jeśli tak, musiało to umknąć z jej pamięci.

Ile osób spośród jadących tym oliwkowoszarym autobusem miało te same przemyślenia w kontekście duchowej otuchy? Przynajmniej jedna oprócz Vanessy.

– Jak to się stało, że wojsko nie prowadzi obozu? – zaskomlał.

– Wojsko nie może tego robić! – Głos kierowcy dochodzący spod maski p-gaz był, co zresztą normalne, wyraźnie przytłumiony. – Wojsko nie bierze na siebie odpowiedzialności za prowadzenie obiektów cywilnych na terytorium USA.

– Ale armia zrobiłaby to dobrze, FEMA z pewnością nie – obstawał przy swoim mężczyzna, co zresztą pokrywało się dokładnie z przemyśleniami Vanessy.

Tym razem nie otrzymał odpowiedzi. Kierowca skupił uwagę na autostradzie międzystanowej, jaką miał przed sobą. Musiał skupić uwagę, gdyż jechał teraz przez dość gwałtowną burzę piaskową. W powietrzu nie unosiły się tak gęste kłęby i tumany pyłu i popiołu jak tuż po erupcji, ale nieprzebrane ich masy zalegały na ziemi. Konwój autobusów znów wzbijał te masy w powietrze.

W wojskowym autobusie zamontowano klimatyzację. Żołnierze podróżowali z większą pompą, niż Vanessa dotąd sądziła. Jakie wymyślne filtry chroniły agregaty zapewniające klimatyzację przed przeciążeniem i odmową dalszego funkcjonowania? Nie bardzo się tym przejmowała. Wdychanie powietrza nie zamkniętego w ograniczonej przestrzeni, nie przesyconego wilgocią i nie cuchnącego wonią ludzkiej, ściśniętej jak śledzie ciżby, dało się wręcz opisać jako cudowne odczucie lub tylko niewiele od niego odbiegające.

Z zewnątrz dobiegł głuchy odgłos trach! Szyba w jednym z okien po lewej stronie rozprysła się w drobny mak. W tym samym momencie lub niemal w tym samym w drobny mak rozprysła się szyba w oknie po prawej stronie. No i tym sposobem mieli klimatyzację z głowy.

Kiedy ludzie wciąż krzyczeli i piszczeli ogarnięci paniką oraz usiłowali wyciągać z włosów okruchy szkła, kierowca chwycił karabin automatyczny M-16, którego Vanessa wcześniej nie wypatrzyła u jego stóp. Wystrzelił

serię przez okno po swojej stronie. Huk był wręcz niewypowiedziany, a pasażerowie czynili jeszcze większą wrzawę niż przed chwilą.

Kolejny strzał z zewnątrz przedziurawił blachę karoserii. Na dobrą sprawę należało mówić o cudzie, że nie przedziurawił żadnego z ludzi. W odpowiedzi kierowca wywalił kolejną serię z automatu. Nie miał najmniejszej choćby szansy trafienia szaleńca, który strzelał do nich gdzieś z ukrycia. Być może ustrzeli jakąś pierdzieloną kaczkę, o ile w ogóle.

– Co on wyprawiał – zawyła jakaś kobieta. Vanessa pomyślała, że jest to ta sama baba, która posiada osobistego zbawiciela. Jednak fakt ten nie rozstrzygał wcale o tym, że w pytaniu nie krył się sens.

– Niektórzy są tak jakby niezadowoleni, że ewakuujemy się z zachodu na wschód i przede wszystkim dlatego, że w pierwszej kolejności zabieramy ludzi z ośrodków pomocy kierowanych przez Czerwony Krzyż – udzielił odpowiedzi kierowca z godnym najwyższego uznania spokojem.

Sformułowanie tak jakby niezadowoleni, w tym kontekście dało się przełożyć wkurwieni na tyle, by podjąć próbę popełnienia morderstwa. Vanessa domyśliła się tego bez specjalnego trudu. Wątpiła jednak, czy reszta jej towarzyszy niedoli doszła do takiej samej konkluzji; nigdy nie należała do tych, którzy zaniżali potencjał ludzkiej głupoty.

Potem, niesiona siłą wyobraźni, opuściła autobus z klimatyzowanym świeżym powietrzem, w którym nagle zaczęło śmierdzieć prochem strzelniczym i ujrzała samą siebie w łodzi ratunkowej gdzieś na środku Oceanu Spokojnego. Wyobraziła sobie również, że jej szalupa mija jakiegoś nieszczęśnika, który wystaje głową ponad tafłę, resztką sił machając rękoma i nogami pod wodą. Łódź nie zamierzała jednak zatrzymać się, by wciągnąć biedaka na pokład. Czy gość użyłby broni, gdyby miał ją przy sobie?

Nic dziwnego, że facet ukryty gdzieś tam w tumanach pyłu zaczął strzelać. Vanessa doszła do przekonania, że powinni uważać się za urodzonych w czepku, iż facet dysponował jedynie jakąś dziadowską giwerą, a nie, dajmy na to, ręcznym granatnikiem. Bez względu na motyw, jakie nim kierowały – być może jego auto spłatało mu nieoczekiwanego figla – najwidoczniej ugrzązł gdzieś wśród bezmiaru pyłów. Jak długo jeszcze on czy ktokolwiek inny będzie w stanie tu przetrwać?

Jak wielu mu podobnych los porzucił, od Nevady począwszy aż do tego miejsca tutaj? Ilu z nich będzie w stanie wydostać się z matni? A ilu umrze z powodu tej czy innej choroby płuc albo zostanie zamorzonych głodem, ponieważ w obejmującym niemal cały kontynent systemie dystrybucji żywności zrobiła się nagle wyrwa tak wielka, iż bez trudu przeleciałoby przez nią kilka stanów? Zapewne są ich setki tysięcy. Lub, co bardziej prawdopodobne, miliony.

Ile hektarów upraw kukurydzy, pszenicy oraz soi zamierało teraz pod powłoką pyłu? Ile krów, owiec, świń i kurczaków zostało skazanych na śmierć? Przecież nikt nie zamierzał ewakuować żywego inwentarza, zwłaszcza w sytuacji, gdy szanse wydobywania z matni choćby niewielkiej części ludzi wydawały się mniejsze niż żadne.

Morał płynął z tego taki... właśnie, jaki? A taki, że miałam cholerne szczęście, lądując w tym autobusie, rozstrzygnęła w duchu Vanessa. Nie budziło to wątpliwości, a nawet cienia wątpliwości w przypadku kogoś, kto dryfował w wodzie o temperaturze krwi, a dookoła coraz bardziej zacieśniał się krąg charakterystycznych płetw grzbietowych wystających ponad taflę.

Jakieś wątpliwości, być może, zrodziłyby się, gdyby sprawy miały dalej biec torem, jakim biegły. Skończyłoby się bowiem na tym, że już w całkiem nieodległej przyszłości racje żywnościowe MRE, przestawszy być obiektem drwin i niecenzuralnych obelg, jak do tej pory, stałyby się

przedmiotem rywalizacji i walki. To chyba najbardziej przerażająca myśl, jaka przeszła przez głowę Vanessy od czasu wybuchu superwulkanu.

Mężczyzna z Zarządu Administracyjnego Parków Narodowych oraz drugi z Federalnej Agencji Geologicznej, USGS, przytaknęli z nerwową jednomyślnością.

– Tak, jeśli zamierza pani to zrobić, musi pani podpisać wszystkie te kwestionariusze – oznajmił facet z USGS. – Musi pani złożyć pisemne oświadczenie, że czyni to pani na własne ryzyko, jest pani świadoma związanego z tym niebezpieczeństwa oraz że władze federalne nie będą adresatem roszczeń w przypadku, gdy dozna pani obrażeń lub poniesie śmierć. Mamy w tej chwili odrobinę zbyt wiele na głowie, żeby martwić się na dodatek uciążliwymi procesami sądowymi.

– Tak, po prostu odrobinę zbyt wiele – przyznał facet z Zarządu Administracyjnego Parków Narodowych.

Kelly czuła w sobie gotowość złożenia podpisu w miejscu, gdzie widniała przerywana linia. Na dobrą sprawę nawet pragnęła złożyć sygnaturę. W przeciwnym razie wcale nie zjawiłaby się na spotkaniu. Okazja odbycia lotu nad kraterem superwulkanu, obejrzenia go z lotu ptaka i zrobienia zdjęć? Miała pewność, iż podpisałaby nawet cyrograf, oddając nieśmiertelną duszę za taką sposobność, nie wspominając zupełnie o ewentualnej szansie jej potomków i pełnomocników nadgryzienia budżetu Wuja Sama, gdyby jednak coś poszło nie tak.

Nie dopięła jednak wszystkiego na ostatni guzik. Nie poinformowała Colina o tej niewinnej eskapadzie z obawy, że po tysiącokroć zwymyślałby ją od odmóżdżonych idiotek. Gdyby superwulkan choćby czknął sobie niewinnie, kiedy będą nad nim przelatowali, zamienią się w grzanekę – i to spaloną na węgiel. Spadną z wysokich przestworzy i skończą w wielkim dole z magmą. Po upływie, powiedzmy, trzech czwartych miliona lat,

odegrają jedynie mało znaczący epizod w kolejnym wielkim widowisku. Drobnym epizodem, choć to zawsze jakaś rola, cokolwiek powiedzieć.

Złożyła podpis powyżej kropkowanej linii. Potem jeszcze jeden, też nad kropkowaną linią. Można było odnieść wrażenie, że w przekonaniu władz federalnych wszystko, co warto zrobić, należy zrobić w czterech kopiach. Kilkunastu innych doktorantów oraz paru profesorów także złożyło swoje podpisy w wymaganych miejscach.

Czy na tej podstawie należało wnioskować, że większa liczba studentów studiów doktoranckich, niż szacownej profesury okazywała gotowość zaryzykowania życia dla nauki i postępu? Albo że ludzie na stałych uczelnianych posadach posiadali więcej rozumu od tych, którzy dopiero mogli nieśmiało pomarzyć o profesorskich katedrach? Bądź też, że profesorowie wiedli bardziej dostatni żywot niż ich doktoranci i nie chcieli podejmować ryzyka utraty tegoż? Czy odpowiedź wszystkie wymienione wyżej stanowiłaby wybór do zaakceptowania?

– Czy mamy pewność, że przelot tym samolotem będzie bezpieczny? – zapytał jeden z pozostałych nieustraszonych doktorantów.

– Synu, nie mamy pewności czy jutro wstanie słońce – odpowiedział przedstawiciel Agencji Geologicznej. – Przecież między chwilą obecną a jutrem może przeobrazić się w supernową albo Ziemia przestanie się obracać, czy co tam jeszcze diabeł wymyśli. Mam natomiast całkowitą pewność, że zamierzam znaleźć się na pokładzie, kiedy ten samolot wzniesie się w przestworza. Złożyłem już autografy na całej tej stercie bezsensownych formularzy. Jeżeli tyle nie wystarczy tobie, to nie wiem, co jeszcze mogę ci powiedzieć.

Wyglądało na to, że po tych słowach nikt nie miał więcej pytań.

– Pojutrze o piątej rano stawcie się zatem na lotnisku Oakland International. Służba security portu lotniczego będzie już tam na miejscu

czekać na waszą niewielką wyprawę – oznajmił człowiek z Zarządu Administracyjnego Parków Narodowych.

– Poczekajcie. Proszę powtórzyć mi to jeszcze raz – odezwała się Kelly.
– Podpisaliśmy wszystkie te papierzyska, oświadczając, iż zdajemy sobie sprawę, że ryzykujemy życie, a oni mimo to chcą mieć pewność, że nikt nie wprowadzi samolotu i nie rozwali o krater? Gdzie w tym sens i logika?

Facet z USGS wyszczerzył do niej zęby w szerokim uśmiechu.

– Cześć! Witamy w świecie absurdu! – skomentował. – W tym wcale nie musi kryć się sens i logika. Taka jest polityka rządu. Ci ludzie mnie oplacają, ale dają mi zbyt małą pensję, żebym miał kłamać w ich imieniu.

Tak więc kilka minut przed piątą rano – długo przed wschodem słońca, innymi słowy – wciąż niedobudzona Kelly włożyła do kuwety telefon komórkowy i laptop oraz zdjęła buty. Niedużą torbę położyła na ruchomej taśmie, która przeciągnęła ją przez urządzenie prześwietlające bagaż promieniami rentgenowskimi.

– Proszę, niech pani to otworzy – powiedziała czarnoskóra kobieta o srogim wyrazie twarzy, kiedy Kelly przeszła na drugą stronę.

Jeśli pracownicy Agencji Bezpieczeństwa Transportu mówią proszę, wcale nie mają tego na myśli. Kelly rozsunęła suwak torby. Kobieta obmacała badawczo kilka rzeczy, które geolożka wzięła ze sobą, potem bez specjalnego przekonania skinęła głową.

– Czy coś było nie tak? – zapytała Kelly.

– Pani bajgle wyglądały jak coś, czym nie powinny być – odparła czarnoskóra kobieta.

Potem opowiedziała anegdotę o broni masowego rażenia w postaci bajgli reszcie geologów czekających na wejście na pokład wyczarowanego odrzutowca Learjet. Zareagowali po części śmiechem, a po części wyrazami dezaprobaty, których się zresztą spodziewała.

– Czego można oczekiwać od systemu opracowanego przez bardzo bystrych ludzi z myślą o użytkowaniu przez osobników nie grzeszących bystrością umysłu – wyraził opinię jeden z nich.

Kelly jak dotąd nie podchodziła do sprawy od tej strony; gdy to uczyniła, rytuały lotniskowej kontroli bezpieczeństwa wydały się jej bardziej sensowne.

Nigdy wcześniej nie przebywała na pokładzie prywatnego odrzutowca. Gdy okazało się, że miejsca starczyło w zupełności, by mogła się rozciągnąć wygodnie w fotelu, poczuła nieodpartą ochotę pożegnania raz na zawsze przewoźników rejsowych pokroju Southwest, American czy United.

– Chyba mogłabym się do tego przyzwyczaić – powiedziała, kiedy samolot kołował na pas startowy.

– W takim razie, co pani robi, studiując geologię? – zapytał dyrektor jej wydziału, który zajął miejsce obok niej przy oknie. Geoff Rheinburg zdążył już posiwieć i miał dość pulchne kształty, wciąż jednak imponował ciętym dowcipem. – Gdyby wybrała pani informatykę, mogłaby pani zrobić miliardowe interesy na Internecie. Wtedy w każdym dniu tygodnia miałyby pani do dyspozycji mały pasażerski odrzutowiec... a w sobotę nawet dwa, gdyby sobie pani zażyczyła.

– Spędzam więcej czasu na badaniach geologicznych, niż na lataniu – odparła Kelly po krótkim namyśle. – Poza tym mogę korzystać z komputerów, ale nie jestem za tym, żeby z ich powodu sięść na ulicy i żebrać. Bez tego ma się więcej frajdy.

– Wobec powyższego być może jednak znalazła się pani we właściwym miejscu – przyznał Rheinburg.

Czy miał już na karku tyle lat, żeby zaczynać arytmetykę na suwaku logarytmicznym, jeszcze przed pojawieniem się pierwszych kalkulatorów

kieszonkowych? Jeżeli nie, to zapewne z suwakiem rozminął się o włos.

Samolot nabrał rozpędu na pasie startowym i jak strzała wzbił się ku przestworzom. Transport powietrzny tu i w większości miejsc na obszarze USA wciąż pozostawał w dużej mierze utrudniony, a rejsy odbywały się o wiele, wiele rzadziej, niż gdy obowiązywały normalne rozkłady. Być może ta czarnoskóra baba sprawdzała, czym mogły okazać się bajgle, tylko i wyłącznie z tego powodu, że po prostu umierała z nudów.

– Tu mówi pilot. – Interkom w maszynie Learjet cechował się wyższą jakością dźwięku niż w samolotach pasażerskich komercyjnych przewoźników. Głos mężczyzny nie sprawiał wrażenia, jakby dochodził z dziecinnego telefonu zmontowanego z blaszanej puszki i sznurka. – Zamierzam przekazać wam standardowe zalecenie, przez cały czas miejcie zapięte pasy bezpieczeństwa. Tym razem jednak traktuję je bardziej poważnie niż normalnie. Będziemy przelatywać nad kraterem na wysokości ponad dwunastu tysięcy metrów. Ten skurwiel jest gigantyczny i jest też gorący. Gorące powietrze unosi się wysoko... dlaczego waszym zdaniem politycy na emeryturze unoszą się wysoko i nikt już ich nigdy więcej nie widzi?

Został nagrodzony śmiechem zaskoczonych tym popisem pasażerów. Kelly zachodziła w głowę, czy ten pilot nie lata liniami Southwest. Nie cierpiała przymusowego siedzenia na miejscu, ale lubiła sposób, w jaki personel pokładowy parodiował czasem standardowy instruktaż na temat pasów bezpieczeństwa, miejsc pasażerów ustawionych obok wyjść awaryjnych oraz masek tlenowych.

– Szwagier, kiedy dowiedział się, iż zamierzam odbyć ten lot za sterami maszyny, powiedział mi, że powinienem przebadać się na głowę – kontynuował pilot. – Odparłem, że potrzebny mi jest zastrzyk gotówki na zapłacenie z dołu za dom, który zamierzam kupić... Co wcale nie musi

znaczyć, że nie miał racji, rozumiecie? A wy, moi drodzy, jakie macie wytłumaczenie?

– Powinien występować na stojaka jako komik – stwierdziła Kelly.

– Ale nie możemy w niego rzucać czym popadnie, ponieważ siedzi schowany za zamkniętymi drzwiami – zauważył celnie profesor Rheinburg.

– A szkoda, nieprawdaż?

Lecieli bez przeszkód. Silniki... ryczały jak silniki. Kelly skonstatowała to z ulgą. W powietrzu ciągle unosiły się ogromne ilości pyłu i popiołu, a kolejne beknięcia superwulkanu – silne erupcje w przełożeniu na normalną skalę, ale skala nie była teraz normalna i przez długi czas jeszcze nie będzie – wciąż dosypywały i pyłu, i popiołu.

W następstwie tego samoloty, które odbywały powietrzne rejsy, wymagały o wiele częstszych, niż się komukolwiek wcześniej śniło, remontów silnika i wymiany zużytych części.

Lot z Oakland do Yellowstone trwał około półtorej' godziny. Nie, nie do Yellow stone: do krateru sperwulkanu. Yellowstone przestało istnieć, umarło, zniknęło z mapy w najbardziej dosłownym tego znaczeniu. Yellowstone albo zapadło się niemal kilometr w głąb w kierunku środka Ziemi, albo zostało pogrzebane po grubą warstwą lawy i piroklastycznej lawiny lub popiołu wulkanicznego. Yellowstone zostało sponiewierane, stłamszone i zbite na kwaśne jabłko, mówiąc bez ogródek.

Pasażerowie pracowali na laptopach albo odczytywali wskazania różnego rodzaju czujników i instrumentów pomiarowych, a dokonywane przez nich pomiary stanowiły prawdziwy powód powietrznej wyprawy. Pilot nie wygłosił zwyczajowego komunikatu o konieczności wyłączenia urządzeń elektronicznych. Gdyby to zrobił, geolodzy zapewne by go zlinczowali. Bez tych przyrządów i mierników poczuliby się zapewne tak, jakby cofnęli

się w czasie do początków dwudziestego wieku, a być może nawet ugrzęźliby w dziewiętnastym stuleciu.

Po upływie chwili ponownie zabrzmiał głos pilota.

– Moi drodzy, zbliżamy się. Zamierzam zrobić to, co powinienem, kiedy prawdopodobne jest występowanie turbulencji. Zamierzam więc powiedzieć wam, żebyście sprawdzili, czy dobrze zapięliście pasy bezpieczeństwa. Nie pora teraz na wygłupy. Jeżeli nad tym stworem nie ma turbulencji, to ten stwór po prostu nie istnieje. Nie chcemy potem z konieczności zeskrobywać was z sufitu... albo z łona sąsiadów na miejscu obok.

Geoff Rheinburg obdarzył Kelly odrobinę kpiącym uśmiechem, gdy sprawdzał swój pas bezpieczeństwa.

– Bez urazy, ale jedynym dziewczęciem, którego pragnę na swoim łonie, jest moja ślubna – zadeklarował.

– Nie zgłaszam pretensji – odparła, nieco mocniej dociągając własny pas. Wiedziała, że profesor pozostaje w szczęśliwym stadle małżeńskim. To miłe, że komuś się udaje. Jak się domyślała, Colin już całkiem niedługo zdobędzie się na odwagę i poprosi ją o rękę. I domyślała się również, że ona sama zdobędzie się na odwagę i powie „tak”, kiedy on się oświadczy. To, co wydarzy się później, to już loteria – na ile sama mogła to zaobserwować, podobnie zresztą jak w przypadku każdej innej małżeńskiej więzi od początku świata.

– Za trzy minuty dolecimy do krawędzi krateru – oznajmił pilot. – Witamy na największym na całym świecie, pierdzielonym roller coasterze.

Kelly wyjrzała na zewnątrz. W odróżnieniu od rejsowych maszyn okna w learjacie były na tyle duże, że osoba siedząca na miejscu przy przejściu miała zapewniony dobry widok na szeroki świat. Wcześniej przytrafiło się jej już zaglądnąć do gardzieli czynnych wulkanów. Pojechała wtedy na

największą wyspę Hawajów: tak, praca geologa wiązała się czasami z ryzykiem. Jednak tamtejsze wulkany, które w zasadzie wybuchają niemal nieustannie, różniły się diametralnie od superwulkanu Yellowstone.

Superwulkan dało się przyrównać do małej dziewczynki, która gromadziła w ustach ślinę na zapas. Gromadziła i gromadziła i gromadziła, aż w końcu naprężone do granic policzki z magmy nie były w stanie dłużej wytrzymać. Wtedy...

Wtedy eksplodował i przywalił śmieciami połowę kontynentu. A to przecież tylko początek. Ciąg dalszy, który będzie brzemienny w skutki dla całej bez mała planety, dopiero się rozpoczął.

Nawet w odrzutowcu Learjet z panoramicznymi oknami musiała się pochylić w kierunku profesora Rheinburga, przy okazji szczęśliwego żonkosia, żeby zobaczyć lepiej. Nie skrzywił się, nie zapomniała zatem użyć dezodorantu, kiedy wygrzebała się z łóżka o tak barbarzyńskiej godzinie. Daleko na dole dominowały odcienie szarości i brązów. Nigdzie choćby plamy zieleni, już nie. Tam na ziemi życie znów podejmie próbę odrodzenia się na nowo. Prawdopodobnie na kilku niewielkich obszarach to już się dokonało, ale nie z takim rozmachem, by zdołała to dostrzec z wysokości prawie trzynastu kilometrów.

Albo nawet trzynastu i pół kilometra... Krawędź ziemskiej skorupy pod nimi zapadła się, głęboko. Gdy tylko dotarli do tego miejsca, samolotem zaczęło gwałtownie rzucać. Tak, krater mocno grzał, nie ma co. Ach, może odrobinę.

Tu i tam powierzchnia zdążyła już popękać i wyglądała jak, cóż, naga skała. W przeciągu dni albo w przeciągu stuleci z lawy powstanie dno nowej kaldery, która zajmie miejsce po dawnej, ulokowanej w sercu Yellowstone. Pojawi się wtedy potrzeba nadania jej nowej nazwy. Kelly

rozważała w duchu, czy ktoś jeszcze będzie mówił po angielsku, kiedy kwestia ta stanie na porządku dnia.

Magma wciąż wrzała i bulgotała w szczelinach między płatami zakrzepłej już i wystudzonej lawy. Widok nie robił tak piorunującego wrażenia, jak skalna kipiela w ekranizacji Powrotu króla. Po pierwsze, filmowa lawa została wykreowana za pomocą grafiki komputerowej. Po drugie, spoglądała na nią własnymi oczyma i z bliska, a nie z wysokości jakichś trzynastu tysięcy metrów. Kelly, która po raz pierwszy zaliczyła lekturę Władcy pierścieni Tolkiena w wieku dziewięciu lat, dywagowała teraz, co by się stało, gdyby Sauron zrzucił swe przerażające dzieło w sam środek tego krateru. Przypuszczała, że przepadłoby na zawsze. A gdyby, do diabła, Góra Przeznaczenia zupełnie przypadkiem siedziała okrakiem na plamie gorąca superwulkanu w tym właśnie czasie, to również przepadłaby na zawsze. Z tego właśnie powodu na znacznych obszarach Gór Skalistych nie dało się już dostrzec żadnych gór.

– Niektóre z tych łańcuchów roztopionej skały ciągną się na przestrzeni wielu mil – wymamrotał Rheinburg, najprawdopodobniej do siebie samego.

Nawet jeżeli nie mówił do niej, spostrzeżenie to należało uznać za bardzo użyteczne. Skała tego geologicznego utworu wręcz graniczyła z... absurdem, to słowo wraz z kilkoma innymi przyszło jej na myśl. Wtedy Learjet znów wykonał kilka gwałtownych skoków w górę i w dół, jej zaś pozostało jedynie żywić gorącą nadzieję, że maszynę skonstruowano z myślą o takich właśnie chwilach. Żywiła jednocześnie równie żarliwą nadzieję, że bajgle masowego zniszczenia nie przebudzą się z drzemki.

– O ile komuś trzeba przypomnieć, to torebki na wymiociny znajdziecie w kieszeni oparcia fotela przed wami – poinformował pilot. – Jeżeli będziecie ich potrzebować, mam naprawdę nadzieję, że zrobicie z nich użytek. Nie chcemy, żeby następna grupa pasażerów pomyślała sobie, że

ćwiczyliśmy tu „Vomit Comet”, wymiotowanie w warunkach nieważkości. Prawda, że nie chcemy?

– Och, zamknij się – bąknął pod nosem profesor Rheinburg. Zbladł niemal jak nieboszczyk. Kelly podejrzewała, że ona również. Nigdy wcześniej nie cierpiała w samolocie na chorobę lokomocyjną; nawet nie czuła obaw, że może się jej przydarzyć. Teraz odkryła, że zawsze kiedyś jest ten pierwszy raz. Chwyciła torebkę, żeby na wszelki wypadek mieć ją pod ręką. Dyrektor instytutu na miejscu obok niej zrobił dokładnie to samo.

Żadne z nich nie musiało jednak skorzystać z torebek. Odgłosy wymiotowania z tyłu za nimi oraz kwaśnawy smród w klimatyzowanej kabinie stanowił ostrzeżenie, że nie wszyscy mogli mówić o takim szczęściu.

– O Boże! – odezwał się ze współczuciem Rheinburg.

Kelly nie otworzyła ust – w istocie rzeczy zacisnęła mocno szczęki. Kwaskowaty odór budził u niej mdłości. Dokładała wszelkich starań, żeby nie myśleć o tym. Czyż magma i lava nie sprawiały fascynującego wrażenia? Oczywiście, że sprawiały.

Potem minęli wielką bliznę po ospie na skórze ziemi i znów lecieli nad obszarami zniszczonymi erupcją, o takim samym wyglądzie jak te, które mijali, zbliżając się do krateru. Powietrze odzyskało nieco przejrzystości. Kelly odprężyła się w duchu – do momentu, kiedy odezwał się pilot.

– Wykonamy teraz manewr nawrotu i po raz drugi przelecimy nad kraterem, zmierzając jednocześnie w stronę domu.

Szykowała się do zapełnienia torby na wymiociny treścią swego żołądka. Po sekundzie namysłu doszła do przekonania, że może to poczekać, aż dotrą z powrotem do strefy krateru położonej po stronie Idaho, chociaż stan Idaho, a przynajmniej duża jego część, stanowił już tylko byt, który był i przestał istnieć.

– Kojarzy może pani tę piosenkę mówiącą o tym, jak dużo trzeba zapłacić za to, by nie przechodzić przez to samo po raz drugi? – zapytał profesor Rheinburg.

– Nie mam pojęcia – odparła Kelly. Obojętne, jaką piosenkę miał na myśli, śpiewano ją w czasach jego pokolenia, nie jej. – Nie przestaję myśleć o tym – dodała – że zgłosiliśmy się do tej eskapady na ochotnika.

– Ludzie z armii wiedzą, jak z tego wynika niezbiecie, o czym mówią, twierdząc, że to jednak zły pomysł, przyzna pani? – wyraził opinię Rheinburg.

Wykonanie manewru nawrotu o sto osiemdziesiąt stopni przy prędkości ponad dziewięćset kilometrów na godzinę musiało trwać odpowiednią ilość czasu i wymagało pokonania sporej drogi. Ponowny przelot nad kraterem nie zaczął się zatem od razu. Mieli więc chwilę czasu, żeby jakoś zebrać się w sobie. Potem samolot znów wpadł w turbulencje. Kelly doszła do przekonania, że tym razem nie poszło aż tak źle; widocznie w pewnym stopniu zdołała się lepiej na to przygotować. Podobnie jak za pierwszym razem spoglądała w dół na rozległe obszary, które jak żywe i do złudzenia przypominały istne piekło na ziemi.

Poniżej tego piekła zalegało podłoże z pyłu oraz wulkaniczne kruszywo, z którego utworzy się tuf.

– Ile miast, farm i dróg znalazło się gdzieś pod tą powłoką? – rzekł w zadumie profesor Rheinburg. – „Marność nad marnościami – wszystko marność” [cytat z Księgi Koheleta 1;2, Biblia Tysiąclecia, przyp. tł.].

– Ejże, to nie fair – zaprotestowała Kelly. – Nie może pan formułować osądu wyłącznie dlatego, że superwulkan wybucha regularnie co 700 000 lat. Poza tym prawie wszystko zbudowano tutaj, zanim w ogóle dowiedziano się, że on tu jest.

– Z pewnością tak było... ale teraz wszystko już przepadło wraz z tym, co postawiono tu, kiedy już o nim wiedzano. – Siwiuteński profesor mówił te słowa z ponurą zaciętością, jaką Kelly widywała nieraz u Colina. Potem jej pryncypał zmienił temat i uśmiechnął się do niej. – Oczywiście spoglądając na jaśniejszą stronę sprawy, zyskuje pani doskonałą pozycję do zdobycia stałego etatu na uczelni. Jest pani jednym z czołowych ekspertów od jednego z największych problemów świata, który potrwa co najmniej do końca paninych dni.

– No tak, jasne, zakładając, że jakiś uniwersytet zdoła przetrwać po tych wszystkich perturbacjach – Kelly nie pozwalała nikomu narzucić sobie ponurego nastroju bez walki.

– Tak, zakładając – odparł Rheinburg, prawdopodobnie zwyciężywszy w tej rundzie.

Marshall Ferguson już dawno przestał traktować poważnie tradycyjną pocztę. Gdy miał do dyspozycji pocztę elektroniczną, SMS-y lub rozmowę przez telefon, list z przyklejonym znaczkiem, który potrafił błąkać się długie dni z miejsca na miejsce, wydawał się przeniesiony żywcem ze średniowiecza. Od czasu wybuchu superwulkanu przesyłki pocztowe z drugiego końca kontynentu szły jeszcze oporniej i bardziej chaotycznie. I pomyśleć, iż poczta miała nawet czelność poinformować, że niekiedy przesyłki mogą nie dotrzeć do adresata!

Skrzynkę na listy umieszczoną na parterze budynku, w którym mieszkał, otwierał mniej więcej co drugi dzień. Musiał jednak sprawdzać jej zawartości tak często, ponieważ niektóre rachunki wciąż przychodziły tradycyjną pocztą. A korporacje nie wykazywały nadmiernego poczucia humoru, jeśli ktoś zapomniał zapłacić na czas za telewizję kablową albo za gaz czy prąd.

Resztę tego, co mu przysyłano, stanowiły śmieci – spam na papierze. Spam, którego wydrukowanie i wysłanie musiało nadawcę kosztować małe co nieco. Po erupcji ilość tych śmieci uległa drastycznemu zmniejszeniu. W tych dniach papier stał się dobrem trudnym do zdobycia i kosztownym, w następstwie czego wysyłanie pocztą papierowego spamu przestało być opłacalnym interesem. Nawet miejscowe restauracje nie przysyłały już kuponów rabatowych, ale to akurat należało uznać za skandal w biały dzień.

O mały włos, a wyrzuciłby do kosza kopertę z błado nadrukowanym adresem zwrotnym firmy, nie otwierając jej. Ktoś w Nowym Jorku usiłował dopaść go i zmusić do zrobienia czegoś, czego on najprawdopodobniej wcale nie chciał uczynić. Kimkolwiek był, dysponował z pewnością sporym zapasem kopert albo posiadał kupę szmalu, z którym nie wiedział, co zrobić, ponieważ papier zdumiewał niezwykle wysoką jakością.

Otworzył jednak tę kopertę wyłącznie dlatego, że istniała szansa, iż w środku może znajdować się rachunek na sporą sumkę. W przeciwnym razie list trafiłby prosto do kosza na segregowane śmieci przeznaczonego na papier. Rozprostował elegancki arkusz włożony do koperty. Na papierze listowym widniał ten sam adres, co na kopercie. A poniżej...

Szanowny Panie Ferguson, przystąpił do lektury Z przyjemnością przyjęliśmy pańskie opowiadanie zatytułowane „Cóż, dlaczego nie?” z zamiarem opublikowania go w jednym z przyszłych wydań pisma „New Fictions”. Umowę oraz czek na sumę \$ 327,00 – należna kwota wynagrodzenia przy naszej standardowej stawce ośmiu centów za słowo – prześlemy w stosownym terminie. Liczę na dalszą współpracę z panem przy redagowaniu tekstu. Serdeczne pozdrowienia... i odręczny podpis redaktora naczelnego wiersz niżej.

Przeczytał list po raz drugi, potem jeszcze jeden raz. Pod koniec trzeciej tury zaczął wierzyć własnym oczom.

– Jasna cholera – powiedział cicho.

Potem nie zdołał powstrzymać chichotu. Wysłał to opowiadanie, bo stanowiło to część ich zadania. Psiakrew, napisał je, bo takie dostał polecenie na zajęciach. Gdyby nie uczestniczył w zajęciach profesora Bolgera, nigdy by tego nie zrobił. A teraz ktoś zamierzał mu nawet zapłacić za to? Czyż nie kryła się w tym groteska?

Chwilę później ponownie pozwolił sobie na komentarz „Jasna cholera”, tym razem jednak w innym znaczeniu. Jeśli udało mu się coś oddać do publikacji za pieniądze raz, istniało prawdopodobieństwo, że być może uda mu się sprzedać własny tekst nie tylko ten jeden raz. Pozyskanie źródła dopływu gotówki, jakie nie wypływało wprost z portfela jego starego, byłoby rzeczą miłą, ujmując rzecz najogólniej. Nie uważał wcale, że może stać się bogaty, pisując opowiadania – osiem centów za słowo to jeszcze nie tragedia, sądząc na podstawie tego, co słyszał, ale przecież nigdy nie uczynią z niego milionera – mogłoby to jednak dopomóc mu w przygotowaniu gruntu pod większe i ambitniejsze (w rozumieniu, bardziej dochodowe) cele.

Poszedł do mieszkania i wysłał e-maila do profesora Bolgera z informacją o przyjętym do publikacji opowiadaniu. Jeśli fakt ten nie wpłynie pozytywnie na jego noty z tego przedmiotu, to chyba już nic i nigdy. Potem wyjął z kieszeni telefon komórkowy i zadzwonił do ojca.

– Co się dzieje, Marshall? – usłyszał dobrze znany chrapliwy głos. Ojciec wiedział, kto dzwoni – widział przecież jego numer na wyświetlaczu – i oczywiście miał natłok roboty na komendzie. Przypuszczalnie zaskoczył również go telefon od syna w porze wczesnego popołudnia. I rzeczywiście, co potwierdził za moment. – Wszystko w porządku?

– W porządku. – Marshall właśnie zaczął zdawać sobie sprawę, jak boski ogarnął go nastrój. Kiedy pierwsza fala radosnego osłupienia opadła, nadeszła druga, jeszcze potężniejsza. – Zgadnij co?

– Pstro – odpowiedział ojciec, jak zresztą Marshall się spodziewał. Zawsze go to rozśmieszało, kiedy był mały. Ojciec wciąż tak odpowiadał. Czy robił to też, kiedy rozmawiał z innymi gliniarzami? Marshall nie zdziwiłby się. – Dobra, powiedz co? – ponaglił ojciec po kilku sekundach.

– Sprzedałem opowiadanie. – Marshall nie pamiętał, kiedy ostatni raz rozpierała go tak wielka duma z samego siebie, czemu dał wyraz.

– Sprzedałeś? – Ojciec wymówił to słowo z pieczołowitością, jakby nie miał pewności, czy dobrze usłyszał. – Za pieniądze, mam rozumieć?

– Masz rozumieć. Trzysta dwadzieścia siedem dolarów w żywym pieniądzu. Marshall nie żywił choćby cienia wątpliwości, że do końca swoich dni doskonale zapamięta kwotę, na jaką opiewał pierwszy czek, chociaż jeszcze tych pieniędzy nie widział.

– I co powiesz na ten temat? – podjął temat ojciec. – To jedno z kilku zdań, z czego ojciec zdawał sobie sprawę, które można było wykorzystać niemal w każdej sytuacji. Potem jego głos nabrał cieplejszego brzmienia. – Gratulacje, synu. To jest coś, naprawdę. Jaki tytuł nosi opowiadanie? Jaka jest jego treść?

– Zatytułowałem je Cóż, dlaczego nie? Nigdy nie wiem, jak mam nazywać rzeczy. – Marshall nie cierpiał tytułów. Nie miał pojęcia, jak ktoś mógł kiedykolwiek wymyślić dobry tytuł. – Opowiada o... młodym gościu, który wybiera się na uczelnię, kiedy jego rodzice są w trakcie rozwodu.

– Och. – Ojciec przez chwilę trawił temat w myślach. – Mówią wam, żebyście pisali o sprawach, które znacie, racja?

– Tak, tak mówią. Ale mówią również coś odwrotnego. Na dobrą sprawę odnoszę wrażenie, że można wymigać się od wszystkiego innego, mając

się pióra, o ile robi się to dostatecznie dobrze.

– Że jak? – Ojcu najwyraźniej to nie pasowało. Marshall zdawał sobie sprawę, że nie będzie. Ojciec wierzył w Przepisy przez duże P. Nie został policjantem przez przypadek. – Pamiętaj tylko, że w prawdziwym życiu to tak nie działa – jakby na potwierdzenie tego, doprecyzował.

– Jeśli sprawię, że nie przestaną mi płacić, być może pisanie zamieni się w prawdziwe życie – obstawał przy swoim Marshall.

– Być może. – Ojciec wydawał się zaskoczony tym pomysłem. Ale odbieranie czeków z honorarium przemawiało mu do przekonania. – Należy tylko mieć nadzieję... i jeszcze raz gratulacje. Przepraszam, ale muszę wracać do obowiązków.

– Wiem, że zasuwasz. Bardzo chciałem jednak zadzwonić i powiedzieć ci o tym. Marshall sprawdził swoją skrzynkę e-mailową. Miał już odpowiedź od Bolgera. Tak trzymać! widniało w nagłówku. Miałem nadzieję, że ktoś z grupy zdoła sprzedać swój tekst. Teraz wyznaczyłeś pozostałym ceł, do jakiego powinni dążyć.

– Tak – powiedział Marshall.

Jak bardzo będą mu zazdrościć pozostali studenci z jego grupy? Wprost zzielenieją z zazdrości, bez dwóch zdań. Będą musieli konkurować z prawdziwym, publikującym (dobrze, szykującym się do publikacji) autorem. A dziewczyny zapewne pomyślą sobie, że ktoś, kto potrafi sprzedać własny tekst, musi być niebanalnym i fantastycznym gościem. W każdym razie żywił nadzieję, że tak właśnie pomyślą.

Marshall skrzył sobie jointa mniej więcej rozmiarów jak stąd do Pittsburgha. Nawet tryumf nabierał smaku doprawiony ziołem. Kiedy słońce chyliło się ku kolejnemu, groteskowemu, jarmarcznemu, ekstremalnie przepięknemu zachodowi, zdążył się już nieźle naćpać. Czy

marycha jest w stanie pogłębić tego rodzaju doznania? Zapalił kolejnego skręta, żeby przekonać się o tym empirycznie.

ROZDZIAŁ XVII

Obóz Konstytucji. Vanessa rozgryzała dylemat, co za obsrany, głupawy spec od reklamy czy urzędas zgarnął premię za wymyślenie tej nazwy. Kimkolwiek był ten sukinkot, nie wahała się dać głowę, że gnojek nie tylko nigdy tu nie mieszkał, ale nawet nie pojawił się w odległości tysiąca mil od tego miejsca. Nazwa Dziura w Ziemi o wiele bardziej przybliżała się do prawdy.

Prawdy? Nie możesz grzebać w prawdzie! Z jakiego filmu pochodziły te słowa? Nie potrafiła. Kiedyś, dawno temu – nie potrafiła również przywołać w pamięci, kiedy dokładnie – rzesze ludzi usiłujące wydostać się z obszaru burz pyłowych Dust Bowl [tereny środkowo-zachodnich stanów, na których szalały burze pyłowe w latach 30. XX wieku, przyp. tł.] chwytały, co tylko znalazło się pod ręką i ruszały do Kalifornii. W niektórych częściach tego stanu pochodzenie z Oklahomy wciąż ceniono wysoko.

Cóż, superwulkan wywołał teraz bez porównania potężniejszą i bardziej przerażającą burzę pyłową. Przyczyna, dla której nie przybywały tu tłumnie następne fale potencjalnych uchodźców, była prozaiczna – ogromne ich rzesze po prostu skończyły w trumnach. W obecnej sytuacji dziesiątki tysięcy lub, co bardziej prawdopodobne, setki tysięcy, być może nawet miliony ludzi z terenu co najmniej pół tuzina stanów wylądowały w Obozie Konstytucji i podobnych mu miejscach na wschodnich obrzeżach zasięgu erupcji superwulkanu, a każdego dnia napływały nowe rzesze.

Na zachodzie zorganizowano nawet więcej ośrodków dla ewakuowanych. Największy z nich – z ułańską fantazją nazwany Obozem Niepodległości – usytuowano gdzieś w pobliżu miasta Pasco, w stanie Waszyngton. Wylądowali w nich ludzie, którzy udali się na zachód w

poszukiwaniu lepszego losu, rezygnując z ucieczki przed popiołem i pyłem w kierunku wschodnim. Obozy te byłyby również większe, gdyby spora część spośród tych, którzy uciekali przed superwulkanem, nie znalazła schronienia dalej na zachodzie. W ośrodkach po zachodniej stronie koczowało mniej uchodźców, ponieważ, od czego należy zacząć, rejony te nie były gęsto zaludnione.

Vanessa rozważała w myślach, czy oni również, chociaż odrobinę, mają tak przejebane, jak lokatorzy Obozu Konstytucji oraz innych okolicznych miejsc schronienia. Funkcjonariusze FEMY oraz oficerowie Gwardii Narodowej wyposażeni w prerogatywy „odpuszczania i zatrzymywania grzechów” na obszarach dotkniętych klęską żywiołową, zaklinali się, że robili wszystko, co w ich mocy w zakresie ich kompetencji. Vanessa dawała im wiarę i to właśnie najbardziej ją przerażało.

Piesek rasy walijski corgi, który ugania się za nosorożcem zjadliwie go obszczekując, również robił wszystko, co w jego mocy w zakresie posiadanych kompetencji. Co wcale nie uchroniło go przed żalonym końcem w postaci mokrej plamy rozgniecionej wielką stopą nosorożca. Władze federalne oraz władze suwerennych stanów Oklahomy, Arkansas, Teksasu i Missouri również toczyły bój, każdy na miarę swoich możliwości.

Nikt nie troszczył się o miasta pod namiotami, które nagle, ni stąd, ni zowąd, wyrosły w tej okolicy jak grzyby po deszczu. To prawda, że brakowało wszystkiego, co służyło zaspokojeniu potrzeb niezmiernych rzesz tych, którzy zdołali uciec przed chmurami popiołu, jakie superwulkan wyrzucił do atmosfery. Popiołu, jaki potem pokrył środkowe regiony USA (i kawałek Kanady również). FEMA musiała stawić czoło piekłu na ziemi, na co zresztą agencja ta sobie sumiennie zasłużyła gównianą robotą w trakcie akcji ratunkowej w Nowym Orleanie, zatopionym przez huragan

Katrina. Poza tym Nowy Orlean w porównaniu z tym tu wyglądał jak spacer w parku.

Większość ewakuowanych osób tu zakwaterowanych posiadało domy, do których mogli po wszystkim wrócić. Domy te zostały, rzecz jasna, zniszczone i wymagały remontu lub odbudowy. Ale cóż dało się zaradzić, kiedy całe stany uległy totalnemu zniszczeniu? Nikt nie pytał o to, kiedy ludzie będą mogli ruszyć z odbudową w stanie Wyoming. Pytanie aktualne na tę chwilę brzmiało następująco – czy jakiegokolwiek stworzenie większe od mikroba lub ewentualnie jakiś chrząszcz czy dwa, uniesione podmuchem, zdołało przeżyć w Wyoming? Vanessa nie miała pojęcia, ilu mieszkańców z obszaru aglomeracji Denver poniosło śmierć (nikt na dobrą sprawę nie potrafił nawet oszacować liczby ofiar, choćby z przybliżeniem plus minus sto tysięcy). Wiedziała dobrze, iż naprawdę dopisało jej szczęście, skoro nie znalazła się wśród nich.

Część ludzi, którzy zdołali przeżyć Katrinę, FEMA zakwaterowała w barakowozach, które cuchnęły formaldehydem i kryły w sobie chmurę innych niedogodności. Niektóre z tych barakowozów – lub przynajmniej pewne ich typy: które wyglądały na tak stare i tak zużyte, że z pewnością zostały sponiewierane przez Katrinę – dotarły tutaj do Obozu Konstytucji. Vanessa widziała je na własne oczy.

Nie załapała się na kwaterunek w którymś z nich. W obozach dla ewakuowanych barakowozy uchodziły za luksusowe zasoby mieszkalne. Ale nie wystarczało ich dla wszystkich. (W zasadzie niczego nie wystarczało dla wszystkich). Na przydział barakowozu mogły liczyć wyłącznie rodziny z gromadą małych dzieci, a i tak znalazły się wśród nich takie, dla których zabrakło tego lokum, z powodu niedostatecznej liczby baraków.

Wobec powyższego Vanessa trafiła pod zadaszenie z brezentu. Dawniej za młodu kilka razy jeździła na biwak. Robiła wszystkie te głupawe rzeczy, które się w takich razach robi: wyszukiwała mchu na drzewach od strony północnej, piekła w ognisku „chlebki” z prawoślazu lekarskiego, spała w śpiworze w nylonowym namiocie o zjadliwych kolorach, w którym każdy klaustrofobik przeżyłby chwile niespotykanej grozy, gdyby tylko zdołał wcisnąć się do środka.

Ten namiot zupełnie nie przypominał tamtych. Vanessie nie śniło się nawet, że namioty cyrkowe mogą osiągać tak gigantyczne rozmiary jak ten, w którym teraz wegetowała. Do cholery, czy w dzisiejszych czasach cyrki nie dawały przedstawień w tych samych halach widowiskowych, które gościły zespoły koszykarskie NBA oraz kapele grające toporny heavy metal? Tak domniemywała, ale ponieważ nie interesowała się cyrkiem bardziej, niż popełnieniem samobójstwa, nie miała co do tego pewności.

Ktoś przytargał do wnętrzu namiotu czteropiętrowe prycze. Przypuszczalnie ktoś z Gwardii Narodowej; jej szacunek dla kompetencji ludzi w maskujących mundurach skoczył w górę o kilka poziomów od czasu, kiedy tu wylądowała. Ludzie w FEMY wydawali się być bardziej zainteresowani wyjaśnieniem, dlaczego nie można dostać tego, co jest akurat potrzebne. Gwardia po prostu to załatwiała, o ile tylko istniała taka możliwość.

Za materac służyła jej guma piankowa grubości około pięciu centymetrów oraz płyta ze sklejki. Strasznie na to psioczyła, ale nie za długo. Jej brakowało butów, ale uchodźcy, którzy docierali później niż ona, nie mieli stóp. Poza tym ludzie z Gwardii Narodowej nie dysponowali taką liczbą namiotów, która starczyłaby dla wszystkich. Nie nadążali również z montowaniem piętrowych pryczy. A zapasy gumy piankowej używanej na materace wyczerpały się nawet wcześniej niż namioty.

Tak, ludzie z FEMY i Gwardii Narodowej powtarzali jak mantrę słowa: „Robimy wszystko, co w naszej mocy”. Gwardziści mówili to poważnie. Ci z FEMY stwarzali przede wszystkim pozory.

Sól kamienna firmy Morton. Gdzieś głęboko pod ziemią biegły niekończące się tunele i solne stemple, które oświetlone światłem elektrycznym dawały lśniąca białą poświatę, choć bez światła stawały się całkiem czarne. (Czy te kopalnie soli nie znajdowały się w Kansas? Jeśli tak, to zapewne branża solna przeżywała podobne tarapaty, jak każda inna).

Vanessa zaczęła podejrzewać, że wojskowe racje żywieniowe MRE również wydobywano spod ziemi. Ludzie przebierali w nich nieustannie, usiłując znaleźć te ich warianty, które uważali za najmniej ohydne. Ona również uczestniczyła w tej grze, ale bardziej dla zabicia czasu, mniej natomiast przejmując się względnyymi ujemnymi stronami racji żywieniowych MRE.

Przyspieszanie upływu czasu stanowiło poważne wyzwanie zarówno tutaj, jak i w dobrym starym ogólniaku w Garden City – z jednego i tego samego powodu – brak prądu. Urządzono tu punkty ładowania telefonów komórkowych, zasilane perkotającymi agregatami prądotwórczymi na benzynę. Zawsze należało odstać swoje w kolejce, nie krócej niż dwie godziny, dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu. Vanessa stawiała temu czoło, tak czy inaczej.

– Żyje – powiedziała ojcu na powitanie, kiedy odebrał telefon od niej.

– Byłoby ci dużo trudniej dodzwonić się, gdybyś nie żyła – przyjął do wiadomości po swojemu.

– Tato!

W zasadzie powinna spodziewać się, że może wyskoczyć z taką odzywką, zwłaszcza uwzględnwszy fakt, że telefon od niej zupełnie go zaskoczył. Ale niezależnie od te go...

– Dobrze, że się wreszcie odezwałaś – dodał. – Jestem pewien, że twoja matka będzie dokładnie tego samego zdania.

Zadzwoń do niej w następnej kolejności, to miał na myśli. Vanessa nie zapałała szczególnym entuzjazmem. Po pierwsze, matka wciąż traktowała ją jak małe dziecko i bez wątpliwości nastawienie to nie ulegnie zmianie po sam koniec świata. Po drugie, Vanessa obwiniła matkę za rozpad małżeństwa rodziców. Ale, jeśli krew miała być choćby odrobinę gęstsza od wody, powinna do niej zadzwonić. W przeciwnym razie ojciec musiałby sam o to zadbać. I zapewne tak by zrobił, a potem przypuszczalnie zalałby się w trupa, żeby wykasować ten epizod z pamięci.

– Dobrze – odparła, uprzednio ciężko westchnąwszy. Istotne informacje zostawiła na koniec. – Jestem w Obozie Konstytucji. Założę się, że w serwisach informacyjnych bez przerwy o tym trąbią.

– No – potwierdził ojciec. – Jak bardzo jest tam źle?

– Lepiej pasowałaby nazwa Obóz Koncentracyjny – pofolgowała sobie. – Tu wszystko jest do dupy.

Wcale go to nie zdziwiło. Mogła się domyślić, że tak właśnie będzie.

– Mają tyle na głowie – odparł. – Jestem pewien, że dokładają wszelkich starań i robią, co tylko mogą.

Przecież nie widział na własne oczy, co się tu dzieje, inaczej nie wypowiedziałby tej ostatniej kwestii.

– Gówny prawda – zdementowała Vanessa. – Słuchaj, muszę kończyć i oszczędzać baterię – dodała jeszcze w pośpiechu. – Nie masz pojęcia, ile zachodu wymaga doładowanie komórki, a to w zasadzie jedyne miejsce tutaj, gdzie płynie prąd.

Być może powiedział jeszcze „Do widzenia”, ale nie czekała dłużej, żeby to usłyszeć.

– Ach, Bogu dzięki! – powiedziała matka i wybuchnęła łzami, kiedy Vanessa wybrała jej numer. Rozmawiała z matką nawet krócej niż z ojcem. I znów odczuła ulgę, kiedy rozłączyła rozmowę.

Następny w kolejce czekał Rob. Odsłuchiwała jego pocztę głosową. Uaktualnił ją, informując o koncertach w stanie Maine, doszła zatem do wniosku, że wciąż tam przebywa. Zima w Denver dawała nieźle w kość. W Maine musiało być bez porównania gorzej. Nagrała się, zostawiając wiadomość i zadzwoniła do Marshalla.

– Stadion Jankesów, druga baza. – Tak, to bez wątpienia on.

– Cześć, braciszku. Wierz lub nie, ale wciąż żyję – Vanessa czekała,, aż odpowie w podobnym stylu, co ojciec kilka minut wcześniej.

– Całkiem przyjemny sposób istnienia. – Takie zagajenie padło ze strony Marshalla. Potem sformułował całkiem rozsądne pytanie. – Gdzie dajmy na to wciąż, żyjesz?

– Obóz Konstytucji.

– Gdzie to jest?

– Jakieś pięć mil na południowy wschód od środka niczego. Nie oglądasz żadnych wiadomości?

– Że co? Nie. – Sposób, w jaki Marshall wypowiedział te słowa, wskazywał, że zadała jedno ze swoich kardynalnych, głupawych pytań. Prawdopodobnie rozkoszował się teraz życiem w Santa Barbara, totalnie naćpany, nie mając nawet zielonego pojęcia, jak bardzo dopisało mu szczęście. – Zgadnij, czego dokonałem – dodał po chwili.

– Nie wiem. Czy z powodu tego wyszedłeś na wolność za kaucją?

Vanessie przyszło na myśl zapuszkowanie za palenie marychy, chociaż w dzisiejszych czasach w Kalifornii należało bardzo się o to postarać. Odrobinę kąśliwej złośliwości zawsze traktowała jak balsam dla swej znękaney duszy.

Balsam okazałby się nawet bardziej kojący, gdyby Marshall wychwycił ironiczny ton.

– Przyjęli moje opowiadanie do publikacji – kontynuował Marshall, jakby z jej ust nie padły zjadliwe słowa. – Wydawnictwo „New Fictions”. Zapłacą mi za to prawdziwe pieniądze.

– Niemożliwe! Jakim sposobem?

Z jej głosu przebijała bardziej zawiść w kolorze morskiej zieleni niż niedowierzanie. Jak każdy dobry redaktor tekstów biurowych, Vanessa nie wątpiła, że wyrośnie z niej klasowa pisarka, kiedy tylko znajdzie na to czas. I jak w przypadku wielu biurowych redaktorów, jakoś nigdy nie przeszła tej przemiany. Fakt, iż Marshall zdołał, wręcz ją zbulwersował.

– Takim – odparł, ona zaś nie mogła nie dosłyszeć samozadowolenia w jego głosie, choć bardzo się o to starała. – Idę o zakład, że nigdy bym tego nie zrobił, gdybym nie uczestniczył w zajęciach z pisarstwa, na których kazano mi złożyć pracę w wydawnictwie.

– Rrr – Vanessa nie zgrzytnęła zębami, wydobyła jedynie z siebie odgłos imitujący zgrzytanie. Ile razy powtarzała sobie, że rzucenie uczelni i wejście w dorosłe życie to dobry pomysł.

– Gdybym nie był uczestniczył. To czas zaprzeszły – dodała automatycznie.

– Bez różnicy.

On nie tylko nie wiedział, ale nawet miał to w nosie. No i byczył się w Santa Barbara, miał prąd i ciepłą wodę i żarcie, którego nie przynoszono w tekturowych kartonach i które nie smakowało jak tektura, ponadto to jemu przyjęto do publikacji pierdolone opowiadanie za honorarium? W istocie rzeczy, tak. Gdzież w tym sprawiedliwość?!

– Porozmawiam z tobą dłużej później. Muszę oszczędzać baterię. – Vanessa kolejny raz powtórzyła nieodłączną i sprawdzoną wymówkę.

– W porządku. Uważaj na siebie, nara.

Jak bardzo naćpał się Marshall? Nie mogąc absolutnie nic na to poradzić, Vanessa o mały włos nie zadzwoniła do wydziału policji w Santa Barbara i nie napuściła glin, żeby zapuszkowali jej brata. Ponieważ rzecz działa się w Santa Barbara, połowa gliniarzy po służbie prawdopodobnie zdążyła nawalić się jak świnie.

– Gówno! – powiedziała na głos.

Ludzie mijali ją, idąc przez błoto. Nikt nawet nie podniósł wzroku. Tu w Obozie Konstytucji słyszało się dużo znacznie gorszych bluzgów. Vanessa słyszała dużo znacznie gorszych bluzgów w swoim namiocie z ust rekrutującej się z biedoty zamieszkałej na co dzień w przyczepach samochodowych samotnej matki, której córki – jedenasto-, ośmio- i sześćioletnia, dostawały małego rozumu, ponieważ nie mogły oglądać telewizji, grać w gry wideo ani wejść na Facebooka – a także z ust rozkosznych maleństw.

Podniosła oczy ku nieczułym niebiosom. Nieczułe niebiosy zesłały na nią pierwsze krople deszczu. Właśnie, skąd miało się brać całe to błocko? Obiektywna obserwacja biegu spraw oraz intuicja podpowiadały, że całkiem, psiakrew, niedługo spadnie pierwszy śnieg. Czyż nie będzie w tym jakiejś groteskowej ironii, skoro mieszkała pod dachem z brezentu?

Wracając do kwestii gówna... Wiatr powiał mocniej, od zachodu. Przyniósł ze sobą odór slumsów od strony szeregu latryn urządzonych pod gołym niebem. Bieżąca woda? Odprowadzanie ścieków? Wolne żarty. Ile czasu upłynęło od ostatniej epidemii cholery w krainie wolnych i ojczyźnie męźnych ludzi? Ile czasu upłynie, zanim znowu wybuchnie? Vanessie pozostawało jedynie żywić złudną nadzieję, że zaraza ją ominie.

– A niech to! – powiedział Rob. – Ach, ale jaja! – dodał po chwili. Justin Nachman przytaknął.

– Ta biel jest niemal nie do rozróżnienia.

Obaj już wcześniej widywali śnieg, w trakcie poprzednich wypadów kapeli Tryskająca Zaba i Ewoluuujące Kijanki w porze zimowej w te rejony kraju. Tyle że to jeszcze nie zima, a Rob doszedł do przekonania, że nikt poza krajem Eskimosów w życiu nie widział takiego śniegu.

Myśli Justina pobiegły innym, chociaż skorelowanym torem. Siedział za kierownicą z nosem o jakieś piętnaście centymetrów od przedniej szyby – przynajmniej tak to wyglądało z perspektywy Roba – usiłując wypatrzeć cokolwiek na drodze.

– Od dłuższej chwili spodziewam się natknąć na bernardyna gdzieś na poboczu drogi. I nie miałbym nic przeciwko temu. Łyk brandy właśnie teraz przypasowałby jak znalazł.

– Uhm – Rob skinął głową, potakując. Nagrzewnica w ich furgonetce wznosiła się na szczyty wydolności, ale jak długo jeszcze będzie w stanie pracować? Nie miał zielonego pojęcia, jaka temperatura panowała na zewnątrz, ale gotów był postawić dolary przeciwko kiszonym ogórkom, że nigdy nie przebywał w bardziej mroźnym miejscu. – Być może powinieneś zachować ostrożność, wypatrzywszy psa św. Bernarda – dodał. – Pamiętaj, jesteśmy w Maine. Krainie Stephen Kinga. To mógłby być Cujo, bernardyn z jednej z jego powieści o tym tytule.

– Ty to wiesz, jak dodać bliźniemu otuchy, prawda? – odparł Justin.

Wycieraczki na szybie vana przesuwwały się w górę i w dół, w górę i w dół. Jak dotąd sprawowały się nieźle nawet w śnieżnej zadymce. Rob miał nadzieję, że jeszcze trochę wytrzymają. Justin włączył długie światła, ale kierując się rozsądkiem, przełączył je na światła mijania. Wirujący śnieg mógł bowiem odbijać ostre światło wprost mu na twarz, jeszcze bardziej utrudniając wypatrywanie drogi przed nim.

– Hej, istnieją przecież gorsze rzeczy niż wielkie, wściekłe psy.

– Rob pozostał zdeterminowany w misji niesienia otuchy – czy temu podobnej. – Być może wciąż pomykają tu jakieś wampiry z Miasteczka Salem.

– Przecież jest dzień – zwrócił uwagę Justin.

– No, tak. Na pewno będą sobie zawracać tym głowę przy takiej pogodzie – obstawał przy swoim Rob. – Poza tym, w dzisiejszej dobie prawdopodobnie noszą ciemne okulary i smarują się filtrem przeciwsłonecznym, pięćdziesiątką. Wykorzystują technologię w celu rozwiązywania problemów. W końcu tym się zajmuje inżynieria.

– Dziękuję bardzo, Albercie Speer. – Justin wykonał gest nazistowskiego pozdrowienia z ramieniem wyprostowanym na tyle, na ile pozwalał dach furgonetki.

Rob miał jedynie mgliste pojęcie, kto zacytuje Albert Speer. Nazista: cóż więcej potrzebował wiedzieć?

– To nie o niego chodzi – sprostował. – Masz na myśli profesora Dinwiddie, który wytłumaczył, dlaczego studenci studiów inżynierskich powinni odczuwać dumę z tego, co robią.

– I odczuwasz dumę?

– Odczuwam tak pierdzieloną dumę, że gram na basie w Tryskającej Żabie i Ewoluujących Kijankach po to, bym już nigdy nie musiał zajmować się choćby jedną płytką obwodu drukowanego tak długo, jak będę chodził po tym świecie.

– Brzmi całkiem przekonująco – przyznał Justin. – Dobra, ale powiedz, gdzie do cholery jesteście?

Rob sięgnął po zaufany atlas drogowy.

– Zjechaliśmy z międzystanówki 1-95 w Newport, zgadza się?

– Zgadza się. – Głowa Justina podskakiwała w górę i w dół. – Drogi w Maine są do dupy, wiesz?

– Teraz już wiem, kiedy o tym wspomniałeś – odpowiedział Rob.

Po zjechaniu z autostrady międzystanowej człowiek cofał się w czasie, przypuszczalnie do okresu wcześniejszego niż lata, kiedy urwis „Beaver” Clever budził gniewne błyski w oczach ojca imieniem Ward, postaci z telewizyjnego serialu z końca lat pięćdziesiątych. Dwupasmowe, kręte, kryte masą bitumiczną drogi, na wielu z których nie położono nowej nawierzchni od bardzo, bardzo długiego czasu... Zaiste, ta kraina to nie Kalifornia.

– I zmierzamy na północ przepiękną drogą numer 7 – ciągnął Justin.

– Ok. Zrozumiałem – odparł Rob. – Przy odrobinie szczęścia Biffl i Charlie również nią podążają.

– Ciekawe, jak prezentowałyby się piękna lokalna siódemka, gdybym mógł zobaczyć coś w tej pierdzielonej śnieżycy odrobinę dalej, niż sikam – kontynuował wątek Justin. – Przejechaliśmy przez wielką metropolię Corinna, znaną też pod nazwą dziury zabitej dechami.

– Z pewnością przejechaliśmy. – Rob zaczął nucić – Corinna, Corinna. – To, jak śpiewał, stanowiło uzasadnienie, dlaczego grał na basie. Potem ponownie spojrzął na mapę. – I dojeżdżamy do uroczej i romantycznej miejscowości Dexter. Dexter zaznaczono większą kropką niż Corinnę. Niedużą kropką, zwróć, proszę uwagę, ale, bądź co bądź, większą. Niewykluczone, że jest dostatecznie duża, by spotkać tam jedno albo dwa skrzyżowania ze światłami.

– Ja cię kręcęęę!

Sposób, w jaki Justin to wyartykułował, mógł świadczyć o tym, że jest być może naćpany. Mógł być, ale nie był, a przynajmniej tak uważał Rob. Jazda samochodem pod wpływem prochów ściągала więcej kłopotów niż to warte. Rob, jako syn gliniarza, to właśnie usiłował wpoić reszcie zespołu. Z

drugiej strony ilość zioła, jaką sam wypalał, kiedy nie siedział za kółkiem, robiła na nich przeogromne wrażenie.

Jednak to Ja cię kręcę! padło wcale nie bez kozery. Miasteczko w stanie Maine na tyle wielkie, by postawić w nim światła uliczne, było na najlepszej drodze ku aglomeracji... albo, co bardziej prawdopodobne, przez minionych siedemdziesiąt pięć lat nie przybył tu choćby jeden mieszkaniec. Ten region kraju nie rozrastał się niczym komórki nowotworowe, jak dajmy na to Kalifornia.

Przejechali obok znaku drogowego. Żółtego rombu, co raz to przysypywanego śniegiem. Podobne znaki Rob widywał w rodzinnych stronach. Ale na żadnym znaku drogowym w Kalifornii nie widniała sylwetka dużego starego jelenia z kolosalnym porożem.

– Skrzyżowanie ze zwierzyną płową – oznajmił Rob: nie pierwszy raz wypatrzyli po drodze znak z łosiem.

– Proszę bardzo. – Justin przytaknął. – Ale już dość tych znaków. Chciałbym zobaczyć odrobinę bardziej prawdziwego łosia.

– Zakładam, że będą ich całe stada w pobliżu Greenville. One migrują – pocieszył go Rob.

– Łosie migrują? – Z głosu Justina przebijało teraz zaskoczenie – nie bez powodu zresztą. Zwolnił nieco, chociaż, dodać wypada, że i tak wcale nie jechali z zawrotną prędkością.

– Yy, nie. – Rob zagłębił się w tajniki wnioskowania na podstawie faktów.

– No, cóż, to prawdziwa ulga, tak czy owak – dodał Justin.

– Odnoszę wrażenie, że śnieżycy robi się coraz gęstsza.

– Nie sądzę, żeby istniała taka możliwość – wybąkał Rob, nie chcąc przyznać, że ich frontman miał jednak rację.

– Tak, no dobrze... – Justin zdjął dłoń z kierownicy i wykonał niezdecydowany gest. – Wygląda na to, że przez jakiś czas nie będziemy musieli zwracać sobie głowy globalnym ociepleniem. Powinniśmy upiec na rożnie więcej dinozaurów, kiedy była ku temu sposobność.

W tym momencie musieli skupić całą uwagę na tym, żeby trzymać się środka drogi i nie ugrzęznąć w jakiejś zaspie na poboczu – tam gdzie było pobocze. Niektóre z żółtych znaków drogowych, które nie ostrzegały przed łośiami, informowały o braku pobocza. Co by się stało, gdyby zjechali z drogi w takim miejscu? Rob nie miał specjalnych trudności ze znalezieniem odpowiedzi: samochód przekoziółkowałby i stanął w płomieniach; ot, co by się stało.

– Trzymaj się nawierzchni drogi – naciskał.

– Tak, mamusiu. Robię, co mogę, uwierz mi – odparował Justin. Rob przymknął się.

W końcu dotarli do Dexter. Miasteczko rzeczywiście posiadało pewną rangę: dwa albo trzy skrzyżowania ze światłami, dwie stacje benzynowe (niezawodna oznaka, że to nie wiocha na zadupiu), kościół z wysoką białą wieżą, cmentarz, zasnuty teraz śnieżnym całunem oraz, obok punktu sieci Subway, która była chyba najbardziej rozpowszechnioną siecią fast foodów w tej części stanu Maine, także rodzinna chińska restauracja.

– Jestem ciekaw, jak smakuje chińskie jedzenie pośrodku krainy łośi – podjął nowy temat Rob.

– Nie wiem, ale ty w godzinę po tym, jak coś wtrząchniesz, już jesteś ciekaw – przygadał mu Justin.

– Czasami zjem jakieś gówno, po którym tak się dzieje, ale nigdy po zajebistym chow mein z wołowiną – wyjaśnił Rob.

Słowa te, rzecz jasna, skłoniły Justina do zaintonowania kawałka Wilkołaki z Londynu [„Werewolves of London”]. Warren Zevon nie

aspirował co prawda do roli ich duchowego ojca, ale też nie dał się zepchnąć na pozycję dalszą niż duchowy stryj. A swego rodzaju rozgłos, jaki zdobył, stanowił szczyty, o jakich oni mogli tylko marzyć.

Chociaż Dexter należało uznać za spore miasteczko, jak na standardy stanu Maine po zjechaniu z autostrady międzystanowej, przejazd przezeń zajął tylko parę minut. Potem znów znaleźli się w terenie niezabudowanym, wśród zasypanych kopnym śniegiem łąk i pól, które ciągnęły się od coraz bardziej przysypywanej białym puchem drogi po odziane w białe szaty sosny. Niekiedy, dla urozmaicenia krajobrazu, sosny przywalone śnieżnymi czapami dochodziły do krawędzi drogi. Na tych odcinkach nie zachodziła po trzeba stawiania znaków informacyjnych BRAK POBOCZA; fakt ten był raczej oczywisty.

Przejeżdżając przez Dexter, gdzieś w połowie miasteczka zjechali na drogę lokalną 23. Oferowała możliwość bardziej bezpośredniego dojazdu do Greenville niż siódemka. Okazała się również węższa, czego jednak na mapie nie pokazano. Rob zaczął się zastanawiać, czy zrobili mądrze, stawiając na zmianę drogi. Jego rozterka jeszcze się nasiliła, kiedy Justin nacisnął na hamulce – ostrożnie, żeby nie wpaść w poślizg. I zdołał uniknąć poślizgu. Jak na gościa z Kalifornii, radził sobie niezgorzej w tej ostrej śnieżnej zadymce.

– Co się dzieje? – zapytał Rob.

– Wypadek przed nami – wyjaśnił Justin. – Migające światła i inne ceregiele.

I niech to szlag, jeśli nie mieli przed sobą kraksy. Rob nie zdołał jej wypatrzeć przez zesłany od Boga wirujący puch. Na całe szczęście Justin miał przez cały czas oczy szeroko otwarte. Dlatego właśnie płacimy mu kupę dolarów, przemknęło Robowi przez głowę ledwo zauważalnie.

Wypadek wyglądał na poważny, z udziałem dwóch zwykłych osobówek i SUV-u. Jedno z aut osobowych leżało obok drogi przewrócone na bok, niemal przyprawiając Roba o dreszcze, gdy przypomniał sobie własne przemyślenia, zanim dotarli do Dexter. Na drugim boku przewróconego auta widniało duże wgniecenie nad tylnym kołem. Drugi samochód i SUV stały na kołach, ale zostały porządnie stuknięte. Kilka osób spośród tych, które się tu kręciły bez ładu i składu, krwawiło. Policjant opatrywał jedną z nich. Na dachu jego krążownika szos migotały czerwone, żółte i niebieskie światła.

Pod oponami zachręściło szkło, kiedy Justin omijał miejsce kraksy. Tylko kilka samochodów przed nimi ominęło rozbite auta. W Los Angeles, obojętnie na jakiej drodze, taka kraksa zablokowałaby ruch na dobrą godzinę. Natomiast wypadek na trasie 405 o czwartej po południu spowodowałaby zakorkowanie miasta aż do samej nocy. No, dobrze, samo Hrabstwo Los Angeles może pochwalić się większą liczbą mieszkańców niż czterdzieści dwa inne stany, każdy liczony z osobna – a może czterdzieści trzy? Rob nie potrafił przypomnieć sobie dokładnie. Stan Maine zdecydowanie należał do nich.

– Charlie i Biff wciąż są z nami – poinformował Justin, gdy zwiększył nieco prędkość. – Mógłbym się przyzwyczaić do używania ogrzewanych lusterek bocznych. Bez nich nie byłbym w stanie niczego dojrzeć.

– Okej, świetnie. Ale ile razy użyłbyś ich w Kalifornii? – zapytał Rob.

– To zależy, jak bardzo się tam ochłodzi, racja? Jeśli Kalifornia zamieni się, dajmy na to, w stan Waszyngton, czasami będzie tam chwytał mróz.

– Że jak? – zachnął się Rob, choć nie bez namysłu. Nie przyszło mu to wcześniej do głowy, a przecież powinno. Po chwili zaświtała mu inna myśl. – Gdyby Los Angeles stało się teraz nowym Seattle...

– Jak pięćdziesiąty równoleżnik stałby się nowym trzydziestym? – Justin wszedł mu w słowo, chcąc dopomóc.

– Gówno prawda – odparł Rob. Roześmiali się obaj – całkiem spontanicznie, gdyż żaden z nich nie dobiegł jeszcze trzydziestki. Potem podjął wątek. – Jak już powiedziałem, gdyby Los Angeles stało się nowym Seattle, to czym stanie się Maine? Nowym biegunem północnym?

– Nie. Aż tak źle nie będzie – powątpiewał Justin. – Raczej nowym Labradorem.

– Radosny dzień! – skostatował Rob zdecydowanie mało radosnym tonem. – Dziesięć miesięcy zimy i dwa miesiące kiepskich warunków do jazdy na nartach.

– Chyba jednak jaja sobie robisz, co?

– Chciałbym! – Rob przewrócił oczami. – Oto kolejne interesujące pytanie, jakie się nasuwa: jak, do jasnej cholery, wydostaniemy się stąd? Jeśli zaspy śnieżne są wysokości dwóch metrów z okładem i nie nadejdzie odwilż, nikt tu nie dotrze ani się stąd nie wydostanie, nijakim sposobem.

– Obawiam się, że masz po części rację – odparł Justin.

– A kiedy zaczną im brakować żywności i oleju opałowego...

Jego głos ucichł. Gdyby ktoś zechciał, mógłby wyobrazić sobie cały stan... do diabła tam, mógłby wyobrazić sobie wszystkie obszary na północ od Bostonu – powoli zamierające w opisany powyżej sposób.

– Przypomnij mi jeszcze raz, dlaczego postanowiliśmy dać ten koncert w Greenville – poprosił Rob.

– To się nazywa forsa – wyjaśnił Justin. – Napływ odrobiny gotówki raz na jakiś czas, zamiast jej wydawania, cholera, na okrągło, jest czymś pożytecznym. W każdym razie wydaje mi się, że tak to pamiętam.

– Upłynęło już trochę czasu, prawda? – Rob westchnął. – Ciągłe nie mogę odżałować, że nie zmierzaliśmy gdzieś na południe w kierunku Key

West u wybrzeży Florydy czy gdzieś w okolicach, kiedy wybuchł superwulkan. Nowa Anglia... Tutaj jest już po wszystkim.

– Uhm. I oczywiście wiedziałeś zawczasu, że ten Yellowstone zamierza gruchnąć niczym chomik Hamster Huey. – Justin fascynował się gazetowym komiksem „Calvin i Hobbes” w równym stopniu co Rob. Ten rodzaj wrażliwości – jeżeli ktoś chciał nazwać to wrażliwością – spłynął też po części na zespół.

Najbardziej uwierało Roba to, że tak naprawdę wiedział albo wiedział tyle, ile mógł wiedzieć każdy, kto nie para się geologią. Przecież ojciec schodził na temat superwulkanu za każdym razem, kiedy ze sobą rozmawiali, ale on ignorował całe to gadanie. Cóż można zrobić, kiedy własny ojciec jak katarynka powtarzał rzeczy, które usłyszał od swojej nowej przyjaciółki, zwłaszcza że ona miała niewiele więcej lat niż jego syn.

– Teraz już za późno, żeby się tym martwić – powiedział i ponownie ciężko westchnął.

– Tu akurat masz rację. – Justin przełączył wycieraczki z normalnej prędkości przesuwu piór na wysoką. Pożytek z tego nie okazał się tak duży, jak na to liczył. Przełączył więc z powrotem na niższą prędkość. Śnieżyca na drodze gęstniała coraz bardziej.

– Zaczynam wątpić, czy damy radę dojechać do Greenville.

– To cacko ma rozmiary opancerzonego bojowego wozu piechoty. Dysponuje napędem na cztery koła i ma założone zimowe opony – przekonywał Rob. – Zamierzasz pozwolić, żeby Matka Natura nas wydymała?

– Mogę nie mieć wyboru. Jeśli walczysz z Matką Naturą, to walczysz z wielką matką – odpowiedział Justin.

Rob spojrział przez okno. Nie widział wiele poza wirującą bielą oraz, na wskroś niej, bielą, która już opadła na ziemię. Przez chwilę rozmyślał, czy

na serio powinien spodziewać się teraz spotkania z wielkim wściekłym bernardynem albo, dajmy na to, z wampirami. Słońce nie przebijało się choćby jednym promykiem, żeby móc je odpędzić i znikąd nadziei, że w krótkim czasie zaświeci.

Dexter okazało się na tyle dużym halo, że kolejna sadyba przy drodze 23, zamiast cieszyć się własną nazwą, została ochrzczona mianem North Dexter. Spory kawałek dalej przy tej drodze minęli restaurację z kuchnią włoską i meksykańską. Rob zdołał dostrzec neon mimo śnieżnej zamieci, samą restaurację, dość oddaloną od drogi, dało się ledwie wypatrzeć.

– Meksykańskie jedzenie w Maine – przemyśliwał na głos Justin. – Twoim zdaniem chińszczyzna zakrawałaby na dziwactwo, a co sądzisz o tym?

– Ty nigdy nie potrafisz przestać, prawda? – Rob odparował z udawanym, a być może nie do końca udawanym, rozdrażnieniem.

– Nie, Greenville albo krewa – Justin szedł w zaparte. Obaj zaczęli sapać.

Coś jak smuga czerwieni przemknęło w poprzek drogi. Pojawiło się na moment i znikło. Justin miał na tyle czasu, żeby zdjąć nogę z gazu, ale nie zdążył już nacisnąć na hamulec.

– Co to, kurwa, było? – zapytał Rob, zachodząc w głowę, czy mu się nie przywidziało.

– No cóż, jestem niemal pewien, że nie był to łoś.

– Co za błyskotliwa dedukcja! Mniej bystry umysł nie poradziłby sobie z nią.

– Tak, wiem – odparł Justin, w pełni z siebie zadowolony.

– Moim zdaniem to najprawdopodobniej lis... ale nie taki, który chodzi na dwóch nogach.

– Lis! Odłotowo!

W Kalifornii nie roilo się od nich. Kalifornię zamieszkiwały natomiast kojoty. Kojoty uznawały czworonożne lisy za przysmak.

Z mapy wynikało niezbitcie, że tuż przed przejściem drogi 23 w drogę 6 powinni dojechać do osady o nazwie Sangerville. Rob dostrzegł jeszcze jeden cmentarz zasnuty śniegiem, co kolejny raz sprowokowało go do rozglądania się za wampirami. Jednak wszystko wokoło wskazywało na to, że ludzka stopa nigdy nie stanęła w tej okolicy. Przewrócił strony i zajrzał na koniec drogowego atlasu. Jak byk stało napisane, że Sangerville liczyło 475 mieszkańców. Jeśli nie mijalo się to z prawdą, to większość z nich, jak w klasycznym zwrocie, należało potraktować jak martwe dusze.

– Teraz skręcam w lewo, racja? – upewnił się Justin, kiedy droga lokalna 23 dołączyła ostatecznie i nieodwołanie do szóstki.

– Racja... w lewo – potwierdził Rob. – Gdybyś pojechał w prawo, oddalałbyś się od Greenville, jadąc w kierunku Dover-Foxcroft.

– Dover-Foxcroft? – zawtórował Justin. – Dziwaczne, człowieku. Znam wielu ludzi o nazwiskach pisanych z łącznikiem. Któż nie nosi takiego nazwiska w dzisiejszych czasach? Ale miasteczko?

– Ja tu tylko pracuję – odparł Rob. – To właśnie mówi mapa. Ale dzięki zawarciu małżeństwa miasteczko prześcignęło wielkością Dexter czy nawet Newport. Nazwę napisano większą czcionką, a symbolem miasteczka jest białe kółko z czarną kropką w środku, nie zaś wyłącznie czarna kropka.

– Nawet się nie obejrzymy, kiedy to miejsce zamieni się w Boston. – Justin posłusznie skręcił furgonetką w lewo.

– Następna osada przed nami to Guilford. To jakaś mila albo dwie stąd – poinformował Rob, wciąż wpatrując się w atlas drogowy wydawnictwa Rand McNally. – Tam droga się rozwidła. My pozostaniemy na szóstce, zmierzając na północny zachód. Następna pipidowa za Guilford to Abbott Village, a potem North Abbott.

– Nie North Guilford? – zapytał Justin.

– W gruncie rzeczy istnieje też North Guilford. Ale nie leży przy szóstce. Znajduje się gdzieś przy jakiejś bocznej drodze po dwakroć do dupy.

– Droga, na której jesteśmy, jest po dwakroć do dupy – zauważył celnie Justin.

– W takim razie tamta jest po czterokroć do dupy – poprawił się Rob.

Jak się potem okazało, ich dyskusja o stanie dróg miała charakter czysto akademicki. Nie zdołali bowiem dojechać nawet do Guilford. I to wcale nie z powodu coraz gęstszej zadymki, choć śnieżycy rzeczywiście przybierała na sile. Kraksa, jaką napotkali jeszcze przed North Dexter, nie spowodowała zamknięcia całej pieprzonej drogi. Ta, którą mieli przed sobą, zatarasowała drogę z kretesem. Hummer zderzył się czołowo w osiemnastokołową ciężarówką.

Rob nie wiedział, jak szybko jechał facet, który siedział za kierownicą hummera. Szybko wydawało się całkiem trafnym przypuszczeniem. Hummer był przecież półtora raza większy i dwa razy cięższy od każdego innego SUV-u. Każdego hummera dało się przyrównać do bardzo nieprzyzwoitego kawału. Nie dziwota zatem, że ich rynek poleciał w dół na łeb na szyję – idealnie dobrane określenie – kiedy ceny benzyny poszybowały w górę w ostatnich latach minionego stulecia.

Ten konkretny hummer zamienił się teraz w stertę złomu, z całym przodem zmiażdżonym. Przednia szyba, opleciona gęstą siatką drobniutkich spękań, wybrzuszyła się na zewnątrz po stronie kierowcy. Każdy gliniarski dzieciak z miejsca wiedział, co to znaczy. Cymbał za kierownicą – hej, przecież gość pędził, siedząc za kierownicą hummera, zatem musiał to być cymbał – nie zapiął pasa bezpieczeństwa. Do rozstrzygnięcia pozostawał jedynie dylemat, czy będzie mu potrzebny dentysta i chirurg plastyczny czy

też neurochirurg. Ta druga opcja zakładała, że goście pozostali jakieś resztki tkanki mózgowej, co też wcale nie było takie oczywiste.

Facet uszkodził również poważnie wielkiego osiemnastokółowca. Rąbnął w niego na tyle mocno, że ten przewrócił się na bok i na dodatek przyczepą ciężarówki zarzuciło. Taka kraksa spowodowałaby czasowe zamknięcie autostrady Santa Ana w stanie Maine na wąskiej drodze z jednym pasem w każdym kierunku... Wgnieciona od przodu szoferka ciężarówki leżała przewrócona na poboczu, a olej napędowy wyciekał z przedziurawionego zbiornika paliwa na kopny śnieg, niczym krew z przeciętej żyły szyjnej. Wyciągnięta jak długa przyczepa leżała w poprzek asfaltowej nawierzchni, sięgając do pobocza z drugiej strony drogi.

– No to jesteśmy udupieni na amen – powiedział Justin i to wystarczyło za cały komentarz. Ostrożnie zwolnił, żeby się zatrzymać.

Kilka innych samochodów stało już przed nimi. Parę osób wysiadło, żeby zrobić, co możliwe, dla rannych albo po prostu po to, żeby obejrzeć z bliska cały ten bajzel.

Charlie i Bifif zatrzymali się dwa auta dalej za Justinem i Robem. Z tyłu za nimi kolejne samochody zjeżdżały na pobocze. Nikt nie miał szans odjechać stąd gdziekolwiek w dającym się przewidzieć czasie.

– Gdzie są gliny? – Justin wykazał się refleksem.

– Być może są od strony Guilford i po prostu ich nie widzimy – odpowiedział Rob. Albo też przypuszczalnie jadą dopiero z Dover-Foxcroft. – Mógł iść o zakład, że ta druga opcja jest prawdziwa. – Tymczasem przekonajmy się, czy jesteśmy w stanie zrobić cokolwiek pożytecznego.

Otworzył drzwi. Poczł ukłucia siarczystego mrozu. L.L. Bean, producent zimowej odzieży, znał się jednak na swojej robocie. Gdy tylko zasunął suwak kurtki z kapturem, natychmiast przestał marznąć. Nigdy

wcześniej nie nosił kalesonów, aż do eskapady po stanie Maine. Odczuwał teraz cholerne zadowolenie, że je nabył drogą kupna. Wprawdzie nos ciągle mu marzył, ale, do jasnej cholery, co z tego? Doszedł do wniosku, że tym sposobem robił za sympatycznego, dziarskiego głupka.

Starszy facet, który wysiadł już wcześniej, pozdrowił go skinieniem głowy.

– Nie widziałem czegoś podobnego od czasu, kiedy służyłem w Iraku – odezwał się i wskazał na zwłoki leżące z tyłu za hummerem. Ktoś przykrył głowę płaszczem. – Masz szczęście, że jest przykryty. Naprawdę nie wygląda ślicznie, ani na jotę.

– Wierzę.

Podobnie jak każdy mieszkaniec Los Angeles Rob widywał jatki na drodze, od czasu do czasu. Oglądał też makabryczne fotografie w książkach ojca. Kiedy był dzieckiem, posługiwał się nimi, by przyprawić o mdłości Vanesę. Miał zakaz oglądania tych zdjęć, nie wspominając już wcale o prowokowaniu nocnych koszmarów u młodszej siostry. Dostawał od ojca baty, kiedy Vanessa go podkablowała. Ojciec nie należał do ludzi, którzy uważali, że kara cielesna wypacza psychikę na całe życie. Stary sprawiał mu manto często gęsto, a przecież Rob wyszedł na ludzi, zatem... Myślenie o tym było jednak o wiele przyjemniejsze, niż rozpamiętywanie tego, co zastało między nimi niedopowiedziane.

– Czy ktoś jeszcze jechał SUV-em? – Rob usłyszał sam siebie, jak zadaje pytanie.

– Ayuh – odpowiedział starszy mężczyzna, co wskazywało, że pochodził z tych stron (a jego dopowiedz oznaczała „tak”).

– Była jeszcze dziewczyna. Ale miała zapięte pasy, zatem nie poleciała na przednią szybę. Rozwaliła sobie tylko nieźle nogę i być może ma złamanych parę żeber. Zabrali ją do szpitala w Guilford.

– A co z kierowcą ciężarówki? – Rob sformułował kolejne logiczne pytanie.

– Nic mu nie będzie. Skaleczenia, siniaki, jakieś skręcenie – ewentualnie pęknięcie – w stopie. Siedział wysoko. O mały włos wyszedłby z tego bez szwanku, gdyby cholerny hummer nie przewrócił ciężarowy na bok.

– Trzeba być kompletnym świrem, żeby pędnąć na złamanie karku przy takiej pogodzie – wyraził opinię Rob.

– Ayuh – odparł starszy mężczyzna. – No cóż, niektórzy goście nimi są, ujmując rzecz najkrócej. Ubrdali sobie, że ich gówno nie śmierdzi i że nie stanie się im nic złego, bez Względu na to, w jakie gówno się wpakują. Powiadam ci, a swoje wiem, że w życiu tak nie ma. – Wskazał kciukiem na martwego kierowcę hummera. – On niczego ci nie powie, już nie.

– Jak długo może potrwać usuwanie tego galimatiasu z drogi? – dywagował na głos Rob.

– Nie mam pojęcia. – Miejscowy powiedział to tak, jakby się tym zupełnie nie martwił. Rzecz jasna, to nie on miał dzisiaj wieczór zagrać koncert w Greenville. – Bóg jeden tylko wie, skąd mają wziąć dostatecznie wielki wóz holowniczy, żeby dźwignąć tych popierdoleńców. W Guilford takiego nie mają... wiem to na bank. Nie sądzę też, żeby znalazł się w Dover-Foxcroft, być może w Greenville albo w Newport, przez które biegnie międzystanówka. A poza tym, w tych zaspach będą jechać tutaj całą wieczność. Mogą również nie przejąć się tym i klapnąć sobie, wiesz, co mam na myśli?

– Tak. – Rob za cholerę nie potrafił wydobyć z siebie odgłosu przypominającego miejscowe ayuh. Całkowicie przybity poczłapał w kierunku oczekującego już Justina. Widząc, że nadchodzi, Biff i Charlie wysiedli z podążającej ich tropem furgonetki, chcąc usłyszeć najnowsze wieści.

– Jesteśmy udupieni – Rob ujął rzecz krótko i ze słodyczą.

– Nie mają żadnego pojęcia, kiedy będą w stanie usunąć zator z drogi.

– Zatem wszystko o kant dupy. – Biff nie grzeszył rozrzutnością w słowach, ale trafił w sedno.

– Nie jesteśmy nawet w stanie zawrócić – dodał Charlie.

Za nimi na ich pasie stało kilka aut, pas ruchu w kierunku wschodnim został zatarasowany przez samochody zmierzające na zachód. Kilku osłów zawsze musiało wykombinować sobie, że uda im się wyjść z kabały, choćby mieli złamać przepisy. Raz na jakiś czas jednemu czy drugiemu nawet się udawało. Częściej jednak, jak i tym razem, wpadali w jeszcze większe tarapaty razem ze wszystkimi pozostałymi.

– Chyba będzie lepiej, jak zadzwonię do Greenville i powiadomię ich, że nie zdołamy dojechać na czas. – Rob sięgnął do kieszeni po telefon komórkowy.

Organizator koncertu nie darł szat z tego powodu.

– W porządku, odwołujemy występ – potwierdził. – Przedsprzedaż poszła gorzej, niż zakładaliśmy, a ludzie z całą pewnością nie przyjadą do miasta przy takiej pogodzie jak ta.

Wszystko to prawda, ale tym sposobem kapela Tryskająca Żaba i Ewoluuujące Kijanki została zdana tylko i wyłącznie na siebie gdzieś pośrodku stanu Maine, nie mając na widoku żadnej możliwości zagrania koncertu.

ROZDZIAŁ XVIII

Kiedy w końcu wznowiono loty do Los Angeles, Marcus Wilson zaoferował Bryce'owi podwózkę z Lincoln do Omaha.

– Dzięki za wszystko – powiedział Bryce, kiedy zjeżdżali na parking przed terminalem. – Nie wiem, co bym zrobił, gdyby nie pomoc was wszystkich z wydziału.

– Hej, człowieku, po tym, przez co przeszedłeś, nie wiem, czy do końca życia zdobyłbym się na odwagę i wsiadł raz jeszcze do samolotu – wyznał drugi ze studentów studiów doktoranckich.

– Jeśli mam dostać się do domu, muszę tam dolecieć – stwierdził Bryce.

Nie do końca była to prawda. Autostradę międzystanową 1-10 już otwarto, dopuszczono nawet normalny ruch – chociaż w niewielkim stopniu. Służyła za szlak zaopatrzeniowy między południową Kalifornią a miejscami położonymi dalej na wschód, zdecydowaną większość stanowiły przewozy towarów ciężarówkami. Ruch pociągów pasażerskich także pozostawał całkowicie wstrzymany. Po torach kolejowych przez cały czas sunęły na razie jedynie składy towarowe.

Wysiadł i zarzucił na ramię nieduży plecak. Mieścił się w nim cały jego skromny dobytek. Nie musiał więc płacić złodziejskim liniom lotniczym za niebывały przywilej nadania bagażu zasadniczego. Ponieważ miał już kartę pokładową, ruszył od razu do stanowisk security. Przejście przez kontrolę to pestka – tym bardziej że zdążył się już otrząsnąć z procedurami bezpieczeństwa na lotniskach LAX w Los Angeles i O'Hare w Chicago. W Omaha mieszkało blisko 400 000 ludzi, co czyniło z niej miasto sporych rozmiarów, ale w żadnej mierze nie dało się go pomylić z Chicago.

W sali przy bramce wejściowej był duży ekran telewizyjny podwieszony u sufitu. Jak większość lotniskowych odbiorników TV ustawiono go na

stację CNN Headline News. Bryce z reguły odwracał się tyłkiem do bzdetów, które tam posuwali – czyż nie istniało żadne miejsce, gdzie dałoby się od nich uciec?

– Jednak na pasku poniżej ślicznej dziewczyny, czytającej tekst z telepromptera, przewijał się napis, który przyciągnął z powrotem jego wzrok, nawet jeśli nie uczyniła tego ponętna prezenterka wiadomości: TEHERAN, ATAK NUKLEARNY NA TEL AVIV.

– Ożeż ty, kurwa! – zaklął na głos, potem rozejrzał się dookoła, chcąc sprawdzić, czy ktoś go usłyszał. Nikt jednak nie obrzucił go zgorzonym spojrzeniem. Mógł iść o zakład, iż nie on jeden zareagował w taki właśnie sposób. Kiedy w serwisie informacyjnym na pasku widniał napis: ATAK NUKLEARNY, jak inaczej należało to skomentować?

Piękna prezenterka zniknęła z ekranu, ustępując miejsca ruinom o wyglądzie hałd żużlu.

– Liczba ofiar śmiertelnych w izraelskim nadmorskim mieście jest, jak się uważa, ekstremalnie wysoka – informował korespondent z angielskim akcentem. – Premier Izraela poprzysiągł odwet „oko za oko, ząb za ząb”.

Bryce zakładał, że w następnej kolejności na ekran zawita obraz zgliszcz w Teheranie, co podkreśliłoby nieuchronność i niezwłoczność biblijnego odwetu. Lecz zamiast tej hekatombi, telewizyjny kadr ponownie wypełniła atrakcyjna prezenterka.

– W tej właśnie chwili nadeszła depeza – mówiła bez tchu.

– Rozbłysk – cudzysłów – jaśniejszy niż słońce – zamknąć cudzysłów – pojawił się nad świętym irańskim miastem Kom. Wszystko wskazuje na to, że łączność z Kom została przerwana. Nie wiadomo, czy wielki ajatollah – rzeczywisty władca Iranu – przebywał w świętym mieście szyitów, kiedy doszło do ataku.

Kobieta, która przystanąła obok Bryce'a, żeby obejrzeć wiadomości, przeżegnała się. Gest z pewnością bardziej wytworny i powściągliwy niż przeklinanie. Jednak czy uczucia w ten sposób wyrażane różniły się tak bardzo, to już stanowiło całkiem odrębną kwestię.

– Jest teraz z nami emerytowany podpułkownik piechoty morskiej Randolph Cullenbine, nasz wojskowy analityk – przedstawiła gościa śliczna prezenterka. – Pułkowniku Cullenbine, jaka będzie prawdopodobna odpowiedź Ameryki na podwójną tragedię na Bliskim Wschodzie?

Randolph Cullenbine nie pretendował do wzorca męskiej urody. Prawdę powiedziawszy wyglądał jak emerytowany oficer piechoty morskiej; krótko ostrzyżony, szeroki w barach, typowy twardziel. A mimo to mówił jak facet z telewizji.

– Jest chyba prawdopodobne, że Iran podjął próbę wykorzystania pozornej słabości USA. Środkowe regiony kraju zostały w znaczącym stopniu dotknięte skutkami katastrofy, a z wielu silosów, gdzie zlokalizowane są nasze liczne ICBM, raketowe pociski balistyczne międzykontynentalnego zasięgu, nie można w tej chwili skorzystać z powodu zwałów popiołu i lawy wyrzuconych przez wulkan.

– Phi! – prychnął Bryce, a nie był jedyną osobą oczekującą na wejście na pokład samolotu, która wydała z siebie podobny odgłos. Nie zawracał sobie głowy tym, gdzie Wuj Sam zainstalował swoje rakiety. Wuj Sam również się tym nie przejmował. A być może powinien.

– Ale wciąż dysponujemy naszymi okrętami podwodnymi, zdolnymi do przenoszenia rakiet z głowicami jądrowymi oraz załogowymi bombowcami? – zapytała prezenterka wiadomości.

– Ach, oczywiście – potwierdził Cullenbine. – Nie jesteśmy bezbronni, bez względu na to, w co zdają się wierzyć ajatollahowie. Również

Izraelczycy nie są bezbronni. To oni przeprowadzili odwetowe ataki jądrowe, nie my. Dysponuję licznymi źródłami, które to potwierdzają.

– Co... może się wydarzyć w następnej kolejności? – Prowadząca program zadała to pytanie w taki sposób, jak gdyby obawiała się odpowiedzi – i chyba miała ku temu uzasadnione powody.

– Nie wiem, Kathleen. W tej chwili jedynymi osobami, które to wiedzą, są ci, którzy sprawują władzę w Iranie, kimkolwiek by byli, oraz premier Izraela. – Z wojskowego analityka przebijało skrajne przygnębienie, co być może miało więcej sensu niż to, co w tych dniach oglądało się w telewizji. – To zależy od tego, iloma raketami dysponują jeszcze Irańczycy oraz od tego, czy mają ochotę ponownie je odpalić. Ponadto wpływ na dalszy bieg wydarzeń ma skala odwetowego uderzenia, jakie mają zamiar przeprowadzić Izraelczycy. Ich arsenał bomb wystarczy w zupełności do zniszczenia większości, o ile nie wszystkich ważniejszych miast Iranu. A to oznaczałoby liczbę ofiar śmiertelnych sięgającą milionów, o ile nie dziesiątków milionów.

– Dziękuję – powiedziała śliczna prezenterka tonem podobnym do tego, jakim dziękuje się dentyście za leczenie kanałowe.

– Czy pana zdaniem doszłoby do tego, gdyby nie erupcja superwulkanu?

– W żadnym razie – odparł z miejsca podpułkownik Cullenbine. – Pozorna słabość (przypadło mu do gustu to sformułowanie) Stanów Zjednoczonych po kataklizmie sprowokowała Irańczyków do działania. – Odślonił zęby, chociaż nie był to do końca uśmiech. – Zapomnieli całkiem, że Izrael jest zdolny, w dużej mierze, zadbać sam o siebie. Ale być może również powinniśmy liczyć się z pojawieniem kolejnych zapalnych miejsc, w których rozgorzeje pożoga. I również nie będziemy w stanie przeciwdziałać temu w takim stopniu, w jakim byśmy to uczynili, zanim jeszcze sami wpadliśmy w poważne tarapaty.

Wtedy rozpoczęto boarding. Kiedy wywołano numer jego rejsu, Bryce odwrócił się od telewizora i wkroczył do lotniskowego rękawa. Razem z resztą dojnych krów wszedł na pokład rejsowego samolotu. Dokładał starań, by nie myśleć o tym, co go spotkało, kiedy ostatnim razem wybrał się w podniebną podróż. Ale, jak to w życiu często bywa, łatwiej powiedzieć, trudniej zrobić. Żywił nadzieję, że tym razem nie będzie awaryjnie wodował w jeziorze. Ze skutkiem śmiertelnym... Tym się właśnie martwił.

Start poszedł całkiem gładko. Pilot przełączył się na interkom.

– Polecimy południowym szlakiem, żeby dziś dotrzeć do Los Angeles. Nie ogłoszono żadnego komunikatu na temat jakiejś szczególnej aktywności kaldery superwulkanu, ale na wszelki wypadek ominiemy go szerokim łukiem. Planujemy dolecieć do Los Angeles o czasie – być może z piętnastominutowym wyprzedzeniem, jeśli przeciwne wiatry nam nie przeszkodzą. Zatem możecie się państwo odprężyć i rozkoszować lotem.

Bryce dywagował, czy kiedykolwiek w życiu będzie się jeszcze rozkoszował podniebnymi wozami. W tej właśnie chwili gotów był iść o zakład, że nigdy więcej. Dostał miejsce przy oknie. Nie upłynęło wiele czasu, gdy zaczął dostrzegać pierwsze symptomy erupcji. Mimo deszczu i śniegu szary wulkaniczny popiół wciąż pokrywał matowym całunem rozległe połacie krajobrazu. O tej porze roku nic już nie jest zielone, tak było też w latach przed erupcją. Teraz tym bardziej, a obserwacja ta stawała się coraz bardziej prawdziwa, w miarę jak przemieszczali się na zachód.

Nawet Góry Skaliste wyglądały jak upiorne cienie samych siebie z dawnych dobrych czasów: przestały już być takie skaliste. Górskie masywy pokrywały teraz zwały lawy, popiołu i wulkanicznego błota kilkudziesięciometrowej grubości, które także zamienią się w skałę, ale dopiero po upływie setek lat. W tej chwili, zalegając tam na dole,

powodowały niewyobrażalny chaos na obszarze wielu setek tysięcy kilometrów kwadratowych.

Trasa południowa, jak powiedział pilot. Przypuszczalnie więc samolot przeleci w dużej odległości na południe od tego, co zostało z Denver. Budynki... niedobitki mieszkańców, z pewnością nie tłumy. Vanessa zdołała wydostać się z miasta, zanim sprawy przybrały tam naprawdę zły obrót. Bryce dowiedział się o tym od Susan, która z kolei usłyszała to od Colina. Przez całkiem długi czas Susan miała muchy w nosie, ponieważ Bryce pozostawał w przyjacielskich relacjach z ojcem swej eksdziewczyny. Z tego, co Bryce się orientował, wciąż się na niego boczyła. Ale doszła do wniosku, że ta relacja w niczym jej nie zagraża, zatem przestała ostentacyjnie zawracać sobie tym głowę. Bryce odczuwał zadowolenie, wiedząc, że Vanessa żyje. Fakt, że rzuciła go w sposób bardzo porywczy i emocjonalny, wcale jeszcze nie implikował tego, by miał jej życzyć takiego kresu życia, jaki stał się udziałem tych nosorożców sprzed 12 000 000 lat, których skamieniałe szczątki eksponowano w muzeum w Lincoln. Choioba Bambergera-Marie... Bryce wykrzywił usta. Przed erupcją superwulkanu nawet jedna osoba na milion nie słyszała o niej. On sam wiedział doskonale, że nigdy nie słyszał.

Jednak od czasu erupcji każdy znał nazwę tej jednostki chorobowej. Przewijała się na okrągło we wszystkich serwisach informacyjnych, określana czasami skrótowo POP, ponieważ nikt, oprócz lekarzy specjalistów nie kwapił się z wypowiedaniem pełnej nazwy: przerostowa osteoartropatia płucna, jakby to miało w czymkolwiek pomóc. Choroba dopadła i uśmierciła tysiące ludzi w Denver, Salt Lake City, Topeka, Pocatello i Saskatoon oraz we wszystkich miejscach między nimi.

Jak dotąd, o czym wiedział każdy, choroba pozostawała nieuleczalna. Zewsząd dobiegały wołania o badania, o leczenie. W normalnych czasach

władze federalne i prywatne fundacje wykładałyby pieniądze na te cele aż do chwili, kiedy schorzenie odsłoniłoby swe sekrety. Bryce domniemywał, że jakieś badania jednak prowadzono. Ale w obliczu milionów uciekinierów, totalnego załamania gospodarki, katastrofalnego nieurodzaju i zanieczyszczenia pól rolnych no i – w perspektywie lat, jeśli nie dekad czy nawet stuleci – silnego ochłodzenia klimatu, nawet choroba Bambergera-Marie musiała zająć miejsce w kolejce i swoje odczekać.

Stewardesy przeszły galerią między siedzeniami, usiłując opchnąć po zawyżonych cenach pudełka z rzekomo dobrym jedzeniem. Bryce nie kupił niczego na lotnisku, jak zwykł to czynić zazwyczaj: chronicznie nie cierpiał przepłacania liniom lotniczym za rzeczy, które powinny mieścić się w cenie przelotu.

Nie zapłacił i tym razem. Ciągący się jak guma ser na czymś, co stewardesa z uporem nazywała chlebem rzemieślniczym (dlaczego właściwie przerabiano rzemieślników na mąkę?) wyglądał co najmniej nieapetycznie. Będzie głodny, kiedy dotrze do Los Angeles, ale przecież nie skona z głodu.

– Ukh! – wysnęło mu się. Facet siedzący na miejscu przy przejściu spojrzał na niego ze zdziwieniem. Bryce wcale się tym nie przejął; odgłos Ukh! wyrażał dokładnie to, co miał na myśli. Jego samochód stał na jednym z tych satelickich parkingów na terenie portu lotniczego LAX od czasu, kiedy wybrał się do Chicago, jeszcze przed eksplozją superwulkanu. Po tak długim czasie akumulator zapewne się rozładował. A przy stawce dwanaście baksów za dzień będzie musiał wybulić kilkaset dolców, żeby móc zabrać stamtąd auto.

W świecie racjonalnym i zdroworozsądkowym byłby w stanie porozmawiać z jakimś parkingowym ważniakiem i wytłumaczyć, jak bardzo nie może pozbierać się ze szczęścia, że wciąż pozostaje pośród

żywych i nawet jeszcze bardziej, że zdołał wrócić do Kalifornii. Przy okazji wyjaśniłby, iż wcale nie zamierzał zostawiać auta na tak długo. Ważniak skinąłby głową, przytakując i odpuścił mu opłatę, jaką miał do uiszczenia, z potrąceniem tego, co się należało za deklarowany czas postoju, gdyby wrócił do domu w planowanym terminie.

Słowa racjonalny i zdroworozsądkowy pozostawały jednak w całkowitej antynomii z akronimem IAX. Od zawsze. I szanse wyglądały na niewielkie, by logiczna sprzeczność kiedykolwiek przestała istnieć. Sens istnienia portu lotniczego sprowadzał się do oddzielania od gotówki ludzi, którzy z niego korzystali, podobnie zresztą jak rzecz się miała z liniami lotniczymi samymi w sobie. A to już coś mówiło – coś paskudnego. Bryce zrezygnowany pogodził się z tym, że będzie musiał sięgnąć do kieszeni i to głęboko.

Nie zamierzał nawet zatroszczyć się o to dzisiaj. Pragnął jedynie, i nic ponadto, dostać się do swego mieszkania – och, i wskoczyć na Susan, kiedy już tam dotrze. Auto mogło poczekać jeszcze dzień lub dwa. Rachunek będzie odpowiednio większy, ale, kurwa, co z tego.

Tereny, nad którymi przelatywał teraz pasażerski samolot, wyglądały w całości, jakby miały jeden i ten sam szarawobrązowy odcień – wszystko na przestrzeni wielu setek mil zostało zasnuwane jednolitą powłoką. Nie ulegało wątpliwości, że grubość warstwy popiołu różniła się miejscami, lecz, na Boga, jakież to były nieprzebrane masy! A słońce, które rzucało promienie na ten całun, robiło wrażenie słabowitego, niemal suchotniczego. Bryce zachodził w głowę, czy wzniesienie się na pułap blisko jedenastu kilometrów ponad ziemię mogło sprawić, że światło słoneczne upodobni się do tego sprzed erupcji.

Nic z tego. Miła myśl, ale nie. Swoją drogą miało to sens, gdyby rzecz rozebrać na elementy pierwsze. Jeśli superwulkan wyrzucił najmniejsze

drobiny pyłu na wysokość trzydziestu lub czterdziestu kilometrów do stratosfery, to skromne jedenaście kilometrów nie czyniło wielkiej różnicy.

Kiedy ryczące silniki zmieniły nieco ton, Bryce natychmiast zamienił się w kłębek nerwów. Obawiał się, że już do końca swoich dni będzie latał z dużym stresem.

– Zbliżamy się do obszaru metropolitalnego Los Angeles i zaczynamy schodzić do lądowania – zakomunikował pilot z... wyraźnie wyczuwalną ulgą. – Wylądujemy jakieś dziesięć minut przed rozkładowym czasem.

Podchodząc do portu lotniczego LAX od strony wschodniej, przelatywało się nad terenami zabudowanymi przez blisko piętnaście minut. Uwzględnivszy prędkość pasażerskiego odrzutowca, przekładało się to na dziesiątki kilometrów zurbanizowanych obszarów. Bryce nie znał innego podejścia do lądowania, które choć trochę przypominałoby to.

Trawniki tutaj epatowały zielenią. Ta odmienność niemal nim wstrząsnęła. Po pierwsze, jednak osiadanie popiołu w południowej Kalifornii nie okazało się na tyle szkodliwe, żeby zdusić wegetację murawy, zanim deszcze zmyły popiół. Po drugie, natomiast nikt nigdy nie słyszał tu o przymrozkach. Wiedział od Susan, że było chłodniej niż normalnie, ale nie do przesady.

Jeszcze nie.

W ostatnim manewrze przed zetknięciem z płytą pasa startowego rejsowy samolot przeleciał na niskiej wysokości w poprzek trasy szybkiego ruchu 405: niemal na tyle nisko, że patrząc przez okno, można było odczytać numery rejestracyjne samochodów mknących dołem. O ile tylko mknęłyby. Gdyby na autostradzie do San Diego utworzył się korek, co było niemal chlebem powszednim, to przypuszczalnie dałoby się nawet stwierdzić, czy linie papilarne na opuszkach palców kierowcy mają wzór wirowy czy pętlicowy.

Wstrząs – niezbyt silny – i już byli na ziemi. Bryce wydał z siebie długie i wcale niespieszne westchnienie. Wiele czasu upłynęło mu na rozważaniach, czy zdoła tu jeszcze kiedykolwiek wrócić. Kilka minut z tego to prawdziwy horror, kiedy tematem przemyśleń była kwestia, czy pożyje dłużej niż tych kilka minut. Reszta dywagacji cechowała się raczej mniejszym ładunkiem emocjonalnym, choć, nawet mimo tego, nie ustępowała ani na jotę szczerością.

– Prosimy o pozostanie na miejscach i nieodpinanie pasów bezpieczeństwa – wycodziła przez zęby jedna ze stewardes. – Możecie teraz państwo skorzystać z telefonów komórkowych oraz innych atestowanych urządzeń elektronicznych.

Pasażerowie, rzecz jasna, już to robili. Czy linie lotnicze rzeczywiście dawały wiarę w to, że ludzie nie wiedzieli, jak sobie radzić w takich sytuacjach? W opinii Bryce’a nie chodziło o skontrolowanie przypadkowego kretyna. Bardziej liczył się dryl postawienia kropki nad „i” oraz dodania poprzecznej kreski w „t”. Tym sposobem, jeśli coś poszło źle, jakiś korporacyjny prawnik zawsze mógł z czystym sumieniem oświadczyć, iż zło, które się stało, nie jest winą przewoźnika lotniczego.

Ponieważ dotarli na miejsce przed czasem, postanowił sam zadzwonić, chcąc się upewnić, że Susan już na niego czeka.

– Cześć, kochanie! – usłyszał jej głos. – Tak, jestem na dole, w hali odbioru bagażu. Nie mogę się doczekać, kiedy cię zobaczę.

– Świetnie, zapewniam cię, że to działa w obie strony – zadeklarował w odpowiedzi. – Podjeżdżamy już do rękawa, zatem jeszcze tylko kilka minut.

Trwało to jednak dłużej. Miał miejsce daleko z tyłu za skrzydłem. Wszyscy siedzący przed nim nagle zaczęli się szarpać z bagażem podręcznym rozmiarów szcudrze wypasionego tucznika z Nebraski,

wyciąganym z mozołem z przeciążonych schowków nad głowami. Towarzystwa lotnicze wcale nie miały zamiaru pozwalać na to z chwilą, gdy rozpoczęły pobieranie opłat za nadawanie bagażu zasadniczego, ale i tak było to normą.

W końcu wydostał się z samolotu. Nieszczere „Dziękujemy bardzo” w ustach stewardesy uznał za odpowiednie pożegnanie czegoś, co za każdym razem stawało się coraz gorsze. Ale z drugiej strony cała załoga dokonywała cudów, kiedy jego poprzedni lot zakończył się przymusową kąpielą w Branch Oak Lake. Przetrawiając przykrości związane z podróżowaniem samolotami, musiał też, gwoli sprawiedliwości, pamiętać o pozytywach.

Wlókł się noga za nogą, mijając sklepy i kolejne bramki wejściowe. Przybytki dobrobytu stwarzały niezliczone okazje do rozstań z forszą, to prawda. Bryce kupił baton 3 Musketeers i przez chwilę chłonał aromat czekolady. Z miejsca ruszył bardziej sprężystym krokiem, kiedy spałaszował batonik. Odpowiedni poziom cukru we krwi to dobra rzecz, o tak. Teraz bez trudu przetrwa do chwili, kiedy wreszcie naje się porządnie i do syta.

Schodami ruchomymi w dół. Potem kolejne taśmociągi do odbierania bagażu, niektóre nieruchome, inne sunące w nieprzerwanym ruchu. Wszystkie wykonane z połączonych przegubowo kawałków pancernych płyt, równie dopracowanych, co w stalowej zbroi Henryka VIII. Nad jednym z taśmociągów, który ruszył w tej właśnie chwili, zapalił się na czerwono numer jego lotu. Susan już tu dotarła. Dostrzegła go w tej samej chwili, w której on wypatrzył ją. Jezu Chryste, wyglądała świetnie. Ruszył pospiesznie w jej kierunku.

Potem zobaczył swoją matkę, jak stała z tyłu za Susan. Barbara Miller raczej nie rzucała się w oczy. Niska, o pospolitej urodzie, szarobrazowych

włosach, siwiejących już od paru dobrych lat. Miała na sobie zwyczajowy strój: adidasy (na które wciąż mówiła tenisówki), spodnie od dresów i górę z poliestru. Przez ramię przerzuciła bawełniany sweter, który wcześniej zdjęła.

Bryce przytulił ją również.

– Część, mamó – powiedział.

Potem powtórzył to jeszcze raz, kiedy dostrzegł jej wzrok skupiony na jego ustach. Zaczynała mieć problemy ze słuchem, chociaż próżność nie pozwalała jej się do tego przyznać. Kochał ją, chociaż nie traktował na serio. Odsunął się od niej uczuciowo, kiedy skończył szesnaście lat. Cóż można na to poradzić?

– Susan przesłała mi e-maila z zapytaniem, czy zechciałabym przyjechać tu z nią i odebrać ciebie z lotniska, ja zaś stwierdziłam, że chcę – streściła rzecz w paru słowach.

– To świetnie, mamó – skłamał, nie czując wyrzutów sumienia.

– Dobrze cię widzieć.

– Dobrze widzieć ciebie – odparła, kiedy znów musiał jej powtórzyć własne słowa. – Tak bardzo się martwiłam! To takie straszne! – Dawła się ponosić emocjom już po fakcie. Nie mogła przecież wiedzieć, że przebywał w powietrzu, kiedy doszło do erupcji superwulkanu; dowiedziała się dopiero potem. Cóż, ludzie nieustannie robili takie rzeczy. – Twój ojciec byłby dumy, że wykazałeś tyle odwagi.

Ojciec osierocił go, kiedy miał dwanaście lat. Być może Colin Ferguson wypełniał jakąś wyrwę, jaka pozostała w jego życiu. Być może dlatego właśnie Bryce utrzymywał z nim bliską więź już po tym, gdy Vanessa powiedziała mu „żegnaj”. Nad tymi sprawami mógł się pochylić później, o ile uzna, że warto. Ale na razie...

– Odwagą? Nie mieliśmy w ogóle czasu na odwagę. Czmychaliśmy co tchu, a potem dryfowaliśmy po jeziorze, dopóki ludzie w łodziach nie wyciągnęli nas z wody.

– Jesteś zbyt skromny. Zawsze byłeś zbyt skromny. Posłuchaj, wczoraj wieczorem upiekłam kurczaka. Te dzisiejsze ceny! To rozbój, powiadam ci! Ale jest niemal nieruszony. Jeśli ty i Susan zechcecie zatrzymać się, kiedy odstawicie mnie do domu, będziecie mieli co wrzucić na ząb. Są też ziemniaki oraz ciasto Black Forest od Ralphsa.

Bryce spojrział na Susan pytającym wzrokiem, unosząc brwi. Natychmiast odbiła piłeczkę na jego stronę.

– Dostosuję się do wszystkiego, co postanowisz?

Wielkie dzięki, pomyślał. Czy powinien zachować się jak przykładowy syn? Czy też wrócić do swego mieszkania, pieprzyć się do utraty tchu, a potem przespać cały tydzień? Wiedział, co pragnął zrobić. Ale wiedział też, że zrani uczucia matki, jeśli to zrobi. Mama z pewnością nic by nie powiedziała, ale potrafiła znaleźć wiele innych sposobów, żeby mu wypominać tego rodzaju zachowania. Zawsze tak czyniła.

– Kurczak brzmi nieźle – odparł, nie potrafiąc do końca powstrzymać westchnienia. – Ostatnio nie miałem wielu sposobności skosztować domowej kuchni. – W tych słowach kryło się akurat ziarno szlachetnej prawdy. Kolejny raz zdał się na wsparcie Susan. – Jeżeli ty nie masz nic przeciwko.

– Nie ma sprawy. Już ci mówiłam – odpowiedziała pośpiesznie.

Nie zamierzała odgrywać roli czarnego charakteru, który uprowadzi Bryce'a od Barbary po to, by razem z nim oddawać się cielesnym uciechom. Cholera! Chciałbym, żeby mnie uprowadziła, pomyślał, kiedy ruszyli w stronę wielokondygnacyjnego parkingu.

Grupa Tryskająca Żaba i Ewoluuujące Kijanki wciąż nie miała sposobności ujrzeć na własne oczy Greenville oraz romantycznych, zapadających w pamięć brzegów jeziora Moosehead Lake [Głowa Łosia]. W chwili obecnej Rob zyskał niemal całkowitą pewność, że zespół nie dotrze tam nigdy, co teraz w zasadzie nie miało już znaczenia. Z granicznym z pewnością przekonaniem wątpił również, czy kiedykolwiek uda im się wydostać z Guilford.

Nie zakładał wcale, że ugrzęzną właśnie tutaj, chociaż znaczyło to tyle, co prawie nic, czyli na dobrą sprawę nie czyniło żadnej różnicy. Po tym, jak miejscowi zdołali w końcu usunąć z drogi lokalnej numer 6 zmiażdżonego hummera oraz postawić na koła przewróconą i tarasującą drogę wielką ciężarówkę, on oraz Justin, Biff i Charlie – a także wielu ludzi uwięzionych przez krakę – z niekłamaną radością dojechali do Guilford. Okazało się to wyjściem bez porównania lepszym, niż zamrożenie na śmierć w kopnych śniegach, co stanowiło jedyną realną alternatywę.

Im dłużej tu pozostawał, tym bardziej osobliwe i bardziej interesujące zarazem wydawało mu się Guilford. Jak na miasteczko liczące zaledwie nieco ponad 1500 mieszkańców, miało po swojej stronie wiele atutów. Płynęła tędy rzeka Piscataquis. W dawnych czasach .każda miejscina w stanie Maine, przez którą przepływała jakaś rzeczka, posiadała napędzane wodą młyny i fabryki. Guilford posiadało je do dzisiaj. Nikt nie kwapił się z powiadomieniem miejscowych, że młyny wodne zdążyły się kompletnie zestarzeć. Choć stanowiły dziewiętnastowieczny anachronizm, wciąż pozostawały tu dochodowym przedsięwzięciem, mimo upływu całych wieków od czasu, gdy w okolicy pozamykano prawie wszystkie inne młyny.

No i był jeszcze pensjonat Trebor Mansion Inn, gdzie zespół obecnie kwaterował. Żeby tu trafić, należało pojechać w prawo na ukos – nie w

prawo prostopadle, w przeciwnym razie lądowało się gdzie indziej – obok stacji benzynowej Shella przy wschodnich rogatkach miasta, potem wjechać na wzgórze i na koniec skręcić w lewo w długi podjazd, którego ujście ledwo było widać z ulicy. Trebor, przebóg, Mansion Inn.

Charlie spoglądał na budowlę zauroczony czymś na kształt pełnego respektu podziwu, kiedy on i koledzy z zespołu wysiedli z obu vanów.

– Wow! – zdołał wydusić z siebie – i to nie zwyczajne Wow! wypowiedziane w narkotycznym bełkocie, lecz takie, które naprawdę wyrażało podziw. Z miejsca też wyjaśnił swoją reakcję. – Jeśli w tym przybytku nie wisi tabliczka z napisem „Tu nocował H.P. Lovecraft”, to ktoś gdzieś musiał coś porządnie namieszać. Stary H.P., co oczywiste, większość czasu spędził w Providence, ale powinien wybrać się z wycieczką fakultatywną do tego miejsca.

– Mylisz się, gościu. – Biff pokręcił przecząco głową. – H.P. Lovecraft rozpoczęli w Chicago, ale potem pracowali w San Francisco, kiedy nagrywali płyty.

Powstało zamieszanie i doszło do sprzeczki. Charlie nie słyszał nigdy o zespole H.P. Lovecraft. Biff nie wiedział o istnieniu pisarza, od którego psychodeliczny zespół wziął nazwę. Rob miał tylko mgliste pojęcie o jednym i drugim. Justin, wedle wszelkich pozorów, nie znał ani autora horrorów, ani kapeli.

– Skąd masz wiedzę na temat tego zespołu? – chciał wiedzieć Biff. – Przecież oni grali, jak ciebie nie było jeszcze na świecie, a nigdy przecież nie zyskali wielkiej sławy. – Oględnie mówiąc, ocenę tę należało uznać za raczej zaniżoną i to nawet bardzo zaniżoną.

– Ojciec zdradził mi parę sekretów o nich, wierzcie lub nie – odpowiedział Biff, robiąc zawstydzoną minę stosownie do treści wyznania.

– Opowiedział mi też, jak stracił dziewictwo przy dźwiękach utworu Biały Statek [„White Ship”] w wersji stereo.

– W porządku, możesz to pamiętać – przyznał Rob.

Nie miał na myśli autorów przyprawiających o dreszcze powieści grozy ani psychodelicznej muzyki o brzmieniu San Francisco, kiedy spoglądał na Trebor Mansion Inn. Przywołał w pamięci kilka kolosalnych pseudowiktoriańskich biurowców, jakie zdarzało mu się widzieć w Dolinie San Fernando, kiedy ich zespół dawał tam koncerty ostatnim razem. Strome dachy, stylowe gonty, jedna lub dwie wieże... Tak, tamta okolica prezentowała się nieźle.

Ale istniała różnica. W Los Angeles można było znaleźć najprzeróżniejsze budowle, w każdym stylu i porządku, jaki kiedykolwiek pojawił się pod słońcem. Ale wszystko to były podróbki, wznoszone przez współczesnych architektów i ekipy budowlane, którzy spełniali zachcianki klientów albo przynajmniej skłaniali ich do wydawania pieniędzy. Budowle romańskie, iberyjskie, wiktoriańskie, z muru pruskiego w stylu epoki Tudorów, mydło i powidło... Cokolwiek by wymyślić, w południowej Kalifornii znajdzie się imitacja.

W przekonaniu Roba zajazd Trebor Mansion Inn nie zasługiwał na miano imitacji, obojętnie jaki prezentował styl. Osiadł tutaj już gdzieś od wczesnych dekad XIX wieku. Liczył sobie więcej lat niż niektóre – wszystkie? – okoliczne sosny, zwieńczone śnieżnymi czapami. Dwuspadowy dach o ostrym spadku nie wziął się z fanaberii architekta. Nie pozwalał, żeby gromadziły się na nim zwały śniegu.

Jakiś kot omiółł wzrokiem nowo przybyłych. Wyróżniał się okazałym wzrostem i nie mniej okazałym futrem. Jedno i drugie stanowiło nieocenioną zaletę przy tej pogodzie. Ta rasa posiadała swoją nazwę, którą Rob już miał ją na końcu języka, kiedy uprzedził go Justin.

– To maine coon!

Rob walnął się w czoło nasadą dłoni.

– O rety! – powiedział, jakby dopiero co wyrwał się z odcinka animowanych Simpsotiów i jakimś magicznym sposobem przeniósł do świata trzech wymiarów.

Skoro jest się w stanie Maine i spotyka wielkiego, puszystego kota, cóż innego mogłoby to być? Rob miał dość brzydki nawyk odpowiadania na własne retoryczne pytania, nawet jeśli nie zadał ich na głos. Jeśli spotka się w tej okolicy duże, puszyste zwierzę z rodziny kotowatych, mógł to być ryś.

Jakiś mężczyzna wyszedł na zewnątrz pensjonatu. Wyglądał na starszego o dobre pokolenie od facetów z zespołu Tryskająca Żaba i Ewoluuujące Kijanki, a głowę zdobiła mu gęsta czupryna brązowych włosów przyprószonych już siwizną. Miał na sobie sweter z grubej wełny, nałożony na koszulę, której kołnierz chronił przez gryzącymi włóknami oraz czarne dżinsy. Sweter wyglądał na ciepły, chociaż nie na tyle, by chronił przed siarczystym mrozem. Ale Rob zdawał sobie sprawę, jak jemu samemu brakowało odporności na mróz.

– Witajcie, panowie – powiedział miejscowy. – Jeżeli któryś z was zamierza rodzić, być może będę w stanie zaoferować wam żłób.

Zapadło kłopotliwe milczenie. Po krótkiej chwili odezwał się Justin.

– Ktoś na stacji benzynowej powiedział nam, że być może będzie pan mógł udzielić nam schronienia na jakiś czas.

– Yy, dopiero co ten gość to właśnie powiedział, Justin – zwrócił mu uwagę Rob. Justin próbował się w tym połapać. Kiedy w końcu pojął, zrobił komicznie zdziwioną minę.

– Masz rację! – zakrzyknął. Wykonał ruch, jakby chciał bić pokłony przed... właścicielem zajazdu. – Przepraszam za tamto. Postaram się nie

robić już więcej za głupka.

– Pragnienie godne podziwu – odparł starszy mężczyzna, z ust którego przy każdym słowie buchała para. – Mniej więcej tak samo realne jak to, że każdy z nas pragnie, by świat był takim, jakim się wydaje. Nazywam się Dick Barber, do panów usług.

Wyciągnął dłoń. Muzycy z zespołu, jeden po drugim, wymieniali uścisk dłoni i przedstawiali się. Rob uczynił to jako ostatni.

– Wzięci razem do kupy jesteście kapelą Tryskająca Żaba i Ewoluuujące Kijanki.

– Doprawdy? – Nazwa wcale Barbera nie speszyła. – A ja sądziłem, że jest to plastikowy zespół, nawet jeśli nie ma w nim Ono.

– Nie plastikowy. To my – dodał z dumą Biff.

– Kiedy przed dwoma tysiącami lat Słowo stało się ciałem, powstała z tego religia. W naszych kapitalistycznych czasach oddajemy boską cześć Katalogowi Sprzedaży – kontynuował wywód Barber.

– Wow! – Charlie dał wyraz emocjom, takim samym tonem jak wtedy, gdy zajazd Trebor Mansion Inn po raz pierwszy objawił się jego oczom. – Któż by pomyślał, że właśnie tutaj natrafimy na świrniętego gościa, który nadaje na naszych falach.

– Was fale dopiero wyrzuciły tu na ten brzeg. Ja wylądowałem tutaj niedługo przed tym, jak pojawiliście się na świecie – podjął wątek Barber. Bez dwóch zdań nie mówił tak, jak gdyby żył w Maine od urodzenia. Być może nawet słowo Ayuh nigdy nie wyszło z jego ust. – Musicie wziąć po uwagę, że w tej chwili szczyt sezonu mamy dawno za sobą.

– Dawno, jak to? – Rob dokładał wszelkich możliwych starań, żeby jego głos brzmiał jak wytrawne martini.

Wiedział, że to najlepszy sposób załatwiania spraw z jego ojcem. Podejrzał, że będzie również właściwym podejściem w przypadku tego gościa.

Na twarzy Dicka Barbera pojawił się niezdecydowany uśmiech.

– Nie na tyle jednak, żebyście to zauważyli. Ale zrobimy, co w naszej mocy, żeby was zakwaterować – zakładając, że śniegi zejdą prędzej czy później. Jeśli nie zejdą, no to witamy w Guilford na dłużej.

– Czy służył pan kiedyś w policji, zanim dotarł pan do,yyy, Mansion Inn?

– Facet przypominał Robowi ojca na tyle, by zadał mu konkretne pytanie.

– Gliniarzem? Nie. – Barber pokręcił przecząco głową. – Ale spędziłem dwanaście lat w marynarce. Być może to właśnie pan zauważył:

– Idę o zakład, że tak – przyznał Rob. – Mój ojciec służył w marynarce.

– A teraz jest oficerem policji?

– Nie inaczej.

– Czy H.P. Lovecraft bawił tu kiedyś z wizytą? – Charlie dołączył do rozmowy.

– Przebywa w wieży – Barber wskazał gestem w jej kierunku. Rob i koledzy z zespołu spojrzeli na niego z wybałuszonymi oczami. Niezdecydowany uśmiech znów przemknął po jego twarzy i zniknął. Starszy mężczyzna raczył im w końcu wyjaśnić.

– W miękkiej oprawie. Urządziłem kilka półek z książkami dla gości, którzy tam właśnie kwaterują.

– Zaklepuję! – Rob wykazał się reflekssem, zanim pozostali Kalifornijczycy zdolali go ubiec.

– Musi pan jednak wiedzieć, że w wieży nie ma instalacji wodno-kanalizacyjnej – poinformował Dick Barber. – Została odcięta w pokoju poniżej. Zatem powinien pan pozostawać w dobrych relacjach z osobą, która zamieszka na dole.

– To ja. – Czy z głosu Justina przebijało zadowolenie czy raczej rezygnacja? Następne słowa, jakie dopowiedział, niczego nie rozjaśniły w głowie Roba. – Tolerujemy się nawzajem już od bardzo długiego czasu.

– To samo dotyczy Biffa i mnie – uzupełnił Charlie. – Czy na tej kondygnacji jest jeszcze inny pokój?

– Jest, po drugiej stronie korytarza naprzeciw pokoju pod wieżą – odpowiedział Barber. – Jeżeli będziecie czegoś potrzebować, wołajcie na całe gardło i przekupujcie pomocników. To moje wnuki i wiedzą, jak wydawać gotówkę.

Rob zaczął się śmiać. Potem zdał sobie sprawę, że starszy mężczyzna wcale nie żartował. To miejsce naprawdę wyglądało na... interesujące, pod każdym względem. Zachodził w głowę, czy rachunek za dach nad głową też okazałby się równie... interesujący. Ile jeszcze złych nowin zdzierży karta kredytowa zespołu? Biorąc pod uwagę drakońskie stawki, jakich życzyli sobie od klientów hotelarze w Bar Harbor, nie miał zielonego pojęcia, na jaką kwotę zechce ich skasować Barber. Zakładając, że lepiej wiedzieć, w co się pakują, zanim ugrzęzną zbyt głęboko, wziął głęboki oddech i zadał oczywiste pytanie.

– Przez jakiś czas możecie tu zamieszkać na koszt firmy – odpowiedział Barber. – Nie będziemy gotować, o ile nie przywieziecie żywności. Jeśli nie dacie w łapę dobrym duszkom, które piorą, nie dostaniecie czystej pościeli... ale już chyba o tym mówiłem, nieprawdaż? Nie będziecie nas dużo kosztować. Formalnie rzecz biorąc zajazd jest nieczynny od dnia Święta Pracy. Wtedy właśnie, z grubsza, kończy się sezon. Ale nie ma sprawy. Nie musicie spać w samochodach przy tej precudnej pogodzie.

– Za darmo? – Rob wręcz nie dowierzał własnym uszom. – Jesteś pewien, człowieku?

Spojrzenie Justina podpowiedziało mu, że jest idiotą, który zagłada w zęby darowanemu koniowi. Rob nie potrzebował tego spojrzenia. Sam zdał już sobie z tego sprawę. Przed chwilą dał Barberowi kolejną szansę, by załatwił ich bez mydła.

– Już powiedziałem. Na serio. Z reguły traktuję serio to, co mówię. W tych dniach oznacza to, że jestem totalnie niedostępny dla blisko dziewięćdziesięciu ośmiu procent terytorium kraju. W Guilford jestem jak u siebie. To jeden z powodów, dla których lubię to miejsce.

Ojciec też byłby tu jak u siebie, pomyślał Rob. Ojciec z pewnością nie był jak u siebie w Los Angeles, bez względu na to, jak długo tam mieszkał. L.A. zamieniało kłamstwo w formę artystyczną.

Ale to nie miało nic do rzeczy.

– Dziękuję bardzo, panie Barber – powiedział Rob. Jego koledzy z zespołu zawtórowali chóralnie.

– Zatem witamy... i jestem Dick. Możecie się do tego powoli przyzwyczajać – odparł właściciel zajazdu.

– Mówiłeś coś o przywożeniu żywności – wtrącił Biff. – Gdzie możemy ją dostać, żeby tu przywieźć?

– Mamy tu niewielki sklep spożywczy oraz sklepik mięsny. Supermarket znajdziecie w Dover-Foxtrot, o dziesięć, piętnaście minut drogi na wschód. Najbliższym miejscem, gdzie można kupić gotowy posiłek jest Calvin's Kitchen, w dół ulicy Water Street. Robią tam przyzwoite śniadania i dość przyzwoite hamburgery. Przyrządzają tam również obiady, ale nie polecałbym. Kilka przecznic dalej na zachód traficie na punkt sieci Subway – kontynuował Barber. Rob bezwiednie przytakiwał. Jeśli w tak małym mieście jak ta w stanie Maine działał jakiś punkt sieci fast foodów, prawie na pewno padło na Subway. – W pobliżu Subway działa również lokal Rite Aid.

Oferują tam niemal wszystko – być może nie dokładnie w takim stylu czy wariacie, jaki byście sobie życzyli, ale zawsze.

– Tak – Rob przytaknął. Gdy w drodze spędzało się szmat czasu, taką lekcję między innymi dawało życie. W drogeriach z reguły nie ma dużych zapasów towaru, ale oferta jest zawsze bardzo szeroka.

– Tak czy owak, jeśli szukacie czegoś, co nie jest barem ze śniadaniem czy punktem sieci Subway, spróbujcie w Dover-Foxcroft – doradzał Barber.

– Macie tam knajpę Golden Arches. Poprawa w stosunku do Subwaya nie jest murowana, ale w każdym razie nie jest to identyczna kuchnia. Jest tam jeszcze chińska restauracja z kuchnią kantońską, ale to w połowie kuchnia z Hongkongu, a w połowie z Maine, jeżeli wiecie, co mam na myśli.

– To chyba coś w podobnym stylu, jak ta meksykańska knajpa, w której mieliśmy okazję zjeść, jadąc przez... gdzie, do diabła, to było? – Justin spojrział pytająco na Roba.

Rob nie potrafił wygrzebać tego w pamięci. Jadał w zbyt wielu meksykańskich knajpach, w zbyt wielu miastach.

– Wiem, o którą wam chodzi – Charlie przyszedł im w sukurs.

– Czy to przypadkiem nie w Madison?

– Madison! – zawtórował Rob. Kiedy Charlie miał coś zapisane w pamięci, Rob również sobie to przypominał. – Nie karmili tam źle, choć również z trudem dałoby się to nazwać kuchnią meksykańską. A tamten ser tak bardzo zalatywał kuchnią Wisconsin... o mój Boże!

Wyciągnęli sprzęt z obu furgonetek i wnieśli do zajazdu Terbor Mansion Inn.

Część przeznaczoną dla właścicieli wzięły we władanie koty, z kolei w części dla gości temperatura niewiele tylko przekraczała tę na zewnątrz, gdzie szalała zadymka. Barber wcale nie żartował, kiedy mówił, że o tej porze roku nie rozgląda się za okazją do zarobku.

– W pokojach macie kaloryfery – uzupełnił informacje. – Będzie tam trochę cieplej... koniec końców. Poza tym koców ci u nas dostatek. Z prawdziwej wełny, jak by nie było. Nie strzyżemy tu owiec z akrylu i nie pozyskujemy skór ze zwierząt ze skaju.

Pokój w wieży miał klapę w podłodze zamiast drzwi oraz drabinę, którą po wejściu wciągało się za sobą na górę.

– To naprawdę robi wrażenie! – wykrzyknął Rob, kiedy zobaczył to na własne oczy. – Nigdy nie ściągnęlibyście mnie stąd na dół, kiedy miałem dwanaście lat.

– Cóż, chyba że wtedy, kiedy musiałbyś się odlać – Justin wykazał większy pragmatyzm.

Jeśli jednak ktoś nie miał dwunastu lat, wieża wcale nie musiała być idealnym lokum. Nie dało się w niej stanąć prosto, jedynie w samym środku. Łóżko z trudem zasługiwało na to miano: składał się nań materac i sprężyny tapicerskie ułożone na podłodze. Gdy ktoś miał metr osiemdziesiąt z okładem, jak Rob, stopy zwisały nad otworem klapy, kiedy człowiek położył się do wyra.

Ale za to wybór lektur był przebogaty. Półki podwieszane na ścianie nad materacem oferowały książki historyczne, księgi tajemnic, bestsellery mniej więcej z czasów, gdy Rob pojawił się na ziemskim padole oraz trochę pozycji fantastyczno-naukowych. Kiedy wchodził do sklepu meblowego lub restauracji, zawsze przeglądał książki, które wykorzystywano jako element dekoracji; przejął ten zwyczaj od ojca. Teraz miał do dyspozycji własną, osobliwą kolekcję.

Justin chwycił opasy tom poświęcony bitwom pancernym na froncie rosyjskim podczas II wojny światowej.

– Ta nie pozwoli mi zasnąć aż do świtu albo uśpi mnie skuteczniej niż valium – skomentował.

– Którą opcję wybrałbyś? – zapytał Rob.

Tu na górze miał przed sobą panoramiczny widok. W chwili obecnej widok ten zdominowały płatki śniegu wirujące we wszystkich możliwych kierunkach, tu i tam, w górę i w dół. Przez zamieć z ledwością dostrzegał zarys tylnych ścian jakichś budynków przy Water Street. Ten wysoki komin... Czy należał do młyna wodnego?

Bliżej rozciągał się przysypany kopnym śniegiem teren porośnięty bezładnie sosnami różnej wysokości. Coś się tam skradało: jeszcze jeden maine coon. Zwierzę spoglądało w górę na jedną z sosen. Czerwona wiewiórka, w bezpiecznej odległości od kota, patrzyła z kolei na dół, wymachując puszystym ogonem i coś przeżuając.

Justin coś mu odpowiedział, ale uwagę basisty zbyt pochłonięła dramatyczna scenka rozgrywająca się na zewnątrz. Musiał więc poprosić gitarzystę prowadzącego, żeby powtórzył swoje słowa.

Justin prychnął przemądrzale.

– Powiedziałem, że prawdopodobnie nie ma wielkiego znaczenia, którą bym wybrał. Z pewnością wygląda na to, że przez dłuższy czas nigdzie się stąd nie ruszymy.

– Zima w cudownym, uroczym Guilford, stan Maine? Nowy reality show, już wkrótce w twojej telewizji kablowej! Program obejrzyście pod tytułem Przywitaj nową epokę lodowcową.

– Witaj, nowa epoko lodowcowa – powtórzył posłusznie Justin.

Rob się roześmiał. Potem znów skierował wzrok na szalejącą wokół zamieć.

– Ja tylko żartowałem – oznajmił.

– Ależ oczywiście – zgodził się Justin. – Ale czy Bóg również żartował?

– No tak, zawsze trzeba zwalić na kogoś winę. Dlaczegożby nie na Niego? – skonstatował Rob.

Justin nie odezwał się więcej ani słowem. Na zewnątrz śnieg nie przestawał padać.

ROZDZIAŁ XIX

Monitor komputera w gabinecie Colina mierzył dwadzieścia pięć cali po przekątnej – całkiem przyzwoite rozmiary, nawet jak na chwilę obecną. A mimo to miał problemy z uchwyceniem odpowiedniej skali fotografii zapisanych na pendrivie Kelly podłączonym do jednego z portów USB peceta.

– Widzę barwy czerwoną i czarną. W zasadzie mogłoby to być cokolwiek. Być może wulkan, a być może plik zdjęć z czyjejś kolonoskopii.

Kelly zmierzyła go surowym wzrokiem.

– Kiedy spotkaliśmy się pierwszy raz w Yellowstone, powiedziałeś, że Ameryka nie ma tam swojej lewatywy. Według ciebie, miała być ulokowana w Providence.

Pocałował ją.

– Bożesz ty mój... ty mnie słuchałaś! Jakoś potem nie miałem okazji do tego przywyknąć. Nikt, kto wychował dzieci, nie nawykł do tego.

Roześmiała się. On żałował, że jego słowa to nie żarty. Być może kiedyś, kiedy przyjdzie na to pora, Kelly przekona się o tym na własnej skórze. Po części z tego właśnie powodu zaprosił ją do Los Angeles. Nie przede wszystkim, ale poniekąd.

– Spoglądasz teraz na Yellowstone z lotu ptaka – zaczęła wyjaśniać. Z tego,, co się orientuję, na ten jego obszar, gdzie znajdowało się skupisko formacji geotermalnych West Thumb – z wysokości blisko trzynastu tysięcy metrów. Nie dysponowałam sprzętem do telefotografii ani obiektywami ze zmienną ogniskową. To właśnie, z grubsza rzecz biorąc, widziałam, spoglądając w dół z okna odrzutowego Learjeta.

– Postąpiłaś idiotycznie, lecąc tam.

– Wiedziałam, że to powiesz.

Jej spojrzenie nabrało surowości. Była przecież dorosła. I oczekiwała, że będzie traktowana jak dorosła. Colin tylko westchnął. Nie mógł nic na to poradzić, zwłaszcza po fakcie.

Znów spoglądał badawczo na fotografię.

– Zatem tu na zdjęciu jedna strona jest oddzielona od drugiej dystansem... wielu mil? – Przez chwilę przemyślał nad tym, cicho pogwizdując. – To jest... coś, prawda? Przypomina mi zrobione przez sondę kosmiczną fotografie... Który z księżyców Jowisza wygląda jak pizza z kiełbasą i anchois?

– Io – Kelly zapomniała o surowości i znów się roześmiała.

– Rzeczywiście wygląda jak pizza. Czasami jak z czymś wyskoczysz, to nie wiadomo, płakać czy się śmiać, ale w tym przypadku masz rację.

– Chciałbym, żeby to mi przypisano zasługę, ale gdzieś to przeczytałem – odparł Colin. – A mówią o wyskakiwaniu z czymś...

– Przerwał; mamrocząc coś pod nosem. Wcale nie tak zamierzał podejść do tej sprawy, niech to szlag. Gdy przychodziło co do czego, zawsze palnął jakąś gafę. To historia mojego życia, pomyślał.

– Co znowu? Co jeszcze osobliwego chodzi ci po głowie?

Posłał jej ostre spojrzenie, ale nie potrafił rozczytać tego, którym mu odpowiedziała. Ta niemożność podsyciła jeszcze typową dla niego, nigdy niegasnącą podejrzliwość. Czy ona już wiedziała albo przynajmniej domyślała się? Chodzili ze sobą już od dwóch i pół roku. Przypuszczalnie musiało być z nią coś nie tak, jeśli do tej pory nie obudziły się w niej jeszcze żadne podejrzenia. Albo to on miał nierówno pod sufitem, skoro nie potrafił, cholera, przejść do rzeczy o wiele wcześniej.

Jest tylko jeden sposób, żeby rozstrzygnąć dylemat. Wziął głęboki oddech. Pomimo to dobrze się stało, że siedzieli obok siebie, ponieważ

gdyby ona przebywała po drugiej stronie pokoju, zapewne nie dosłyszałaby jego zduszonych słów.

– Czy zechcesz wyjść za mnie, Kelly?

– Pewnie – odparła.

Zamrugął oczyma. Oczekiwał i miał nadzieję, że usłyszy słowo „tak”, ale też szykował się na „nie”. Dopuszczał tylko jedno z tych słów, każdy inny wyraz powodował na kilka sekund upośledzenie zdolności logicznego myślenia.

Dopiero po chwili pojął znaczenie nieoczekiwanego słowa, które usłyszał w odpowiedzi.

– Czy to znaczy mniej więcej „tak”? – zapytał, pragnąc pozbyć się wszelkich wątpliwości.

– Pewnie – raz jeszcze powtórzyła, tym razem z odrobiną szelmstwa w głosie.

– Ty! – Z kieszeni spodni, w której zwykle nosił klucze, wyciągnął małe obciążone aksamitem pudełko. – No cóż, ponieważ jest to poniekąd coś w rodzaju „tak”, być może zechcesz rzucić okiem również na to.

Kelly otworzyła puzderko; sprężyna zawiasku brzęknęła, kiedy to robiła. Nawet kompaktowa fluorescencyjna żarówka w sufitowej lampie rzucała dostatecznie dużo światła, żeby diamenty pierścionka się zaskrzyły. Jej oczy rozbłysły.

– Och! – powiedziała cicho. – Piękny.

– Przymierz – ponaglił Colin.

– Dobrze. – Wsunęła pierścionek na palec. Potem się uśmiechnęła. – Podoba mi się jego wygląd. No i pasuje. Nie ma potrzeby zanosić go do dopasowania czy czego tam. Skąd wiedziałeś, jaki ma być rozmiar?

– Wynająłem gościa, który pracował dla KGB jeszcze w czasach, kiedy istniało KGB i ZSRR oraz cała zgraja innych skrótów pałających się bez

kontroli. Dzisiaj gość szmugluje bliny i barszcz z Brooklynu. Przeglądał rejestr transakcji wykonanych twoją kartą kredytową oraz twoje rachunki za telefon komórkowy do momentu, kiedy natrafił tam na rozmiar pierścionka, jaki nosisz. Musiał tylko rozpocząć półtora roku wcześniej, nim się poznaliśmy.

Mówił z taką pewnością siebie, że zdołałby przekonać nawet ławę przysięgłych, że nikt inny, oprócz podsądnego, nie mógł dokonać okradzenia domu z włamaniem.

– Kiedy tak mówisz, zaczynam ci wierzyć, bez względu na to, jakie bzdury pleciesz – przyznała Kelly. – Na całe szczęście kocham cię, w przeciwnym razie znalazłbyś się w prawdziwych tarapatach.

– Na całe szczęście mnie kochasz, w przeciwnym razie znalazłabyś się w prawdziwych tarapatach – zawtórował Colin. Sądząc po intonacji, miał coś innego na myśli, choć użył tych samych słów. – Na całe szczęście – kontynuował – kocham cię również. Cholerne szczęście... najlepsza rzecz, jak mnie spotkała od niepamiętnych czasów.

– Podoba mi się to – przytaknęła Kelly. – A jeśli oboje powiemy to samo za jakieś trzydzieści lat, będzie to znaczyło, iż uczyniliśmy właściwy krok.

– Pozostaje nam mieć nadzieję – dodał Colin. Takie same lub niewiele odbiegające przemyślenia przebiegały mu przez głowę, kiedy przed ołtarzem przysięgał Louise. I dochowywali przysięgi, a potem przestali dochowywać: tak czy inaczej nie wytrwali trzydziestu lat. – Wzniósłbym toast za to tutaj, ale wolałbym wybrać się na uroczystą kolację i tam wypić za nas. Co sądzisz o Miyamoto?

– Ma styl wręcz nie do opisania – odparła Kelly; wcześniej już ją tam zabierał. – Pojedźmy tam – dodała wyciągając pendrive'a z portu USB komputera. Potem rozczapierzyła palce tak, jak robią to kobiety, kiedy chcą

ukazać pierścioneń w pełnej krasie. Tym razem diamenty dały więcej blasku same z siebie.

Restauracja Miyamoto uchodziła w San Atanasio za swego rodzaju instytucję. Mimo japońskiej nazwy oferowała kuchnię polinezyjską, jako jeden z ostatnich niedobitków restauracji o takiej proveniencji z licznej ich gromady w południowej Kalifornii mniej więcej w czasach, kiedy Colin pojawił się na tym świecie. Przed wejściem stały głowy z Wyspy Wielkanocnej oraz wykonane z bambusa pochodnie tiki. Wśród przystawek podawano takie specjały, jak rumaki, szaszłyczki z drobiowych wątróbek marynowanych w sosie sojowym i imbirze albo kurczak zapiekany w folii – przekąski, jakich nie uświadczy się już nigdzie indziej. Za specjały wśród dań z owoców morza i mięsa uchodziły homary oraz steki teriyaki. Kelnerki paradowały w lei – naszyjnikach uplecionych z kwiatów. Barman przyrządzał drinki, jakich należało szukać ze świecą na wschód od Honolulu.

– Dwa skorpiony – zamówił Colin u kelnerki, kiedy usiedli w boksie ze ściankami z bambusa.

– Hej! Co będę piła? – zapytała Kelly.

Colin przypuszczalnie gapił się z rozdziawionymi ustami. Kelnerka parsknęła śmiechem – nie słyszała wcześniej tej nazwy i dała się zaskoczyć.

– Po jednym skorpionie dla każdego z nas – powiedział Colin wyraźnie artykułując każde słowo. Dziewczyna z girlandą kwiatów na szyi, ciągle chichocząc, odeszła, by przekazać dalej zamówienie.

Colin rozważał w duchu, ile razy przychodził tu z Louise w ciągu minionych lat. Wiele razy, ale lubił to miejsce za bardo, żeby rzec się go na jej korzyść, kiedy ich małżeństwo rozpadło się. Od tamtej pory nie spotkał jej ani razu. Być może to tylko zbieg okoliczności. Albo też Teo odżywiał się nazbyt ekologicznie, żeby zanieczyszczać własny organizm

smakołykami o wysokiej zawartości cholesterolu, serwowanymi w restauracji Miyamoto. Zostanie więcej dla mnie, skoro on tu nie jada, pomyślał Colin. Bywały też mniej fartowne chwile, kiedy, już po ich rozejściu, przybył tu, gdyż musiał poprowadzić dochodzenie w związku z włamaniem do lokalu.

Kelnerka przyniosła oba skorpiony, każdy tak wielki, że nieomal dało się w nich wykapać. W lokalu tym słowo drink wymawiano z głoską „iu”. Ale nawet oni nie podawali więcej niż po dwa cocktaile zombie. Miało to sens, gdyż po wypiciu takich ilości delikwent nie osiągał jedynie stanu podchmielenia. Nabzdryngalał się do imentu.

– Jesteście już państwo gotowi złożyć zamówienie? – zapytała dziewczyna. Zapisała na karteczce to, co sobie zażyczyli i ponownie się oddaliła.

Zanim przyniesiono potrawy do stolika, podszedł właściciel, chcąc ich przywitać. Stana Miyamoto natura obdarzyła niskim wzrostem i przysadzistą sylwetką. Wiekiem mniej więcej dorównywał Colinowi; jego syn ukończył Liceum Ogólnokształcące w San Atanasio w klasie Vanessy.

– Raz jeszcze chciałem podkreślić, jakim dobrym policjantem jesteś. – Słowa te kierował bardziej do Kelly niż do Colina. – Sposób, w jaki przyskrzyniłeś te łachudry, które nas okradły, a potem posłałeś ich do paki...

– Taką mam robotę. – Colin nie chciał powiedzieć właścicielowi, że jedynym sposobem ograniczenia przestępczości byłoby nakazanie bandziorom noszenia plaketek z napisem „ZAPUSZKUJCIE MNIE!” Pragnąc zmienić temat, uczynił zadość formalnościom. – Stan, oto moja narzeczona, Kelly Birnbaum.

Właściciel, rzecz jasna, podchodził przywitać się również wtedy, kiedy Colin bywał tu z Louise. Jednak jego uśmiech nie pozwalał w żaden sposób się tego domyślić.

– Gratulacje! Jest pani szczęściarą, pani Birnbaum.

– Tak sędzę. Mam taką nadzieję – odparła Kelly. Miyamoto zwrócił się ponownie do Colina.

– Zatem dzisiaj wieczorem macie co uczcić, prawda?

– Z pewnością tak – przyznał.

– I postanowiliście zrobić to tutaj? Zatem uroczysta kolacja na koszt firmy!

Gest wyływał ze szczerzej sympatii. Colin był tego świadom. Przed laty, kiedy dopiero rozpoczynał służbę, zapewne podziękowałby Stanowi i skorzystał z jego gościnności. Ale świat się zmienił. Na lepszy? Na gorszy? Na inny, tak czy owak.

– Nie mogę się zgodzić, Stan – oznajmił. – Chciałbym, ale po prostu nie mogę. Zbyt ni gąszcz cholernych przepisów, jakie dotyczą funkcjonariuszy policji oraz dowodów wdzięczności. Będziesz musiał przyjąć ode mnie zapłatę, czy ci się to podoba, czy nie.

Zdania takiego jak to nie powtarza się na co dzień, jak katarynki.

– Nie robię tego dla porucznika Fergusona – właściciel z uporem obstawał przy swoim. – Robię to dla Colina Fergusona, który jest moim przyjacielem. Mam nadzieję, że jest moim przyjacielem.

– Ja również mam taką nadzieję. Ale jeśli zależy ci na tym, żeby twój przyjaciel wpadł w poważne tarapaty, postaw mu darmową uroczystą kolację. Radni miejscy i księgowi zwaliliby się na mnie ze wszystkich stron z oskarżeniami.

– Powinni robić rwetes w tych sprawach, które naprawdę wołają o pomstę do nieba. Bóg jeden wie, że w tym mieście takich spraw jest aż nadto.

Sposób, w jaki Stan Miyamoto powiedział to, sugerował, iż trzy albo cztery spośród nich dotyczyły go osobiście. Ale nie upierał się dłużej. Wrócił

do kuchni, kręcąc z niezadowoleniem głową.

– Idę o zakład – powiedziała cicho Kelly – że wielu gliniarzy skorzystałoby z takiej propozycji. I założę się również, że zdołaliby jakoś wymigać się od oskarżeń.

– Idę o zakład, że masz rację – Colin wzruszył ramionami.

– Jeżeli to im nie przeszkadza, to znaczy, że im nie przeszkadza, koniec, kropka. Mnie to przeszkadza. Jeśli przez cały czas trzymam się z dala od kłopotów, nigdy nie muszę się martwić tym, żeby pamiętać, komu, kiedy i jakie kłamstwa wciskałem. A skoro nie daję nikomu palca, nie muszę się obawiać, że pochwyci całą rękę.

– Jak dla mnie, ma to sens. – Mimo to uniosła jedną brew, spoglądając na niego znacząco. – Zakładam jednak, że nie będziesz tuszował sprawy, kiedy dostanę mandat?

– Trafne założenie. – Colin nigdy nie tuszował tego rodzaju spraw dla Louise ani dla dzieci. Nikt w jego rodzinie nie okazał się kiepskim kierowcą, zatem nie musiał specjalnie zawracać sobie tym głowy. Raz czy dwa jakiś gliniarz z drogówki zrezygnował z wystawienia mandatu, kiedy zorientował się, kim są, ale to raczej drobiazgi, o których nie musiał wiedzieć oficjalnie. Akurat nadarzył się bardziej interesujący temat. – Oto nadchodzi nasza uroczysta kolacja.

Jedzenia podano tyle, że wystarczyłoby go co najmniej dla tuzina osób. To, czego nie zjedzą, zapakowane w styropianowe pojemniki, wystarczy na obiady i kolacje na ładnych parę dni. Stan Miyamoto potrafił być uparty, po swojemu. Postanowił, na Boga, zademonstrować szczodrość, czy się to Colinowi podobało czy nie. Porucznik jednak kierując się pragmatyzmem, doszedł do przekonania, że może mu się to nawet spodobać.

Louise Ferguson ziewnęła. Na dobrą sprawę przez cały ranek nie przestawała ziewać i nie potrafiła rozgryźć, dlaczego. Poprzedniej nocy

spała dobrze, a mimo to chętnie uciąłaby sobie drzemkę.

Pan Nobashi również zaczął ziewać. W jego przypadku także nie było to pierwsze ziewnięcie dzisiaj. Ziewanie potrafiło być zaraźliwe jak przeziębienie. Tym razem zorientował się dopiero w połowie i o mały włos nie wywichnął sobie żuchwy, kiedy usiłował stłumić dotleniający odruch. Spojrzał na Louise spod zmarszczonych brwi, jak gdyby to ją obarczał winą.

– Dobrze się pani czuć, pani Ferguson? – zapytał angielszczyzną o przyciężkawym akcencie. Jej nazwisko wymówił z rezerwą, ale ona nabierała wprawy w interpretowaniu japońskiej intonacji, odkąd zamieszkała w San Atanasio – miasto od zawsze udzielało gościny pokaźnej społeczności Azjatów. Firma dystrybuująca ramen, japońskie zupki z makaronem, nie przez przypadek tutaj właśnie ulokowała swoją siedzibę.

– Nic mi nie jest, panie Nobashi, dziękuję za troskę, ale naprawdę czuję się dobrze – odpowiedziała Louise, ale zaraz potem zadała kłam własnym słowom, gdy buzia znów się jej rozdziawiła na całą szerokość.

– Potrzebuje pani więcej kawy – oznajmił. Funkcjonował, pijąc kawę, podobnie jak auto spalając benzynę. Gdyby Louise złopała tyle kawy, co on, zapewne nie kładłaby się wcale spać. Nalał sobie teraz kolejny kubek. Potem napełnił jej filiżankę i postawił na jej biurku.

– Dziękuję panu bardzo, panie Nobashi – wybąkała w zdumieniu. O takie drobiazgi tutaj troszczą się podwładni z myślą o przełożonych. Rzadko kiedy działało to w drugą stronę.

Upiła łyczek, gdy on nie spuszczał z niej wzroku. Uśmiechnęła się, skinęła głową i raz jeszcze mu podziękowała. Nie ziewnęła, nawet jeśli miała na to ochotę. On także przytaknął i zabrał swój świeżo napełniony

kubek do swojego sanktuarium. Usiadł przy telefonie i zaczął obszcze kiwać kogoś po japońsku, okraszając tę tyradę angielskimi wulgaryzmami.

Louise... ziewnęła ponownie. Zaczęła pić kolejną porcję kawy, ale zaraz odstawiła filiżankę. Smakowała jakoś inaczej niż normalnie; miała cierpki czy może metaliczny posmak. Ale szkopuł nie tkwił w sposobie przyrządzenia. Sama ją przecież zaparzała. Poza tym ani pan Nobashi, ani nikt inny nie zauważył, żeby smak cokolwiek odbiegał od normalnego.

A zatem nie chodziło tu o kawę, lecz o nią. Przemknęło jej przez głowę, czy przypadkiem nie powinna wybrać się do lekarza. Miała przecież ubezpieczenie zdrowotne dzięki pracy tutaj, chociaż polisa ta nie mogła nawet równać się z zakresem świadczeń, jakie miała zagwarantowane za pośrednictwem Colina. Człowiek nie myśli o takich sprawach, kiedy zakocha się po uszy. Niestety, takie sprawy nie przestają istnieć wyłącznie dlatego, że się o nich nie myśli. Potrącenia, składki płacone wspólnie... Wizyta u doktora DiVicenzo może ją kosztować więcej niż za dawnych czasów, psiakość.

Co mogło być przyczyną jej nieustannej senności – i przemęczenia również, bo odczuwała je od dobrych kilku dni – oraz co sprawiało, że również kawa smakowała kiepsko? Cokolwiek by to było, miała wrażenie, że sobie na to nie zasłużyła. Przecież kawa uchodziła za najlepszy dopuszczalny przez prawo oręż w walce ze zmęczeniem.

Nie potrafiła przypomnieć sobie, kiedy ostatni raz czuła się tak nieciekawie. I nagle, jak grom z jasnego nieba, przypomniała sobie. Wydobył się z niej zdziwiony, gdaczący śmiech. Nie myślała o tym wcale już od dobrych dwudziestu lat z okładem. Tak, miesięczka opóźniała się o parę dni, ale co z tego? Jej cykl bywał nieregularny, tak czy inaczej. W nieodległej przyszłości w ogóle przestanie miesięczkować. I wtedy nie

przydarzy się jej już więcej, w żadnym razie, że zapomni zabrać tampony, podpaski czy tabletki rozkurczowe.

– To przecież wariactwo – powiedziała na głos.

Czy jednak za każdym razem zakładała kapturek dopochwowy, kiedy szła z Teo do łóżka? Wiedziała dobrze, do cholery, że nie za każdym razem. Kiedy budzą się zmysły i rośnie podniecenie, przerwa na eskapadę do kibelka i posmarowanie tego ustrojstwa (Colin określał go mianem pokrywy włazu – takie kawałki uważał za dowcipne) jakimś antykoncepcyjnym mazidłem stawało się szeroko otwartą furtką prowadzącą do zepsucia nastroju. Nie sądziła, że czymkolwiek ryzykuje, a przynajmniej nie uważała, że ryzyko jest duże.

Wciąż nie mogła w to uwierzyć. Samica królika zdechła – śmiech. Słowa te powiedziała pewna dziewczyna w telewizyjnym show w latach siedemdziesiątych, kiedy odkryła, że spodziewa się dziecka, co miało odmienić całe jej życie. Nie chciała, żeby jej życie odmieniało się w taki sposób, więc poddała się zabiegowi aborcji.

– Śmieszne – skomentowała Louise.

To musi być coś innego, cokolwiek. Doktor DiVincenzo zapewne zdiagnozuje u niej jakiegoś wirusa. Albo powie jej, że wszystko to sprowadzało się jedynie do wytworów jej fantazji. Chociaż zapłata za wizytę pozostanie w świecie realnym.

Na krótko przed przerwą na lunch Louise przysnęła. Zaledwie na kilka minut, stąd miała pewność, że obudziła się, zanim ktokolwiek zdołał ją przyuważyć, ale nie zmieniało to faktu... Czasami po krótkiej drzemce człowiek czuje się jak nowo narodzony. Louise jednak odczuwała wyłącznie potrzebę kolejnej krótkiej drzemki. A dłuższa kimka przypasowałaby jej jeszcze bardziej.

Zamiast kolejnej filiżanki kawy poszła do damskiej toalety i ochlapała twarz zimną wodą. To pomogło, trochę. Musiała jednak poprawić potem makijaż. Nikt się na nią nie natknął. Czasami szczęśliwe bywa wrogiem dobrego: to jeszcze jedna maksyma zasłyszana od jej byłego. Ślady mężczyzny dało się zmyć z włosów, wypłukanie go z własnego umysłu okazywało się, do jasnej cholery, piekielnie trudniejsze.

Trzymane w biurku, przyniesione z domu kanapki (żółty ser i szynka z indyka na żytnim pieczywie) oraz jabłko wtrząchnęła migiem. Potem pojechała do supermarketu Walgreens, oddalonego od hurtowni japońskich zuppek z makaronem o kilka przecznic. Do wyboru miała z pół tuzina testów. Superwulkan jakoś nie powstrzymał ich dostaw albo być może produkowano je gdzieś w tych stronach. Kiedy podeszła do kasy, już chciała wyciągnąć swoją Visę, lecz zmieniła zdanie i zapłaciła jednak gotówką.

Dzisiaj nie trzeba już zabijać królików ani paprać się z żabami czy jakimś innym obślizgłym paskudztwem. Louise poszła z powrotem do damskiej toalety. W intymnej atmosferze kabiny oddała parę kropel moczu na pasek testu ciążowego Clearblue. Jak domniemywała, kupiła ten właśnie typ testu dlatego, że cała ta sprawa spadła na nią jak grom z jasnego jak Clearblue nieba.

Nie nosiła już zegarka. Do odliczenia minut niezbędnych do uwiarygodnienia wyniku testu wykorzystwała telefon komórkowy. Nie spojrzała, nie chciała, wręcz stanowczo się sprzeciwiła temu, żeby spojrzeć, zanim nie upłynęły wymagane minuty.

Czas.

– Pałka zapalka dwa kije, kto się nie schowa, ten... – wymamrotała, jakby bawiła się w chowanego. Zebrała w sobie odwagę, by spojrzeć.

CIAŻA. Litery miały kolor jaskrawoczerwony. Nie odbierała tego jak święto, zaznaczane w kalendarzu czerwonym kolorem. Odczuwała raczej... Nie bardzo wiedziała, jak określić swoje odczucia. Koniec świata, jaki zna się na co dzień. W głowie słyszała jakąś rytmiczną piosenkę. Mimo to nie czuła się dobrze. Czuła się... sennie, niech to cholera.

Nikt inny nie wszedł do toalety, kiedy siedziała na klozecie czekając na wynik testu. Nie było nikogo, kiedy wyrzuciła do kosza pudełko po teście ciążowym Clearblue. Mimo to przykryła je papierowymi ręcznikami. Później wyszorowała starannie ręce, ni czym Lady Macbeth. Nie przejmowała się zarazkami. Inne rzeczy, podobnie jak eks małżonkowie, zmywały się dużo trudniej.

– Już pani lepiej? – Pan Nobashi zapytał ją typową dla siebie angielszczyzną, kiedy zajmowała miejsce przy swoim biurku.

– Tak sędzę – skłamała.

Królik skonałby chyba ze śmiechu. Co powie Teo? Raczej nie sądziła, że będzie wniebowzięty. Zresztą ona sama doszła do przekonania, że sprawy wcale nie wyglądały kolorowo. Co powinnam teraz zrobić?, zachodziła w głowę. Donosić ciążę? Usunąć ją? Obydwie ewentualności wydawały się jej równie przerażające.

Sprawdziła kilka pozycji zapasów magazynowych dla pana Nobashi. Pragnął wyjaśnić, dlaczego ramen z krewetkami sprzedawał się dużo lepiej w Seattle niż gdziekolwiek indziej na terenie USA. Tamtejsi natomiast nie cierpieli zupek makaronowych z wołowiną, które z kolei schodziły dwa razy lepiej w Chattanooga. I w tym przypadku również chciał wiedzieć, dlaczego. Louise miała to wszystko serdecznie gdzieś, ale musiała wykombinować liczby, jakie należało wprowadzić do arkuszy kalkulacyjnych dla niego.

Zadzwoił jej telefon. Wyjęła aparat z torebki.

– Halo?

– Cześć, Louise – usłyszała w uchu pomruk Colina.

– O co chodzi? – odburknęła. Spośród wszystkich ludzi na świecie, z którymi chciałaby porozmawiać w tej właśnie chwili, on plasował się tuż za przedostatnim w kolejce.

– Przez moment miałem wrażenie, iż przez pomyłkę wybrałem numer do Vanessy – odparł po chwili skonfundowanego milczenia.

– Przykro mi – Louise skłamała ponownie. – Posłuchaj, z czymkolwiek dzwonicz, streszczaj się. Nie wiem, w co mam tutaj ręce włożyć. – Jeszcze jedno łgarstwo.

– No więc... – wziął głęboki oddech, co stanowiło nieomylną oznakę, że nieźle go wkurzyła – chciałem cię jedynie powiadomić, że poprosiłem Kelly, żeby za mnie wyszła, a ona powiedziała tak. Jeśli masz to serdecznie gdzieś, to pójdę sobie i zaleję robaka, jak sądzę.

– Przepraszam. – Tym razem Louise zabrzmiała bardziej jak ktoś, kto mówi to, co ma na myśli. – Gratulacje! Czy może jednak powinnam złożyć życzenia wszystkiego najlepszego? Nigdy nie pamiętam.

– Gratulujesz mi, a życzenia szczęścia składasz na jej ręce. Chyba właśnie tak. – Colin wciąż brzmiał bardzo jak Colin.

– A jak wiedzie się tobie? – dodał.

Nieźle. Spodziewam się dziecka. Louise nie powiedziała tego na głos. Co do jednej rzeczy nie miała choćby cienia wątpliwości – Colina nie powinno to obchodzić nic a nic. Prędzej czy później, jeśli postanowi donosić ciążę, będzie musiała go o tym powiadomić. Później. Nie prędzej.

– Jestem przemęczona – odrzekła; kryła się w tym odrobina prawdy, lecz bez wyjaśnienia przyczyn tego stanu.

– Sprawiasz wrażenie, jakbyś była – przyznał.

Czy to przytyk w rodzaju Sprawiasz wrażenie, jakbyś była starszą damą? Wcale by jej to nie zaskoczyło. Zawsze należało analizować dwa razy – niekiedy nawet trzy razy – słowa, jakie wychodziły z ust Colina. Jeśli ktoś tego nie zrobił, mógł się nieźle sparzyć.

No dobrze, mógł ją kopać i poszturchiwać, ile dusza zapagnie. Ale przecież jeszcze nie kwalifikowała się na starszą damę, jeśli oceniać w oparciu o najbardziej fundamentalne kryteria. Jej biologiczny zegar wciąż tykał. I w związku z tym właśnie stało się najgorsze, co mogło się stać. Odczuwała trwogę i niepokój, musiała to przyznać.

– Jesteś tam, Louise? – zapytał Colin, kiedy nie usłyszał żadnej odpowiedzi natychmiast – Jestem tu – odpowiedziała.

– Wszystko w porządku? Czy Teo traktuje cię w sposób, w jaki powinien? Jeśli dojdzie do czegoś takiego, daj mi znać, słyszysz? Wtedy się tym zajmę.

– Teo traktuje mnie bardzo dobrze. Nie rób żadnych głupstw tylko dlatego, że coś sobie ubrdałeś – słyszysz mnie? – odparła ostrym tonem.

Traktuje mnie lepiej, niż kiedykolwiek czyniłeś to ty. Louise dopowiedziała to, ale tylko w myślach. Vanessa powiedziałaaby na głos. Wiedziała to. Jednak niemal całe dorośle życie spędzone u boku Colina pozostawiło w niej przekonanie, że mimo wszystko dokładał wszelkich starań, przynajmniej wtedy, kiedy o tym pomyślał. Szkopuł tkwił w tym, że nigdy nie osiągnął w tym dostatecznej wprawy, nawet jeśli robił wszystko, co w jego mocy.

– Okej – przyjął do wiadomości. – Do usłyszenia, Louise. Uważaj na siebie. – Odłożył słuchawkę.

Teo traktował ją tak dobrze i tak ją posuwał, że w końcu zmaistrował jej dziecko. I co powie, kiedy ona go o tym powiadomi? Cokolwiek od niego

usłyszy, powinna wziąć jego słowa za dobrą monetę. W przeciwieństwie do Colina nie traktował sarkazmu jak widowiskowego sportu.

Około piętnastej trzydzieści pan Nobashi znowu przyszedł do niej.

– Chcieć pani iść do domu wcześniej? – zapytał. – Nie ma dużo roboty, a pani przydać trochę odpoczynek, neh? [neh to po japońsku dobrze, przyp. tł.] – Jak przypuszczała, dokładał starań, by być możliwie uprzejmy i taktowny, posługując się językiem, którym nie mówił od urodzenia. Cóż innego słowa te mogły znaczyć niż Wygląda pani jak siedem nieszczęść?

– Nie ma potrzeby, panie Nobashi. Wytrzymam do końca dniówki. Ale mimo to, dziękuję panu bardzo. – Louise miała płacone od godziny. Nie chciała, żeby czek z pensją opiewał na niższą kwotę... poza tym przecież wcale nie zachorowała. Zdobyła się na uśmiech. – Arigato – dodała, dając mu do zrozumienia, iż podejmuje na nowo służbowe obowiązki.

Uśmiechnął się zaskoczony tym i skinął przy tym głową tak nisko, jakby miał to być ukłon.

– Pani idzie – zdecydował. – Nie będziemy martwić o zegar, okej?

Zapewne takim rezultatem zaowocowało podziękowanie wypowiedziane po japońsku. To, co powiedział, nie leżało w interesie firmy, ale być może pod płaszczykiem faceta harującego w biurze za niewielkie pieniądze krył się, mimo wszystko, porządny człowiek. Louise nie zamierzała zaglądać w zęby darowanemu koniowi.

– Dziękuję bardzo, panie Nobashi! – powiedziała. – Arigato! – powtórzyła po raz drugi.

Zmyła się z roboty, zanim zdążył zmienić zdanie. Kiedy dotarła do mieszkania, położyła się na chwilę na kanapie i zamknęła oczy. Tylko żeby odpoczęły na sekundkę, powiedziała sobie. Potem usłyszała, jak Teo otwiera drzwi i wchodzi do środka – to następny fakt, jaki dotarł do jej świadomości.

Roześmiał się, kiedy spostrzegł jej zmieszanie.

– Cześć, śpiochu! – powiedział, podchodząc do niej spieszenie, by ją pocałować. – Musiałaś mieć ciężki dzień, skoro walnęłaś się do wyrka od razu po przyjściu do domu.

– Pan Nobashi zwolnił mnie parę godzin wcześniej – wyjaśniła. – Na koszt firmy, jeśli dasz wiarę.

Sądząc po wielkich oczach, jakie zrobił, przyszło mu to z trudem.

– Dlaczego tak postąpił? – zapytał.

Louise opowiedziała historię z arigato, japońskim podziękowaniem. Leo wciąż pozostawał zaintrygowany, kiedy skończyła.

– No dobrze, ale zacznijmy od tego, dlaczego chciał puścić cię do domu wcześniej? – dopytywał.

– Czułam się przemęczona i, jak zagaduję, wyglądałam też bardzo blado – odparła Louise.

Miała nadzieję, że poranna niedyspozycja nie okaże się zbyt przykra o tej porze dnia. Colin nazywał ją Księżną Yorku z uwagi na to, jak często puszczała pawia, kiedy była w ciąży z Robem. Gdy do przyjścia na ten świat szykowałą się Vanessa, nudności nie dręczyły jej niemal wcale, gdy natomiast chodziła z brzuchem z Marshalllem, sprawy ułożyły się gdzieś pośrodku.

– Teraz wyglądasz świetnie – stwierdził Teo. – W moich oczach zawsze wyglądasz świetnie, kochanie.

Słowa te sprawiły, że się uśmiechnęła. Teo miał dryg do wywoływania u niej uśmiechu. Nie zdziwiło jej, że wyglądała teraz dobrze. Spała przecież – ile? – blisko dwie i pół godziny. To kazało jej zastanowić się, czy będzie w stanie zasnąć, gdy przyjdzie wieczór. Z tego, co pamiętała, nie powinna mieć z tym żadnych problemów.

– Ale z jakiego powodu poczułaś się tak źle w pracy? – drażył temat Teo.
– Musiało to być coś poważnego, inaczej nie puściłby cię do domu, ot tak sobie. Powinnaś pójść do lekarza czy co?

Wkrótce będzie musiała pójść do swojego ginekologa. Frank Russel, który odbierał całą trójkę jej dzieci, już dawno przeszedł na emeryturę. Kiedy słyszała o nim ostatni raz, mieszkał w Palm Springs i malował akwarele z plażowymi widoczkami, a nawet sprzedawał niektóre z nich za całkiem przyzwoite pieniądze. Doktora Suzuki nie darzyła taką sympatią, ale, jak sądziła, swój fach znał dobrze.

– Sądzę, że wiem, co się ze mną dzieje – oświadczyła.

– Tak? Powiedz, kochanie, powiedz.

Nie można być w ciąży tylko trochę. I nie można również podzielić na łatwe etapy nowiny o błogosławionym stanie. Louise bardzo żałowała, że się tak nie da. Jej życie się skomplikuje. Nie. Jej życie już się skomplikowało. Teraz nadeszła pora na podanie tego faktu do wiadomości. Miała ochotę wypić drinka... ale to mogłoby zaszkodzić temu komuś, kto był teraz jak piąte koło u wozu. Wzięła głęboki oddech zamiast – chyba trudno o mniej skuteczny substytut.

– Będę miała dziecko, Teo. Zachichotał.

– To najzabawniejsza rzecz, jaką słyszałem, sam nie wiem, od kiedy! Nie miałem również pojęcia, że potrafisz z takim stoickim spokojem zachowywać kamienną twarz. O mój Boże – zrywał boki ze śmiechu.

– Wcale nie żartuję – oznajmiła Louise. – Jestem w ciąży. Jestem senna do granic przyzwoitości, kawa ma dziwaczny smak... obrzydliwy smak...

– Takie rzeczy o niczym nie przesądzają – przerwał jej Teo.

Nie chciał w to uwierzyć. No cóż, jak mogła go o to obwiniać, skoro nie chciała dać wiary samej sobie?

– Jeszcze nie skończyłam – podjęła temat Louise. – Okres mi się spóźnia. Wiem, że staje się trochę nieregularny (wiem, że się starzeję, tak należało przeczytać między wierszami), ale mimo to. A dziś w trakcie przerwy na lunch kupiłam test ciążowy w drogerii, a potem w firmowej toalecie nasikałam parę kropli na pasek testowy. Jestem w ciąży, tak czy inaczej.

Spoglądał na nią z niedowierzaniem. Po raz pierwszy, odkąd byli razem, jego ciemne oczy robiły wrażenie nieprzeniknionych. Nie potrafiła odczytać, co się w nich kryło.

– Zatem mówisz poważnie – powiedział powoli, a jego głos pozostawał równie beznamiętny, co wyraz twarzy – Pewnie, że tak – przytaknęła Louise. – Będziesz tatusiem, Teo.

– No cóż...

Jeśli wpadł w zachwyty, to naprawdę dołożył starań, żeby tego nie okazać. Oblizwał wargi. Nigdy wcześniej nie wcielił się w rolę ojca i nie oczekiwał, że zostanie ojcem teraz. Ona już trzykrotnie przechodziła przez ciążę. Chociaż nie w związku pozamałżeńskim, pomyślała. Być może to, co się stało, jakoś go zmotywuje, żeby coś z tym zrobić. Louise miała gdzieś świstek papieru, ale nabierało to znaczenia, gdy na świat przychodziły dzieci.

Zrobił głęboki wdech, potem wypuścił powietrze z ciężkim westchnieniem.

– Wciąż jest jeszcze wcześniej, prawda? Możesz, eee, jeszcze ją usunąć, tak?

– Tak, mogę – Louise nie bardzo wiedziała, dlaczego poczuła tak silne rozczarowanie. Przecież podobne myśli chodziły również po jej głowie. Nie spodziewała się wszakże, że będzie to pierwsza rzecz, jaką od niego usłyszy. – Ale ja nie wiem, czy tego chcę. To jest coś, co stało się przy naszym wspólnym udziale, koniec końców, coś cudownego.

– To po prostu wpadka. Żadne z nas nie chciało tego – nie odpuszczał Teo.

– Nie, nie chciało – przyznała. A jeśli te słowa nie przyniosą jej Oscara za Najlepsze Niedopowiedzenie w trakcie przyszłorocznej gali, ktokolwiek inny, kto zabierze tę statuetkę do domu, z konieczności będzie oszukiwać. – Ale to się stało i musimy jakoś to rozwiązać.

– Usunięcie ciąży to najlepszy sposób rozwiązania sprawy – stwierdził Teo. – Wtedy nie będziemy musieli więcej zawracać sobie tym głowy.

– Nie jestem pewna, czy chcę to zrobić – powtórzyła Louise.

– Nie powinienes również o niczym rozstrzygać tak od razu. Nie musimy o niczym decydować dzisiaj wieczorem. Mamy trochę czasu na przemyślenie wszystkiego.

– O czym tu myśleć? To przecież wywraca do góry nogami wszystko. Powinnaś wiedzieć o tym lepiej niż ja – obstawał przy swoim Teo.

Dzieci wywracają do góry nogami całe życie. Louise dochodziła niekiedy do przekonania, że to ich jedyna funkcja w życiu. Nie przestawały tego czynić nawet wtedy, kiedy dorastały do samodzielności, chociaż należało oczekiwać, że przestaną. Ale nawet pomimo to...

– Dają więcej, niż biorą – odparła Louise. – Zapytaj swoich rodziców.

– Co oni wiedzą? – zaperzył się Teo. Jego ojciec parał się stolarką, a matka robiła za gospodynię domową. Nie posiadali żadnego wykształcenia, ale za to nadzwyczaj ujmowali grzecznością.

– Stawali na głowie, żeby nas nakarmić, ubrać i co tam jeszcze. Komu potrzebne takie urwanie głowy, jeśli nie trzeba go znosić z konieczności?

– Porozmawiajmy o tym później. – Louise nigdy nie widziała Teo takiego, jak dziś. Najwyraźniej potrzebował czasu, żeby przywyknąć do tej perspektywy. Nie chciał jeszcze jej dostrzegać, nie mówiąc o tym, żeby z miejsca przypadła mu do gustu. Oczyma wyobraźni zobaczyła go, jak pod

gołym niebem biegnie truchtem z małym chłopcem, podobnym do niego jak dwie krople wody. I widziała, jak chłopczyk spogląda z dumą na rosłego mężczyznę, który jest jego tatą. Jaka szkoda, że Teo nie potrafi sobie tego również wyobrazić.

Później nie nastąpiło do końca tego wieczoru. Spali razem, jak robili to zawsze, lecz Louise nie czuła tego ciepła i miłości, co zwykle. Równie dobrze Teo mógł przebywać na drugim krańcu kraju albo po drugiej stronie księżyca. Próbowwała wmówić sobie, że to ataki spazmów, ale miała kłopot z przekonaniem samej siebie. Ponadto nie miała wiele czasu na dokończenie tej opowieści; usnęła wkrótce, jakby ktoś dosypał jej środka odurzającego do szklanki wody, którą wypiała po wyszorowaniu zębów.

Następnego ranka sprawy nie ułożyły się lepiej. Słaniała się na nogach niczym zombie, obudzona, lecz wcale nie żywa. Zaparzyła kawę, ale nie wypiała więcej niż jedną trzecią filiżanki. Smakowała paskudnie, tak paskudnie, iż sama była zdziwiona, że jej nie zwróciła.

A Teo zamknął za sobą drzwi, zanim się obejrzała. Pamiętał oczywiście, żeby dać jej buziaka na pożegnanie. Nie pamiętała choćby jednego dnia, odkąd byli razem, żeby mu to umknęło. Ale jeśli ktoś stwarzał pozory, że robi to od serca, z pewnością był to on. Raz jeszcze Louise usiłowała przekonać samą siebie, że widzi sprawy inaczej, niż mają się w rzeczywistości albo że winę za wszystko należało zwalić wyłącznie na wzburzone hormony (które w rzeczy samej rozbuzowały się i długo jeszcze miały pozostać wzburzone) lub... na cokolwiek innego. Lecz także i tym razem miała problem, by dać temu wiarę.

– Lepiej pani dzisiaj? – przywitał ją pan Nobashi w biurowcu firmy importującej japońskie rosołki.

– Z pewnością mam taką nadzieję – odparła Louise. – Jeszcze raz dziękuję za trochę wolnego wczoraj. To bardzo pomogło.

– Dobrze – rzekł szorstko i poszedł z powrotem do swojego osobistego biura.

Na całe szczęście, ponieważ nie upłynęło nawet trzydzieści sekund, gdy Louise ziewnęła, otwierając usta na całą szerokość z takim impetem, że o mały włos, a spadłaby jej czapka z głowy.

Rozważając, jakim cudem zdoła dotrzeć do piątej trzydzieści po południu, usiadła za biurkiem i zaczęła grzebać w arkuszach kalkulacyjnych ze stanami magazynu. Zachodziła również w głowę, co by się stało, gdyby po prostu zaczęła wprowadzać liczby na chybił trafił. Czy amatorzy japońskich zupek z makaronem zaczną usychać z tęsknoty za swoimi ulubionymi smakami czy wręcz przeciwnie, zostaną przywaleni ich nadmierną podażą. Czy zwolnią ją za to i wyląduje na bruku bez pracy, na domiar złego, chodząc z bachorem w brzuchu? Czy może nikt się nie połapie albo nie będzie się tym przejmował?

Pan Nobashi wrzasnął, wołając o kawę. Potem wyrzaskiwał, żeby mu przynieść słodkie bułki. Za jakiś czas domagał się głośno słodkich bułek oraz kawy. Bieganie tam i z powrotem ze smakołykami dla niego uchroniło Louise przed walnięciem w kimono przy biurku. Miło pomyśleć, że pan Nobashi jednak się na coś przydawał.

Kiedy wniosła słodkie bułki i kawę, właśnie odkładał słuchawkę po rozmowie tele fonicznej z centralą w Hiroszynie.

– Pogoda bardzo zła w Japonii – zdał jej relację – Bardzo zimno. Hiroszima jest ciepło. Jak Los Angeles ciepło, ale parno. Mają tam teraz śnieg, trzydzieści centymetrów śnieg. – Przerwał na chwilę. – Stopa, wy mówicie.

– Ojej! To masa śniegu – odparła. Tutaj śnieg nie padał, ale była to najbardziej deszczowa zima, jak daleko sięgała pamięcią.

– Tylko robi się gorzej, także. Superwulkan zły numer jeden – dopowiedział pan Nobashi. Nie bardzo wiedziała, jak z tym dyskutować.

Po chwili Patty podeszła do jej biurka, zamierzając trochę popaplać.

– Czujesz się dobrze, skarbie? – zapytała po krótkiej chwili.

– Jakoś przeżyję – odpowiedziała Louise z taką oschłością, iż nie powstydziliby się tego nawet Colin.

– No to dobrze. Wyglądasz odrobinę mizernie, to wszystko.

– Patty uwielbiała plotkować. Dopiero będzie miała o czym trajkotać, kiedy brzuch Louise zacznie robić się wydatny. Na razie jednak Louise nie bardzo miała ochotę dzielić się tą nowiną. Patty w końcu sobie poszła.

Chwiejąc się na nogach, zdołała jakoś przetrwać do końca dnia. Szykowała właśnie kolację, kiedy wszedł Teo. Tryskał radością i pogodą ducha – ale tylko powierzchownie. Opowiadał o tym, jak minął mu dzień w klubie fitness. Powtórzył głupawy dowcip, jaki zasłyszał. Ale nie zająknął się nawet słowem na najbardziej palący i oczywisty temat.

Po kolacji Louise podjęła próbę poruszenia tej sprawy. Teo zgrabnie zmienił temat. Sprawiał nawet wrażenie, że wcale jej nie słucha. Jeśli nie przestanie tego robić, Louise wiedziała, że się na niego wścieknie. Gdyby miała więcej energii, wpadłaby w szal bez chwili zbędnej zwłoki. Albo zachowałaby spokój. Zdołał przecież wypracować sobie u niej spory kredyt zaufania. Parę dni, gdy zachowywał się jak palant – nawet jeśli dotyczyło to istotnej sprawy – nie zdołało wyczerpać pokładów tego zaufania.

Rozważała też w duchu, czy coś zmieni się na lepsze, jeśli będą uprawiać fizyczną miłość. On jednak, mimo że w łóżku dokonywała cudów poza odpaleniem fajerwerków, nie zrozumiał aluzji. Zasnął z miejsca, szybciej niż zazwyczaj. Rozczarowana, również oddała się w objęcia Morfeusza. Rozczarowana czy nie, odleciała w niebyt, jakby ktoś walnął ją obuchem w głowę. Zawsze uważała, że w trakcie ciąży śpi się tak dużo i często,

ponieważ już po rozwiązaniu ma się przed sobą bezlik nieprzespanych nocy.

Następnego ranka wyszedł, zanim zdążyła wstać. Uznała to za dość dziwaczne. Zazwyczaj budzili się razem. Być może powiedział jej poprzedniego wieczoru, dlaczego zamierza wcześniej wstać, ale musiała być zbyt senna, żeby sobie to przypomnieć. W mieszkaniu zrobiło się jakoś nieswojo, kiedy w pojedynkę szykowała śniadanie.

Kolejny dzień w hurtowni japońskich zupek z makaronem. Jakoś go przetrwała. Nie przysypiała ani nie uczyniła niczego, co mogłoby podsunąć Patty więcej skojarzeń niż do tej pory. Kiedy wyszła z pracy o wpół do szóstej, znowu padało. W drodze do domu w sąsiedniej uliczce minęła stukniętego w tył volkswagena. Nikt nie został ranny, ale żaden z samochodów nie nadawał się do użytku bez poważnego klepania w warsztacie blacharskim.

Kiedy weszła do mieszkania, w pierwszej chwili pomyślała, że zostało ogołoczone przez włamywacza. Potem zdała sobie sprawę, że brakowało wyłącznie rzeczy, będących własnością Teo. Ulubione krzesło, ubrania, odtwarzacz DVD, płyty CD, komputer, telewizor – zniknęły.

Na łóżku leżał krótki list. Przepraszam, czytała Louise, ale nie zostałem stworzony, by być ojcem. Jeśli poradzisz sobie z opłatami, zatrzymaj mieszkanie. Nie będę robił ci żadnych kłopotów z tego powodu. Przeżyliśmy wspólnie wiele radosnych chwil, prawda? Ale nic nie trwa wiecznie.

Pod ostatnimi pięcioma słowami skrobął odręczny podpis. Nie zostawił adresu do korespondencji. Mogła spróbować dodzwonić się na jego komórkę, ale jakież mogły być szanse, że odbierze? Porwała liścik na drobne strzępy, zanim z oczu popłynęły jej łzy.

ROZDZIAŁ XX

Upłynęło sporo czasu, od kiedy Dusiciel nikogo nie sprzątnął – zauważył Gabe Sanchez. – Nie dał o sobie znać od czasu wybuchu superwulkanu. Być może bawił akurat z wizytą w Yellowstone, kiedy doszło do erupcji.

– Obawiam się, że to złudna nadzieja – odparł Colin. Mimo sceptycznego podejścia wyobraził sobie, jak sukinsyn podziwia gejzer Old Faithful, kiedy nagle wszystko dookoła w promieniu wielu mil zapada się w morzu magmy. Tak, zdawał sobie sprawę, że graniczyło to wręcz z absurdem. Teren wokół tego konkretnego gejzeru zamknięto dla turystów na wiele miesięcy przed wielką erupcją. Niemniej jednak... – Drań zasłużył na surowszą karę, wiesz przecież.

– No tak. Zastrzyk z trucizną! – Gabe prychnął z pogardą.

– Jeżeli kiedykolwiek go przyskrzynimy, pozostanie nam nadzieja, że paru wielkich, muskularnych ogierów rozplodowych w San Quentin pofigluje z nim i da upust swoim chuciom. Niech na własnej skórze poczuje, co robił tym starszym paniom.

– Byłoby to miłe – przyznał Colin. – Zanim jednak zdążył pociągnąć wątek, zadzwonił telefon na jego biurku. – Porucznik Ferguson.

– Cześć Colin. – Jego eks małżonka dzwoniła na ten numer jeszcze w czasach, kiedy żadne z nich nie miało komórki. Bez wątpienia wybrała teraz ten numer siłą przyzwyczajenia.

– Co się dzieje, Louise? – zapytał. Cokolwiek by się działo, nie mogło to być nic dobrego. Jej głos brzmiał tak, jakby dopiero co na jej oczach betoniarka rozjechała na miazgę ukochanego szczeniaka.

– Nie chcę rozmawiać o tym przez telefon – odparła. – Czy mógłbyś podjechać tu do biura hurtowni zupek ramen i zabrać mnie na lunch?

– Okej. – Usiłował ukryć zdumienie. Odkąd go opuściła, wzięła sobie za punkt honoru, czyniąc to z ostentacją, by się z nim nie widywać. – O której?... Punktualnie o dwunastej? W porządku. Będę tam... Tak, oczywiście, wiem, gdzie to jest. Na razie.

– Twoja eks? – Gabe znał rozmaite wątki tego tematu, również... prawdopodobnie nawet dogłębniej niż Colin. Jego dzieciaki nie osiągnęły jeszcze pełnoletności i mieszały prawie cały czas z matką, co zmuszało go do nieustannych z nią zmagania. Wprawdzie rozpad małżeństwa Colina sprawił wiele bólu, ale przynajmniej obyło się bez tego rodzaju balastu. Albo obyło się do tej chwili przynajmniej.

– Tak, to ona. Coś jest nie tak. Nie wiem jeszcze co, ale dowiem się podczas lunchu – odrzekł Colin.

– Szczęściarz. – Sanchez wywrócił oczami. – Co zrobisz, żeby jej pomóc?

– Niech mnie szlag trafi, jeśli wiem. – Colin pokręcił przecząco głową. – Najpierw muszę zobaczyć, o co chodzi. Nie zamierzam kupować kota w worku. Sprawy nie mają się już tak, jak się miały zaraz po tym, gdy zatrzasnęła za sobą drzwi.

– Nie. Znalazłeś sobie kogoś. – Z głosu Sancheza nie emanowała – nadmierna – zazdrość. Od czasu rozpadu własnego związku umawiał się z kilkoma kobietami. Ale były to znajomości przelotne.

– Uhm. Jeśli ona myśli sobie, że może wrócić w taki sam sposób, w jaki wyszła... Colin ponownie zaprzeczył ruchem głowy. Gdyby Louise chciała to zrobić kilka miesięcy po swoim odejściu, istniało prawdopodobieństwo, że zostawiłby Kelly, by przywrócić dawne życie. Ale teraz? Sprawy potoczyły się za daleko.

Tak przynajmniej uważał.

– Powodzenia – rzekł na koniec Gabe.

– Dzięki bardzo.

Przez resztę przedpołudnia Colin tylko stwarzał pozory, że coś robi przy swoim biurku. Tak naprawdę zmagał się z emocjami, które kłębiły się w jego głowie.

Kiedy nadeszła pora, pojechał w kierunku północnym Hesperus Avenue do Braxton Bragg, potem skręcił w prawo do siedziby hurtowni zupek z makaronem. Pokręcił głową z niedowierzaniem, kiedy wjechał na firmowy parking. Zdążył zapomnieć, jak silnie ufortyfikowano teren wokół obiektu. Jeszcze jeden symptom zmian w Atanasio – wcale nie na lepsze.

Louise wyszła z biura punktualnie o dwunastej – w parę minut po tym, jak Colin dojechał na miejsce. Wyglądała tak, jak zawsze – to znaczy, wyglądała dobrze w jego oczach. Ale nie, nie całkiem tak, jak zawsze: epatowała bladością, a ślady łez jeszcze nie wyschły.

– Dziękuję – powiedziała, wsiadając do taurusa.

– Nie ma za co. Dokąd chcesz pojechać?

– Może do Carrows przy Reynoso Drive?

– Nie ma sprawy. – Colin przytaknął. – Chcesz mi powiedzieć teraz, czy jak tam zajdziemy?

Colin wyjechał z powrotem na ulicę. Zauważył, że ochroniarz nie spuszczał go z oka, dopóki nie opuścił parkingu. Jeśli ten facet nie był weteranem i to przypuszczalnie takim, który niejedną raz wachał proch, to bez szemrania zjadłby własne trepy.

– Wczoraj Teo mnie rzucił – powiedziała Louise. – Nawiał. Przepadł. Zabrał swoje rzeczy i dał nogę. Nie mam pojęcia, gdzie się podziewa.

– Okej. – Colin nie zdążył powiedzieć więcej, dopóki nie zjechał na pas skrętu w lewo, którym mógł wrócić na Hesperus Avenue. – Czy on... zrobił ci jakąś krzywdę, zanim zniknął? – zapytał po skończonym manewrze. – Czy mam wszcząć dochodzenie w sprawie przemocy domowej? Kiedy

ostatnio z tobą rozmawiałem, stwierdziłaś, że między wami wszystko układa się dobrze.

– Ostatni raz, kiedy rozmawialiśmy, wszystko układało się dobrze. – Louise roześmiała się gorzko. Moment później ziewnęła i zasłoniła usta dłonią. – Nie przestaję tego robić – dodała, jakby rozzłoszczona na samą siebie. – Nie, nie wyrządził mi krzywdy, nie w sposób, o jakim myślisz. Nie tak, żebyś mógł go za to wsadzić do paki.

– W takim razie, czego ode mnie chcesz? – dokładał starań, by wzięła w nim górę cierpliwość, nie złość. – Jeżeli potrzebujesz męskiego ramienia, żeby móc się wypłakać, nie jestem już kandydatem numer jeden. Przykro mi, ale nie jestem. Kiedy zadzwoniłem do ciebie, o czym zresztą wiesz, chciałem tylko powiadomić cię o zamiarze poślubienia Kelly.

Louise reprezentowała typ mentalności, który pozwalał zapomnieć o tego rodzaju rzeczach, o ile tylko puszczenie ich w niepamięć wydawało się praktyczne.

– Colin, spodziewam się dziecka. Dlatego właśnie on uciekł ode mnie.

Na całe szczęście na Hesperus Avenue nie panował duży ruch, a samochody nie jechały blisko jeden za drugim. Taurusem zarzuciło przez moment tak, że wyskoczył na sąsiedni pas. Musiał wjechać ponownie na swój pas, przekraczając podwójną linię ciągłą. Nic go tak nie zaskoczyło od czasu... od czasu, kiedy to ona odeszła od niego.

Już zamierzał zapytać ją, czy stroi sobie z niego żarty, ale zdążył ugryźć się w język. Nie żartowała. Nigdy nie zraniła go jedynie po to, żeby zranić... jeżeli ktoś w rodzinie znajdował rozkosz w wyrywaniu muchom skrzydełek, była to tylko i wyłącznie Vanessa.

– Jesteś pewna? – zadał inne pytanie w zamian.

– Och, możesz iść o zakład – potwierdziła Louise. – Domowe testy ciążowe, jakie dziś produkują, są niemal tak niezawodne jak te, których

używają lekarze. Wynika z nich, że jestem w ciąży. I tak właśnie się czuję. Przecież wiem, jak to jest, chociaż upłynął już kawał czasu. Tego się nie zapomina.

– Skoro tak twierdzisz. – Colin skręcił w prawo w Reynoso Drive. – Czy, eee, wiesz już, co zamierzasz z tym zrobić?

– Nie. Teo chciał, żebym ją usunęła, natychmiast. Być może to zrobię, ale nie ot tak... – pstryknęła palcami. – Nie chciałam wcale zachodzić w ciążę, ale być może ją donoszę.

Carrows znajdował się po południowej stronie ulicy. Colin odczekał na środkowym pasie, aż będzie mógł skręcić w lewo, nie pakując się pod potok aut sunących w kierunku wschodnim i nie ryzykując, że zostanie zmiądzony. Większość sklepów i małych lokali gastronomicznych w niewielkim centrum adresowała swoją ofertę do Japończyków. Na parkingu panował tłok. W końcu zdołał znaleźć wolne miejsce i jakoś się wcisnąć. On i Louise poszli do restauracji położonej o parę kroków dalej niż ta, do której chadzali jeszcze przed rozpadem ich małżeńskiego stadła.

Nie odezwał się ani słowem do chwili, kiedy usiedli przy stoliku, przy którym mieli komfortowy widok na samochody jadące tam i z powrotem ulicą Reynoso Beach.

– Co, konkretnie, mam według ciebie zrobić w całej tej sprawie? – zapytał wtedy, dobierając słowa z wielką starannością.

– Czy mogę już przyjąć zamówienie? – Kelnerka nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia lat, a jej słowa zabrzmiały tak, jak gdyby w ogóle nie miała żadnych zmartwień. Ale w końcu po to właśnie ma się dwadzieścia lat. Cholerna szkoda, że w tym wieku czas nie zatrzymywał się w miejscu.

– Mam ochotę na kanapkę z bekonem, sałatą i pomidorami – zadeklarowała Louise. Colin zamówił cheeseburgera. Kelnerka się oddaliła. Powtórzył pytanie.

– Słyszałam je za pierwszym razem – odparła ostrym tonem Louise. – Możesz namierzyć, gdzie się zadekował? Rejestry rozmów telefonicznych, karty kredytowe czy co tam jeszcze? Jego rodzice nie wiedzą albo nie chcą powiedzieć... próbowałam już rozmawiać z nimi.

– Być może – nie chciał obiecywać Colin. – O ile jednak opuścił hrabstwo, nie mam zbyt wielu kontaktów. Jeżeli wyjechał poza granice stanu, sprawa zrobi się sporo trudniejsza. Mogę przynajmniej spróbować, jak sądzę. Gdzie mieszkają jego krewni?

– Niektórzy niedaleko stąd na południe, w San Diego. Inni również w Meksyku. – Louise wyglądała jak zbity pies. – Jeśli wylądował za południową granicą, odnalezienie go będzie niemożliwe, prawda?

– W dużej mierze – przyznał Colin. – Nikt po tamtej stronie nie będzie się ekscytował tego rodzaju sprawą.

Niezbyt wiele osób tutaj przejęłoby się tym, chociaż byłby w stanie wykonać kilka telefonów z prośbą o przysługę. Z drugiej strony mógłby ich nie wykonać. Superwulkan i wywołany przez erupcję zamęt spowodowały, że drobne sprawy stały się zbyt drobne, żeby zawracać sobie nimi głowę. A jeśli Teo postanowi! zniknąć w jakimś obozie dla uciekinierów, może nie wypłynąć na powierzchnię przez całe lata, jeśli w ogóle kiedykolwiek wypłynie.

Przyniesiono im zamówione jedzenie, przerywając te smętne dywagacje. Cheeseburger smakował jak... cheeseburger. Lepszy niż w fast foodzie czy w sieci Denny's, ale tak czy owak nic, czym miałyby się szczególnie zachwycać. Werwa, z jaką Louise wpałaszowała swoją kanapkę, świadczyła, że poranne nudności najwyraźniej jeszcze jej nie dopadły.

– Dlaczego tak nagle się ulotnił? – chciał wiedzieć Colin.

– Wy dwoje jesteście –yyy,– byliście – razem całkiem długo. Czy nie mogliście wspólnie dojść do ładu i porządku nad tą sprawą?

– Ja też tak sądziłam, ale jemu odbiła palma. Nie chciał być tatusiem – w żadnym razie, w żadnych okolicznościach. – Louise wykrzywiła twarz. – Niekiedy człowiek nie jest w stanie dowiedzieć się, kim naprawdę jest druga osoba, dopóki nie nadejdzie moment krytyczny. Jestem przybita, to prawda.

– Tak, jesteś. Przykro mi z tego powodu.

– I co mam teraz zrobić? – Jej oczy wypełniły się łzami.

– Albo będziesz miała dziecko albo zdecydujesz, że nie będziesz go miała i zadbasz o to. – Colin nie należał do fanatycznych zwolenników aborcji. Zdawał sobie jednak sprawę, że kobieta może mieć opory w kwestii urodzenia dziecka mężczyzny, który ją porzucił – zwłaszcza gdy w fryzurze tej kobiety zaczynały już pojawiać się pierwsze smugi siwizny, o ile nie sięgnęła po farbę do włosów. Wychowanie dziecka w pojedynkę nigdy nie było łatwe i proste. A stawało się coraz trudniejsze, gdy przybywało lat i narastało zmęczenie życiem.

Mimo łez z twarzy Louise przebijało oburzenie. Spoglądała na niego takim wzrokiem, jakby to on czemuś zawinił – albo, w każdym razie, zawinił ktoś inny, lecz nie ona.

– Wpadłabym na to sama bez twojej pomocy, dziękuję ci bardzo – oznajmiła zgryźliwie. – Chciałam tylko dowiedzieć się, na jaką pomoc z twojej strony mogłabym liczyć.

– Co? Jakiego rodzaju pomoc? Nie jestem wytwórną pieniędzy, zwłaszcza że cały czas pcham Marshalla przez studia, a wciąż nie widać, kiedy obroni dyplom.

– Ale przecież przyjęli mu opowiadanie do publikacji! W literackim periodyku! Za pieniądze! Czyż to nie cudowne?

– No cóż, całkiem nieźle. Ale to, co dostał, nie starczy nawet na tygodniowy czynsz za jego mieszkanie i to licząc jeszcze przed

opodatkowaniem. Poza tym, bardzo skutecznie wyczyściłaś moje konto bankowe, kiedy odeszłaś. – On zatrzymał dom. Ona zabrała niemal całą resztę z tego, co wspólnie zgromadzili w ciągu lat małżeńskiego związku. Prawnicy nazywali to sprawiedliwym podziałem. Colin jeszcze przed rozwodem nie darzył ludzi palestry zbytnią sympatią. Teraz jego uczucia wobec nich ochłodziły jeszcze bardziej.

– Jesteś podły! – wykrzyknęła Louise.

Wypuścił powietrze nosem, usiłując ukryć narastające w nim wzburzenie.

– Louise, to ty odeszłaś ode mnie. Zakochałaś się w Teo, a on odwzajemnił to uczucie i oboje postanowiliście żyć od tamtej pory razem, długo i szczęśliwie. Otrzymałaś połowę majątku dorobkowego. Poza tym nie chciałaś mieć ze mną nic wspólnego od rozejścia. Całymi miesiącami potrafiłaś nie odzywać się do mnie. Ale oto pan szczęśliwie zakochany, jak księżę z bajki, odkrywa, że jesteś przy nadziei i postanawia odfrunąć. I nagle, ni z tego, ni z owego, zaczynam w porównaniu z nim prezentować się o niebo lepiej, he? Czy dobrze sobie wykombinowałem, czy też coś może pominąłem?

– Więc nie masz zamiaru pomóc mi? – Gdyby maska tragiczna potrafiła mówić, jej wzór zostałby zdjęty z twarzy Louise.

– Przecież to ty żądałaś, żeby moja noga więcej nie stała obok ciebie. To ty wyzywałaś mnie od najgorszych. Jesteśmy po rozwodzie, pamiętasz? Z jakiego więc powodu miałbym przejmować się bękartem spłodzonym przez faceta, dla którego mnie rzuciłaś – Mniejsza o dziecko – powiedziała niecierpliwie. – Czyż nie kochałaś mnie?

– Tak, kochałem. Czas przeszedł. Kochałem ciebie dłużej niż ty mnie, ściśle rzecz biorąc. Długo nie mogłem się pozbierać, kiedy mnie rzuciłaś. – Colin zdusił w sobie kilka innych rzeczy, które mógłby dopowiedzieć. W

tym, o czym już napomknął, kryło się tyle zła, że drażnienie tematu głębiej mogło tylko pogorszyć sprawy. Kelnerka również wybrała ten akurat moment, żeby przynieść im rachunek. Kiedy oddaliła się pospiesznie, wrócił do tematu.

– Co więcej, teraz znalazłem sobie kogoś. Uczynię wszystko, co w mojej mocy, żeby udało nam się z Kelly. Sądzę, że mamy na to przyzwoite szanse. W tych dniach chyba każdemu wolno żywić taką nadzieję.

– A zatem zostawisz mnie samą na głębokiej wodzie bez podania ręki. – Louise mogłaby odgrywać gwiazdorską kreację w melodramacie z epoki wiktoriańskiej.

Sama sobie zgotowałaś ten los. Kolejny cierpki komentarz, który Colin przełknął.

– Posłuchaj – rzekł – jeśli będę miał jakieś drobne oszczędności, być może zdołam coś ci odpalić. Jeżeli jednak wyobrażasz sobie, że posunę się choćby o milimetr dalej niż wspomniane wsparcie, oświadczam ci z pełną mocą, że tak się nie stanie. Między nami wszystko skończone, Louise. Przykro mi – Bóg jeden wie, jak mi przykro – ale to już koniec.

Rzuciła mu piorunujące spojrzenie.

– Jesteś okrutnym, bezwzględny człowiekiem. Twoja Kelly nie ma nawet najbledszego pojęcia, w co się pakuje, biedactwo.

– Z tego co wiem, masz rację – odparł. – Ale powiem ci jeszcze jedną rzecz.

– Co takiego? – Louise niemal plunęła mu tymi słowami w twarz.

– Gdybym to ja zmajstrował ci bachora, z pewnością nie zostawiłbym cię. A ty wiesz dobrze, do cholery, że to prawda.

Wiedziała. Wyczytał to z jej twarzy. Wyczytał też, że prędzej wskoczyłaby do krateru superwulkanu, niż to przyznała.

– Może lepiej odwieź mnie z powrotem do pracy – rzekła lodowatym tonem.

– Okej.

Rzucił na stół pięciodolarówkę, następnie zapłacił rachunek przy kasie. Kiedy szli przez parking do jego samochodu, zaczął siąpić deszcz. Usłużył jej, otwierając drzwi od strony pasażera. Wsiadła do auta z miną Marii Antoniny zmierzającej na gilotynę.

Nie odzywali się prawie do siebie, kiedy jechał na północ do Braxton Bragg Boulevard.

– Żałuję... żałuję, że sprawy nie potoczyły się inaczej – wydusiła z siebie półgłosem Louise tuż przed tym, jak skręcił na ufortyfikowany parking.

– Wielu ludzi żałuje – przyznał Colin. Gliniarze widują to każdego dnia, o każdej godzinie..– Ale kiedy dochodzą to tej refleksji, z reguły jest już za późno. Dbaj o siebie, Louise, bez względu na to, co postanowisz zrobić.

– Jakby to miało dla ciebie znaczenie! – wyrzuciła z siebie gniewnie.

– Właśnie, że ma – oznajmił. – Nie możemy jednak zacząć wszystkiego od począt ku. Ty żyjesz swoim życiem, a ja mam swoje i, niestety, nie jest już nam razem po drodze.

Wyślizgnęła się z auta i trzasnęła drzwiami. Potem ruszyła pospiesznie do biurowca; deszcz padał teraz mocniej, a ona nie miała przy sobie parasolki. Ochroniarz skinął głową w stronę Colina, gdy ten wyjeżdżał z parkingu. Odwzajemnił mu się gestem, którym po części oddał mu honory.

– Czy powinienem wiedzieć, jak poszło? – zapytał Gabe, kiedy jego przełożony usiadł ponownie przy swoim biurku.

Colin rozważał rzecz przez moment.

– Jeszcze gorzej niż oczekiwałem – odpowiedział roztropnie.

– Aj! – Gabe wykrzywił twarz w grymasie. – A wydawało się, że to niemożliwe!

– Och, zaręczam ci, że możliwe.

W kilku posępnych słowach, jak gdyby streszczał sprawę, stojąc na miejscu dla świadka na sali sądowej, wytłumaczył, że to jednak możliwe.

– Och, chłopie! Ach, a niech to, gościu. – Gabe kręcił z niedowierzaniem głową. – Gdyby mnie się to przydarzyło, nie wracałbym tutaj. Poszukałbym sobie jakiegoś zacisznego miejsca i zalał robaka.

– Jestem teraz na służbie, nie po godzinach – stwierdził Colin.

– A poza tym stanowczo za dużo zaglądałem do kieliszka tuż po naszym rozejściu. Życie jest parszywe, zgoda, ale przecież nie mam już dłużej na głowie ani jej, ani jej problemów.

Mówił te słowa z większym naciskiem, niż robił to zazwyczaj. Czy oprócz przyjaciela usiłował przekonać także sam siebie? Wcale by go to nie zdziwiło.

– Jesteś lepszym człowiekiem niż ja, Gunga Din [cytat z wiersza Gunga Din Rydyarda Kiplinga, przyp. tł.] – przyznał Gabe.

– Ale teraz powinienes chyba przekazać tę dobrą nowinę twojej nowej dziewczynie?

Pytanie wyglądało na bardziej interesujące, niż Colin by sobie tego życzył. Przy taknął z ociąganiem – Nie jesteś zdania, że muszę? Jeśli zamierzamy wspólnie wziąć się za bary z losem, to chyba musi wiedzieć, co za sobą wlokę.

– Tak sądzę. – Z głosu Gabe’a nie przebijał choćby cień pewności. – Nie wiem jednak, dla którego z was będzie to twardszy orzech do zgryzienia, dla ciebie czy dla niej.

– Och, mój Boże, Colin! Jakie to musiało być dla ciebie okropne! – wykrzyknęła Kelly, kiedy jej narzeczony zmierzał do końca swej opowieści.

Miejscami, gdy usiłował przez nią przebrnąć, odnosiła wrażenie, że narrator jest bezduszną maszyną napędzaną trybami, a nie człowiekiem z krwi i kości. Nie mogła też oprzeć się odczuciu, że nie potrafił dobrać do końca relacji, nie stłumiwszy uprzednio niemal całkowicie własnych emocji.

– Jadałem już obiady, które sprawiały mi więcej przyjemności – przyznał. – Musiałem zacisnąć zęby i udawać, że świetnie się bawię.

– Wierzę ci. Chciałabym być teraz przy tobie i przytulić cię mocno – rozmarzyła się Kelly – Byłoby cudownie – odparł Colin. – A teraz będę musiał zarzucić sieć, żeby namierzyć tego pajaca. O niczym innym akurat nie marzę. – Nie potrafił pozbyć się tego z głowy.

– Mogłeś po prostu powiedzieć jej, że nie ma o czym mówić. Naprawdę miała tupet, zwalając ci się z tym na głowę po tym, jak poszła sobie w siną dal. – Kelly doszła do przekonania, że powinna przypomnieć o tym Colinowi. Gdyby Louise zamierzała teraz ponownie wkroczyć w jego życie, do jakiego stopnia okazałaby zainteresowanie? W końcu przeżyli razem wiele lat. Kelly uznała, że ostatnich parę lat, jakie upłynęły od chwili, kiedy Louise go zostawiła, nie wchodziły w rachubę.

Teraz wszelako, gdy jego eks chodziła z dzieckiem w brzuchu, zmajstrowanym przez jej kochankę, ewentualny powrót na łono rodziny wydawał się trudniejszy. Gdyby jednak zdecydowała się na wizytę u lekarza, nie musiałyby długo chodzić z brzuchem. Ale z drugiej strony Kelly uświadomiła sobie, że Colin, na ile zdążyła się zorientować, nigdy łatwo nie wybaczał i nie zapominał.

Jego przeniesione elektronicznie westchnienie dotarło do jej uszu całkiem jak prawdziwe, z jednym wyjątkiem – powiew nie potargał jej włosów.

– Kochanie, jeżeli jakiś facet porzuciłby jakąś kobietę, której w życiu na oczy nie widziałem i zostawił ją w brzemiennym stanie, również rozpuściłbym wici, żeby wytropić takiego i owakiego. – Westchnął po raz kolejny. – Żałuję, że nie jest to jakieś dziewczę, o którym nigdy nie słyszałem. Nie dałbym się wtedy wciągnąć w załatwianie jej osobistych spraw.

– Idę o zakład, że nie dałbyś się wciągnąć! – Kelly emanowała świętym oburzeniem. – Zalaźła ci nieźle za skórę, a teraz śmie jeszcze oczekiwać od ciebie pomocy? Co za tupet!

– Tak. Cóż, z grubsza rzecz biorąc powiedziałem jej dokładnie to samo. – Colin zawahał się, potem ciągnął dalej. – Na wypadek, gdyby naszły cię wątpliwości, czy co tam, nie zamierzam przyjmować jej z powrotem z honorami. Sprawa jest już nieodwołalnie zamknięta. Wyszedłem z dołka i potrafię to teraz ocenić na trzeźwo. Tak po prostu, żebyś wiedziała.

Superwulkan rozprawił się w trymiga z globalnym ociepleniem. Pak lodowy na Morzu Arktycznym oraz wokół Antarktydy zwiększał jednocześnie zasięg i miąższość. Kelly posiadała jakieś dane satelitarne rzucone gdzieś na kuchennym stole. W razie potrzeby mogła się do nich dogrzebać...

Obojętne czy miąższość warstwy dryfujących lodów w strefach polarnych rosła czy nie, lodowiec uformowany pośrodku jej klatki piersiowej stopniał w oka mgnieniu. Z miejsca, gdzie jeszcze ułamek sekundy wcześniej panowało lodowate zimno, emanowało teraz cudowne ciepło.

– Wiedziałam – wyznała, co stanowiło prawdę i fałsz zarazem, rzecz akurat niemożliwa w przypadku danych badawczych. Co do jednej rzeczy miała niemal całkowitą pewność, wciąż jednak martwiła się o drugą.

– Tak się zdarzyło, że Kocham Ciebie – dodał Colin, zupełnie jakby był biernym obserwatorem, któremu jakoś to się przytrafiło.

– To działa także w drugą stronę – zapewniła go Kelly.

Nie chciała popaść w ckliwość. Nie miała również zamiaru odgrywać roli Smoczy Oblubienicy, kiedy przejdą do oficjalnych formalności. Wciąż nie mogła wyjść z podziwu, że on zdobył się na odwagę i poprosił ją o rękę, ona sama zaś wykrzesła w sobie dość męstwa, by powiedzieć „tak” czy choćby „pewnie”. Odsetek kobiet po trzydziestce w stanie panieńskim, które potem dożywały swych dni w staropanieństwie, osiągnął pokaźny pułap i przyrastał z roku na rok. Postanowiła przeciwstawić się temu trendowi.

– Okej. Dobrze. – Brzmiał jak ktoś, kto potrzebował zapewnienia lub przynajmniej przypomnienia. – Mając to w głowie, poradziłem sobie łatwiej z Louise – dodał po chwili. Zachichotał z nutą drwiny. – Teo zawsze uosabiał wszystko to, czym ja nie byłem. Był słodki. Był opiekuńczy. Słuchał tego, co mówi Louise...

– To ty posłuchaj! – przerwała Kelly. – Kiedykolwiek byśmy rozmawiali, zawsze odnoszę wrażenie, że nie znam nikogo, kto potrafiłby tak słuchać jak ty.

– Louise doszła do odmiennego zdania. Chciała odejść, a jej azylem stał się Teo. – Kolejny chichot. – Teraz to on zapragnął poszukać azylu, ot, co.

– Teo uosabiał wszystko, czym ty nie byłeś – potwierdziła Kelly. – Nigdy nie uczyniłbyś czegoś podobnego. Nawet gdyby jakaś pani za twoją sprawą znalazła się w odmiennym stanie, pozostałbyś przy niej także i potem.

– To jeszcze jedna rzecz, którą powiedziałem Louise. Naprawdę chciałbym tak myśleć – przyznał Colin. – Ale kto wie?

Czasami człowiek nie jest w stanie dłużej wytrzymać i wtedy daje nogę.

Kelly prychnęła. Dużo łatwiej potrafiła wyobrazić sobie, że Colin trwa niczym przyklejony superglue, nawet jeśli rzecz cała zamienia się w nieznośny koszmar, niż ujrzeć oczyma wyobraźni, jak zrywa i ucieka w stronę dal. Nie miałyby nic przeciwko temu, żeby to on odszedł od Louise – w rzeczywistości stało się akurat na odwrót. Ale to nie było w jego stylu i nigdy nie będzie.

– Tak czy owak, teraz już wiesz – kontynuował. – Zresztą powinnaś wiedzieć, ponieważ muszę udzielić Louise pomocy, jaką mogę jej zaofiarować jako gliniarz. – Nie, raczej by dał drapak.

– Jeśli jednak postanowi w końcu urodzić to dziecko, musisz pamiętać, że to nie moja sprawa – oświadczył.

Roześmiała się zaskoczona tym oświadczeniem.

– Obiecuję – zadeklarowała.

– Okej. – Kolejna pauza w przekazie od Colina. – Ten sukin... – zaczął i przerwał najzupełniej niespodziewanie.

Kelly wiedziała od dawna, że w jej obecności unikał rzucania mięsem. Musiał zdusić w sobie jakąś soczystą inwektywę.

I zapewne miał też uzasadniony powód, żeby ugryźć się w język.

– Co? – zapytała.

– Ktoś musi powiedzieć dzieciakom o tej sprawie. – Z jego głosu przebijało totalne przygnębienie, gdy udzielał odpowiedzi.

– Przy moim pechu wiadomo, kto z nas dwojga wyciągnie krótszą zapalkę. Czyż nie będą zachwycone, kiedy dowiedzą się, że niebawem zyskają nowego przyrodniego braciszka lub siostrzyczkę?

Przez głowę Kelly przemknęło całkiem sporo słów, jakimi dałoby się opisać reakcję dorosłych dzieci na tego rodzaju nowinę. Słowo zachwycone nie widniało na tej liście.

– Nie mów im o niczym już teraz – doradzała. – Być może twoja była zatroszczy się o to zamiast ciebie...

– Ha! – Colin sformułował złożony z jednego wyrazu komentarz.

– ...albo, czego nie można wykluczyć, zdecyduje się pozbyć dziecka, a w takim przypadku po prostu nie będzie o czym mówić – Kelly z determinacją stwarzała pozory, jakoby nie weszła mu w słowo.

– Nie, że co? – odparł skołowany. – Ona będzie musiała wyjaśnić – albo ja będę musiał wyjaśnić – jak to się stało, że drogi, słodki, cudowny, pełen miłości Teo przestał nagle uchodzić za świetlany wzorzec. Rozpłynął się ot tak, bez żadnego powodu?

– Jeżeli nie pojawi się dziecko, możesz, przynajmniej oficjalnie, udawać, że nie masz zielonego pojęcia, dlaczego gościu prysnął.

– Być może. – Colinowi najwyraźniej brakowało w tej kwestii przekonania i posta nowił wyłożyć swoje racje. – Czuję przez skórę, że ona jednak zechce mieć to dziecko. Teo zażądał od niej, by się pozbyła ciąży. Ale to on sam pozbył się problemu, dając drapak, kiedy Louise nie powiedziała „okej” na tyle szybko, żeby mu przypasować. Ona urodzi teraz to dziecko, żeby zrobić mu na złość, nawet jeżeli nie znajdzie żadnej innej motywacji.

W oczach Kelly tego rodzaju motywacja wydała się graniczyć z obłudą: na tyle, iż zaczęła jej współczuć. Sama z pewnością nie uczyniłaby czegoś takiego, ktoś inny jednak, jej zdaniem, mógł zdobyć się na to.

– Jeśli Louise kieruje się takimi właśnie motywami, pozwól jej powiedzieć o tym waszym dzieciom – namawiała raz jeszcze.

– Z pewnością nie puszcę farby w tej chwili – obiecał Colin.

– Gdybym to zrobił, wyglądałoby to na radość z cudzego nieszczęścia. Ale, jeśli ona zdecyduje – dokona wyboru: tego słowa używa się

przeważnie w dzisiejszej dobie, prawda? – jeśli ona dokona wyboru i postanowi urodzić, dzieciaki i tak będą musiały się o tym dowiedzieć.

– Tak sędzę – przyznała Kelly niechętnie.

– A ty, co porabiasz? – zapytał. – Żywię tylko nadzieję, że miałaś lepszy dzień niż ja.

– Pracuję nad referatem, którego tematem jest podwyższona aktywność gejzerów jako ostrzegawczy symptom zapowiadający erupcję superwulkanu – odpowiedziała. – Za siedemset pięćdziesiąt tysięcy lat ktoś odpowiedzialny za Yellowstone, ktokolwiek by to był, będzie mógł dokopać się do archiwum i poczytać sobie, kiedy skupiska gejzerów znowu zaczną robić się narowiste.

– Przez chwilę sądziłem, że mówiłaś o tym na poważnie – zauważył Colin.

– Nigdy nie wiadomo, ale nie spodziewam się zbyt wiele – przyznała Kelly. – Przy okazji będą mogła wykorzystać kilka fotografii, które zrobiłam pod koniec mojej pierwszej pieszej wyprawy do formacji geotermalnej Coffee Pot Springs, kiedy zaczęło się tam robić naprawdę gorąco. – Łzy zakręciły jej się w oczach. – Wszystko to zniknęło na zawsze. Nikt już nie zobaczy gejzerów w Yellowstone.

– Cieszę się, że miałem taką sposobność. Cieszyłbym się, nawet gdybym nie spotkał tam ciebie, ale w takim przypadku cieszę się wręcz niepomierne – pocieszył ją Colin.

– Dobrze – odrzekła Kelly. – Ja również.

W momencie, kiedy grupa Tryskająca Żaba i Ewoluuujące Kijanki zyskała w końcu możliwość dotarcia do Greenville, wyjazd tam stał się bezcelowy. Miejscowy organizator nie mylił się wcale, informując, iż nikt w tej części stanu Maine nie zamierzał przyjechać na ich występ. Ludzie w Maine

rozumieli śnieg i wiedzieli, jak utrzymać przejezdność dróg. Jednak nawet oni nie przywykli radzić sobie z pogodą taką, jak ta.

Jeżeli nawet miejscowi nie byli na coś takiego przygotowani, to faceci z Kalifornii, którzy ujmując rzecz najogólniej, ugrzęźli w Guilford na dobre, dostawali po prostu białej gorączki.

– Czy gdzieś tutaj w okolicy nie znajduje się przypadkiem miejsce startu Iditarod, wielkiego wyścigu psich zaprzęgów? – zapytał Rob Dicka Barbera.

Zanim właściciel zajazdu Trebor Mansion Inn zdołał udzielić odpowiedzi, Justin zaczął improwizować, podkładając wokalizę.

– Rod, rod, ditarod, I ditarod! Ditarodrodrod, I ditarod!

Można by pomyśleć, że Beach Boysi spotkali pensjonariusza Państwowego Domu Opieki nad Nieuleczanymi Świrami.

– Włóż, proszę, te przyśpiewki do zamrażarki – poprosił go Rob, powstrzymując się od sugestii, żeby wsadził je sobie w dupę. Po chwili doprecyzował prośbę. – Innymi słowy, wyjdź na dwór.

– Na dworze jest zimno – zauważył przytomnie Justin.

– W środku też jest zimno – odparł Rob, co również było trafnym spostrzeżeniem, chociaż w nieco mniejszym stopniu. Obrócił się niezwłocznie w kierunku Barbera. – Nie zaglądamy wcale w zęby darowanemu koniowi, wierz mi – zastrzegł.

– Wiem, że jest zimno. Z tej właśnie przyczyny Bóg stworzył bieliznę z długimi rękawami i nogawkami – odparł Barber.

– Ustawiłem piec na najniższą temperaturę, przy jakiej, moim zdaniem, można wytrzymać, usiłując tym samym zaoszczędzić olej opałowy najdłużej jak zdołam. Ale, tak czy inaczej, skończy się w ciągu kilku następnych dni, obojętnie cokolwiek bym zrobił.

– Kiedy dotrą do Guilford następne dostawy oleju opałowego? – zapytał Rob. Przywykł do ogrzewania gazowego lub elektrycznego. O ile się orientował, nikt w Kalifornii nie używał oleju opałowego.

– Dobre pytanie – pochwalił Barber. – W obecnej sytuacji naprawdę nie mam pojęcia. Nie mam nawet pojęcia, czy na teren stanu w ogóle docierają jakieś dostawy oleju. Wiecie przecież, że nie rośnie na drzewach. Niemalże liczbie mieszkańców miasteczka zapasy oleju wyczerpały się całkowicie.

Rob dawał temu wiarę. Barber okazał się jednym z bardziej obrotnych i zaradnych ludzi, jakich spotkał. Lata spędzone w wojsku mogły mieć z tym jakiś związek. Ojciec pod tym względem przypominał go, chociaż nie dorównywał mu zaradnością.

– Jeśli nie dotrą tutaj żadne transporty z olejem opałowym, co wtedy? – zadał nieco inne pytanie.

Dick Barber cmoknął językiem.

– W takim przypadku sytuacja stanie się bardziej... interesująca, nie zaprzeczycie? W mojej ocenie w takim przypadku mamy dwie opcje do wyboru. Albo zamarzniemy na śmierć albo zaczniemy ścinać drzewa.

– Jeśli chodzi o moją opinię, wcale nie brzmi to jak dwie opcje. Raczej jak jedna – wyraził własny pogląd Justin.

– Och, zgadzam się z tobą – odparł Barber. – Ale mogę ci przysiąc, że znajdą się tacy, którzy się z tym nie zgodzą. Niektórzy ludzie w tym stanie – wpływowi ludzie, dodać trzeba – są zdania, że wyrządzanie krzywdy drzewom z byle jakiego powodu jest niewłaściwe, a nawet moralnie naganne. Ich poglądy są wręcz ortodoksyjne, ponadto nie mają oporów przed ich deklarowaniem.

– Ludzi ich pokroju można również spotkać w Kalifornii – stwierdził Rob. Właściciel zajazdu Trebor Mansion Inn uniósł jedną brew w stronę gęstej, choć już przyprószonej siwizną czupryny.

– Dlaczego nie jestem zdziwiony?

– Nie wiem. Dlaczego nie jesteś? – Rob zaprezentował własny, wykrzywiony uśmiech. – Sam wprawdzie sympatyzuję poniekąd ze zwariowanymi ekologami, ale...

– To ale sugeruje, że jesteś dostatecznie młody, by jakoś sobie z tym poradzić – spostrzegł Barber.

Rob wzruszył ramionami.

– Zawsze wtedy, kiedy można otoczyć drzewa ochroną, o ile nie cierpią przy tym ludzie, jest to godne pochwały, jak sądzę. Ale jeśli ludzie mają zamarznąć na śmierć, o ile nie zdobędą drewna na rozpalenie w piecu, to znaczy, że nadeszła pora wyciągnięcia z komórki siekier i pił łańcuchowych.

– Brzmi rozsądnie. Jesteś pewien, że pochodzisz z Kalifornii? – zakpił nieco Barber. – Z drugiej jednak strony wszystkie pytania zadane w odniesieniu do oleju opałowego, dotyczą w równym stopniu benzyny. Stacja Shella jest zamknięta, gdyby to uszło waszej uwagi. Zatem piły łańcuchowe nie będą pracowały wiecznie czy choćby do końca zimy... pod warunkiem, że zima kiedykolwiek dobiegnie definitywnego kresu.

– Sprawdziłem w Internecie hasło „Rok bez lata” – pochwalił się Rob. – Śnieg w czerwcu! To wcale nie jest takie zabawne, jak można by było pomyśleć.

– Nie. A superwulkan Yellowstone okazał się większą i bardziej paskudną bestią niż ta z dziewiętnastego stulecia – przyznał Barber. – Zatem może wyjść na to, że ludzie będą w pocie czoła nawet w trakcie naszej, jakże pełnej uroku, zimy rąbać sosny siekierami, jak za dawnych czasów. Ale istnieje szansa, że nie będą wycinać starych nasadzeń leśnych. Stare lasy są położone spory kawałek dalej na północ, ale nie w tej w okolicy. Duża część miejscowego drzewostanu wyrosła dopiero po wojnie.

Ludzie przestali zmagać się z uprawą ziemi. Rzucili rolę i przeprowadzili się do miast – albo innymi słowy spakowali manatki i wyruszyli na południe Stanów Zjednoczonych. Stan Maine zamieszkuje teraz więcej ludzi niż w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku, ale liczba mieszkańców nie wzrosła trzykrotnie czy nawet sześciokrotnie więcej, jak w niektórych innych miejscach.

– W to akurat wierzę – zadeklarował Justin. – Jesteście tu ludźmi bardziej osiadłymi niż my na drugim wybrzeżu.

– Ponadto nikt nie przenosi się tutaj z uwagi na pogodę – dodał Rob. – Nikt nie przeprowadził się tutaj z uwagi na pogodę nawet przed hecą z superwulkanem.

– Zapominacie o urlopowiczach – przypomniał im Barber. – Ja nie mógłbym sobie na to pozwolić, obojętnie jak kusząca byłaby to perspektywa. Zarabiam na chleb dzięki nim. Przyjeżdżają do Maine, żeby uciec od Bostonu, Nowego Jorku i Filadelfii. Jeżeli w następnym roku nie będzie lata, nie przyjadą tu żadni wczasowicze. Nie mam pojęcia, co wtedy pocznę.

Rob rozważał w duchu, ile razy słyszał takie rzeczy od czasu erupcji superwulkanu. Częściej niż w ciągu wszystkich minionych lat, jak przypuszczał. Skala wydarzeń przerosła możliwość podejmowania planowych działań. Pozostawało jedynie czekać i obserwować, co się wydarzy w następnej kolejności i radzić sobie z tym w miarę możliwości najlepiej, jak się da.

– Załóżmy, że nie czeka nas tylko jeden rok bez lata – wieszczęł ponuro Justin. – Załóżmy, że stanie się tak przez pięć, sześć lub dziesięć lat z rzędu. Jak będzie wyglądał stan Maine pod koniec tego okresu?

– Piekło – odpowiedział Barber bez chwili zwłoki. – To znaczy piekło jak u Dantego. Pierwsza księga jego tryptyku nosi tytuł Piekło, a Szatan jest

zagrzebany pod lodem. Po upływie dziesięciu takich lat z rzędu zyskalibyśmy prawdopodobnie tyle lodu, żeby utrzymać Lucyfera w lodowych okowach jeszcze przez długi czas.

Do środka wszedł kot, niemal tak wielki jak ryś. Rodzina Barberów na poły profesjonalnie zajmowała się hodowlą maine coonów. Znosiły klimat tych rejonów kraju równie dobrze co wspomniany dziko żyjący kot. Ponadto cechowało je niespotykane łagodne usposobienie. Vanessa dostała na ich punkcie bzika, przynajmniej na samym początku. Rob podejrzewał, że jednak znudziła się nimi: okazywały zbyt małą krnąbrność, by jej przypasować.

Futrzak otarł się o jego nogę. Wydał z siebie odgłos niczym warkot silnika motorówki, kiedy Rob schylił się i pogłaskał go.

– Powiniennem włożyć sobie pod pierzynę jednego albo dwa, jak czynią to Aborygeni w Australii z psami – wpadł na pomysł.

– Są zupełnie jak termofory z wystającymi uszami, wiecie?

Justin skinął głową, przytakując.

– Noc z trzema psami rzeczywiście była chłodna. Od tego właśnie wzięła się nazwa rockowego zespołu z końca lat sześćdziesiątych Three Dog Night.

– Dawno, dawno temu lubiłem ich – rzekł Barber. – Ale mam to już z głowy. Rozmowa o ciepłe skierowała myśli Roba na kwestię elektryczności. Szybko tego pożałował.

– Jak długo jeszcze będziemy mieli prąd? – dywagował na głos.

– Czy śnieżne burze nie złączą linii przesyłowych? A skoro nawet firmy zajmujące się dystrybucją energii nie otrzymują paliwa, żeby wysłać ekipy interwencyjne...

– W takim przypadku powitamy ponownie dziewiętnaste stulecie w pełnej krasie – Barber znów cmoknął językiem. – Czy ówczesny poziom

technologii będzie w stanie zapewnić przetrwanie dzisiejszej liczbie mieszkańców... No cóż, wszyscy będziemy mieli okazję przekonać się o tym, nieprawdaż?

– Granie na okrągło na instrumentach akustycznych przestanie być taką wielką frajdą – zauważył Justin.

Rob dźgnął go palcem wskazującym.

– Właśnie teraz pomyślałem dokładnie o tym samym! Wyjąłeś mi to z ust.

– Wy dwaj moglibyście być ze sobą ohajtnięci. Dawno, dawno temu hajtnąłem się – wyznał Barber. – To także mam już z głowy, ale drogo mnie to kosztowało.

Te słowa przypomniały Robowi o rozwodzie własnych rodziców. Nie bardzo wiedział, co się stało, że Teo tak nagle porzucił matkę, po całkiem długim okresie błogiej sielanki, niemalże na małżeńskim statusie. Czuł przez skórę, że kryło się za tym coś więcej, niż matka skłonna była wyjawić. Jeżeli ojciec wiedział nawet, co jest grane, a najprawdopodobniej wiedział, to i tak nie puszczał pary z ust. Ograniczał się wyłącznie do zdawkowych słów: Zapytaj matkę. Stary chciał też wiedzieć, jakie były szanse na przyjazd Roba do Kalifornii, kiedy stanie z Kelly na ślubnym kobiercu.

Rob obawiał się, że szanse te wyglądały na mniejsze niż żadne. W tych dniach dotarcie z Guilford do Dover-Foxcroft zakrawało na poważne przedsięwzięcie. Wyprawa z Guilford do Bangor albo Portland być może nie byłaby niemożliwa, ale z pewnością wymagałaby ogromnego zachodu. Pragnął pojechać na drugi ślub ojca. Jeżeli jednak to zrobi, w jaki sposób zdołałby tu wrócić? Nie chciał porzucić kapeli. Justin, Charlie, Biff i ten polimorficznie perwersyjny byt w postaci grupy Tryskająca Żaba i

Ewoluuujące Kijanki, wydawali się być teraz rodziną bardziej niż ludzie połączeni formalnymi więzami pokrewieństwa.

– Zaczynam odczuwać głód – oznajmił Justin. – Chcesz iść na śniadanie do knajpki Calvin's Kitchen?

– Czy chcę iść? – zawtórował Rob. – Nie na tyle, żebyś to zauważył. Ale musimy jeść, tak czy owak. Czy Biff i Charlie już wstali?

Jakby na potwierdzenie tych słów, Biff i Charlie zbiegli w tym momencie po schodach z hałasem. Poszli więc wszyscy razem do taniej restauracji. Mieli do niej zaledwie pięć minut drogi. Lokal ten nie słynął z wyśmienitych obiadów. Na przekór opinii Dicka Barbera Rob uważał, że również nie podawali tam wcale świetnych śniadań.

Niemniej jednak ciężko jest spartolić do imentu coś takiego jak jajka z kiełbasą i bekonem czy tarte ziemniaki zasmażane z cebulą. Robowi jednak bardziej niż kiepskie jedzenie doskwierało odosobnienie. Kelnerka i kucharz za kontuarem okazywali dostatek uprzejmości, ale nie dało się ukryć, że obsługują przyjezdnych. Oni znali się z miejscowymi jak stare kobyły – i na odwrót – podobnie jak Rob, Charlie, Biff i Justin znali się nawzajem. Równie wyobcowana z otoczenia czułaby się rodzina czarnoskórych baptystów spacerująca ulicą w tłumie chasydów.

Kiedy niemal dojechał okruszki, dotarło do niego, że odosobnienie może mieć więcej niż jedno znaczenie. Jeśli pojawiły się problemy z docieraniem dostaw oleju opałowego i benzyny na wiejskie obszary stanu Maine położone na północ i zachód od autostrady międzystanowej, to co z żywnością? Jasne, można wziąć się za ścinanie drzew, palić nimi w piecach i być może dzięki temu uniknąć zamarznięcia na śmierć. Ale czy da się wykarmić ludność połowy stanu, licząc wyłącznie na łosie, dzikie kaczki i co tam jeszcze uda się upolować?

Wyglądało to na mało prawdopodobne. Co mieliby począć ludzie, gdyby zapasy żywności zaczęły się wyczerpywać? Wszystkie kurtki puchowe marki L.L. Bean zwiezione z całego świata nie zaspokoją przecież głodu. Kiszki można napełnić wyłącznie tym, co da się zjeść. Ale skąd wziąć żywność?

ROZDZIAŁ XXI

Bryce Miller z impetem – łup! – położył trzy egzemplarze rozprawy doktorskiej na biurku swego promotora. Stworzenie fizycznych kopii stanowiło formalność, gdyż treść została zredagowana już dość dawno temu. Profesor Harvey Harriman dorzucił swoje trzy grosze do każdego z rozdziałów zapisanych w pliku programu Word, w którym to edytorze wydrukowano dysertację. Zasadniczo wyróżnia się dwa typy promotorów: tacy, którzy nie w pełni wykonują obowiązki oraz ci, którzy w ich wypełnianiu wykazują nadgorliwość. Harvey Harriman reprezentował tę drugą szkołę.

Profesor podał mu dłoń.

– Gratulacje, Bryce – oświadczył miękkiem, pedantycznym głosem.

Zmierzał powoli do profesorskiej emerytury, chociaż wyglądał o dobrych dwadzieścia lat młodziej, niż w rzeczywistości sobie liczył. Być może, niczym Dorian Gray, posiadał gdzieś portret, który brał razy od losu i starzał się zamiast pierwowzoru.

Pracował na Uniwersytecie Kalifornijskim w Los Angeles od czasów, kiedy rozprawy doktorskie pisano na elektrycznych maszynach do pisania model Selectrics produkcji IBM, a zarazem od czasów, kiedy Uniwersytet Kalifornijski, jako cały system, dysponował dostatkiem funduszy. Prawdopodobnie tyleż lat, mniej więcej, profesor paradował również w marynarce w szkocką kratę. Tłumaczenia dzieł Ajschylosa i Sofoklesa, jakie wyszły spod pióra jego ojca, uznawano za klasykę w gronie filologów klasycznych. On sam nigdy nie dokonał niczego równie znamienitego, lecz z całą pewnością posiadał ponadprzeciętny potencjał.

– Dziękuję – odparł Bryce. – Jest mi jedynie przykro, że zeszło mi się z tym dużo dłużej, niż zakładałem.

– Z dysertacjami często tak właśnie bywa – zauważył profesor Harriman.
– A poza tym, jak wiesz, może zadziałał tu, pod przykrywką, ślepy los, agathe tykhe. Załóżmy, że obroniłbyś się w przewidywanym terminie. Załóżmy, że dostałbyś pracę na Uniwersytecie Wyoming lub na uczelni stanowej w Idaho lub gdzieś w tamtej okolicy.

Sądząc po sposobie, w jaki o tym mówił, wszystkie uniwersytety położone na górzystych obszarach Środkowego Zachodu dało się wymieni ć jednym tchem.

Nawet jeśli zakrawało to na naiwność, w takim podejściu kryło się coś racjonalnego. Powinien bowiem poczytywać sobie za szczęśliwe zrządzenie losu, że nie wylądował gdzieś tam na etacie. Bryce mógłby nie wyjść cało z opresji, gdyby tam właśnie utknął.

– Tak czy owak zawarłem krótką znajomość z superwulkanem, choć nie całkiem miłą.

– Tak, to prawda – przyznał Harriman. – Cieszę się, że zdołałeś wrócić do nas w jednym kawałku. I w nie mniejszym stopniu odczuwam radość, mając w ręku jeden egzemplarz twojej dysertacji dla siebie, jeden dla biblioteki wydziałowej oraz jeden dla Uniwersyteckiej Biblioteki Naukowej.

Ileż to razy Bryce zmagał się z koniugacją doryckich czasowników? Oj, wiele. Jeden z bibliotecznych regałów wypełniały w całości rozprawy doktorskie, gromadzone już od połowy stulecia z okładem. Czy ktoś kiedykolwiek skierował na nie wzrok? On sam nigdy tego nie uczynił, co w pełni sobie uświadamiał. Niektóre z dysertacji koniec końców wydawano w postaci książkowej. Reszta... musiała zapewne wydawać się istotna w swoim czasie, przynajmniej w oczach nieudaczników, którzy z mozołem je sklecili.

Czy świat okaże gotowość przyjęcia kolejnego opasłego studium dzieł Teokryta tudzież innych wybitnych poetów epoki hellenistycznej. Czy uniwersytety Oxford, Cambridge i Harvard przystąpią do ząartej i bezpardonowej licytacji o prawa do opublikowania dzieła? Jeżeli tak, to mogłyby wypłacić mu zaliczkę, tak jak opłacały go dotąd w kwocie trzycyfrowej. Ale raczej tak się nie stanie. A przynajmniej uznawał to za mało prawdopodobne.

– Co zamierzasz robić teraz, gdy już ukończyłeś rozprawę? – zapytał profesor Harriman, zupełnie jakby chciał położyć nacisk na ten właśnie aspekt sprawy.

– Rozejrzę się za jakąś pracą. Cóż innego mi teraz pozostaje? – odparł Bryce – Hm, tak. – Harriman nie musiał się tym zamartwiać. Być może nie piastował tu etatu od czasów epoki hellenistycznej, ale sprawiał wrażenie, jakby sprawy tak się właśnie miały. Odkaslnął subtelnie. – Sytuacja w kwestii zatrudnienia jest... w tym momen cie trudna. W warunkach obecnego kryzysu wydziały filologii klasycznej same znalazły się pod niespotykaną dotąd presją. Niewątpliwie jesteście tego świadomy.

– Niewątpliwie – potwierdził Bryce z kamiennym wyrazem twarzy.

Szansa na jakieś stanowisko pojawiała się wyłącznie wtedy, kiedy osoba aktualnie je piastująca przenosiła się definitywnie na łono Abrahama. Ale nawet w takich razach dany uniwersytet z dużym prawdopodobieństwem redukował etat, zamiast kimś go obsadzać. Nie chodziło zresztą wyłącznie o etaty. Wydziały filologii klasycznej, bez wyjątku, stanęły w obliczu cięć. Ten sam los osiągnęła wydziały romanistyki oraz wszystkie inne, które w żadnej mierze nie mogły okazać się bezpośrednio pomocne w wygrzebywaniu ludzi zasypanych przez superwulkan. Kwestią, jaki świat udałoby się odkryć po zakończonym odkopywaniu ofiar – o ile udałoby się je odkopać – uczeni zawracaliby sobie głowę w późniejszym czasie.

– Cóż, zatem... – Harvey Harriman rozłożył szeroko starannie wypielegnowane dłonie.

– Ach, przyjmę każdy rodzaj pracy, jaką mi zaoferują – zadeklarował Bryce. – Jeżeli ktoś zapragnąłby, żebym uczył historii cywilizacji zachodniej na dwuletnim college’u przygotowującym do studiów wyższych, z pewnością się tego podejmę. Gdyby jakieś katolickie liceum ogólnokształcące potrzebowało nauczyciela łaciny, mogę uczyć łaciny. A jeśli jedynym, co uda mi się znaleźć, będzie byle jaka praca na uczelni, jeśli wie pan, o czym mówię, to również przyjmę ją i to z pocałowaniem ręki.

– W pełni to rozumiem. Jeżeli człowiek nie ma co włożyć do garnka, to niestraszny mu nawet tyran i despota za przełożonego. – Harriman wygłosił życiową mądrość, jak gdyby bieda kiedykolwiek zajrzała mu w oczy. Tak, jak gdyby! Jego ojciec być może dawał mu szlaban, kiedy mylił ze sobą zbyt wiele deklinacji, ale takie już było życie. Westchnął i kontynuował temat. – To prawdziwy wstyd, że musisz teraz porzucić to wszystko, czemu poświęciłeś tyle czasu i osiągnięcie czego wymagało od ciebie tyle wysiłku i zgłębiania tematu.

Bryce podzielał zdanie, że to prawdziwy wstyd. Ale przymieranie głodem uznawał za powód do jeszcze większego wstydu.

– Człowiek nie zawsze robi w życiu to, co pragnie robić – skonstatował.
– Czasami robi to, co musi z konieczności i usiłuje jakoś ułożyć sobie życie.

– Czy przyjedziesz w czerwcu na zakończenie roku i rozdanie dyplomów absolwentom Uniwersytetu Kalifornijskiego w Los Angeles? – chciał jeszcze wiedzieć profesor Harriman.

– Mam taką nadzieję. – Bryce olał już tę uroczystość, kiedy rozdawano najpierw dyplomy licencjata humanistyki, a potem magistra nauk humanistycznych. Matka przypuszczalnie wyrzekłaby się go, gdyby uczynił

to kolejny raz. Podobnie zresztą jak Susan, z której zdaniem liczył się bardziej – która w tej chwili właśnie czekała na niego.

Pożegnał się z profesorem Harrimanem. Zachodził w głowę, czy jeszcze kiedykolwiek zobaczy ponownie mury Wydziału Filologii Klasycznej Uniwersytetu Kalifornijskiego w Los Angeles. Dawno temu w budynku Wydziału Polityki Publicznej załęgły się mole książkowe zgłębiające tajniki biznesu. Teraz już mają do dyspozycji samodzielny, większy, nowszy i bardziej elegancki przybytek edukacyjny: Szkołę Zarządzenia im. Andersona [Anderson School of Management]. Filologia klasyczna wprowadziła się do kilku spośród zwolnionych przez nich pomieszczeń, co można by przyrównać do zjadania resztek po nich – albo, gdyby ktoś chciał ująć rzecz nad wyraz cynicznie, do bzykania panienki, w którą dopiero co spuścił się inny facet.

Gmach North Campus Center Susan ochrzciła mianem „u Maxima”. Być może dowcip ten opowiadano wyłącznie w gronie studentów wydziału historii; Bryce nie słyszał go nigdy wcześniej, zanim zaczął się z nią prowadzić. Siedziała przy jednym z dużych stołów wystawionych na zewnątrz. Nie padało, co należało uznać za rzecz niezwykłą podczas tej zimy, kiedy ziemia wyrażała niezadowolenie. Wstała, gdy podszedł bliżej.

– Czy załatwiłeś wszystkie formalności?

– Tak, jestem załatwiony na dobre – i to bez mydła – odparł z sarkazmem.

– Hej przecież dokonałeś czegoś nadzwyczajnego – podtrzymała go na duchu. – Jak chciałbyś to uczcić?

– Ludzie będą gadać, gdybyśmy zrobili to właśnie tutaj – zrzędził Bryce. Susan spojrzała na niego z kwaśną miną.

– No to może kawa i ciasto z owocami w zamian?

– Mówisz o nagrodzie pocieszenia! – rzekł grobowym głosem.

Wymierzyła mu kuksańca w żebra. Niewiele to pomogło – wykazywała dużo większą wrażliwość niż on na tego rodzaju bodźce. W końcu poszli razem do Maxima.

Susan zamówiła kawę i ciasto z owocami. Bryce zaordynował dla siebie ciasto z owocami oraz colę. Ona stawiała.

– Przed chwilą złożyłeś gotową rozprawę doktorską – podjęła rozmowę.
– Czyż to nie fantastyczne uczucie?

– Nie mam pracy. Nie mam żadnych szans na pracę. Rozmawiałem z moim promotorem o tym, co mam teraz ze sobą począć: On również nie podsunął mi żadnych rewelacyjnych pomysłów. Czyż to nie fantastyczne uczucie? – Jeszcze jeden powód, żeby to Susan fundowała.

– Prędzej czy później trafi ci się jakaś okazja – pocieszała.

– Kiedy ja skończę, też mi się trafi jakaś okazja. Czy poświęciłbyś tyle czasu i wysiłku, gdybyś naprawdę uważał, że nigdy nie zyskasz sposobności wykorzystania zdobytej wiedzy?

Siedzieli na dwóch krzesłach ustawionych obok murku z cegieł postawionego wokół okrągłego kominka na gaz. Ciepło grzało mile i przyjemnie. Bez dwóch zdań Susan traktowała to pytanie jako retoryczne. Mimo to Bryce zastanawiał się poważnie nad odpowiedzią.

– Wiesz co, uważam, że poświęciłbym – odparł w końcu.

– Cóż innego mógłbym robić w zamian? Sprzedawać w sklepie? Pośredniczyć w handlu nieruchomościami? Większe pieniądze zarobiłbym, angażując się w handel nieruchomościami...

– Uwzględnivszy fluktuacje na rynku, mógłbyś równie dobrze dołożyć do interesu – przerwała mu Susan.

– Tu akurat masz rację – przyznał Bryce. – Cokolwiek bym robił, nie czerpałbym z tego wiele radości. I oto jestem, lada chwila stuknie mi trzydziestka, zawsze wymigiwałem się od pracy, która zapewniłaby

godziwe utrzymanie. Nie da się tak żyć bez końca, chyba że człowiek dostanie spadek lub coś w tym rodzaju, ale jak dotąd wiodło mi się wcale nie najgorzej.

Jeden z powodów wiecznego wymigiwania się od pracy, która zapewniłaby godziwe utrzymanie, wynikał z faktu porzucenia studiów przez Vanessę i pójścia na posadę. Gdy dodało się jej przyzwoite zarobki do grosików, jakie on przynosił imając się dorywczych zajęć, to w sumie żyło im się w miarę dostatnio. Od czasu rozstania musiał nagłowić się więcej, żeby związać koniec z końcem. W tej chwili jednak nie chciał przywoływać w pamięci wspomnień o Vanessie.

– Brakuje ci... pragmatycznego podejścia – orzekła Susan. Swoją drogą Vanessa mówiła mu to samo. Czy mu się to podobało czy nie, wspomnienia o Vanessie i tak bezwiednie powracały. Lecz ona mówiła te słowa po to, by zranić go, o ile nie z zamiarem potępienia go bez pardonu. W przypadku Susan rzecz ograniczyła się wyłącznie do stwierdzenia faktu.

– Winny – oznajmił. Dodać trzeba, iż on sam w pełni zdawał sobie z tego sprawę. – Żywię poniekąd obawy, iż nikt, kto pisuje poematy wzorowane na starożytnych bukolikach, nie dostanie stałej rubryki w „Wall Street Journal”.

– To właśnie miałam na myśli. Przecież je opublikowałeś. Moim zdaniem to cudowne – zapewniła Susan.

Bryce również uważał to za cudowne. Rzecz jasna nie zarobił na ich opublikowaniu żadnych, ale to żadnych pieniędzy. Aż tu nagle, jak grom z jasnego nieba, brat Vanessy znalazł wydawcę za honorarium – naprawdę znalazł – własnego opowiadania. Skoro fakt ten wzbudził u Bryce’a uczucie zazdrości (a niechybnie wzbudził), to z pewnością doprowadził Vanessę do szewskiej pasji.

– Żadna dziewczyna nie powinna się mnie trzymać, o ile spodziewa się dzięki temu opływać w bogactwa i dostatki. Albo przynajmniej mieć co do garnka włożyć.

– Trzymam się ciebie, ponieważ tego pragnę, głuptasie – wyznała Susan.

– Tak czy inaczej, jakoś zdołamy związać koniec z końcem. Któż potrzebuje więcej?

Rzesze ludzi potrzebowały lub przynajmniej uważały, że potrzebują więcej. Vanessa zawsze miała ochotę na wołową polędwicę, nawet jeśli domowy budżet nakazywał raczyć się najtańszą mielonką z wołowiny. To, co miała, nigdy nie dawało jej szczęścia. Niekiedy dochodził do przekonania, zwłaszcza tuż przed ich rozstaniem, że nie potrafiła być szczęśliwa, jeżeli nie znalazł się jakiś powód, który sprawiał, iż czuła się nieszczęśliwa.

Susan różniła się od niej. Przez jakiś czas Bryce zachodził nawet w głowę, czy jego związkowi z nią czegoś nie brakuje. W krótkim czasie zorientował się, w czym tkwiło sedno: napięcie. Gdy tylko sobie to uświadomił, przestał za tym tęsknić.

– Ciekaw jestem, co dzieje się na wielkim, szerokim świecie – zmienił temat. – Wielkim, szerokim, parszywym świecie, pomyślał, ale nie wyrwał się z tym. – Teraz nie pozostały mi już żadne wymówki. Muszę w końcu się tego dowiedzieć.

Dzięki opublikowaniu opowiadania za honorarium Marshall zyskał swoje pięć minut sławy w murach Uniwersytetu Kalifornijskiego w Santa Barbara. Z uwagi na niedobory papieru studencka gazetka codzienna przeszła przemianę w tygodnik, ale mimo to na jego łamach zamieszczono notatkę o nim. Fotoreporterka, która pstryknęła mu ujęcie z wydanym drukiem tekstem opowiadania Cóż, dlaczego nie?, wprost zniewalała urodą. Wyimaginował sobie, że również zrobił na niej spore wrażenie – na tyle

spore, iż dała mu nawet numer telefonu, czyniąc to w taki sposób, jakby była wolontariuszką z organizacji charytatywnej rozdzielającej worki z pszenicą wśród ofiar klęski głodu w Zimbabwie, o nogach cieńszych niż patyki lub jakby była kimś innym tego pokroju. Kiedy jednak usiłował zadzwonić do niej, wyszło na jaw, że dała mu lipny numer. Cóż, nikt nie jest przecież w stanie zaliczyć wszystkich pańienek.

Profesor Bolger wystawił mu najwyższą notę z prowadzonego przez siebie przedmiotu, co dało Marshallowi pełną satysfakcję. Otrzymał również radę od profesora, z której, po prawdzie, ucieszył się w nie mniejszym stopniu niż z lipnego numeru telefonu.

– Gratulacje. Zdołałeś sprzedać produkt na rynku, za dostanie się na który ja sam – hm, gotów bym był z pewnością dokonać napaści z bronią, choć może nie ukatrupić – oznajmił Bolger.

– Teraz musisz rozstrzygnąć, dokąd chcesz wyruszyć z tego miejsca.

Tak naprawdę Marshall pragnął oddalić się z pełnego dzienników i periodyków profesorskiego gabinetu. Niestety, jeszcze przez kilka najbliższych minut takie wyjście uważał za mało praktyczne.

– Uhm – zgodził się, usiłując przy tym stwarzać pozory zainteresowania, choć myślami odleciał gdzieś daleko.

– Jeśli masz jeszcze inny kawałek, który uważasz za dobry, powinieneś przesłać go temu samemu wydawcy i to bez zbędnej zwłoki – kontynuował wywód profesor. – Każdemu – no cóż, wielu ludziom – może przytrafić się łut szczęścia raz. Umiejętność opublikowania za honorarium kilku tekstów kolejno jeden po drugim stanowi różnicę między pisarzem a kimś, kto pisze do szuflady, jeżeli wiesz, co mam na myśli. – Przerwał, niecierpliwie oczekując jakiejś reakcji.

– Uhm – powtórzył Marshall, zmotywowany w ten sposób, z miną niewiniątka, udając, że przez cały czas nie uronił choćby słowa.

– Istnieje też druga strona medalu. Nie musisz wcale zadzierać nosa wyłącznie z tego powodu, że ktoś przesłał ci czek z honorarium – podjął temat Bolger. – Przed trzydziestoma pięcioma laty, kiedy uczyłem się do ostatniej klasy szkoły średniej, mój przyjaciel opublikował, za stosowną zapłatą, dwa opowiadania w pewnym magazynie, który od tego czasu dawno zniknął z czytelniczego rynku. Przyjaciel ów doszedł do niezbitego przekonania, iż pozjadał wszystkie rozumy, co zresztą niespecjalnie dziwi w tym wieku. W połowie pierwszego roku rzucił studia na Uniwersytecie Waszyngtońskim, postanowiwszy zostać pisarzem. Zdołał nawet opublikować kilka nowel, inkasując honorarium. Od tamtej pory jednak zarabia na życie jako magazynier w domu towarowym Sears, przenosząc towary z miejsca na miejsce. – Znowu zapadła wymowna cisza.

– Nie zamierzam rzucić studiów – zadeklarował Marshall.

– Nie teraz, kiedy jestem o krok od dyplomu. – Jak do tej pory czynił wszystko, co możliwe, żeby tylko nie obronić dyplomu, ale uczelnia zamierzała w końcu wykopać go stąd wprost w objęcia realnego świata, bez względu na to, jak bardzo perspektywa ta jawiła mu się obmierzła.

– Mam nadzieję, że nie rzucisz – rzekł z aprobatą profesor Bolger, przez grzeczność zdjęty grozą na samą myśl o tym. – Jeśli będziesz pracował ciężko i zarazem nie wyrobisz w sobie nazbyt wygórowanych oczekiwań, to pisarstwo może okazać się dobrym rzemiosłem na trudne czasy. Koszty ogólne nie są zbyt duże – w praktyce żadne. Poza tym możesz parać się tym jako zajęciem dodatkowym oprócz innej bardziej prozaicznej posady. Ja sam czynię tak od bardzo wielu lat.

– Racja. To ma sens – przyznał Marshall.

Co oczywiste, profesor musiał z konieczności uzupełnić wykształcenie, dodając do dyplomu licencjata kilka innych, bardziej szacownych tytułów. W przeciwnym razie, gdyby ich nie posiadał, nie mógłby przecież wykładać

na uniwersytecie; w kwestii tej Marshall nie żywił nawet cienia wątpliwości. Jedno sprzedane opowiadanie, nawet kilka sprzedanych opowiadań nie zapewniłoby mu tutaj profesorskiego gabinetu.

– Studentom, z którymi prowadzę zajęcia, niezbyt często udaje się coś opublikować. Zdarza się to wprawdzie, lecz nie w każdym semestrze. W żadnym razie – drążył dalej Bolger. – Masz prawo być z siebie dumny. – Rzucił spojrzenie na zegar zawieszony na ścianie naprzeciwko jego biurka. – I nie odkładaj pióra. Nigdy nie tolerowałem sytuacji, kiedy ludzie obdarzeni talentem nie wykorzystywali go.

Ujmując innymi słowy przekaz ten znaczył Dobra, wyczerpałem już do cna czas przeznaczony na twoje konsultacje. Marshall – powiedział do widzenia na pożegnanie i wyszedł. Było późne popołudnie. Słońce schodziło ku horyzontowi, prezentując przesadnie widowiskowy spektakl, jaki ludzie zaczęli już uznawać za gwarantowany od czasu erupcji superwulkanu. Odcienie pomarańczy, czerwieni, purpury, niekiedy także zieleni... Świetlne przedstawienie rozpoczynało się z reguły dobre półtorej godziny przed rzeczywistym zejściem tarczy słońca poniżej linii horyzontu. Nikt nie musiał nawet najarać się ziołem, żeby móc się rajcować widowiskiem, chociaż z pewnością to nie zawadziło.

– Hej, czy to nie jest ten gość, który...? – powiedział ktoś z tyłu za nim, kiedy Marshall zmierzał w stronę stojaka z rowerami.

Przez kilka następnych sekund, jakby urósł i stawiał bardziej sprężyste kroki. Stał się przecież gościem, który. Tak czy inaczej był nim w tej właśnie chwili. Nie upłynie wiele czasu, gdy ktoś inny uczyni coś niezwykłego, co przyciągnie uwagę innych.

Wtedy też ten ktoś, przynajmniej przez krótką chwilę, będzie gościem, który.

Marshall odemknął kłódkę i wsiadł na swój rower. Jak człowiek daje sobie radę, kiedy po jakimś czasie przestaje by i gościem, który. A jak radzą sobie ci, którym przeznaczenie nigdy nie dało przeżyć swoich pięciu minut, gdy stawali się gościami, którzy? Zespół jego starszego brata od zawsze zmagał się z tym dylematem. Grupa Tryskająca Żaba i Ewoluuujące Kijanki chyba nigdy w swojej karierze nie zaznała większego szumu medialnego niż ten, jaki budził zdobywca czwartego miejsca w konkursie American Idol, który przecież stał się tylko prawie gościem, który.

W tym momencie, by poradzić sobie skutecznie, musiał uniknąć kolizji z błotnikiem lexusa, za kierownicą którego siedział jakiś z idiota – nie, idiotka.

– Ty głupawa cipo! – zbluzgał ją Marshall.

Pańcia w lexusie odjechała, demonstrując wyniosłą obojętność charakterystyczną dla ludzi, którzy nie potrzebowali korzystać z siły własnych mięśni, by przedostać się z jednego miejsca w drugie.

Moment później jednak Marshall przeżył chwilę rewolucyjnego triumfu, kiedy jadąc rowerem, minął dwie stacje benzynowe zlokalizowane naprzeciw siebie po obu stronach ulicy. Od czasu erupcji ceny szybowały w górę bez końca. Na jednej ze stacji żądano horrendalnych wręcz sześciu dolarów za galon, przebijając nawet drakońską cenę z poprzednich dni – a przecież to nie mekka turystów, jak stacja przy trasie stanowej 101.

Tablica zawieszona przed drugą ze stacji obwieszczała:

PRZEPRASZAMY – DZIŚ BENZYNY BRAK

Znaczne ilości ropy naftowej przerabianej na benzynę pochodziły z Bliskiego Wschodu oraz innych odległych regionów. Izraelskie rakiety z głowicami jądrowymi wystrzelone w kierunku irańskich pól naftowych w żadnej mierze nie zwiększyły dostaw ropy. Część zaopatrzenia zapewniało jednak wydobycie własne. Superwulkan nie przyczynił się nadmiernie do

wzrostu produkcji krajowej, ujmując rzecz najogólniej. Niektóre z wielkich rafinerii w Teksasie i Oklahomie wciąż jeszcze nie wznowiły przerobu ropy, natomiast sieć transportowa między Zachodnim Wybrzeżem a obszarami położonymi na wschód od Yellowstone wciąż pozostawała całkowicie sparaliżowana.

Co przekładało się na galopujące w górę ceny oraz niedobory. W tym przypadku jedno nałożyło się na drugie. W niedługim czasie ceny benzyny osiągną poziom, przy którym zaczną doskwierać także tej suce w lexusie. Lub, ujmując inaczej, nawet Jej Wysokość nie będzie dłużej w stanie tankować do pełna. A wtedy z konieczności przesiądzie się swoim obrzydliwie bogatym dupskiem na rower, jak czyni to plebs albo po prostu, do cholery, nie ruszy czterech liter z domu.

Niech nadejdzie rewolucja... Kiedy Marshall wrócił do swego mieszkania, wypił colę (promowali ją teraz hasłem Lepsza niż kiedykolwiek, z dodatkiem prawdziwego cukru!, ponieważ podaż syropu kukurydzianego, o wysokiej zawartości fruktozy, spadła do zera, jako że zbiory kukurydzy zalegały pod zwałami popiołu wulkanicznego) i odpalił peceta. Zaczął od wysłania e-maili.

Potem jednak wziął się za pisanie nowego opowiadania, kanwą którego miały być losy osoby na tyle zamożnej, że stać ją na rozbijanie się lexusem i willę w Santa Barbara. Bohaterka nieoczekiwanie przekonuje się, że za swoje pieniądze może kupić coraz mniej i mniej, a niektórych rzeczy nie jest w stanie w ogóle nabyć drogą kupna. Wiedział co nieco o rozwalonych więziach; wystarczyło przywołać w myślach rozbite w perzynę małżeńskie stadło własnych rodziców.

Po paru godzinach i około tysiącu słów przerwał pisanie i przystąpił do ponownej lektury tego, co wyszło spod jego pióra. Skorygował kilka niezbyt zgrabnych sformułowań i dopisał wątek, w którym zamierzał

pokazać, że życie Pani Lexus wcale nie było tak poukładane i zorganizowane, jak dotąd mniemała. Potem skinął głową, sam do siebie. Odczuwał... satysfakcję. Nie bardzo wiedział, jak mógłby lepiej ująć poruszany temat. Gdyby nie przerywał pisania i dokończył dzieło, we własnym osądzie uznał, iż istniały szanse na znalezienie jakiegoś wydawcy, skłonnego opublikować nowe opowiadanie za honorarium.

Wciąż nie wiedział jeszcze tylu rzeczy, nie tylko na temat pisarskiego rzemiosła, ale też o wyszukiwaniu potencjalnych wydawców i o wszystkim, co wiązało się literackim biznesem. On sam zdziwił się w nie mniejszym stopniu, co inni, że ktoś przyjął do opublikowania jeden jego utwór. Czy piorun może dwa razy uderzyć w to samo miejsce? Czy on sam może być albo stać się studentem sztuki kreatywnego pisania, któremu dopi sało szczęście.

Jak rozstrzygnąć tego rodzaju dylemat? Jedyna odpowiedź, jaka przyszła mu na myśl, nakazywała dalej pisać i przekonać się, czy kolejne pisarskie wprawki również zaskoczą. Nie wykazywał wcale większej staranności, niż zwykł to czynić na co dzień. Teraz jednak powinien przysiąc fałdów, o ile zamierzał dokądkolwiek dojść w tej właśnie profesji. Wydawało się to jasne jak słońce.

Czy miał w sobie to coś? A to już wydawało się dużo mniej prawdopodobne. Musiał tylko uczynić wszystko, co w jego mocy, aby osiągnąć ten cel, bez względu na to, co los przyniesie. Jeżeli w tym czasie nie podejmie decyzji, by robić coś innego, być może otrzyma odpowiedź.

Pielęgniarka zmierzyła temperaturę Louise Ferguson za pomocą gadżetu, jaki wsunęła jej do ucha. Stary termometr, wsuwany pod język, stał się nie mniej zabytkowy, co nocnik z epoki wiktoriańskiej. Pomiar ciśnienia krwi jednak wciąż wymagał nałożenia opaski na ramię i użycia stetoskopu.

– Wyniki wyglądają na w normie. Jak się pani czuje dzisiaj? – zapytała pielęgniarka po wpisaniu danych do karty ciąży Louise.

Jedynym sposobem, żeby jej ton zabrzmiał jeszcze bardziej protekcyjnie, byłoby postawienie nieco zmodyfikowanego pytania Jak się czujemy dzisiaj? Ale, tak czy inaczej, sprawa dotyczyła ich dwojga, w przeciwnym razie Louise nie musiałaby siedzieć w gabinecie lekarskim, niecierpliwie przebierając nogami.

– Jak ciężarna – odparła tonem, z którego emanowało wyłącznie totalne przygnębienie.

– No cóż, tak. – Dobrego nastroju kobiety w białym kitlu nie mogło popsuć nic. – Doktor Suzuki przyjmie panią za kilka minut. – Wypadła z gabinetu, niemal zatraskując Louise drzwi przed nosem.

– Mój szczęśliwy dzień – skomentowała Louise, choć niezbyt głośno.

Travis Suzuki liczył sobie o kilka lat mniej od niej. Zawsze sprawiał wrażenie osoby błyskotliwej i pewnej siebie; swoją drogą rzadko miała styczność z lekarzem, któremu brakowałoby asertywności. Sądząc po sposobie, w jaki pełnym godności krokiem wszedł do gabinetu zabiegowego, oczekiwał chyba, że ona klęknie przed nim.

– Jak się pani miewa? – zapytał.

– Miewam się całkiem dobrze – odpowiedziała Louise. Spojrzał na jej kartę.

– Pani wyniki wyglądają nie najgorzej. Żadne z wykonanych wcześniej badań nie wykazało jakichkolwiek nieprawidłowości w rozwoju płodu. Jeśli donosi pani ciążę, istnieją szanse na urodzenie zdrowego dziecka. Jeżeli nie... Cóż, zbliża się pani do końca pierwszego trymestru. Jeżeli z przerwaniem ciąży będzie zwlekać pani dłużej niż do tego terminu, to sprawy znacznie się skomplikują, z czego, jestem pewien, zdaje sobie pani sprawę.

– Tak, zdaję sobie z tego sprawę – potwierdziła Louise. – Cała ta sytuacja w żadnej mierze nie budzi we mnie entuzjazmu. Ponownie prowadzę rozmowy z moimi prawnikami. Jak już panu mówiłam, mój przyjaciel dał drapaką, kiedy dowiedział się, że zmajstrował mi bachora i teraz szukaj wiatru w polu.

– To raczej... niezbyt fortunate – ocenił doktor Suzuki.

– I komu pan to mówi! – odparła Louise podniesionym głosem. – Sprawy ułożyłyby się być może lepiej, gdybym od razu zadeklarowała, że chcę się go pozbyć. Skoro tego nie zrobiłam, Teo... ulotnił się. Gdybym teraz usunęła ciężę, zrobiłabym dokładnie to, czego chciał on. Niech mnie szlag, jeśli rozumie pan, co mam na myśli.

Doktor Suzuki skinął głową.

– Sądzę, że rozumiem – oznajmił, ona zaś skłaniała się dać mu wiarę... Nie była przecież wcale pierwszą, której biadoleń i utyskiwań wysłuchiwał. – Jeżeli urodzi pani to dziecko – podjął temat lekarz, jak gdyby chcąc potwierdzić jej przekonanie – czy zdoła pani powstrzymać się od przeniesienia na dziecko negatywnych uczuć skierowanych do jego ojca?

Pytanie trafiało w dziesiątkę. Ona sama zadawała je sobie i to niejednemu raz.

– Mam taką nadzieję – odpowiedziała niespiesznie. – W końcu przecież dzieciak niczemu nie zawinił. Jestem tego świadoma.

– W porządku – odrzekł, chociaż zabrzmiało to bardziej jak przyjęcie do wiadomości niż aprobatą. Plask! Plask! Nałożył parę cienkich gumowych rękawiczek. – Poproszę teraz Terri, a potem zbadam panią.

Terri! Tak miała na imię pielęgniarka. Obojętne, jak często Louise przychodziłaby tu z wizytą, nigdy nie zdoła zapamiętać jej imienia. Ściągnęła majtki i położyła stopy na strzemionach zamontowanych na

końcu ginekologicznego fotela. Nosila teraz bawełnianą bieliznę, niezbyt funkcjonalną, ale za to wygodną.

Kiedy zeszła się z Teo, zaczęła nosić skąpe, przezroczyste figi, po raz pierwszy od czasów, gdy miała lat dwadzieścia parę. Młody Latynos lubił te rzeczy. No cóż, teraz nie przejmowała się już tym, co kręciło Teo... w tym również majtochami wedgies wsuniętymi między pośladki.

Terri weszła do gabinetu w charakterze formalnej przyzwoitki. Czy ginekolog mężczyzna nie mógł obmacywać intymnych części kobiecego ciała bez asysty drugiej osoby, która miała dopilnować, żeby nie doszło do żadnych figli-migli o podtekście seksualnym? Oczywiście, że nie mógł.

– Nie zbiera się panu na mdłości i nie czuje pan znużenia, gapiąc się na damski srom przez cały dzień? – zapytała Louise, kiedy doktor Suzuki przystąpił do wykonywania rutynowych obowiązków.

Wyprostował się na moment i roześmiał się zaskoczony.

– Nikt nigdy dotąd nie zadał mi takiego pytania – przyznał.

– Ale idę o zakład, że i jedno, i drugie. Po krótkim czasie, gdy się już opatrzy, ta robota staje się taka sama, jak każda inna.

Być może była to prawda, a być może nie do końca. Co bardziej prawdopodobne, była to zarazem prawda i fałsz. On z pewnością nie przejmował się widokiem cipy damulki w dojrzałym już wieku bardziej, niż gdyby dokonywał oględzin jej łokcia. Gdyby jednak w jego gabinecie zjawiała się prześliczna młoda łaska z prześliczną młodą cipką, to zdaniem Louise jego zainteresowanie wzrosłoby ponad poziom uznawany za czysto profesjonalny. Gdzieś kiedyś zasłyszała, że ginekolodzy statystycznie biorą rozwody częściej niż reszta medycznych specjalności. Nie mogła sobie przypomnieć, gdzie to zasłyszała i nie miała wcale pewności, czy to prawda, ale wcale by to jej nie zaskoczyło.

Sposób, w jaki lekarz dotykał ją palcami, z pewnością miał charakter li tylko zawodowy. Doktora Russella również cechował pełny profesjonalizm, chociaż wtedy miała dużo lat mniej. Pewnego razu, kiedy do przyjścia na świat szykował się Rob, Colin wybrał się razem z nią na okresowe badanie. Wcale mu się nie spodobał widok obmacujących ją palców innego faceta. Rozumiał, że czynność ta miała charakter merytoryczny. Mimo to w żadnej mierze nie przypadło mu to do gustu.

Doktor Suzuki skończył robić to, co miał do zrobienia.

– Może już pani założyć majtki – rzekł, jednocześnie ściągając rękawiczki i wrzucając je do kosza na odpadki.

Louise zdjęła stopy ze strzemion, wstała i opuściła spódnicę, zanim wzięła się za zakładanie bielizny dolnej.

– Czy wszystko jest w porządku? – zapytała.

– Z całą pewnością tak to wygląda. Zadbana pani o siebie z odpowiednią troskliwością – udzielił odpowiedzi doktor Suzuki, bez wątpienia mając na myśli następujący przekaz Nie jesteś już podlotkiem, kochanie. Zgoda, to w końcu nic, czego Louise wcześniej by nie wiedziała. – Jeżeli zdecyduje się pani donosić ciążę, aż do terminu rozwiązania, nie widzę żadnych medycznych przesłanek, które wskazywałyby na możliwość jakichkolwiek komplikacji przy porodzie. Powinienem w zasadzie stwierdzić, że nie widzę teraz. Jeżeli ciśnienie krwi podniesie się albo w moczu pojawi się białko... Ale to zupełnie inna historia.

– Rozumiem – powiedziała Louise. – Gdybym postanowiła przerwać ciążę, nie stałoby się tak z przyczyn medycznych.

– Otóż to. – Specjalista położnictwa i ginekologii lekko zmarszczył brwi. – Nie posiadam niestety dostatecznych kwalifikacji, by udzielić pani porady w kwestii, ee, osobistego wyboru.

– Rozumiem to również – Louise wykrzywiła usta, jakby nagle poczuła w nich cierpki smak. – Musi pan wiedzieć, że kochałam tego człowieka. Kochałam go tak mocno, jak nikogo od czasów, kiedy byłam dzieckiem. On odwzajemniał to uczucie. Z pewnością... do chwili, kiedy zaszłam w ciążę. Nie potrafił sobie z tym poradzić, no i w konsekwencji dał nogę. A ja trafiłam tutaj.

– Trafiła pani tutaj – przyznał doktor Suzuki. – Co ponownie prowadzi nas do kwestii, którą poruszyłem już wcześniej.

– Niejeden raz rozważałam w duszy, czy przeniosę na dziecko urazę – wyjawiała bez pośpiechu Louise. – Ale tak naprawdę nie sądzę. Dołożę starań, żeby zachować w pamięci wyłącznie dobre chwile spędzone z Teo, nie te złe. Chociaż trochę się ich przydarzyło. Całkiem niewiele, przynajmniej do czasu, kiedy zostawił mnie na pastwę losu.

– To jest chyba całkiem rozsądne podejście. – Ginekolog starał się mówić powściągliwie. Zresztą nie dziwota. W końcu czemu mieli służyć lekarze? Poza tym, wiedział dobrze, o czym mówi.

– Czy da pani radę wstawać o trzeciej nad ranem po raz czwarty tej samej nocy, wiedząc, że rano musi pani iść do pracy?

– Nie wiem – odparła szczerze. – Ale przecież każda mama jest gotowa utopić bachora w łyżce wody, gdy tak się dzieje.

Uśmiechnął się.

– Prawda. Być może jest gotowa, ale nie uczyni tego.

– Nie sądzę, żebym ja to uczyniła. Zdaję sobie przecież sprawę, że to nie wina oseska – niemowlaki po prostu tak mają. A do tego czasu kawa znowu będzie mi smakować, zatem dopomoże mi jakoś funkcjonować.

– W porządku. Nie mogę pani doradzać, co powinna pani uczynić. I nie podejmuję nawet takiej próby. Ale zależy mi na tym, żeby zrozumiała pani, jaką ma alternatywę. – Najwidoczniej doktor Suzuki tkwił w wierze, że

musiała postradać zmysły, skoro dopuszczała choćby myśl o donoszeniu ciąży.

– Lepiej, żeby tak było, przynajmniej w chwili obecnej. Na dobrą sprawę myślę wyłącznie o tym, odkąd stwierdziłam u siebie odmienny stan.

Louise nie pofatygowała się poinformować lekarza, że należała do grona ludzi, którzy z większym prawdopodobieństwem postępują w określony sposób, ponieważ w przekonaniu wszystkich ich przyjaciół i znajomych taki postępek wskazywałby na ewidentny brak piątej klepki. Dobrym przykładem mogło tu posłużyć porzucenie Colina dla Teo.

Tak. I zobacz, jak dobrze na tym wyszłaś, szydziła z siebie w duchu. Wciąż jednak obstawała przy tym, iż czuła się teraz bardziej szczęśliwa, na przekór wszystkiemu, niż gdyby jednak została. Pozostanie byłoby tożsame z powolnym umieraniem. Nigdy nie emanowała takim wigorem i nie tryskała życiową energią, jak po odejściu z domu.

A teraz gdzieś w środku w niej pojawiło się nowe życie. Kiedy odchodziła z domu, wcale nie zakładała takiej ewentualności. Czy rzeczywiście starczy jej energii, by wychować kolejne dziecko? Odpowiedź na ten dylemat przybliżała się z każdą chwilą.

Colin Ferguson siedział na niewygodnym krześle w pozbawionej okien sali konferencyjnej komendy policji w Torrance. Miasto Torrance plasowało się na pierwszym miejscu pod względem wielkości w rejonie South Bay, mogło też pochwalić się największym wydziałem policji. Rzeczony wydział dysponował największym budynkiem, a rzeczony budynek dysponował największą salą konferencyjną w całym regionie. Torrance ulokowało się ponadto w centralnym położeniu. Zgodnie z logiką zatem było miejscem, w którym spotykali się gliniarze tropiący Dusiciela z South Bay. Ale Colin bywał już w salach konferencyjnych, które emanowały cieplejszą i bardziej ludzką atmosferą.

Obok niego Gabe Sanchez wiercił się na swoim siedzeniu. Colin zorientował się, że nie chodziło o kiepskie krzesło. Nie, najprawdopodobniej Gabe potrzebował działki nikotyny w postaci kilku sztachnięć. Obecnie we wszystkich niemal bez wyjątku miastach Kalifornii obowiązywał zakaz palenia w miejscach takich jak to. Colin nigdy nie uległ temu konkretnemu nałogowi. Nie odczuwał też szczególnej tęsknoty za odprawami w kłębach dymu w czasach, kiedy dopiero zaczynał policyjną służbę. Gabe natomiast tkwił w szponach nałogu.

Pierwsze miejsce za długim stołem zajmował Nels Jensen. Kapitan policji z Torrance miał srebrzyste włosy pokryte matowym lakierem oraz rysy twarzy, które można by uznać nawet za dystyngowane, gdyby tylko nie osadzone zbyt blisko siebie oczy. Miał na sobie drogi garnitur, który wyglądał na drogi. Colin miał głęboko w dupie, jak gość mógł pozwolić sobie na taki wydatek...

Jensen rozejrzał się po sali. Przybyli już wszyscy, którzy powinni się tu znaleźć.

Gliniarze w najczęstszych razach nie zwykli się spóźniać. Gdy tylko na zegarze zawieszonym na ścianie wybiła punkt druga, kapitan powstał, co automatycznie ściągnęło na jego osobę spojrzenia reszty zebranych.

Skinął głową ociężale i poskrobał dłonią kilka dokumentów, jakie leżały na stole przed nim.

– No więc, panowie, dziś rano otrzymałem kolejne raporty z analiz DNA – rzekł na rozpoczęcie. – Obawiam się, że jest to informacja oficjalna. Najnowsze zabójstwo możemy ze spokojem zapisać na konto tego sukinsyna z South Bay.

– To chyba żadna niespodzianka – wymamrotał Lou Ayers. Porucznik z Palos Verdes siedział o kilka miejsc od Colina. I miał zupełną rację. Ślady zostawione przez zabójcę Margot Keller, aż za bardzo pasowały do sposobu

działania Dusiciela, żeby pozostawały jakieś wątpliwości. Drań znowu wziął się za swój niecny proceder. Pani Keller – wdowa – zdołała dożyć siedemdziesięciu trzech lat, mieszkała samotnie, została uduszona i zgwałcona, a w jej starannie utrzymanym szeregowym domku nie znaleziono choćby jednego odcisku palca, który nie należałby do niej.

Mały domek w zabudowie szeregowej wzniesiono w Torrance, w niedużej odległości od wielkiego centrum handlowego u zbiegu Redondo Beach Boulevard i Hawthorne Boulevard. To jeszcze jeden powód, by kapitan zorganizował odprawę tu właśnie.

– Musimy w końcu dopaść tego faceta. Naprawdę musimy. Za każdym razem, kiedy za jego sprawą kolejna ofiara przenosi się na łono Abrahama, media wysuwają szpony i bez pardonu mieszają nas z błotem.

Daruj sobie tę metaforę! – pomyślał Colin. Nie sympatyzował z poglądami politycznymi prezentowanymi przez „New Yorkera”, ale cenił tygodnik za cięty dowcip.

– Dusiciel zdecydowanie za długo psuje nam medialny wizerunek – grzmiał Jensen. – Nie wiem, jakie zdanie ma reszta, ale mnie wcale się nie podoba, kiedy jakaś gazeta czy telewizyjny serwis informacyjny nazywa – ee, nazywają – mnie głupkiem, kompletnym zerem i nieprzydatnym do niczego fajtłapą.

Nie awansują mnie na komendanta, jeśli media nie przestaną określać mnie tego rodzaju epitetami, a przynajmniej w żadnym z miast w okolicy. Taki przekaz krył się między wierszami. Colin słyszał go jasno i wyraźnie. Jak przypuszczał, pozostali funkcjonariusze zebrani w sali konferencyjnej, również to słyszeli. Roy Schurz czuł się jak ryba w wodzie jako szef policji w Orofino, stan Idaho. Z faktu, iż Roy czuł się tam szczęśliwy, Colin czerpał przeogromną satysfakcję. Gdyby nie był tam komendantem, Kelly wciąż jeszcze mogła pozostawać uziemiona na dobre w Missouli. Mimo to,

nawet zanim doszło do erupcji superwulkanu, Colina jakoś nie ciągnęło, by zamieszkać w Orofino – nie, nie chciałby, nawet za wszystkie plastikowe tandetne gadzety wyrabiane w Chinach. W tym akurat punkcie, lecz tylko i wyłącznie w tym, sympatyzował z Nelsem Jensenem.

– Któregoś dnia dupek musi popełnić błąd – ciągnął Jensen płaczliwym tonem, nucąc smętną melodię, którą Colin – i wszyscy pozostali na tej sali – także nucili. – Ktoś coś zobaczy albo coś usłyszy albo drań wybierze sobie na ofiarę wdowę po gliniarzu, ona zaś odstrzeli mu łeb ze służbowego rewolweru męża. Tak czy owak.

Takie zachowanie nazywa się dodawaniem sobie otuchy. Można było odnieść wrażenie, że żaden z gliniarzy nie chciał spojrzeć w oczy drugiemu. Ale przy tej okazji w głowie Colina zaświtała pewna myśl. Podniósł rękę do góry, jak robi to uczeń w szkole. Jensen skinął głową w jego kierunku.

– Czy mamy choćby zielone pojęcie o tym, w jaki sposób ten gość wybiera swoje ofiary? – postawił pytanie Colin.

– Z pewnością nie krąży po ulicach do chwili, kiedy wypatrzy jakąś starszą panią drobnej postury, która wyszła sobie na spacer. To wykluczone – on najpierw wszystko sprawdza, jeszcze zanim się włamie i dokona zbrodni. A zatem, w jaki sposób je wynajduje? W kościołach? W ośrodkach integracji ludzi starszego pokolenia? Na Facebooku, na litość boską? Jeżeli zdołamy to rozwikłać, znajdziemy się o krok bliżej od zrozumienia, co tym facetem powoduje. Jak do tej pory nie próbowaliśmy jeszcze tego podejścia, o ile się orientuję.

Czekał na opinie innych gliniarzy na ten temat. Ludzie przy stole powoli zaczęli potakująco kiwać głowami.

– Dzięki temu będziemy przynajmniej mieli coś do roboty oprócz rzucania bluzgów pod adresem tego łotra, w każdym razie – oznajmił porucznik Ayers. I znów kolejne skinienia głowami.

– Możemy pójść tym tropem. – Kapitan Jensen brzmiał teraz jak papież wyrażający aprobatę dla słów jednego z kardynałów wypowiedzianych podczas soboru powszechnego. Jeżeli on sądzi, że zamierzam ucałować jego pierścień, to może pocałować mnie w dupę, przemknęło Colinowi przez myśl. – W żaden sposób nie możemy wiedzieć, czy uda się nam dzięki temu natrafić na jakieś poszlaki, ale nie widzę powodu, żeby miało to nam w czymkolwiek zaszkodzić.

Kiedy wyszli na zewnątrz po zakończonej nasiadówce, Gabe w pierwszej kolejności zaspokoił nikotynowy głód. Następnie wygłosił krótki komentarz.

– Przedstawiłeś na sali całkiem dobry pomysł. Pan bufon i szpaner chyba się tym bardzo podniecił.

– Nie. – Colin zaprzeczył ruchem głowy. – Tak naprawdę rajcuje się jedynie rzeczami, które sam wymyśla.

W tym momencie napał na niego jakiś reporter – prasa zwiedziła się już, że Dusiciel z South Bay uderzył ponownie. Ponieważ jednak tym razem seryjny zabójca zaatakował w Torrance, Colin mógł z przekonaniem tłumaczyć się niewiedzą. Nie tylko zresztą mógł, ale tak też uczynił. Jemu i Gabe'owi udało się dotrzeć do samochodu bez większego szwanku, ujmując rzecz z grubsza.

Kiedy dotarł do domu i zasiadł do kolacji, włączył wiadomości. Na ekranie pojawił się Nels Jensen, który udzielał wywiadu telewizyjnemu reporterowi.

– Moim zdaniem chyba dobrym pomysłem będzie sprecyzowanie sposobu, w jaki sprawca namierza swoje ofiary. Czy wyszukuje ich po kościołach, w miejscach, gdzie gromadzą się osoby w podeszłym wieku czy, być może nawet wykorzystując nowoczesną technologię i serwisy

społecznościowe? W chwili obecnej analizujemy dogłębnie wszystkie z wymienionych ewentualności.

Colin powstrzymał się od rzucenia talerzem z kolacją niczym dyskiem frisbee w ekran telewizora. Pieprzony odbiornik kosztował całkiem słono. Jednakże niewiele zabrakło, a zadławiłby się, słysząc, jak Jensen nie tylko wychwala się zapożyczonymi od niego wnioskami, ale, jakby nie dość tego, zamienia to wszystko w tępy i bezmyślny biu rokratyczny bełkot. Czy prawdziwe jest powiedzenie, że żaden dobry pomysł nigdy nie uchodzi pomysłodawcy bezkarnie? Najwyraźniej wszystko na to wskazywało.

Odczuł zadowolenie, kiedy jakieś pół godziny później zadzwoniła Kelly. Pozwoliła mu wyładować złość i obsypać stosownymi inwektywami obsranego, złodziejskiego kapitana Jensena.

– Jest wszawym plagiatorem, oto, kim jest – solidaryzowała się z nim.

– Wszawy to trafny epitet – przyznał Colin. – Chociaż zabrzmiał dużo bardziej soczyście, kiedy ja go wypowiadałem.

– W to akurat wierzę – nie oponowała. – Nie popadłeś w prawienie biurokratycznych bzdetów.

Pokrywało się to z prawdą. To jeszcze jedna z tych rzeczy, które w jakiś sposób tłumaczyły, dlaczego Colin przypuszczalnie osiągnął pułap swoich możliwości na szczeblach policyjnej kariery. Co jakiś czas bowiem odczuwał nieodparte pragnienie nazwania rzeczy po imieniu, a nawet wyartykułowania ich z pewną dozą przesady, bez patyczkowania się z okrągłymi słówkami. Takie chwile szybko mijały, podobnie jak rzecz miała się z atakiem kamieni nerkowych.

– Ja również mam nowinę – ciągnęła rozmowę Kelly.

– Ach, tak? O co chodzi? Mam nadzieję, że jest lepsza od mojej, obojętnie czego by dotyczyła – odparł Colin.

– No cóż, myślę, że lepsza. Odebrałam dziś ślubną suknię – oznajmiła.

– No to świetnie! – ucieszył się. – Jak wygląda?

Odpowiedź z jej strony zawierała więcej technicznych detali, niż zdołał w pełni pojąć. Zrozumiał tyle, że suknia była długa i biała oraz miała welon. Tyle mógł się domyślić bez wdawania się w wymyślne tłumaczenia. Tym się jednak nie przejmował. Kelly wychodziła za mąż po raz pierwszy, jakkolwiek patrzeć. Stąd też o wiele bardziej niż on ekscytowała się tym, że staną na ślubnym kobiercu. On po prostu wystroi się w smoking, przejdzie nawą do ołtarza i powie sakramentalne Tak oraz Przysięgam wtedy, kiedy zapyta o to kapłan. Miał nadzieję, że będą żyli długo i szczęśliwie. Z nią u jego boku, przekonywał siebie w myślach – tak, miał nadzieję – szanse są spore, by tak właśnie się stało.

Gdyby nie żywił takiej nadziei, nie wybierałby się wcale przed ołtarz.

– Hej – odezwał się, kiedy jej perorowanie nieco spowolniło. – Jednej rzeczy jestem całkowicie pewien. Bez względu na kreację, jaką na siebie włożysz, i tak będziesz wyglądać wspaniale. A kiedy zrzucisz z siebie tę kreację, będziesz wyglądać jeszcze cudowniej.

– Jesteś nie do zniesienia – skarciła go Kelly. – Albo też jesteś po prostu mężczyzną. Nie jestem pewna, co bardziej. – Nie powiedziała wprawdzie na głos Nie jestem pewna, co jest gorsze, ale Colin nie potrzebował wcale wielu lat śledczej praktyki, żeby, tak czy inaczej, usłyszeć to.

– Winien obu zarzucanych czynów – odparł. – Zdaję się na łaskawe orzeczenie sądu... klap!

– Klap! pasuje w tym miejscu. Jeszcze nie zdążyłeś się ożenić, a już jesteś pod pantoflem. – Z głosu Kelly przebijała duma.

– Mamy na głowie poważniejsze powody do zmartwień.

– W przypadku Colina była to cała prawda i tylko prawda. Mógł pochylić z troską głowę nad Margot Keller, jej lubieżnie wykorzystanym, wygiętym w nienaturalnej pozie i porzuconym niczym papierowy ręcznik ciałem.

Mógł skierować myśli ku wszystkim pozostałym starszym kobietom zamordowanym wcześniej oraz ku facetowi, który prowadził z pozoru normalny żywot do chwili, kiedy budził się w nim impuls, nakazujący dopisać kolejną ofiarę do listy. Poza tym niedostatki małżeńskiej idylli to przecież nic wielkiego. – Tak czy inaczej, jakoś wspólnie temu podołamy. Jak mawiają Angole? Damy sobie radę, mimo wszystko... i to tyle.

– To mi się właśnie podoba: wiara i pewność – pochwaliła Kelly. – To już całkiem niedługo, drogi panie.

– Dobrze – odparł Colin, a ona seksownym głosem przez telefon zamruczała mu do ucha.

ROZDZIAŁ XXII

Rzeka Piscataquis przepływała, szemrząc przez Guilford. W zachodniej części niewielkiej miejsciny jej wody zasilają młyn. Dalej na wschód na jej północnym brzegu urządzono park, który zapewne ujmował pięknem, kiedy trawa zachwycała zielenią, a drzewa paradowały w szacie z liści. Spoglądając na nagie gałęzie tych drzew oraz na śnieg, który zasypał ławki z widokiem na rzekę, Rob Ferguson roztrząsał dylemat, czy Guilford doświadczy jeszcze kiedykolwiek dni pełnych zielonych tonów i odcieni.

Na kamiennej tablicy ku pamięci, również po części przysypanej śniegiem, uwieczniono nazwiska mieszkańców Guilford poległych w wojnach, sięgając wstecz do czasów, których miasta na przeciwległym wybrzeżu nawet nie poznały. Litery jednego z nazwisk wciąż jeszcze wyglądały na całkiem nowe – jaskrawe i połyskujące. Prędzej czy później pokryje je patyna czasu i zleją się w jedno tło z pozostałymi. Do tego czasu jednak, z dużym prawdopodobieństwem, na pomniku pojawią się kolejne, nowsze nazwiska.

Rob nosił nieustannie zbyt wiele sztuk odzieży, mimo to stale odczuwał zimno, choć stopniowo się do tego przyzwyczajał. Niewielkie ilości ciepła, jakie wytwarzano w Trebor Mansion Inn, unosiły się do jego pokoiku w wieży – skąd bezpowrotnie przenikały na zewnątrz przez ściany i okna. W oknach zamontowano podwójne szyby, pozostawiając między nimi izolującą warstwę powietrza. W tych stronach stanowiło to rutynowe działanie. Nie zmieniało to jednak postaci rzeczy, ciepło i tak uciekało.

Dzieciaki w parku zjeżdżały na sankach z boczem schodzącym ku rzece. Rzucali się też śnieżkami. W ich przekonaniu zima z taką obfitością śniegu oferowała świetną zabawę. Zapewne Rob podzieliłby wraz z nimi to

przekonanie, gdyby nie głowił się w tej chwili nad kwestią, kiedy – albo raczej czy – mroźna pogoda odpuści.

Jedna z książek w jego pokoiku w wieży przedstawiała swego rodzaju nieformalną historię stanu Maine. Dowiedział się z niej więcej na temat „Roku bez lata” po wybuchu wulkanu Tambora, niż zdołał znaleźć w Internecie. W czerwcu 1816 roku grubość pokrywy śnieżnej w mieście Quebec przekraczała stopę, czyli ponad trzydzieści centymetrów. Równie długo skorupa lodu utrzymywała się na rzekach i jeziorach, sięgając na południe aż po Pensylwanię. W Ameryce Północnej i Europie uprawy rolne uległy zniszczeniu: zniszczeniu w stopniu, który doprowadził do głodu na rozległych obszarach. Pylista zawiesina była na tyle gęsta, że na słońce można było spoglądać gołym okiem i wypatrzeć przy tym plamy na słonecznej tarczy. W tym miejscu dodać wypada, że erupcja wulkanu Tambora miała się tak do eksplozji superwulkanu Yellowstone, jak jeden z tych dzieciaków walący w bębenek zabawkę do Charliego Storera szalejącego na profesjonalnym i wypasionym zestawie perkusyjnym.

Kręcąc z niedowierzaniem głową wobec tak posępnych przemyśleń, Rob brnął z mozołem w górę Library Street w kierunku zajazdu Trebor Mansion Inn. Gmach biblioteki stanowił kolejny przykład zabytkowej budowli. Zgromadzone w niej tomy bez wątpienia mogły opowiedzieć więcej na temat owego lata, które na dobrą sprawę wcale nie nadeszło. Nie zatrzymał się, żeby wstąpić do środka i poszukać tych książek. Po co miał zawracać sobie głowę ich lekturą, skoro niebawem doświadczy tego na własnej skórze – i to w bez porównania większej skali.

Obie furgonetki wciąż stały zaparkowane przed frontem zajazdu, obok samochodów rodziny Barbera. Nikt nie wybierał się nigdzie. Stacja benzynowa Shella ciągle nie miała czym handlować. Zbiorniki na benzynę we wszystkich stacjach w Dover-Foxcroft również wyschły do ostatniej

kropelki. Samochody cysterny już dawno przestały nawet podejmować próby dotarcia tutaj. Na północ i zachód od autostrady międzystanowej stan Maine został zdany sam na siebie: przeważające obszary stanu, chociaż nie najgęściej zaludnione.

W codziennej scenerii pojawiło się wszakże coś nowego. Tuż obok w tej chwili niemal bezużytecznych pojazdów mechanicznych stały sanie zaprzężone w jednego konia, zupełnie jakby żywcem wyjęte z kolędy Jingle Bells. Ktoś jednak przywiązał konia – starannie wyczesanego zgrzebłem gniadosza – do klamki od drzwi, zamiast do słupka służącego do przytroczenia wierzchowców lub do poręczy. Zwierz z nieskrywanym zadowoleniem pałaszował obrok z worka.

Kiedy Rob wszedł do środka, zdjął kapelusz i filcowe walonki, i na tym koniec. W zajeździe panował chłód, co wynikało z ciągłego niedostatku drewna na opał.

– Wejdz, proszę, do salonu. Jest tu ktoś, kogo chciałbym ci z ochotą przedstawić – powiedział na powitanie Dick Barber.

– Czy ten ktoś powozi saniami, które stoją na zewnątrz? – zapytał Rob.

– Zgadza się. Twoi kompanioni zdążyli już wejść z nim w komitywę. – Barber posługiwał się czasami dość archaicznymi zwrotami. Robił to na wrywki, stosownie do woli i ochoty, stąd też Rob zakwalifikował ten jego nawyk jako efekty specjalne.

Nie zamierzał w żadnym razie kaprysić. W kominku w salonie buzował ogień, przypuszczalnie na cześć gościa, który dopiero co zawitał w progi. Mężczyzna stał obrócony plecami do Roba, rozkoszując się ciepłem. Prowadził rozmowę z Justinem i Charlie'em, którzy słuchali go z nieskrywanym zafascynowaniem.

Słyszając jak Rob i Barber z tyłu za nim wchodzą do środka, przybysz przerwał wywód i obrócił się w ich kierunku. Dobiegał prawie

siedemdziesiątki i wyglądem przypominał... Rob potrzebował chwili, żeby przypomnieć sobie, do kogo był podobny. Przypominał Johna Maddena, zawodowego gracza futbolu amerykańskiego w podeszłym już wieku, lecz o wzroście obniżonym do 170 centymetrów. Przynajmniej na pierwszy rzut oka. Cerę miał rumianą, sylwetkę korpulentną, natura obdarzyła go też orlim nosem, krzaczastymi brwiami oraz srebrzystą czupryną.

Nie ubierał się wszakże jak John Madden. John Madden wyglądał jak niepościelone łóżko, nawet jeśli wpasował się w garnitur. Ten facet natomiast prezentował się niczym dandys z lat trzydziestych ubiegłego wieku. Spora część włosów skrywała się pod czarną fedorą z szerokim rondem. Płaszcz obszyto paradną futrzaną lamówką. Kiedy rozchylił poły, spod spodu wychynał wełniany garnitur, z wzorem w prążki, z klapami tak spiczastymi i postawionymi tak ostro na sztorc, że niemal groziło to skaleczeniem.

– Jim, to jest Rob Ferguson, także muzyk zespołu Tryskająca Żaba i Ewoluuujące Kijanki – przedstawił Barber. – Rob, przed tobą stoi Jim Farrell, przegrany republikański kandydat w ostatnich wyborach do Kongresu z drugiego okręgu – obejmującego większość terytorium Maine, aczkolwiek nie są to obszary zamieszkane przez większość ludności. Ci, którzy tam mieszkają, czynią tak z własnego wyboru, kierując się mądrością, w odróżnieniu od tępych i głupawych ptasich mózdzków, licznie górujących nad ludźmi posiadającymi jakieś idee, na temat których on debatował.

– Miło pana poznać, Rob – rzekł Farrell tubalnym barytonem.

– Dick pomagał mi prowadzić kampanię, w takim właśnie kształcie. Zdaje się zapominać, że już po wszystkim i że zebraliśmy solidne baty. Teraz to już historia starożytna, jak zresztą każda przegrana kampania.

– Skoro już mówimy o historii starożytnej, to Jim wykladał ją na Uniwersytecie Stanu Nowy Jork w Albany – podpowiedział Barber. – Potem przeszedł na emeryturę i wrócił w rodzinne strony... utrzymując, że dobra pogoda w Albany osłabia jego siły witalne.

Zestawienie ze sobą Albany i dobrej pogody w oczach Roba nie tworzyło szczególnie dobranej pary.

Farrell uniósł te swoje ekstrawaganckie brwi.

– Ale mam to już za sobą – grzmiał. – Tak się sprawy mają dzisiaj, to samo dotyczy Albany.

– Zyskał też – kontynuował Barber, jak gdyby starszy mężczyzna wcale się nie odezwał – całkiem sporą sławę...

– Złą sławę – wszedł mu w słowo Farrell, nie bez dumy.

– Z pewnością to zła sława.

– ...redagując własne piśmiotwo zatytułowane „Do zwolenników tłuczenia jaj z cieńszego końca” [nawiązanie do motywu z Podróży Guliwera, Jonathana Swifta, rozdział 4, przyp. tł.]. Na jego łamach poddawał ostrej krytyce przedstawicieli akademickiej kadry cechujących się polityczną poprawnością, tak jak na to zasługiwali. Krytykował ich z szewską pasją... przygważdżając bez pardonu do muru.

Charlie, który siedział na kanapie, aż podskoczył. Wystraszył tym pogrążonego w błogim śnie obok niego kota.

– O mój Boże! Te rzeczy! – wydusił z siebie. – Mój starszy brat przywiózł kilka numerów z konwencji miłośników fantastyki naukowej. Wydaje mi się, że wciąż je posiada. Czytałem je. Są naprawdę szelmowskie! – Spojrzał na Farrella z jeszcze większą estymą.

Farrell uchylił przed nim kapelusza, ukazując przy tym linię włosów; zakola nawet nie zaczęły mu się jeszcze robić.

– W końcu dałem sobie z tym spokój. Zrezygnowałem z tego, ujmując krótko. Prawdziwe środowisko akademickie okazało się bardziej zbzikowane i smętne, niż potrafiłem sobie to wyobrazić.

– Zyskał też rozgłos dzięki studiom porównawczym kampanii wojennych Aleksandra i Juliusza Cezara – dodał jeszcze Barber.

– Nie mogę mówić z pozycji profesora... nigdy nawet nie odtwarzałem takiej roli w telewizji. Na mnie, jako na byłym zawodowym wojskowym, praca ta wywarła doprawdy piorunujące wrażenie.

Rob, Justin i Charlie wymienili spojrzenia. Czasami wątek jakiejś piosenki pojawia się w najmniej oczekiwanym momencie. Charlie zaczął wystukiwać rytm, klepiąc się dłońmi po udach i uderzyć w blat stolika na kawę ustawionego przed kanapą. Z pewnością dźwięki, które generował, odbiegały bardzo od wydawanych przez jego profesjonalny zestaw perkusyjny, ale w zupełności wystarczały. Hałas okazał się na tyle głośny, że kot, który chwilę przedtem, niepewnie bo niepewnie, zwinął się w kłębek, dał teraz drapaką w kierunku wzgórz, strosząc włos na ogonie na znak oburzenia.

Justin i Rob zaintonowali Zjawiłem się zbyt późno [„Came Along Too Late”]. Nie każdy zespół miał w repertuarze utwór poświęcony Aleksandrowi Wielkiemu – w którym na dodatek pojawiała się też wzmianka o Juliuszu Cezarze – lecz przecież Tryskająca Żaba i Ewoluuujące Kijanki nie byli pierwszą lepszą kapelą. W żadnej mierze. Słowa piosenki niemal w całości wyszły spod ręki Charlie’ego, z paroma merytorycznymi korektami autorstwa Marshalla, w odniesieniu do detali starożytnej historii.

Do tej pory wykonywali ją przed większą publicznością, lecz gdy dotąd przed znawcami tematyki.

Uciałem drzemkę przed telewizorem

Gdy nagle tętent koni zbudził mnie...

History Channel, trzecia nad ranem

Puszczali tak zwany dokument.

Sandały i miecze

Mapy i krew

Patrzyłem na podboje wciąż nowych ziem

Dariusz w panice podał tyły.

Zjawiłem się zbyt późno, by ujrzeć jak Aleksander Wielki gromi perską kawalerię.

Zjawiłem się zbyt późno, by ujrzeć jak Aleksander Wielki buduje helleńską monarchię!

Zawsze ktoś wystąpi przed rzesze

W czasach pokoju lub żądny pomsty

Synowi króla Filipa brakło tchu

Na skalistej ziemi olimpijskiej Hellady.

Na podbój świata wyruszyć musiał

Nie potrafił się oprzeć temu, tak sędzę by jego sztandary załopotwały po ziemi kres;

I przeszedł do annałów historii.

Zjawiłem się zbyt późno, by ujrzeć jak Aleksander Wielki gromi perską kawalerię.

Zjawiłem się zbyt późno, by ujrzeć jak Aleksander Wielki buduje helleńską monarchię!

Wiem, że żyję tu i teraz.

Trudna rada – taka jest prawda

Lecz, na Boga!, myśl o dawno minionych dniach...

I o wiekopomnych jego dokonaniach!

Jak z Arystotelesem wznosił wina dzban,

I zakładał Aleksandrie, jedną tu, drugą tam.

*A jedna Biblioteką zasłynęła
Przez druha wiernego ufundowana,
Starego, spolegliwego Ptolemeusza!*

Zjawiłem się zbyt późno, by ujrzeć jak Aleksander Wielki gromi perską kawalerię.

Zjawiłem się zbyt późno, by ujrzeć jak Aleksander Wielki przewyższył triumfy piechoty Juliusza Cezara.

Zjawiłem się zbyt późno, by ujrzeć jak Aleksander Wielki buduje helleńską monarchię!

Utwór „Came Along Too Late” kończy się brawurową i kwiecistą solówką na czynelach. Nie dało się tego zagrać na sobie samym czy na blacie stolika. Justin rozwiązał problem, posługując się w zamian wokalem w stylu docywop, w którym wykorzystał głos czysto instrumentalnie.

Jim Farrell spoglądał na przemian na wszystkich członków zespołu tu obecnych. (Biff przypuszczalnie wybrał się do knajpki Calvin’s Kitchen. Zadurzył się w pewnej brunetce, która tam kelnerowała. Odrębną kwestię stanowił dylemat, czy uczucia te zostały odwzajemnione, lecz on, tak czy siak, niemal zapuścił tam korzenie).

– To są ludzie, którzy niejedno potrafią – rzekł w końcu Farrell do Dicka Barbera. – Podejrzewam, że niektóre z ich umiejętności domagają się rozpaczliwie renowacji, ale kto z was jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci w nich kalumnię [cytat z Ewangelii św. Jana 8;7, Biblia Tysiąclecia, ostatnie dwa słowa „nią kamieniem”, sparfrazowane „nich kalumnię”, przyp. tł.].

– Au! – skomentował Rob, a odgłos ten wyrażał bardziej podziw niż cierpienie. Farrell pochylił ku niemu przód runda Fedory, o ile nie uchylił przed nim kapelusza. Rob jednak szybko spoważniał. Oto miał przed sobą polityczne zwierzę z realnego świata, choć niekonwencjonalne. Nie

spodziewał się wcale, iż nadarzy mu się taka okazja. Postanowił ją wykorzystać bez chwili zwłoki.

– Co jesteśmy w stanie zrobić – co ktokolwiek jest w stanie zrobić – z tym wszystkim, co superwulkan uczynił nam?

– Cóż, nie mogę stwierdzić, iż jest mi niewypowiedziane przykro z tego powodu, że administracja rządowa sprawia wrażenie, jakby zapomniała o tym regionie kraju. Niekiedy tego rodzaju niepamięć po stronie władz bywa najlepszą rzeczą, jaka może się tobie przytrafić – odpowiedział Farrell.

Rob nie miał pewności, czy to kupuje. Z reguły prezentował poglądy liberalne i to na wiele rozmaitych tematów. Jednak cztery razy do roku przeistaczał się w zagorzałego zwolennika libertarianizmu, o ile wręcz nie w reakcjonistę: co kwartał, kiedy zbliżała się pora zapłaty podatku od szacowanych przychodów. Zespół zarabiał opodatkowane pieniądze, nie zatrzymując sobie choćby centa. Uiszczanie tego, co naliczył sobie fiskus Wuja Sama oraz co ściągały stanowe urzędy podatkowe, doskwierało dużo bardziej, niż gdyby, jak większość ludzi w tym kraju, pracowali na etatach od dziewiątej do siedemnastej. Farrell nie skończył jeszcze wyводу.

– Z drugiej jednak strony można odnieść wrażenie, jakby wszyscy po tamtej stronie autostrady międzystanowej zapomnieli o nas. Uważam – żywię nadzieję – że zdołamy jakoś przetrwać zimę tak srogą, jak ta. Kiedy nadejdzie ocieplenie, jeżeli kiedykolwiek nadejdzie, będziemy musieli zająć się gromadzeniem zapasów na kolejną długą, ciężką i bardzo mroźną zimę. Jeżeli będziemy w stanie zgromadzić te zapasy. O ile zostaną jakiegokolwiek zapasy, które można by zgromadzić. Wiecie przecież, że problem nie dotyczy wyłącznie miasteczka Guilford w stanie Maine. To kwestia globalna.

– W wielu innych miejscach nie jest aż tak źle – zauważył Rob.

– To prawda. Ale w niektórych miejscach jest gorzej – odparł Farrell. – Jak bardzo zależy ci na tym, żeby znaleźć się w tej chwili w Salt Lake City lub dajmy na to w Denver?

– Moja siostra była w Denver. Ale jest jednym ze szczęśliwców – zdołała szybko stamtąd czmychnąć. Uważam, że miała fart. Teraz ugrzęzła w jednym z tych obozów gdzieś pośrodku niczego – powiedział Rob. – Jest tam wprost nie do wytrzymania, ale tak czy inaczej pozostaje wśród żywych.

Ten, kto krzyczy najgłośniej, dostaje najwięcej – Vanessa Ferguson działała zazwyczaj, kierując się tą zasadą. Nie bardzo wierzyła też, iż potrafi odmówić sobie przyjemności skarżenia się i narzekania. Szkopuł tkwił jedynie w tym, że takich niezadowolonych ze wszystkiego krzykaczy w Obozie Konstytucji znalazło się od jasnej cholery albo i więcej. W tym pożałowania godnym miejscu musiało zapewne w chwili obecnej wegetować dobrych kilkaset tysięcy ludzi i to właśnie budziło w niej wstręt i odrazę. Zwyczajnych ludzi? Jak gdzieś zasłyszała, wskaźnik samobójstw popełnianych w obozie wspiął się na wyżyny groteski, ona zaś dawała temu wiarę. Podjęcie takiej desperackiej decyzji wydawało się dużo łatwiejsze niż dalsze pozostawanie tutaj, co uchodziło za los gorszy niż śmierć.

Ludzie, którzy kierowali Obozem Konstytucji, zostali tutaj oddelegowani przez władze po to, by pomagać bliźnim... pod warunkiem, że bliźni będą robić dokładnie to, co im się robić każe. Jeżeli ktoś tego nie robił albo w inny sposób demonstrował niezadowolenie, no cóż, od tego mieli stosowne procedury.

Jeśli ktoś zamierzał rozwiązać trapiący go problem lub chociażby powiadomić o nim, ten musiał ustawić się w kolejce do Budynku Administracyjnego Obozu Konstytucji. A to budziło wyłącznie jeszcze szerszą falę niechęci i frustracji. Na tyle, na ile Vanessa się orientowała, to

jedyny budynek, jaki postawiono na całym przeogromnym obszarze pieprzonego obozu. Ściany miał cienkie i koślawe, ponadto wzniesiono go w ogromnym pośpiechu, lecz mimo to... Federalne urzędasy nie zasługiwały na mniej. A przynajmniej tak mniemali oni oraz ich mocodawcy w Waszyngtonie. Namioty oraz baraki dostarczone przez FEMĘ służyły za dach nad głową motłochowi, który ugrzązł tu na dobre, dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu.

Zatem należało stanąć w kilometrowym ogonku, bez względu na to, co się działo z pogodą. Deszcz? Stoisz w kolejce. Śnieg? Tak samo. W wielkiej łaskawości swej postawili kryte brezentem zadaszenie, które dawało skromną tylko ochronę przed żywiołami. Ale to wszystko, co dawało zadaszenie: skromną tylko ochronę. Ziemia pod stopami wciąż zamieniała się w breję. Nieustannie panowało przenikliwe zimno. W przekonaniu ludzi zima uchodziła za najpaskudniejszą w tym regionie, odkąd sięgali pamięcią. Winą za to wszyscy obarczali superwulkan. Wszyscy też chyba mieli rację, chociaż w żaden sposób nie przekładało się to na zelźenie ich niedoli.

Jeżeli komuś nie uśmiechało się dygotanie z zimna nie wiadomo jak długo w błotnistej mazi w nadziei na spotkanie z ludźmi, którzy dysponowali władzą zaradzenia jakoś ich skargom (o ile przypadkiem wyrazili taki zamiar), ten powinien obrócić się na pięcie i powłócząc nogami, wrócić do swego namiotu, po raz kolejny brnąć przez to samo błocko. Urzędasy wewnątrz administracyjnego budynku nie miały nic przeciw temu. W najmniejszej choćby mierze.

Ich liczba w zupełności nie wystarczała, żeby obsłużyć wszystkich ludzi z obozu zgłaszających jakieś problemy. W rezultacie kolejka kończyła się daleko od miejsca, gdzie zaczynało zadaszenie. Ogonek przemieszczał się centymetr po centymetrze z prędkością lodowca. Uwzględniwszy warunki

pogodowe, Vanessa uznała to porównanie za nad wyraz trafne. Miała na sobie pikowaną kurtkę z kapturem uszytą z różowo-fioletowego nylonu, o kilka numerów za dużą jak na nią – dar charytatywny, tak jakby.

Poza tym wszystko ją swędziało. W jej namiocie roilo się od pluskiew. Pluskwy opanowały już cały Obóz Konstytucji. Ktoś przywłókł ze sobą to draństwo i zaczęły się rozmnażać jak opętane. Kilka prób dezynsekcji i ich wytępienia nie przyniosło żadnego rezultatu. To samo na dobrą sprawę można było odnieść do wszy głowowych, chociaż ich jeszcze nie złapała – jak dotąd. W Waszyngtonie rozmawiano o wznowieniu produkcji DDT w celu zwalczenia robactwa, jakie rozpleniło się w obozach dla ewakuowanych. Na razie na rozmowach się kończyło. Vanessa zawsze uważała siebie za osobę o dość silnie proekologicznych poglądach, ale z niekłamaną ochotą odstrzeliłaby puszczyka plamistego, żeby tylko pozbyć się sublokatorów obdarzonych przez naturę sześcioma odnóżami.

Krępy, brodaty mężczyzna w jeszcze okropniejszym płaszczu niż jej kurtka – a mówi się, że epoka cudów już przeminęła – dał za wygraną i stąpając ciężko, wyszedł z kolejki. Miotał pod nosem stekiem obscenicznych przekleństw, gdy się oddalał. Być może za ich sprawą z jego ust buchały kłęby pary. Chociaż za bardziej prawdopodobną przyczynę należałoby uznać przenikliwe zimno.

Kolejka przesunęła się, wypełniając miejsce, które zajmował jeszcze przed chwilą.

– O jednego mniej, rychlej nam zejdzie – odezwała się czarnoskóra kobieta, która stała za nią.

– O jednego mniej, którym te buraki muszą zawracać sobie głowę – przedstawiła inny punkt widzenia Vanessa, wskazując na wciąż nazbyt odległy budynek administracji przed nimi. – Nienawidzę stania w kolejkach, wie pani?

– O jacie, serdeńko, a któż to lubi? – odpowiedziała Murzynka. – Ale cóż człek na to poradzi?

Vanessa wciąż nosiła w torebce rewolwer kalibru 9 milimetrów. Kilka osób w obozie wściekło się nie na żarty Jeden gość z użyciem pistoletu położył trupem siedmiu współmieszkańców swego namiotu, zanim ktoś od tyłu rozwalił mu łeb kijem bejsbolowym. Przez ułamek sekundy, mrozący krew w żyłach, Vanessa rozkoszowała się krótką i grzeszną radością z ataku furii takiej, jaka dopadła tamtego gościa. Skoro alternatywą miało być mozolne przemieszczanie się do przodu w tempie centymetra raz na jakiś czas, zanim w końcu zyskało się sposobność rozmowy z jakimś tępym pojebem, który nie mógłby mieć głębiej w dupie... Ciężko westchnęła i przesunęła się do przodu o kolejnych parę centymetrów. Niekiedy dojrzałość i rozsądek potrafiły zdołować. I to jeszcze jak.

Jakieś półtorej godziny później z podeszew swoich butów Nike zdrapywała błoto o ostre kanty aluminiowych stopni schodów prowadzących do budynku administracji. Na kantach tych zalegała już obfitość błocka zostawionego przez innych, którzy wykonywali tę samą czynność wcześniej. Instynkt, by nie wnosić błota do środka, wciąż pozostawał przemożny, nawet gdyby wewnątrz nie było prawie wcale napaćkane, a na zewnątrz zgromadzono niemal całą błotnistą maź świata Tabliczka zawieszona na przeszklonych drzwiach apelowała UPRASZA SIĘ O ZAMYKANIE DRZWI. W budynku administracji zainstalowano system grzewczy z prawdziwego zdarzenia, nie jakiś gównno warty grzejnik na propan, ustawiony pośrodku hangaru krytego brezentem. Budynek miał ponadto podłączone zasilanie, wyposażono go w telefony, komputery oraz szerokopasmowy Internet i wszystkie inne rzeczy, za jakimi tęskniła Vanessa oprócz tych chwil, kiedy stała w jeszcze dłuższym ogonku niż ten,

w którym sterczała teraz, w ogonku do stacji ładującej, która przywracała, na jakiś czas, życie telefonom komórkowym.

Gdy nadeszła jej kolej, stanęła przed biurkiem, za którym siedział jełop w okularach i ze złamanym zębem na przodzie, na oko około trzydziestoletni. Zanim zdążyła przejść do konkretów, poprosił ją o nazwisko, numer ubezpieczenia społecznego (powiedział tylko, żeby podała „ubezpieczenie”, czego zapewne nie zrozumiałaby, gdyby nie słyszała tego wcześniej od innych gryzipiórków) oraz numer namiotu.

– Jakiego rodzaju jest pani kłopot...?

– Nie jest wyłącznie mój – odpowiedziała Vanessa. – To problem wszystkich z wyjątkiem tej kobiety o imieniu Loretta. Ma ze sobą trójkę nieznośnych bachorów. Dostają świra, bo nie mają konsoli wideo, na której mogłyby grać, nie mają telewizora, który mogłyby oglądać i doprowadzają wszystkich do białej gorączki. W nocy nie da się nawet zmrużyć oka, ponieważ smarkule wydzierają się i tłuką między siebie tylko dla własnej uciechy. Jeżeli pan czegoś z tym nie zrobi, ktoś nie wytrzyma i pourywa im łepetyny.

Pomajstrował coś przy komputerze.

– Przypuszczalnie chodzi o Lorette Baker, jak się wydaje. Co, pani zdaniem, powi nienem zrobić?

– Niech pan gdzieś przeniesie ją i te potwory – odparła bez chwili zwłoki Vanessa. – Jeżeli nie jest pan w stanie tego zrobić, niech mnie pan stamtąd wypierdzieli.

– Zdaje sobie pani sprawę, że w namiocie, do którego zostanie pani przekwaterowana, warunki mogą nie być wcale lepsze? – stwierdził pytająco.

Poczuła, jak truchleje jej serce. Gość nie miał zamiaru przenieść Loretty i jej zasmarkanych dziewczynek, na czym tak naprawdę jej zależało.

– Podejmę to ryzyko – odparła, ciężko przy tym wzdychając.

– Przekwaterowanie pani może okazać się wcale nie takie łatwe. – Spojrzał na nią znad okularów. – Wskazana byłaby gotowość do współpracy z pani strony.

– Co pan chce przez to powiedzieć? – Vanessa wiedziała w duchu, co znaczyły te słowa. Jeśli będziesz uprzejma i miła dla Pana Funkcjonariusza Federalnego, on ci dopomoże, również. Jeżeli nie będziesz miła, ugrzęzniesz na dobre tam, gdzie jesteś.

– Ależ tylko to, co powiedziałem, rzecz jasna – odpowiedział, nie kryjąc obłudy. Sukinsyn miał w tym wprawę. Nie mógł pozwolić sobie na ostentacyjną otwartość i powiedzieć do niej wprost Zerznij mnie albo spadaj. To mogłoby spowodować na niego kłopoty. Jeżeli jednak ktoś miał naturę perfidnego łajdaka, to znajdował okazję w bród w miejscu takim jak to. Z dużym prawdopodobieństwem bzykał tu, ile dusza zapagnie. Vanessa wstała z niewygodnego składanego krzesła.

– Nie było sprawy – warknęła, znów powracając myślami do rewolweru w torebce. Facet ze złamanym zębem tylko wzruszył ramionami.

– Zawsze ma pani wybór, pani Ferguson. Jeżeli zmieni pani zdanie, proszę o kontakt ze mną ponownie. Obiecuję pani usługę znakomitej jakości, jeżeli pani tak zrobi.

A co rozumiał przez to? Dokładnie to, co powiedział, bez cienia wątpliwości. Vanessa wypadła z budynku administracji jak burza. Co innego jednak martwiło ją w tej chwili najbardziej. Małe bachory Loretty rozbisurmaniły się do tego stopnia, iż odczuwała lęk, że wróci tam i znowu się na nie natknie, o ile ktoś już wcześniej ich nie ukatrupił. Przedtem już parokrotnie ogarniały ją tego rodzaju obawy. A teraz, gdyby przyszło co do czego... Zaklęła głośniejszym głosem niż brodaty gość, kiedy zrezygnowany wyszedł z kolejki.

– To takie cudowne! – rozplywała się w zachwytach Miriam Birnbaum i sięgnęła dłonią ku kosmykowi włosów Kelly, chcąc go wyprostować, chociaż ten prostowania wcale nie potrzebował.

– Mamo! – Kelly zrobiła unik. Z każdą chwilą coraz bardziej żałowała, że nie zdecydowała się na prostą cywilną ceremonię zaślubin, z udziałem tylko młodej pary. Jej rodzice porzucili już niemal myśl, że ich córka kiedykolwiek stanie na ślubnym kobiercu. Teraz, kiedy stało się to faktem, usiłowali przemienić jej zaślubiny w scenę z ckiego melodramatu.

Cóż, to oni płacili za wszystko. A to dawało im pewne prawa, by ułożyli sprawę według własnego widzimisię. Rzecz jasna tylko do określonego miejsca. W końcu nie oni zamierzali wziąć ślub, chociaż pokrywali koszty. Przed ołtarzem stawała ona i Colin.

– Jestem tak bardzo szczęśliwa, że nawet nie potrafię tego wyrazić – wyznała matka i potwierdziła te słowa, bądź też zadała im kłam, wybuchając łzami.

– Nie rób tego! – wykrzyknęła Kelly. – Zepsujesz sobie makijaż!

Przetała maminy policzek chusteczką higieniczną. Jakimś cudem zdołała niemal w całości naprawić poczynione szkody. Jej ojciec – jeden z najlepszych stomatologów na całym obszarze South Bay, jak sam o sobie mówił (a tak właśnie czynił) – objął matkę ramieniem.

– Już dobrze, Miriam – uspokajał Leonard Birnbaum. – Colin to w porządku gość.

– Nie płakałabym, gdyby nie był w porządku – odparła matka, co mogło brzmieć sensownie dla autorki tych słów, jednak Kelly nieco zbaraniała.

Natomiast niemal zapomniała języka w gębie, kiedy wpadł w jej ręce angaż na stanowisko wykładowcy na Uniwersytecie Stanowym Kalifornii w Dominguez Hills, załatwiony zaraz po tym, jak jej rodzice wynajęli tam weselną salę. Bez względu na to, czy wyszła już trochę z obiegu czy nie,

najwidoczniej ją tam chcieli. Od tamtej pory jednak niemal nieustannie nachodziły ją wątpliwości, czy powinna przyjąć tę pracę. Skoro Uniwersytet Kalifornijski borykał się z poważnymi problemami, to Uniwersytet Stanowy Kalifornii musi być bliski stanu zapaści. Jednakże filia Uniwersytetu Stanowego w Dominguez Hills znajdowała się w odległości zaledwie piętnastu minut drogi od San Atanasio.

Tak długo, jak do obszaru aglomeracji Los Angeles będą docierały dostawy paliwa – oraz tak długo, jak kwesor Uniwersytetu Stanowego będzie otrzymywał dotacje z budżetu – ona będzie tam dojeżdżać i uczyć.

Zachodziła też w głowę, czy Geoff Rheinburg zna kobietę, która kieruje Wydziałem Geologii w Dominguez Hills. To wyjaśniałoby wiele. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa lepszego ślubnego prezentu zapewne nie dostanie.

Po jednej stronie sali tłoczyli się jej krewni i przyjaciele. Miejsca po drugiej zajmowali niemal bez wyjątku gliniarze: mężczyźni o krępej budowie i mocnych rysach w garniturach, które za modne mogły uchodzić dawno temu, a być może nigdy. Ilu spośród nich nosiło kabury pod marynarkami? Marshall, co oczywiste, zjawił się na uroczystości. Jestem macochą, powiedziała do siebie w myślach zdeprimowana, kiedy kroczyła nawą prowadzona pod ramię przez ojca. Żywiła też nadzieję, iż pozostałym dwojgu dzieciakom Colina wiodło się nie najgorzej.

W pierwszym rzędzie obok Marshalla usiadła Norma, siostra Colina, której Kelly nigdy wcześniej nie widziała na oczy. Ona i jej mąż, Earl, pracowali na nocki, stąd też nie pokazywali się za dnia, jak czyni to większość zwykłych zjadaczy chleba. W przekonaniu Kelly między nią a Colinem nie wytworzyła się silna więź, choć z drugiej strony nigdy nie byli ze sobą blisko.

Colin czekał pod chupą, tradycyjnym baldachimem rozpościeranym nad nowożeńcami, obok Wesa Jonesa, reformowanego rabina oraz Loreen Samuels, siostry ciotecznej Kelly. Niech ją diabli wezmą, jeżeli Wes nie puścił do niej oka, kiedy podeszła bliżej. Mieszkania z nim po sąsiedzku przez ulicę nigdy nie mogła uznać za nudne czy monotonne. Nosił jarmułkę z pełną swobodą, jak na rabiego przystało. Z kolei okrycie głowy Colina przesunęło się nieco na bakier. Wspaniałomyślnie zgodził się na ceremonię według obrządku żydowskiego, jednak żadna siła nie potrafiła sprawić, żeby wyglądał jak Żyd.

Niektórzy ze zgromadzonych odprawiali modły po hebrajsku, inni z kolei udzielali małżeńskich porad, które brzmiały wprawdzie rozsądnie, lecz najzupełniej zwyczajnie, Colin stanął jednym butem na szkle owiniętym w ozdobną tkaninę, co miało upamiętniać zburzenie świątyni Salomona, potem założył pierścionek i ucałował pannę młodą... Ceremonia miała charakter oficjalny. Będzie musiała zacząć przyzwyczajając się do nowego nazwiska. Cóż, nie musiała wprawdzie tego robić, nie w obecnej dobie, ale miała taki zamiar. Kelly Ferguson? Chociaż raz odniosła wrażenie, że jej imię i nazwisko panięńskie pasowały do siebie lepiej – Czytałem raz naukową publikację – odezwał się Colin, kiedy wznieśli już toasty szampanem – w której wykazano, że faceci poślubiający młodsze żony żyją dłużej i są szczęśliwsi.

– Czyżby? Ciekawe, jak na to wpadli – skomentował z przekąsem Gabe Sanchez. Kelly odniosła wrażenie, że Gabe prezentował nieco bardziej surową, latynoską wersję faceta, którego przed chwilą poślubiła. – Gratulacje, chłopie – ciągnął sierżant. – Wygląda na to, że trafiła ci się naprawdę dobra sztuka.

Kelly przypomniała sobie, jak Colin opowiadał o jeszcze gorszych niż jego własne, przejściach rozwodowych, jakie stały się udziałem Gabe'a.

Najwidoczniej nie znalazł sobie jak dotąd nikogo nowego.

Raczyli się jadłem. Popijali nawet więcej. I tańczyli. Colin poruszał się po parkiecie z gracją typową dla kogoś, kto ma dwie lewe nogi.

– Człowieku, zdaję sobie sprawę, że biała rasa nie grzeszy poczuciem rytmu, ale mógłbyś przynajmniej postarać się choć trochę – pokpiwał sobie czarnoskóry policjant, łagodząc kąśliwy przytyk uśmiechem od ucha do ucha.

– To nie po koleżeńsku, Rodney. Zamierzasz kpić sobie ze mnie bez końca na moim własnym ślubie? – ripostował Colin.

– Przy każdej nadarzającej się sposobności – odparł Rodney. Demonstrował, co potrafi z kobietą o latynoskich rysach... jego żonę, rozstrzygnęła Kelly, porównując ich ślubne obrączki. Wciąż jeszcze nie mogła przywyknąć do tej na swoim palcu. Zakładała, że z czasem przywyknie.

Na sam koniec przebrali się w codzienną odzież. Limuzyna podstawiona przez rodziców Kelly czekała na zewnątrz weselnej sali pod markizą. Na całe szczęście pod markizą. Na dworze zacinał zimny, przenikliwy deszcz; temperatura niewiele przekraczała zero stopni.

– Nie stałoby się tak, gdyby nie ten twój głupawy stary superwulkan – zauważyła matka Kelly. Zapewne miała rację, lecz w jej ustach zabrzmiało to tak, jakby do erupcji wcale nie doszło, gdyby jej córka nie zgłębiała jego tajemnic.

Kierowca – Samończyk o posturze na tyle okazałej, by mógł śmiało grać w zawodowej lidze futbolu amerykańskiego – pomknął wraz z nimi w górę autostrady Harbor Freeway do hotelu Bonaventure w śródmieściu. Colin wcisnął mu pięćdziesiąt dolców.

– Wielkie dzięki, człowieku – ucieszył się facet za kierownicą.

– Wszystkiego najlepszego z okazji ślubu.

Ich pokój znajdował się na wysokim piętrze w jednej z okrągłych, przeszklonych hotelowych wież. Colin przeniósł przez próg piszczącą Kelly. W pokoju czekała na nich butelka szampana z biletem wizytowym wstawiona do kubelka z lodem. Colin przeczytał bilet. Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

– Od Gabe’a – oznajmił.

– Jest słodki. – Kelly spoglądała na światła miasta i samochody ciągnące sznurem autostradą wprost na zachód. Mimo niedoborów benzyny wciąż panował spory ruch. Zachodziła w głowę, czy sprawy pójdą ku lepszemu, czy też sytuacja dalej będzie się pogarszać.

– Tak, jest – Colin zgodził się stojąc z tyłu za nią. – Z pewnością zrugaliby nas, gdybyśmy powiedzieli mu to prosto w twarz. Stłumiony odgłos strzelającego korka stanowił deklarację, że porucznik otworzył butelkę: ostrożnie i z wprawą, by nie uronić choćby kropelki. Na stoliku nocnym stały dwie szampanki ze szkła w odróżnieniu od plastikowych, używanych na przyjęciu. Napełnił oba kieliszki i jeden podał jej. Potem wysoko uniósł swój.

– A zatem za nas, kochanie. Kocham cię.

– Ja również cię kocham. – Kelly stuknęła się kieliszkiem. – Za nas. Jeżeli wypiję tego za dużo, zasnę na twoim ramieniu – dodała, kiedy wychylili do dna.

Spojrzał na nią z ukosa lubieżnym wzrokiem.

– Wtedy pofigluję sobie z twoim pozbawionym świadomości ciałem...
ha, ha, ha.

Kelly prychnęła.

– Więcej frajdy ma się, kiedy obie osoby, które chcą pofiglować, są aktywne.

– Nie będę się spierał. – Colin zaciągnął kotary. – A więc... masz ochotę pofiglować?

– Na całym wielkim i szerokim świecie nie ma w tej chwili żadnej rzeczy, której pragnęłabym bardziej – Kelly podeszła i wsunęła się w jego objęcia. Potem sprawy potoczyły się naturalną koleją.

– Nigdy więcej nie pozwól Rodney'owi, by czynił ci zarzut o jakoby szwankującym poczuciu rytmu, słyszysz mnie? – odezwała się Kelly po upływie całkiem długiego czasu, przeżywszy niezapomniane chwile szczęścia.

– Tak, proszę pani – odpowiedział z odległości zaledwie kilku centymetrów. Następnie przygładził sobie włosy. Kelly wydała z siebie odgłos zdziwienia.

– Zastanawiałem się, czy przypadkiem nie przytuliłaś tam czubka mojej głowy – wyjaśnił.

– Ty! – powiedziała czule.

– Ja – nie oponowałam. – Czy zostało jeszcze trochę szampana w butelce?

– Jeżeli nic nie zostało, zawsze możemy zamówić room service – odpowiedziała. Butelka świeciła dnem, wobec czego Kelly wprowadziła zamiar w życie.

– Już wydajesz moje pieniądze – zrzędził Colin.

– W żadnym razie – zdementowała Kelly. – Filia w Dominguez zapłaci mi... małe co nieco, tak czy inaczej.

Potem w końcu oddali się w objęcia Morfeusza. Kiedy Kelly zbudziła się, blade, szare światło przenikało przez kotary. Założyła spodnie od dresów i bawełniany trykot, potem wyjrzała na zewnątrz. Musiała poczynić jakiś hałas – przypuszczalnie chrząknęła w zdumieniu – ponieważ z tyłu dobiegł głos świeżo poślubionego małżonka.

– Co się dzieje, kochanie? – zapytał.

– Chodź i zobacz – ograniczyła się do lakonicznej odpowiedzi.

Potrzebował chwili, żeby zakryć goliznę. Potem dołączył do niej przy oknie. Gwizdnął cicho ze zdumienia. W powietrzu tańczyły płatki śniegu. Daleko tam w dole leżał biały kobierzec, biały kobierzec w samym środku centrum Los Angeles. Autostradę Harbor Freeway również pokrywał biały puch; biały i jakiś pozbawiony życia, a nawet upiorny. Nawet drobny opad śniegu sparaliżuje tu ruch od punktu A do punktu hen daleko za Z.

Refleksja ta przeszła jej przez myśl po tym, jak tam na dole jakieś auto osobowe wpadło w poślizg i uderzyło bokiem w pickupa. Na całe szczęście żaden z pojazdów nie jechał z dużą prędkością. Obaj kierowcy wysiedli i z ponurymi minami szacowali szkody. Colin włączył telewizor.

– Drodzy państwo, wychodząc na zewnątrz, zachowajcie ostrożność – apelował pełen werwy prezenter pogody lokalnej stacji. – Ostatni raz opady śniegu w Los Angeles mieliśmy w styczniu 1949 roku. Muszę stwierdzić, że jesteśmy kompletnie nieprzygotowani na taką sytuację. O ile macie możliwość pozostać w domu, wykażcie odrobinę zdrowego rozsądku i tak uczynicie.

Kelly i Colin wymienili zaniepokojone spojrzenia. Zgodnie z planem Marshall miał ich odebrać stąd i zawieźć do domu. Stamtąd z kolei mieli pojechać do hotelu Coronado w San Diego – miesiąc miodowy na jednym baku. Ale teraz... Kelly nie miała zielonego pojęcia, co powinni teraz zrobić.

Colin jednak wiedział.

– Zadzwoń raz jeszcze do obsługi pokoi. Powiedz im, żeby przynieśli nam kawę i jakieś śniadanie. A potem... hej, możemy po prostu pójść dalej, zaczynając od miejsca, do którego dotarliśmy.

Oceniwszy sposób, w jaki omiółł ją wzrokiem, Kelly nie zawracała sobie więcej głowy tym, co powinna na siebie założyć.

– Moim zdaniem brzmi to nieźle – oznajmiła i stąpając miękko, podeszła do telefonu. Za oknami śnieg nie przestawał padać.

Colin zjadał się w towarzystwie Gabe’a Sancheza daniem ramen, japońskim rosołem z dodatkami – tym razem w wersji delikatesowej, nie zupką błyskawiczną z torebki, jaką pałaszowały dzieciaki na uczelniach i w college’ach oraz jaką handlowała Louise – w niewielkiej restauracji przy Reynoso Drive. Lokalik znajdował się w centrum handlowym opanowanym niemal w całości przez Japończyków, w którym mieściła się również knajpka Carrows, gdzie miał okazję spożyć ów dramatyczny i bolesny obiad ze swoją byłą. Gdyby wyjrzał przez okno, zobaczyłby tamto miejsce. Dopóki jednak siorbał zupę z makaronem i kawałkami wieprzowiny, nie musiał wcale spoglądać przez szybę w oknie.

– A zatem ty i Kelly ugrzęźliście tam na dobre, hę? – upewniał się Gabe.

– To zabawne, chłopie!

– Znam gorsze miejsca, niż zasypany śniegiem hotel ze świeżo poślubioną wybranką serca u boku – odparł Colin.

W przeciągu dwóch i pół dnia, zanim śnieg stopniał, co pozwoliło na wznowienie normalnego ruchu ulicznego, wyczyniał takie cuda, o jakich mężczyzna w jego wieku mógł jedynie pomarzyć. Poradził sobie również, nieźgorzej, kiedy w końcu udało im się dotrzeć do San Diego.

– Chyba tak. – Gabe sprawiał wrażenie nie do końca przekonanego. Nie, w jego życiu miłosnym nie zawitało, aż tak wiele szczęścia od czasu, kiedy jego związek małżeński wdepnął na minę i eksplodował. – Ale to dobrze, że życie znowu ci się układa.

– Dobrze wrócić na stare śmieci – przyznał Colin.

Bez względu na cielesne ekscesy, jakich dopuścił się w hotelach Bonaventure i Coronado, mężczyzna w jego wieku nie był w stanie robić

tego na okrągło, chyba że zamierzał zejść z tego świata z powodu odwodnienia organizmu.

– Czy twoim zdaniem uda nam się kiedykolwiek przyskrzynić pierdzielonego Dusiciela? – zapytał Gabe.

Nie zadał tego pytania bez kozery. Ostatnio doszło do kolejnego zabójstwa w mieście Manhattan Beach, kiedy Colin i Kelly bawili ze skróconą z konieczności wizytą w San Diego. Colin nie słyszał o sprawie nic do chwili, kiedy wrócił do domu. Oglądanie serwisów informacyjnych nie stanowiło największego zmartwienia podczas jego tam bytności. Skoro śnieg przestał sypać, miał w nosie to, co działo się na szerokim świecie.

Teraz uległo to zmianie. Teraz musiał się tym przejmować.

I teraz właśnie wygłosił opinię, którą gliniarze z rejonu South Bay powtarzali na okrągło.

– Wcześniej czy później gość musi coś sparać. Potknie się o coś po ciemku albo, być może, skręci nogę w kostce. Cokolwiek.

Niektórym typom przez długi czas uchodzą na sucho niecne postęпки, kiedy dopisze im głupawy łut szczęścia albo gdy są to ludzie niezwykle sprytni i przebiegli, którzy zeszli na przestępczą drogę. Zaledwie nieliczni odchodzą do grobu, unikając kary. Colin miał co do tego pewność. Musiał mieć, jeżeli chciał trwać w przekonaniu, iż robi coś, co ma znaczenie.

– Ten przypadek nie podlega pod nas, podobnie zresztą jak za przedostatnim razem – wyjaśnił Gabe. Pozwólmy tym gościom z Manhattan Beach wziąć na siebie falę krytyki. Zobaczymy, jak im się spodobają wozy transmisyjne ustawione na okrągło rządkiem pod ich komendą oraz ci ekskluzywnie przystrzyżeni kłowni, zadający głupawe pytania.

Jestem pewien, że ucieszą się tak samo jak my – stwierdził Colin, a Gabe roześmiał się chrapliwie. – Nie wiesz nawet, jak bardzo zależy mi na tym,

by znaleźć się w ekipie tych, którzy zapuszczają sukinsyna. Nie wiem tylko, czy szczęście może mi dopisać drugi raz, ale z pewnością bardzo bym chciał.

Drugi raz? – Gabe wydawał się odrobinę zaskoczony.

Colin uchodził za sumiennego, opanowanego i zdolnego gliniarza z wieloletnim już doświadczeniem. Przymknął wielu sprawców, w tym paru całkiem cwanych, lecz znacznie więcej głupków i zwykłych nieudaczników, którym przydarzyło się zejść na złą drogę. Nigdy jednak nie dokonał czegoś, co choćby trochę przybliżyło się rangą do ewentualnego aresztowania Dusiciela z South Bay.

Tym razem nie miał jednak na myśli policyjnej roboty.

– Szczęśliwy traf. Aha – potwierdził. – Chciałem uciec od wszystkiego, co pozostało, gdy Louise wystawiła mnie do wiatru, i to w praktyce jedyny powód, dla którego w ogóle pojechałem do Yellowstone.

– Co do mnie, to jeździłem do Vegas, kiedy sprawy u mnie zaczęły się chrzanić – zwierzył się Sanchez. – Idę o zakład, że kosztowało to ciebie mniej... Wierz mi na słowo.

– Idę o zakład, że masz rację – przyznał Colin. – No więc dotarłszy tam, pałętałem się po okolicy w tej zimnej i paskudnej mżawce, wciąż jeszcze na kacu i oglądałem gorą ce źródła w skupisku geotermalnym West Thumb Basin. I wtedy wydarłem mordę na tę dziewczynę za to, że zeszła z pomostu. Gabe zachichotał.

– Gdy już raz staniesz się gliną, jesteś nim zawsze.

– Mnie to mówisz?! Zatem Kelly udowodniła mi, że miała pełne prawo przebywać tam, gdzie przebywała, ponieważ prowadziła badania naukowe, a ja poczułem się tycki, tycki i na dodatek unurzany w psim gównie. Ale wtedy szczęście uśmiechnęło się do mnie kolejny raz. Ziemia zatrzęsa się, tym samym zapewniając nam inny temat do rozmowy niż kwestia mojej

głupoty. Na koniec dostałem od niej adres e-maila i dałem jej swój; od tamtej pory jakoś nam się wiedzie. Tylko i wyłącznie za sprawą szczęśliwego trafu, nic innego nie wchodzi w grę.

Gabe nie odpowiedział z miejsca, lecz skupił się na dojadaniu zupy z dna kokilki.

– Jeżeli usłyszysz od ciebie te same słowa – odezwał się po chwili – za jakieś dziesięć czy piętnaście lat od teraz, będę pod dużo większym wrażeniem.

– Uhm. Wiem, co masz na myśli – przyznał Colin.

– Gdy ludzie stają po raz pierwszy na ślubnym kobiercu, mają pewność, że ich namiętność przetrwa wieki i w najmniejszej mierze nie wątpią, że miłość będzie trwać po wsze czasy. Po raz drugi zawiązują małżeńskie stadło z nadzieją, że sprawy jakoś się ułożą. Nawet w takim przypadku może to być triumf nadziei nad doświadczeniem. Niekiedy jednak kierują się bardziej realistycznym podejściem.

– Niekiedy nawet dziesięć lub piętnaście lat nie wystarcza. Popatrz na nas. Nasze pierwsze małżeństwa trwały przecież dłużej, ale kiedy uczucia umarły, to, kurwa umarły na dobre, chłopie – dodał od siebie Gabe.

– Wiem. Niekiedy ludzie zbliżają się do siebie, a kiedy indziej się od siebie oddalają – spuentował Colin.

Wziął się za własną porcję zupy ramen. Rosół był słony, pływały w nim oka tłuszczu i smakował wybornie. Jego lekarz przypuszczalnie wszcząłby awanturę – że to bomba z sodem – i na dobitkę bomba z tłuszczem – ale czasem po prostu miał to gdzieś.

– Wiesz, czego tak naprawdę ci zazdrościsz? – zapytał Gabe.

– Czego? – Colin dokładał starań, by jego głos zabrzmiał obojętnie. .Czyżby kumpel sierżant najwidoczniej nie potrafił stłumić zawiści wobec

jego szczęścia. Sanchez od dłuższego czasu rzeczywiście znajdował się pod wozem.

Odpowiedź sierżanta całkowicie go jednak zaskoczyła.

– Zazdroszczę ci tego, że zdołałeś zobaczyć Yellowstone. To znaczy zobaczyć park, kiedy jeszcze było tam co oglądać. Nikt już nigdy nie będzie miał takiej okazji, a tobie się udało.

– Masz rację – odparł wciąż jeszcze zaskoczony Colin. – Kelly nieustannie gada o tym, ile obiektów geotermalnych przestało istnieć, ale ja nigdy nie myślałem o tym w taki sposób. Bardzo wielu tego rodzaju obiektów nikt już więcej nie zobaczy.

– Byłeś tam. – Gabe przerwał na moment. – Czy nie taki tytuł nosił telewizyjny program z epoki przedpotopowej?

– Wydaje mi się, że taki. Albo coś na tę modłę, w każdym razie.

Colin dokończył lunch. Przed erupcją w lokaliku tym ramen serwowano w dużych, starych kokilkach ze styropianu. Nadawały się do mycia i wielokrotnego użytku. Po nowe naczynie sięgano wyłącznie wtedy, kiedy ktoś wyrzucił to stare i używane. W momencie, gdy tym ludziom wyczerpią się zapasy naczyń ze styropianu, będą musieli przejść do planu B.

Plan B... Plan C. W bardzo wielu sytuacjach w tych dniach można odnieść wrażenie, że cały kraj przeszedł do realizacji planu kryzysowego oznaczone literą Q. Nikt nie miał dobrego pomysłu, jak wygrzebać się z tego zamętu. Albo, co bardziej prawdopodobne, skala chaosu okazała się, do cholery, zbyt wielka, by coś tak banalnego, jak dobre pomysły ludzi, mogły przynieść zauważalną poprawę.

Ponadto, co Kelly podkreślała, to dopiero faza początkowa. Erupcja już minęła, ale jej skutki będą długotrwałe. Ile czasu upłynie, zanim Środkowy Zachód ponownie stanie się spichlerzem świata, uwolnionym w końcu od powłoki popiołu i pyłu? Ilu ludzi dotknie klęska głodu w następstwie

erupcji? Czy Środkowy Zachód stanie się ponownie największym spichlerzem świata, uwzględnivszy tak znaczne ochłodzenie klimatu? Jak długo potrwają chłody? Lata, dziesiątki lat, setki lat? Nikt nie wiedział tego na pewno, ale wszyscy mieli przekonać się o tym na własnej skórze.

Przypuszczalnie sprawy nie powrócą do pierwotnego stanu (sprzed erupcji) do końca jego dni na ziemskim padole. Co zatem należy robić w takiej sytuacji?

Gabe położył na stole pieniądze.

– Proszę, Panie Dopiero Co Przybyły z Miodowego Miesiąca. Tym razem ja stawiam.

– Dzięki.

Colin wstał od stolika. Gabe również.

– A zatem... Masz już dopięte wszystko na ostatni guzik w kwestii zeznawania w sądzie na procesie Ellisa? – zapytał sierżant.

Małolatowi z blokowiska zarzucano trzykrotne dokonanie rabunku z bronią w ręku oraz popełnienie jednego zabójstwa pierwszego stopnia. W oczach Colina sprawa nie budziła żadnych wątpliwości, chociaż nic nigdy nie było oczywiste, jeśli pomieszało się fakty, składając zeznania.

– Właśnie dopinam wszystko na ostatni guzik – odpowiedział.

– Wciąż przeglądam taśmy z monitoringu oraz raporty i całą resztę. A czym ty się zajmujesz?

– Z grubsza rzecz biorąc tym samym – odparł Gabe. – Jeśli oni nie zaordynują mu strzykawki z trucizną, to przynajmniej powinni, do jasnej cholery, dopilnować, żeby już nigdy nie wyszedł z za krat.

– Tak – Colin przytaknął skinieniem głowy.

Być może to właśnie należy robić: to, co robiło się od zawsze, najlepiej jak się potrafi, najdłużej jak się da. Cóż więcej jest w stanie zrobić każdy z osobna?

Otworzył drzwi auta i wsunął się na siedzenie kierowcy. Gabe zajął miejsce na fotelu obok. Pojechali z powrotem na komendę policji w promieniach słońca i słońc pobocznych pod niebem zarumienionym jak rozgorączkowane lico.

NOTA OD AUTORA

Nie ma znaczenia, kiedy sięgniesz, czytelniku, po tom Superwulkanu – akcja powieści i tak rozpoczyna się w weekend po święcie Memorial Day, przypadającym w ostatni majowy poniedziałek. Tak czy inaczej autor wyraża głęboką nadzieję, iż tak właśnie jest!

Superwulkan pod terenami Parku Narodowego Yellowstone jest bytem jak najbardziej realnym. Można jedynie zgadywać, kiedy dojdzie do kolejnej jego erupcji – w przyszłym roku, za pięćdziesiąt tysięcy lat – lecz zagadnienie to jest przedmiotem uczonych debat w środowisku geologów. Komora magmowa Sour Creek oraz położona nieco dalej na południowy zachód komora magmowa Mallard Lake (która nie pojawia się w tekście) są rzeczywiste i buzuje się w nich na całego. Natomiast komora magmowa Coffee Pot Springs, odgrywająca istotną rolę w fabule opowieści, jest wytworem fantazji. Niżej podpisany wyraża nadzieję, iż stan ten nie ulegnie zmianie.

Bytem urojonym jest także miasto San Atanasio w Kalifornii, chociaż inne opisane tu miasta regionu South Bay to sfera jak najbardziej realna. Podobnie zresztą ma się sprawa z zajazdem Trebor Mansion Inn. Raczej nie zdołałbym go wymyślić.

Słowa podziękowań za gościnność i wsparcie pragnę przekazać na ręce niżej wymienionych osób: Roberta Shaffera, Johna Frary, Cthulu Bobba Lovely, Justina Barba oraz Joanne Girvin. Winny jestem również wdzięczność memu ojcu oraz matce, chociaż, co smutne, nie ma ich już między nami i nie będą mogli przeczytać tych słów. Przed z górą pięćdziesięcioma laty otrzymałem od nich w prezencie subskrypcję magazynu „National Geographic”. Nie przestali prenumerować popularnonaukowego miesięcznika nawet wtedy, kiedy nadeszły trudne

czasy. Od tamtej pory sam jestem wiernym czytelnikiem tego tytułu. Z jego stron dowiedziałem się o istnieniu superwulkanu.

Jeśli, czytelniku, masz ku temu inklinacje, możesz zaśpiewać piosenkę „Zjawiłem się zbyt późno” [Came Along Too Late] do melodii utworu Josephine Baker z cudownego albumu Ala Stewarta *Last Days of the Century*. Kiedy moja najmłodsza córka, Rebecca, wybrała w college’u historię cywilizacji zachodniej jako przedmiot kierunkowy, poprosiła moją małżonkę, Laurę Francos, specja od spraw Broadwayu oraz mnie o przykłady piosenek poświęconych tematyce historycznej. Laura dała jej jako namiastkę utwór. Moim wkładem była wcześniejsza wersja piosenki *Zjawiłem się zbyt późno*. Można odnieść wrażenie, że jej tekst pasuje również do wydarzeń przedstawionych w tej opowieści. Raz jeszcze serdeczne dzięki, Rebecca.